

MARIUSZ ZIELKE

THRILLER PRAWNICZY

# SĘDZIA

Finansista kontra mafia bankowo-sądowa

**MARIUSZ ZIELKE**

# **SĘDZIA**

**WYDAWNICTWO CZARNA OWCA  
WARSZAWA 2015**

*Sędzia* to powieść zainspirowana prawdziwymi wydarzeniami, nie jest jednak kroniką czy reportażem. Choć większość opisanych w niej przestępstw i wypadków rzeczywiście miała miejsce, na potrzeby akcji zostały zmienione niektóre okoliczności. Również w opisach bohaterów nie należy się doszukiwać odniesień do prawdziwych postaci. Wszelkie podobieństwa do osób i firm istniejących są przypadkowe i niezamierzone. Moim celem nie jest oskarżenie kogokolwiek o przestępstwa czy nieetyczne działania, tylko opisanie patologii systemu.

M.Z.

# Prolog: Wrzesień

Ależ ze mnie drań! – pomyślał z dumą sędzia Fogel. Machnął lekceważąco dłonią w kierunku przybyłych i rozparty wygodnie na fotelu kontynuował rozmowę telefoniczną, sięgając jednocześnie po szklaneczkę z whisky. Profesor Kępiński przestąpił z nogi na nogę, ale udał, że nie jest urażony. Nie stać go było na obrażanie się na Fogla. Profesor Stanowski poczerwieniał, lecz także stał bez ruchu.

Fogel patrzył na nich twardo, jakby chciał zapytać wprost: „No i jak, kto tu jest ważniejszy?”. Macie swoje tytuły, katedry i nazwiska na okładkach podręczników, ale to ja rządę w tym przeżartym gangreną kraju, gdzie prawo, tytuły i sprawiedliwość można znaleźć na każdym śmietniku, tylko nie w tym burdelu. Szczytne cytaty z prawa rzymskiego, którymi ozdobiono budynek Sądu Najwyższego, to tylko mało znaczące, puste słowa.

Tu, proszę państwa, jest sąd, a nie sprawiedliwość. Możecie mnie pocałować, tyle możecie. A jak zechcę, to was wykopię i oskarżę o obrazę. Albo o próbę przekupstwa. Albo i o to, i o to. Poznacie wtedy, na co mnie stać. To, o czym słyszeliście i czego sami doświadczyliście, jest niczym w porównaniu z moimi prawdziwymi możliwościami. Tak, moi drodzy, jestem jak ten gość z żartu o prawniku, na którego pogrzebie pojawił się ogromny tłum. Wszyscy przyszli się upewnić, że drań na pewno nie żyje.

– Kochanie, przepraszam, mam gości – rzucił w końcu do telefonu, odłożył aparat na biurko, wstał niespiesznie, podszedł do profesorów i uścisnął im dłonie. – Sprawy rodzinne.

Kępiński poszarzał na twarzy, Stanowski chrząknął.

– Cóż, przejdźmy do rzeczy.

– Nie napijcie się ze mną? – Fogel powoli podszedł do barku, dolał whisky do swojej szklanki i jakby zapominając o złożonej propozycji, wrócił do gości. – Usiądźmy!

Wskazał na krzesła przy stole, usiadł, nie czekając na interesantów, i zastygł w niemal wulgarnej pozie. Władza to piękna rzecz. Kępiński usiadł, Stanowski pozostał na miejscu. No dalej, panie profesorze, niech pan się nie krępuje i wreszcie wybuchnie. Należy mi się.

Stanowski w końcu westchnął i też usiadł.

Fogel uśmiechnął się kpiąco, po czym szybko spoważniał, sięgając do bocznej szuflady biurka w poszukiwaniu notesu.

Kępiński skorzystał z okazji i rozejrzał się po gabinecie, który chyba należało nazwać kapitańską kajutą. Cały był wyłożony drogim drewnem z afrykańskich odmian, zdobiony

różnymi marynarskimi akcesoriami, pełen gratów, lin i kotwic zawieszonych na ścianach. Stół był przymocowany na stałe do podłoża, podobnie jak drugi blat z instrumentami nawigacyjnymi, pewnie sekstansami i busolami, oraz z półką na mapy. Pod okrągłym, zdobionym złotem oknem wisiały oprawione zdjęcia rekinów, okrętów, marynarzy, piratów, a także ryciny z balonami, dziwnymi statkami powietrznymi i lunetami. Za sędzią stały dwa potężne, staromodne kufry zamykane na wielkie, czarne kłódki.

Cóż, nie ma co, dobre miejsce na rozmowę. Tyleż klimatyczne, co duszne i przytłaczające. Chyba specjalnie umówił się z nami tutaj – pomyślał.

– Możemy otworzyć okno – zapytał Stanowski.

– To bulaj – sprostował Fogel.

– Co?

– Bulaj. Tak się określa okno na statku. Nie otwiera się, ale mogę podkreślić klimatyzację. – Fogel sięgnął w dół i coś przekręcił. Usłyszeli cichy szum i dość szybko zrobiło się chłodno. Nawet za zimno, bo Kępińskim wstrząsnął dreszcz. – Panowie nie żeglują?

Profesorowie pokręcili głowami.

– A szkoda, piękny sport.

– Jesteśmy za starzy na sport – mruknął Kępiński.

– Sport... albo styl życia. W zależności od potrzeb. – Fogel poprawił się na miejscu, dając znać, że wystarczy tej gry wstępnej. Pora przejść do sedna. – Rozumiem, że będziemy rozmawiać o zakładach Broniewskiego?

Kępiński chrząknął, chciał zacząć polubownie, ale Stanowski go uprzedził.

– To zbrodnia, co pan chce zrobić – rzucił niegrzecznie.

Sędzia próbował zachować powagę. Zgodnie z kodeksem etyki nie powinien okazywać emocji, osobistego stosunku do spraw i stron, jak również lekceważyć interesantów, obrażać ich z powodu koloru skóry, płci, rasy, wyznania. Nie powinien też nikogo mieszać z błotem. Ale jak tu nie wyzywać się na takich dwóch profesorskich mistrzach teorii, którzy nie mają pojęcia o praktyce, zamiast jaj noszą w spodniach orzeszki, a pod skórą chowają czarny, niewolniczy strach. Jak tu się z takich nie śmiać?

– Już to zrobiłem – odparł z wyraźną drwiną.

Kępiński powstrzymał Stanowskiego przed wybuchem i siląc się na spokój, powiedział:

– Możemy jeszcze to odwrócić. Dyrektor Broniewskiego poprosił nas, żebyśmy pośredniczyli w negocjacjach.

Fogel zerknął na zegarek.

– Broniewski nie ma już dyrektora. Właśnie syndyk go odwołał.

– Niemniej jednak...

– Nie ma też radcy prawnego, który mógłby złożyć apelację. Syndyk przekazał mu wypowiedzenie. Nikt nie może już nic zrobić, a zatem decyzja o upadłości jest ostateczna.

– Panie sędzio, zaskarżymy ten wyrok.

– Niby na jakiej podstawie?

– Nie powinien był pan zastosować tak szybkiej procedury. Ogłoszenie upadłości zakładów tej wielkości w trzy dni, bez zbadania możliwości układowych i praktycznie bez żadnej analizy stopnia skomplikowania sprawy to...

– ...zbrodnia – dodał Stanowski.

Sędzia Fogel pokręcił głową, dodając do tego gestu dobrze udawany grymas przejęcia.

– Zbrodnią jest to, co robił Broniewski. Te zakłady od dawna wegetowały, nie było żadnych widoków na poprawę sytuacji, żadnych nadziei dla produkcji czy całej tej grupy ciągle się awanturujących... darmozjadów. Kto by chciał ich przejąć! Zadłużenie co dzień rosło o...

– Przeterminowane zadłużenie dotyczyło tylko jednej firmy i zostało przecież spłacone.

– ZUS nie chce, żeby zadłużenie rosło.

– Obaj dobrze wiemy – Kępiński jakby zapomniał o Stanowskim – że dla Skarbu Państwa, zatem i dla ZUS, a nawet dla pana, korzystniej byłoby utrzymać zakłady i miejsca pracy. Na stare długi nic nie poradzimy.

– Wątpię. – Fogel znów nie wytrzymał i uśmiechnął się. Może i dla państwa, ale dla mnie? Mój interes nijak się nie ma do miejsc pracy. – Zagrajmy w otwarte karty.

Kępiński i Stanowski spojrzeli po sobie. Skinęli głowami.

– Komu zależy na cofnięciu decyzji o upadłości?

– Pracownicy zapowiedzieli demonstrację z paleniem opon i detonacją petard – powiedział ostrożnie Kępiński. – Chcą narobić dużo huku, a minister skarbu ostatnio nie ma zbyt dobrej prasy po konflikcie z zarządem giełdy. Jeśli pracownikom Broniewskiego uda się ściągnąć Solidarność krajową i inne związki, to...

– Zaraz dołączą do nich górnicy, pielęgniarzy, rolnicy, a może i policjanci – dodał Stanowski. – Będziemy mieli tu prawdziwą zadymę.

– Właśnie – kontynuował drugi profesor. – Pana decyzja, panie sędzio, może wywołać

niepokoje społeczne o trudnych do przewidzenia skutkach. Nasz klient obawia się, że ucierpią nie tylko jego interesy, ale też zwyczajnie cała gospodarka. Dlatego postanowiliśmy udać się do pana i szczerze porozmawiać.

Szczerze? Dobre sobie! Kim jest wasz klient? Jakiś Kuziemski czy inny Abramowicz? Kto dogaduje deal z ministrem skarbu na parę miliardów i obawia się, że upadłość Broniewskiego może mu te ambitne plany pokrzyżować? Minister przestanie być ministrem i umowa straci ważność? O to chodzi?

Cóż, mogłem się tego spodziewać. Mają panowie gdzieś pracowników. To jakiś polityk lub biznesmen jest waszym klientem. Dobrze, może to i dobrze. A nuż i mnie się przyda taki ruch, jednak proszę nie obrażać mojej inteligencji. Sojusze lekceważą tylko geniusze i głupcy.

Fogel stał twardo na ziemi, nie był ani jednym, ani drugim. Przynajmniej na razie. Choć jeśli imperium będzie rosło w takim tempie, to kto wie, kto wie...

Już w zasadzie czuł się wirtuozem.

– Cóż, co panowie proponują?

– Proszę cofnąć decyzję o upadłości.

– Niemożliwe. Już zapadła. To byłoby... niezgodne z literą prawa.

– To proszę zamienić upadłość likwidacyjną na układową.

Fogel zamyślił się. Cóż, władzę już pokazał, pora na rozmiękczenie przeciwników.

– Bardzo panom na tym zależy?

– Bardziej niż bardzo.

Sędzia cmoknął znacząco.

– Może macie rację, zlikwidowanie zakładów Broniewskiego ot tak, bez analizy społecznych skutków, może nieść niekorzystne konsekwencje.

– Cieszę się, że pan sędzia to rozumie – wykrztusił Stanowski.

– Jednak procedury mogłyby się okazać... skomplikowane.

– Wniosek został cofnięty – dodał Kępiński.

Sędzia zabębnił palcami o blat, przełknął odrobinę mocnego trunku i rzekł:

– Mam inną propozycję.

– Tak?

– Syndyk ogłosi pozyskanie inwestora i przejęcie zakładów przez firmę, która zadeklaruje, że zamierza kontynuować działalność Broniewskiego.

Profesorowie znów spojrzeli na siebie, przeczuwając podstęp.



– To... hm, mało prawdopodobne. Kto chciałby przejąć Broniewskiego. Długi...

– Proszę się nie martwić. Podstawową działalność przeniesiemy na zewnątrz, wraz z pracownikami, i damy im, powiedzmy, hm, kolejne trzy miesiące. A nieruchomości sprzedamy, żeby zaspokoić wierzycieli i oddłużyć zakład, który będzie mógł zacząć od nowa.

– To da się zrobić?

– Oczywiście. – Fogel rozłożył ręce w geście pozornej kapitulacji. – Panowie zaliczycie sukces, politycy zyskają poklask plebsu i czas do kolejnych niepokojów społecznych, a zakłady otrzymają nowe życie. A że to życie nie potrwa długo...

– Dlaczego?

– Sami panowie mówili, że trudno będzie o wiarygodnego inwestora. Wiecie doskonale, że ten zakład nie ma szans istnieć, nikt go nie zrestrukturyzuje.

– Właśnie tego się obawiamy.

– Proszę się nie martwić. Na pierwszy rzut oka nikt się nie zorientuje, że z inwestorem coś jest nie tak. A potem, jeśli dojdzie do bankructwa, nie będzie winny rząd, tylko ta firma. To nie będzie polski gracz, tylko... damy na to, ukraiński. Ukraina słynie z zakładów metalurgicznych, a my przecież chętnie idziemy jej na rękę. Niech się potem tłumaczą, jeśli nie wyjdzie.

– No tak...

Kępiński skinął głową, jeszcze się wahając, czy nie sprowadzić Fogla na ziemię. Sędzia stawał się z roku na rok coraz bardziej bezczelny. Już dziś jego wpływy były nieprawdopodobne – zarówno w środowisku, jak i u niektórych polityków, głównie opozycji, ale i rząd nie chciał z nim zadzierać. Misja profesorów była więc bardzo delikatna.

– Tak, panowie profesorowie. Liczą się, jak zawsze, intencje. A nasze intencje są dobre i to jest najważniejsze.

Obaj zbyt dobrze znali Fogla, by uwierzyć w jego dobre intencje.

– Chodzi o te nieszczęsne nieruchomości? – zapytał Kępiński.

– Zawsze o coś chodzi – odparł Fogel. – W obecnej sytuacji i tak by poszły pod młotek.

– Więc jaki jest pana cel?

– Panowie przekonają wierzycieli, żeby nie protestowali przeciw sprzedaży z wolnej ręki i zgodzili się na cenę inwestora – wyrzucił z siebie Fogel, myśląc: jednak jestem geniuszem. Wykombinowanie takiego rozwiązania w ciągu kwadransa rozmowy z negatywnie nastawionymi autorytetami, jednocześnie przychylenie się do ich prośby i pozyskanie

wdzięczności... Cóż, tylko geniusz mógł tego dokonać.

– Cena będzie niska? – Stanowski zacisnął mocno szczęki. – Czy tak?

– No, najwyższa w tej sytuacji być nie może – przyznał Fogel. – Przy licytacji byłaby wyższa, ale wtedy nie ma mowy o restrukturyzacji. Zakłady upadną, pieniędzy będzie więcej. Jeśli tak wolicie...

– Nie, nie – szybko odparł Kępiński. – Chodzi tylko o to, żeby... jak by to ująć.

– Cena nie będzie rażąco niska – zapewnił sędzia.

– Właśnie.

– Mówimy o milionach, nawet dziesiątkach milionów – dodał Fogel. – Tak więc nie ma obaw, że ktoś zarzuci nam jakieś nieczne zamiary czy inne rzeczy.

– Ziemia pod Broniewskim może być warta naprawdę dużo... – odparł Stanowski. – To grunty w centrum miasta, deweloperzy z pewnością...

– Mamy kryzys – przerwał Fogel. – Deweloperzy już się tak nie rzucają na ziemię, więc nie widzę problemu. Proszę się nie obawiać. Jak już powiedziałem, cena nie będzie rażąco niska.

– Dobrze pan to ujął, panie sędzio – szepnął Kępiński.

Stanowski też wyraźnie się rozluźnił.

– Cóż, słyszeliśmy dużo o pana reputacji, więc nie spodziewaliśmy się, że nasza rozmowa może przybrać tak pozytywny obrót. Przyznam, że jestem zaskoczony. Mile, rzecz jasna.

– Jestem tylko prostym sędzią sądu rejonowego, panie profesorze. – Fogel rozpoczął kolejny etap gry. Zakładał, że obaj profesorowie z pewnością słyszeli, jak ostentacyjnie odmówił awansu na sędziego w okręgówce. Nie interesowała go kariera urzędnicza i nominacje. Gdyby się na to zgodził, straciłby swoje królestwo, gdzie był niepodzielnym władcą. Upadłości w warszawskiej rejonówce to sędzia Fogel. Pełny profesjonalizm, wiedza, zaufanie potrzebne do odpowiedniego załatwienia sprawy. Tylko sędzia Fogel. I jego syndycy. Prawo służyło im, a nie odwrotnie.

Sędzia wyraźnie się rozluźnił. To, że ja tu rządzę, już wam przekazałem. Był kij. Pora na marchewkę.

– Słyszeli panowie o stowarzyszeniu, które założyłem?

– Zawodowe Stowarzyszenie Prawników Polskich? – zapytał Stanowski. – Mamy dużo organizacji...

– Ale ZSPPP będzie z nich wkrótce najpotężniejszą. Szczególnie jeśli zyska wśród członków tak znaczące postaci jak panowie profesorowie. Na razie mamy tylko dwóch profesorów. Dwa

plus dwa daje cztery, prawda? A prawnikowi daje...

– A ile pan chce? – Kępiński dopowiedział puentę znanego dowcipu.

– Właśnie. Sądzę, że obie strony dużo by zyskały na takim... sojuszu. ZSPP prowadzi szkołę, organizację pomocową, jest też... właścicielem tego statku. – Fogel zrobił szeroki gest dłonią. – Organizujemy różne szkolenia i wykłady, na których chętnie byśmy widzieli obu panów. Po to założyliśmy Europejską Szkołę Prawa i Bankowości. Związek bankowości z prawem nie jest w tej nazwie przypadkową niezręcznością – zażartował na koniec.

– Mam, niestety, bardzo napięty grafik – powiedział słabo Stanowski.

– Ale na wizytę tutaj znalazł pan czas – upomniał nie bez sarkazmu Fogel. – Nie mówię, broń Boże, o żadnych charytatywnych wystąpieniach. ZSPP płaci uczciwe stawki godzinowe, podobnie jak nasza uczelnia. ESPiB w ostatnim rankingu zdobyła zaszczytne trzecie miejsce wśród najlepszych szkół wyższych specjalizujących się w prawie. Znanym i zajęтым wykładowcom jest w stanie zapewnić naprawdę dobre warunki finansowe.

– Stać was na to? – zapytał Kępiński, żeby trochę odciążyć Stanowskiego.

Rzeczywiście chciałbyś usłyszeć odpowiedź? – pomyślał Fogel. Chyba nie. Przecież wiesz, że związek i szkoła mają sponsorów. Sponsorzy rozumieją konieczność dotowania organizacji społecznych, w tym prawniczych. Zwłaszcza jeśli akurat mają problem tej natury.

– Oczywiście potrzebne są odpowiednie rozwiązania. Dajmy na to, pan, panie profesorze, ma jako uznany autorytet prawniczy zaopiniować, czy ktoś może być skazany z tego to a tego artykułu, ale przecież badanie takiej kwestii musi trwać i kosztować. Stowarzyszenie wówczas chętnie owe koszty pokryje. Równie hojnie jak taki pan Latowski czy Balewajder.

Stanowski udał, że nie słyszy złośliwej nuty w głosie sędziego. Kępiński zdusił uśmiech. Wszyscy w środowisku dobrze pamiętali, jak Stanowski za duże pieniądze zrobił pewnemu znanemu biznesmenowi ekspertyzę, z której wynikało, że w jego przypadku prawo nie obowiązuje, więc nie powinien ponosić konsekwencji za nietrafione decyzje finansowe. Na mieście mówiono też, że to on stał za uniewinnieniem innego znanego przedsiębiorcy, którego oskarżono o składanie fałszywych zeznań, lecz ekspertyza kilku autorytetów pozwoliła na uwolnienie go od zarzutów. Ale kto by się czepiał... Pranie pieniędzy to w końcu nie zabójstwo.

Fogel uniósł brwi, jakby chciał powiedzieć: no, chyba nie muszę mówić jaśniej. Jeśli sponsor ma problem z ekspertyzą, prosi nas o poradę, my odpowiadamy lakonicznie, ale za to dajemy napisać odpowiedni dokument profesorowi temu a temu, który robi to bezpłatnie dla

stowarzyszenia, a potem efekty całego sporu chętnie omawia na zajęciach ze studentami. Takie zajęcia są warte nawet i sto tysięcy. Są przypadki, że i więcej. Jak znajdziemy odpowiedni temat, to i milionik wpadnie.

Milionik tu, milionik tam. Czyż nie pięknie brzmi? Mają już panowie rezydencje w Hiszpanii? Jeśli nie, mój doradca inwestycyjny chętnie pomoże w poszukiwaniach. Po krachu hipotecznym Hiszpania jest modna. Nabudowano tam masę niepotrzebnych osiedli. Z widokiem na morze, w pięknej okolicy. A jeśli Hiszpania za daleko, to może Bułgaria. Tam też mam apartament pod wynajem. Także Rumunia jest niezła. Po jej wejściu do Unii należy się liczyć ze wzrostem cen lokali i ziemi, który w przyszłości da zadowalający zysk. Trzeba myśleć globalnie, panowie.

– Na mnie czas – szepnął Stanowski cały czerwony na twarzy. – Pójdę już.

– Ja też – dodał jego towarzysz.

– Przemysłcie, panowie, wstąpienie do naszego stowarzyszenia – zakończył chłodno Fogel.

– Odprowadzę panów.

Wyszli na pokład. Fogel prowadził. Opowiadał o masztach, kabestanach, relingach, żaglach i wantach. Kochał żeglarstwo, mówił więc z pasją, a było o czym. Bryg „Józef Piłsudski” uchodził za jeden z największych i najwspanialszych żaglowców na świecie. Pod pełnymi żaglami wyglądał nieprawdopodobnie. Prawie dwieście trzydzieści stóp samej przyjemności, kadłub przemierzany w sześćdziesięciu krokach, na maszcie czterdzieści metrów nad wodą można było poczuć siłę wiatru, cztery metry zanurzenia, pięćset pięćdziesiąt ton wyporności, tysiąc czterysta metrów kwadratowych takielunku, silniki pozwalające rozwinąć prędkość osiemnastu węzłów na godzinę. Prawdziwa duma Szkoły pod Żaglami przejętej przez ESPiB rok temu od jednego z banków, który wcześniej aresztował statek za długi.

No i gdy wychodzi w morze, na pokładzie jest sześćdziesięciu posłusznych wykonawców poleceń kapitana, uczniów, którym można przekazać ukryte w gładkich słowach tezy. Sędzia bardzo lubił posłuszeństwo, choć starał się unikać bezpośredniego nadzoru nad podwładnymi. Na to był zdecydowanie za skromny. Uwielbiał kierować pionkami z tylnego fotela, wysługując się zaufanymi posłańcami. Władza zdecydowanie deprawuje, nie ma nic przyjemniejszego. Nawet seks jest przy tym mało znaczącą, choć rozkoszną drobnostką.

W końcu stanął przy relingu obok trapu prowadzącego na nabrzeże.

– Ostrożnie, proszę nie spaść do wody.

– Postaramy się.

– Niby łatwiej i szybciej spaść niż się wzbić do lotu.

Gdy profesorowie wsiedli do podstawionej rządowej limuzyny i odjechali w kierunku Warszawy, sędzia Fogel odetchnął pełną piersią. Naprawdę jest ważny, skoro takie szczyh przyjeżdżają do niego podczas weekendu, choć mogłyby spokojnie przyjść do sądu.

Ale w sądzie nie załatwia się... złotych interesów. Tak, Fogel był pewien, że właśnie załatwił kolejny złoty interes. Bez strat i konfliktu, choć zapowiadało się inaczej. Konflikty nie służą interesom, podobnie jak bezpodstawne oskarżenia nie są potrzebne sądom. Prawo jest jak ogrodzenie – gad zawsze się prześlizgnie, lew przeskoczy, a bydło pozostanie tam, gdzie jego miejsce.

Na nabrzeżu zebrało się już trochę młodzieży, która zaraz miała zacząć ćwiczenia na statku, więc Fogel usunął się w cień. O ile świetnie czuł się w negocjacjach, na sali sądowej czy w innych sporach, o tyle zawsze bał się dwóch „czynników ryzyka”: młodzieży i dziennikarzy. Bał się, że któryś z tych młodych studentów prawa powie mu coś, na co nie będzie dobrej odpowiedzi, a jakiś idiota dziennikarz zada nieprzemyślane pytanie, którego nie powinien zadać.

Począł, aż młodzież wejdzie na pokład, po czym zebrał swoje rzeczy i ruszył do pozostawionego na strzeżonym parkingu lexusa. Jego również czekała daleka droga do Warszawy i przez chwilę pozazdrościł profesorom kierowcy. Co prawda jazda lexusem to sama przyjemność, ale jazda z kierowcą jest jeszcze ciekawsza. Można znacznie więcej wypić, obejrzeć jakiś film, a nawet się pokochać. Ostatnio sędzia Fogel miał coraz większe powodzenie, również u kobiet, które nie widziały lexusa. Przyjemnie było to czuć, choć pozostawał wierny tej jednej jedynej. Żona i samochód to dwie najważniejsze rzeczy w życiu mężczyzny.

Był zły na siebie za ten samochód. Nie znał się na motoryzacji i myślał, że lexus to jakaś kiepska koreańska czy chińska marka, która nie przyciąga złych spojrzeń. Lexus... kto o nim wcześniej słyszał? Mercedes, bmw, porsche – to rozumiał. Nie mówiąc już o bugatti czy ferrari. Ale lexus? A tu syn go uświadomił, że właśnie kupiłeś, tato, jedno z najbardziej prestiżowych aut japońskich. Taką lepszą toyotę, tatku. Podobnie jak maybach jest takim lepszym mercedesem.

Aż bał się zapytać, co to maybach.

Po raz ostatni odetchnął świeżym powietrzem, wsiadł do samochodu i ustawił w nawigacji adres wiejskiej posiadłości w podwarszawskim Konstancinie. Jak na sędziego z oficjalną

pensją do niedawna niewiele przekraczającą średnią krajową radził sobie nadspodziewanie dobrze. Przedsiębiorczość była zdecydowanie jego zaletą.

Niski, szczupły mężczyzna spojrzął na zegarek i wyciągnął papierosa z paczki. To już trzeci. Jego córka powiedziałaaby: o trzy za dużo. Ostatni raz rzucił palenie niemal pół roku temu, jednak po kryjomu wciąż popalał, szczególnie gdy był zdenerwowany lub zniecierpliwiony.

Osoba, z którą się umówił, spóźniała się już ponad pół godziny. Nie zwykł tyle czekać nawet na ministrów. Ale w tym przypadku... na tego człowieka zawsze warto było czekać.

Dokładnie w chwili, gdy wyrzucił niedopałek do kałuży, przez bramki wejścia na molo przeszedł krępy, siwiejący szatyn w skórzanej kurtce, czarnych dżinsach i butach na wysokich podszewkach. Mimo mocnej budowy, nadwagi i postury wyrośniętego krasnala poruszał się jakby w zdwojonym tempie, jak na komedii slapstickowej.

Podbiegł do czekającego, uścisnął mu mocno dłoń, jednocześnie klepiąc w ramię i uśmiechając się szelmowsko.

– Spóźniłeś się – rzucił oschle niski, nie odrywając wzroku od niknącej w morskiej szarudze linii horyzontu.

– Jak zwykle.

– Następnym razem nie zaczekam.

– Zaczekasz. – Wyraz lekkiego rozbawienia nie schodził z oblicza krępego. – Opłaca ci się, to zaczekasz.

– Co masz dla mnie?

Krępy rozsunął zamek kurtki, sięgnął pod ramię i wyciągnął grubą, mocno wypchaną kopertę A4.

– Wszystko, o co prosiłeś.

Niski otworzył kopertę i wydobył plik kilkudziesięciu, a może nawet kilkuset kartek. Wygiął dokumenty w jednej dłoni i zwolnił kciuk, przetasowując raport, jakby sprawdzał, czy w środku nie ma jakichś pustych kartek. W kilkunastu miejscach zatrzymał się na dłużej, nieco uważniej przeglądając zapisy. Większość to były wydruki z arkuszy kalkulacyjnych.

– Świat się zmienia – szepnął. – Człowieka coraz częściej można opisać liczbami.

– Albo wektorami. – Krępy pokazał mu serię wykresów. – Kursy akcji, relacja do zadłużenia, a dalej coś ciekawszego.

Niski odsunął plik od oczu, niemal całkowicie prostując ramię, jakby bez okularów dla dalekowidzów nie był w stanie dobrze zrozumieć wykresu.

– Co to takiego?

– Mapa powiązań.

– Mapa?

– Kupili nam komputer, który ma specjalny program do analizowania powiązań osobowych, biznesowych i finansowych. Legendę masz pod spodem. Jak przeczytasz, zrozumiesz. To gównu śledzi nawet datki na tacę, czaisz? – Roześmiał się gardłowo. – Wiesz, w którym burdelu ksiądz daje napiwek za dobre bang-bang.

– Cholera, przydałoby mi się coś takiego w banku.

– Do czego byłbym ci wtedy potrzebny... – Krępy ponownie klepnął towarzysza w ramię i dodał z pewnością siebie: – Nie łudź się. Takich jak ja komputery nie zastąpią.

Miał powody, by być wyluzowanym i pewnym swego. Przez wszystkie te lata wolności, odkąd Polska odzyskała pełnię samostanowienia, nikt mu nic nie zrobił. Nowa władza często wynosiła na stanowiska ludzi, z którymi dawniej miał na pieńku i których krzywdził w starych czasach. Mimo to zostawiono go w spokoju. Bez śledztw, niewygodnych pytań, jakby zapominając o winach. Jedna niezręczna weryfikacja, spuszczone, zawstydzone spojrzenia tych, którzy uważali inaczej, ale nie mieli dość odwagi, by to wyrazić. Co było, trafiło do niszczarki. Została czysta kartka, którą miał od nowa zapisać.

I zapisywał. Niemal co dzień.

Wciąż był potrzebny i doceniany. Bo gdy przychodziło co do czego, to jego metody okazywały się najskuteczniejsze.

– Są rzeczy, których nie są w stanie zrobić nawet najlepsze procesory – dodał.

Niski wzdrygnął się. Dobrze wiedział, o czym mówi rozmówca. Trzy miesiące wcześniej miał okazję się temu naocznie przyjrzeć, gdy jeden z dłużników zaczął wygrażać, że bank może mu naskoczyć, bo on jest z mafii. „Jestem, kurwa, nie do ruszenia” – wykrzykiwał mu prosto w oczy na chwilę przedtem, zanim się przekonał, że w tym kraju jest znacznie poważniejsza i groźniejsza mafia niż ta w dresach, biegająca z bejsbolami po rynkach miast. Pozbawiony przedniego uzębienia i dwóch palców prawej dłoni, nagle przestał być twardzielem i zaczął prosić, a nawet błagać. Głowę obcięto mu podobno znacznie później, gdy niski był już sto kilometrów dalej i ze ściśniętym po torsjach żołądka próbował bezskutecznie zapomnieć widok pokrytej krwawą skorupą twarzy.

– Zorientuję się z tego wykresu, kto kogo pieprzy?

– Z wykresu nie... przejdź na koniec.



Ostatnie dziesięć kartek zawierało skany różnych fotografii. Jakość nie była najlepsza, ale pozwalała rozpoznać zarejestrowane na nich osoby.

– Moja stara – mruknął krępy – zawsze mi powtarzała: „Jak chcesz skakać na boki, to przynajmniej nie przed obiektywem”.

– Twoja stara nie wie, co to za przyjemność – odparł niski i obaj roześmiali się głośno. – Cóż, mamy chyba to, czego potrzebujemy.

Krępy przeciągnął się i głęboko odetchnął morskim powietrzem. Wspaniałe uczucie. Zapach morza, krzyki mew i powiew świeżej bryzy. Dobrze, że udało mu się wyrwać z Warszawy. W nagrodę za wykonanie zadania nie tylko pojedzie na drogą wycieczkę, ale też spędzi upojny weekend w Trójmieście. Kto wie, może załatwi kolejny dobry interes. Tutejsi przedsiębiorcy też potrzebują wsparcia.

– Ci chłopcy... – nie dokończył.

– Tak?

– Trochę mi ich szkoda.

– Żartujesz? Od kiedy szkoda ci uczyć młodzież? Gówniarstwo zawsze myślało, że wszystko mu wolno.

Krępy nie odpowiedział, ale niski domyślał się, co chce powiedzieć. Młodzi są tacy pełni ideałów. Wierzą w Unię, demokrację, sprawiedliwość, szczęście i inne bzdury, które opowiadano im w reklamach. Myślą, że Rosja zawsze będzie ospałym niedźwiedziem, a Ameryka przyjdzie im na pomoc, że wojna to przeszłość, fujara zawsze będzie stała, a dziewczyny polecą na ich kaloryfery.

Nie wiedzą jeszcze, że nic się nie zmieniło, że to nie jest ich świat, że najpierw trzeba poznać trochę życia, a dopiero potem kozaczyć. Nie przypuszczają nawet, że gdyby nagrać władców świata, toby się okazało, że rządzą nami cwaniaki o mentalności łobuzów i prymitywów. Najważniejsze to wiedzieć, kiedy należy poszukać przeciwnika gdzieś w porcie jachtowym i wyciągnąć go na piwo. Przy piwie można załatwić każdy interes, ale trzeba mieć trochę pokory.

Jego córka i jej przyjaciele też tacy byli. Nic nie wiedzieli o prawdziwym życiu. Tyle że nimi miał się kto zaopiekować, więc nic im nie groziło.

Poczuł przypływ dumy i siły.

Tak, był gwarantem bezpieczeństwa rodziny i przyjaciół. To dla nich robił to, co robił.

– Nauka przyda się każdemu.

– Przyda. – Oczy niskiego błysnęły na jedno mgnienie, a potem ponownie zmatowiały. – Jesteś pewien, że nie mają żadnych pleców?

– To jest najdziwniejsze. – Krępy pokiwał głową i żartobliwie rzucił slogan, który tak często powtarzali przy wódce z kolegami: – Jak oni się bez nas uchowali przez tyle lat?!

– A ta historia z Mierzejewskim?

Krępy wstrząsnęło lekceważące prychnięcie.

– W teczce masz wyjaśnienie. To... ściema.

– Ściema albo i nie...

– Zaufaj mi.

Niski milczał dłuższą chwilę, wpatrując się w ciemniejące nad zatoką niebo. Morze było dość spokojne jak na tę porę roku. Powietrze przyjemnie chłodne, ale nie mroźne. Na molo wciąż przechadzało się sporo staruszków korzystających ze spóźnionych, posezonowych wakacji. Jakiś statek wychodzący z portu w Gdańsku zawył syreną, jakby chciał ich pozdrowić.

– Urosli jak pączki. Przyszedł czas, by je wyłowić z brytfanny.

– Inaczej się przypalą.

– Albo ktoś inny je zje.

W drodze powrotnej do Warszawy niski mężczyzna uważnie przejrzał materiały, skupiając się ostatecznie na wycinkach prasowych. Nie znosił podróży, bo miał wrażenie, że zabierają mu czas, który mógłby inaczej spożytkować. Jednak wizyta w Trójmieście była konieczna nie tylko ze względu na schadzki z kolegą z dawnej pracy. Zaplanowane spotkania ostatecznie się udały, tak więc nie powinien mieć do nikogo pretensji. A teraz, w drodze, mógł spokojnie przygotować akcję. Lubił przeprowadzić dobry research przed podjęciem właściwych działań. Opracowanie strategii i planów awaryjnych często przesądza o sukcesie. Praca w biznesie nie różniła się pod tym względem od jego wcześniejszego zajęcia. Był świetnie przygotowany do pełnienia nowej roli.

– Prosto do domu, panie prezesie?

– Nie, do centrali.

Kierowca spojrział w lusterko z wyrzutem i naganą. Był dobrym kierowcą i jeszcze lepszym ochroniarzem, ale nie powinien wtrącać się w nie swoje sprawy – pomyślał niski, zastanawiając się, czy go nie zbesztać, jednak zrezygnował. Może ma rację. Nie powinienem być takim pracoholikiem.

Po raz ostatni zerknął na artykuł z „Expressu Finansowego”, który opisywał niezwykle sukcesy młodych przedsiębiorców z do niedawna mało znanej firmy, w ciągu ostatniego roku podbijającej rynek finansowy gwałtownie rosnącymi zyskami i przychodami. Zdjęcie zamieszczone u góry tekstu, pod buńczucznym tytułem ŚWIAT NALEŻY DO NAS, prezentowało dwóch nieco nazbyt z przymusu uśmiechniętych biznesmenów. Jeden dobrze zbudowany i umięśniony, a tak naprawdę zniewieściały, na oko skromny, wyciszony, pedantyczny. Drugi brzydszy, za to bardziej konkretny i pewny siebie. Wysoki, szczupły, władczy. Biły od niego siła i spokój cechujące prawdziwych zdobywców.

To on był szefem.

Niepokonany dotąd przywódcą.

On ciągnął tego drugiego, narzucał mu swoją wolę, namawiał do walki o kolejny kawałek tortu, podczas gdy przyjaciel nieśmiało protestował: może już wystarczy, po co nam więcej?

– Bo jesteś mężczyzną – mruknął pod nosem niski. – Jesteś zdobywcą, a nie ciotą.

Podobał mu się ten drugi. Kto wie, może w innych okolicznościach moglibyśmy się zaprzyjaźnić. Może mógłbym cię wziąć do swojej ekipy, powierzyć ważne zadanie, choć nie tak ważne jak to, które przed sobą postawiłeś. Mógł bym, gdybyś nie był tak pewny swego i przywiązany do niezależności. Ja też nie lubię mieć szefów, ale mnie wolno, a tobie... cóż, przekonasz się, że nie.

U mnie zdobywcy świata raczej nie mają czego szukać.

Chyba że są pojętni i po nauczce znajdują właściwe miejsce w szeregu.

Nie potrzebuję marzycieli, samotnych wilków i wolnych elektronów, tylko konkretnych wykonawców poleceń. Liczy się jasne rozpisanie ról i kwot. Tak, żeby rachunek się zgadzał. Dla mnie i chłopaków, którzy pozostają w cieniu.

No i dla naszego pracodawcy, choć to najmniej istotne. W jego przypadku pracodawca też był jednym z tych, którzy wykonywali polecenia. Potrzebnym na daną chwilę, wymiennym elementem.

Zamknął teczkę z dokumentami w momencie, gdy limuzyna dojeżdżała do garażu w budynku, w którym mieściła się centrala kierowanej przez niego instytucji. Począł, aż kierowca otworzy mu drzwi, wysiadł z samochodu, dotarł do wejścia i pustym o tej porze korytarzem przeszedł do klatki z windami. Zeskanował kartę w czytniku, a kiedy światelko z czerwonego zmieniło się na zielone, przecisnął się przez obrotową bramkę. Poprawił krawat, stając przed wielkim szyldem z napisem:

POLSKI BANK GOSPODARCZY

BIURO ZARZĄDU

**Z nami przyszłość jest łatwiejsza**

Z dłońmi schowanymi głęboko w kieszeniach spodni z kantem niezbyt drogiego garnituru, kiwał się przez chwilę na piętach, zastanawiając się, kto wymyślił ten idiotyczny slogan.

Jaka, kurwa, przyszłość?

# Część I: Listopad

– Co pan ma na swoją obronę?

Pytanie zawisło w próżni, tak że Adam Bonar usłyszał tylko jego ginące gdzieś na łączach echo. Obronę? Czy naprawdę muszę się bronić?

– Halo, panie Bonar, jest pan tam?

– Tak.

– Więc...? Mogę poprosić o komentarz? Chce pan coś powiedzieć?

Nie, nie chcę – pomyślał Bonar. Nie mam zamiaru odpowiadać na oszczerstwa. Przypomniał sobie radę prawnika: zaprzeczaj. A jeśli będą mówić prawdę? Też zaprzeczaj. Złapią cię za rękę, odpowiadaj, że nie jest twoja. Nie masz sobie nic do zarzucenia.

Bo nie mam, do cholery. Te zarzuty są absurdalne, w ogóle nie powinny się pojawić. Więc dlaczego się pojawiły? Banki kłamią? To chce pan powiedzieć? Banki nie są instytucjami zaufania publicznego? Pan jest bardziej wiarygodny? Zastanówmy się, kto tu może kłamać, komu należy wierzyć...

Pewnie tak by przebiegła dyskusja, gdyby dał się w nią wciągnąć.

– Skąd ma pan mój numer? – zapytał.

Dziennikarz przełknął głośno ślinę i skłamał:

– Jest na stronie.

– Nie ma.

– Bez znaczenia. Ważne, że się do pana dodzwoniłem.

– A dane bankowe? Też pan wziął ze strony?

Na chwilę zapadła cisza. Dziennikarz nie powinien mieć danych, o które pytał. W ogóle o niczym nie powinien wiedzieć. To była gra, której nie zrozumiał, a bez znajomości reguł nie należy siadać do stołu.

– Nie są jawne – przyznał pismak.

– Właśnie, są tajemnicą przedsiębiorstwa. Nie może pan ich ujawniać. Nie powinny pana interesować.

– Na koncie brakuje... zaraz, jakichś trzystu milionów. To jest powód, żeby się nimi zainteresować. Pana klienci nie będą zachwyceni, gdy się dowiedzą. Nie mówiąc o wierzycielach.

Bonar milczał. Przez chwilę dziennikarz myślał, że rozmówca pięknie i albo zacznie

wyjaśniać sprawę, albo zbluzga go od najgorszych. Tylko przez chwilę.

– To nie jest temat dla prasy.

– Owszem, to bardzo dobry temat. Prowadzi pan spółkę giełdową, więc inwestorom należą się wyjaśnienia wszelkich wątpliwości.

– Pan nie próbuje niczego wyjaśniać, tylko uprawia czarny PR.

– Słowa kluczowe na mnie nie działają, panie Bonar. Proszę o wyjaśnienia, nie mam ustalonej tezy.

– Myślę, że pan ma.

– Ukradł pan te pieniądze?

Trzysta milionów. Wirtualne trzysta milionów. Ale manko całkiem realne. W księgach nie widać różnicy, smaku, zapachu. Nic nie szeleści, nie ciąży. Jest trójka i osiem zer. Niewyobrażalna kwota. Co miałbym, u licha, zrobić z tymi trzystu milionami? Kupić sobie osiedle, polecieć w kosmos czy może zakopać je w ziemi? Nie wziąłem tej kasy.

– No więc? Skomentuje pan zarzuty czy nie?

– Muszę kończyć.

– Proszę to jeszcze przemyśleć i oddzwonić.

– Nie mam nic do powiedzenia.

– Bez obrony zostanie pan skazany zaocznie – oznajmił dziennikarz ugodowo i niby-przyjacielsko. – Jeśli jest pan niewinny, proszę mi po prostu o tym opowiedzieć. Obiecuję...

– Dobrze, może oddzwonię.

– Nie mogę zbyt długo czekać.

– Powiedziałem, oddzwonię.

Bonar odłożył słuchawkę, nie żegnając się z rozmówcą. Spojrzał na maila w telefonie, w którym pismak zostawił swój adres, nazwisko i prośbę o kontakt. Zimny. Co to za nazwisko... Kuba Zimny. Nie Jakub, tylko Kuba. Zdrobnienie zupełnie nieuzasadnione w takiej oficjalce, w branży finansowej niedopuszczalne. Ale w artystycznej już się zdarzało. Taki Wojtek Smarzewski. Dziennikarz to artysta? Chyba jednak nie, powinien być poważny, rzetelny, wyważony, sumienny i na poziomie. Są jeszcze tacy dziennikarze? Są dziennikarze, którzy mogą grać rolę autorytetów, wzbudzać szacunek, zyskiwać posłuch i uznanie?

Adam nacisnął przycisk WSTECZ i wybrał numer Natalii.

– Spakowana?

– Adam, posłuchaj...

– Nie ma czasu na wyjaśnienia. Powinnaś być już w drodze na lotnisko.

Natalia milczała.

– O co chodzi? – zapytał spokojnie.

– Nie zamierzam wyjeżdżać.

– Posłuchaj, Natka...

– To ty posłuchaj. Ostatnie pół roku to jakiś koszmar. Prawie nie ma cię w domu, a jak jesteś, ciągle rozmawiasz przez telefon, nie mówisz, co się dzieje, nie opowiadasz o niczym, po czym nagle dzwonisz, każesz nam zostawić całe życie i wyjeżdżać. Tak się nie da.

– Mam kłopoty.

– Wszyscy mamy, ale to nie znaczy, że trzeba od nich uciekać.

– Od tych trzeba.

– Dzieci dziś pytały, czy tacie na pewno nic nie jest. Nie poznają cię. Nie poznają tego wiecznie spoconego, roztrzęsionego mężczyzny, który wciąż zerka przez ramię, w oknie szuka szpiegów, wyciąga baterię z telefonu, a jak przez niego rozmawia, to mówi szeptem, skrótami i szyframi, zasłaniając dłonią mikrofon i usta. One mają tu swoje życie, przyjaciół. Wiesz, że Magda ma chłopaka? Niby nic poważnego, ale ma. Mówiła ci?

– Nie.

– Widzisz. Nie dostrzegasz takich rzeczy, bo spiski przesłoniły ci wzrok. Twoje życie trafiło do jakiejś powieści szpiegowskiej, zaraz pewnie wejdzie do filmu z Bradem Pittem. Benicio del Toro przystawi ci spluwę do głowy i zapyta, dlaczego robisz w konia Salmę Hayek.

– Wolę Javiera Bardema – wtrącił.

– Będziesz uciekał przed mafią i służbami specjalnymi – ciągnęła niewzruszona – a na końcu uratuje cię jakiś dziennikarz...

– Z dziennikarzami też mam kłopot – mruknął.

– To może nikt cię już nie uratuje. Ale to nie jest nasze życie. Ja mam swoją galerię, Magda chłopaka, Romek sekcję dżudo i zespół taneczny. Nasze życie jest za mało filmowe, by je porzucać i ruszać na podbój Hollywood. Chcesz, wyjeżdżaj, ale bez nas.

– Natalio...

– Posłuchaj... nie mogę tego zrobić. Po prostu nie mogę. A ty... Zmieniłeś się, Adam, bardzo się zmieniłeś.

– Natalio... – Nie wiedział, co ma powiedzieć, więc idiotycznie zaczynał zdanie, wcale



nie zamierzając go skończyć.

– Jak wrócisz do domu, to porozmawiamy.

– Nie rozłączaj się, proszę, tylko się nie rozłącz...

Natalia przerwała połączenie i nie odebrała, gdy Adam próbował jeszcze dwukrotnie się do niej dobić. A więc to tak. Tak wygląda koniec, sytuacja, gdy człowiek dociera do ściany płaczu. Cały świat jest przeciwko niemu i pozostaje mu tylko droga nad przepaść. Żadnego skrzyżowania? Szansy?

Jak to się mogło stać? Przecież szło tak dobrze, jeszcze kilka miesięcy temu byli ciągle na górze i odfajkowywali kolejne sukcesy...

Boże, tak po prostu mnie zostawiasz?

Boże...

Wierzyłem w Ciebie, a Ty... Że niby wierzyłem tylko, gdy miałem interes? To nieprawda. Może gdzieś daleko w myślach pojawiały się te czarcie wiję, ale nigdy Cię nie zdradziłem. Dobro zwyciężało. Moje dziesięć przykazań. Zawsze odmawiane z ręką na sercu. Z miłością. Pozwolisz, żeby teraz zwyciężyło zło?

Trzysta milionów.

Nie wziąłem tych pieniędzy. Nikogo nie okradłem, nie oszukałem. Moja firma to nie żadna piramida finansowa, tylko normalny, zdrowy biznes. Z najwyższej półki. Perspektywiczny, ułożony, czysty. Efekt wielu lat pracy i starań. Mozolnie budowana marka, prawdziwy sukces, a nie wirtualna bańka mydlana. Branża finansowa wcale nie jest taka, jak myślicie, wcale nie jest taka bez skazy, ale wciąż daje podstawy do zaufania. Można mi ufać.

To gdzie pieniądze? Co się z nimi stało?

A skąd mam wiedzieć? Jak przebiję się przez księgi, to może znajdę przyczynę, odkryję nieścisłości, ujawnię błąd. Dlaczego nie zrobiłem tego wcześniej? Próbowałem walczyć. Od miesięcy próbowałem. Ostatnie pół roku to była jedna wielka wojna. Ale nikogo nie oszukałem. Nikomu niczego nie ukradłem. Naprawdę nie wiem, jak to się stało z tymi... księgami.

Tajne konta?

Nie mam tajnych kont.

Urzednicy?

Nie korumpowałem urzędników.

Sędziowie? Będziesz miał ich po swojej stronie?

Wierzę w sprawiedliwość.

Naprawdę?

Nie śmieję się. Wierzę. Nie zaprzedałem się szatanowi. Prawda musi zwyciężyć, pokonać zło.

Trzysta baniek.

– Halo, co pan tak stoi, jakby chciał rzucić się pod pociąg? Nic panu nie jest? W porządku?

Starszy człowiek, sympatyczny z twarzy, brodacz, tweedowy płaszcz, szalik, garnitur, krawat, teczka, w ręku książka. *Wybraniec* Tomasza Manna. Wydanie chyba jeszcze pamiętające komunę. Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty albo siedemdziesiąty któryś. Żółty papier, okładka jak z zeszytu do techniki. Surowa, bez żadnych wodotrysków. Maleńka książeczka z drobnym drukiem. Maleńka, a jaka wielka! Dla niektórych najlepsza, jaka kiedykolwiek powstała. Niesamowite, żeby spotkać tak w metrze człowieka, który akurat trzyma twoją ulubioną książkę. Lepiej pasowałby tu Goethe z *Faustem*.

Same cuda dzisiaj.

Stacja metra Marymont. Metro, mamy metro. Po tylu latach. A ten gość pyta, czy na pewno nie chcę się rzucić na tory? Nie, proszę pana, nie chcę. Mam zbyt dużo książek do przeczytania.

– Długi? Wygląda pan, jakby miał za duże długi. – Nieznajomy się uśmiechnął. – Mnie dziś podnieśli procent, też będzie ciężko spłacać, ale naprawdę nie ma się co martwić. To tylko pieniądze.

– Tak, tylko pieniądze.

– Dużo pan jest winny?

– Trzysta.

– Tysięcy? O, to sporo.

– Milionów – odrzekł z uśmiechem Adam. – Całe trzysta milionów.

Wybraniec nie mrugnął nawet okiem. Przełknął słowa, mlasnął jęzorem i wycedził:

– Żartowniś z pana. O, mamy kolejny pociąg, jedzie pan?

– Nie.

Tamten zawahał się, czy na pewno może bezpiecznie odejść, w końcu machnął ręką. Usiadł przy oknie i otworzył książkę. Już go nie było. Wsiąkł w pierwsze zdanie, a potem popłynął. Obyś nie minął swojej stacji. Raptem spojrzął w okno i wtedy Bonar poczuł, jakby patrzył na niego sam Bóg. Mądry, sprawiedliwy obserwator. Ja nie jestem od tego, by przeżyć życie za

ciebie, wyręczyć cię w odpowiedziach na pytania, rozwiązywaniu zagadek, usypianiu dylematów. Nie jestem przewodnikiem. Dałem ci życie, szansę. Wykorzystasz ją albo nie. Nie uratuję cię, jeśli sam tego nie zechcesz, tak jak nie pchnę pod ten pociąg. Otworzył usta i powiedział coś bezgłośnie, co w oczach Adama zamajaczyło jak: „Wróć na górę, synu, i rób, co należy. Wróć i działaj. Nie poddawaj się. Najgorsze to się poddać”.

– Nie ma obawy – odparł Adam. – Zszedłem tu tylko, żeby zadzwonić.

Tak, nie podda się. Nie jest z tych, którzy godzą się na porażkę bez walki, składają broń, trzęsą portkami przed pierwszym gongiem.

Spojrzał na telefon. Dziwna myśl – ktoś mu kiedyś powiedział, że w metrze nie ma podsłuchów. Pewnie to bzdura, ale właśnie dlatego tu zszedł. Skoro na stacji jest zasięg, a to obiekt szczególnie chroniony, to pewnie i podsłuchy są, nawet lepsze. Może właśnie o to chodzi, żeby rozpuszczać fałszywe wieści. Nie ma podsłuchów, jest bezpiecznie. A tak naprawdę jest dokładnie odwrotnie.

Wyszedł z metra i ruszył do pozostawionego opodal lincolna. Lubił oryginalne auta. Samochód wiele mówi o człowieku. Co mówił o nim? Równie drogi jak luksusowy merol czy audi, a przy tym niewygodny, za duży, niedostosowany do polskich dróg. Za miękkie zawieszenie. Słaby jak na klasę auta i ciężar silnik o mocy „zaledwie” dwustu trzydziestu paru koni. Żłopiący bez żadnego wstydu czteroipółlitrowy silnik V8. Po co tak się męczyć? Efekciarski? Może i tak, ale zupełnie niepraktyczny.

Taki właśnie jesteś, Adam. Efekciarski i niepraktyczny.

Tak powiedział o nim kiedyś ten gość od autostrad, który namawiał go na superdeal. Dwa podpisy, zero pracy, czysty zarobek. Jakieś sto milionów zysku. Potem można je włożyć w nieistniejące dostawy procesorów, wyeksportować do Niemiec i zawnioskować o zwrot VAT. Kolejne dwadzieścia baniek na koncie. Przy dobrej kreatywnej księgowości zrobimy inwestycję na Cyprze i kupimy sobie dwa pełnomorskie jachty. Widział pan, panie Adamie, jaki jacht strzelił sobie Buczek? Sześćdziesiąt baniek. Dolarów. Tyle jest wart. Nie to co jakaś tandeta Rozwadowskiego z wyprzedaży. Trzydzieści osób załogi na utrzymaniu. Dwa silniki, pokład widokowy z szybami na morskie dno, a nawet miniaturowa łódź podwodna do zwiedzania raf. Ten to ma rozrzut.

– To nie Buczek – zaprotestował Bonar.

– Jak to nie Buczek?

– Jacht, o którym pan mówi, nie należy do Buczka. Zresztą... nieważne.

Buczek to inna klasa rozgrywek, nie dla pana. Nie robi przekrętów na fikcyjnym eksporcie czy beczelnych piramidach. Międzynarodowe operacje, browary, służby specjalne i polityka. Takich graczy zaprasza do stołu. A teraz chce kupić polską chemię. Ale nikt mu jej nie sprzeda, bo boją się, że odda Ruskim.

A może się mylę i przestali się bać?

Politycznych samobójców na razie brak, ale kto wie, co będzie na dzień przed wyborami... kto wie. A widział pan willę Janukowycza? Zbudował sobie, drań, zoo. Wyobraża pan sobie? Prywatne zoo. A jak uciekał do Rosji przed Majdanem, to kilka ciężarówek wywoziło zagrabione narodowi dobra. Uciekał jak szczur, jak okupant przed wojną ojczyźnianą.

– Prowadzę czyste interesy – odpowiedział wtedy Adam gościowi od autostrad.

– Tak? To co pan tu robi?

– Chciał pan wymienić flotę? Czyż nie?

– I myśli pan, że to będzie czysty deal? Altruista się znalazł. Ech, panie Adamie, to nie jest kraj dla pana. Tu nie robi się czystych dealów, bo one przyciągają skarbówkę. Człowiek uczciwy to u nas ryzykowny partner. Uczciwość oznacza kłopoty. Osoba podkreślająca swoją uczciwość zwykle ma więcej za uszami niż ktoś taki jak ja, co nie owija w bawełnę. Ja, panie Adamie, nie jestem uczciwy, jestem zwyczajny.

Bonar tylko pokiwał głową.

– A pan? Jest pan uczciwy czy zwyczajny? A może tylko odrobinę stuknięty, żeby omijać takie wspaniałe, proste, pewne kontrakty?

Chyba jednak jestem stuknięty.

Ile takich prostych ofert muszę odrzucić, by w końcu to zrozumieć?

Wsiadł do samochodu i ruszył w kierunku Bielan. Światła odbijały się od przyciemnionej szyby, nie oślepiając go. Lusterko wsteczne też miało funkcję „non-oślepiacza” i dostosowywało się automatycznie do warunków na drodze. Zatonął w wygodnym fotelu, automatycznie zapinane pasy opłoty go jak ramiona robota, podgrzewana kierownica prowadziła się sama, systemy utrzymywania toru jazdy i reagowania na niebezpieczeństwa praktycznie przejmowały kontrolę, usypiając nie tylko czujność. Przez chwilę miał ochotę zasnąć naprawdę i już się nie obudzić. Zacisnął mocno dłonie na wielkiej kierownicy i przygryzł język, żeby opanować narastające zmęczenie i senność.

Sen oznacza śmierć, jak w jakimś horrorze. Chcesz zostać śpiącym zabójcą?

Wyłączył tempomat i nacisnął pedał gazu. Dwutonowy potwór błyskawicznie nabrał

prędkości, czego nie dało się odczuć w kabinie. Potężny silnik mruczał łagodnie i przyjemnie dla ucha. Trzydzieści litrów ruskiej benzyny wyparowywało w ślad za pełzającym w milach licznikiem.

I ty chciałeś zostawić to cudenka? Tak po prostu uciec bez walki? Z Natalią, a nawet bez niej. Gotów byłbyś ją zostawić? Ją i dzieci? Naprawdę byś to zrobił?

Nie, nigdy poważnie nie myślał o ucieczce. Chciał tylko ochronić Natalię, Magdę i Romka. Tylko ich chronić. Gdyby byli bezpieczni, on mógłby skupić uwagę na... problemach. A tak? Nie wiadomo. Nie wiadomo, co będzie dalej. No, przecież cię nie zabiją... To nie Rosja czy Ukraina. Nawet jeśli to nie kraj dla ciebie, to daleko mu do standardów Konga.

A może jednak nie?

Minął ostatnie budynki warszawskich peryferii i wjechał w leśną drogę prowadzącą do bogatych willowych miejscowości położonych w Kampinosie. Otworzył obie szyby, wdychając ostrą woń świerków i nawilżonego ostatnimi deszczami mchu. Zwolnił, delektując się klimatem jak z powieści Kinga. Tuż za Laskami skręcił w prawo, w kierunku ośrodka botanicznego. Niewielką wybrukowaną dróżkę prowadzącą w głąb lasu łatwo było przeoczyć. Zwykle jego goście mijali znak ostrzegający przed dzikimi zwierzętami i dzwoniли do niego, dopytując: „No, i gdzie ten twój dom?”. „Przecież mówiłem, że zaraz za znakiem”. A i tak się mylili. I tak musieli się cofać, czasem dwa razy.

Lincoln wpłynął w dróżkę, ledwie się w niej mieszcząc, bokami ocierając o gałęzie.

Dobry lakier, nie ma obaw, że się zarysuje – pomyślał. Możesz rzucić kamieniem, a ten tylko się odbije, nie pozostawiając nawet rysy. Taka jakość. Bo niektórzy wciąż idą pod prąd i stawiają na jakość. Wierzą, że sprzedawać należy wartość, a nie miraż.

Świat schodzi na psy, ale to nie znaczy, że wszyscy mamy być wałami. Każdy łobuz w pewnym momencie będzie musiał zapłacić za wyrządzone zło.

Przystanął przed bramą, uruchomił pilotem silniczki przesuwające skrzydło kratownicy i wjechał na podjazd przed czterystumetrową willą. Przeprowadzili się do niej dokładnie rok temu, po trwającej blisko pięć lat budowie. Dowód osiągnięcia wyższego statusu społecznego. Dowód sukcesu.

A teraz? Wszystko to mógł zostawić lub stracić. Nawet jeśli nie zostawi, to pewnie i tak mu zabiorą. W tym kraju tylko mafiosi zachowują majątki, ich pieniądze są nie do ruszenia. Jeśli jesteś uczciwy, to choćbyś na każdy fant miał papier, nie będziesz bezpieczny. Mogą ci zabrać ostatnią złotówkę.

Sądy, złodzieje, politycy, banki.

Tak, nawet banki. Niby twoi przyjaciele, zaufani powiernicy. A tak naprawdę pijawki i pasożyty.

Może to one są najgorsze, bo wszyscy pozostali od początku stają po stronie ciemności, dobrze wiesz, że nie zasługują na zaufanie. Z bankami powinno być inaczej.

No i z prawnikami.

– Nawet im nie możesz ufać – przestrzegł go ostatnio przyjaciel, któremu postanowił się zwierzyć z problemów.

Gdy wchodził do domu, miał wrażenie, że oni już tu są. Wszyscy. Szpiedzi, prokuratorzy, sędziowie, prawnicy, bankierzy. Czekają. Obserwują go. Oplatają siecią niewidzialnych macek, sensorów i czujników. Słyszą i zapisują każde słowo. To wypowiedziane i to tylko wymyślane. Potrafią zakraść się tak głęboko, przywrzeć parzydełkami do mózgu i chłonać impulsy, smaki, zapachy, barwy.

Już im się nie wymknie. Już do nich należy.

Natalia siedziała w salonie i wpatrywała się w ogień w kominku. Na stoliku stała butelka campari. Dawno nie piła campari. Kiedyś to był ich tajemny znak. Gdy chcieli się kochać. Dawno temu. Ostatnio dawali sobie zupełnie inne znaki.

Nie zatrzymała go, gdy ruszył do schodów i jak zwykle w skarpetkach wspiął się na piętro. Na palcach, najciszej jak umiał. Magda spała. O tej porze? Była dopiero dwudziesta trzecia. Piętnastolatka śpi o tej godzinie? A może tylko udaje, nie chce z nim rozmawiać... Dziewięcioletni Romek spał na pewno. Nie potrafił jeszcze udawać, a sen miał tak mocny, że można byłoby go przenieść na rękach do innego pokoju i by się nie obudził. Adam wspomniał, jak na sylwestra próbowali mu pokazać sztuczne ognie, i uśmiechnął się pod nosem. Nieźle się wtedy ubawili, a biedak nie miał o tym pojęcia. Otworzył oczy dopiero rano, z wielkimi wyrzutami, szczególnie wobec siostry. Miałaś mnie obudzić. Obiecałaś. A przecież zawsze dotrzymujesz słowa. Tak, mimo sześciu lat różnicy, mimo całego strachu, że nie znajdą wspólnego języka, nie było między nimi żadnych wielkich tarć. Może dlatego, że to Magda była starsza, mądrzejsza, bardziej odpowiedzialna.

Jego rodzina. To była jego rodzina. Udana, wspaniała, wymarzona. Nierozzerwalny element sukcesu, który odniósł. Wyśnione życie, tyle że prawdziwe, namacalne. Za swoją rodzinę, za to, do czego doszedł, był gotów oddać życie.

Nie podda się, będzie walczył.

Wrócił do salonu, podszedł do barku, nalał sobie szklanekę żółtego bimbrowego udającego szlachetny trunka i usiadł naprzeciwko żony.

– Przepraszam – szepnął. – Zmienię się.

Skinęła tylko głową i dopiła campari. Chyba chciała wstać i wyjść, ale chwycił ją za ramię.

– Poczekaj.

– Na co?

– Chcę porozmawiać.

– Cmoknęła ze złością.

– Na pewno? I opowiesz mi, co się dzieje?

Zawahał się. Nie, lepiej, żeby nie wiedziała. Mógł skłamać, ale prawdy nie powinien mówić. Nie teraz. Tyle że... nigdy dotąd nie kłamał. Nigdy jej nie oszukiwał. Jeśli rzeczywiście nie musiał.

– Tak myślałam. – Uwolniła się i ruszyła na górę.

Został sam. Tylko on, brandy i nieustająca gonitwa myśli.

Zimny przeczesał palcami przydługie, nierówno przystrzyżone włosy, skasował ostatni akapit tekstu, w którym zbyt emocjonalnie skrytykował Bonara, i przygryzł mocno wargę, starając się dobrać właściwe do sytuacji słowa. Nie było to łatwe. Co prawda temat wydawał się oczywisty, fakty niezaprzeczalnie pogrążyły szefa Selacu, jednak jak zawsze miał wątpliwości.

Przecież nic nigdy nie jest czarno-białe.

Łatwo kogoś skazać, oczernić, mieszać z błotem. Nawet jeśli ten bronił się źle albo unikał pytań, Zimny miał wątpliwości. Powód: z jego doświadczeń wynikało, że prawdziwi dranie mieli zawsze gotową odpowiedź, świetnie przygotowane alibi, pozornie wiarygodną, gładką historyjkę, która wszystko tłumaczyła. Na pierwszy rzut oka ciężko było rozpoznać tkwiące w nich zło.

Przypomniał sobie człowieka, z którym prawie się zaprzyjaźnił, a który później ukradł z giełdy inwestorom sto milionów ich oszczędności i uciekł do USA.

Tamten klient miał na każdy zarzut przekonującą odpowiedź. W każdej sytuacji.

Nawet już po wydaniu listu gończego, gdy Zimmemu udało się skontaktować z nim telefonicznie, upierał się, że prokuraturze musi chodzić o zupełnie innego człowieka.

– Kuba, ty tak poważnie? Siedzę sobie na basenie w LA i popijam tequilę. Jest ze mną Saara May. Pewnie znasz ją z MTV. Zapewniam cię, że prywatnie też nie nosi bielizny... Wpadnij, napijemy się razem. Nie wierz tym, którzy próbują cię wpuścić na minę, chłopaku. Ja i przekręty? Znasz mnie, naprawdę wierzysz, że mógłbym zrobić jakiś przekręt?

Wykiwał mnie i innych – pomyślał Kuba.

A Bonar wciąż pozostawał dla niego zagadką. Gdyby był winny, miałby przygotowane alibi. Gdyby z premedytacją ukradł te trzysta baniek, coś by wymyślił. Jaki problem? Trzysta milionów mogło się znaleźć w celowym funduszu albo być jakąś tajemniczą inwestycją.

Dobrze, powiem panu, ale tylko w tajemnicy – powinien rzec Bonar. Kupiliśmy złoża diamentów w RPA. Albo pola naftowe w Kazachstanie. A może kopalnię miedzi... Nie? Miedź nie jest w modzie. Ropa też się źle kojarzy? To pewnie wydaliśmy na projekt odkurzacza kosmicznego. Nie wie pan, że to bardzo potrzebne i perspektywiczne urządzenie? To pewnie o autostradach powietrznych też pan nie słyszał...

Gdyby Bonar rzeczywiście ukradł te pieniądze, mógłby na tysiączne sposoby, mniej lub bardziej wiarygodne, wyjaśnić zagadkę ich zniknięcia. Podpalić stos gotowych, sprawdzonych



kłamstw i puścić w świat sygnały dymne.

Coś tu nie grało. Mocno nie grało.

Ponownie otworzył teczkę z dokumentami i pokręcił z niedowierzaniem głową. Tak, teoretycznie sprawa była prosta. Zarzuty, wyjątkowo dobrze uargumentowane, nie opierały się na anonimach, tylko na oficjalnych raportach i wyciągach z konta firmy. Nie powinien ich mieć, ale miał. Rzeczona trzysta milionów widniało w jednym raporcie, a w jego kopii, która potem stała się oryginałem, już ich nie było, na co wyraźnie zwrócił uwagę audytor w niejawnym jeszcze dokumencie do wiadomości zarządu, pisząc, że w sprawozdaniu nie zostały prawidłowo uwzględnione proporcje kosztów i przychodów.

Manko na trzysta milionów. Udokumentowane. Jednoznaczne.

Dziennikarze często „docierali” do akt i tajnych dokumentów i wcale nie dbali o to, że prawie zawsze są manipulowani, bo ktoś im daje te kwity nie z uczciwości i przejęcia społecznym wymiarem sprawy, tylko żeby ustawić tekst pod własne oczekiwania.

Tak było i w tym przypadku, ale czy powinien się tym przejmować? Ważne, że po raz kolejny miał materiał, który mógł poruszyć całą giełdę i opinię publiczną. Wystarczyło kilkadziesiąt zdań, by ostatecznie rozprawić się z oszustem Bonarem i jego firmą o przedziwnej, niezrozumiałej dla nikogo nazwie Selac.

Więc dlaczego się wahał?

Po chwili sięgnął po telefon.

Naczelnny dziennika „Tylko Prawda” odebrał po drugim sygnale.

– Świetny materiał, Kuba – pochwalił. – Piękna, logiczna argumentacja i bardzo dobry opis dowodów. Bonar nie ma gdzie uciec, nie będzie mógł się do niczego przyczepić. Pierwsza klasa.

– Staralem się – mruknął Kuba.

– Widać. Naprawdę dopracowany tekst. Postawiłem na właściwego konia.

– Dzięki.

– Z czym dzwonisz?

– Mam wątpliwości, co do tego komentarza, o który prosiłeś.

– Wątpliwości? Jakie?

Kuba już wcześniej układał sobie w myślach, jak to powinien rozegrać, choć i tak wiedział, że słowa zabrzmiały sztucznie, mało klarownie, bo nie był dobrym mówcą.

– Wiesz, nie jestem publicystą. W reportażu piszę o faktach, konfrontuję źródła i wychodzi

materiał. Publicystyka to nie dla mnie. Tu trzeba...

– ...jasno powiedzieć, kto ma rację, kto jest winny i kto udaje świętego – dokończył naczelny. – Ty to już powiedziałaś. Pozostaje tylko postawić wykrzyknik i podsumować drania.

– Nie chcę nikogo oceniać, to nie moja rola.

Naczelny milczał sekundę, może dwie.

– Masz wątpliwości? Uważasz, że Bonar jest wrabiany? Kto miałby to robić?

– Nie wiem, ale nie o to chodzi... Ja...

– Napisz o tym. Nie oczekuję jednoznacznego wyroku. Pisz, co chcesz.

No tak, wiedział, że tak to się skończy. Jeśli nie umiesz powiedzieć czegoś wprost, odmówić, postawić na swoim, to choćbyś nie wiem jak kogoś przekonywał, nic nie zdołał. Przecież to jasne: zamiast samemu zdecydować, próbujesz zepchnąć to na innych. Przerzucić odpowiedzialność. Tak trudno powiedzieć „nie”?

– Kiedy nie potrafię. – Podjął ostatnią próbę i już bez owijania w bawełnę, oświadczył: – Chciałbym, żebyś zdjął mój felieton ze szpigła.

– Niemożliwe. Musimy to jakoś skomentować. Kilka miesięcy temu daliśmy temu człowiekowi nagrodę dla przedsiębiorcy roku, a teraz oskarżamy go o oszustwa. Nie możemy tego przemilczeć. Sprawa wymaga komentarza.

– Sam go napisz.

– Chcę twojego.

Kuba napiął mięśnie i syknął:

– Nie będzie go.

– Będzie, będzie. Nie ma co gadać po próżnicy – zakończył naczelny, bąknął coś jeszcze na pożegnanie i zerwał połączenie.

Cholerny świat – pomyślał Zimny – no to jestem ubrany, nie wymknę się.

Odsunął fotel od biurka, by z większej odległości spojrzeć na zdjęcie Bonara.

Wysoki, szczupły, przystojny mężczyzna. Uroda trochę południowa, kręcone włosy, zapadnięte policzki, gładka, lekko szarawa twarz, nieco odstająca, twarda szczęka, cienka, arystokratyczna skóra, pod którą widać żyłki toczące dawniej błękitną krew, dziś pewnie wymieszaną z czynnikami wywrotowymi, ale wciąż z przeważającym pierwiastkiem władzy i siły, inteligentne oczy, kultura w całej postawie, obliczu, gestach, ruchach.

To nie była gęba drania. A mimo to rąbnął swoim klientom trzysta baniek, no bo jak inaczej

wytłumaczyć fakty, które Zimmemu przekazano i którym, jakkolwiek by było, bohater tekstu nie zaprzeczył? Miał świat u stóp, był nagradzonym skurwysynem, pierdolonym bogaczem, który w każdy weekend mógł wylatywać luksusowym samolotem na spacer dookoła globu, a wciąż było mu mało. Nagrody, wyrazy uznania, pewnie mnóstwo chętnych dziewczek w perłowym jacuzzi. A on to po prostu przekreślił, kradnąc trzysta baniek.

Luksus psuje. Bogactwo zniewala. Sprawia, że człowiek przestaje dostrzegać granice, zatracą poczucie przyzwoitości, jeśli w ogóle o niej pamięta.

A może od razu taki był plan? Taka strategia? Omamić, pokazać, jacy to jesteśmy wspaniali i prężni, a tak naprawdę od początku do końca przygotowywać oszustwo stulecia.

Trzysta milionów to nie rekord. Co najmniej trzech poprzedników ukradło więcej.

Niejednego też niesłusznie oskarżono.

Holdner... Zawsze gdy Zimny myślał o swoich błędach, wracało to nazwisko. Andreas Holdner – niemiecki makler, któremu zarzucił fałszerstwa giełdowe i którego oczernił w tekście. Potem musiał go przeprosić, choć wcale nie był pewien, czy zrobił to z poczucia winy, czy dla własnego bezpieczeństwa. Wziął drania za oszusta, a potem się okazało, że to nie jest takie proste.

Bonar różnił się od niego, ale i tak Kuba poczuł *déjà vu*.

A sprawa Maciarza, która kilkakrotnie wracała do niego rykoszetem, by wreszcie zakończyć się w sposób całkowicie nieoczekiwany? Historia ministra zdrowia, generała, którego niesłusznie oskarżył o korupcję, urzędnika z agencji rolnej, którego intencje zinterpretował niewłaściwie... Sprawy wracały co noc. Pełzały po nierównych ścianach, zwisały z sufitu jak upiorne czarne macki.

Nie był święty. Jak każdy popełniał błędy. W wielu przypadkach nie miał racji, przynajmniej nie do końca.

A teraz? Bonar przecież nie wyglądał na bandziora. Ale czy złodziej wygląda na złodzieja? Szczególnie złodziej wyższej klasy? Przecież wtedy nikomu nic by nie ukradł.

Ech, Bonar, gdybyś choć chciał się bronić, wytłumaczyć. Ale ty, jak ten przeklęty Holdner, wolisz o sobie przeczytać, a potem pewnie zadzwonisz i powiesz, że straszny ze mnie kutas. Nie będziesz już pamiętał moich propozycji. Liczy się tylko to, co widzimy, i efekty. A puenta nie wygląda za ciekawie. Dobrymi chęciami jest piekło wybrukowane, czyż nie?

Ileż razy to przeżywałem! – mruknął pod nosem. Zostawało głęboko w duszy, gryzło sumienie, nie pozwalało na wyrzucenie błędów z pamięci. Gdy twoje działania decydują

o czyimś życiu, nie wolno popełniać błędów. A jeśli się je popełni, trzeba naprawić.

Zaczął się kilka tygodni temu, niedługo po tym, jak naczelny „Tylko Prawdy” zadzwonił do niego, proponując pracę freelancera.

– Nic szczególnego, ale w twojej sytuacji, Kuba, pewnie trochę pomoże.

Jasne, że pomogło. Od dawna nie miał konkretnych pieniędzy obiecanych w ramach płatnego co miesiąc ryczału, nie mówiąc już o etacie. Dziś w mediach dziennikarzom nie daje się etatu. Są popychadłami – łatwymi do wymiany, niezbyt cennymi i szybko zużywającymi się częściami coraz mniej niezawodnej maszyny.

„Płatności? A to wy nie pracujecie dla idei? Nie najecie się słowami? Naprawdę nie wierzę” – powiedział mu kiedyś żartem jeden z prezesów medialnego koncernu, wsiadając do luksusowego audi wypożyczonego przez koncern samochodowy w zamian za artykuł sponsorowany, którego nawet tak nie oznaczono, bo po co traktować czytelnika fair? Niech ciemny lud wierzy, że media zamieszczają obiektywne materiały o sukcesach swoich partnerów biznesowych. My mamy z tego naprawdę niezły ubaw, ha! Tylko ten przeklęty internet kipi potem od memów i rozżalonych głosów tropicieli spisków.

Naczelny „Tylko Prawdy” sprawiał wrażenie innego. Mniej goniącego za kasą, bardziej dbającego choćby o pozory rzetelności. Sam wcześniej był niezłym dziennikarzem i tak poznali się z Kubą. Zimny miał przeczucie, że powinien mu zaufać. Jeśli coś będzie nie tak, zawsze może zrezygnować.

– Regularna kasa, Kuba – zanęcił naczelny. – Koniec problemów z kredytami.

– Nie mam kredytów – uśmiechnął się Kuba i szybko dodał: – Na sushi też nie potrzebuję.

– Za to szklaneczką Jacka Daniela nie pogardzisz, prawda?

Naczelny długo opowiadał mu o „Tylko Prawdzie”, dzienniku z ambicjami, który stawia na dziennikarstwo śledcze, analizy, kolumny prawne i biznesowe, oraz o szwedzkim inwestorze Johanie Lindlu, założycielu funduszu wspierającego media lokalne w krajach słabych demokracji, gdzie panoszy się sprzyjająca korupcji i kumoterstwu zasada trzech małpek.

W Europie Środkowej i Wschodniej Lindl powołał już do życia dziesięć gazet, żeby krzawić idee obiektywnej, niezależnej, społecznie zaangażowanej żurnalistyki spod znaku Stiega Larssona i wymyślonego przez niego Mikaela Blomkvista. Pewnie dzięki temu odniósł duży sukces.

„Millennium” było co prawda fikcyjnym tytułem, a bohater został wymyślony, ale

międzynarodowy sukces powieści sprawił, że tego typu dziennikarstwo stało się modne i cenione. Ludzie chcieli kupować gazety, które ich nie okłamują. Które działają rzeczywiście w interesie publicznym, a nie wyłącznie dla poklasku i kliknięć w szokujące tytuły. Które nie podążają tylko za zapachem pieniędzy.

– Robiąc coś dobrego, także można osiągnąć niezłe dochody.

– Nie mam zbyt pozytywnych doświadczeń ze skandynawskimi inwestorami – powiedział ostrożnie Zimny.

Kilka lat wcześniej pracował dla „Expressu Finansowego”, biznesowego dziennika z grupy potężnego duńskiego koncernu medialnego Bernstein Business. Skończyło się konfliktem z szefostwem, które pozostawiło Kubę na lodzie w sporze z maklerami z KDI. Jego były pracodawca nawet zaangażował się po stronie przeciwnika, pisząc wspierające go, mocno naciągane artykuły.

Ludzie, z którymi Kuba pracował przez wiele lat, którzy byli dla niego rodziną, okazali się zdrajcami i kłamcami. Okłamywali też czytelników.

– Szwedzi to nie Duńczycy.

– Tak, wiem, mają droższą wódkę i dlatego zalewają w weekendy Kopenhagę, pijąc na umór.

– W kwestii picia nie jesteś autorytetem moralnym.

To prawda, Kuba pił zdecydowanie za dużo, może nawet był alkoholikiem, ale nikogo nie krzywdził. Upijał się na wesoło, a nie na smutno, nie awanturował się, nie pokazywał, kim to on jest, nie demolował samolotów, nie bił przechodniów i nie wyzywał celników. Ba, nawet nie gwałcił prostytutek. Wiele różniło go od polskich posłów do Parlamentu Europejskiego.

– Chcemy dobrych, odważnych tekstów na każdy temat, mamy bezpieczny budżet i zapewnione finansowanie na co najmniej rok. U nas nie będzie problemów z płynnością.

Zimny w to nie wierzył. Dziś każdy ma problemy, a etyka zwykle ustępuje z czasem pazerności lub innym ludzkim słabościom. Nawet jeśli naczelny mówił prawdę, to ponad sobą miał jeszcze prezesów i inwestorów. Wystarczy, że Zimny zdrze z ważniejszym reklamodawcą albo naruszy jakieś zbiorowe interesy, tak jak wielu jego kolegów w innych mediach, a spór skończy się grzecznym podziękowaniem ze spuszczonej wstydliwie oczami.

Zawsze ostatecznie przegrywali z kasą i profitami. Nawet najpotężniejsze koncerny podkulały ogon i zdradzały swoich dziennikarzy, gdy to się opłacało.

Takie współczesne kurewstwo.

No, ale co mu pozostało? Szansa powrotu do ukochanego zawodu była niepowtarzalna. Gdyby odmówił, każdy mógłby mu powiedzieć: miałeś okazję i stchórzyłeś, nawet nie próbując, to teraz nie płacz, nie mazgaj się.

Zgodził się i dlatego teraz – myślał, patrząc na przygotowywany felieton – jest w czarnej dupie i musi pisać pieprzoną publicystykę, a nie tylko zwykłe reportaże.

– Zrozum, taki mamy styl – wyjaśnił wcześniej szef. – A ty dodatkowo masz już wyrobioną markę, ludzie oczekują od ciebie czegoś więcej niż zwykłych reportaży. Chcą komentarzy, porad mentorskich, oczekują, że powiesz im, jak mają myśleć. Dasz przykład, coś, co będą mogli powtarzać na przyjęciach lub komentować. Jak zabraknie ci tematu, możesz strzelić sweetfocię swojemu wackowi, a my ją opublikujemy.

– Mój wacek jest mało fotogeniczny.

– Nie bądź taki skromny. Na fotach z tej imprezy integracyjnej, gdy zacząłeś się miziać z Maciarzem, prezentuje się wcale nieźle.

Zimny poszarzał na twarzy. Nie chciał wspominać tego, co wydarzyło się po odwiedzinach w wietnamskich fabrykach Maciarza. Chciał zapomnieć o prokuratorce Ewelinie, pewnej skośnookiej mścicielce i o tym, w co wmieszał go biznesmen, którego na przemian nienawidził i podziwiał. Poczł, że coś pali go w piersi i zatyka oddech.

– Naprawdę opublikowałbyś zdjęcie penisa w gazecie? – zapytał z udawanym rozbawieniem.

Naczelny mrugnął, odszedł parę kroków, a potem odwrócił się i powiedział szeptem:

– Wiesz, gdy pracowałem w tabloidzie, nauczyłem się jednej ważnej rzeczy. Nie ma tabu. Jeśli zwiększyłoby to nakład, opublikowałbym nawet zdjęcie piczki własnej matki.

Wyraźnie wysilony, nieśmieszny żart. No, ale naczelni tak mają. Sami muszą się śmiać ze swoich żartów, a inni powinni choć udawać, że je rozumieją.

Wyższy poziom abstrakcji. Taki styl.

Tak czy inaczej, przyjął tę pracę, był tu i teraz, w redakcji „Tylko Prawdy”. Po okresie zawieszenia w zniechęconym PR-ze i nieudanych biznesowo próbach stanięcia na własnych nogach oraz tworzenia gazet internetowych, za które nikt nie chciał płacić, powrót do prawdziwej redakcji był jak skok do basenu z chłodną wodą po dłuższym pobycie w saunie.

Zimno, ale wspaniale.

Tak się czuł.

Na dodatek naczelny chyba jednak nie kłamał. „Tylko Prawda” była odważnym

dziennikiem, bez kompleksów rzucała rękawicę większym i potężniejszym mediom, pisała o sprawach, które te omijały z daleka, i potrafiła poświęcić tekstowi więcej niż pół kolumny. Nie było praktycznie żadnych limitów. Zimny mógł pisać, ile chciał. W ostateczności część materiału śledczego streszczano w wydaniu papierowym, a resztę puszczano w sieci. Za darmo, w interesie publicznym. Oczywiście gazeta publikowała też materiały sponsorowane i reklamowe, choć z tradycyjnych reklam zrezygnowała. Urządzała za to różne eventy, akcje marketingowe, konferencje, zamieszczała artykuły z lokowaniem produktów, ale Zimny ani razu nie dostrzegł konfliktu interesów czy próby nacisku na dziennikarza, by pisał coś po myśli zaprzyjaźnionej firmy.

Złapał kiedyś naczelnego.

– Nie wierzę. Gdzie jest haczyk? – zapytał.

– Nie ma żadnego haczyka.

– A jak przyniosę temat na Kulczyka?

Szef wzruszył ramionami.

– Dam ci jedynekę.

– Solorz? Krauze? Kostrzewa? Czarnecki?

– Pisz, o kim chcesz, żadnych bloków. Możesz nawet napisać o Maciarzu – mrugnął okiem.

– O nim akurat już dość napisałem.

– Muszę lecieć, Kuba. Pogódź się z tym, że to naprawdę wolna redakcja. Opublikujemy najodważniejszą teorię spisku, jeśli tylko udowodnisz, że nie jest wyssana z palca.

Temat Selacu zdecydowanie nie był wyssany z palca. Początek wziął od telefonu informatora, który nie chciał ujawnić nawet imienia, ale kategorycznie zażądał rozmowy właśnie z Kubą. Miał głęboki, niski głos, prawdopodobnie zmieniony elektronicznym emulatorem.

– Dlaczego chciał pan rozmawiać akurat ze mną?

– Udowodnił pan, że nie boi się trudnych spraw i nie odpuści. Ufam panu.

– Dobrze, spotkajmy się.

Do spotkania jednak nie doszło. Informator zwodził go, a potem otwarcie stwierdził, że zbyt obawia się ujawnienia tożsamości, więc choć ufa Kubie i wierzy, że ten go nie zdradzi nawet w sądzie, to jednak chce zachować możliwe środki ostrożności.

Kuba miał do czynienia z dziesiątkami, jeśli nie setkami szpiegów, żołnierzy, gangsterów i zwykłych wariatów, z których trzy czwarte obawiało się o swoje życie, mówiło szeptem



przez komórkę, jakby to miało ich uchronić przed inwigilacją, w każdym przechodniu widziało agenta, w gwiazdach szukało satelitów szpiegujących ich skromne osoby, a na brzęczenie komara reagowało gwałtownym wzmożeniem czujności. Bywali nawet tacy, którzy śladów zdrady i inwigilacji poszukiwali w zeszytach własnych dzieci.

Być może część miała po temu powody, za to Kuba postanowił w ogóle się tym nie przejmować. Niech sobie mnie śledzą, namierzają, inwigilują, intrygują.

Jeśli nie będę o tym myślał, nie będzie mi to przeszkadzać. Nie ma lepszej metody na teorię spisku, niż ją olać. Nawet gdy uprawiał seks, miał w nosie, czy ktoś go widzi i podsłuchuje.

– Chciałbym choć raz pana zobaczyć – powiedział jednak.

– Co to panu da? Ma pan nosa do ludzi?

– Tak mi się wydaje.

– I nigdy pana nie zawiódł?

– Może i zawiódł.

– Materiał, który chcę panu przekazać, mówi sam za siebie.

No dobrze, niech będzie – pomyślał Kuba. Będzie ostrożniejszy, ale naciskać nie ma co.

– Czego dotyczy?

– Słyszał pan o spółce Selac?

Gdzieś daleko jakiś przebłysk. Wspomnienie reklamy, może czegoś innego.

– Tak, oczywiście – skłamał, jednocześnie wpisując nazwę w Google. Po chwili czytał już informację o firmie na jej stronie i otwierał w nowych oknach linki z gazet, forów i portali. Selac: firma zajmująca się pośrednictwem finansowym, głównie w modelu b2b, „biznes dla biznesu”. – Firma leasingowa.

– Owszem – przyznał rozmówca. – Jeszcze dziesięć lat temu maleńki pośrednik finansowy, bez żadnego majątku, wpływów, udziałów w rynku zdominowanym przez banki, fundusze i rządy. Dekadę później to już jedna z czołowych w Polsce firm zajmujących się leasingiem operacyjnym. Nie brzmi podejrzanie?

– Dlaczego? Sukces jest podejrzany?

– Tak błyskawiczny?

– Czy ja wiem? Dziesięć lat to chyba jednak sporo.

– Dziesięć istnieją, jednak prawdziwy boom nastąpił dopiero po wejściu na giełdę. Początkowe pięć, sześć lat było... cóż, bardzo skromne.

– Wciąż nie widzę tematu – powiedział Kuba, klikając na artykuł z „Forbesa” o Adamie

Bonarze i jego biznesowym partnerze Sławku Mierzejewskim.

Dlaczego w biznesie tak często sprawdzają się tandemy? Choć patrząc na największych graczy, to jednak główne skrzypce grali samodzielni władcy z prawdziwie cesarską władzą. Kulczyk, Krauze, Solorz, Wojciechowski, dziesiątki innych. Wszyscy mieli menedżerów, zarządy, doradców, prawników ważonych na tony, ale to oni decydowali. Na świecie chyba było podobnie. Apple byłby niczym bez Jobsa, a Microsoft bez Billa Gatesa. Firma to najpierw autorytet twórcy i właściciela, dopiero potem rodzi się korporacja i wtedy... władca stają się procedury.

Zanim to nastąpi, na górze zawsze jest jeden człowiek.

Może więc jest tak, że kiedy przeskakujesz pewien pułap, zostajesz po prostu sam. Miarą sukcesu staje się twoja własna samotność. A może po prostu małwersanci i kanciarze działają parami, a ludzie mający wizję są samotni. Przecież tak właśnie było w KDI.

– Bo nie widzi pan tego co ja.

– To znaczy?

– Podwójnych zapisów w księgach finansowych i na rachunkach.

– Sugeruje pan, że prowadzą kreatywną księgowość?

Rozmówca wciąż nie zainteresował Kuby na tyle, by ten przerwał czytanie artykułu w „Forbesie”, który opisywał Bonara i Mierzejewskiego jako najzdolniejszych w Polsce młodych finansistów, nieustępujących w niczym złotemu dziecku bankowości inwestycyjnej, tak ostatnio lansowanemu w mediach. „Tyle że sukces tych dwóch młodych marzycieli jest znacznie bardziej wymowny i znaczący, bo osiągnęli go od zera, dysponując na początku śladowym kapitałem, bez układów i szerokich pleców, bez tatusiów i wujków w służbach specjalnych. Wielu komentatorów nie waha się twierdzić, że Bonar i Mierzejewski są żywym potwierdzeniem zmian naszej rzeczywistości i sztandarowym przykładem zwycięstwa kapitalizmu”.

Pierwsi, kurwa, kapitałiści – pomyślał Zimny i dopytał tajemniczego rozmówcę:

– Robią machinacje księgowe?

– Kreatywną księgowością wykazuje się co druga firma w tym kraju i każde ministerstwo, lepszej piramidy finansowej niż ZUS także pan nie znajdzie.

– Czym zatem wyróżnia się Selac?

Rozmówca poczekał z odpowiedzią, pewnie po to, by zabrzmiała dobitniej, i bardzo wyraźnie zakomunikował:

– Zwykłym, wręcz pospolitym oszustwem.

Oszustwem. No tak, jeśli facet potrafi to udowodnić, to temat rzeczywiście będzie z gatunku tych wyjątkowych. Podejrzenia o różnego rodzaju nieprawidłowości czy łamanie etyki były normą. Oszustwo – brzmiało znacznie bardziej atrakcyjnie.

– Właśnie czytam o nich w „Forbesie” i piszą tu, że są geniuszami rynku finansowego – powiedział ostrożnie.

– Pana gazeta napisała, że także kapitałowego – odparł z wyraźnym rozbawieniem informator. – Łatwo być geniuszem na sterydach.

– „Tylko Prawda” pisała o nich? – Od razu wstukał w Google nowe hasło.

– Więcej, kilka miesięcy temu nadała im tytuł giełdowego odkrycia i przedsiębiorców roku. Wspaniały tytuł, bardzo prestiżowy. Z pewnością pomoże Bonarowi i Mierzejewskiemu w dalszym oszukiwaniu inwestorów.

– Widzę, znalazłem – mruknął Kuba.

Twarze Bonara i Mierzejewskiego na pierwszej stronie. Przedsiębiorcy roku. Niezwykle zdolni, perspektywiczni biznesmeni. Geniusze inżynierii finansowej. W wywiadzie dla gazety Bonar mówił skromnie: „My tylko wypożyczamy samochody, dźwigi, biura, co zechcesz. Odkupujemy twój majątek i odsprzedajemy w ratach, żebyś miał kasę na inwestycje, z ubezpieczonym ryzykiem strat”.

– Czy to zmienia postać rzeczy? Wciąż jest pan zainteresowany tematem?

Kuba uśmiechnął się pod nosem. Oto nadarzał się świetny sposób na sprawdzenie naczelnego i tego, czy mówił prawdę co do strategii, wedle której nie ma świętych krów.

– Oczywiście.

– W takim razie wkrótce dostanie pan przesyłkę. Proszę nie przerazić się jej objętością. Będzie tego dużo.

– Ale o co dokładnie pan ich oskarża?

– Gdy pan przeczyta list przewodni, wszystko zrozumie. Od początku do końca.

Oszuści! Zostaliśmy oszustami, Sławek – pomyślał Bonar, patrząc ponad monitorem na wciąż czarne niebo za oknem i zastanawiając się, czy Mierzejewski zdążył uciec z Polski. Jeśli tak, spędził pewnie noc w Londynie i właśnie wylatuje do Johannesburga.

W nocy przez godzinę padał śnieg. Bonar wyszedł na balkon, żeby złapać parę płatków. Rozpływały się w dłoni. Teraz po śniegu nie było już śladu.

Czwarta pięćdziesiąt dwie – do świtu jeszcze daleko. Przynajmniej tu, w Polsce.

Kioski otwierają o szóstej, mniej więcej o tej godzinie dziennikarze rozpoczynają dyżury w portalach. Giełda rusza o dziewiątej i tak naprawdę dopiero wtedy zacznie się zadyma. Ciekawe, kiedy nasze notowania zostaną zawieszane, kiedy giełda uzna, że możemy doprowadzić do zwały na całym rynku i miliardowych strat inwestorów...

Jedna spółka, jeden zepsuty owoc, a dostanie się całemu rynkowi.

Na dodatek niedługo przed świętami. Ładny prezent.

Nie nasza wina. Czyżby? A kogo nazwano oszustem? Kto nie miał nawet tyle odwagi, by odpowiedzieć na zarzuty. Tylko winny się tłumaczy? Niewinny na pewno nie kwituje milczeniem zarzutu o sprzeniewierzenie trzystu milionów. Zgubiliście je czy ukradliście?

A jeśli ukradliście, to dlaczego jeszcze nie siedzicie? Dlaczego nie założyli wam kajdanek i nie przewieźli was na tylnym siedzeniu radiowozu z zakratowanymi oknami prosto do aresztu?

Na internetowej stronie „Tylko Prawdy” artykuł i komentarz Zimnego pojawiły się dokładnie o czwartej czterdzieści, gdyż tak był ustawiony automat w systemie zarządzania treścią CMS. Bonar był prawdopodobnie pierwszym i jedynym czytelnikiem. Spokojnie mógł się napawać swoją porażką.

Zdarzenia następowały zgodnie z przewidywaniami agencji PR-owskiej, która specjalizowała się w sytuacjach kryzysowych i którą wraz z Mierzejewskim próbowali wynająć kilkanaście godzin temu. Ale PR-owcy nie ukrywali, że nie zdołają uchronić Selacu przed publikacją i zrobić czegokolwiek w tak krótkim czasie.

– Ta bitwa jest już przegrana. Trzeba przełknąć pigułkę i ocenić, co może być dalej. A dalszy ciąg będzie na pewno.

– Jaki?

– Kolejny artykuł, żeby was dobić. Potem komentarze analityków, oficjeli, reakcja giełdy,

Komisji Nadzoru Finansowego, inwestorów, stowarzyszeń. Kto wie, czym to jeszcze może się skończyć. W odwodzie czekają urząd skarbowy, prokurator, komisje sejmowe. Jest masa powodów do następnych publikacji. Będą się pojawiały codziennie przez tydzień. Mimo że ich waga zacznie spadać i nie będą już tak widoczne jak te pierwsze, to w głowach ludzi zostanie utrwalony obraz Selacu jako spółki oszustów. Nic nie poradzimy. Na dodatek ten Zimny...

– O co z nim chodzi?

PR-owiec nie krył niechęci do dziennikarza.

– W branży go nie lubią, bo nasrał do własnego gniazda, ale zna się na rzeczy i trudno mu odmówić umiejętności. Nie zostawi tak tej sprawy. Będzie ją drążył do końca. Wyjaśniał, zadawał wciąż te same trudne pytania, aż mu pan odpowie albo go zastrzeli.

Bonar rozważał przez chwilę, czy to dobrze. Nie cenił fanatyków i furiatów emocjonalnie podchodzących do sprawy, ale w tym przypadku taki człowiek może być przydatny.

– Co radzicie?

– Przeczekać i nic nie mówić.

– Jak to?

– Nie ma dobrej obrony. Im mocniejsze będą starania, tym więcej zarzutów powtórzą media. „Prezes Selacu zaprzecza, że jest oszustem. Prezes reaguje na zarzuty. Prezes twierdzi, że jest niewinny. Prezes zapewnia, że wyjaśni sprawę”. Prezes to, prezes tamto. A czytelnik zapamięta tylko, że nad prezesem ciąży zarzut oszustwa, skoro zaś gazety tak napisały, pewnie jest to prawda. Im dłużej będzie trwać cała kampania, tym dłużej gównu będzie się do was kleić.

– Przerazające.

– Zwykły medialny mechanizm. Politycy są do tego przyzwyczajeni. Biznesmeni mniej wprawieni w takich gierkach muszą się wiele nauczyć.

Bonar w zasadzie nie był zdziwiony treścią, gdyż z pytań Zimnego mógł wywnioskować kontekst. Tylko ten tytuł go zmroził.

## JAK BONAR Z MIERZEJEWSKIM

### AKCJONARIUSZY NA TRZYSTA BANIEK PRZEKRĘCILI

No, ale czego miał oczekiwać?

Dziennikarz dostał wgląd do ksiąg rachunkowych firmy i szczegółowych informacji bankowych, na nich opierając główne zarzuty: Selac tak bardzo chciał ukryć dziwne transakcje

finansowe niezwiązane z podstawową działalnością, że dokonał przedziwnych wykreśleń i korekt, robiąc odpisy na prawie trzysta milionów złotych, które w jednym raporcie były, a z drugiego już zniknęły.

Teoretycznie tyle „ktoś” zyskał, a inwestorzy giełdowi – w tym duże fundusze emerytalne i banki – stracili. Jeśli stracili emeryci, to można powiedzieć, że my wszyscy. A pan, panie Bonar, nie chce nam tego wyjaśnić. Nieładnie. Wziął pan nasze trzysta milionów i przykładą palec do ust, jakby to mogło przejść bez echa. Nie przejdzie.

Trzysta milionów. Zimny miał na czym się skupić i wyżyć w komentarzu:

„Duża kasa, można dla niej stracić głowę. Jednak dziwię się Adamowi Bonarowi, że pieniądze zwyciężyły ze zdrowym rozsądkiem i uczciwością. Finansista o takiej renomie i tylu latach doświadczenia w wielkim biznesie nie powinien ulegać presji. Trzysta milionów, panie Bonar, czy to na pewno tak dużo? Czy naprawdę warto? – pisał. – Mówią, że bogacz kradnie tylko pierwszy milion, potem już nie musi, bo skoro ma miliony, a czasem miliardy, to po co miałby to robić? A odpowiedź jest taka prosta: bo chce więcej. Aż tak pan chce więcej, panie Bonar?”.

– Co ty wiesz – mruknął Adam, ale w sumie nie miał prawa być zły. Dziennikarz zrobił swoje. Bez specjalnej złośliwości, zacięcia, niezbyt napastliwie, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę karty, jakie miał w rękawie. Tabloidy potraktowałyby go znacznie gorzej, wyzywając od złodziei, a może nawet dopominając się linczu. Zamknąć go! Ścigać! Przykładnie ukarać złodzieja! Kiedy wreszcie skończymy z tymi oszustami?! Tak, Zimny ujawnił tylko to, do czego dotarł. A że nie zrozumiał pewnych subtelnych tajemnic ukrytych w liczbach? To już nie jego wina. Bonar miał przecież szansę to wyjaśnić.

Nie skorzystał. Dlaczego? Sam nie do końca to wiedział.

Zanim zaczniesz coś komentować, upewnij się, że znasz okoliczności, zidentyfikowałeś przyczyny, cele, poznałeś wrogów i potencjalnych przyjaciół. Oszacuj, posegreguj, przydziel do właściwych zbiorów, a potem każdy zważ i ułóż równania z jak najmniejszą liczbą niewiadomych. Dopiero wtedy zabierz głos.

Tak uczył go ojciec, prosty, twardy robotnik, który nigdy nie ulegał manipulacjom i spiskom, nie dając się wodzić za nos ani partyjniakom, ani władzom związkowym. Nie bądź mięsem armatnim – powtarzał synowi. Jeśli chwytasz za broń, to musisz być pewny, że czynisz to w słusznej sprawie. Podobnie wujek, najlepiej zapamiętany krewny z dzieciństwa. I dziadek, którego prawie nie znał, bo odszedł za wcześnie, ale który przetrwał w rodzinnej

opowieści, powtarzanej do dziś. Duży portret zawieszony w skromnym salonie mieszkania w śląskim mrówkowcu przedstawiał dziadka grającego na pianinie w kopalni podczas okupacji, co uratowało mu życie, bo niemiecki oficer nie był w stanie zastrzelić samouka robiącego transkrypcję Wagnera.

Nie pozwól, by emocje decydowały zamiast rozumu – tego zdania byli i wujek, i dziadek, i ojciec. Człowiek wygrywa nie siłą i odwagą, tylko myśleniem i determinacją.

I tego się trzymał.

Zimny – świadomie lub nie – był tylko posłańcem. Mógł okazać się wrogiem, jednak tego Bonar nie był pewien. Był za to pewien, że ani wrogowi, ani posłańcowi nie powinien dawać argumentów i broń Boże tłumaczyć, jak się będzie bronił.

Za dziennikarzem stał ktoś inny. Choć Adam wiedział, kim jest ów przeciwnik, to jednak zastanawiał się, czy w tle nie czai się ktoś jeszcze. W tych okolicznościach wyjaśnianie Zimmemu swojego stanowiska byłoby błędem. Musiał przyjąć pierwszy cios, liczyć na to, że nie zostanie znokautowany, a w kolejnej rundzie przejść do kontrataku.

A więc, prezesie Księżny, spełniłeś swoją groźbę. Złamałeś tajemnicę, żeby pogрузić Selac. Olałeś zasady i biznesową rzetelność. Wykorzystałeś naszą małą słabość, by zadać nam dobijający cios. A to dopiero początek zapowiedzianych represji. Początek wojny.

– Jeśli nie spełnisz naszych warunków, Adamie, to spodziewaj się strasznej końcówki roku – nieprzyjemny, skrzeczący głos Księżnego znów zabrzmiał w uszach Bonara. – Zabawne, z nieba trafiasz do piekła. Marzyciel, który niczym Ikar wzleciał zbyt blisko słońca. Zdecydowanie za blisko.

Bonar wstał, podszedł do okna i dotknął zimnego szkła.

To, co się działo, z biznesowej rozgrywki ewoluowało w zupełnie inną grę. Pachniało kryminałem.

– Taki jest Księżny – twierdził jeden z jego przyjaciół. – Jeśli się do ciebie przyczepi, to już na zawsze. Masz dwa wyjścia. Spełnić jego żądania i odejść albo zastosować jakiś radykalny środek czystości.

– Jak bardzo radykalny?

– Najlepiej najmocniejszy. Ostateczny.

Do diabła, nie był żadnym gangsterem. Nie był bandziorem czy drapieźnikiem wrywającym ochłapy z paszczy innego stwora uzbrojonego w potężne zębiska. Był zwykłym finansistą, człowiekiem od całek i równań. Jego praca polegała na ślęczeniu nad arkuszami

kalkulacyjnymi, a nie na rozważaniu, komu przystawić pistolet do głowy. Nie znał się na teoriach spisku i sztuce wojennej.

– Twój błąd. Biznes niewiele różni się od wojny. Jeśli ktoś ci ją wypowiada, nie możesz zwyczajnie skapitulować, bo gdy okażesz słabość, wróg natychmiast to wykorzysta.

– To nie są cywilizowane metody – odparł.

– Na wojnie nie ma reguł. Albo się bronisz, albo przegrywasz. Jak przegrasz po honorowej walce, może nawet wróg to uszanuje. Jeśli się poddasz, to zgwałci ci żonę i wymorduje dzieci, żebyś bał się jeszcze bardziej i żeby dobić cię ostatecznie. Nie potrafię wytłumaczyć psychologicznie takiej kolei działań, ale tak właśnie będzie. Broń się lub giń jak tchórz.

Nie był tchórzem. Owszem, nie potrafił walczyć. Był słabszy niż Księżny i ci, którzy za nim stali. Nie miał wpływów, nie znał się na wojnie, nie dysponował, jak przeciwnik, armią dziennikarzy.

Był sam.

Ale nie był tchórzem.

Przeszedł do pokoju Romka i długo patrzył na spokojnie śpiącego syna. Dziewięć lat życia w bezpieczeństwie, spokoju i pewności. Nadzieja na przyszłość. Mądry dzieciak, który mógłby przejąć imperium, gdyby tylko jego ojcu pozwolono je stworzyć, co jeszcze kilka miesięcy temu wydawało się takie oczywiste.

Do Magdy nie wszedł. Nastolatki mają swoje prawa i tajemnice. Nie wolno im odbierać poczucia prywatności, na którą już zasłużyły.

Natalia miała otwarte oczy. Patrzyła na niego znad lekkiej kołdry okrywającej ciało. Ramiona i piersi szczelnie zasłaniało białe płótno. Włożyła koszulę nocną, taką zupełnie nieseksowną i odpychającą, jakby chciała dać mu do zrozumienia, jak bardzo jest urażona. Nie spała.

Patrzyła w milczeniu.

Czekała.

Musiał jej powiedzieć. Nie mógł dłużej tego ukrywać. Jutro i tak zobaczy tekst w gazecie, usłyszy informację w radiu, może nawet w telewizji. Sama będzie mogła przeczytać, że... wojna właśnie się rozpoczęła. Że nadszedł trudny okres dla ich związku.

Ryzyko. Jedynie kolejne ryzyko. Tyle ich już przecież było do tej pory. Nie damy się, przetrzymamy, zwyciężymy. Nie pozwolimy odebrać sobie tego, na co zapracowaliśmy. Nagle zrozumiał, że ona zawsze była z nim, służyła radą i pomocą. Popełnił błąd, nie mówiąc jej



o swoich problemach wcześniej.

– Przepraszam – szepnął.

Uniosła się i poklepała miejsce obok.

– Chodź do łóżka.

Wślizgnął się pod kołdrę i przykleił do ciepłego ciała żony. Całe zdawało się pulsować. Piękne, niezwykle ciało Natalii, równie wspaniałe jak jej dusza i to, czego dotknęła. Wszystko wokół niej napełniało się uczuciem. Ziemia pod jej stopami zieleniła się, piękniała, nabierała soczystych barw i zapachów. Natalia była życiem. On przypominał dziś śmierć.

– Jutro ukaże się artykuł o Selacu. Negatywny.

Milczała, dając mu czas na uporządkowanie myśli.

– Mocno dostaniemy po głowie. Będą poważne zarzuty i zawierucha. Prawdopodobnie będziemy mieli duże kłopoty.

– Policja?

– Nie wiem. Może.

– Aresztują cię?

– Nie, raczej nie. Za to mogą być różne dziwne telefony, groźby, zarzuty, kłamstwa. Będzie bardzo dużo kłamstw.

– Dzieci?

Skrzywił się. Tego akurat nie mógł przewidzieć.

– Nie powinno się to na nich odbić, choć wiesz, jak jest... Jeśli będę miał pecha, zostanę gwiazdą mediów.

– Dzieciaki potrafią być okrutne.

– Natalio... ja się wybronię. Wcześniej czy później się wybronię.

– Na pewno?

– Potrzebuję czasu i gwarancji, że wam nic nie grozi, dlatego chciałem, żebyś wyjechała z dziećmi.

– Nie mogłam.

Pokiwał głową.

– Rozumiem, już dobrze. Damy radę. Nic złego nie zrobiliśmy.

Nie był pewien, czy mu wierzy. Udawała, że biznes jej nie interesuje. Sama działała w sposób prosty i przejrzysty. Wystawiała obraz, sprzedawała, zarabiała. W międzyczasie urzędowała płatne wystawy i imprezy. Ktoś kupował miejsce, czasem obsługę, catering, płacił.

Proste jak drut. Gdy przychody przewyższały koszty, był zysk. Jak koszty okazywały się wyższe – strata. Ostatnio w zasadzie to się nie zdarzało. Sprzedawała sporo obrazów, organizowała licytacje, czasem osiągając znacznie wyższą cenę, niż zakładała, co nie pozostawało bez wpływu na prowizję.

Dla niej liczyła się bardziej sztuka niż biznes, pieniądze tylko towarzyszyły pasji. Nie krytykowała Adama za zupełnie inne podejście. Wiedział, że docenia jego sukcesy i zdolność robienia pieniędzy z niczego, ale nie chce tego rozumieć. Gdy kiedyś próbował wytłumaczyć jej zawilosci umów leasingowych, skomplikowane sprawy związane z rozliczeniami, zabezpieczeniami, weksłami i kalkulatorami kosztów, w pewnej chwili zaczęła się śmiać.

– Co w tym zabawnego? – zapytał wówczas.

– Lubię cię słuchać. Myślałam, że ty to robisz dla pieniędzy – odparła.

Nie wyjaśniła nic więcej, ale wiedział, o co jej chodziło. Pasja. Jego też napędzała pasja, nie mniejsza niż miłość Natalii do obrazów. Czy to zdrowo kochać pieniądze? Czy perwersyjna miłość do cyferek wydrukowanych na banknotach może być porównywana z dreszczami, które wyzwala zapach farby, i zawrotami głowy na widok płócien geniuszy pędzla? Ci artyści nie mogli nikogo oszukać. U nich widać każdy cień. W przypadku finansów jest inaczej.

Czy zatem Natalia mu wierzyła?

Usiadła, zapaliła lampkę, po czym maksymalnie przyciemniła światło. W sypialni panował teraz miły półmrok, zupełnie nieodpowiedni do atmosfery.

– Pamiętasz? – zapytała.

Nie od razu zrozumiał, o co jej chodzi.

– Pamiętasz, jak się poznaliśmy? – dodała. – Siedzieliśmy w kuchni przy świeczce całymi nocami i dużo rozmawialiśmy. Potrafiliśmy rozmawiać. Do samego rana. Dopiero świt przeganiał nas do łóżka, a i to nie zawsze. Potem zasypiałam, za każdym razem podekscytowana i szczęśliwa, bo rozumiałam, że Kocham cię najbardziej na świecie. To jest prawda. Miłość nie zna żadnych granic. Ale działa w dwie strony. Nie da się tylko od niej żądać. Trzeba dawać tyle samo. Całego siebie.

– Wiem – przyznał i ponownie poczuł się winny. – Przepraszam.

– Po prostu zmień to. Zacznijmy znów rozmawiać.

– Dobrze.

– Zacznijmy od dziś – szepnęła z naciskiem. – Opowiedz mi wszystko. Od początku.

Skinął głowę i zaczął mówić. Było już zupełnie jasno, gdy skończył.

Ani razu nie skłamał.

Przynajmniej w kwestiach zasadniczych.

Wojciech Księżny musiał panować nad emocjami, żeby nie okazać wielkiej radości i podniecenia. Dawno nie był w tak dobrym humorze. Jednak miał już swoje lata i takie nabuzowanie mogło się źle skończyć. Nadciśnienie dawało mu w kość zarówno podczas tenisa, jak i dzikiego seksu, który mimo pięćdziesiątki na karku szczęśliwie wciąż mógł uprawiać. Biznes i prowadzone przez niego wojny były podobne do sportu i seksu.

Emocje kiedyś cię zabiją.

Ale co to byłby za świat bez takich przyjemności...

Sięgnął po telefon i wykonał kolejną serię rozmów, sprawdzając, czy na pewno plan przebiega bez zakłóceń. Podległe mu fundusze wyprzedawały akcje Selacu, nie przejmując się stratami, gdyż obstawiły spadki w kontraktach terminowych.

On sam też mocno zainwestował na giełdzie, przewidując obrót spraw i czerwony kolor dominujący dziś na giełdzie.

Klienci zadłużeni we frankach dostaną po dupie, ale co jego to obchodzi? A emeryci? Czy to on wymyślił, że fundusze emerytalne nie mogą grać bardziej ryzykownie? Gdyby mogły, to przecież by ich nie zostawił bez cynku. Martwcie się, żeby dożyć wieku, a pieniądze się znajdują. Może. W razie czego zrobimy jakieś transakcje wewnętrzne i na papierze wykażemy sztuczne zyski. W papierologii i wirtualizacji rzeczywistości jesteśmy całkiem niezli.

Ważny jest nasz interes. My zawsze wygrywamy.

Ja i moi przyjaciele. Nigdy o nich nie zapominam i liczę na wzajemność. Na tym to polega. Ty pomagasz mnie, ja pomagam tobie. Proste. Znow się okazało, że warto dobrze żyć z Wojtusiem, co nie?

Ech, Wojtuś, ależ ty jesteś przewidujący. Ale ty znasz trendy i rynek. Głowa nie od parady. Kiedy my ci się odwdzięczymy za te trafne decyzje pomnażające nasze pieniądze? Za te sprzedawane szeptem rady, newsy i cynki? Tak bardzo się dla nas narażasz, bo przecież to nielegalne.

Prawo to ja – miał ochotę odpowiedzieć.

Zabawne, jak ten kurewski świat działa – myślał. Gównie wiem o ekonomii, a jestem prezesem banku. Nie mam pojęcia o tej całej giełdzie, nie rozumiem rynku, nawet nie wiem, na czym dokładnie polega maklerka, fundusze, analizy, rekomendacje, sracje i inne nudziarstwa. I co z tego? Wystarczy, że się znam na ludziach. Wiem, jak ich wykorzystywać i jak nimi

manipulować. To są moje umiejętności.

Omam nie pękł z dumy, gdy zadzwonił dziś do niego sam generał, bądź co bądź doradca prezydenta oraz ważny oficjal w strukturach służb, i podziękował za cynk. Wojtuś mógł być pewien, że na urodziny znów dostanie od niego jakąś wartościową szablę albo może zabytkowy karabin skałkowy.

Uwielbiał dostawać prezenty. Wciąż mieszkało w nim małe dziecko, które prezes Księżny musiał czasem poskromić, żeby się zbytnio nie kompromitowało, jak w przypadku tej nieszczęsnej rolki papieru toaletowego, którą nieuważna sprzątaczką pozostawiła na wieszaku, a ona na nieszczęście się rozwinęła i przybrała w oczach małego Wojtusia wizję nart, które zawsze chciał mieć, ale bał się kupić. Jakież to był wstyd, gdy wykrzyknął: „Och, dostałem narty!”, a one okazały się tylko papierem toaletowym. Ta godna pożałowania scena właściwie nikogo nie rozbawiła. Za to opowiadać o niej będą na salonach przy każdej okazji.

Tak już jest, że zawsze się śmieją, gdy obiekt drwin nie patrzy.

– Mamy jakieś info od pograniczników? – zapytał bez wstępów, gdy zadzwoniła specjalna czerwona linia oznaczająca połączenie z działem bezpieczeństwa i ochrony.

– Dostaliśmy potwierdzenie – odparł rozmówca. – Mierzejewski na pewno jest na pokładzie samolotu do Johannesburga.

– Nie mamy umowy ekstradycyjnej z RPA, prawda?

– Nie, nie ściągną go.

– Bardzo dobrze – pochwalił Księżny.

Ech, Wojtuś, ależ z ciebie strateg! Bonar właśnie dostał dwa jasne przekazy. Dla niego powinno wyglądać to tak, że wystraszony Mierzejewski został wyeliminowany z gry. Prawdopodobnie nigdy już nie wróci do Polski. Sprzeda cały majątek, zaprzyjaźni się z innymi słabeuszami, którzy musieli uciec, i będzie cieszył się ochłapami w stolicy świata uchodźców. Zapomni. Niech się cieszy, że nie siedzi albo nie gryzie piachu. Została mu głowa i palce. Nawet nie zdążył się najeść strachu, powąchać pałki czy pięści. Nikt nie skopał mu tyłka, nie wziął za wsiarz i nie szepnął do ucha: wypierdalaj, jeśli chcesz żyć.

To też mogłem mu załatwić.

Pozostał tylko Bonar, którego od początku obstawiał jako groźniejszego przeciwnika i – jak widać – wcale się nie pomylił. Groźniejszego, ale wciąż dość słabego. Wytrzyma góra dwa, trzy dni, a potem skapitułuje. Na gorszych warunkach, bo oferta co dzień będzie niższa. Ale jeśli się nie zgodzi, pójdzie z torbami. Nic mu nie zostanie. A przecież głupi nie jest i w końcu

to pojmie. Jak każdy mądry inwestor zrozumie, że w tej sytuacji narastających porażek należy ograniczyć czym prędzej straty, a nie myśleć o zyskach. Przyczołga się wtedy i będzie błagał, żeby Księżny ponowił ofertę. Tak to się skończy. Nie ma innej możliwości.

Wojciech Księżny zawsze wygrywał.

Choć osobiście hołdował zasadzie „ciszej idziesz, dalej zajdziesz” i był przeciwny przekazywaniu sprawy mediom, musiał teraz przyznać, że niepotrzebnie się bał. Artykuł w „Tylko Prawdzie” okazał się idealny i ostatecznie doskonale mu się przysłużył.

## JAK BONAR Z MIERZEJEWSKIM AKCJONARIUSZY NA TRZYSTA BANIEK PRZEKRĘCILI

Co za tytuł! Czytał go chyba ze sto razy, nie mogąc się nacieszyć.

– Ten Zimny to naprawdę utalentowany dziennikarz. Pisze z pazurem i zębem. Jeśli to on zajmie się sprawą, będziemy skuteczniejsi niż F-16 – obiecywał doradca do spraw PR-u.

Może to złe porównanie, bo ponoć F-16 traciły swoją skuteczność. Ale artykuł Zimnego był naprawdę świetny.

Przejrzyste, przystępnie i zrozumiale napisany, konkretny, jednoznaczny.

Najważniejsze, że nawet dla niedowiarków jedno wynikało w nim z drugiego, a nie tak jak w większości tekstów prasowych było zlepkiem słabo powiązanych lub na siłę argumentowanych faktów.

Tu nie było o tym mowy.

Z raportów spółki giełdowej zniknęło trzysta baniek i Zimny dokładnie analizował, jak to się mogło stać i na jakich kontaktach należy ich ewentualnie szukać.

Oczywiście dziennikarz ubezpieczał się, sugerując, że może jednak Bonar ma coś na swoją obronę, no ale tytuł i lid pogrążyły szefa Selacu po czubek głowy.

A kto dziś czyta więcej?

Pewnie cały ten czterostronicowy tekst – pełen liczb, cyferek i znaczków – przejrzał może jeden procent czytelników. Pozostałym wystarczy streszczenia. Jak szefom PBG w centrali w Paryżu, którzy rano zażyczyli sobie trzydziestu informacji. Miał ją sporządzić nadzorujący Księżnego Francuz, którego przysłano do Warszawy prawie rok temu. Ambitny zabojad rwał się do rządu, ale Wojciech szybko go spacyfikował, wynajmując luksusową willę w Konstancinie i zapewniając szereg uciech z oferty najlepszej agencji towarzyskiej w tej części Europy.

Francuzik podymał, zakosztował różnych cesarskich przyjemności i stracił zapał do pracy.

Od ćwiczeń z polskiego w dusznym wieżowcu, wśród wrogo nastawionych szczurów rozpędzonych w globalnym wyścigu, znacznie przyjemniejsze było bezstresowe życie na polskiej wsi. Tam nikt mu nie podkładał świń, nikt nie rzucał pod nogi skórek od banana.

Wojciech nie musiał się już przejmować nadzorem właścicielskim.

Uspokoił oddech, poprawił się na siedzeniu i sięgnął po telefon.

– Czytałeś prasę? – zapytał bez wstępów.

– Taaak – rozmówca ziewnął. Artykuł chyba nie zrobił na nim wrażenia.

– O tej firmie ci wspominałem.

– Aha.

– Nie wydajesz się zbyt przekonany.

– Hm, prywatny biznes...

– Co w tym złego?

– Wolę państwowe zakłady. Większy majątek, mniejsze niebezpieczeństwo. Państwowy majątek nie ma właściciela, więc go potrzebuje. Prywaciarz może zareagować... w sposób nieprzewidywalny.

– Komuna się skończyła.

– Ale majątku do przejęcia nadal jest całkiem sporo. Po co schodzić z drogi, na której wciąż leży dużo pieniędzy. Niczych pieniędzy.

– Te również są do wzięcia...

Po chwili zastanowienia rozmówca odparł:

– Pamiętasz, jak opowiadałem ci kiedyś o tym góralu, z którego musieliśmy zrobić wariata?

Pamiętał. Człowiek nie chciał oddać kawałka ziemi pod inwestycję w infrastrukturę narciarską. Dla górali ziemia to świętość. Gotowi są zabić w obronie swego. Inwestorzy tego nie rozumieli. W ogóle nie rozumieli górali, którzy pilnowali się nawzajem, by nie dopuszczać do interesów obcych, a zdrajców surowo karali. Tak jak i tych, którzy mieli inne zdanie, gdy już starszyzna się nachapała i rozdzieliła łupy.

Biedak poszedł w zaparte, twierdząc, że nic nikomu nie odda i w ogóle ma w nosie te brudne pieniądze finansowych mafiosów, księdza nakazującego sprzedaż, a nawet pana Boga, który pozwala na te przekręty.

Kiedy wyszło, że nie ma nic do powiedzenia, bo syn za jego plecami podrobił podpisy, chciał jeszcze dokonać samospalenia przed kancelarią premiera, więc całkiem słusznie wylądował w wariatkowie. A że z tym podpaleniem to było nie do końca tak... kogo to

obchodzi? Historia patrzy globalnie.

– Skończyło się dobrze. Nikt nie obarczył cię odpowiedzialnością.

– Za to koszty ostatecznie były większe niż zyski.

To prawda. Rzekomy wariat uciekł ze szpitala i rzeczywiście się podpalił, tyle że nie w okolicach kancelarii premiera, lecz przed budynkiem sądu. Jakiś dziennikarz zaczął szperać i nawet doszedł do części prawdy. Trzeba było sporo zapłacić włodarzom gazety, a potem chłopakom ze służb, by z dziennikarza też zrobili oszołoma, łapówkarza i drania. Płatna protekcja, nieuzasadnione prowokacje, łamanie prawa wymierzone w niezawisły sąd. Księżny aż wzdrygnął się na myśl, ile zarzutów wymyślono. Niesamowite, jak to funkcjonuje. Większość mediów, polityków i finansistów opierała się w działaniu na niepisanym pakcie – sądy są poza podejrzeniem, to jedno, czego nie możemy kwestionować. Wyroki są święte.

Hm, który to geniusz wpadł na pomysł, by przekupić sąd i zbratać się ze świętymi?

Że niby nic to nie da, bo przecież jest droga odwoławcza, kasacje, skargi do Trybunału? Kto by się tym przejmował, gdy wyroki zapadają po dziesięciu latach, a europejscy prawnicy patrzą na nas jak na barbarzyńców, do których trzeba stosować inne, zupełnie niecywilizowane standardy? Im nie mieści się w głowie, że w państwie prawa możliwe są takie akcje. To sprawia, że nie są w stanie dokonać właściwej oceny. Czują się jak ofiary prowokacji albo brytyjskich komików. Zaraz ujawnią się żartownisie i zaczną drzeć łacha: ale was wkęciliśmy! Lepiej zachować wstrzemięźliwość i daleko idącą ostrożność przy podobnych wyrokach.

Trybunały są dobre dla zbrodniarzy, na absurdy odpowiadają podobnymi absurdami, co Wojciech bardzo sobie chwalił.

Ale ludzka, pierwotna skłonność do przemocy i walki nie da się wpisać w żadne procedury sądowe. Istnieje sama w sobie, jak żywioł. Wywołany musi najczęściej sam się wyczerpać, bo nie mamy środków, by go zdusić w zarodku.

– Nie zapominaj o tej nauczce – dodał rozmówca i miał w stu procentach rację. Na operacji pomocy firmie zarządzającej kurortem narciarskim obaj stracili znacznie więcej, niż zyskali.

– Tak bywa.

– Jak to mówi twój doktor?

– Lepiej zapobiegać niż leczyć?

– Nie, chodzi mi o to drugie powiedzenie.



– Nie wkładaj fiuta w dziurę, z której możesz go nie wyjąć.

– Właśnie.

Wojciech Księżny ścisnął mocniej telefon. Rozmowa nie toczyła się po jego myśli, nie miał jednak więcej argumentów. Nie daj ujścia emocjom! Nie możemy tracić panowania nad sobą, kierować się zemstą, miłością, zazdrością czy zwyczajną nienawiścią. Takie są zasady. Interes nie potrzebuje emocji. A już w żaden sposób nie mogę dać po sobie poznać, że Selac jest dla mnie sprawą osobistą – pomyślał.

– Dywersyfikacja – zazartował, udając, że wcale mu nie zależy na dalszym przekonywaniu.

– Państwowy majątek też się kiedyś skończy.

– Do tego czasu mam zamiar mieszkać już gdzieś daleko.

– Bardzo daleko. – Księżny przypomniał sobie, jak podczas ostatniej wizyty u swojego rozmówcy rozmawiali o planach kupna domu nad zatoką w Los Angeles. – Bardzo daleko jest wielu bogatych ludzi. Żeby się wyróżnić, możesz potrzebować... dywersyfikacji.

– Wcale nie chcę się wyróżniać.

– Wystarczy ci dom na wzgórzu z widokiem na zatokę, w której zacumuje skromny sześciorejowy bryg? To będzie widok!

– Właśnie. – Rozmówca nie krył rozbawienia. Żart Księżnego wyraźnie przypadł mu do gustu. – Nie zwracaj mi więc głowy drobiazgami.

– Oczywiście, choć... ten drobiazg ma miliard w obrocie. Do przejęcia.

Tamten milczał przez chwilę.

– Mówiłeś, że te trzysta baniek manka to jakaś bzdura.

– Audytor się rąbnął, nie nasz kłopot.

– Pomogłeś mu w pomyłce?

Księżny zawahał się, czy powiedzieć prawdę.

– Ktoś mu pomógł – szepnął. – Cała ta kasa jest jednak realna. Leży i czeka na prawowitego właściciela.

– Powiedzmy, że czuję się przekonany. Jednak wolałbym, żebyś się po prostu dogadał.

– Ja też.

– Najpierw dyplomacja. – W głosie rozmówcy zabrzmiała nuta rozbawienia. – Wiem, że preferujesz działania z przytupem, ale dyplomacja kosztuje znacznie mniej niż wojna. Jeśli będziesz potrzebował pomocy, przyjmę tę sprawę. Tylko uważaj na media. Nie chcę trafić na pierwszą stronę z takim tytułem jak ten dzisiaj.

– Media same niczego nie zobaczą. Media są skończone.

– Oby nie odżyły.

– Nie ma obawy.

Odłożył słuchawkę i niemal w tej samej chwili zobaczył migającą lampkę na interkomie. Nacisnął guzik.

– O co chodzi?

Asystentka, zerknąwszy do zeszytu z zapisaną informacją, powiedziała:

– Pan Adam Bonar czeka na linii. Twierdzi, że to pilne.

No proszę, poszedłeś po rozum do głowy... Poprosił sekretarkę, żeby poczekała jeszcze pół minuty i przełączyła telefon do jego gabinetu. Rozparł się wygodnie i wpatrzył w tablicę upamiętniającą jego sukcesy, pełną zdjęć, dyplomów, medali i listów z gratulacjami. Mniej i bardziej cennych trofeów wojennych.

Przeniósł wzrok na wiszący nad nimi zegar – zdobycz z supertajnej akcji przeprowadzonej przez polski wywiad wraz z Amerykanami. Otrzymał go niedługo po tej operacji od byłego szpiega, którego kontem zarządzał osobiście szef maklerów banku, rzecz jasna, pod nadzorem samego prezesa. Tyle lat ten zegar już tu wisiał, a wciąż działał doskonale. Prawie, bo jednak wskazówka sekundnika drżała niemal niedostrzegalnie, gdy docierała do szóstki. Księżny przypomniał sobie, że w gabinecie Bonara wisi równie oryginalny i ciekawy czasomierz.

Dokładnie po trzydziestu sekundach rozległ się sygnał telefonu. Asystentka dobrze wypełniała swoje obowiązki. Była skrupulatna i dokładna niemal jak to szwajcarskie cudeńko. Asystentka Bonara wydawała się równie sumienna. A przy tym ładniejsza. Znacznie.

Wojciech Księżny już widział siebie na miejscu Adama Bonara, jego zegar w swoim biurze, a asystentkę w objęciach swojego – znudzonego nieco przewidywalnością obecnej sekretarki – najlepszego przyjaciela.

Odebrał połączenie i powiedział do słuchawki:

– Tak, Adamie? Przemyślałeś moją propozycję?

Dziwne uczucie. Znów był na fali. Znów namieszał. Niemal zawiesił całą giełdę, która czego jak czego, ale czerwonego koloru spadków bardzo nie lubi. Ostatnim razem, gdy mu się udało, doprowadził do zwołania konferencji przez samego premiera i buńczucznych zapowiedzi. Jak zwykle bez pokrycia. Politycy byli dobrzy w obietnicach, chlapaniu jęzorem i doklejanu wizerunku w miejscach, gdzie im się to opłacało. Ale już ciężka praca nad reformami, uproszczeniem chorobliwej biurokracji, poprawą niewydolnego, skostniałego systemu szła im bardzo opornie. Szczególnie w służbie zdrowia i prawie. Dwa sektory, które tak naprawdę są najważniejsze. Ludzkie życie, opieka nad nim oraz sprawiedliwość. Tak, panie premierze – miał ochotę wykrzyknąć – jest coś takiego jak sprawiedliwość! Pojęcie niemal zapomniane, które jednak można odnaleźć w konstytucji. Proszę mi wierzyć, jest tam, siedzi dumnie na szczycie piramidy potrzeb. Sprawiedliwość jest ważniejsza niż jedzenie, książki, edukacja, a nawet chrzaniony sejm i jego niereformowalna nieprzydatność. Sprawiedliwość to jasna strona mocy.

Brak sprawiedliwości oznacza wieczną ciemność.

Naczelnny złapał go przy wyjściu.

– Zadowolony?

– Pewnie. Dzięki za szansę.

– Podobno masz zaproszenie do telewizji. Skorzystasz?

Zimny skrzywił się. Nie lubił telewizji, ale wiedział, że nie powinien odmawiać, bo to promocja i dla jego tekstu, i dla gazety. Miał nawet wpisany taki obowiązek w umowę.

– Pójdę, ale tylko raz. Nie chcę zmienić się w celebrytę i zamiast pisania tekstów ślęczyć w studiu.

– Zrozumiałe.

– No to cześć.

Naczelnny zatrzymał go i szepnął:

– Drugi tekst też jest mocny. Bonar nie skomentował?

Kuba pokręcił głową.

– Ma wyłączoną komórkę.

– W sumie to się nie dziwię. Po takich stratach też bym się schował do dziury. Pewnie jest wielu chętnych do przekazania mu wyrazów wdzięczności.

– Na jednym z forów giełdowych podano ten numer, właśnie w tym celu. Nie trzeba się specjalnie wysilać, żeby przewidzieć efekt.

– Sto telefonów na sekundę.

– Może nie aż tyle, ale wystarczająco dużo. O dziwo, akcje nie spadły tak bardzo, kurs się trzyma.

– Inwestorzy jeszcze nam nie wierzą. Liczą, że może się pomyliliśmy. Za to daliśmy sygnał do odwrócenia trendu. Wszyscy analitycy tłumaczą spadki indeksów twoim artykułem.

Naczelny zagryzł wargę i Zimny wtedy pomyślał, że coś jest nie tak.

– O co chodzi?

– Masz plan kolejnych publikacji?

– Jutro popytam analityków, pewnie też coś powie KNF, może giełda...

– A może by tak trochę odpuścić... – zasugerował naczelny.

– Odpuścić?

– No wiesz, żeby nie zaszczyć człowieka, dać mu się chwilę zastanowić. Temat i tak jest nasz. Jeśli nawet ktoś wyniucha coś więcej, to powoła się na ciebie. Nie ma co przesadzać. Niech inni się produkują, a my może skłonimy go w ten sposób do mówienia.

Zimny pokręcił głową.

– Nie, jeśli będzie chciał się wytłumaczyć, pójdzie do konkurencji.

– Pewnie racja, ale może warto spróbować.

– Może.

– Słuchaj... – Naczelny wciągnął go głębiej w jakiś zakamarek i wyjął z kieszeni kopertę.

– Napracowałeś się.

– Co to?

– Premia.

– Jak to premia?

– Zwyczajnie. Mamy trochę funduszy specjalnych i przeznaczamy je na premie.

– Bez podatku?

Naczelny poczerwieniał.

– No nie... później ktoś przygotowuje umowę.

– Później? Czy ty wiesz, co robimy? Przed chwilą zarzuciliśmy gościowi, że ma burdel w księgach, a sami mamy jakieś lewe fundusze? O co chodzi? To za to, żebym więcej nie pisał? Ten Bonar cię przekupił?

– Bonar? – Naczelnny chyba zdał sobie sprawę z niezręczności sytuacji. – Nie, pisz, co chcesz, to nie ma związku. Po prostu pomyślałem, że potrzebujesz pieniędzy.

– Dzięki, nie potrzebuję – zakończył Zimny.

Daj je komuś, komu brakuje na spłatę kredytu. Kto się ożenił albo mu się dziecko urodziło. Mnie na piwo i czynsz na Czeskiej starczy pensja.

Wyszedł z redakcji i pomyślał, że nie powinien do niej wracać. Media się kończą. Nie ma takich bez skazy. Mogą udawać, mogą ściemniać, ale nie unikną agonii i stanu przedzawałowego. To jest ich przeznaczenie.

Internet nas wykończył, jakkolwiek dramatycznie to brzmi. Możemy się jeszcze oszukiwać, udawać, że to się nie dzieje, przekonywać, że ważna jest wiarygodność, profesjonalizm, renoma, obiektywizm, rzetelność. Że sieć to tylko nowy kanał dystrybucji treści.

Gównno prawda.

Sieć wyróciła media do góry nogami, cała filozofia ich działania i misji uległa zmianie. Dziś światem rządzi szybkość. Szybkość mierzona w setnych sekundy. I zdolność do jak najkrótszego przekazania treści. Nastała era wiadomości liczonej w znakach, a nie w słowach. Im krócej, tym lepiej. Sama treść, bez żadnych wspomagaczy. Wylewana w kubłach, do wyboru, do koloru. Prawda, fałsz, w sumie niezbyt istotne, jeśli jest tego dużo. Człowiek chłonie newsy w ilościach przekraczających zdolność ich analizy, segreguje na różnych półkach, jutro już nie pamięta. Wierzy w jedne mniej, w inne bardziej, czasem postanawia celowo zachować w pamięci na dłużej te mniej wiarygodne, a nawet już zdementowane. Prawda i wiarygodność przestały się liczyć.

Nikogo też nie obchodzi obiektywizm i rzetelność. Nikt nie poszukuje wiedzy i dogłębnych analiz. Masz dostarczać treść w trzech zdaniach. Tak żeby mądrała na imprezie mógł zabłysnąć bon motem, a potem z czystym sumieniem się zalać i zerznąć jakąś blondi.

Informacja zastąpiła analizę. Każdy przecież może sobie sam wyciągać wnioski. Niech wyciąga. Po co się pchać na okręt, który tonie?

Tak bardzo chciał się mylić, ale wiedział, że trzeba być realistą. Zamykanie oczu nie pozwoli skazańcowi uniknąć kuli.

I jeszcze ta koperta od naczelnego. Czy naprawdę warto stawać po takiej stronie?

Zamiast do telewizji pojechał do knajpy i zanim dobrze się usadowił, był już lekko zrobiony. Spodobały mu się trzy dziewczyny i próbował je zdobyć spojrzeniem, ale go olały.

Brzydnę? Utyłem? Śmierdę?

Co ze mną jest nie tak?

Dawniej miał spore powodzenie u kobiet. Był wysoki, przystojny, szczupły i silny. Miał charakter i coś przyciągającego w twarzy, spojrzeniu, uśmiechu. Wystarczająco tajemniczym, by kryć sekrety i obietnice, by wyrażać podziw i dwuznacznie zapraszać do tańca.

A jednak go omijały. Może rację miał przyjaciel Gruby, który powiedział mu kiedyś, że to przez klątwę. Widać, że nad tobą wisi. Związek z takim gościem jak ty to tylko kłopoty. Chwila przyjemności i czarna dziura obaw. Bezkresny kosmos wiecznego strachu, niespełnionych ambicji, pesymizmu. Zwyczajny smutek. Nie masz przyszłości, chłopie. Nie w królestwie gender i wyrachowania. Na czysty seks dziewczyny wolą wyrwać Araba. Po co im polski amant ze zrytym, pokiereszowanym mózgiem i refleksyjną skazą w każdej myśli? Zgorzkniały, narzekający. Nie narzekasz? Potrafisz się cieszyć życiem? To dlaczego biegasz za jakimiś widmami, myślisz o innych, starasz się dojść do prawdy? Takie coś nadaje się tylko do topienia smutków w alku.

Gównu, wcale nie jestem pesymistą. Potrafię się śmiać, bawić, cieszyć i kochać. Potrzebuję tego jak każdy inny człowiek.

Wypił kolejne piwo i nie przestawał się gapić na trójkę dziewczyn, ale już wkrótce tego pożałował. Pochylił się nad nim wielki, potężny facet z plakietką ochroniarza i rzucił krótko:

– Wypierdalaj!

– Źle ulokowałem uczucia? – zapytał z krzywym uśmiechem Zimny.

– Wypierdalaj – powtórzył ochroniarz.

Dziennikarz szybko ocenił, że nie ma szansy się postawić, dopił piwo i wyszedł.

Warszawa tonęła w deszczu, śmieciach i długach. Nic przyjemnego. Radni robili awantury o jedno i drugie, a Kuba zastanawiał się, jak to możliwe, że miasto o takim potencjale decyduje się na bylejakość. Taksjarsz wesoło z nim żartował, po czym wystawił rachunek zawyżony o jakieś trzydzieści procent. Dziewięciu na dziesięciu tak robi, co się pan czepiasz. Warto wszczynać kłótnię o parę złotych? Ale przecież nie chodzi o parę złotych. Chodzi o to, żeby być fair, a nie kantować. Żeby czuć się dobrze i czynić dobro, a nie zło. Żeby nie chodzić do kościoła po rozgrzeszenie i z obowiązku. Żeby człowiek chciał oddać życie za ten kraj. Patriotyzm? Gdzie jest miejsce na patriotyzm w świecie wszechobecnego oszustwa? Czy skłonić rodaków do zmiany zdania mogą jedynie filmy o Ruskich, którzy przyjdą i zgwałcą nasze dziewczyny? Tylko czy w epoce równych praw także do przemocy ktokolwiek przejmuje się dziewczynami i gwałtami...

– Masz fajkę?

Jakiś stary gostek. Choćby za to, że przerwał ten ciąg podłych myśli, zasłużył na fajkę.

– Bierz. – Zimny dał mu dwa papierosy, a potem sam zapalił.

Znów zaczął żałować, że napisał o tym Bonarze. Tak bardzo, że miał ochotę wybrać jego numer, zadzwonić i się wypłakać. Zdobyć gdzieś wciąż działający numer i dać mu szansę. Człowieku, jeśli jesteś niewinny, broń się.

Sam odszczekam kłamstwa, jeśli ci się uda. Przepraszę. Nie będę uciekał i szukał fałszywych usprawiedliwień. Jeśli dałem ciała, napiszę, że jestem głupim chujem. Sam naszczam sobie do tej pustej głowy.

A jeśli nie? – zapytało coś w głębi sumienia. Dlaczego tak usilnie zakładasz, że może być niewinny?

Przecucie. Mam przecucie. To się źle skończy.

Wierzysz w przecucia? Sprawdzają się?

Ponownie wspomniał Ewelinę i Maciarza i już niczego nie był pewny. Nie, nie powinien wierzyć przecuciom.

Znaki na niebie i ziemi często okazywały się zwodnicze.

Bardzo często.

Serce Księżnego na chwilę przystało. Jak ten dupek śmie mówić do niego takim tonem? Jak to wzywasz do wzajemnych rozliczeń? Pokręciło cię zupełnie?! To ja żądam zwrotu kasy, to ja cię finansuję. Masz moje pieniądze, więc przestań chrzanić głupoty.

Księżny nie mógł się opanować, cały czas nie rozumiejąc, co mówi do niego młody człowiek, właśnie zakładający sobie stryczek na szyję.

– Chyba nie rozumiesz powagi sytuacji, Adamie – wycedził.

Porozmawiajmy jak oszust z oszustem – pomyślał Adam.

W jego głosie nie było śladu porażki, obawy czy rezygnacji. Dobrze to przemyślał i wierzył, że wygra, że ma plan, by posłać do diabła Księżnego, całą jego paczkę i zły los. Nie oszukiwał się. Naprawdę wierzył. Odparł więc spokojnie, celowo nazbyt oficjalnie:

– Słyszał pan, panie prezesie. Bank, którym pan kieruje, od trzech miesięcy nie wykonuje zapisanych w kontraktach ustaleń, zatem uznaliśmy, że należy od nich odstąpić i wezwać do wzajemnych rozliczeń.

– Rozliczeń? Przecież nie jesteś w stanie spłacić zadłużenia, więc co to za ściema?

– Zobaczymy.

Do diabła, coś tu nie gra – pomyślał Księżny.

– Chyba nie wiesz, w co się pakujesz, synu – mruknął, myśląc: pierdołę podsłuchy. Niech tylko ten gówniarz spróbuje mnie nagrać i to wykorzystać! Już ja go urządzę! Zaraz jednak się opanował i zrugął w myślach. Nie trać panowania. To tylko jakaś gierka młokosa. Nic ważnego. Może chce wynegocjować lepsze warunki. W sumie czemu by nie dać mu trochę więcej? I tak zarobek będzie wystarczająco atrakcyjny. – Dobrze, Adamie, wytłumacz mi, co to za chory plan uniknięcia szubienicy zrodził ci się w głowie. Chcesz negocjować? Chcesz uzyskać lepszą cenę?

– Selac nie jest na sprzedaż – odparł Bonar. – Powtarzam, panie prezesie: przekazuję informację o odstąpieniu od umowy z winy banku. Nasi prawnicy już przesłali państwu stosowne dokumenty. Żegnam.

W słuchawce zaległa cisza. Niesamowite, gówniarz się rozłączył! Tak po prostu powiedział „żegnam”, i tyle! Potraktował go jak chłystka. Do diabła, naprawdę nie wiesz, z kim zadzierasza!

Sięgnął po komórkę, lecz po chwili odłożył ją z powrotem na stół. Coś tu było nie tak



i musiał to przemyśleć. Na szkoleniach w Kiejkutach, Szczytnie, Legionowie i w innych tajemniczych miejscach powtarzano mu: nie działaj pod wpływem emocji, nie daj się wyprowadzić z równowagi. Najpierw załóż, że przeciwnik celowo popełnia pozorne błędy, wciągając cię w pułapkę, a dopiero potem oskarżaj go o głupotę.

Szukaj winy u siebie, a nie u innych.

Bonar nie był głupi. Miał łeb do biznesu, inaczej nie rozwinąłby takiej firmy jak Selac. Dwieście milionów kapitalizacji, obroty i zyski małego, zdrowego banku, w tym kredyty na miliard, które tak naprawdę były dla Księżnego w tej rozgrywce najistotniejsze. Kredyty były jego i innych, ale towar, który za nie zakupiono, mógł za chwilę stać się tylko jego, czego nie rozumiał chyba nikt poza nim i dwiema czy trzema osobami, z którymi współpracował najbliżej.

Wszyscy oni dostali dokładne informacje o Selacu i Bonarze. Odnieśli podobne wrażenie.

Facet miał wrodzony talent do robienia pieniędzy. Świetne referencje z banków, a potem równie dobre wyniki na swoim. Zaczynał od zera, od małego biura na Ochocie, dwuosobowej firmy z jedną sekretarką. Dziś miał spółkę giełdową, prestiżowe tytuły, oddziały w całej Polsce, sześćdziesięciu pracowników, sporą część rynku leasingu. Zyskał stałe miejsce w pierwszej dziesiątce największych pośredników finansowych.

Dureń nie stworzyłby czegoś takiego. Dureń nie pracowałby wcześniej w szwajcarskim banku, nie wykazywałby się zdolnościami w zakresie fizyki, programowania komputerowego, nauk matematycznych, a nawet muzyki.

Nie, Bonar nie był idiotą.

Co planował, pozornie samemu kładąc głowę pod topór? Bo przecież wypowiedzenie umów tym właśnie było. Jeśli Księżny poinformuje inne banki, co oczywiście zrobi, Selac będzie musiał wyłożyć setki milionów, i to już. A ich nie ma. Księżny doskonale znał stan rachunków tej i innych firm. Po to był prezesem, żeby wiedzieć. Tajemnice? Prawo? Umowy? Poufność? Dla niego nie było tajemnic i prawa. Nie było konfliktu interesów.

O co zatem chodzi?

Przez chwilę pomyślał, że któryś z bankierów zdradził i zawarł sojusz z Selakiem. Za plecami Księżnego i PBG porozumiał się z gówniarzem, dał lepszą cenę za akcje, a może nawet udzielił finansowania. Spłaci ich i wyłowi pączek z brytfanny. A potem wyszczerzy zęby i powie: ale was przechytryłem! Teraz to ja jestem królem leasingu.

– Nie, to niemożliwe. Nikt na rynku nie jest tak głupi, żeby ze mną zadzierać – powiedział

na głos Księżny, zdając sobie sprawę, że w powyższym zdaniu jest maleńkie niedomówienie, bardzo istotny dla sprawy, celowo poczyniony fałsz. Powinien bowiem być dodać: ze mną i grupą, która za mną stoi.

Sam Księżny nie był tak ważny jak jego klienci i partnerzy w tym tak wspianale rozwiniętym biznesie, dla którego ukuł nawet specjalną nazwę: bankowość inwestycyjna w warunkach gospodarki transformacji. Specyficzna, inna niż ta rozpowszechniona w świecie. Banki nieznające specyfiki rynku i bananowych standardów, które Księżny tak dobrze rozumiał, nie były w stanie jej powielić.

Bankowość inwestycyjna – jak to ładnie brzmi. Zupełnie inaczej niż „przestępczość zorganizowana”, o którą czasem – rzecz jasna, zupełnie niesłusznie – był oskarżany.

Księżny musiał przyznać, że od dawna, odkąd założony i prowadzony przez niego bank przejęli Francuzi, dusił się w procedurach, celach i całym tym finansowym bezpieczeństwie, które mu narzucono. Zasady żabojadów były proste: zbieramy kasę na rachunkach i udzielamy kredytów. Żadnych skomplikowanych produktów, opcji, zastawów, gry na walutach czy niebezpiecznych papierach. Żadnej bankowości inwestycyjnej. Nie jesteśmy Bankiem Rozwoju Eksportu. Bankowość inwestycyjną zostaw Kostrzewie. To jego nazwano złotym dzieckiem, a ty jesteś tylko wyrobnikiem.

Czerwony guzik na biurku zamrugał ponownie i asystentka poinformowała, że przyszedł szef działu legislacji i ekspertyz.

Księżny odetchnął głęboko, napił się wody i poprosił o wprowadzenie prawnika.

Paweł Raczek był w podobnym wieku jak prezes. Wyższy o głowę, nieco bardziej zaniedbany i zmęczony. Sprawiał wrażenie przegranego, jednak Księżny wiedział, że to tylko pozory. Udawał, żeby nie rzucać się w oczy, nie przyciągać zawistnych spojrzeń. W rzeczywistości zarabiał kilka średnich krajowych, wakacje spędzał, zwiedzając cały świat, a wyposażenie skromnego z zewnątrz domu niewiele ustępowało temu, w którym mieszkał prezes czy spacyfikowany francuski nadzorca.

Nie poznali się w Kiejkutach ani w ogóle podczas służby, ale to dobry przyjaciel z agencji wywiadu poprosił Wojciecha o zatrudnienie mecenasa. Księżny nie miał więc wątpliwości, że Raczek pracuje na dwóch etatach i że może mu ufać niemal w dziewięćdziesięciu procentach (nie było osób zasługujących na sto).

– Cześć, co myślisz o tym ruchu Selacu? Jest tu jakieś drugie dno?

– Dokumenty już przyszły, ale analiza trochę potrwa – odparł ostrożnie mecenas.

– Masz jakąś teorię?

Raczek otworzył usta, ale zaraz je zamknął. No, nie bądź taki ostrożny, przecież to nie będzie nigdzie zapisane – pomyślał prezes. Przybysz jednak patrzył na niego twardo. No tak, każde słowo tutaj jest zapisane. Należy je odpowiednio ważyć. Myślenie jest w cenie, mówienie niekoniecznie. Jeśli jakaś opinia się nie potwierdzi, kto poniesie konsekwencje? Kozła ofiarnego łatwo znaleźć wśród tych, którzy nie potrafią trzymać języka za zębami.

– Oczywiście rozumiem, że to może być błędna interpretacja – zachęcił Księżny. – Biorę na siebie wszelkie ewentualne pomyłki.

– Sądzę, że wiem, o co chodzi – szepnął Raczek.

– No to mów, do cholery. – Księżny klepnął go w ramię i obaj usiedli na kanapie. – Co oni sobie wymyślili?

– Na twoje polecenie od trzech miesięcy nie przelewaliśmy im pieniędzy i unikaliśmy kontaktu.

Księżny skinął głową. Taktyka zmiękczenia. Trzeba było dać znać Selacowi, co się szykuje. Taka pierwsza prowokacja.

– Również tak jak nakazałeś, przesłaliśmy im monit o pogorszeniu wskaźników, konieczności uzupełnienia gwarancji lub zabezpieczeń, oficjalnie wstrzymaliśmy finansowanie i nakazaliśmy spłatę części kredytów.

– Dokładnie. Po co więc ta ściema?

– Nie bez podstaw twierdzą zatem – kontynuował prawnik – że unikamy realizacji zobowiązań, i dlatego odstępują od umowy.

Zniecierpliwiony Księżny spojrzał wymownie na mecenasa. No dalej, do rzeczy.

– Ważne jest przy tym słowo „odstępują” – oznajmił w końcu Raczek. – Pamiętaj: my im nie wypowiedzieliśmy umowy, to miało być następnym ruchem. Moim zdaniem, „odstępując”, chcą nas wyprzedzić, a potem upierać się w sądzie, że nasze wypowiedzenie jest nieskuteczne, a skuteczne jest tylko ich „odstąpienie”.

Ble, ble, ble – pomyślał Księżny. W przypadku umów bankowych kruczki zawsze działały na korzyść instytucji, a nie klientów. Każdy to wiedział. Równość stron? Proporcjonalność? Rzetelność i działanie w dobrej wierze? Co to takiego? My dajemy pieniądze i to dla nas ma działać prawo. Każdy rozsądny system polityczny stawia banki ponad przepisami i chroni je za wszelką cenę. Nawet jeśli instytucje finansowe stosują bandyckie metody i wchodzą do elity przestępczej.

Prawo jest dla bogatych, a nie dla biednych. Prawo ma służyć elitom i chronić je przed brutalnością nizin. Prawo to ja, a nie Bonar.

– No dobra, co im to daje?

– Odstąpienie działa wstecz i jest znacznie bardziej skomplikowane w rozliczeniach, bo zmusza obie strony do zwrotu wzajemnych świadczeń.

– Nie rozumiem. Możesz mówić do mnie po ludzku, a nie jak do księgowego? – upomniał Księżny.

W spojrzeniu mecenasa wyczytał małą naganę: jesteś przecież bankowcem.

Prawnik chrząknął, ułożył sobie w głowie całe tłumaczenie i w końcu zaczął mówić monotonnym głosem:

– Jeśli przyjmujemy odstąpienie, umowę należy traktować jako niebyłą. Rozliczamy się, cofając do daty jej podpisania. Selac musi zwrócić kredyt, a bank oddać odsetki. W niektórych przypadkach zapłacone odsetki mogły być wyższe niż kwota kredytu.

– To chyba dla nas niedobrze? – wydukał Księżny, rozumiejąc już grę Bonara.

A to drań! Zrobił mnie w konia. Czyżby gwałcona stała się gwałcąca? Ofiara zaczęła odczuwać rozkosz i bawić się w grę napastnika? Dobra, Bonar, jak chcesz być takim Peckinpahem, to zobaczysz, do czego ja jestem zdolny. Słyszałeś o Tinto Brassie? Wojna ze mną nie skończy się dla ciebie dobrze.

– Mamy tu drugi problem. Jeśli uznajemy, że odstąpienie jest nieskuteczne, i składamy oświadczenie o przejęciu zabezpieczeń, to ich wartość rynkowa jest wyższa niż kwota niespłaconego kredytu. Musimy wtedy zaksięgować rezerwę na nadwyżkę, która obciąży zysk banku, gdyż Selac będzie się domagał jej zwrotu.

– Co ty mi chcesz powiedzieć?

– Krótko mówiąc, przy niekorzystnych wiatrach może się okazać, że to my jesteśmy im winni kasę, a nie oni nam.

– Kurwa – zaklął Księżny. – To niemożliwe.

– Niestety, zgodne z prawem. Sami lobbowaliśmy za pewnymi rozwiązaniami, żeby uchronić się przed nieuczciwymi klientami. Zakładaliśmy, że to zawsze my będziemy „odstępować”, jeśli nie będziemy mogli „wypowiedzieć”. Selac wykorzystuje naszą broń.

– Kurwa – powtórzył Księżny. – Co robimy?

– Stało się. Odstąpienie nastąpiło, jest teoretycznie skuteczne, choć oczywiście może być sporne.

– Lubię słowo „teoretycznie”. Mów, co radzisz.

– Trzeba jak najszybciej wypowiedzieć umowy, oświadczając, że przejmujemy zabezpieczenia. W ten sposób postawimy ich przed faktem dokonanym. Będziemy mieli pojazdy, zajmiemy pozostałe elementy majątku, do których mamy prawo, ściągniemy z nich resztę pieniędzy i jednocześnie wytoczymy sprawy o zapłatę.

– Dobrze.

– Oczywiście oni odpowiedzą pozwem, w którym będą dowodzić, że to ich ruch był pierwszy i skuteczny. Mogą wygrać.

– O procesy się nie martw.

– Tak tylko mówię.

– Jeśli chcemy, procesy mogą trwać bardzo długo – zakończył Księżny. – Pytanie, czy chcemy.

Prawnik tylko się uśmiechnął. Chwalił sobie fuchę w PBG. Nie miał tu wiele pracy. Mógł zaufać sprawiedliwości. Zwycięzca znany z góry nie musi specjalnie dbać o pisma i dowody. To zmartwienie sędziego, by dobrze uzasadnić wyrok.

– Zatem przygotuję wypowiedzenie? – Upewnił się. – I decyzję o zajęciu zabezpieczeń.

Księżny zrobił palcem wirnik, który to gest bardzo mu się spodobał w filmie Ridleya Scotta, pożegnał mecenasa, nerwowo przeszedł do okna i otworzył je na całą szerokość. Jak to mówił jego profesor od socjotechniki: trzeba tu wpuścić trochę sprawiedliwości.

– Połknął przynętę – powiedział z uśmiechem profesor Stanowski, przeglądając nadesłane kurierem dokumenty z banku. Kręcił z niedowierzaniem głową nad niekompetencją przeciwnika. Księżny i jego banda kretynów dali się niezwykle łatwo wyprowadzić w pole. Podkreślenia, czerwony kolor i wykrzykniki wyglądały na drukach z wypowiedzeniem umów niezwykle zabawnie. Zachowali się jak straszak przybierający groźne barwy, w rzeczywistości pozbawiony jakiegokolwiek broni. – Na dodatek wciąż chyba nie mają pojęcia, o co tak naprawdę chodzi. Reszta wydaje się prosta. Spór będzie kosztowny, więc powinniśmy szybko dojść do porozumienia i załagodzić sprawę.

– Bardzo dziękuję, panie profesorze.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Profesor podniósł się do wyjścia i przypomniał: – Rachunek zostawiłem u pana asystentki.

– Oczywiście, jeszcze dziś pójdzie przelew.

Profesor zażądał dużo, ale zasłużył, bo jego pomysł był znakomity i wcale nie został rozszyfrowany przez przeciwnika. Różnica pomiędzy „odstąpieniem” a „wypowiedzeniem” była tylko częścią pułapki, w którą bank właśnie wpadł, reagując zgodnie z oczekiwaniami profesora. Zupełnie nie przewidzieli podstępów i tego, że chodzi o coś zupełnie innego.

Bonar cenił wiedzę i nie miał zamiaru negocjować kwoty. Jedno słowo okazało się warte więcej niż cały zbiór ekspertyz, które dotąd zebrał. Ale właśnie na tym polega geniusz takich ludzi jak profesor. Cała interpretacja dokonana przez Stanowskiego i pomysł na wciągnięcie banku w potrzask były bezcenne.

– Panie profesorze! – zawołał pod wpływem impulsu.

– Tak?

– Co by pan powiedział na objęcie funkcji w naszej radzie nadzorczej? Byłoby nam bardzo miło.

– To oficjalna propozycja?

– Oczywiście. – Bonar podał stawki wypłacane członkom rady, choć wiedział, że pieniądze w tym przypadku nie są najważniejsze. Profesora polecono mu dlatego, że ten nie lubił Księżnego. Z wzajemnością. Wspólny znajomy twierdził, że prawnik robi, co należy, żeby zagrać bankierowi na nosie.

– Z przyjemnością zobaczę, jak to się rozwinie.

– Dziękuję.

Uścisnęli sobie dłonie, po czym profesor wyszedł wolnym krokiem. Jak na siedemdziesięciolatka i tak niezłe się trzymał.

Bonar usiadł za stołem, otworzył laptopa, przejrzał maile i wiadomości z internetu. Zimny napisał kolejny tekst, ale nie był on już tak eksponowany jak wcześniejsze. W skrzynce e-mailowej za to znalazł wiadomość od działu reklamy „Tylko Prawdy”. Zawierała lakoniczne pozdrowienia i zachętę do wspierania niezależnego dziennikarstwa poprzez udział w kampaniach promocyjnych lub akcjach partnerskich gazety. Istniała też możliwość zasilenia dowolną kwotą fundacji wspierania prasy niezależnej.

Jak to się miało do sloganu reklamowego w nagłówku gazety?

TYLKO PRAWDA – GAZETA BEZ REKLAM  
ZAWSZE W TWOIM INTERESIE

– Akcje partnerskie – mruknął pod nosem. A więc to takie proste. Ten Zimny jest zwykłym cynglem. Dostał zlecenie, żeby mocno uszczypnąć Selac, a dział reklamy gazety proponuje „partnerstwo”. – Kiedyś to się nazywało sutenerstwo.

Skasował maila, a potem pomyślał, że jednak może mu się do czegoś przydać, i przywrócił do folderu głównego, dodatkowo oznaczając gwiazdką i innym kolorem.

W sumie po co ta złość? Przecież to tylko interes. Skoro cały biznes działa na zasadach szantażu, zastraszania i przekupstwa, to co się dziwić dziennikarzom? Że mają rolę kontrolną? Że niby kierują się jakąś etyką? Dobrem społecznym? Misją? Prawdą, obiektywizmem i rzetelnością? Media są czymś więcej niż zwykłym biznesem, więc wymagają specjalnych warunków, dotacji, abonamentów, wsparcia i kontaktów z państwem?

Puste słowa, jak preambuły i gładkie zdania w wystąpieniach politycznych. Przemowy pełne banałów i obietnic bez pokrycia. Czasem efektowne, czasem tylko efekciarskie. W pewnym momencie szydło zawsze wyjdzie z worka i okaże się, czyj interes jest tu rozgrywany.

Bonar zerknął na zegarek. Dochodziła czternasta. Niebo za oknem spochmurniało, zanosiło się chyba na pierwszy prawdziwy śnieg. Taki, co nie zniknie po godzinie, przetrwa noc i już zostanie do świąt.

– Nie jest źle, skoro myślę o świątach – szepnął pod nosem.

Jeszcze wczoraj w jego głowie niepodzielnie panował Księżny i bank, którym kierował. Partner zdrajca, najgorszy, jakiego spotkał w życiu. Cały świat, firma, życie okazały się

jedynie namalowanym na kruchym szkłe złudnym odbiciem rzeczywistości. Szkło wymknęło się z rąk i rozbiło na tysiące kawałeczków. Nie do poskładania. Nic już nie będzie po staremu. Straciłem dziewictwo. Myślałem, że można nie zauważać realiów. Przechodzić obok przekupnych polityków, nieuczciwych kontrahentów, cwanych klientów, kunktatorskich prawników, całej zabagnionej, niewydolnej biurokracji. Nie dostrzegać, że statek tonie, choć orkiestra gra dalej.

Nie można. Wcześniej czy później każdego to dopadnie. W szpitalu, banku, sądzie. Jeśli świat nie działa właściwie, nie można oczekiwać, że akurat nam się upiecze. Nie. Nie. I jeszcze raz nie. W końcu będziemy musieli zareagować.

Natalia była przeciwna wojnie. Bała się Księżnego, choć nigdy wcześniej o nim nie opowiadała, a podczas ostatniej nocnej rozmowy także nie wspomniał o bardziej istotnych podejrzeniach.

– To drań – powiedziała tej nocy. – Jeden z moich klientów miał z nim do czynienia.

– Który?

– Nieważne. Mówił, że to były esbek. Pracował w czasach komuny w NBP, w departamencie dewizowym. W tamtych czasach odpowiadał za przydział dolarów po oficjalnym państwowym kursie, który od czarnorynkowego różnił się dziesięciokrotnie. Wiesz, jaką miał władzę? Praktycznie decydował, kto wtedy mógł pojechać na Zachód.

– Co z tego? – udał, że się nie przejmuje. – Komuna się skończyła.

– Esbecy trzymają się razem, wspierają, tworzą sieci powiązań.

Uśmiechnął się wtedy z politowaniem. Moja żona i jej wyobrażenie o biznesie, spiskach, układach... Ale po zastanowieniu zaczął dochodzić do wniosku, że to ona może być bliższa prawdy. Że te pozornie naiwne zdania lepiej analizują otoczenie niż jego: „Nie wierz w teorie spisku”.

– Dlaczego nie możemy po prostu wyjechać tak jak Sławek i zaczekać, co się stanie? – zapytała nagle.

– Przecież to ty nie chciałaś wyjeżdżać.

– Sama nie, ale z tobą mogę pojechać.

– I zostawisz galerię?

– Urządzę sobie nową za granicą.

– Magda ma chłopaka, pamiętasz? A Romek... szkołę tańca i inne rozrywki.

– Wrócimy, jak się uspokoi. Zostawisz sprawy prawnikom, a kiedy to się skończy,



wrócimy. Może za tydzień, może za miesiąc. Romek nawet się ucieszy. Lubi podróże i zmiany. Chłopak Magdy poczeka. A jak nie, to znaczy, że nie był jej wart.

Oszukiwała się czy wierzyła w to? Adam dobrze wiedział, że jeśli uciekną, to na zawsze. Księżny nie odpuści. Zrobi z niego bandziora, zadłużonego, nieuczciwego cwaniaka. Oszusta. Twórcę piramidy finansowej, który był tak bezczelny, że nawet siedzibę zaprojektował w kształcie piramidy.

Zainspiruje media do kolejnych ataków. Wciągnie nadzór finansowy, który już wysyłał sygnały ostrzegawcze i zapowiadał przesłuchania. Naśle urząd skarbowy. Wykorzysta znajomości w biurokracji, a może i w tych osławionych tajnych sieciach powiązań. Wytoczy działa. Nie pozwoli na to, by się podniósł.

Jak każdy drapieźnik, będzie okrutny i pozbawiony skrupułów.

Przejmie Selac zgodnie ze swoimi założeniami. Zabierze mu to hołubione przez lata w pocie czoła dziecko. Nie będzie do czego wracać.

Sławek to przewidział. Podobnie jak Natalia nie chciał walczyć. Miał swoje oszczędności, inne plany niż wojny z esbekami, fiskusem, prokuratorami i kogo tam jeszcze mogą ściągnąć im na głowę. Od początku zresztą Selac nie był jego priorytetem. Posiadał inne firmy, akcje w domach maklerskich w Londynie, spółki na Cyprze, odłożone pieniądze. Nic nie musiał. Uznał, że czas na emeryturę.

– Chcesz, to walcz – powiedział mu na koniec. – Ja spadam, to nie moja bajka.

Oczywiście Adam też dużo nasłuchiwał się o Księżnym. Wiedział, że jest groźny. Ale się nie bał. Naprawdę nie wierzył w teorie spiskowe. Uważał, że to forma autoreklamy i wzbudzania respektu. Takie mendy po prostu korzystają ze strachu, który zasieją. Same roztaczają legendy i podsycają ogień pod kociołkiem wzajemnych oskarżeń. Udają wszechmocnych gangsterów, choć za paskiem noszą tylko pistolety na wodę.

Znał takie przykłady. Były całkiem blisko.

I pewnie dlatego postanowił Księżnemu pokazać. Przyjął wyzwanie, podniósł rzuconą rękawicę i rozpoczął przygotowania do ostatecznej bitwy. Jednak mimo że tak bardzo się napędzał, tak często i usilnie powtarzał, że jest w stanie wygrać, że może stawić opór, to w głębi duszy wiedział, że stoi na straconej pozycji. Sam nie miał szans.

Dlatego tak bardzo się ucieszył, gdy Stanowski przyjął ofertę. Uznał to za dobry prognostyk. Odwrócenie niekorzystnego trendu.

Sięgnął po telefon i wybudził system ze stanu uśpienia, jednocześnie zmieniając profil ze

SPOTKANIE na OGÓLNY. Ekran zaalarmował o sześciu nieodebranych połączeniach, w tym trzech od Natalii. Bonar poczuł nagły strach, jakby dobre rzeczy musiały zostać zrównoważone złymi. Nie był pewien, czy boi się o żonę, czy o to, co może oznaczać kolejna porażka. Dzisiejszy dzień przyniósł tyle pozytywnych zdarzeń i wiadomości. Oby wiadomość od Natalii nie oznaczała konieczności uzupełnienia rubryki po drugiej stronie bilansu.

Wybrał numer, ale żona nie odebrała.

Zadzwoił ponownie i jeszcze raz. Bez skutku.

Przymknął oczy i raptem zobaczył jakąś koszmarną wizję, w której coś dzieje się z Romkiem i Magdą. To było bardzo nieokreślone, dziwaczne, żaden spójny obraz, ale coś mu mówiło: zaraz zabierzemy się za twoją rodzinę. Za dzieci albo za żonę. Albo za wszystkich naraz. Tego chcesz? Oberwałeś w biznesie i powinieneś się z tym pogodzić, żeby nie dostać jeszcze zwrotki w sferze osobistej. Chcesz zobaczyć powyrywane paznokcie? Usłyszeć krzyk własnych dzieci w słuchawce? Chcesz tego?

Czy Księżny byłby do tego zdolny? Byłby zdolny skrzywdzić mu rodzinę?

– Adam... – W drzwiach stała asystentka. – Przyszła już ta kobieta z „Expressu Finansowego”.

Nie, to niemożliwe, to nie są bandyci. Grają ostro, ale nie robią fizycznej krzywdy przeciwnikom.

Przynajmniej miał taką nadzieję.

Po raz ostatni zadzwonił do Natalii, a gdy usłyszał sygnał niedostępności abonenta, wyciszył dźwięk telefonu, wybrał cichy profil SPOTKANIE i ruszył do konferencyjnej.

Dziewczyna była bardzo chudą blondynką o ostrej, niezbyt ciekawej twarzy, wąskich ustach i czujnych niebieskich oczach. Nie była piękna, ale coś w tej twarzy wydawało się co najmniej pociągające. Ciało sprężyste i silne. Nieco za duże i za bardzo odstające uszy. Za to zgrabny nos. Ogólnie nieźle.

Tak, z pewnością znalazłaby zatrudnienie w Selacu, gdyby tylko chciała.

– Kasia Jarosz. – Miała mocny uścisk dłoni, co też mu się spodobało.

– Adam Bonar. Napije się pani czegoś?

– Poprosiłam już o kawę.

– Zaraz będzie. – Włączył interkom i powiedział: – Aniu, dla mnie też kawa.

Dziennikarka wyjęła notes i dyktafon. Położyła je na stole.

– Nie ma pan nic przeciwko nagraniom?

Zaprzeczył zdecydowanym ruchem głowy.

– Dziękuję, że przyjęła pani zaproszenie – przeszedł do rzeczy.

– Od kilku dni jest pan na ustach analityków – odparła. – Miło, że chce pan rozmawiać z „Expressem”.

Bonar uśmiechnął się znacząco. Oboje zdawali sobie sprawę, dlaczego zadzwonił akurat do tej gazety. „Express Finansowy” miał kiedyś duży konflikt z Kubą Zimnym, a teraz Kuba wystąpił przeciwko Bonarowi. Kto byłby lepszym sojusznikiem niż gazeta nienawidząca dziennikarza, który ją zaatakował?

– Co mówią analitycy? – zapytał.

– Zastanawiają się, czy przeżyjecie – powiedziała bez ogródek. – Banki podobno wstrzymały wam finansowanie. Doniesienia prasowe o podwójnej księgowości, sugestie oszustw i nieprzejrzystych transakcji nie pomogą ich przekonać do odblokowania linii kredytowych. Nadzór finansowy także wypowiada się dość ostro o tych różnicach w raportach i trzystumilionowym manku.

– Oni akurat powinni siedzieć cicho.

– Dlaczego?

– To poniekąd przez ich procedury pojawiły się te nieścisłości.

Kasia zerknęła do notesu i zacytowała rzecznika Komisji Nadzoru Finansowego:

– „Sprawdzamy sygnały o nieprawidłowościach, także te dotyczące spółki Selac”.

– To ogólniki.

– „Jeśli potwierdzą się doniesienia prasowe, zostanie wszczęte postępowanie w sprawie – cytowała dalej Jarosz. – Spółce i zarządowi grozi kara finansowa, skierowanie sprawy do prokuratury, zawieszenie notowań, a w ostateczności wykluczenie z obrotu na rynku publicznym”.

Adam chciał powiedzieć coś bardziej dosadnie, ale ostatecznie uznał, że na razie ma dość wrogów, po co prowokować kolejnych?

– Nie spieramy się z nadzorem, tylko z bankami – oznajmił.

Jarosz chyba nie od razu zrozumiała wagę stwierdzenia Bonara. Patrzyła bez wyrazu, czekając na dalsze wyjaśnienia.

– Zerwaliśmy umowy z trzema największymi instytucjami finansującymi – wypalił biznesmen.

– Co takiego? – Dziewczyna wyraźnie się ożywiła. To był news na pierwszej stronie. Ale

raczej jako gwóźdź do trumny Selacu niż ratunek.

– Nie potrzebujemy banków. Tak naprawdę od pół roku już z nimi nie współpracujemy. Dzisiejsza sytuacja jest tylko jednym z efektów znacznie poważniejszego konfliktu.

– Chyba musi mi pan o tym opowiedzieć od początku. Dziennikarka wyraźnie nic nie rozumiała, czemu Adam się nie dziwił. On też nie pojmował wielu rzeczy z całej tej trwającej od dawna wojny podjazdowej, która właśnie zmieniała się w otwarty konflikt.

– Po to panią zaprosiłem – odparł.

Pierwszy wcale nie był Księżny. Kłopoty Selacu zaczęły się pół roku wcześniej, gdy banki zrozumiały w końcu, że rynek leasingu wcale nie jest marginesem sektora finansów. Znaczył już wystarczająco dużo, rozrósł się i wdarł w segment dotąd zarezerwowany dla dużych instytucji.

– Chyba nikt nie przewidział, że to się tak rozwinie – wyznał Bonar dziennikarce. – Dziesięć lat temu banki w ogóle nie chciały słyszeć o takich usługach. Nie rozumiały ich. Działały w prostym schemacie: przyjmując pieniądze na lokaty i pożyczając je na wyższy procent. Nie rozumiały różnicy pomiędzy leasingiem a kredytami, zatem nie wiedziały, co więcej mogły na tym zyskać.

Bonar przypomniał sobie, jak stał wówczas przed dyrektorem pewnej szacownej instytucji i po raz nie wiadomo który tłumaczył mu, na czym to polega i dlaczego się opłaca. W końcu bankowiec przerwał „tę pustą dyskusję” i poprosił o konkrety.

Ile na tym zarobi? Jakie jest ryzyko i zabezpieczenie? Kto zagwarantuje realizację zobowiązań?

Bonar wziął kartkę papieru, napisał na niej dwa wzory i rząd cyfr. Sprawa była banalnie prosta. Bank udzielał finansowania gwarantowi, za co niemal od razu otrzymywał prowizję i zwrot z inwestycji. Zabezpieczenie na pojazdach plus weksel, czasem dodatkowe zastawy na papierach wartościowych czy majątku. Ryzyko oczywiście było, ale to głównie Selac brał je na siebie, gwarantując spłatę i podpisując wymagane czeki i weksle.

Jedynym tak naprawdę ryzykiem banku był sam Selac.

– A jeśli...

Bankowiec nie dokończył, więc Adam dopowiedział:

– ...jeśli okaże się oszustem, a Selac jakąś piramidą? Wartość przedmiotów stanowiących zabezpieczenie zawsze będzie wyższa niż kwota kredytu.

Mimo wątpliwości dyrektor zaufał mu i nie żałował. Adam i Sławek w rok rozkręcili firmę, spłacili długi i rozpoczęli szybki marsz na szczyt.

„Centrala” na Ochocie, ledwie mieszcząca trzy biurka i przedsionek kuchenny, szybko okazała się za mała, bo klienci musieli czekać na obsługę, siedząc na murku w parku. Powiększenie niewiele dało, kolejki kończyły się na schodach. Sławek sprawił sobie luksusową hondę, a Adam fordę. Kolejnego sylwestra świętowali już w nowym domu

Adama pod Warszawą. Sławek pokazywał mu zdjęcia z Borneo i opowiadał o planach rejsu dookoła świata jachtem, który na wiosnę miał zostać zwodowany w Gdyni. Dwa maszty, piętnaście metrów kadłuba, trzy kajuty, kuchnia, nowoczesna nawigacja, prawdziwy mostek kapitański.

– Mam nadzieję, że się ze mną wybierzesz.

Adam skupiał się na wychowaniu syna i pierwszych wojnach z dorastającą córką, więc o wielkiej podróży musiał zapomnieć. Kupił znacznie mniejszy jacht na Mazurach, a resztę energii wpakował w przygotowanie oferty publicznej. Sławek w tym czasie kochał się na zabój w dwóch Tajkach i nie wiedział, którą wybrać. Obie zatrudnił w Selacu i wykorzystał ich wizerunki na reklamach.

Taka obsługa tylko w Selacu.

Efekt: wzrost zamówień o piętnaście procent. Adam poszedł jeszcze dalej i zrobił kampanię ze zdjęciami pracownic Selacu w kalendarzu i na billboardach. To też był strzał w dziesiątkę. Miał w nosie cały ten feminizm, gender, dyskusje o godności i innych półprawdach.

Prawda była prosta: uroda szła w parze z interesami.

Krótką spódniczka przyciągała wzrok, a piękny uśmiech i duże oczy prowokowały do ullańskich szarży, okazania męskości i gestu. Dla niego nie miało znaczenia, czy kobiety są mądrzejsze, ładniejsze, sprytniejsze. Ani nawet fakt, że chciał je mieć. Liczyło się to, że sprzedawały więcej niż faceci.

Rynek kapitałowy doceniał tylko pieniądze i sukces. Nieważne, jakimi metodami je osiągnano.

– Selac był jedną z pierwszych spółek leasingowych na giełdzie? – zapytała dziennikarka.

Bonar skinął głową.

– Potrzebowaliśmy kapitału, bo biznes właściwie skakał, zamiast iść do przodu. Akcje i obligacje miały nam pozwolić trochę zredukować zadłużenie i rozwinąć skrzydła. Giełda, choć mała i zaściankowa, dawała pozory prestiżu i uwiarygadniała nas również w oczach banków. Wie pani, te slogany, że duży chce robić interesy z dużym, biznes potrzebuje zaufanych partnerów, giełda zapewnia przejrzystość i jakość, sama staje się gwarantem...

– Co więc poszło nie tak?

– Dostałem nagrodę dla prezesa najbardziej perspektywicznej spółki giełdowej. – Bonar uśmiechnął się pod nosem. – Akcje Selacu odnotowały najwyższy wzrost na całej giełdzie,

trzysta procent w ciągu roku.

– To niedobrze?

– W rankingu wyprzedziłem jednego ważnego prezesa. On bardzo liczył na ten laur. Lubi wieszać na tablicy z trofeami tytuły i dyplomy.

– Chce pan powiedzieć, że został zaatakowany z powodu takiego drobiazgu?

Adam wcale nie był tego pewien, ale odparł: – Nie. Chodziło o coś więcej.

Na początku roku rozpoczął się generalny problem z bankami. Pod byle pretekstem zaczęły odmawiać finansowania, a pewna włoska instytucja po prostu przestała odbierać telefony, nie odpowiadała na maile, udawała, że nie istnieje. Mimo zawartych umów i bardzo dobrych dotąd relacji coś się zwyczajnie skończyło. Zerwane nagle, jednym niespodziewanym ciosem w szczękę.

Tak się kończy przyjaźń z bankierem.

– Jak to możliwe?

– Trudno uwierzyć, prawda? Mieliśmy umowy, które nagle nasi „przyjaciele” przestali respektować. Nie sposób było na to zareagować, bo na otwarty konflikt nie było nas stać. Okazaliśmy się głupcami, licząc, że jakoś to będzie i nastąpi zmiana podejścia. Tak to jest, że człowiek zawsze najpierw poszukuje jakiegoś racjonalnego wyjaśnienia, roli przypadku, nieporozumienia. Nie dopuszcza do siebie myśli, że ma do czynienia z kanciarzami.

– Nie za mocno?

– Tylko kanciarz trzyma w rękawach drugą talię kart, zmienia reguły gry, gdy mu to odpowiada, a na koniec, jeśli to nie podziała, wyciąga spluwę i przystawia innemu graczowi lufę do głowy.

– Kanciarz, dobre. – Kasia pokręciła głową. – Co dalej z tym kanciarzem? Strzelił?

– Nie wiem – mruknął Bonar. – Może tak, może nie. A może to gra w rosyjską ruletkę? W bębenu jest sześć komór na pociski i tylko jeden nabój.

– Nie rozumiem.

– Powiem pani szczerze, to chyba nie koniec pojedynku, więc albo strzelił i trafił na pustą komorę, albo nabój był niewypałem, a może strzał dopiero nastąpi. Niewykluczone, że rozmawia pani z duchem, którego ciało z przestreloną głową zakopano gdzieś w lesie.

– Bankierzy nie są gangsterami.

– Ma pani rację. Mordują w sposób spektakularny, nie przejmując się opinią publiczną, a nawet czerpiąc radość z tego, że ona patrzy. Demonstracja siły i potęgi działa lepiej niż

znikające zwłoki i listy tajemniczych samobójców.

– Nie to miałam na myśli.

– Tak naprawdę chodzi o to, że banki mają swoje firmy leasingowe, które nie wytrzymują konkurencji. Nie jesteśmy biurokratami, ale sprzedawcami, którzy wychodzą do klienta, zamiast czekać na niego za biurkiem. Proszę wyobrazić sobie fabrykę, która ma zamówienia, świetnych pracowników, doskonałe maszyny, a tu nagle ktoś wyłącza prąd. Firmę leasingową wystarczy odciąć od pieniędzy i przestaje być konkurencyjna. Jeszcze lepiej powiedzieć, że pogorszyła się jej sytuacja. Wtedy klienci pójdą do konkurencji, czyli do banku. Tak czy inaczej, mamy ostry konflikt, który raczej nie zakończy się bezkrwawo.

– Ale... właściwie dlaczego tak się stało? Skoro tyle lat współpracowaliście, to w czym problem? Co się zmieniło?

– Nie wiem – skłamał Bonar. – Po prostu chcą zarobić więcej i myślą, że tak będzie, jeśli wyjdą z ofertą bez pośredników.

– W sumie logiczne.

– Nie do końca. Banki są skostniałe, przeładowane procedurami, zasadami, wymogami bezpieczeństwa i tak dalej. Rywalizacja z nami jest bez sensu, przynajmniej z ekonomicznego punktu widzenia. Co innego z prestiżowego. Teoretycznie mogły założyć, że jeśli wykończą pośredników, to przejmą cały rynek, ale tak naprawdę mogą doprowadzić do jego upadku albo znacznego ograniczenia.

– Wojna nie służy biznesowi? – zapytała dziennikarka.

– Nawet nie o to chodzi. Po prostu jest to złe założenie. Dlaczego w każdym biznesie duzi gracze poszukują partnerów, dają licencje na swoje produkty, tworzą sieci partnerskie? Czemu, skoro nie muszą się z nikim dzielić i mogą sprzedawać bezpośrednio?

– To oczywiste: inwestują w kanał sprzedaży.

– Ale potem go nie przejmują ani nie likwidują, prawda? Szanują partnerstwo, przynajmniej ci rozsądni, bo wiedzą, że nawet dzieląc się, zarabiają więcej, niż gdyby działały tylko bezpośrednio. Mało tego, taka polityka wpływa ogólnie na rynek, powoduje wzrost zainteresowania i sprzedaży, choć konkurencja ciągle rośnie. To jasno pokazuje, że konkurencja jest zdrowa. Daje rynkowi same pozytywy.

– Czasem jednak sytuacja się zmienia i koncerny także działają przeciwko swoim kanałom partnerskim.

– Głównie kiedy zyskują pozycję monopolisty i mogą sobie na to pozwolić albo gdy



traktują coś ambicjonalnie, a nie biznesowo. Dla rynku to jednak źle.

Jarosz chyba rozumiała, ale coś jej przeszkadzało. Wyraźnie miała ochotę zadać jakieś trudne pytanie. Adam zamilkł i zachęcająco kiwnął głową. No, nie bój się tak, dziewczyno. Dla całego rynku jestem bandziorem, więc nawet najtrudniejsze pytania mi nie zaszkodzą.

– No dobrze, pan próbuje to całkiem logicznie wyjaśnić, ale...

– Coś się pani nie podoba, prawda?

– Ten tekst Zimnego – odparła. – No więc... może to jest tak, że pan próbuje to uogólnić i wyolbrzymić, a tak naprawdę chodzi o pozbycie się chorych ziaren ze zbiorów. Może banki zauważyły nieprawidłowości w Selacu i dlatego tak zareagowały, a pan próbuje z tego zrobić jakąś mityczną wojnę tytanów i postawić się w roli słabszego, żebyśmy trzymali pańską stronę.

– Nie było żadnych nieprawidłowości.

– Pan tak twierdzi.

– Udowodnię to.

– Proszę bardzo.

Adam przymknął na chwilę oczy, próbując ułożyć sobie w myślach cały ciąg zdarzeń, który doprowadził do tego bałaganu. Nagłe odcięcie finansowania przez banki, próby pozyskania kapitału z innych źródeł, wciąż rozwijający się biznes, kolejne otwarte paszcze domagające się pożywienia. Sukces Selacu stał się jego gwoździem do trumny. Oferta i usługi były za dobre. Przyciągnęły zbyt dużą liczbę klientów. Sprawily, że przekroczyli punkt krytyczny, o którym tyle słyszał od przyjaciół i fachowców od ekonomii skali. Dochodzisz do momentu, gdy już samodzielnie nie możesz przeskoczyć dalej, gdy powodzenie zamienia się w serię porażek, działalność staje się zbyt kosztowna, potrzeby nie do zaspokojenia, chłonność kapitału zbyt zaborcza. Zaczynasz zjadać własny ogon i wiesz, że uratować może cię jedynie zastrzyk, który pozwoli wyrównać proporcje i przekroczyć barierę. Osiągnąć kolejny poziom rozwoju.

Gdy we wrześniu Księżny zawitał do jego biura, Adam myślał, że właśnie pojawia się szansa na taki krok. Ale prezes banku miał inny plan.

– Sprawa jest dość banalna, więc boję się, że pani mi nie uwierzy.

– Proszę spróbować.

– Słyszała pani o raportach robionych według dwóch standardów – międzynarodowych standardów rachunkowości oraz według naszej, polskiej ustawy?

Dziennikarka skinęła tylko głową.

– No więc nadzór giełdowy nakazał nam sporządzać raporty według obydwu procedur, nie zgodził się na wybór jednej. To spowodowało nieścisłości, gdyż nasze wyniki znacząco się różniły w obu opcjach. Oczywiście wiele spółek tak robi i nikt tego specjalnie nie analizuje. Ale w naszym przypadku audytor wskazał różnice, zaznaczając bardzo niezręcznie, że jeden raport nie odzwierciedla prawidłowo stanu naszych finansów. Zrobił ten zapis na tyle dwuznacznie, iż sam myślałem, że mamy jakiś problem. Dopiero po sprawdzeniu okazało się, że to kwestia wyłącznie papierowa. Nie ma żadnego manka, żadnych malwersacji, kradzieży czy wyprowadzania pieniędzy. Audytor dał pole do spekulacji, co wykorzystał Zimny, a raczej nasz wróg, który podesłał mu dane i komentarze.

Kasia Jarosz przeczytała to, co zanotowała. Próbowała zrozumieć, ale ostatecznie poległa. Nie, to się nie trzymało kupy.

– Chce pan powiedzieć, że wyjaśnienie jest tak proste?

Bonar rozłożył ręce w geście „nie mam nic do ukrycia”. Jeśli pani chce, proszę dalej pytać. Tylko ostrzegam: to nie będą łatwe sprawy.

– Wyjątkowo – podkreślił. – Selac działa skrupulatnie, jak nakazuje prawo i nadzór, a przez niezręczność w opisie audytora staje się celem ataków i...

– No dobra – przerwała Jarosz. – Nawet jeśli to prawda, to jak pan wytłumaczy inne oskarżenia?

– Inne? Przecież to jedyny zarzut.

– Nieprawda. – Przerzuciła parę kartek w notesie. – Zimny pisze o transakcjach na walutach, opcjach, tajemniczych operacjach finansowych, które spowodowały zniknięcie tych... legendarnych już trzystu milionów.

– To tylko różnice w księgowaniu aktywów i pasywów według wspomnianych przeze mnie standardów. Mocno upraszczając: w jednym raporcie nasz majątek wynosi siedemset milionów, w drugim miliard, bo część należnych nam zobowiązań od kontrahentów została przeniesiona do innych pozycji, tak jak nakazywało prawo. Proszę zrozumieć...

– Przykro mi – znów mu przerwała – ale pana wyjaśnienia nie brzmią przekonująco.

– Taka jest prawda.

– Ale dlaczego pan tego nie wytłumaczył Zimnemu? Nie wierzę, żeby nie chciał wysłuchać. To dobry dziennikarz.

Bonar zawahał się, czy powiedzieć prawdę, czy wciąż powtarzać, że w tym czasie, gdy

powstawał artykuł Zimnego, po prostu nie znał jeszcze wyników dokładnych analiz i przyczyn kłopotów, w jakie popadli.

– Być może. Ja mu nie ufałem – odparł krótko.

– Dlaczego?

Adam zagryzł wargę. Dobra, pora na odkrycie kart. Wóz albo przewóz. Albo dziewczyna mi uwierzy, albo nic już nie pomoże. A jeśli uwierzy, ale i tak nie będzie mogła opisać? Co to zmieni...

Sięgnął do torby i podał dziennikarce wydruk maila od „Tylko Prawdy”.

– Co to?

– Proponują mi współpracę. Napisali tekst, a teraz oferują partnerstwo, więc, jak rozumiem, nie będą już pisać.

– To świństwo.

– Pani gazeta robi inaczej?

Kasia zawahała się.

– Nie wiem. Ja robię inaczej. Zimny... ale kutas – bąknęła, a widząc grymas niechęci na twarzy Bonara, dodała: – Przepraszam za wyrażenie.

– Jestem językowym purystą – powiedział Bonar. – Nie używam przekleństw.

Chwilę milczeli.

– To znaczy, że więcej tekstów nie będzie? – zapytała.

– Będą. Odpowiedziałem, że nie jestem zainteresowany współpracą. Poza tym ich zleceniodawca jest na mnie bardzo wkurzony, więc i tak by mi nie odpuścili. Kto wie, może nawet by napisali, że to ja próbowałem ich przekupić, gdybym wyszedł z jakąś ofertą.

– Zleceniodawca? Kim jest?

Adam przejechał językiem po przednich zębach i odkrył swoją ostatnią kartę, nadal się zastanawiając, czy to blotka, czy dzoker.

– Słyszała pani o Wojciechu Księżnym?

– Prezesie Polskiego Banku Gospodarczego?

– Właśnie o nim.

– Osiągnął wprawdzie wysoką pozycję, ale nie dorównał Kostrzewie. Nigdy nie nazwano go złotym dzieckiem. W zasadzie nie przeprowadził żadnej spektakularnej operacji.

– Choć bardzo się starał. Był jednym z pierwszych prywatnych bankierów w Polsce.

– Było o nim za cicho, by się wybił.

– Może nie szukał rozgłosu. I może miał powody.

– Tacy ludzie nie trafiają do podręczników. Jaką rolę odegrał w pana historii?

– Kilka tygodni temu przyszedł i zażądał sprzedaży akcji Selacu za jedną siódmą wartości.

Zapowiedział, że będę miał kłopoty, jeśli odrzucę ofertę.

Jarosz zacisnęła usta. No ładnie. Kolejny spiskowiec. Czy oni wszyscy naprawdę myślą, że gazeta o renomie „Expressu Finansowego” będzie publikować takie urojenia?

– A pan się nie wystraszył i oto efekt, zgaduję – powiedziała z nutą ironii. – I teraz musi pan cierpieć w sporze ze złym bankiem, złym dziennikarzem i całym złym światem.

– Chyba nie udało mi się pani przekonać – rzekł Bonar.

Jarosz roześmiała się.

– No, chyba nie. Powinien pan popracować nad dykcją i budowaniem napięcia, a nuż wtedy by się udało.

– Może pani wierzyć lub nie, ale banki próbują zaorać cały rynek leasingu – zakończył Bonar.

– A pan nie jest manipulantem i oszustem, tylko ofiarą złych banków? No i jak pan sobie teraz z nimi poradzi?

Bonar długo czekał, zanim opowiedział jej o chytrym planie profesora. Chyba jednak po sukcesie ze Stanowskim trend się odwrócił. Patrzył w oczy tej młodej dziewczyny i zastanawiał się, co sprawia, że takie kobiety – czy też dziennikarze w ogóle – jednym wierzą bez problemu, a innych od razu wkładają do zbioru z kłamcami.

Nie kłamał, ale czy kogoś to obchodziło...

Telefon Natalii wciąż był wyłączony. Magda także nie odbierała. Romek nie miał jeszcze swojego aparatu. Gospośia nic nie wiedziała. Ze zdziwieniem wysłuchiwała pytań, po czym bąknęła, że nikogo nie ma w domu.

Do diabła, co się dzieje?

Dręczyło go dziwne przeczucie, że to coś poważnego. Nigdy dotąd Natalia nie wyłączała telefonu bez uprzedzenia. Nigdy dotąd się nie zdarzyło, by przez parę godzin nie miał sygnałów od rodziny. Zaczął się obawiać, że to coś niedobrego, choć usilnie próbował te obawy od siebie odsunąć. Ileż to razy powtarzał w myślach: nie wywołuj wilka z lasu.

Jak długo jeszcze mógł czekać?

Przez chwilę chciał zadzwonić do Księżnego i zarzucić go inwektywami. Jeśli zrobisz krzywdę moim dzieciom, zabiję cię. Kupię giwerę i strzelę ci w łeb. Nawet się nie zawaham. A jeśli skrzywdzisz Natalię...

Nie waż się ich tknąć!

Jeszcze chwila, jeszcze godzina. Może jednak się odezwą. Odbiorą telefon. Zadzwonią...

Wyszedł z biura i poszedł do włoskiej restauracji. Zamówił prosty makaron i lampkę wina, ale upił tylko łyk. Może będzie musiał zaraz sięść za kierownicą, lepiej nie ryzykować. Od dawna nie ryzykował i dobrze, bo już po pierwszej wizycie Księżnego z żądaniem sprzedania Selacu miał dwie dziwne kontrole policyjne. W obu przypadkach kazali mu dmuchać w alkomat, a za drugim razem dodatkowo potraktowali go jak bandziora, rzucili na ziemię, obszukali i przystawili broń do głowy.

Nie wyobrażał sobie, że coś takiego jest możliwe.

– Przepraszamy – powiedział mu wtedy na komisariacie oficer dyżurny. – Po prostu jest pan bardzo podobny do poszukiwanego.

Pokazał mu nawet zdjęcie i rzeczywiście Adam był odrobinę podobny. Przyjął wyjaśnienia, uznając całe zdarzenie za przypadek, choć do dziś nasuwało mu ono pytania, które odbijały się od ścianek umysłu jak piłki w sali do squasha.

Czy to znak, ostrzeżenie, obietnica?

Nasze macki sięgają tak daleko, że powinieneś się bać. Jesteśmy zdolni do wszystkiego. Mamy nieograniczone możliwości. Urzędnicy, bankierzy, nadzorcy, a nawet przedstawiciele organów ścigania są po naszej stronie. Mafia. Prawdziwa mafia. Nieprzewidywalna, skryta,

piekielnie groźna, wpełzająca swoimi mackami w każdy zakamarek pozornie normalnego życia. Kto wie, jak daleko to sięga.

– Co zrobił ten poszukiwany? – zapytał policjanta.

– Jest mordercą.

A gdybym to ja okazał się tym mordercą? Czy ktoś by mi uwierzył, że jestem niewinny, że oskarżenia są absurdalne? Wystarczyło znaleźć jakiegoś świadka koronnego, który by powiedział: to ten człowiek zabił generała Papatę. Albo gangstera Pershinga. Albo Masę. Masa żyje? Widocznie mi się pomyliło i chodzi o Baranię albo innego. Zabójstwo to za mocny zarzut? Nikt nie uwierzy? To może zrobimy z ciebie pedofila. Obrzydliwe, prawda. Pedofilowi nikt nie poda ręki. Nikt nie będzie chciał go bronić. Zarzuty o pedofilię są dziś modne nie tylko w środowisku księży, artystów i reżyserów filmowych.

Co mógłbym zrobić, gdyby Zimny nagle napisał w swojej gazecie: znany przedsiębiorca okazał się poszukiwanym przez policję mordercą, pedofilem, gwałcicielem, zbrodniarzem wojennym? To takie nieprawdopodobne? Pewnie tak, w każdym razie dla spokoju sumienia lepiej nie myśleć, że to możliwe.

Nie opowiedział Natalii ani o jednym, ani o drugim zdarzeniu. Milczał także o innych przypadkach – gdy miał wrażenie, że jest obserwowany, śledzony, gdy komputer działał mu zbyt wolno albo komórka zawieszała się podczas rozmowy, szumiała i wydawała dziwny pogłos. Ani też o samochodzie z przyciemnianymi szybami, który czasem parkował po drugiej stronie ulicy, za siedzibą Selacu, a gdy on wychodził z biura i szedł w jego kierunku – nagle odjeżdżał.

Nie chciał jej denerwować.

Nie chciał, by uznała go za czubka.

Jednak zmienił trochę swoje postępowanie i zaczął stosować środki ostrożności, które wcześniej uważał za zbyteczne, a nawet paranoidalne.

Odstawił jedzenie, prawie go nie ruszając, i wyszedł na spacer. Gospościa musiała już skończyć pracę i pójść do domu, bo nikt nie odbierał. Śnieg szybko stopniał i nie było po nim śladu. Zapowiadały się kolejne bure święta. Przeciwnicy technologii wznosili toasty, uznając, że mają kolejny dowód na globalne ocieplenie i zabójczą politykę człowieka.

W otwartym niedawno kinie przy Wspólnej grali *Słodkie życie* i Adam pomyślał, że to dobry tytuł dla niego, choć wiedział, że film Felliniego wcale słodki nie jest. Bilet kosztował dwanaście złotych i nie było na nim numeru fotela.

– Proszę usiąść gdziekolwiek – wyjaśniła kasjerka. – Na pewno będą wolne miejsca.

Wyszła z kasy, zniknęła w korytarzu z łazienkami i już nie wróciła. Może całkowicie wypadłem z realu do jakiejś wirtualnej krainy – pomyślał. Na sali kinowej oprócz niego siedziały tylko trzy osoby: jakaś para w ostatnim rzędzie, która przez pół seansu wymieniała uściski i pocałunki, oraz niska dziewczyna o kręconych rudych włosach, brzydka, w okularach, zajadająca popcorn. Po seansie podeszła do niego i rzuciła mimochodem:

– Myśli pan, że to się dzieje naprawdę? Tego kina nie ma tu od dwudziestu lat. Proszę nie wierzyć pozorom.

Wychodząc, dostrzegł jakiś ruch przy końcu ulicy, jakby za rogiem zniknął właśnie samochód z przyciemnianymi szybami.

Może rzeczywiście oszalałem? Stałem się groźny dla siebie i innych?

Była siódma. Natalia wciąż nie odbierała. Nie odpowiedziała na esemesy. Coś się musiało stać. Był już tego pewien. Chyba że... chyba że rzeczywiście to nie działa się naprawdę. Może dostał jakąś tabletkę i cały ten dzień jest dla niego fantasmagorią.

W telewizji ostatnio ostrzegali przed niewykrywalnymi tabletkami, które dają się rozpuścić w jakimkolwiek płynie, nie mają smaku i zapachu, a ulatniają się z organizmu bez śladu po zaledwie ośmiu godzinach. Jeśli to prawda, każdego można zniszczyć, każdym można manipulować.

Dziennikarka, która chce mu pomóc, pomysł na załatwienie Księżnego, zniknięcie Natalii, to nierzeczywiste kino z dawnych lat, jakiś jeżdżący za nim samochód. Wiele by dał, by to były tylko zwidy...

Ale nie były.

Uszczypnął się w ramię, czując wyraźny ból.

Wahanie trwało tylko chwilę. Wbił numer ręcznie, gdyż tego ciągu cyfr nie zapisał w kontaktach. Po dwóch sygnałach ktoś odebrał połączenie, ale nic nie powiedział.

– To ja – szepnął Bonar.

– Przecież wiem.

– Przepraszam, że nie dzwoniłem.

Milczenie. Sekunda. Dwie. Pięć...

– Czemu teraz dzwonisz?

Zawahał się, ale powiedział prawdę:

– Chyba... potrzebuję pomocy.

Po drugiej stronie ponownie zaległa cisza. Adam niemal widział oczami wyobraźni, jak na twarzy rozmówcy wykwita wyraz dumy i triumfu. Myślałeś, Adamie, że nigdy mnie nie będziesz potrzebował. Myślałeś, że można tak po prostu coś przerwać, zakończyć, odciąć się i spokojnie przejść do kolejnego etapu życia. Myślałeś, że to takie proste...

– Co się stało?

– Zadarłem z Księżnym.

– Z kim?

– Prezesem PBG. Nie pamiętasz go?

– Aha, słabo. No i co z tego?

– Mówią, że to były esbek i że stoją za nim służby.

– Nie wierz w bajki. Wszyscy tam się chwala, że są ze służb, a tak naprawdę nic nie mogą, nic nie wiedzą, nic nie umieją. Takie odwrócone trzy małpki. Prężą tylko muskuły.

– Skutecznie.

– Wystraszyli cię?

– Wcześniej tylko trochę. Teraz... bardzo.

– Co zrobili?

Jak miał to powiedzieć, żeby nie popaść w histerię, żeby nie pokazać, jak jest słaby i zrezygnowany, jak bardzo w tym momencie przypomina szaleńca?

– Od rana nie mam kontaktu z Natalią.

Chwila ciszy.

– No i?

– Z dziećmi też nie.

– Byli razem?

– Chyba tak.

– Zniknęli?

– Tak.

– I ty boisz się, że Księżny coś im zrobił?

– Wiem, że to głupie, ale...

– Biznes na tym poziomie to nie zabójstwa i porwania. Prężenie mięśni nie kończy się konfrontacją, chyba że zagonisz takiego klienta pod ścianę. A nie zagoniłeś, prawda? Nie sprowokowałeś ich?

– Chyba nie.



– Szukaj więc przyczyny gdzie indziej.

– Tak, wiem, szukam.

Znów zapadło krępujące milczenie. Zbyt długo ze sobą nie rozmawiali, by wciąż rozumieć się bez słów, jak dawniej. Dzieliła ich coraz wyższa i grubsza bariera. Kiedyś było inaczej.

– Niepotrzebnie zadzwoniłem, przepraszam.

– Poczekaj. Spróbuję się czegoś dowiedzieć.

– Dobrze, dziękuję.

– Jeśli się uda, dam znać. Tak czy owak, zadzwoń jutro.

W komisariacie przy Wilczej dyżurny niechętnie zaczął spisywać protokół, popatrzył na interesanta z mieszanką znudzenia i politowania, po czym powiedział:

– Nie mieliśmy żadnego zgłoszenia wypadku, proszę się nie martwić. Pewnie żona zostawiła telefony w samochodzie albo u znajomych i zapomniała do pana zadzwonić.

– A gdybym... – Bonar się zawahał.

– Tak?

– A gdybym chciał zgłosić podejrzenie porwania?

– Ale naprawdę ma pan do tego podstawy? Jeśli nie, to proszę po prostu jechać do domu i poczekać. Jeśli żony nie będzie i nie skontaktuje się przed północą, proszę zadzwonić na sto dwanaście.

– Dobrze.

– Na pewno nic im nie jest.

– Pewnie tak.

Wyszedł i ruszył na parking, gdzie zostawił lincolna. W domu był przed dziewiątą. Przywitały go ciemne okna i przygnębiające poczucie bezsilności. Było tak dobrze, a jest tak źle. Zajrzał do wszystkich pokoi, szukając jakiegoś pozostawionego przez Natalię śladu. Bez skutku. Do diaska, co robić? Może jednak powinien się uprzeć i nakazać policjantowi, żeby przyjął zgłoszenie o porwaniu. Tylko czy to coś by zmieniło? Zaczęliby działać? W końcu to nie zaginięcie dziecka w lesie czy nad rzeką. Matka i dzieci zniknęły. Może zniknęły, a może uciekły. Może miały powód. Nie ma pan sobie nic do zarzucenia, panie Adamie?

Nie, do diabła! Najwyżej zostałyby okrzyknięty wariatem albo oszołomem, ale miałyby pewność, że coś zrobił. A tak? Co mu pozostało? Nagle sobie uświadomił, jak niewiele wie o samej Natalii i jej przyjaciółkach. Miała galerię, miała znajomych, ale czy z kimś się przyjaźniła? A może był jakiś kochanek? Niemożliwe! Czyżby? Taki jesteś pewien? No, ale do

kochanka nie jedzie się z dziećmi. A jeśli... Nie, podejrzenia były zwyczajnie głupie. Za mało danych, żeby gdybać.

Wpadła mu do głowy myśl o rodzicach, z którymi Natalia nie utrzymywała kontaktu. Może coś sprawiło, że musiała do nich jechać. Coś, o czym nie chciała mu powiedzieć, przynajmniej nie w tej chwili... Niemożliwe! Dziwne, kiedyś bardzo się cieszył, że nie musi wykonywać tych rodzinnych obowiązków. Bał się spotkań, obiadków, świątecznych nasiadówek przy zastawionym stole, nudy i rozmów o tym samym, konieczności udawania, że jest fajnie. Teraz jednak dużo by dał, by móc do nich zadzwonić, zapytać o córkę. Ale nawet nie wiedział, gdzie miałby ich szukać. Natalia natychmiast ucinała wszelkie dyskusje o ojcu i matce. Nie chciała o nich rozmawiać. To dlatego kilkanaście lat wcześniej wyjechała za granicę, gdzie poznała Adama.

Ale teraz od kilku lat żyli oddzielnie. Niby razem, a oddzielnie.

Nic o tobie nie wiem, kochanie, ale to się zmieni – obiecał sobie.

Zmieni się, jeśli dasz mi szansę.

Na dworze panował mrok potęgowany dodatkowo przez mgłę i las. Adama powoli osaczała ciemność. Nie wiedział, kiedy zasnął.

– Adam, Adam.

Początkowo myślał, że to sen. Po chwili nie wiedział już, czy snem jest to, co przeżył w ciągu dnia, czy nachylająca się nad nim buzia Natalii. Z tyłu dobiegł go chichot Romka i karcące „ciiii” Magdy. Otworzył oczy i rozmazane kształty nabrały ostrości. W jednej chwili sprzeczne uczucia zalały go jak fala tsunami.

– Gdzie byliście? – warknął.

Uśmiech zniknął z twarzy Natalii.

– Jak to gdzie byliście? Gdzie ty byłeś?

Chwila! O co tu chodzi? Przecież... Nagle pomyślał, że coś się wydarzyło z jego umysłem. Przeciężenie, sprawy związane z firmą tak go pochłoneły i przemęczyły, że wpadł w coś niewytłumaczalnego, trudnego do wyjaśnienia. Przypomniawszy sobie przypadki, o których opowiadał znajomy psychiatra, gdy spotykali się w gronie przyjaciół. Potrójne osobowości, nagłe utraty pamięci, przedziwne historie, w które trudno było uwierzyć, a jednak się zdarzały.

Czyżby oszalał?

– Nie odbierałaś telefonów – szepnął już spokojniej, wstając i przecierając powieki.

Oczy Natalii błysnęły mieszanką zdumienia i gniewu.

– Nie dzwoniłeś i... sam nie odbierałeś – odparła.

– Ty i Magda – dodał. – Wydzwaniałem cały dzień. Dziesiątki razy...

– Magda, tata dzwonił?

Córka pokręciła głową.

Natalia usiadła przy Adamie i spojrzała mu prosto w oczy.

– Wiem, że jesteś zmęczony, ale nie powinieneś zapominać o obietnicach. Dziś byliśmy na koncercie w szkole Magdy. Zapomniałeś o nim? Koncert na rzecz chłopca z jej klasy, który zachorował. Jego rodzice bardzo liczyli, że przyjdiesz. Chcieli podziękować za wsparcie.

Koncert? Chory chłopak? Wsparcie? Tak, teraz sobie przypominał. Selac przekazał sporą kwotę na leczenie, ale to wciąż było za mało. Adam miał pojawić się na koncercie jako jeden ze specjalnych gości, darczyńców. Ustalali to tak dawno temu, zanim zaczął się... ten koszmar.

– Dlaczego mi rano nie przypomniałaś?

– Przypomniałam. Tylko ty mnie nie słuchałeś. Jak zwykle, gdy coś cię całkowicie pochłania, w ogóle mnie nie słuchasz. Udajesz, kiwasz głową, potwierdzasz, a tak naprawdę nic do ciebie nie dociera. Wszyscy rodzice dzieci z klasy Magdy przyszli. Nie było tylko ciebie...

Dziesiąta. Zimny nie mógł uwierzyć, że tak rano trafił do redakcji. Przyjął pracę w „Tylko Prawdzie” pod jednym warunkiem: omijam poranne planowania i w ogóle narady. Pracuję po swojemu, często w nocy.

Piszę, kiedy chcę i jak chcę.

Naczelny na to przystał. Dziś pierwszy raz zrobił wyjątek. Tyle że dobrze go uzasadnił.

– Chodźmy do mnie. – Przytrzymał delikatnie Kubę za ramię.

Zimny powiódł spojrzeniem po grupie dwudziestu dziennikarzy, którzy właśnie kończyli poranne omawianie numeru. Prawie wszyscy młodzi i pełni świeżego, zdrowego zapału. Chcieli zmieniać świat, pisać ważne teksty, zdobywać czołówki i wstrząsać opinią publiczną. Pragnęli być zauważeni i docenieni. To nie tak dużo. A jednak większość czekało rozczarowanie, pozostali zaś podzielą się na tych, którym rzeczywiście się uda, i tych, którzy staną się narzędziami dla prawdziwych władców sukcesu. Jedni będą stawiać na etykę, prawdę i wiarę w ludzi, inni powiększą grono bezwzględnych manipulatorów, kompletnie nieprzejmujących się prawdą.

Których będzie więcej?

– Czytałeś? – Naczelny rzucił na stół „Express Finansowy”. Na pierwszej stronie wielka twarz Adama Bonara krzyczała do czytelnika: BANKIERZY CZY BANKSTERZY? Niżej widniał podtytuł: KULISY BRUTALNEJ WOJNY NA RYNKU FINANSOWYM. Dwa ostatnie zdania zachęcały: BIZNESMEN UJAWNIA TAJEMNICE SPORU O WIELKĄ KASĘ.

– Nie, jeszcze nie. – Zimny wzruszył ramionami. Zwykle o tej porze dopiero się budził, na prasę przychodził czas przy śniadaniu, a dziś jeszcze go nie jadł. – Mówiłem ci, że Bonar pójdzie z wyjaśnieniami do innych.

– „Express” nie zapomniał wspomnieć o twojej roli. – Naczelny otworzył gazetę na czwartej i piątej stronie. – Nie wiem, czy chciałbyś czytać.

– O, nawet walnęli mi fotkę, nieźle. – Zimny się nie przejął. – Zostałem sprzedajną gnidą czy innym wałem, a może też jestem z mafii?

Naczelny pokiwał głową.

– Przeczytaj.

Zimny wziął gazetę, przebiegł wzrokiem po lidzie, śródtytułach i wchłonął kilka fragmentów, a potem przeczytał cały tekst od początku do końca. Jak na „Express” był całkiem

długi, lecz czytał się błyskawicznie dzięki dobremu łamaniu i wypełnieniu grafikami. Oprawa gazety była fantastycznie przemyślana, a okładki i zdjęcia należały do ścisłej czołówki, prezentując światowy poziom. Gorzej z moralnością prezesów.

Odezwał się etyk, na dodatek w dobrym momencie.

Autorką tekstu była Kasia Jarosz, o której Zimny wcześniej nie słyszał. Miała lekki, prosty styl preferowany przez „Express” i nie przebierała w słowach.

„Bonar utrzymuje, że twierdzenia Jakuba Zimnego w «Tylko Prawdzie» są fałszywe, inspirowane przez Polski Bank Gospodarczy oraz jego prezesa Wojciecha Księżnego” – powtórzył sobie w myślach przeczytany fragment.

Jarosz napisała, że Bonar początkowo nie odpowiadał na inkryminacje, za to teraz kontratakuję, wyjaśniając sporne kwestie. Twierdzi, że zarzuty wynikają z nadinterpretacji, i decyduje się na zagranie *va banque*: zerwanie umów z bankami i wojnę finansową, w której wcale nie stoi na straconej pozycji.

„Teoretycznie Selac i Bonar nie mają prawa wygrać nawet jednej bitwy z takim przeciwnikiem, a ruch z zerwaniem umów wydaje się mocno ryzykowny. Gdy jednak zaglądamy do przepisów i zapisów kontraktów, sprawa nie jest już taka oczywista. W sporze bank popełnił bowiem jeden zasadniczy błąd: odpowiedział na ruch przeciwnika w podobny sposób, zrywając wszelkie negocjacje i ugody, a jednocześnie przejmując zabezpieczenia, którymi są głównie prawa do pojazdów oraz innych cennych rzeczy i nieruchomości. Tymczasem wartość zabezpieczeń znacznie przekracza same długi Selacu, jeśli więc dojdzie do wzajemnych rozliczeń, bank, zamiast zyskać, może dużo stracić.

– Tak naprawdę chodziło nam właśnie o to, żeby bank przejął zabezpieczenia – wyznaje Bonar. – Była to dobrze przygotowana pułapka, wymyślona przez znany autorytet prawny, profesora Stanowskiego. Banki dały się podpuścić.

Dlaczego przejęcie zabezpieczeń ma być korzystne dla Selacu? To tłumaczy już sam profesor, jednocześnie ostro krytykując system prawny umożliwiający bankom prowadzenie nieuczciwych gier z klientami.

– Zastosowaliśmy sprytny zabieg, używając zapomnianego praktycznie terminu «odstąpienie» od umowy, na co nabrał się nasz przeciwnik i zareagował impulsywnie, bez analizy konsekwencji, a jak wiadomo, w biznesie kierowanie się emocjami rzadko prowadzi do sukcesu – mówi Stanowski. – Już tłumaczę, o co chodzi w tej dość skomplikowanej sprawie. Jak wszyscy wiedzą, bank, udzielając kredytu, żąda różnych poręczeń, zastawów

i gwarancji. Zwykle robi to na rzeczach, które finansujemy kredytem, oraz na nieruchomościach i cennych przedmiotach, jak obrazy czy papiery wartościowe. Banki, jak wiemy, są ostrożne, a niektórzy tę ostrożność nazywają pazernością. No i w naszym przypadku ów bezduszny, wyrachowany merkantylizm przyniósł, jak jestem przekonany, zupełnie odwrotny skutek, a nasi przeciwnicy zostaną pokonani własną bronią. Jest bowiem pewne, że bez względu na to, którą z dróg wypowiedzenia umów przyjmiemy jako skuteczną, fakt przejęcia zabezpieczeń nie będzie sporny, a my udowodnimy, że ich wartość znacząco przekracza zobowiązania Selacu, wskutek czego bank nie dość, że nie odzyska swoich pieniędzy, to jeszcze będzie musiał nam dopłacić. Tak się kończy bezprawne zajęcie czyjegoś majątku, drogi panie prezesie Księżny”.

Dalej Jarosz tłumaczyła dokładnie sprawę, używając szeregu porównań i analizując podobne sprawy. Zimny przeczytał kilkakrotnie niektóre fragmenty i doszedł do wniosku, że sam by lepiej tego nie opisał. Z tej Jarosz była naprawdę zdolna babka. Szkoda, że taka suka – dopowiedział zaraz, czytając kąśliwe uwagi pod swoim adresem. No, ale bankierów, których Zimny też nie lubił, pogoniła równo.

Szczególnie podobał mu się fragment, w którym opisywała nieuczciwe praktyki instytucji finansowych w stosunku do klientów. Nadmierne środki ostrożności, wykorzystanie pisanych drobnym drukiem klauzul, dobijanie klientów spreadami i pojawiającymi się znikąd prowizjami, żądanie dodatkowych zastawów, sprzedawanie majątku dłużników znacznie poniżej jego rzeczywistej wartości, celowe wprowadzanie na miny, zachęcanie do korzystania z ofert, których sami nie rozumieją, oferowanie jednocześnie produktów o sprzecznych efektach, polecenie rzekomo atrakcyjnych aktywów czy usług, które okazywały się od początku źle skalkulowane i nie miały prawa przynieść zysków. Nieprawidłowości w tej materii była cała masa. A jak bank miał kłopoty z powodu swojego postępowania, to nagle się okazywało, że jest wyjątkowy, nie może ponieść kary, nie mówiąc już o bankructwie, bo to przecież wyróciłoby cały system.

Banki powinny być wiarygodnym, godnym zaufania partnerem, którego nie trzeba sprawdzać na każdym kroku jak potencjalnego oszusta. Tymczasem naciągniętych klientów uważano za frajerów nieumiejących czytać umów lub kombinatorów, którzy przejechali się na własnym cwaniactwie.

– Tak, kurwa – przeklął pod nosem. – Niby mamy równość stron, proporcjonalność i wspólny interes, ale to wy rąbacie nas na każdym kroku. Zawsze wasze musi być na

wierzchu. Jeśli następuje wtopa, to konsekwencje w całości ponosi klient, nigdy nie ma tej słynnej proporcjonalności. To wasz interes liczy się bardziej.

– Co mówiłeś? – zapytał naczelny, odrywając wzrok od jakichś pism.

– Masz kredyt?

– No, mam.

– No i co sądzisz o uczciwości banków?

– Jest coś takiego jak uczciwość bankowa? – zażartował. – Słyszałem o tajemnicy, wiarygodności, zaufaniu, ale o uczciwości chyba nikt nie mówi. To tak jak ze sprawiedliwością.

– Niby jest, a nikt jej nie widział.

Właśnie. Każdy, kto miał do czynienia z bankami, dobrze o tym wie. Zimny co prawda nie spłacał żadnego dużego kredytu, za to nasłuchiwał się od klientów wystarczająco dużo historii, by wyrobić sobie zdanie. I nawet jeśli każdy z nich rzeczywiście sam był sobie winny, jeśli każdego zgubiła zachłanność, pazerność, nieumiejętność czytania ze zrozumieniem czy niezdolność do pojmowania oczywistych zasad ekonomii, wartości pieniądza w czasie i podobnych bzdur, to i tak najważniejsze było dla Zimnego to, że naprzeciwko tych biednych lub cwanych ludzi siedział profesjonalista, który zamiast być zawodowcem w kwestiach finansowych, okazywał się specjalistą kanciarzem, hochsztaplerem nie mniejszym niż gość od gry w trzy karty.

Wrócił do lektury tekstu.

Bonar upierał się, że oskarżenia Kuby to kwestia wycinkowej analizy raportów i niezrozumienia procedur.

„Przykładowo zarzut kreatywnej księgowości jest nieporozumieniem, bo różnice w raportach wynikały z nakazu Komisji Nadzoru Finansowego. No, ale że pan Zimny nie lubi się z nadzorem, to uważa, że takich kwestii nie trzeba sprawdzać” – napisała Jarosz, przypominając mimochodem głośny spór, w którym Zimny zarzucił KNF korupcjogenne praktyki, szkolenie petentów za duże pieniądze i przymykanie oka na przestępstwa jednego z domów maklerskich, który potem z hukiem wypadł z rynku, narażając na ogromne straty inwestorów i klientów.

Cóż, trzeba było powiedzieć sobie jasno, że dla „Tylko Prawdy” tekst Jarosz nie był wygodnym materiałem. Z artykułu wynikało, że Selac nie przestał spłacać swoich zobowiązań w stosunku do banków i nie naruszył umów. Mógł więc rzeczywiście wygrać spór, szczególnie

mając po swojej stronie takiego cwaniaka jak Stanowski, który był uznawany za jeden z największych autorytetów prawnych.

Kuba dużo o nim słyszał, dobrego i złego. Nikt nie kwestionował, że facet ma łeb na karku i myśli za trzech. Jednak znany był też z różnych akcji lobbingowych, przepychania ustaw z celowymi niedopowiedzeniami, na których potem zarabiał: robił szkolenia, tworzył interpretacje, analizy i komentarze. Prawo było wyjątkowo nieprzewidywalne, bardzo często się zmieniało, dając pole do popisu takim... autorytetom, których głównym aktywem było kolesiostwo.

Tak czy inaczej Stanowski to lepszy cwaniak. Widać, że dobrze się dobrali z tym Bonarem.

– No i co ty na to? – zapytał naczelny.

– Mam rozdwojenie jaźni.

– Nie rozumiem...

– Z jednej strony wygląda całkiem prawdopodobnie, no i bardzo bym chciał, żeby ten Bonar dokopał bankom i wygrał.

Naczelny skrzywił się.

– Mam nadzieję, że druga strona bardziej mi podejdzie – mruknął.

– Tego jej darować nie mogę. – Zimny wskazał fragment artykułu w „Expressie”, w którym dziewczyna wyraźnie rzuciła mu wyzwanie, naśladując nawet ton komentarza, który był łaskaw napisać o Bonarze.

„Szkoda, że znany i renomowany dziennikarz dał się tak łatwo zmanipulować i wciągnąć na mieliznę. No, chyba że nie chodziło o prowokację, tylko dobrze przemyślaną grę, w której najważniejsze są pieniądze. Mogą o tym świadczyć maile od wydawcy «Tylko Prawdy», proponujące kontrakt sponsoringowy w zamian za zaprzestanie pisania tekstów o Selacu. No, jak to było, panie Zimny? Wytłumaczy nam pan?»

– Ja myślę – warknął naczelny. – Nie było żadnej propozycji. Nie wiem, skąd to wzięli. Prawnicy analizują już tekst. Wytoczymy im proces.

Zimny nie był pewien, czy mu wierzyć, więc postanowił za bardzo o tym nie myśleć.

– Gazety nie powinny się procesować – mruknął nieco zbyt pouczająco. – Łamy się od polemiki. Walczymy o wolność słowa, po czym sami ją zabijamy.

– Kłamstwa to nie wolność.

– Dlaczego nie? Jeśli czytelnik będzie wystarczająco cierpliwy, pozna prawdę. Wyrok sądowy wprowadza tylko zamieszanie i daje narzędzie propagandzie. Niczego nikomu nie



wyjaśnia.

– Tak czy inaczej, trzeba coś z tym zrobić. Skąd się urwała ta laska? Kasia Jarosz. Znasz ją?

– Może jest była asystentką Bonara. – Zimny się uśmiechnął, choć musiał przyznać, że mimo tych kąśliwych komentarzy i uwag wcale nie jest na nią zły. Szkoda, że nie dali fotki, ciekawe jak wygląda. – Jak myślisz, Bonar zapłacił „Expressowi”?

– Skąd mam wiedzieć? – odparł naczelny. – Pewnie tak. Odpowiedzieć i tak trzeba. Dlatego masz dziś jedynekę.

Zimnego przeszedł dreszcz.

Naczelny miał rację, takiego ataku ze strony konkurencyjnego pisma nie można było pozostawić bez odpowiedzi. Jednakże reakcja powinna być mocna i poparta faktami, a Kuba nie za bardzo miał do tego argumenty. Owszem, mógł powtórzyć, co dotąd napisał. Mógł przywołać bezsporne fakty i cytaty analityków, nadzorców, autorytetów. Ale to Bonar mówił coś nowego. Jego i tak będzie na wierzchu. W zasadzie więc nie było możliwości obrony.

Bonar przyjął właściwą strategię.

Pytanie zasadnicze pozostawało bez odpowiedzi: czy zrobił to z wyrachowania, żeby kłamstwa bardziej się utrwaliły, czy rzeczywiście był niewinny.

– Dobra, idź pisać – nakazał naczelny, a gdy Zimny wychodził już z gabinetu, zawołał: – Kuba! W kwestii tej kasy w kopercie... to nie jest tak, jak myślisz.

– Nic nie myślę.

– Ufundowałem z niej dwie nagrody dla dziennikarzy miesiąca. Wciąż możesz wygrać.

– Lepiej nie.

– Jak chcesz.

Kuba zamknął za sobą drzwi i przez chwilę zadumał się nad własną reakcją. Dlaczego nie chciał tej kasy? Przecież nawet jeśli była brudna, on mógł o tym nie wiedzieć. Dostaje premię od pracodawcy. A że bez podatku... Nie chcecie wiedzieć, kto najbardziej kantuje fiskusa. Nie, nie chodziło o to. Kuba nigdy nie pracował z myślą o pieniądzach i jeśli nagle stwarzały one jakąś barierę, mogły okazać się pułapką czy czymś podobnym, to wołał odpuścić.

Mam w nosie kasę, nie jest mi potrzebna. Że niby jak będę miał rodzinę, to się zmieni? Raczej wątpliwe, żebym dochował się żony, o dzieciach nie wspominając. Wóda wypaliła mi plemniki i potrzebę założenia rodziny. Jestem zwykłym egoistycznym skurwysynem.

Nie warto się nawet nade mną uzalać.

– Dobra, dość biadolenia – mruknął pod nosem. – Co mogę teraz zrobić, żeby jakoś wybrnąć?

Zadzwoił do informatora, ale ten nie odebrał. Wyciął sobie parę mocniejszych cytatów z tekstu Jarosz, żeby na nie konkretnie odpowiedzieć, i zaczął pisać. Zważywszy na jego brak wiary i przekonania co do winy Bonara, szło nadspodziewanie dobrze. Z każdym słowem pogrążał się w ciemnej mazi, mrocznej stronie mocy. Nie chciał na razie rozliczać biznesmena, nie obejrząwszy dokumentów, o których pisał „Express”. Zdawał sobie jednak sprawę, że należy do przeciwnego obozu i oddawanie pola Bonarowi jest działaniem na własną szkodę.

– Coś poradzimy. – Zabrał się do pracy.

Trzy godziny później patrzył na gotowy tekst, który – podobnie jak pierwszy materiał – nie pozostawiał na Bonarze suchej nitki.

„Miał pan możliwość obrony i z niej nie skorzystał – argumentował Zimny w kończącym artykuł komentarzu. – Miał pan możliwość wytłumaczenia, podania swojej wersji, ale wolał pan kunktatorsko przeczekać atak, licząc, że zapomnimy o szczegółach. I powiem panu, że zrobił pan rzecz najgorszą, bo teraz nikt nie będzie wiedział, co jest prawdą, a co kłamstwem. Odpowie pan, że rozłożenie akcentów należy do autora? Pewnie racja, ale pan te akcenty wyraźnie lokuje na własnym, może znaczącym, ale jakościowo wątpliwym interesie”.

Gdy już zamierzał przesłać felieton do wydawcy i prowadzącego numer, rozległ się dźwięk telefonu. Mrukliwy, lekko chrypiący głos był dodatkowo zniekształcony przez jakiś dziwny efekt mikrofonu, jakby rozmówca zastosował urządzenie kamuflujące.

– Myślałem, że już pana nie usłyszę – powiedział spokojnie Zimny, rozpoznając informatora, od którego cała sprawa wzięła początek.

– Nie wpuściłem pana na minę – odparł. – Proszę nie dać się zmanipulować.

– Bonar broni się wiarygodnie – zauważył Kuba.

– Nie jest głupi. Nikt nie twierdził, że to będzie łatwy przeciwnik.

– Nie jest moim przeciwnikiem.

– Moim też nie.

– Czyżby?

Zniekształcony modulatorem głos zarechotał.

– Nie, panie redaktorze, działam tylko w interesie publicznym.

Zimny skrzywił się, wyraźnie poirytowany.

– Dobrze, proszę przejść do rzeczy.

– Chce pan newsa?

Zimny nie odpowiedział. Miał ochotę trzasnąć telefonem o stół. Nie, draniu, nie ze mną takie teksty.

– Przepraszam, jeśli pana uraziłem. – Informator spowaźniał. – Proszę się nie gniewać, po prostu bawi mnie obrona Bonara i to, jak udało mu się omotać tę dziennikarkę, a widzę, że również i pana. Niech pan w to nie wierzy. Bonar to drań. Wyjątkowo przebiegły drań.

– Niech pan mówi, z czym dzwoni – przerwał mu Kuba.

– Mam newsa – powtórzył informator. – PBG właśnie dziś złożył wniosek o upadłość Selacu i zawiadomienie do prokuratury na Bonara.

– Jest pan pewien?

– Kopię dokumentów ma pan na mailu. Selac to bankrut, a Bonar przestępca. Tak się kończy machanie szabelką.

To się nie dzieje naprawdę – Bonar z całej siły zaciskał powieki, próbując powrócić do rzeczywistości. Jestem ofiarą jakiegoś perfidnego żartu, potwornej mistyfikacji czy innej gry pogiętego kreatora. Jakiś drań na górze wymyślił sobie zabawę moim kosztem, drwi z całego tego racjonalnego dystansu, z jakim próbowałem traktować życie. Do diabła z tobą. Do diabła z wami!

Rano nie był w stanie podnieść się z łóżka, nie miał ochoty na jedzenie czy picie. Minęły już trzy dni od tego dnia, w którym na paręnaście godzin „zniknęła” jego rodzina. Tej pierwszej nocy, po cichej awanturze, Natalia wyniosła się do pokoju gościnnego i już tam pozostała. Rano i wieczorami udawali, że nic się nie dzieje, choć dzieci i tak nie mogli oszukać. W nocy ona po prostu szła do „siebie”, nie tłumacząc niczego, a on był na tyle toporny i tępy, by nie reagować, nie próbować tego naprawić.

Odzyskał ją i zaraz stracił. W ciągu jednego dnia.

– Myślisz tylko o sobie – oznajmiła, zamykając cicho drzwi. Dopiero za nimi dodała: – I swojej przeklętej firmie.

Trzy dni milczenia.

Dochodziła dwunasta, gdy wreszcie wstał. W domu nikogo już nie było. Natalia jak zwykle odwiozła dzieci do szkół. Najpierw Romka do najbliższej podstawówki. Potem Magdę do prywatnego warszawskiego gimnazjum, które kosztowało go miesięcznie prawie tyle, ile wynosi dobra pensja. Nie był zwolennikiem płacenia takich pieniędzy za szkołę, ale Natalia nie pozostawiła mu wyboru. Szczęśliwie z Romkiem na razie się udało.

Dziwne. Jeszcze kilka dni temu umierał ze strachu z powodu ich nieobecności, a dziś w głębi duszy cieszył się, że już ich nie ma.

Natalia ma rację. Jestem samolubem.

Wziął prysznic, włożył świeżą koszulę, wypił kawę i zjadł serek. Wystarczyło na pobudzenie organizmu, przyzwyczajonego do skromnych śniadań. W samochodzie jeszcze raz uważnie obejrzał telefon. Nie wiedział, jak to możliwe, że nieodebrane połączenia zniknęły i że Natalia ich nie dostrzegła. Czyżby zainstalowano mu jakiegoś wirusa albo program szpiegujący, który celowo lub przez pomyłkę spowodował blokadę połączeń?

Jeśli to robota Księżnego, nie docenił przeciwnika. Łotr naprawdę go wystraszył.

Zepsuł mnie, cholera, poraził elektronicznym impulsem, spalił przeklęte synapsy, poskręcał

zwoje, rozdzielił atomy. Moje życie rodzinne zamienił w koszmar.

Bonar zastanawiał się, czy aby nie podano mu jakiegoś środka odurzającego, który spowodował, że na amen zapomniał o tym koncercie w szkole Magdy. A może włamano się do telefonów jego i rodziny, żeby uniemożliwić kontakt...

Bzdura. To przecież niemożliwe. Nie jestem... szaleńcem.

Coś niedobrego działo się jednak w jego mózgu.

Początkowo chciał próbować to wyjaśnić, tym bardziej że obsesja się pogłębiała i zaczął mieć poczucie, że jest szpiegowany czy osaczany. Na co drugich światłach uważnie oglądał stojące za nim samochody i niemal zawsze znajdował jakiś podejrzany obiekt.

Gdy dostarczono im odpis wniosku o ogłoszeniu upadłości, na rogu przed firmą stanął samochód z przyciemnianymi szybami, a gdy Adam do niego wyszedł, gwałtownie odjechał, nie pozwalając mu dojrzeć, kto jest w środku.

Telefony wprawdzie same się naprawiły, wciąż nurtowało go jednak pytanie czy nie są zhakowane i czy w jakimś krytycznym momencie nie odmówią nagle posłuszeństwa. Wujek Google miał na to sto dziewięćdziesiąt cztery tysiące odpowiedzi. Chyba żadna nie była właściwa. Wpisał kilka haseł, po czym zrezygnował. Zamówił tylko dodatkowy telefon na kartę, a potem kupił jeszcze dwa. Gdy jednak próbował dać jeden z nich Natalii, ta tylko popukała się w głowę.

Lecz się, człowieku.

Chciał dobrze, wyszło jak zwykle.

Zaraz potem wysłała mu esemesa z sugestią, że powinien pomyśleć o przeprowadzce na kilka dni do któregoś z mieszkań, które miał w Warszawie.

Nie zapytał, skąd o nich wie ani na jak długo powinien zniknąć.

„Dobrze” – odpisał tylko, a potem wysłał kolejnego: „Jutro”. I następnego: „Powiedz dzieciom, że to w związku z pracą”.

„I tak nie zapytają” – odpisała.

Zamknął mocno powieki, naprężając mięśnie. Znow ję tracił. Znow rozmawiali esemesami, zamiast się przytulić, przeprosić, zapomnieć i zacząć od nowa. Ile można? – pewnie by mu odpowiedziała na taką propozycję. Zostawisz firmę? Zostawisz... swoje tajemnice?

Wczorajszej nocy – jakby chcąc przesunąć ciężar konfliktu w innym kierunku – założył skrzynkę mailową na adres ab-samwieszko@wp.pl i napisał maila do Księżnego. Krótką, jednoznaczną wiadomość:

„Odczep się ode mnie i mojej rodziny”.

Tak, chcesz mojej firmy, majątku, czegokolwiek – bierz, jeśli zdołasz. Spróbuj tknąć moją rodzinę, a będziesz miał kłopot. Prawdziwy kłopot. Jestem typem człowieka, który się nie poddaje i zawsze pamięta.

Adam był twardy. Gdyby coś się stało naprawdę, jeden dzień poświęciłby na rozpacz, po czym chłodno przeanalizowałby sytuację i rozpoczął... właśnie, co? Zemstę? Rewanż? Procedurę karną? Jakkolwiek by to nazwać, zaczęłby po prostu działać.

Mail pozostał bez odpowiedzi. Może trafił do spamu, a może Księżny uznał, że nie warto odpisywać na takie anonimy.

Odkąd dowiedzieli się o złożeniu wniosku o upadłość, Stanowski dzwonił do niego co parę godzin. Przekonywał, że ma sprawę pod kontrolą i praktycznie nie istnieje żadne ryzyko, by wniosek przeszedł.

– Tą prokuraturą, o której pisano w „Tylko Prawdzie”, też bym się nie przejmował.

– To kłamstwa?

– Nie, rzecznik przecież potwierdził. Postępowanie jest na etapie analizowania, pewnie po trzydziestu dniach stwierdzą brak podstaw do wszczęcia śledztwa, a nawet jeśli nie, to szybko je umorzą. Nie ma żadnego ryzyka.

Wahał się przez chwilę, czy nie powiedzieć mu o jednodniowym problemie z telefonami, tajemniczych samochodach, przywidzeniach, ale przecież Stanowski nie zajmował się prawem karnym, włamaniami, stalkingiem czy tego typu aberracjami. Co mógłby pomóc? Może uznałby go za maniaka albo by się wystraszył? W tym momencie Bonar nie mógł sobie pozwolić na utratę tak ważnego, silnego sojusznika.

Decyzję okupił mocnym kaczem moralnym i pytaniami o swoją postawę. Czy nie powinien tego rzucić i zająć się bezpieczeństwem rodziny? Stanowski jako znany prawnik mógł mu pomóc wyrzucić nacisk na policję, wymóc na niej ochronę czy chociaż sprawdzenie sprawy, może miał jakieś znajomości gdzieś, gdziekolwiek.

Ale czy takie rozważania w ogóle miały sens? Może inny człowiek na jego miejscu nie miałby żadnych wątpliwości... Gdy coś zagraża twojej rodzinie, masz tylko jeden obowiązek: robić cokolwiek przyjdzie ci do głowy, z odgrywaniem szaleństwa włącznie, jeśli to może pomóc w rozwiązaniu sprawy.

Czy to ważne, że ktoś uzna cię za wariata? Lepsze to niż obudzić się z ręką w nocniku.

Wiedział przecież, że te pozornie drobne, mało istotne znaki są wystarczająco znamienne

i mają z pewnością związek z próbą przejęcia firmy.

Czy nie powinien w takiej sytuacji wykorzystać kontaktu z dziennikarką, która tak dobrze – nawet wbrew obawom i przeczuciom – opisała jego sprawę? Zadzwoń do niej i powiedz: „Mam dla pani newsa dnia: próbują mnie szantażować i zastraszyć”?

Dowody? Cóż, nie mam, ale jak pani wytłumaczy to, tamto i jeszcze owamto? Dziwne zachowanie telefonów, samochody o czarnych szybach, objawy zatrucia i paranoi wywołane pewnie jakimiś chemikaliami... Nie słyszała pani o podtruwaniu? To pani nie przekonuje?

Ciekawe, jak by zareagowała?

Może zrobiłaby sobie z niego jaja, a może tylko łagodnie przemilczała temat. Jak brzmiałyby tytuły, gdyby przyjęła tę pierwszą opcję: BIZNESMEN OSKARŻA BANKIERA O SZANTAŻ? A może mocniej: ZASTRASZANIE PRZEZ KOMÓRKĘ GRATIS W BANKOWEJ WOJNIE?

Taki pewnie byłby tytuł. Albo jeszcze mocniejszy?

Cokolwiek by napisała, w gazecie poszłoby jego zdjęcie, a może też fotki żony i dzieciaków, a temat z pewnością podchwyciłaby telewizja. Oni lubią takie sensacje. W ciągu kwadransa dostałby tysiąc maili z informacjami, gdzie powinien się zgłosić, na kogo uważać i dlaczego kosmici nie myją zębów.

Czwartego dnia raniem ponownie zadzwonił do osoby, którą już prosił o radę.

– Czego chcesz? – zapytała dość obcesowo. – Dostałam twojego esemesa.

– Uznałem, że powinnaś wiedzieć, że Natalii nic nie jest.

– Nie obchodzi mnie to – powiedziała nieuprzejmie, a potem trochę złagodniała. – Mówiłam ci przecież, że nie powinieneś się bać. Dlaczego nie odbierała telefonu?

– To właśnie jest dziwne. Ona twierdzi, że próbowała do mnie dzwonić i to ja nie odbierałem. Ani jej, ani mój aparat nie wykazał próby tych połączeń, choć pozostawił numery wybierane.

– Dziwne. Pytałeś operatora, o co chodzi?

– Facet na infolinii doradził, żebym zaktualizował oprogramowanie.

– Mądrała.

– Wujek Google podejrzewa, że ktoś mi zhakował aparaty.

– No tak, skoro chcą ci przejąć firmę... – wyczuł w głosie nutę sarkazmu.

– Ciebie może to bawi, ale ja ciągle widzę jakieś dziwne znaki. Czasem źle się czuję, jakby ktoś podał mi jakiś środek. Nigdy tego nie miałem.

- Może powinieneś zadbać o jakąś ochronę na czas wojny z bankiem?
- Co mam robić?
- Wynajmij detektywa.
- Mówisz poważnie?
- Tylko żadnego z telewizji.
- Masz kogoś konkretnego na myśli?

Detektyw okazał się byłym policjantem i oficerem CBS. W internecie pisał o sobie, że jest negocjatorem, specjalistą od poszukiwań i ochrony. Wciąż miał podobno dobre kontakty w służbach i policji, co sugerował między wierszami. Nosił niezwykle, niespotykane w tej części świata nazwisko Grubber, które rzekomo dowodziło bałkańskiego pochodzenia jego dziada, i trochę przypominał przerośniętą rybę, skrzyżowanie Jabby z *Gwiezdnymi wojen* i Ryszarda Kalisza. Bonar pomyślał, że jeśli ten facet będzie musiał biegać za Natalią lub za dziećmi, może przyplącić to zawałem.

Małomówny i wyciszony, Grubber słuchał uważnie i zapisywał w notesie. Wypytał o konflikty, znajomych, ewentualne kochanki i kochanków Natalii, zabrał zdjęcia, aparat telefoniczny Adama, duplikując wcześniej kartę, i zamierzał zniknąć.

- Nie będzie pan w pobliżu? – zdziwił się Adam.
- Nie jestem ochroniarzem tylko detektywem.
- Co zatem pan zamierza?
- Dowiedzieć się, kto może to robić, jeśli...
- ...coś robi – dokończył Adam.
- Właśnie. Tak czy inaczej, lepiej wyeliminować niebezpieczeństwo niż próbować się ochronić przed nieznanym.
- Kiedy mogę liczyć na jakąś informację?
- Jak tylko się czegoś dowiem.
- A ma pan swoje podejrzenia?

Spojrzał wymownie, jakby chciał powiedzieć: przemęczenie i konflikty czasem skutkują frustrującą obsesją.

– Prawdopodobnie ktoś użył czegoś w rodzaju XRY i włamał się na ten model, co jest dość proste, i na jakiś czas przechwycił telefon, zmieniając w nim ustawienia tak, by ignorować połączenia z aparatów pana żony i dzieci. Zakładając, że to się zdarzyło...

- Że mówię prawdę?



– Właśnie.

– Nie wierzy mi pan?

Grubber uśmiechnął się znacząco.

– Spokojnie, wierzę. Takie rzeczy zdarzają się nawet dość często. W wojnach biznesowych popularne są też metody... hm, operacyjne. Słyszał pan o wojnie w pewnej sieci księgarskiej?

– Nie.

– Prezes wybrany przez większościowego akcjonariusza popadł w konflikt z mniejszościowym, który nie zgadzał się z wprowadzanymi zmianami. Pracownicy podzieleni na dwa obozy zaczęli prawdziwą wojnę na potajemne nagrywanie, podstępny, podkładanie świń, mobbing i różne inne zagrywki. Pracownikom popierającym jedną ze stron pozakładano nawet konta na portalu erotycznym, przez co zaczęły odbierać maile i telefony z niewybrednymi propozycjami seksualnymi. Oczywiście nikt tak naprawdę nie wie, która strona kłamie, bo na wojnie wszystkie chwytaki są dozwolone.

– Jakbyśmy byli w Rosji.

– Oj, zdziwiłby się pan. Takie akcje, podobnie jak techniki szpiegowskie, wywiadu gospodarczego, szantażu, wykradania danych, zdarzają się w korporacjach pewnie znacznie częściej niż w Rosji.

– Aha.

– W Rosji nikt się w to nie chce bawić. Tam chłopaki z dawnego KGB, obecnego FSB albo zwykłej mafii przykładają pistolet do głowy i jest po sprawie.

Stanowski czekał na Adama w kancelarii z kompletem dokumentów. Nie spytał, czemu tak źle wygląda. Rozłożył dokumentację i zaczął omawiać szczegóły oraz strategię działań.

– Nie sędzę, żeby były jakiegokolwiek kłopoty. Nie ma żadnych przesłanek do stwierdzenia upadłości.

– Jaki mamy plan?

– Poczekamy na rozwój wypadków. Gdyby coś poszło nie tak, zgłosimy wniosek o powołanie biegłych do zbadania naszych rachunków i oceny roszczeń stron. To powinno oddalić sprawę o kilka tygodni, może miesięcy. W tym czasie złożymy pozew przeciwko bankowi i zaczniemy rokowania ugodowe. Sędzę, że za miesiąc będzie po sprawie i rozstaniemy się w zgodzie.

Plan był taki, żeby wyjść na zero. Bonar niczego nie chciał od banku. Pytanie, czego chciał bank od niego i w jakim celu potrzebował tych szpiegowsko-bandyckich zagrywek, jeśli to on za nimi stał. Tak naprawdę prezes Selacu wiedział, że jest na straconej pozycji, jeśli oni posunęli się do takiej podłości. Z gangsterami nie wygra. Białe kołnierzyki? Kto wymyślił to określenie? Chyba nie wiedział, co tak naprawdę potrafią. Jak bardzo mogą być brudne i groźne.

Bonar pokiwał głową.

– Przeczuwa pan, jaką zastosują strategię? – zapytał.

Stanowski pogładził w zamyśleniu brodę i odparł:

– Jeśli inspirowali te teksty Zimnego, to pewnie będą się na nie powoływać.

– Artykuły mogą być dowodami?

– W tym przypadku raczej nie.

– Dlaczego?

– Przewodniczyć będzie sędzia Fogel.

– To dobrze?

– Bardzo. – Stanowski skrzywił się nieznacznie, jakby przecząc własnym słowom. – To wysokiej klasy profesjonalista.

– Ale nie przepada pan za nim?

– Delikatnie mówiąc – przyznał Stanowski. – I vice versa.

– Hm, to może lepiej...

– Tak, nie będę występował jako pełnomocnik, załatwiłem już panu radcę wyspecjalizowanego w upadłościach.

– Takiego, który nie podpadł temu Foglowi?

– W rzeczy samej. To młody człowiek, świetny specjalista. Na pewno sobie poradzi. Abstrahując od naszego konfliktu, myślę, że z Foglem się szanujemy. Trudno znaleźć w Polsce kogoś, kto lepiej zna prawo upadłościowe. Dlatego jestem dobrej myśli.

– Więc nie ma co się przejmować?

– Należy podkreślać, że dług wobec banku jest sporny. Sędzia Fogel jest autorem książki analizującej prawo upadłościowe. Cały rozdział w tej publikacji poświęcił sporności długu.

– Tak jak w naszym przypadku.

– Właśnie – podkreślił profesor. – Skuteczne może być zarówno nasze oświadczenie o odstąpieniu od umów, jak i oświadczenie o przejęciu zabezpieczeń kredytów. Obydwa rozliczenia mogą dawać nadwyżkę dla Selacu.

– Mam nadzieję, że Fogel przyjmie taką argumentację.

– W swojej książce wyraźnie powtarza przepisy, które mówią, że nie można ogłaszać upadłości, jeśli dług jest sporny. W przeciwnym razie każdy mógłby zgłaszać wnioski o upadłość, opierając się na wydumanych roszczeniach, i szantażować w ten sposób przedsiębiorców.

– Czy sąd dokona rozliczeń? Może przyjąć, że nie mamy racji?

– Nie, sąd upadłościowy w swojej kognicji, czyli władzy, nie może tego rozstrzygnąć. To nie jego rola. Spór o dług musi zostać rozstrzygnięty w normalnym procesie cywilnym, a dopiero w wypadku wygranej bank będzie mógł wnieść ponownie o upadłość. Na dzień dzisiejszy sędzia spór oddali.

– Czyli jesteśmy bezpieczni?

– Tak sędzę. Sędzia Fogel jest gwarantem sprawiedliwego orzeczenia.

Grubbera spotkał przed wejściem do włoskiej restauracji. Zamówił detektywowi obiad i patrzył, jak ten je ze smakiem rybę z sałatką. Sam nie miał specjalnego apetytu.

– Czemu nie jesz? – zapytał Grubber, przechodząc przy okazji na ty.

– Nie jestem głodny – bąknął Bonar. – Nie krępuj się.

– Wyglądam na żarłoka, co?

Adam nie zaprzeczył, uśmiechając się niepewnie.

– Moja otyłość ma przyczyny hormonalne, tyję bez względu na to, ile zjem. Ostatnio udało

się trochę to opanować, ale i tak ważę jakieś trzydzieści pięć kilo za dużo. Niektórzy mówią, że nawet sześćdziesiąt, no ale gdybym schudł o trzydzieści, to chyba byłoby mi z tym już wystarczająco dobrze. Nie chcę wcale być chudy. Swoją drogą... wiesz, że jesteś podobny trochę do kozła.

Bonar uniósł brwi.

– O, tak jeszcze bardziej. Każdy człowiek jest podobny do jakiegoś zwierzęcia. Jedni do małp, drudzy do waleni, kolejni przypominają papugi. – Mrugnął okiem. – Znałem nawet takiego, co był wypisz, wymaluj knurem. Ty jesteś kozioł, a może nawet tryk. Podłużna twarz, wysokie czoło, duży, szeroki nos i twarda szczęka nadają ci cechy kozła. Mam nadzieję, że cię nie uraziłem...

– Nie, skąd.

– Ja jestem podobny do ryby. Wyobraź sobie, że jest nawet ryba o nazwie, która brzmi niemal jak moje nazwisko. Formalnie to *Epinephelus lanceolatus*, powszechnie zwany grouperem.

– Po niemiecku *Grubber* to taka maszyna rolnicza. Kultywator.

Detektyw jakby nie dosłyszał.

– Ta ryba jest potężna jak ja, ma wielkie zęby i odstraszący wygląd. Pozornie przerażająca, w rzeczywistości niegroźna. Ale gdy ktoś ją zaatakuje lub wkurzy... – Nie dokończył, nachylił się do Adama i zapytał: – Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym? Położył na stoliku kopertę ze zdjęciami. Przedstawiały Bonara w towarzystwie kobiety. Miała pociągłą twarz, zapadnięte policzki, szczupłą sylwetkę i czarne proste włosy. Oczy zasłaniały duże okulary przeciwsłoneczne.

– Czy to ważne?

– Pytałem cię wcześniej o zdrady. Nic nie powiedziałaś.

– Pytałeś o kochanków mojej żony. – Bonar uciekł spojrzeniem gdzieś w bok. – Odpowiedziałem, że nic o nich nie wiem. Moim zdaniem nikogo nie miała.

– Chodziło też o twoje związki. Powinieneś mi powiedzieć, że zdradzałaś żonę.

– To przeszłość. Poza tym...

– Tak?

– Ewa... To ta kobieta cię poleciła. Myślałem po prostu, że wiesz... co nas łączyło. Że ona ci o tym powiedziała.

Detektyw uśmiechnął się wyrozumiale.

– Może to rzeczywiście bez znaczenia, ale jeśli mam być skuteczny, musisz mówić mi o wszystkim.

– Dobrze.

– Czy poza Ewą był ktoś jeszcze? Zdradzałeś żonę częściej?

Bonar zastanowił się nad odpowiedzią.

– Czy to naprawdę będzie przydatne?

Człowiek ryba patrzył na niego bez wyrazu.

– Nie wiem – przyznał. – Ale oprócz chłopaków z banku warto sprawdzić również inne możliwości i tropy. Skąd wiesz, że któraś z nich nie oszalała i nie próbuje się do ciebie dobrać? Jeśli mam chronić twoją rodzinę, musisz mi zaufać. Nie możesz być pewien, że żona nie dowie się o którejś z twoich kochanek i nie pojedzie do niej na szczerą rozmowę, a ta... dajmy na to, wbije jej nożyczki w szyję. Nie słyszałeś tej historii o nożyczkach, którymi kochanka zamordowała żonę swojego partnera?

– Tam chyba było odwrotnie. Żona zamordowała kochankę.

– Być może. Ja znałem kiedyś kochankę, która udusiła żonę swojego ukochanego, żeby móc za niego wyjść, a po fakcie straciła zupełnie ochotę na miłość i ostatecznie już nie chciała się z nim wiązać. Sumienie kazało jej zgłosić się na policję. Inna zaplanowała zabójstwo żony i dzieci kochanka, po czym dała ogłoszenie w internecie, że poszukuje wykonawcy, najlepiej doświadczonego zawodowego zabójcy. Głupota ludzka nie zna granic.

– To wcale nie jest zabawne – mruknął Bonar.

– Ale prawdziwe. Do tej kobiety zgłosił się zawodowy zabójca i przyjął zlecenie, a potem ją aresztował, bo był gliną pod przykryciem. Za planowanie zabójstwa dostała dwa lata więzienia. Wyszła po roku i wiesz co... pojechała do tej rodziny i całą wymordowała, z rozpędu nie oszczędzając nawet kochanka. Dasz wiarę?

Bonar milczał.

– Chcę ci tylko uświadomić, że bywają przypadki pozornie dziwne i mało prawdopodobne, więc nie ma takich pytań, których nie powinienem zadawać, ani takich odpowiedzi, których ty wolałbyś nie udzielić.

– Natalia nie będzie jeździć do moich kochanek, nie obawiaj się.

– Żony wpadają na dziwne pomysły.

– Dobrze, odpowiem na każde pytanie – zapewnił z rezygnacją Bonar.

Grubber przejechał językiem po wewnętrznej stronie policzka i powtórzył pytanie:

– A zatem? Z kim zdradzałeś żonę?

# Część II: Grudzień

Na rozprawę przygotowano jedną z największych sal sądu rejonowego. Media trąbiły o sprawie już od jakiegoś czasu, przeczuwając, że posiedzenie może przynieść ciekawe newsy.

Przewodniczący składu, sędzia Fogel, wcześniej dwukrotnie przeszedł korytarzem, licząc przybyłych. Kilkadziesiąt osób. Doliczył do osiemnastu i zrezygnował. Może było nawet drugie tyle, a może jeszcze więcej. Czterdzieści osób? Pięćdziesiąt? Dawno nie miał tu takiej rozprawy. Zwykle na ławkach dla publiki zasiadało od trzech do pięciu osób. Głównie studenci prawa, czasem reporterzy, choć ten zawód też umierał. Gazetom szkoda było pieniędzy na utrzymywanie reporterów sądowych.

Najczęściej ławy stały puste.

Widownia jest dla sędziów równie ważna jak dla aktorów w teatrze. Są gotowi zagrać nawet dla jednego widza, ale dopiero przy pełnej sali wpadają w swoisty trans.

To będzie wyjątkowy proces – pomyślał Fogel.

Bonar przyszedł prawie godzinę przed rozprawą. Przy bramce wykrywającej metale awanturował się starszy mężczyzna.

– Mój adwokat przeszedł bez kontroli, a ja muszę kieszenie opróżniać? Kto wydał takie polecenie?

Ochroniarz próbował go uspokoić:

– To jest polecenie prezesa sądu.

– A jak prezes sądu nakaże panu sprawdzać Żydów, a Niemców nie, to też pan będzie tak robił? Już ktoś kiedyś próbował takiej segregacji. Dziś podział na adwokatów i plebs na bramce w sądzie, a jutro się okaże, że w szpitalu prawnik ma pierwszeństwo do leczenia przede mną. A gdzie, jak nie w sądzie, ma być przestrzegana konstytucja? Wie pan, co to jest równość wobec prawa? Chcę wejść tą samą drogą co mój prawnik.

– Spokojnie, panie Kazimierzu, to ja już się poddam takiej kontroli jak pan – uspokoił adwokat swojego krewkiego klienta i przeprosił Bonara, wchodząc przed niego.

Biznesmen poczekał cierpliwie, przemaszerował przez bramkę i położył torbę na taśmie, która przejechała przed skanerem. Znudzony ochroniarz przejrzał zawartość torby na monitorze i nic nie powiedział.

– Mogę?



Drugi ochroniarz nawet na niego nie spojrział.

Bonar wziął teczkę i stanął nieco dalej. W czasie gdy go sprawdzano, przez drzwi obok weszło do budynku sześć osób korzystających z przejścia dla personelu, pracowników i sędziów. Żadna z nich nie zatrzymała się nawet na chwilę przy bramce, a ochroniarz kompletnie nie był nimi zainteresowany.

Jakby z góry przyjął, że nikt tu nie oszukuje, że nie łamie się takich umownych ustaleń. Ale nawet jeśli tak było, jeśli żadna z tych osób nie wniesie do sądu bomby czy karabinu, to jak to możliwe, że w budynku szczyjącym się wspaniałymi hasłami o sprawiedliwości i równości wobec prawa ta podstawowa zasada jest tak ostentacyjnie łamana?

Ten staruszek, pan Kazimierz, miał rację.

Skoro ustalono, że wszyscy przechodzą przez bramki wykrywające metale, nie powinno być od tego wyjątku. „Równość wobec prawa”. Tak pięknie to brzmi. Niemal tak samo pięknie jak „równy dostęp do edukacji i leczenia”. Równość zawsze kończy się tak samo. Jedni stoją po lepszej stronie, drudzy po tej, która nie ma pieniędzy na naukę i szybciej umiera, czekając w niekończącej się kolejce na operację.

Na korytarzu odpowiedział na kilka pytań dziennikarzy i udzielił minutowego wywiadu dla jednej z telewizji. Przygotował sobie wcześniej wypowiedź. Prostą formułkę.

– Nie, nie boję się wyroku. Spółka jest w dobrej kondycji i nie grozi jej upadłość.

Przedstawiciel inwestorów był wyraźnie zdenerwowany.

– Kupiłem akcje Selacu jeszcze w ofercie pierwotnej – powiedział do Bonara.

– Bardzo mi miło. Mam nadzieję, że pan nie żałuje?

– To najlepsza moja inwestycja. Ale... ten proces...

– Proszę się nie martwić, wygramy go.

– Nawet jeśli – mruknął inwestor. – To czy w ogóle jesteście w stanie przetrwać konflikt z bankami? Jakie są pomysły na finansowanie?

– Proszę się nie obawiać. Mamy pomysły.

– Co będzie dalej?

– Tego nie wiem – odparł Bonar i powtórzył uspokajająco: – Mamy alternatywę.

Spojrzenie inwestora było jednoznaczne. Nie wierzył mu. Przyszedł usłyszeć coś innego, konkretnego. Przyszedł po ostatnią deskę ratunku. Pewnie jeszcze dziś sprzeda akcje i poszuka szansy w spółkach bez problemów, z jasną wizją rozwoju. Takich, które nie są uwikłane w konflikty, spory i wojny. Są takie?

Drzwi do sali z wywieszoną wokandą stanęły otworem i jakaś młoda dziewczyna wychyliła przez nie głowę.

– Sprawa o sygnaturze... Polski Bank Gospodarczy... wniosek o ogłoszenie upadłości... spółki Selac...

Nie zdążyła skończyć, a już na salę wtoczył się tłum gapiów. Bonar poczekał, aż wejdą wszyscy zainteresowani, i przedarł się do ławki po lewej ręce sędziego. Adwokat polecony przez Stanowskiego zaprosił go gestem, by zajął miejsce, a gdy sędzia Fogel rozpoczął rozprawę – uśmiechnął się i delikatnie mrugnął okiem. Będzie dobrze. To chyba chciał powiedzieć.

Fogel odczytał główne tezy powództwa i udzielone na nie odpowiedzi, zapytał strony o zdanie, a gdy te podtrzymały stanowisko, rozpoczął analizę dowodów. Pierwszy zeznawał przedstawiciel powoda. W kilku zdaniach uzasadnił wniosek, zarzucając Selacowi niespłacanie kredytów oraz malwersacje księgowe, które wykluczają porozumienie. Brak zaufania w takich sprawach jest ciężką przewiną.

– Wniosek zasługuje na uwzględnienie, gdyż spółka jest niewiarygodna, prowadzona przez nią podwójna rachunkowość budzi uzasadnione obawy o rzetelność, stąd postępowanie układowe nie wchodzi w grę, a zarządowi należy jak najszybciej odebrać możliwość wykonywania czynności prawnych i dysponowania środkami finansowymi – uzasadnił mecenas reprezentujący PBG.

Bonar patrzył w twarz temu starszemu już mężczyźnie i w myślach zadał pytanie, czy nasączenie głosu jadem wynika z jakiegoś osobistego urazu, czy jest dla tego człowieka naturalne.

– Teraz pan – zwrócił się Fogel do Bonara. – Chce pan odpowiedzieć na te zarzuty?

– Selac jest w doskonałej kondycji, jako wiarygodna spółka giełdowa nie utracił płynności i może w pełni regulować zobowiązania, wniosek jest więc całkowicie bezzasadny i powinien zostać oddalony – powiedział spokojnym, wyważonym tonem i przypominając sobie dyskusję ze Stanowskim, zakończył dobitnym podkreśleniem: – Rzekomy dług wobec banku jest sporny.

Fogel z udanym zainteresowaniem spojrzął w akta i zapytał:

– A co z tą podwójną księgowością?

– Zgodnie z nakazem Komisji Nadzoru Finansowego robimy sprawozdania według dwóch standardów: polskiej ustawy i międzynarodowych standardów rachunkowości – odparł Bonar.

Fogel spojrzął w monitor i podyktował protokolantce zdanie:

– Robimy sprawozdania według dwóch standardów.

– Zgodnie z nakazem... – uzupełnił Bonar.

– Tak, tak – mruknął Fogel i wtedy po raz pierwszy Bonar pomyślał, że coś jest nie tak. Przeczucia nigdy go nie zwiódły. Powinien wiedzieć, że to się źle skończy. Nie chciał jednak rozdrażniać sędziego, więc zamilkł.

– A jakie zobowiązania spółka ma w stosunku do PBG?

– Zobowiązania są sporne, gdyż PBG zajął nasze zabezpieczenia, więc...

– Ale ile wynoszą te zobowiązania? – dopytał wyraźnie poirytowany sędzia.

– Zobowiązania są sporne – powtórzył, czerwieniejąc, Bonar.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie. Ile wynoszą?

– Są sporne i wynoszą czterdzieści milionów złotych.

– Proszę zaprotokołować: zobowiązania wynoszą czterdzieści milionów...

– Są sporne – bąknął słabym głosem Bonar.

– Tak, tak. Jeszcze jakieś wnioski?

Radca Selacu podniósł się i poprosił o ustanowienie biegłego, który oceniłby spór, wartość majątku, zobowiązań i roszczeń. Fogel popatrzył na młodego człowieka, przekrzywił z politowaniem głowę i głośno westchnąwszy, upomniał:

– Biegłego powołuje się, jeśli są rzeczywiście sporne kwestie. Tu takich nie widzę. Oddalam wniosek. Sąd uda się na naradę.

Fogel sprawdził skrzynkę mailową i zadzwonił do żony. Kochał swoją żonę. Na telefony do niej wykorzystywał większość przerw w rozprawach. Gdybym nie miał obok siebie tak wspaniałej istoty, byłbym potworem. Nieludzkim, okrutnym potworem. Ona, prawdziwy blask jego życia, słońce przebijające się przez chmurne, mroczne niebo jego nieprzejednane surowego charakteru, sprawiła, że jest bardziej wyrozumiały i czasem nawet skłonny do kompromisu, wybaczenia, ludzkiej postawy.

Ale przede wszystkim jest sędzią. Jest sprawiedliwością. A sprawiedliwość nie powinna mieć uczuć. Ma dbać o przestrzeganie prawa. I tylko o to.

No, poza własnym interesem.

– Nie będzie narady – oznajmił pozostałym sędziom ze składu orzekającego. – Nie zamierzam narażać się bankom.

Żaden z sędziów nie zareagował. Tylko szalenciec mógł postawić się komuś takiemu jak Fogel. Bezapelacyjnie rządził w tej rejonówce, kontrolował niemal wszystkich sędziów,

rozdawał i dzielił, a jego macki sięgały daleko do okrągówki i jeszcze wyżej. Sędzia Fogel miał niekwestionowany autorytet i władzę. Dzielił i rządził.

– Rozwalamy Selac!

To niemożliwe. Bonar nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Przecież to zwyczajnie niemożliwe. Jego przynosząca zyski, świetnie radząca sobie na rynku spółka giełdowa nie może po prostu zostać zlikwidowana, bo jakiś sędzia tak sobie nagle zażyczył, błyskawiczną decyzją kończąc jej żywot. Kaprys nie przekreśli dziesięciu lat pracy.

Fogel usiadł i zaczął zapisywać coś w notesie, podczas gdy na sali zapanował tumult. Dziennikarze dzwonili do redakcji, żeby poinformować o sensacyjnym newsie. Analitycy uprzedzali maklerów o nadchodzących spadkach, ktoś wygrażał Bonarowi, nazywając go oszustem i złodziejem.

– Pójdiesz siedzieć, Bonar. Nie można tak bezczelnie kraść.

– Ty złodzieju!

Mecenas pociągnął go do wyjścia, przemknęli korytarzem jak szczury uciekające z tonącego okrętu. Tak właśnie się czuł. Jak szczur. Sędzia potraktował go jak szkodnika.

Adam zatrzymał się i spojrzał mecenasowi w oczy.

– Wiedział pan, że tak się to skończy?

– Skąd! – Radca nie wytrzymał jego spojrzenia.

– Stanowski mówił, że Fogel to fachowiec, profesjonalista.

Mecenas chrząknął.

– Profesor miał na myśli...

– To nie jest profesjonalizm. To... bandycki wyrok.

Szczęśliwie dla prawnika w tym momencie zobaczyli Fogła, który unikając dziennikarzy, odmawiając natrętom komentarza, szybko przeszedł korytarzem do gabinetu przewodniczącego wydziału upadłościowego.

– Chcę z nim pogadać – powiedział Adam.

– Odradzam. – Mecenas próbował go złapać za rękę. – To nie jest przyjęte, żeby rozmawiać z sędzią po wyroku.

Adam zdusił ostrzejsze słowo.

Nie przeklinam. Nawet w takiej sytuacji nie będę. Dałem ci się oszukać, małolacie. Zamiast mnie reprezentować i bronić, po prostu odbębniłeś obowiązek, a teraz wykazujesz się nawet niezajomością uprawnień stron. Przeczytałeś chociaż akta? Może prawo znasz, ale już

pochylenie się nad aktami jest za trudne, wymaga zbyt wiele wysiłku? Za dużo masz obowiązków, żeby czytać? Przecież sędziowie też nie czytają, chciałbyś odpowiedzieć. Gdyby mieli to robić... wtedy dopiero byliby wkurzeni. Nie za taką pensję.

– Nie obchodzi mnie to, co jest przyjęte. – Ominął prawnika i wparował do sekretariatu wydziału, a potem, nie czekając na pozwolenie, do gabinetu sędziego.

Fogel siedział przy biurku i notował coś w wielkim, grubym zeszycie. Opisujesz kolejną ofiarę swoich manipulacji, draniu, taki z ciebie profesjonalista?

– Panie sędzio, tak nie można – warknął Bonar.

Fogel podniósł wzrok i zaraz powrócił do zapisków.

Jakby mnie tu nie było. Dziwne, powinien przecież zareagować nerwowo. A może właśnie to jest najwłaściwsza, najbardziej upokarzająca reakcja. Pokazać, że nic nie znaczę. Że mogę krzyknąć, wygrażać, obrażać, a i tak to sędzia będzie górą.

– Zna pan procedurę, słyszał pan swoje prawa – rzucił spokojnym głosem Fogel. – Jeśli nie zgadza się pan z orzeczeniem, przysługuje zaskarżenie.

– Ale...

– Jeszcze jedno zdanie i ukarzę pana za obrazę sądu.

– Korzystam z mojego uprawnienia – rzucił Adam.

– Tak, jakiego niby?

– Strona może prowadzić rozmowy z sędzią komisarzem, a pan teraz nadzoruje syndyków mojej spółki.

Sędzia uśmiechnął się i z wyrazem zdziwienia, a może nawet uznania, przekrzywił głowę.

– Tak? No dobrze, co pan ma do powiedzenia?

– Sąd powinien starać się dojść do prawdy, a nie wydawać wyrok bez dokładnej analizy, na podstawie szątkowego materiału. Powinien pan chociaż powołać biegłego. On by wyjaśnił...

Coś złowrogo błysnęło w oczach Fogla. Uznanie uleciało bezpowrotnie.

– Słyszał pan o zasadzie kontrydiktoryjności?

– Tak, jednak...

– Sąd nie jest od prowadzenia śledztwa. Sąd ocenia jedynie materiał dowodowy przedstawiony przez strony. Wysłuchanie dwóch spierających się adwersarzy to najlepsza droga dotarcia do prawdy. Wysłuchałem i orzekłem, na podstawie zebranego materiału.

– Dowody nie zostały zbadane.

- Trzeba było zadbać o to, by tak się stało.
- Dług jest sporny... Biegły... złożyliśmy wniosek...
- Nie widzę żadnego spornego długu. Biegły w tej sprawie nie był konieczny.

Zimny przez chwilę miał ochotę podejść do Bonara i go pocieszyć, ale prezes Selacu uciekł na korytarz nawet przed Kasią Jarosz. Kuba ją rozpoznał, bo wcześniej wygooglował jej zdjęcie. Wysoka, koścista blondyna, nieco za ostre rysy twarzy i wyraźne parcie do przodu. Kobieta, która wie, czego chce. Wyglądała całkiem do rzeczy, ale on przecież nie będzie podrywać wroga. Byli już z Kasią Jarosz zatwardziałymi przeciwnikami, nie szczędząc sobie kąśliwych uwag na łamach swoich pism.

Cofnął się i z telefonem przy uchu wybiegł z gmachu sądu.

- Przygotujcie się, będzie zwała na całego na giełdzie.
- Wiemy, agencje już podają newsa – odparł naczelny. – Niesamowite, takie bankructwo!

Gratulacje.

Do diabła, ja tego wcale nie chciałem – pomyślał. Nie życzyłem Selacowi bankructwa.

Bąknął coś nieśmiało w proteście.

- To twój sukces – podkreślił naczelny. – Nawet niechciany sukces jest zwycięstwem.

– Wątpliwym.

– To Kuba Zimny z „Tylko Prawdy” wieszczyl już miesiąc temu, że Selac jest złodziejską spółką. Teraz potwierdził to sąd, a z jego wyrokami się nie dyskutuje. Chcesz się założyć, że w najbliższym czasie napiszesz, jak to Bonarowi do dupy dobrała się prokuratura?

- Pewnie tak...

Wniosek o ściganie bank już przecież złożył. Po decyzji sądu o upadłości prokurator może nie mieć żadnych oporów przed aresztowaniem biznesmena i postawieniem mu zarzutów, zgodnie z informacjami, które Kuba otrzymał od swojego tajemniczego, anonimowego „głębokiego gardła”.

– Ta suka z „Expressu” stanęła po złej stronie barykady, więc też zbierze cięgi. Zresztą założę się, że „Express” wycofa się w końcu rakiem ze swojej niezłomnej obrony bandziora Bonara.

- Dlaczego tak myślisz?

– Do Selacu wchodzi syndyk. Bonar zostanie odcięty od kasy, skończą się więc reklamy.

Tylko głupcy stają po stronie przegranych.

- I dziennikarze.

– Głupi dziennikarze.

Adam Bonar odepchnął pełnomocnika w recepcji biura zarządu, wparował do asystentki prezesa, a następnie, nie zważając na niczyje protesty, wdarł się do jego gabinetu.

Księżny wstał zza ciężkiego, szerokiego biurka z mahoniowego drewna i gestem dłoni odprawił ścigających intruza pracowników. Jego twarz nawet nie drgnęła. Nie bał się. Ale też nie patrzył z pogardą czy drwiną, której Bonar miał prawo oczekiwać.

Ochłoń. Jeśli przesadzisz, dasz mu broń do ręki – upomniał się.

– Cóż, Adamie, wydaje mi się, że nasz spór jest zakończony. – Dopiero teraz Księżny pozwolił sobie na ironiczny uśmiezek. Drań.

– To jeszcze nie koniec.

– Nie wątpię. Będziesz się bronił, skarżył, pewnie znów pójdziesz do mediów. Nie sądzę jednak, by dłużej cię słuchały.

– Kupiłeś sobie media?

– Od razu kupiłeś... Media są w kryzysie, potrzebują reklamodawców bardziej niż pokrzywdzonych. Pokrzywdzeni stają się nudni. Tylu ich wyżala się w internecie. Narzeka i pluje. Niech się wyżalają. Nikogo już to nie obchodzi.

– Jeszcze nie wygrałeś.

– Ale przyznasz, że jestem blisko.

Bonar zacisnął pięści.

– Nie mieszaj w to mojej rodziny – syknął. Starał się, by to zdanie zabrzmiało groźnie, ale zaschło mu w gardle i wyszło raczej żałośnie. Nie był specjalistą od gróźb.

– Rodziny? Za kogo ty mnie masz?

Adam zawahał się. Powinien mu powiedzieć o tych dziwnych zdarzeniach, obawach i fobiach? W filmach to nigdy nie wychodziło bohaterowi na dobre. Oskarżenia zawsze można było odwrócić i wykorzystać przeciw niemu. W takich kwestiach nawet najsłabsze filmy nie różniły się od rzeczywistości.

Na rynku finansowym renomę budowało się latami, a wystarczała jedna wpadka, by stracić wiarygodność. Jeśli się potknie, Księżny to wykorzysta. Rozłoży go na łopatki i dobije. Bez żadnej litości i skrupułów. Biznes to twarda gra.

– Powiem to tylko raz: to nasz spór, nie waż się go przenosić na... inne płaszczyzny.

Księżny milczał.



– Tylko to mi chciałeś powiedzieć?

W jego oczach Adam dostrzegł wyraz prawdziwego triumfu. Jedyne w swoim rodzaju, nie do podrobienia. Zrobił krok do tyłu i sam siebie zaskoczył, mówiąc:

– Przyjmę twoją ofertę.

– Ofertę?

– Sprzedam ci akcje.

Księżny, szczerze zaskoczony, uniósł brwi.

– Akcje? Sprzedasz? Nie potrzebuję twoich akcji.

– Chciałeś kupić Selac – przypomniał mu Adam. – Zgodzę się na twoje warunki.

– Trzeba było myśleć, kiedy zostały ci przedstawione. Dziś nie mam już dla ciebie żadnej oferty. Akcje bankruta nie mają nawet wartości sentymentalnej. Przykro mi.

– Ale...

– Nie masz nic do zaoferowania. Wszystko już straciłeś.

Grubber odebrał go spod budynku.

– Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

– W RMF trąbią od kwadransa, że prezes Selacu po ogłoszeniu bankructwa wdarł się do siedziby banku i wygrażał prezesowi.

– Szybko „ustalili”.

– I równie szybko „ujawnili”. – Grubber się uśmiechnął. – Na szczęście oszczędzili słuchaczom szczegółów i nie mówią, o co oskarżasz Księżnego. Zrobiłeś z siebie furiata?

– Byłem całkiem spokojny.

– I dobrze.

Bonar rozchmurzył się na myśl, że mimo tylu różnic nadają z detektywem na podobnych falach.

– Ustaliłeś coś?

Grubber poruszył głową, jakby chciał powiedzieć: i tak, i nie.

– Wciąż jeszcze sprawdzam. Jak będę miał pewność, opowiem ci.

– Potrzebuję ochrony?

– Masz mnie.

– Wcześniej mówiłeś, że nie jesteś ochroniarzem.

– Ech tam, mówiłem... Przecież na stronie internetowej piszę, że tym też się zajmuję. A ty, zamiast wyplakiwać się na dywaniku Księżnego, rób swoje.

– Nie mam już swojego.

– Walcz o firmę. – Gruby detektyw położył mu dłoń na ramieniu i uściśnął je znacząco. – Pokaż im, że masz jaja.

– A jeśli przez to zrobią coś Natalii lub dzieciom?

– Nie będę cię oszukiwał, to jest możliwe – powoli wycodził detektyw. – Ale jeśli okażesz słabość, jeśli dasz im znać, że spasowałeś, równie dobrze mogą wyciągnąć rękę po więcej.

– Zabrali już, co chcieli.

– Nie, to co najważniejsze wciąż masz, a im nie zawsze chodzi tylko o pieniądze. Nie poddawaj się. Słabość otwiera furtkę. Wabi hieny czyhające na ranne zwierzęta. A ludzie kryjący się w cieniu Księżnego to hieny. Całe stado hien.

\*\*\*

Profesor Stanowski udawał, że nic się nie stało. Oczywiście było mu przykro z powodu pomyłki w ocenie dowodów i sytuacji, a także samego sędziego Fogla. W zasadzie przecież wspominał, że się nie lubią i że Fogel to kanalia. Ostatecznie mogą jeszcze wygrać, więc nie ma co szukać winnych, tylko trzeba zakasać rękawy i przygotować dobrą apelację.

Choć fałsz w jego głosie był ledwie wyczuwalny, nie uszedł uwagi rozmówcy. W pierwszej, impulsywnej reakcji Adam omal nie zdzielił prawnika sierpowym w wątrobę i nie poprawił w szczękę. Dawno nie boksował. Kiedyś, na początku, gdy zakładali firmę, Sławek go jeszcze motywował i zachęcał do wspólnych sparingów. Razem dużo czasu spędzali w sali treningowej i na ringu. Po kilku latach jednak ich relacje powoli przybrały czysto biznesową postać i choć wszędzie bywali razem, pozorując przyjaźń, wolny czas spędzali oddzielnie. Bonar nie wiedział z czyjej winy. Samo tak jakoś wyszło. Adam miał rodzinę, Sławek był sam. Nie lubili się z Natalią, dla której przyjaciel Adama był zbyt zimny, oschły i nieprzenikniony. Bała się go. A wiedząc o części jego dość specyficznych upodobań i pasji, miała jeszcze więcej powodów do strachu i myślenia o wspólniku jak o psychopacie.

– Przepraszam pana. – Stanowski poklepał go po ramieniu, kierując się do wyjścia. – Muszę uciekać. Mam partyjkę squasha z prezesem PZU.

– Życzę wygranej – mruknął Adam, co zabrzmiało jak „obyś skręcił nogę”.

– Zawsze przegrywam – odparł Stanowski, dość przekonująco udając, że nie słyszy złośliwości w głosie młodego biznesmena.

Co za ludzie! – pomyślał Bonar o prawnikach. Zawsze sądził, że są intelektualną elitą. A tu się okazuje, że autorytety w tej dziedzinie mogą być mocniej zbrukane i śmierdzące niż

bezdumni. Kto jest bardziej godzien pogardy: człowiek, któremu się nie udało i dlatego cuchnie, czy ten, który po odniesieniu sukcesu zaczyna wydzielać woń zdrajcy i kunktatorskiego drania?

Nie chodzi o to, żeby wygrywać, tylko żeby grać. A co do naszej sprawy, to jestem naprawdę dobrej myśli...

Wyszedł. Adam patrzył przez okno, jak zmierza w kierunku samochodu. Na parkingu podszedł do profesora inny osobnik wyglądający na naukowca lub prawnika. Uścisnęli sobie dłonie, wsiedli do samochodu i odjechali.

Przed głównym wejściem do budynku stały dwa radiowozy. Policjant obserwował parkującego lincolna, mówiąc coś do mikrofonu przyczepionego do munduru, po czym zrobił kilka kroków, jakby chciał uniemożliwić Bonarowi odjazd. W tej samej chwili nadszedł esemes od gosposi.

„W domu czeka na pana policja”. Adamowi serce podeszło do gardła. Czy to oznacza, że coś się stało Natalii? A może dzieciom? Księżny mści się lub pokazuje dobitnie, że to on trzyma za sznurki i decyduje o jego być albo nie być? Czy za chwilę cały świat Adama zostanie bezpowrotnie rozbity i zdeptany?

Boże, nie możesz mi tego zrobić.

Szedł jak na ścięcie, czując na sobie wzrok gliniarza blokującego lincolna. W recepcji był drugi policjant. Dwaj inni, w cywilu, bardziej przypominali bandziorów niż gliniarzy. Czarne skóry, pod nimi ciasno opięte sportowe koszulki, celowo źle ukryte kabury podtrzymywane przez zniszczone szelki. Wszyscy pracownicy stali zebrani w holu, tworząc niezwykłą widownię tego rozgrywanego na żywo dramatu.

Mężczyźni w skórzanych kurtkach podeszli do niego, pokazując dokumenty, i przedstawili się, ale Adam nie zapamiętał ani funkcji, ani nawet imion. Nie dosłyszał też, co dokładnie mówią. Dotarło za to do niego, że nie chodzi o Natalię czy dzieci, i poczuł nagłą ulgę.

– Musi pan pójść z nami.

Skinął głową.

– Mogę coś powiedzieć pracownikom?

Policjant cofnął się. Adam postąpił o krok i po raz ostatni spojrzął w oczy czterdziestu paru osobom. Niektórzy byli z nim prawie od początku. Pięć, sześć, osiem lat. Jeden rodzynek, stojący tuż przy drzwiach, zaczynał w drugim roku ich działalności. Prawie dziesięć lat temu. Co można powiedzieć w takiej chwili, gdy coś się kończy? Gdy nie ma już nadziei?

– Wiecie zapewne o decyzji sądu – zaczął słabym głosem. – Nie mam wiele do dodania prócz tego, że moim zdaniem jest ona całkowicie bezzasadna. Firma ma pieniądze na koncie, nie jest bankrutem. Nie musicie się bać o pensje. Ale... to już nie ja będę je wypłacał. Dziękuję wam.

Ktoś klasnął, ktoś inny podchwycił i już po chwili wszyscy zegnali go brawami. Tutaj nikt nie uważał go za przestępcę. Nikt nie wierzył w porażkę.

Jeszcze nie.

– Chodźmy już. – Policjant przytrzymał go delikatnie za ramię.

Adam spojrzał mu w oczy i teraz go rozpoznał. Kilka miesięcy temu rozmawiali przy okazji zgłoszenia dotyczącego narastającej fali wyłudzeń. Dziwne koleje losu. Tuż po wakacjach to on, Bonar, pomagał łapać przestępców, dziś sam wygląda jak przestępca, a gliniarz, który wówczas był sprzymierzeńcem, teraz stał się narzędziem wroga.

– Nie założymy panu kajdanek – powiedział w radiowozie. – Ale proszę się tym nie chwalić. Po tych ostatnich akcjach mamy obowiązek je zakładać.

– I tak dobrze, że nie wparowaliście o szóstej rano i w kominiarkach.

Bonar próbował pocieszyć sam siebie. W zasadzie mam dobry humor. Kilka minut wcześniej czułem już krew, w myślach widziałem bezwładne ciało Natalii, podziurawione przez kule albo poranione ciosami noża. Nic mnie bardziej nie załamie.

– No, widzi pan, my nawet nie nagrywamy. Nie będzie żadnej konferencji prasowej. Żaden oficjel nie ogłosi z mównicy: „Nikt nigdy nie zostanie już zrujnowany przez tego człowieka”. Nie będzie medialnej nagonki i publicznej chłosty. Dostanie pan szansę obrony. Jak to mówimy: powróciło coś, co nazywamy domniemaniem niewinności.

– O co jestem oskarżony? – zapytał Bonar.

– Podejrzany – sprostował gliniarz. – A tego to już pan się dowie od pani prokurator. – Uśmiechnął się przyjaźnie. – Tak szczerze mówiąc, to jakaś paranoja, co się tu dzieje.

Bonar skinął głową, doceniając ten gest, i zaraz posmutniał, gdy dotarło do niego, że w zaledwie miesiąc stracił firmę, został furiatem i przestępcą.

Czy zostało jeszcze coś, co mógł mu zabrać Księżny?

Telefon, który policjant przejął do depozytu, zabrzączał sygnałem przychodzącego esemesa.

Gliniarz spojrzał na Adama pytająco.

– Mam panu przeczytać?

– Poproszę.

Policjant otworzył wiadomość i zmarszczył brwi.

– Nadawca: NIEZNANY...

Odsunął telefon dalej, jakby się upewniał, że dobrze widzi.

– No, niech pan w końcu przeczyta.

– „Najlepszego w dniu urodzin” – przeczytał i poprawił czapkę. – Ma pan dziś urodziny?

Kasia Jarosz zakończyła ostatnią odległość kraulem, zrobiła nawrót pod wodą, zafalowała jak delfin, przechodząc umiejętnie do grzbietowego, i zaczęła powoli wyciszać organizm po wysiłku. Pływanie wciąż dawało jej wiele satysfakcji i rozluźniało, pozwalając ułożyć sobie myśli, opanować złość i naładować akumulatory przed kolejnymi starciami. A gdy ktoś wkurzał ją jeszcze bardziej, kierowała się do sąsiadującej z pływalnią sali bokserskiej i wyżywała na worku lub gruszce.

Po czterech długościach grzbietem przepłynęła jeszcze pięćdziesiątkę delfinem, wyszła z wody, wzięła szybki prysznic, włożyła ciuchy, przez szybę pozdrowiła gestem trenera boksu, zmieniła buty w szatni i zarzuciwszy na ramiona sportową kurtkę, truchtem ruszyła w kierunku nadwiślańskich osiedli.

Parking przy ICDS – Integracyjnym Centrum Dydaktyczno-Sportowym – w którym mieścił się basen, był zajęty do ostatniego miejsca, gdyż w budynku akurat odbywała się sesja rady miejskiej. Włodarze toczyli nieskończone kłótnie o budżet, wyznaczenie tras przelotowych do stolicy, dotacje dla domów kultury czy szkół. Część wierzyła, że ma rację, występowała w swoim imieniu, część robiła to tylko z czystej radości psucia innym krwi. Byli też tacy, którzy nawet nie wiedzieli, dlaczego podnoszą dłoń.

Po prostu ktoś nam kazał.

Polityka na szczeblu lokalnym niewiele się różniła od tej rzekomo wielkiej, znaczącej gry w klasy. W obu przypadkach brakowało zwyczajnej ludzkiej uczciwości, zaufania i współpracy, szacunku dla innego człowieka, jego wyborów, przekonań i decyzji, a także akceptacji porażki, tak naturalnej w pełnym niedoskonałości i wad systemie demokratycznym.

Zdaniem Kasi polityka powinna być sztuką znajdowania kompromisów w imię dobra społecznego, jakkolwiek naiwnie to brzmi. W rzeczywistości zbyt często przypominała zabawę chłopców w piaskownicy.

– Kasia!

Z początku sądziła, że się przesłyszała, ale gdy w mroźnym powietrzu ponownie zabrzmiało jej imię, stanęła w miejscu.

Z cienia pobliskich drzew wyszedł szczupły mężczyzna o przydługich ciemnych włosach, mocno zniszczonych, zaniedbanych i posiwiałych. Para buchająca z jego ust szybko zniknęła w mglistej szarudze. Twarz miał dość przystojną, choć nie powalającą, przyduży nos, nieco

zbyt krzaczaste brwi i oczy bez specjalnego wyrazu. Taki sobie. Zbyt przegrany, by zainteresować jakąkolwiek normalną kobietę. Tacy jak on powinni trzymać z degeneratami, kurwami i szpiegami.

– Co ty tu robisz?

– Chcę pogadać.

– Musisz podrasować swój sukces?

– Wątpię, bym osiągnął jakikolwiek sukces.

– No jak to? Wielki Kuba Zimny! Wrócił do dziennikarstwa i od razu wykrył kolejną megaafere, opisując malwersacje dużej spółki giełdowej. Jego tekst oczywiście znalazł potwierdzenie w wydarzeniach, zapoczątkował falę bankructw firm leasingowych, rozpierdolił wręcz cały ten pokręcony, oszukańczy rynek, spowodował spadki na giełdach i kolejny odwrót inwestorów od warszawskiego parkietu.

– Niezła porażka – mruknął Zimny.

– Dla nich porażka, dla niego triumf. Na dodatek nikt mu początkowo nie chciał wierzyć, a głupia cipka z „Expressu Finansowego” ubzdurała sobie, żeby stanąć po stronie bandyty przeciw tej dziennikarskiej sławie, no i... się jej dostało. Gratulacje.

– Przykro mi.

– Nie twoja wina. Po prostu wygrałeś. To ty miałeś rację. Bonar jest przestępcą, Selac firmą oszustów.

– Postawiono mu zarzuty – przyznał Zimny.

– Wiem. Czego chcesz?

Zimny nie był pewien, jak jej to wyjaśnić, żeby od razu nie dostać w pysk. Gdyby miał powiedzieć prawdę, taką skrywaną głęboko, uczciwą prawdę, z pewnością tak by się to skończyło. Pytanie tylko, czy z otwartej, czy z piąchy.

– No mów! Chcesz mnie przelecieć? – Kasia stanęła w wulgarnej, wyzywającej pozie i patrzyła na niego bezwstydnie, z wyraźną niechęcią, a nawet odrazą.

Nie polubi mnie, nigdy nie będzie szanować – pomyślał Zimny. W zasadzie dlaczego tym się zajmuję? Dlaczego mi zależy?

– Co? – wydukał oniemiały i zbity z tropu.

– Dużo się o tobie nasłuchałam – powiedziała. – W redakcji już za plecami żartują, że mnie wydymałeś.

Boże, myślałem, że to ja dużo klnę – pomyślał Kuba i uniósł ręce w geście poddania.

– Słuchaj...

Spojrzała na niego twardo.

– Też tak myślisz? Wydymałeś mnie?

– Nie. – Energicznie pokręcił głową. – Ja...

– Nie jestem taka – przerwała. – Więc... odpierdol się.

– Poczekaj.

– Spadaj, gnoju.

Ruszyła szybkim krokiem, on jednak jej nie odstępował, podbiegając tuż obok. W końcu zatrzymała się i warknęła:

– Spierdalaj albo dam ci w ryj.

– Mam dla ciebie propozycję, ale jeśli wybijesz mi zęby, nigdy jej nie usłyszysz.

– To dostaniesz w jaja.

\*\*\*

W rządzie gabinetów na trzecim piętrze paliło się już tylko jedno światło. Wojciech Księżny podpisał ostatni dokument przedstawiony przez dwóch syndyków Selacu. Wiedząc, że całe spotkanie jest nagrywane przez kamery przemysłowe chroniące każde pomieszczenie banku i może być odtworzone przez nadzór czy przedstawicieli francuskiego właściciela, zachowywał pełną powagę i etykietę.

Syndycy wyglądali na nieco spiętych.

No, nie bądźcie aż tak sztywni – powiedział Księżny w myślach. Właśnie robimy złoty interes. Czy to zabronione? Wszyscy zyskają.

– Cieszę się z naszego porozumienia. – Syndyk Konrad Mochnacki ledwie dostrzegalnie mrugnął okiem. Księżny nie był pewien, czy to tylko nerwowy tik, czy taki sposób komunikacji. – Sędzia Fogel też będzie zadowolony.

Mochnacki był bardzo niskim mężczyzną o lekkiej nadwadze. Sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu od dawna powodowało u niego kompleksy i dążenie do osiągnięcia wielkości na innych płaszczyznach. Miał krótkie, rzadkie włosy i ślad gęstego zarostu na twarzy. Nie umiał pływać, dlatego niezbyt dobrze czuł się na jachcie, w przeciwieństwie do swojego zastępcy, Stefana Rekosza. Stefan znakomicie pływał i uwielbiał dobre wiatry. Na łodzi był bezkompromisowy i odważny. Przynajmniej tak opowiadano Księżnemu, który ani nie umiał pływać, ani nie żeglował. Cóż, są różne pasje. Jego pasją były pieniądze. Tylko na nich się znał i tylko je tak naprawdę kochał. Nic się nie liczyło poza kasą.



– Pieniądze Selacu na koncie w PBG z pewnością będą bezpieczne. – Rekosz uśmiechnął się, ściskając dłoń Księżnego.

Twarz prezesa poszarzała z bólu, gdyż Rekosz miał żelazny uścisk dłoni. Ten żyłasty, przeciętnie wyglądający mężczyzna o ziemistej skórze i małych oczach, w garniturze i pod krawatem, miał mięśnie jak kulturysta, trenował od dwudziestu lat sporty walki i przykładał dużą wagę do wyglądu.

– Zapewniam, panie syndyku, że nie ma dla nich lepszego i bezpieczniejszego miejsca. Co do pozostałych składników majątku...

– Musimy poczekać na zakończenie całego procesu odwoławczego, ale nie sądzę, żeby były jakieś problemy.

– Sędzia Fogel z pewnością wyrazi zgodę na działania dla dobra spółki – dodał Mochnacki. – Wbrew naszym... obawom... ten Selac... to całkiem... hm... zdrowa firma.

– Tak, w razie czego nie pozostawimy bez wsparcia tych dziesięciu tysięcy umów leasingowych. Oczywiście przejmemy też do naszej spółki zależnej pracowników.

– Zespół ma niezłe wyniki, warto go zachować.

– Z tymi samochodami... – Księżny zastanawiał się, czy już teraz poruszyć te kwestie.

– Tak?

– Cóż, z naszych analiz prawnych wynika, że w obecnej sytuacji możemy zażądać ich wykupu, nawet jeśli już zostały spłacone.

Mochnacki spojrział na Rekosza. Chyba nie byli pewni, o co dokładnie Księżnemu chodzi.

– Klienci nie będą zachwyceni takim obrotem sprawy – powiedział ostrożnie Rekosz. – To może niepotrzebnie zwrócić uwagę opinii publicznej i nadzoru na spółkę. Ma już dość rozgłosu.

– Hm... – Księżny zacisnął dłonie w pięści. Ci syndycy! Zawsze muszą się bać. Ile razy trzeba im powtarzać, że stoją po właściwej stronie, gdzie nic ich nie dosięgnie, nic nie sprawi kłopotu, nie przeszkodzi w dążeniu do celu! Jesteście w drużynie zwycięzców. Ci przegrani są po drugiej stronie siatki. Sędzia patrzy wyłącznie na nich, dostrzega jedynie ich błędy. – W tej sprawie chodzi nie tylko o pieniądze, ale też o szeroko pojęty interes społeczny.

– To znaczy?

– Znają panowie sytuację – kontynuował Księżny. – Firmy leasingowe zabierają bankom klientów często w sposób nieetyczny i nadmiernie ryzykując. Przy naszych procedurach bezpieczeństwa i konieczności zachowania pełnej wiarygodności nie jesteśmy w stanie

rywalizować. Usługi finansowe powinny być zarezerwowane dla instytucji zaufania publicznego, a takimi są tylko... banki. Co się stanie, jeśli dopuścimy do nich te Forexy, Srexy... czy Selaki? Jak panowie myślą, co by się stało, gdyby upadłość zagroziła PBG zamiast spółce, którą teraz reprezentujecie? Skutki byłyby niewyobrażalne dla całego systemu finansowego. Dlatego musimy wykorzystać okazję, by... pokazać społeczeństwu istotę problemu.

– Do czego pan zmierza, panie prezesie? – Rekosz doskonale już rozumiał. Wciąż jednak zastanawiał się, co ma powiedzieć. „Misje społeczne” nigdy mu się nie podobały. Jesteśmy tu dla pieniędzy. Misje są niebezpieczne, przykuwają uwagę, ściągają różne grupy interesów, z małej bitwy potrafią przerodzić się w wojnę. Po co? Zarabiamy pieniądze, zamiast niepotrzebnie ryzykować.

– Pan, panie Rekosz – powiedział dość niegrzecznie Księżny – akurat powinien dobrze mnie rozumieć.

Tak, Rekosz przecież pozornie uwielbiał ryzyko. Na łodzi nieraz podejmował bardzo brawurowe decyzje i dopiero wtedy czuł siłę wody i żeglarską moc. Ale też Księżny zdawał sobie sprawę, że to tylko pozory. Rekosz trenował na siłowni, podejmował wyzwania w ringu i rzucał się w niejeden wir, udając, że nie przejmuje się konsekwencjami, a tak naprawdę ciągle i na nowo zabijał w sobie tchórza. Wojciech miał w dalekiej młodości takiego kolegę w bandzie. Wielkiego i silnego jak tur, ale wystarczyło podejść do niego bez strachu, bez ostrzeżenia zdzielić w twarz, a następnie przytulić – i już wielkolud był jednocześnie pokonany, ujarzmiony i gotowy do wykonywania poleceń nowego władcy podwórka.

– Jeśli upadłość Selacu spowoduje kłopoty posiadaczy samochodów finansowanych przez tę firmę – ciągnął Księżny – może w końcu wszyscy zrozumieją, jak ogromnym ryzykiem jest wiązanie się z mało wiarygodnymi partnerami. Klienci powinni wiedzieć, że właściwym miejscem na załatwianie usług finansowych są banki, a nie... takie cudaki.

– A co na to powiedzą media?

Księżny wykonał dziwny płas głową.

– Jak to co powiedzą? Że Bonar oszukał klientów.

Rekosz uśmiechnął się niepewnie. Zaraz jednak pomyślał, że to rzeczywiście przypomina sytuację na łodzi. Przetrwali sztorm, morze się uspokoiło, adrenalina opadła, ale dlaczego wracać do portu, jeśli można poszukać kolejnych wrażeń? Kolejnego pasa ostrych wiatrów. Tak – tłumaczył sobie – wyzwania są dobre, wyzwania nie pozwalają myśleć o strachu.

- Proceduralnie to może nie być takie łatwe...
- A właśnie, że jest. Prawo regulujące usługi leasingowe jest mocno nieprecyzyjne, co sprawia, że w prosty sposób możemy zarzucić klientom Selacu działania w celu ominięcia przepisów podatkowych.
- Ale... oni nie chcieli unikać podatków.
- Skąd pan wie? Na dziś powinno pana obchodzić tylko to, że przedmiot leasingu można włączyć do masy upadłości, bo formalnie właścicielem jest Selac, a nie klienci.
- Będą wściekli.
- Oszukiwali na podatkach, to niech teraz płacą podwójnie. Może pojmą, że instytucje parabankowe to tylko dodatkowe ryzyko.
- Tyle że oni nie oszukiwali.
- Kogo to teraz obchodzi? Znam autorytety prawne, które wydadzą w tej sprawie jasne ekspertyzy. To były działania wbrew przepisom, w celu uniknięcia opodatkowania. Kto nie płaci podatków, jest przestępcą.
- I to jest ta nasza misja?
- A że przy okazji zarobimy dodatkowo jakieś... – Księżny spojrzał w wyliczenia, które mu dostarczono – kilkaset milionów...
- ...uznamy to za efekt uboczny.
- Właśnie.

Cela przypominała kiszkę. Wąska na jakieś trzy metry, długa na sześć. Osiemnaście metrów kwadratowych to chyba całkiem nieźle jak na takie miejsce.

Facet w okularach wstał i podał mu dłoń.

– Paweł.

Był niewysoki, otyły, wyraźnie wyczerpany, a mimo to coś w jego oczach mówiło, że wciąż walczy. Jakiś pierwiastek szaleństwa.

– Adam.

Bonar zapytał, które łóżko jest wolne, a gdy Paweł zrobił szeroki gest dłonią, jakby mówił: „wybieraj”, usiadł na tym najbliższej toalety.

– Chyba niezbyt dobre miejsce – zasugerował współwzięcień. – Kibel czasem odbija i wtedy strasznie cuchnie.

– Wytrzymam. To i tak tylko jeden dzień.

Adam rozłożył się na łóżku i wpatrzył w sufit. Nie był w stanie nic robić. Całkowicie

zniechęcony, bezwolny, niezdolny do walki o prawdę żywy trup. Nie chciał chyba także poznawać historii towarzysza, wchodzić z nim w jakiegokolwiek interakcje. Mimo że słyszał o trwających miesiące, a nawet lata, aresztowaniach, nie wyobrażał sobie, że jego również może to dotyczyć. Odkąd został zgarnięty przez policję, miał dość czasu, by przetrwać to, co się stało, i najgorsze było, że obserwował tę tragedię jakby z boku. Jakby go nie dotyczyła, jakby wciąż nie wierzył, że mogła mu się przytrafić.

To się nie dzieje naprawdę. Po co się więc przejmować?

Paweł wrócił do czytania książki, jednak długo nie wytrzymał.

– Pierwszy raz?

Adam skinął głową.

– O, to jesteś wyjątkowy.

– Tak?

– Ja kibluję od trzech lat, a gość, z którym siedziałem tu przed tobą, miał wyjątkowego pecha, bo siedział dziewięć.

– Na dołku? – Adam nie był pewien, czy użył właściwego określenia, ale chyba tak nazywali celę gliniarze.

– Nie, w areszcie. Ale chyba nie myślisz, że cię wypuszczą? Jak już wsadzają, to co najmniej na trzy miesiące. Jeśli jest za mało dowodów, to na krócej, żeby sąd się nie czepiał. Kto wie, może przewiozą nas razem i trafimy w areszcie do jednej celi.

Adam nie odpowiedział. Jego to nie dotyczyło.

– Mnie co wypuszczą z aresztu, to zaraz znów trafiam na dołek – kontynuował Paweł. – Dostaję nowy zarzut i tak mi organizują życie od trzech lat. Wypuszczają, wsadzają. Wypuszczają, wsadzają. – Uśmiechnął się szelmowsko. – Można się przyzwyczaić.

– Myślałem, że to... tylko do aktu oskarżenia się siedzi.

– No i tyle się czeka na koniec śledztwa. A potem dziesięć lat na wyroki. Przez ten czas naprawdę można uwierzyć we własną winę, choćbyśmy byli przekonani o niewinności.

– Aha.

– Niestety, im dłużej siedzisz, tym pewniejsze, że cię skażą. Jest taka teoria, że sądy mają prikaz skazywać choć na trochę tych długo siedzących, żeby nie trzeba było płacić odszkodowań.

– Sądy są niezawisłe.

Mężczyzna prychnął.

– Naprawdę w to wierzysz? A nie słyszałaś o prezesach sądu, którzy ślinią się na myśl o spotkaniu z politykami, chodzą na różne imprezy, żeby tylko ich spotkać, i są gotowi ustalić z nimi szczegóły postępowania? Nie słyszałaś? Poczytaj trochę na forach, a nawet w gazetach. Jeśli potrzebny jest komuś wyrok, może go załatwić. To równie wielki syf jak na Wiejskiej.

– To zależy od sędziego, a nie od aparatczyków.

– Administracja potrafi uprzykrzyć życie niegrzecznemu sędziemu.

– Ale sumienie ma tylko jedno.

Paweł pokiwał głową.

– Może masz rację. Trafiałem również na uczciwych sędziów... Dobry tytuł na film, co? Zamiast *Spotkałem nawet szczęśliwych Cyganów*. Moja historia nadawałaby się do filmu. Twoja pewnie też, co?

Zapadło milczenie i Adam pomyślał, że będzie miał już spokój. Uświadomił sobie nagle, jak wielkim jest samotnikiem. Nawet w domu, z Natalią i dziećmi, starał się jak najwięcej przebywać sam, zamykać się w gabinecie, unikać obowiązków rodzinnych. Gdy Paweł zaczął wciągać go w dyskusję, pomyślał, że wolałby już samotną celę dla enek – niebezpiecznych przestępców – o której wspominał jeden z przewożących go policjantów.

– Jesteś oczywiście niewinny? – Paweł nie wytrzymał długo w milczeniu, po czym odpowiedział: – Jak wszyscy?

Adam zawahał się z odpowiedzią. Może powinien od razu uciąć dyskusję. Powiedzieć, że nie ma ochoty na gadanie i zawieranie nowych znajomości. Ze starymi ma teraz wystarczająco dużo kłopotów.

– Tak – mruknął jednak w odpowiedzi.

– Jasne. Ja też. Mam już sto uniewinnień. Wyobrażasz sobie? Sto razy postawili mi jakieś zarzuty, a potem sto razy uniewinnili.

– To dobrze.

– Dobrze, kurwa? Żartujesz? Co to za burdel, w którym można każdego posadzić w pudle bez wyroku i trzymać go, byle tylko trzymać?! Wiesz, jak mnie załatwili?

Adam przymknął oczy.

Nie i wcale mnie to nie interesuje. Ale ty mi opowiesz, prawda? Wy, ludzie przegrani i wiecznie skrzywdzeni, już tak macie, że musicie opowiadać, zatruwać innych swoim jadem.

– Miałem odzyskać długi po Arenie. Słyszałaś o takiej firmie?

Bonar zmarszczył brwi. Tak, słyszał, choć nie do końca był pewien, czy dobrze kojarzy.

Arena była spółką skupującą przeterminowane wierzytelności, wyspecjalizowaną głównie w długach firm i prostych ludzi wobec przedsiębiorstw państwowych. Dzięki układom politycznym, zamiast płacić od razu, nawet z dyskontem, za nabywane papiery umożliwiające ściąganie długów, wprowadziła – zgodnie z odpowiednio sformułowanymi umowami – zwyczaj dokonywania płatności dopiero po windykacji. W efekcie ściągała długi, ale nie oddawała tych pieniędzy zakładom energetycznym, gazowniom czy kopalniom.

– Niezły biznes dla cwaniaków – powiedział głośno. – Ściągać długi, a potem nie zwracać kasy prawowitym właścicielom. Firma „Czysty Zysk”.

Paweł skrzywił się.

– Ale Arena wcale nie brała tych pieniędzy dla siebie, oddawała je.

– Tak? Komu?

– A jak myślisz? Z trzystu baniek prawie połowa poszła do polityków. To oni sobie wymyślili, że stworzą wehikuł, który umożliwi im legalne wyprowadzanie kasy ze spółek, i że nikt się do tego nie przyczepi. Arena ściągała dług, a część, która powinna trafić do zakładów państwowych, oddawała po prostu prywatnie do kieszeni zarządzającym nimi politykom, bo ci tak chcieli. Inaczej by nie sprzedawali wierzytelności.

– Dyskusyjne tłumaczenie. Arena dobrze wiedziała, w co się pakuje.

– Może i tak, ale kiedy zaczęły się kłopoty, zatrudniła mnie, bym pościągał pieniądze od tych polityków.

– Były na to kwity?

– No pewnie. Prezes Areny nie był tak głupi, żeby nie zostawić sobie kwitów. Dzięki temu ciężko będzie go skazać i posadzić do pudła. Pewnie w ogóle by nie miał kłopotów, gdyby nie ja.

– Dlaczego?

– Wyciszyliby sprawę, posadzili prezesa na trochę, a może nawet i to nie. Ale on zatrudnił Pawła Gębale, a Gębala musiał zrobić chlew...

– Gębala to ty – Adam raczej stwierdził, niż spytał.

– Ano ja. No więc wlałem w to gówno, zobaczyłem kwity i włosy stanęły mi dęba, bo kogóż tam nie było! Prezesi, urzędnicy, członkowie komisji, redaktorzy gazet, a nawet premierzy i prezydenci. Taki wianuszek najuczciwszych z uczciwych, co się dorobili na Arenie i myśleli, że tylko firma się na tym wyłoży. No więc ja zacząłem do nich dzwonić i żądać zwrotu, a wtedy bardzo szybko się okazało, że to ja jestem przestępcą. A nawet

multi przestępcą. Tak, drogi Adamie, siedzisz na jednej kozetce – Gębala zdążył się już przesiąść na łóżko Adama – z członkiem najgroźniejszych grup przestępczych, baronem paliwowym, a nawet pedofilem. To był pierwszy zarzut.

Adam poczuł zimny pot na karku. Coś mu mówiło, że Gębala nie jest niebezpieczny, że nie ma niczego złego na sumieniu, a jednak nie potrafił się pozbyć swoistego obrzydzenia. Właśnie tak to działa.

– Pedofil Milaczek. Tak mnie nazwano. Podobno zostałem rozpoznany, jak zaczepiam dzieci. Nawet zrobili mi okazanie, ale gdy dzieci mnie nie wskazały, skupili się na śledztwie poszlakowym. Tak zostałem pedofilem aż do czasu... uniewinnienia.

– Uniewinnili cię?

– Prawomocnie.

– Więc...

– ...co tu robisz? – dopowiedział szybko, nie dając Adamowi dokończyć pytania. – To tylko jeden z zarzutów, z którego mnie uniewinnili. Sto kolejnych padło potem. Wozili mnie po całej Polsce na okazania, a nuż ktoś mnie wskaże, stawiano zarzuty od czapy, a potem prowadzono sprawę aż do umorzenia lub uniewinnienia. Moje życie to niekończąca się karuzela. Areszt, sąd, uniewinnienie, dołek, kolejny zarzut, znów areszt i tak od nowa. Zapytasz: po co? Tego nie wiem, ale myślę, że odpowiedź jest prosta. Ktoś, kto ma sto zarzutów, nie może być niewinny, nie należy mu wierzyć. Albo jest przestępcą, tylko zręcznie unika kary, albo wariatem, albo manipulatorem, który wkręca naiwniaków. Kim mam być dla ciebie?

Adam skrzywił się, zbity z tropu.

– Nie wiesz, co powiedzieć? Pewnie, rozumiem. Może jednak jestem tym przestępcą? Nawet jeśli rzeczywiście uniewinniono mnie od zarzutu pedofilii, to wciąż są inne: podobno kierowałem grupą przestępczą, oszukiwałem, wyłudzałem, a nawet przekroczyłem gdzieś prędkość. Tylko morderstwa brakuje. Może i twoje przestępstwa mi przypiszą. Zabiłeś kogoś? Porwałś?

Adam aż się wzdrygnął.

– Czyżbym trafił? Nie bój się, mnie możesz powiedzieć. Ja już się tyle historii nasłuchałem, że nic mnie nie zdziwi. Ten przed tobą, o którym ci wspominałem... siedział, bo go świadek wskazał, a zrobił to, bo było mu obojętne, kogo wskaże. On początkowo się śmiał. Nie wierzył, że tak przypadkowo wskazany może siedzieć. Ale już po kilku miesiącach przestało mu być do śmiechu. A po paru latach to już zupełnie było chujowo. Na spacerku chodziłem

czasem z gościem, którego trafili za rzekomą grabież przy użyciu siły. Podobno w nieustalonym miejscu i o nieustalonym czasie zmusił przemocą nieustaloną osobę do zwrotu pieniędzy w nieustalonej wysokości. Sam nie wiem, co wygląda bardziej absurdalnie. Ich historie, moja, a może to, że na śniadania dostajemy spleśniały chleb, władze zaś uważają, że nie powinniśmy się dziwić, bo chleb pakują w piekarni jeszcze ciepły, więc to normalne, że może spleśnieć. Tak więc, Adamie, opowiesz mi swoją historię? Porwałś kogoś? A może zamordowałeś?

Adam nie odpowiedział. Przymknął oczy i udawał, że zasnął. Oddychał spokojnie.

Paweł także przymknął oczy i zakończył:

– Wiesz, co jest najlepsze? Że im dłużej siedzę, tym mocniej jestem przekonany, że nie mogę się poddać. I za każdym razem, gdy wychodzę, mówię sobie i im: wyrwę wam z gardeł tę kasę. Jeśli tylko znów mnie wypuścicie, ponownie zadzwonię i zapytam: gdzie pieniądze po Arenie? Będę tak chodził i pytał do końca świata, a może jeden dzień dłużej. Możecie mnie upodlić, zabić, oczernić, ale nigdy mnie nie pokonacie.

Cały czas była spięta i nieufna. Zimny niemal wyczuwał chłód bijący od Kasi. Nie chciała tu siedzieć, źle się czuła w jego towarzystwie, jego czar na nią nie działał. Nie działał już na nikogo. Co to za pieprzone legendy, o których mówiła? Kto mi robi taki PR?

– Dobra, mów, o co dokładnie chodzi. – Odstawiła niedopite piwo.

– Nie podoba mi się to.

– Co takiego?

– Cała ta sprawa Bonara. Jest... zbyt ułożona. Coś mi tu nie gra od początku.

– Rychło w czas. Wykończyłeś gościa, a teraz ci się nie układa?

– Ktoś inny go wykończył. Moje teksty były tylko... elementem rozgrywki.

– Ładny element! – Westchnęła nieco za głośno. Zimny miał wrażenie, że jeśli szybko nie powie czegoś bardziej konkretnego, ona zaraz wstanie i wyjdzie. – Zrobiłeś z Bonara bandziora i w każdym komentarzu domagałeś się działań, naciskałeś na nadzór, sąd, prokuraturę. To masz efekt.

– Nie naciskałem.

– Zawsze w tle było to pytanie: co zrobi ten czy tamten fiut? Gównu cię obchodzi prawda. Jesteś pierdolonym karierowiczem. Weź się więc odpierdol ode mnie, włóż gajerek od Armaniego i zacznij się bratać z sitwą kłamczuchów. Nam nie będzie po drodze.

Zimny omiółł niespokojnym wzrokiem wewnątrz lokalu, ale chyba nikt nie zwracał na nich



uwagi. W jazzowej knajpce wszyscy byli zajęci sobą i występem amatorskich muzyków, którym wychodziło to lepiej niż nieźle.

Może miała rację. Może sam nie dostrzegał, w jaki sposób działa, jak bardzo sugestywne są jego teksty. Chciał dobrze, ale czy na pewno? Może tylko udawał...

– Dobra, mój błąd. Poczekaj! – zawołał, widząc, jak zbiera swoje rzeczy ze stołu.

Spojrzała na niego bez przekonania, wyciągnęła papierosa i przypaliła. Ostatnia szansa, cwaniaku.

– Mów wreszcie, o co ci chodzi!

– No więc... mam przeczucie, że gość jest rzeczywiście wrabiany. Cała ta nagonka wygląda na dobrze przemyślaną i zaplanowaną, rozgrywana jest zgodnie ze schematem, dowody niby pasują, kolejne oskarżenia trafiają gdzie trzeba, ale jest to coraz grubszymi nićmi szyte.

– Dlaczego tak nagle ci to przyszło do głowy?

– Wcale nie tak nagle. Dysponowałem mocnym materiałem, a szanowny pan prezes Bonar nie chciał ze mną gadać. Co miałem zrobić?

– Poczekać.

– To napisałby ktoś inny.

– I ten inny zostałby chujem.

– Słuchaj... – Chciał powiedzieć coś ostrzej, ale zrezygnował i dorzucił tylko: – Klniesz jak szewc.

– Przeszkadza ci? Chyba nie. A może kobieta nie powinna kląć? Laski powinny mówić do ciebie tylko po francusku? Mam ładnie pachnieć i nie mieć swojego zdania, tak?

– Dobra, mów, jak chcesz, ale wróćmy do sprawy... Do pewnego momentu każdy klocek niby pasował do układanki...

– Teraz przestał?

– Nie do końca.

– Przejdź do konkretów, nie będę tu z tobą siedziała dłużej, niż muszę.

– Jeszcze chwilę. Firma, jak wiesz, niby robiła przekręty, prowadziła dziwną księgowość, nie spłacała kredytów, przez co w końcu dobrały się do niej sąd i prokuratura. Tylko jak się patrzy na te zarzuty, to można dojść do wniosku, że Bonar ma całkiem konkretne kontrargumenty.

– Szkoda, że o tym nie napisałeś.

– Informatorzy są jednak dobrze przygotowani – ciągnął, udając, że nie zauważył tego prztyczka – i zanim zdążymy nad jakąś kwestią dłużej podumać, rozbić ją na części pierwsze, to zaraz podsuwają nam coś nowego. Aresztowanie, kolejne zarzuty, następne gałązki dorzucane do stosu, na którym wreszcie ostatecznie i spektakularnie spłonie Bonar.

– Co masz nowego?

– Słyszałaś, jakie mu postawiono zarzuty?

– Nie.

– Wyrządzenie znacznej szkody majątkowej.

– Znacznej?

– Nawet bardzo. Mówi się o tych trzystu milionach złotych.

– Kolejny dobry news, tak? Ponowne potwierdzenie geniuszu Kuby Zimnego, który przecież o tym pisał już dawno, przewidział przyszłe zarzuty. Dlaczego cię to zaniepokoiło?

– Niby pasuje. Był zarzut w gazecie, coś tam się potwierdziło, spółka upadła. Teraz podobny zarzut jest w prokuraturze, ale ktoś zręcznie tym manipuluje, nie dopowiadając istotnych szczegółów. Zarzut dokładnie brzmi: „Wyrządził szkodę majątkową znacznej wartości, co najmniej trzystu milionów złotych, poprzez oświadczenie o odstąpieniu od umów z Polskim Bankiem Gospodarczym”.

Kasia Jarosz poprosiła o powtórzenie tego zarzutu i długo mieliła go w głowie.

– Zaraz, coś tu nie gra.

– No właśnie. Oni sugerują, że chodzi o podobną sprawę do tej opisywanej przeze mnie, ale ja opisywałem przecież zarzuty oszustw księgowych i lewych transakcji, a nie jakiegoś odstąpienia od umów. Przecież to brzmi kuriozalnie. Żaden normalny sąd nie skáže nikogo na takiej podstawie. Jak spojrzymy na inne rzeczy, też jest podobnie. Oskarżenia tak naprawdę są rzucane na wyrost, a potem potwierdzenie, i to dość dyskusyjne, znajduje jedynie część z nich. No a tutaj już zdecydowanie... przesadzili.

– „Poprzez odstąpienie od umów”. – Jarosz pokręciła głową. – Chcesz powiedzieć, że ktoś na poważnie to napisał.

– Prokurator w okręgówce.

– I że tego nie ma w mediach?

– Rzecznik pomija tę kwestię, kończy oświadczenia na znacznej szkodzie trzystu baniek. Tak brzmi dobrze, można walić w bęben. A tymczasem...

– To jakiś absurd. Nie sposób na poważnie zarzucać komuś wyrządzenia szkody poprzez

normalne działania biznesowe.

Zimny roześmiał się głośno.

– Roman Kluska. Słyszałaś o takim biznesmenie?

– Za kogo mnie masz? – prychnęła urażona.

Kluska był ikoną walki z bezprawiem i jednocześnie sztandarowym przykładem na to, jak mogą wyglądać w Polsce relacje biznesowe. Zaraz po transformacji zbudował jedną z największych firm komputerowych, która w pewnej chwili podpadła urzędowi skarbowemu i została oskarżona o przestępstwa podatkowe przy sprzedaży komputerów szkołom. Chodziło o to, że dzięki prawnemu absurdowi sprowadzane z zagranicy komputery były tańsze, bo nie naliczano do nich podatku VAT. Kluska i inne polskie firmy „eksportowali” więc własny sprzęt, żeby go potem taniej sprzedawać szkołom, które na tym zyskiwały. Nikt tu nie chciał nikogo oszukać, tylko wykorzystać zapisy głupiego prawa w myśl zasady: co nie jest zabronione, jest dozwolone. Urzędnicy jednak uznali inaczej. Biznesmena aresztowano i poddano różnego rodzaju upokorzeniom, traktując niemal jak groźnego mafiosa. Nałożono drastycznie wysoką, wielomilionową kaucję, a współpracowników próbowano skłonić do zeznań przeciwko pracodawcy, strasząc ich nawet gangsterami. Tyle fakty. Na ich podstawie spekulowano, że całą akcję przeprowadzono po to, żeby Klusce odebrać firmę, a za upokorzeniami stał mityczny UKŁAD.

– Jednak tam zarzuty nie były tak absurdalne jak w przypadku Bonara – przypomniała Kasia.

– Czyżby? Państwo polskie tworzy prawo, w którym daje preferencje „obcym”, a kiedy Polacy wymyślają niezabronioną przez przepisy odpowiedź, to urzędnicy wsadzają ich do więzienia, prokuratorzy straszą gangsterami, wymuszając zeznania, a sądy klepią absurdalnie wysokie kaucje. Pamiętaj, że Kluska i inni biznesmeni oskarżeni w tej sprawie wygrali procesy – odparł Zimny.

– Sądy nie zawiodły – dopowiedziała.

– Nie do końca, bo jednak odszkodowania za to były śmieszne, a firmy zniszczono.

– Kluska ostatecznie zdążył firmę sprzedać, prawda? Myślisz, że ci nabywcy go szantażowali?

– Nigdy tego nie potwierdził, może więc chodziło o kogoś innego, a sprzedał firmę uczciwym biznesmenom, żeby zagrać na nosie tym nieuczciwym.

– Może?

– Nie znamy odpowiedzi, więc po co pytać. Nie o tym chciałem mówić.

– A o czym?

– O Klusce krążą różne legendy. Jedna z nich mówi na przykład, że gdy już całkowicie wymiksował się z biznesu i zaszył na wsi, odwiedziło go dwóch smutnych panów i zażądało zwrotu części pieniędzy, które wziął za firmę, bo nastąpił krach giełdowy i „inwestorzy” nie zarobili tyle, ile chcieli.

– Szantażowano go?

– Poproszono, by był rozsądny.

– I co? Był?

– Nie wiem, zapytaj go. Jest też inna ciekawa legenda. Po takich działaniach ze strony państwa, „inwestorów” i partnerów biznesowych Kluska postanowił włożyć pieniądze na konto, żeby się już w nic nie „wmieszać”. Zapytał prawników, czy teraz nic mu nie grozi. Zgadnij, co odpowiedzieli.

– No? Że jednak grozi?

Zimny pokiwał głową.

– Biznesmen miał dużo pieniędzy, dziesiątki, może setki milionów. Zamiast je włożyć na lokatę, trzymał na normalnym, nisko oprocentowanym koncie. Prawnicy więc go ostrzegli, że przy odrobinie złej woli może ponownie zostać oskarżony o próbę oszustw podatkowych.

– Niby jak?

– Ano tak, że pieniądze na lokacie są wyżej oprocentowane, a jednocześnie płaci się od tych zysków podatek. Trzymając więc pieniądze na normalnym koncie, unika się nie tylko zysku, ale i opodatkowania. A celowe unikanie opodatkowania to przestępstwo. To tak à propos absurdów.

– To nie mogło być na poważnie. – Kasia z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Było. Tak samo jak na poważnie są te zarzuty wobec Bonara. I nikogo nie obchodzi, że prokurator prowadząca sprawę z urzędu ma ochotę zarzygać biurko swojego szefa, który cały ten idiotyzm wymyślił.

– To od niej to wiesz? – zapytała Kasia. Obiło jej się o uszy, że Zimny jakoby sypiał z jakąś prokuratorką, co nie skończyło się dla niej dobrze.

– Nieważne.

\*\*\*

– Dlaczego przestałaś pisać o Selacu?

Wracali do domu, powoli człapiąc ulicą Warszawską. Centrum Łomianek spało. Na ulicy nie było żywej duszy. Ozdoby świąteczne, którymi gęsto upstrzono ulice, migotały przyjemnym żółtym światłem. Jakiś pies dobierający się do śmietnika przystanął i patrzył na nich nieufnie, oceniając, czy stanowią dla niego zagrożenie. Wystraszył go policyjny radiowóz, wprowadzając silnik na wysokie obroty, a potem gwałtownie zwalniając. Dwaj funkcjonariusze otaksowali ich wzrokiem, po czym przyspieszyli i skręcili w kierunku Pułkowej. Zimny znał tę miejscowość, podzieloną przez trasę wylotową na Gdańsk. Po lewej stronie luksusowe wille, warte miliony posiadłości, po prawej – część biedniejsza, budowane jeden przy drugim segmenty, urzędy, banki, sklepy. Wielu jej mieszkańców, gdy nadchodziły wiosenne deszcze, drżało przed wielką wodą. Nowi nie przejmowali się ostrzeżeniami i zakazami, stawiając domy czasem tuż za wałem przeciwpowodziowym.

Do której grupy należała Kasia?

– Redakcja uznała, że nie ma sensu dalej się z tobą napierdalać. Przegraliśmy i możemy jeszcze więcej przegrać. Poza tym...

– Tak?

– W dodatku giełdowym zaczęły krążyć reklamy PBG. Może o to chodzi. Nikt nie mówi tego wprost, ale przecież wszyscy wiemy, że gazety mają problem z kasą, więc po co zrażać reklamodawców i podcinać gałąź, na której się siedzi? Na weekend ma iść duży wywiad z Księżnym.

– Ciebie nie zaproszono do poprowadzenia rozmowy?

– Żartujesz? Kto by się przejmował jakąś starą sprawą. Z Księżnym rozmawiać będą dwaj naczelni i prezes. Do spisywania z kasety będzie wyznaczony dziennikarz od banków. Tematy to strategia i inne kwestie makro, a nie mikro jak Selac. Tytuł ustalono przed wywiadem. *Bankier z wizją.*

– Czyli już was to nie obchodzi?

– Redakcji to nie obchodzi.

– A ciebie?

Wzruszyła ramionami. Stanęli przed jej domem i Zimny pomyślał, że pewnie w innej sytuacji miałby szansę na coś więcej niż pożegnalny uścisk dłoni. Teraz, gdyby spróbował, prawdopodobnie dostałby obiecany cios w jaja. Uśmiechnął się na tę myśl.

– Czemu się śmiejesz?

– Z tej twojej obietnicy. Wiesz, że jeśli się nie odczepię, to oberwę... po łbie.

– W jaja – poprawiła, uśmiechając się.

Do diabła, może i klęła za ostro, ale podobało mu się, że jest taka bezpośrednia. Niby zawsze twierdził, że nie znosi u kobiet wulgarności, jednak bliskie mu kobiety lubiły sobie czasem powiedzieć coś dosadniej i od serca.

– No dobra – zakończyła Kasia. – A teraz powiedz, dlaczego tak naprawdę przyszedłeś ze mną pogadać.

– Nie wiesz?

– No nie.

– Myślę, że wiesz. Jeśli miałbym być szczery, to... – Zimny mrugnął do niej, choć wiedział, że nic nie uchroni go przed konsekwencjami tego, co zamierzał powiedzieć – to od kilku dni rzeczywiście myślę głównie o tym, jak by tu cię przelecieć.

No to jestem podejrzanym, człowiekiem z zarzutami – pomyślał, patrząc prosto w oczy wyraźnie speszonej pani prokurator. Nie byle jakimi. Trzysta milionów. Takie przywłaszczenie mienia. Na dodatek w jakim stylu! Odstąpienie od umów spowodowało, że zostałem złodziejem. Dobrze. Piękny prezent urodzinowy, nawet jeśli nikt o tych urodzinach nie pamiętał.

Lepszego absurdu nie wymyśliłby sam Monty Python. Chcą mnie wsadzić za to, że powiedziałem bankom, by się goniły ze swoimi przewalami. I niby przez to ukradłem im pieniądze, których nie ma, nie było i nie będzie. Niezłe. Jak udowodnić, że coś nie istnieje?

Niemożliwe? Wszystko jest możliwe. Ludzie wypoczywający w Tajlandii nigdy nie myśleli, że może ich zalać wielka fala tsunami. Nakręcili o tym film i wiecie, jaki miał tytuł? Właśnie *Niemożliwe*. Dwieście trzydzieści tysięcy zabitych w całym regionie. A finansiści w WTC? Uwierzyliby w scenariusz, w którym samolot załatwia cały wieżowiec i rozpoczyna nową erę wojen światowych?

Dlaczego więc ja mam nie wierzyć w absurdy?

Prokurator, stawiając zarzut, ledwie zachowywała powagę i powściągała emocje. W końcu jednak wydukała numer paragrafu i całą tę bezsensowną formułkę zagrożoną karą do dziesięciu lat pułła. Gdyby wartość była niższa, Bonara obowiązywałby tylko artykuł 284, a tak ma na głowie także 291 czy 294.

Policjant, który zaproponował mu podwiezienie na parking, gdzie stał lincoln, powiedział, że gdy już wyszedł z pokoju, bluzgała, jakby dopiero co nurkowała w rynsztoku.

– Mówiła: pierdolę to, pierdolę. Nie będę wysługiwać się tym chujom.

Dodał jednak szybko, że Bonar powinien się cieszyć z takiego zakończenia. Niska kaucja, brak aresztu i innych dotkliwych środków zapobiegawczych. Zatrzymanie paszportu nie jest przecież tak uciążliwe. Gdyby zrobił walek za czasów Kluski, posiedziałby pewnie parę lat.

– Niech pan uważa, panie Adamie – rzucił gliniarz na zakończenie. – Nie warto się narażać dla pieniędzy.

Bonar dopiero po sekundzie zrozumiał, że to zdanie zabrzmiało dziwnie. Czyżby...

– Halo! – zawołał.

Policjant odwrócił się.

– Księżny kazał to panu powiedzieć?

Mundurowy, zaskoczony, uniósł brwi. Adam zadrżał, może mu się wydawało, a może nie.

Zanim zdążył powiedzieć coś więcej, policjant wsiadł do samochodu i odjechał.

Sięgnął po telefon, bateria była całkowicie wyczerpana. W samochodzie podłączył aparat do ładowarki. Przez kwadrans przeglądał esemesy i odsłuchiwał nagrania z poczty. Głównie od Grubbera. Sześć nagrań. Początkowo krótkie zdania, że jest do dyspozycji. W środku jakiś żart o człowieku, który wyglądał zupełnie jak Putin, a wszyscy mówili mu, że jego twarz przypomina goły tyłek. Dopiero ostatnia wiadomość bardziej konkretna:

„Wiem, co się stało. Koniecznie zadzwoń, gdy cię wypuszczą. Jeśli cię wypuszczą...”.

Adam wybrał numer.

– Już? Tak szybko? – Grubber nie krył zadowolenia.

Adam też poczuł się pewniej. Czyżby zaczynał odczuwać z detektywem jakąś więź? Będziemy przyjaciółmi?

– Postawili zarzuty i zwolnili – oznajmił. – Jedna nocka na dołku, w całkiem znośnych warunkach.

– Żadnego gwałciciela czy połykacza noży? – Grubber wykrzywił gębę w szyderczym uśmiechu.

– Nawet przynieśli mi gazetę do poczytania. Sprzed tygodnia, ale zawsze.

– Niepodobne do nich, świat się zmienia.

– Nie jest mi do śmiechu.

– Wiem, przepraszam.

Nagle zdał sobie sprawę, że choć zarzuty są absurdalne, a cała sytuacja przypomina komedię, to jednak wcale nie jest zabawna i ma miejsce tu i teraz, naprawdę. Można zbyć ją śmiechem i nie wierzyć, ale rechot zza krat brzmi tylko żałośnie.

Był niemal jak bohater modnych w latach osiemdziesiątych filmów klasy B, w których reżyser nieustannie go osaczał, poddawał różnym próbom, często w poetyce snu czy fantasmagorii, by na koniec zrobić przewrotek i pokazać, że to działa się naprawdę, otoczenie uczestniczyło w spisku, a bohater wcale nie zwariował. Jednak nie oznaczało to happy endu. Cel intrygi zwykle umierał, a ekipa naciągaczy czy spiskowców rozpoczynała w epilogu nagonkę na kolejną ofiarę.

– Masz coś nowego?

– Opowiem ci, gdy się spotkamy.

– Przyjedziesz do mnie?

Grubber wahał się sekundę, po czym zaproponował:



– A może spotkamy się u Ewy?

Bonar nagle wzmógł czujność.

– Nie spotykam się z Ewą – odparł, powoli cedząc słowa.

– Wiem. Wierzę ci.

W co ty grasz, Grubber?

– Mimo to sędzę, że powinna być przy tej rozmowie – zakończył detektyw.

– O co chodzi?

– Przyjedź do Ewy. Ja zaraz tam będę.

\*\*\*

Dwa lata, tyle jej nie widział. Przed oczami w tej jednej chwili przebiegło mu niemal całe życie. Pierwsze zetknięcie ich dłoni i cała historia toczy się jak na filmie.

Końcówka lat osiemdziesiątych, ostatnie podrygi komunizmu. Niemcy, Uniwersytet Lipski. Młodzież socjalistyczna omawia przewagi systemu komunistycznego nad kapitalizmem. Adam na nudnych wykładach z marksizmu-leninizmu ukradkiem podczytuje Goethego. Ewa śmieje się z opowieści jakiegoś Niemca, któremu już w szkole podstawowej powierzono funkcję komisarza agitatora. U nich każdy musiał mieć jakąś funkcję, w przeciwieństwie do Polski, gdzie totalitaryzm przybrał znacznie łagodniejszą, choć nie mniej burą i smutną formę.

Czystości myśli tego agitatora pilnują czołgi i Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego, zwane Stasi. Na nasiadówkach Adam i Ewa nie są do końca pewni, czy Niemcy rzeczywiście w to wierzą, czy traktują ze śmiertelną powagą całą tę grę w Orwella. Tak wyglądają. Jakby byli święcie przekonani, że za murem berlińskim rzeczywiście jest bieda, terror, bezdomni, zło, a kolorowe neony sygnalizują nadejście demonów i samego diabła.

Ewa prawdopodobnie zalicza każdego z tych przystojnych Niemców. Adam sypia z Niemkami, z których jedna jest wyjątkowo bezpruderyjną i zaborczą kochanką, więc nie powinien się czepiać. W Polsce wszyscy wiedzą, że Niemki są łatwe, z Polkami trzeba chodzić. Polki nie są przeznaczone do łóżka, tylko do trzymania za rękę i całowania po powiekach. Nawet na pocałunek z języczkiem trzeba zapracować. Dopiero po miesiącu chodzenia można liczyć na coś więcej.

Nie podoba mu się więc ta wulgarna, nazbyt bezpośrednia dziewczyna. W snach widzi, jak partyzanci golą jej głowę. Idzie potem ulicą, wytykana palcami, na krzywych nogach, zbrukana i krwawiąca. Podjeżdża czołg, jeden z tych, które otaczają teraz strajkujące kopalnie i stocznie, wysiadają żołnierze-wojownicy i znów się nad nią pastwią, aż do porannego

przebudzenia spoconego ciała.

Inną miarę przykłada do siebie. On może posuwać Niemry. To jak zemsta za to, co nam zrobili, choć uprawiając seks, rzadko myśli o zemście. Nie kocha tych kobiet, bo nie jest zdolny do takiej miłości, ale też nie ma w nim nienawiści. Za to patrząc na Ewę, czuje jakąś złość, jakieś wewnętrzne przekonanie, że ta kobieta stoi po mrocznej stronie.

Zanim zdąży zrobić coś nieodpowiedniego, wykrzyczeć jej w twarz pretensje, zakochuje się w Natalii, która jest zupełnie inna. Skromna, wyciszona. Nie szuka okazji do schadzek, nie korzysta z wolności, jaką daje pobyt z dala od rodziców, ani z życia w ogóle. Adam nie wie jeszcze, że jest skłócona ze starymi i całym swoim światem. Nie wie, że ta kobieta głównie ucieka.

Ale to też go pociąga. Ona jest jak znikający punkt, za którym biegnie, który próbuje złapać, okiełznać. Przestaje sypiać z Niemkami i skupia się na nauce. Czasem wkuwają razem. Rozmawiają o ekonomii, robotyce, programowaniu równoległym i starych powieściach. Dla Adama największym pisarzem jest Goethe. Ona woli Manna, ale tak w ogóle to jest zauroczona Francuzami i Rosjanami. Na półce ma Dumasa, Maupassanta, Hugo, Zolę, Turgieniewa, Dostojewskiego i Tołstoja. Lubi stare, klasyczne powieści, choć nie gardzi też nowoczesnymi zabawnymi historyjkami jak te spod znaku Topora czy Borisa Viana. Jego fascynuje język niemiecki, który jest znacznie bardziej pojemny, barwny i wieloznaczny niż polski. Próbuje nawet pisać.

W ogóle dobrze mu idzie. Kleci wiersze i robi specjalizację z robotyki oraz programowania. Komputery w biznesie i przedsiębiorstwach to wciąż odległy ląd, ale w bankowości już się zadomowiły na dobre. Uczy się ich, zaczyna rozumieć. Na następną wymianę studencką jedzie już do Republiki Federalnej Niemiec, tak nazywanej w Polsce i skracanej do RFN.

Niemcy Zachodnie. Duisburg. Dostaje staż w Deutsche Banku. O dziwo, nikt nie żąda od niego szpiegowania, nikt nie robi problemów z paszportem. Przechodzi zwykłą ścieżkę, rozmawia ze smutnym panem w szarym garniturze, ale nie podpisuje żadnych lojalek, zobowiązań, deklaracji. Nie jedzie tam szpiegować, choć... zawsze może pan się nam przydać, proszę o tym pamiętać – kończy oficer bez nazwiska.

Uczy się bankowości, programuje komputery. Wymyśla i rozpisuje system do zbierania informacji o obrotach dewizowych. Niemcy, zaskoczeni i podekscytowani, kupują go i wdrażają w oddziale. Tak zarabia swój pierwszy milion, na razie kopiejek.

Śmieje się z własnych żartów na temat pieniędzy, ale w głębi duszy czuje, że nadchodzą zmiany i że pieniądź będzie wkrótce rządził jego światem. On zaś stanie się niewolnikiem pieniądza, a potem jego władcą.

Na razie kwota otrzymana za program komputerowy wystarcza na ślub i wakacje. Mówi Natalii, że ją kocha, kupuje pierścionek u niezwykle bladego jubilera, a ona rewanzuje się karteczką z pozytywnym wynikiem testu. Trzy miesiące później już wie, że będzie miał córkę. Wolałby syna? Każdy mężczyzna woli syna, dopóki żona na swą zgubę nie urodzi mu córki.

Potem przepada.

Spotyka Mierzejewskiego, który znacznie wcześniej zaczął kosić kasę w bankach. Fakt, że Sławek też studiował, a potem przez chwilę pracował w Niemczech, nie jest bez znaczenia dla ich znajomości.

– Ludzie przemierzający podobne drogi powinni dalej wymieniać doświadczenia. Boksujesz, Adamie? – pyta kiedyś podczas treningu na siłowni.

Adam zakłada rękawice i przyjmuje pierwsze razy. Po trzecim sierpie adrenalina skacze, atakuje z furją, co kończy się na deskach. Technika i doświadczenie wygrywają z siłą i amokiem. Pochyla się nad nim uśmiechnięta twarz Sławka.

– To jak, chcesz pracować dla mnie?

Ma układy, relacje, sporo pieniędzy. Zaprzyjaźniają się. Sławek jest ciekawą osobowością. Uwielbia dominować, a jednocześnie trzyma się z tyłu. Rządzi z drugiej linii. Wydaje polecenia przez pośredników. Jeśli wynik jest pozytywny, zbiera pochwały, jeśli przegrywa, nigdy nie przyznaje się do winy. To twoja wina – mówią jego oczy, całe ciało. Adam nie lubi tego, choć akceptuje. Uczy się od Sławka manipulacji ludźmi i sytuacjami. Na ringu coraz częściej dotrzymuje szefowi kroku, ale zbyt dużo już się nauczył, by wygrywać. Łączy nas chłodna, męska przyjaźń – mówi kiedyś Sławek Natalii podczas wspólnej kolacji i wtedy Adam po raz pierwszy myśli, że to nieprawda. Jesteśmy partnerami biznesowymi, a nie przyjaciółmi.

Adam jedzie do Szwajcarii.

Staż w Crédit Suisse. Praca w pięcioosobowym zespole. Szwajcarzy mówią w kilku językach i nie są pewni, czy właściwie ich rozumie. Sami nie wiedzą, czy chcą powiedzieć to, co powiedzieli. Tu nie ma miejsca na wylewność. Cechuje ich dystans i prawdziwy chłód. Telefony do Natalii kosztują go majątek.

Miłość z sekretarką nieco mniej. Kocha ją na stole, potem ciężko dyszy na ziemi, podczas

gdy ona bez słowa poprawia ubranie i wreszcie pocieszająco czochra mu włosy.

To nic, tylko seks. Nie ma się czym przejmować.

Pierwszy raz zdradza Natalię i jest mu z tym źle.

Magda jest równie piękna jak mama. Cieszy się na widok taty. Oczy błagalnie wypatrują deklaracji, że już ich nie zostawi. Ma dość Szwajcarii. Nawet jeśli oznacza to zmierzenie się ze znacznie trudniejszą rzeczywistością w Polsce.

Próbuje uniezależnić się od Sławka, odciąć od jego wpływów, pieniędzy, dominacji i rozdań przy pomocy pośredników. Chce zrobić coś samemu. Dość się nauczył, dość napatrzył.

W Warszawie niemiecka firma od automatyki biurowej potrzebuje przedstawiciela. Nazywa się Roboteck i jest prawie jak IBM. Przynajmniej na dziewiczym polskim rynku. System dawno się rozsypał, trzeba walczyć z inflacją i problemami transformacji, chować dolary w skarpecie i modlić się, żeby Rusczy rzeczywiście wrócili do siebie, żeby to nie zaowocowało jakimś wielkim bumem.

Roboteck pada i Adam zostaje bez pracy. Patrzy na rosnącą Magdę, kocha się z Natalią i myśli, czy podoła, czy będzie mężczyzną, który znów podniesie głowę, utrzyma rodzinę, zarobi na sobie i na nich. Nie jest łatwo, czasy są, jakie są. Jednak jest młody, głodny sukcesu, odważny i przebojowy. Nie wywiesi białej flagi, nie da się tak łatwo pokonać.

Wtedy właśnie przychodzi mu to do głowy. Dlaczego w Polsce zmian i biedy nie miałby się sprawdzić jeden z pomysłów na finansowanie działalności, które tak dobrze funkcjonują na Zachodzie, które tyle czasu obserwował i wprowadzał w życie w Szwajcarii?

Ma wystarczające doświadczenia, by to zrealizować. Nie ma kasy na start.

Mierzejewskiemu też coś właśnie nie wyszło, więc gdy wpadają na siebie niby przypadkiem, Adam podejmuje ryzyko. Ale tym razem z pozycji siły, bez manipulacji, gierki, podstępów i wykorzystywania ludzi jak kukiełek. Twoje pieniądze, mój pomysł. Udziały pół na pół. Sukces dzielony po równo, tak jak porażka.

– Dlaczego miałbym się na to zgodzić? – Nawet dziś Adam dobrze pamiętał to lekceważące, pełne dystansu spojrzenie i to, co odpowiedział Sławkowi.

– Bo dużo na tym zarobisz. Poza tym... jesteśmy przyjaciółmi.

Opijają to do późna w domu Adama. Natalia niechętnie im służy, Sławek jej się nie podoba. Nie ufa mu, nie wierzy w czyste intencje, żąda papierów, kwitów. Temu człowiekowi nie możesz wierzyć na słowo.

Nie wierzył, spisywał. Nie zawiódł się. Wbrew obawom Sławek nigdy nie próbował przejąć kontroli w firmie i przyjął dominację Adama jako naturalną w spółce, którą ten wymyślił. Uznał, że pomysł jest ważniejszy niż pieniądze, w końcu sam zaproponował, by przy którejś z kolejnych emisji to Bonar przejął więcej udziałów i samodzielne stery. Wystarczyły mu pieniądze i to, że Bonar nigdy nie wtrącał się w inne jego interesy.

Ale w tamtym czasie, gdy nad ranem urywa mu się film, Adam tego nie wie. Rankiem budzi się z bólem głowy i czeka go kolejna awantura z Natalią, która nie chce męża pijaka, nie chce człowieka upadającego się jak zwierzę. Wybiega z płaczącą Magdą na rękach i ledwie daje się uprosić, by wróciła.

To się już nie powtórzy – obiecuje Adam. Nigdy więcej.

Nigdy? – Natalia żąda jednoznacznej deklaracji.

Adam potwierdza. Tydzień później ma już wszystko ułożone, rozpisane, podzielone na role. Nie wymyśla koła na nowo. Działa jak Szwajcarzy i Niemcy. Kopiuje model, który na Zachodzie od lat jest sprawdzony, idzie ciągle do przodu, a u nas nawet jeszcze nie raczkuje. Prawdziwa żyła złota.

Tak powstaje Selac. Liliput z ambicjami. Na początek tylko oni dwaj i przyjaciółka Sławka, która zajmie się sekretariatem.

Drzwi otwierają się i wchodzi Ewa.

Ta-dam!

Świat jest naprawdę mały. Jak to możliwe, że kobieta, którą poznał i znienawidził podczas studiów w Niemczech, została przyjaciółką jego inwestora i biznesowego partnera? Może to przeznaczenie albo inny rodzaj kosmicznej energii ich do siebie przyciągał?

A teraz...? Czy teraz, po latach, w zupełnie innych okolicznościach, miało to podobne znaczenie?

– Miło cię widzieć, Adamie. – Wyglądała jak dwa lata temu, gdy widzieli się po raz ostatni. Nic się nie zmieniła. Za to z małolaty z Niemiec zostało już niewiele. Była dojrzałą kobietą, wyrachowaną, zimną, taką, która wie, czego chce. Miała jasne włosy, proste, ledwie sięgające za ucho, starannie zaczesane do góry i wymodelowane żelem czy lakierem. Nadawało to jej twarzy wyraz wyższości i pewności.

Kobieta, która zna swoją wartość, jest dumna i pewna siebie, wysoko zadziera głowę. To się nie zmienia. Po przygodzie z Selakiem założyła własną firmę, specjalizującą się w inwestycjach walutowych, i poradziła sobie jeszcze lepiej niż on. Choć kto wie, w jakim

stopniu to był jej sukces, a w jakim tych, którzy się pod nią podpięli, z którymi się skumała i których teraz on może bardzo potrzebować.

Jeśli będą chcieli, mogą mu pomóc, objąć opieką i pokazać, że nie jest sam. Mogą wesprzeć go w wojnie z Księżnym, odwrócić los, pokonać przeznaczenie.

Pytanie tylko, czy on tego chce. Bo z takiego związku już nie można uciec.

– Cześć, Ewa. – Pocałował ją w policzek i wszedł do środka.

Grubber siedział w salonie, który miał jakieś siedemdziesiąt metrów kwadratowych powierzchni. Całe mieszkanie – pewnie ze sto pięćdziesiąt albo dwieście. Apartament królewski, najdroższy w całym budynku. Słusznie założył, że nie musi się o nią martwić. Ewa miała co najmniej tak dobrą passę jak on.

– Chcesz kawy czy od razu przejdziemy do czegoś mocniejszego?

– Niech będzie gin z tonikiem.

– Od kiedy pijesz babskie drinki?

– Wiesz od kiedy.

Grubber ciężko uniósł z fotela swoje studwudziestokilowe ciało, odstawił na barek szklankę z wodą i sięgnął po butelkę jasnego piwa. Wlał płyn do szklanki i utkwiał wzrok w Bonarze.

– Usiądźcie – poprosił, wyjmując ze skórzanej teczki notatnik i jakieś elektroniczne urządzenie.

– Dlaczego zależało ci na obecności Ewy?

– Trochę zaczęło to dotyczyć także jej – odparł detektyw.

Ewa nie była zaskoczona, więc pewnie już ją wtajemniczył. Bonar pomyślał, że to on, jak zdradzany mąż, dowiaduje się na końcu.

– O co chodzi?

Grubber odchrząknął.

– Obawiasz się, że spór prawny i finansowy to tylko prolog tego, na co Księżnego stać, prawda?

Bonar skinął głową.

– Sądzisz, że bankier nie cofnie się przed innymi prowokacjami, groźbami, szantażem, nękaniami... kto wie, co może jeszcze wymyślić, prawda?

– Nie jestem szajbusem, ale... – przerwał, zastanawiając się, jak ująć w słowa to, co ma na myśli.

– ...ale omyłkowe zatrzymania przez policję, źle działające telefony, krążące w pobliżu samochody z zamazanymi numerami rejestracyjnymi i nieprzejrzystymi szybami zaczynają się dziwnie spiętrzać?

– Dlatego cię zatrudniłem.

Grubber uśmiechnął się z zadowoleniem.

– I dobrze zrobiłeś. Zacznijmy od tego, co mamy. Pomyłki policyjne najprawdopodobniej nie były przypadkowe. Ktoś wprowadził do systemu odpowiednią informację, prowokując interwencję patroli.

– Ktoś?

– Policjant – uzupełnił. – Albo cię nie lubi z powodów osobistych, co raczej wykluczam, albo spełnił prośbę kolegów z innego... wydziału.

– Jakiego?

– Domyśl się. Samochodów nie mam jak skontrolować, nie znając numerów, za to co do telefonów, moi spece po sprawdzeniu systemu rzeczywiście odkryli ślady włamań. Niestety, zrobił to dobry fachowiec, zacierając te ślady na tyle, że nie jesteśmy w stanie ustalić nic więcej. Niemniej daje nam to już pewność, że... nie jesteś oszołomem.

– Jakoś nie odetchnąłem.

– I słusznie, bo jak znam życie, to nie koniec.

– Co masz na myśli?

– Musisz bardzo uważać na poważniejsze prowokacje. Jeśli ktoś je szykuje, może nie skończyć na takich dość delikatnych próbach nastraszenia.

– Nazywasz to, co mnie spotkało... delikatnymi próbami?

– Uwierz mi, są delikatne, choć z pewnością uciążliwe. Jednak mogłyby być znacznie gorsze. Metod na wrobienie jest cała masa. Wystarczy, że ktoś pokaże twoje zdjęcie przekupnemu świadkowi, a ten wskaże na ciebie, i już jesteś podejrzanym. Niektórzy świadkowie koronni specjalizują się w podobnych szantażach i fałszywych oskarżeniach. Ludzie siedzący w tym interesie wiedzą, że można kupić ich zeznania.

– I nikt nie reaguje?

– Czasem reagują, zwykle jednak jest im to na rękę.

– Ale nie wrobionemu.

– Sam często zostaje świadkiem koronnym i wrabia innych. Wróćmy jednak do ciebie, bo nie mam dobrych informacji. Prawdopodobnie to dopiero początek twoich kłopotów.

Bonar zaczerpnął głęboko powietrza i po chwili wypuścił je nerwowo.

– Czy... to ma związek z Ewą? – zapytał, czując nagłą suchość w gardle.

Grubber popatrzył na niego nieco inaczej, spoważniał i Bonar zrozumiał, że mimo żartów, uśmiechów, a nawet odrobiny niepewności, detektyw mu współczuje i identyfikuje się ze sprawą.

Nie robi tego tylko dla pieniędzy. Jest po mojej stronie – pomyślał.

Grubber tymczasem powoli sięgnął do torby i rzucił na stół kilka dokumentów.

– Przejrzyj!

Adam uważnie spojrział na każdą kartkę. Nagle zrozumiał, dlaczego Ewa była tak istotna dla sprawy.

– To nieprawda – oznajmił cichym głosem.

– Tak przypuszczam, ale musicie mi o tym szczerze opowiedzieć. – Grubber przygryzł dolną wargę.

– Przepraszam, tak mi głupio – szepnęła Ewa, odwracając głowę.

– Zakochane kobiety są bardziej niebezpieczne niż pershingi. – Detektyw uśmiechem próbował rozładować trochę sytuację. – Wiem o tym, że byliście razem, prowadziliście podwójne życie i tak dalej. Ale musicie wyjaśnić mi to do końca.

Popatrzył najpierw na Adama, potem na Ewę. Obliznął usta językiem i czekał, co powiedzą.

Adam zadrżał pod wpływem wspomnień sprzed dwóch lat. Znów był w jej mieszkaniu na Mokotowie, powstrzymywał ją, tulił w ramionach, starając się uspokoić i wyciszyć, ale pijana Ewa nie pozwalała na to, szarpała się, wrzeszczała. Potem krzyczała za nim przez okno, gdy odchodził, nie zważając na jej ból. Mimo że czuł wtedy żal i było mu zwyczajnie przykro, to w momencie, gdy spojrział na śpiące dzieci i zdjęcie Natalii, która akurat wyjechała do Szwecji, doznał nagłego przypiływu wzruszenia. Wyrzuty sumienia zastąpiła pewność, że postąpił dobrze, dokonał właściwego wyboru. Uświadomił sobie, jak wiele w życiu osiągnął dzięki rodzinie, jak wiele ma. Wiedział, że nawet jeśli Natalia dowie się o Ewie, to on zdoła ją przekonać, by nie odchodziła. Cokolwiek Ewa by zrobiła, nie mogłaby już rozbić jego rodziny. Owszem, wiedział, że popełnił draństwo i że jego szczęście w tej chwili oznaczało krzywdę dla Ewy, ale nic na to nie mógł poradzić. Popełnił błąd. Nie pierwszy i nie ostatni w życiu.

– Byłam pijana i głupia – zaczęła Ewa i zacisnęła mocno zęby. – Powiedz mu resztę.

Adam wzruszył ramionami.



– Pewnie i tak wiesz...

– Ale chcę to usłyszeć od was.

– Niech będzie. – Bonar nerwowo zastukał palcami w kolano. – Po moim wyjściu Ewa poszła do knajpy i się doprawiła, a potem...

– Urwał mi się film – dopowiedziała. – Nic nie pamiętałam.

– Policja znalazła ją na Powiślu, a ona powiedziała, że została pobita i zgwałcona – zakończył Adam.

– Wycofałam oskarżenie – wtrąciła szybko Ewa. – Wymyśliłam to sobie. Adam był niewinny. Chciałam się zemścić i tak wyszło.

– Tak, nie kwestionuję tego. – Grubber spuścił wzrok i złączył ręce jak do modlitwy. – Ślad w papierach jednak jest. Podobnie jak po twoim... romansie z tą laską z Nissana.

– Diler Nissana – sprostował Adam.

Jestem łobuzem – pomyślał. I może dlatego w końcu nadeszła zasłużona kara.

Przed oczami przemknęła mu wiotka, dziewczęca sylwetka Lidki. W jednej sekundzie stracił głowę dla pięknego podlotka. Pierwsze, zabójcze spojrzenie. To ono zdecydowało, że nagle poczucie obowiązku, przyzwoitości i odpowiedzialności za rodzinę ustąpiło zwierzęcej, męskiej potrzebie zdobycia kolejnej twierdzy.

Nie potrafił powiedzieć, dlaczego tak się dzieje. Obietnice, które sobie składał po romansie z Ewą, legły w gruzach. Okazały się pustymi słowami. Nie chciał nawet tego chłodno analizować. Po prostu zakochał się, dał porwać fatalnemu zauroczeniu.

– Nieważne, kim była – szepnął Grubber. – W tej chwili istotne jest to, co zdarzyło się między wami i co ona powiedziała na policji.

Skąd Adam mógł przypuszczać, że obiekt jego westchnień ma męża, kocha go, a na dodatek ten mąż okaże się furiatem? Mógł przewidzieć? Pewnie tak. Nie jest dzieckiem, które na widok cukierka po prostu po niego sięga. Powinien zamknąć oczy, walnąć mocno głową w mur i zostawić dziewczynę w spokoju.

– Ten facet był chorobliwie zazdrosny i tyle.

Ewa nie odrywała oczu od twarzy Adama. Nie słyszała o Lidce. Grubber spojrział porozumiewawczo na Bonara, pytając, czy chce ten wątek omówić na osobności.

– W porządku. Ewa zna mnie lepiej niż ktokolwiek.

– Tak – przyznała z wymuszonym uśmiechem. – Co zrobiłeś tej dziewczynie?

– Nic. Wysyłałem kwiaty, prezenty, nic takiego...

Osaczyłem ją – dopowiedział w myślach. Jak każdą poprzednią wybranekę. Jak Natalię i Ewę. Wystarczył tylko błysk przyzwolenia i był gotów poświęcić wszystko dla kobiety.

Lidka początkowo ignorowała te zabiegi. Uznawała za niegroźny flirt. Nie prowokowała go i nie zachęcała, ale też nie reagowała stanowczo, a przecież mogła. Dlatego zrobił to, co zrobił.

– To prawda, że tylko dla tej kobiety zorganizowałeś specjalną ofertę? – zapytał Grubber. – I seminarium, na którym mieliście dograć szczegóły...

– Prawda – przyznał Adam i natychmiast zobaczył ten błysk w oku Lidki, gdy w końcu pojęła, do czego jest zdolny, by ją zdobyć. Za jedną randkę mógł poświęcić całą firmę. Takie odniosła wrażenie. Dobrze jest być zdobywaną, dopóki adorator nie przekroczy granicy.

– I że pobiłeś jej męża?

– Tylko się z nim poszarpałem.

– W komisariacie on mówił, że molestowałeś jego żonę. Ona potwierdziła.

– Co miała zrobić?

– Powiedzieć prawdę.

Adam nie miał na to odpowiedzi.

– Ostatecznie rozeszło się po kościach – zakończył. – Nie było oskarżenia.

– Zapłaciliście mandat – przyznał Grubber. – Ślad w papierach pozostał. Zeznania też, można je zawsze wygrzebać. Natalia wiedziała?

– Nie. – Adam pokręcił głową.

– Niesamowite. Jak ci się udało to ukryć przez tyle lat? – wtrąciła Ewa.

– Czasem łatwo coś ukryć przed kimś, kto nie chce się tego czegoś dowiedzieć – podsumował detektyw. – Tak czy inaczej, problem jest niemały.

– Dlaczego? Przecież nic złego nie zrobiłem. W papierach może i wygląda... niekorzystnie, ale w rzeczywistości to nie było takie proste. Uczucia zawsze są skomplikowane. Nieważne. Jaki to ma związek z tym, co się dzieje teraz?

– Zły dziennikarz mógłby na przykład wysnuć jakąś spiskową teorię, że przekupujesz albo zastraszasz swoje ofiary, a te wycofują zeznania.

– To nieprawda.

– Zły dziennikarz mógłby dalej argumentować, że choć przekupiłeś prawie każdego, to jednak jednego z oskarżeń, i to najpoważniejszego, nie zdążyłeś zbić pieniędzmi.

– O czym ty mówisz?

Grubber poprawił wielki tyłek na siedzisku, jakby chciał dać znać, że przechodzi do finału i teraz należy szczególnie wyteńczyć słuch.

– Twoja asystentka złożyła doniesienie o molestowaniu seksualnym i próbie gwałtu – wypalił.

Adam oniemiał. Patrzył długo na detektywa, nic nie rozumiejąc.

– To nieprawda – wypalił. – Dlaczego nic o tym nie wiem?

– Wkrótce się dowiesz. Ponieważ to nie jest sprawa nag łego ataku, tylko rozłożonej w czasie formy... przemocy. Prokurator musi to dobrze przemyśleć i przeanalizować, czy dziewczyna mówi prawdę. Potem pewnie zleci badania bieg łemu i jeśli będą podstawy, rozpocznie śledztwo. Wtedy może dojść do zatrzymania.

– Nie zrobiłem tego.

– Na dziś martwiłbym się faktem, że jakiś życzliwy z prokuratury wysłał donos Zimmemu. Kojarzysz tego dziennikarza, prawda?

– To on pisał teksty na zlecenie Księżnego.

– Dziennikarz pewnie jutro zada pytania i dostanie odpowiedź: „Tak, mamy takie doniesienie, sprawa jest na etapie wstępnym, nikomu nie postawiono zarzutów”. To jednak wystarczy, by mieszać cię z błotem. A potem... poleci dalej.

– Skąd wiesz?

– Mam swoje źródła. Spodziewaj się, że śledztwo skręci w tę stronę. Z ofiary szybko awansujesz na podejrzanego. Właściwie już nim jesteś.

– Bzdura... to się nie uda...

– Jeśli ten zarzut padnie, wymyślą następny... Może mniejszej wagi, może większej. Na twoim miejscu przygotowałbym się na każdą ewentualność i dokładnie notował, co robię i gdzie.

– Po co?

– Kto wie, kiedy będziesz potrzebował alibi. Wystarczy, że znajdą w krzakach jakieś ciało, i już staniesz się podejrzanym, jeśli mogłeś być w pobliżu...

– To naprawdę nie jest zabawne, Grubber.

– Ja nie żartuję – odparł poważnie detektyw. – Lepiej pomyśl, żeby cię nie zaskoczyli. Morderca zawsze rozważa różne możliwości przebiegu śledztwa i potem jest przygotowany. Niewinny myśli, że szczerłość wystarczy. Dlatego łatwiej go skazać.

– Sprawiedliwość...

– Bywa ślepa, tak jak miłość, pamiętaj o tym powiedzeniu. I pamiętaj, że u nas nie ma dwunastu gniewnych, których można przekonać o niewinności. U nas wyrocznią jest zwykle jeden człowiek, nawet jeśli reprezentuje szerszy skład. Pamiętaj o tym. Jeden człowiek może kiedyś zdecydować o twoim być albo nie być. Więc przygotuj się.

– Molestowanie? Nie sędzę. – Kasia Jarosz odłożyła na bok dokumenty z obciętymi nagłówkami. Kto się kłopotczy usuwaniem pieczętek, jeśli i tak wiadomo, co na nich było? Język i sformułowania jasno wskazywały, że mają do czynienia z aktami prokuratorskimi.

Tylko co to zmieniało, jeśli chodzi o ich wiarygodność? O prokuraturze niedobrze świadczyło już samo to, że nagminnie wyciekały z niej dane i dokumenty. Jak można zaufać śledczym, którzy przy okazji badania spraw realizują jakąś politykę albo własne ambicje, albo są zwyczajnie przekupieni. Nie mogła ponadto uwierzyć, że człowiek, z którym kilka dni temu rozmawiała, byłby zdolny do czegoś takiego. Choć... ten wzrok, ruchy, spojrzenia. Bonar z pewnością taksował ją wzrokiem także w kontekście seksualnym. Nie próbował niczego, nie dał jakiegokolwiek wyraźnego sygnału, pozostawał grzeczny i ułożony, jednak... Cholera, sama już nie wiem.

– Czemu? – zapytał Zimny.

– Nie wiem, po prostu. – Skrzywiła się. – Nie wygląda mi na zboka. Już bardziej ciebie bym posądzała o takie akcje.

– Mnie też Bonar nie pasuje do tej roli. – Zimny pokiwał głową, ignorując złośliwość. – Dlatego pomyślałem, że możesz mi pomóc i się tym zająć.

– Czemu ja?

– Już ci powiedziałem. – Uśmiechnął się.

– Poza tym, że chcesz mnie przelecieć, co ci się na pewno nie uda – dodała.

– Zobaczymy.

– Mów, czego chcesz.

– Nie mam doświadczenia w takich sprawach i boję się powtórki ze sprawy Czerskiej. Wiesz, o czym mówię?

Kasia przypomniała sobie zarzuty, które niejaka Janina Czerska postawiła politykom ówczesnej partii rządzącej, twierdząc, że wykorzystywali seksualnie ją i inne kobiety. Szokując opinię publiczną, opowiedziała o ekscesach na przyjęciach i zjazdach partyjnych, co opisał dziennikarz dużego pisma.

Nikt tak naprawdę nie wiedział, czy mówiła prawdę, czy manipulowała dziennikarzem we własnym interesie. Z pewnością dochodziło do seksu i ekscesów. To jednak jest temat na jedną rozkładówkę. Mały skandal, szybkie zapomnienie. Zarzuty o molestowanie,

wykorzystywanie, płatny seks i obsadzanie stanowisk w zamian za prostytutkę, to już coś poważniejszego. Gazeta, opisując skandal, pominęła jednak wiele istotnych informacji, przez co stała się wyraźnie po jednej stronie konfliktu, a zatem straciła dystans i trzeźwy osąd. W efekcie powstał materiał rzeczywiście szokujący, tyle że nie do końca prawdziwy, co wyszło dopiero po dłuższym czasie.

Zimny bał się najwyraźniej, że padnie ofiarą podobnego starcia emocji z profesjonalizmem. Łatwo popełnić błąd w momencie, gdy nie mamy dość odwagi, by zadać właściwe pytania, a potem bezkompromisowo pisać prawdę. Jesteś tchórzem, Zimny? – pytały oczy Kasi Jarosz. Nie problem tak mówić, gdy się stoi z boku – mógłby odpowiedzieć. Ale gdy siedzisz naprzeciwko skrzywdzonej, zapłakanej dziewczyny, niektóre pytania nie przechodzą ci przez gardło.

– Kobieta lepiej sobie z tym poradzi – rzucił krótko.

– Że niby jak masz kutasa, to nie potrafisz myśleć?

– Nie bądź wulgarna, wiesz, o co mi chodzi. Ta laska albo jest pozbawioną skrupułów dziwką i robi nas w bambuko, albo została rzeczywiście skrzywdzona i chce o tym opowiedzieć, albo coś pomiędzy. Moim zdaniem trzeba naprawdę dobrze się przyłożyć do zbadania dowodów i zeznań, by nie dać się wyprowadzić w pole.

– A i tak ryzyko jest całkiem spore.

– Dlatego ja nie chcę tego tematu.

– Tchórz.

– Wiesz dobrze, że to nie tak. Czuję, że sobie nie poradzę.

– Tchórz. Po prostu tchórzysz. Miej choć odwagę to przyznać.

– Niech będzie, jestem tchórz.

– I to mi się podoba. Dawaj nazwisko tej laski.

– Milena Kozłowska.

Rano Adam pomyślał, że powinien zadzwonić do Mileny i z nią porozmawiać. Bał się jednak, że nie wytrzyma i wybuchnie. Jeśli rzeczywiście złożyła doniesienie na policji, musiała być przez kogoś sterowana. Sama by tego nie wymyśliła. Biedna dziewczyna, zbyt głupia, by rozumieć, że to ona stanie się w pewnym momencie ofiarą. Żał mu było Mileny, ale nic nie mógł poradzić.

Trudno, widać musisz przejść jeszcze tę szkołę życia.

Ewa wyszła do pracy i został sam w jej mieszkaniu. Miał wielką chęć trochę w nim

poszperać, lecz opanował pokusę. Wybrał numer do Natalii, ale ostatecznie nie zadzwonił. Zbyt mało czasu upłynęło, mógłby tylko pogorszyć sprawę. Postanowił, że wieczorem zadzwoni do Magdy, a potem poprosi do telefonu Romka. Może dzieci zmuszą Natalię, by i ona z nim porozmawiała.

Usiadł przed laptopem i wpisał login do systemu pocztowego.

– Z komputera możesz korzystać, jest bezpieczny – powiedziała mu wcześniej Ewa, nie wdając się w szczegóły.

Bezpieczny? Czy to znaczy, że nie boi się elektronicznego nasłuchu czy innych zagrożeń internetu? Pamiętaj, cokolwiek zrobisz w sieci, zostaje ślad. Paranoja. Przecież ja nie jestem przestępcą, nie jestem nawet poszukiwanym. Zabrano mi firmę, postawiono absurdalne zarzuty, szpiegowano i intrygowano – czy z tych powodów mam się czuć bandytą? Czy mam uwierzyć w fałsz, wymyśloną dla siebie rolę w filmie reżyserowanym przez jakiegoś piekielnego, despotycznego drania, dla którego prawda i sprawiedliwość nie mają najmniejszego znaczenia?

Tylko dla pieniędzy? Czy one naprawdę tyle znaczą, że można dla nich robić podobne okropności? Można krzywdzić ludzi, niszczyć ich życie, własność, porywać, zabijać, żeby osiągnąć tak mało znaczący cel jak pieniądze?

– Głupi jesteś – ocenił sam siebie.

Skoro ludzie dla pieniędzy wywołują wojny, torturują i masowo mordują, dlaczego mieliby mieć skrupuły i nie wykończyć kogoś takiego jak on? W czym jesteś wyjątkowy? No pomyśl, co daje ci prawo stawiać się ponad innymi ofiarami.

Jesteś tylko ofiarą.

Ofiarą.

– Nie jestem! – warknął, wszedł na swoje firmowe konto mailowe i sprawdził pocztę. Wciąż miał do niej dostęp, choć syndyk, który przejął władzę, zapowiedział zabezpieczenie serwera i oddanie go do audytu informatycznego, co oznaczałoby również zablokowanie kont.

Syndyk. W mojej firmie jest syndyk.

Do tej pory nigdy nie miał do czynienia z kimś takim, choć dość dobrze rozumiał, na czym polega ta profesja. Większość syndyków wykazywała się dużą wiedzą gospodarczą i normalnie pracowała w biznesie lub w zawodach prawniczych. Musieli zdawać niezwykle trudne egzaminy, cechować się odpowiednim charakterem, odpornością na sytuacje stresowe i konfliktowe. Wielu musiało być prawdziwymi twardzielami.

I draniami.

Czuł do tego człowieka odrazę. Syndyk był w końcu intruzem, który wszedł na jego podwórko, zamierzał ściągnąć spodnie i zrobić coś brzydkiego, bo ktoś inny mu na to pozwolił. Nie prawowity właściciel, tylko sędzia hochsztapler. Sędzia, który – biorąc pod uwagę zapewnienia profesora Stanowskiego – miał być taki profesjonalny.

Fogel. Sędzia Jan Fogel.

Wpisał do wyszukiwarki nazwisko sędziego. Google pokazał około dziewięciuset sześćdziesięciu czterech tysięcy wyników pasujących do zapytania. Na pierwszym miejscu amerykański serwis umieścił informację o Janie Foglu, pułkowniku saperów Wojska Polskiego, uczestnika wojny z bolszewikami w latach 1919–1920. Choć to nie o tego Fogla chodziło, Adam kliknął w link i przeczytał krótką notkę, z której wynikało, że Fogel był prawdopodobnie człowiekiem honoru.

– Szkoda, że nie można tego powiedzieć o moim Foglu – szepnął.

Kliknął przycisk COFNIJ i wpisał do wyszukiwarki: SĘDZIA JAN FOGEL. Tym razem wyników było już tylko czternaście tysięcy dwieście. Pułkownik nadal był na pierwszym miejscu, ale pozostałe typowały osobę, której poszukiwał. Otworzył link w bazie zdjęć i popatrzył znów w twarz, której zaczynał nienawidzić. Owalna, nierzucająca się w oczy facjata nauczyciela techniki lub wufu – tak by ją zakwalifikował, gdyby nie wiedział, że ma do czynienia z sędzią. Starannie ogolony, jasne włosy, wysokie czoło, łysiejący, obwisłe policzki i pomarszczona skóra na szyi. Ciało średniej budowy, toga skutecznie maskująca niedobry męskość.

– W głowie trociny i skłonność do przesady – dopowiedział. – Jak mogłeś mi zabrać firmę, draniu? Dla kaprysu? Bo ci się nie spodobałem? Chciałeś mnie nauczyć pokory? Co było przyczyną? Bo przecież nie prawo i dążenie do naprawienia czegokolwiek. Zepsułeś dziesięć lat ciężkiej pracy. Jednym głupim zdaniem, paroma gładkimi kłamstwami układającymi się w bezsensowny wyrok.

Ogłaszam upadłość Selac S.A.

Nigdy nie przeklinam, a dziś mam wielką ochotę.

Wszedł z bazy zdjęć i zaczął klikać poszczególne linki. Sędzia Fogel ogłaszał w nich kolejne orzeczenia, odbierał z rąk prezydenta medal za zasługi, uświetniał swoją obecnością uroczystość otwarcia jakiegoś budynku i wodowanie statku w stoczni, wreszcie rozpoczął rok akademicki w Europejskiej Szkole Prawa i Bankowości, u boku pani prezydentowej. Jak



przystało na sędziego, żadnych skaz w życiorysie, wykroczeń, kar. Okaz uczciwości, społecznik, człowiek renesansu, wychowawca młodzieży.

„Kiedy założył jedną z najlepszych dziś uczelni wyższych kształcących prawników i finansistów, chęć współpracy ze szkołą wykazało wiele znakomitości prawniczych i finansowych. Wśród wykładowców są najbardziej znani w Polsce profesorowie, adwokaci i radcowie prawni, a także praktycy biznesu i finansów. Sędzia dba o to, by system nauczania nie był oderwany od rzeczywistości. Chce, by młodzież po jego uczelni nie miała najmniejszych problemów ze znalezieniem pracy. I to mu się udaje”.

Tekst z „Dziennika Warszawskiego” trącił reklamówką, ale to nic dziwnego w przypadku tego typu materiałów. Dlaczego dziennikarze mieliby zawsze krytykować? Czasem można kogoś pochwalić, szczególnie taką osobę jak Fogel.

Tylko dlaczego ten publiczny obraz tak bardzo odstaje od moich doświadczeń? Dlaczego nie dałeś mi szansy?

Adam kliknął kolejny link zatytułowany: „Prawnik szkolony pod żaglami”.

„Znany społecznik, sędzia Fogel, ogłosił dziś, że część zajęć w założonej przez niego wyższej Europejskiej Szkole Prawa i Bankowości będzie się odbywać na żaglowcu «Józef Piłsudski». To jedna z najwspanialszych polskich jednostek pływających, niewiele ustępująca «Darowi Młodzieży» i «Fryderykowi Chopinowi». Fogel uratował ten wspaniały statek przed bankructwem, dzięki czemu młodzież ma możliwość korzystania z niego i – poza nauką – hartowania swoich organizmów w trudnej szkole przetrwania na morzu”.

Adamowi zapaliła się pierwsza lampka. Na razie świeciła niezbyt ostro i raczej na żółto niż na czerwono. Ale coś było nie tak.

**URATOWAŁ STATEK PRZED BANKRUCTWEM.**

To o to zdanie chodziło. Otworzył nowe okno w wyszukiwarce i wpisał: JÓZEF PIŁSUDSKI. Po chwili wahania dopisał: BANKRUCTWO I UPADŁOŚĆ. Znów dostał kilka tysięcy wyników, ale już pierwszy link odpowiadał na pytania.

„Pięknemu żaglowcowi «Józef Piłsudski», wspaniałemu dziełu polskich stoczniovców, zbudowanemu według pomysłu i na zamówienie znanego podróżnika i biznesmena Ryszarda Cesarza, grozi przerobienie na żyletki. Statek został zajęty za długi, a banki wnioskuje o jego areszt i sprzedaż w celu zaspokojenia wierzycieli. Na szczęście sędzia Jan Fogel nie okazał się człowiekiem bezdusznym, polecając syndykowi, żeby zaspokajając wierzycieli, miał na względzie nie tylko wartości materialne. Sędzia Fogel obiecał, że nie pozwoli na zniszczenie

tej pięknej jednostki”.

Adam wpisał następną komendę w Google i zmarszczył czoło. O zajęcie „Józefa Piłsudskiego” wnosił Polski Bank Gospodarczy. Kolejne zapytanie spowodowało, że komputer się zawiesił. Adam kliknął kilkakrotnie myszką, spróbował uruchomić menedżera zadań kombinacją klawiszy, w końcu zrestartował laptopa i wyszedł na balkon.

Grudniowa szaruga nie zachęcała do spacerów, więc pod oknem w parku nie było prawie nikogo. Pusto jak w moim sercu. Raptem uświadomił sobie, że przez cały ten czas przeszukiwania internetu nie pomyślał nawet o Natalii i dzieciach. Do diabła, zamiast googlować Fogla i przekłete żaglowce, trzeba było szukać możliwości zapewnienia bezpieczeństwa rodzinie. Czy nie powinieneś tego zostawić, wyjechać, uciec razem z nią?

A mam jeszcze rodzinę?

Zaraz pojawiła się usprawiedliwiająca twarz Grubbera i jego rada: dobierz im się do dupy, coś się ruszy, zmieni. Udowodnisz, że nikogo nie zdradziłeś, że potrafisz walczyć i wygrywać. Natalia zrozumie i wróci do ciebie. Odzyskasz ją i dzieci. Wystarczy, że mocno drani ukłujesz, a się ujawnią. Wtedy rozpoczniemy negocjacje.

To twój główny cel.

Mężczyzna w czarnym prochowcu, nieco za lekkim na tę porę roku, kopnął grudkę ziemi, próbując nią trafić w brudną łachę śniegu. Odetchnął pełną piersią i rozłożył szeroko ręce.

– Rzeczywiście piękny kawałek terenu – powiedział.

Bura, zachmurzona aura świetnie pasowała do zniszczonych budynków, zaniedbanych baraków, hal i pól ciągnących się w nieskończoność. Płaski, mało urozmaicony teren nie przyciągnąłby turystów, miłośników spacerów, rowerowych czy krosowych sportów, ale dla inwestorów był idealny. Zero zagrożenia powodziowego, świetne wyniki badań geologicznych, stosunkowo niski poziom wód gruntowych. Jak trzeba.

– Prawie sto hektarów – odparł syndyk Mochnacki. – Jakieś czterysta, może pięćset milionów wartości.

Mężczyzna w prochowcu pokręcił z powątpiewaniem głową.

– Przy tym statusie, liczbie wierzycieli i problemach raczej wątpię, żeby dało się coś z tym zrobić przez najbliższe dwadzieścia lat.

– Dlatego okazja jest wyjątkowa. – Mochnacki uśmiechnął się znacząco.

– Przygotowanie przetargu potrwa tyle, że...

– Kto mówi o przetargu? – przerwał Mochnacki.

– Sędzia komisarz nigdy nie zgodzi się na sprzedaż takiego majątku bez przetargu.

Syndyk uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć: „Ależ z pana naiwniak, kompletnie nie zna pan realiów!”. Jest tyle sposobów na omięcie prawa lub wykorzystanie go do naszych celów. Ma pan do czynienia z najlepszymi fachowcami w tej dziedzinie.

– Całości majątku na pewno nie – ostrożnie oznajmił syndyk. – Ale przecież... pan nie potrzebuje stu hektarów.

Mężczyzna zawahał się z odpowiedzią. Zaczynał rozumieć?

– No nie – przyznał.

– Zatem jaką powierzchnią byłby pan zainteresowany?

Tamten spojrział na zegarek, jakby mógł odmierzyć jego potrzeby.

– Jaka jest odległość od Warszawy?

– Od centrum? Zaledwie piętnaście kilometrów. Od ścisłego może dwadzieścia, dwadzieścia pięć.

Mężczyzna zagryzł wargę.

– I jest pan pewien, że gmina i wierzyciele nie będą robić problemów?

– Niech pan w końcu powie, ile potrzebuje?

– Myślę, że dziesięć, dwadzieścia hektarów wystarczy.

Syndyk szybko przeliczył w myślach.

– Minimalna cena rynkowa to byłoby jakieś trzydzieści milionów. Dobrze liczę?

– Mniej więcej – przyznał klient.

– Co by pan zatem powiedział na ujęcie w dokumentach wyceny pięciu milionów?

– To dobra cena.

– W takim razie dogadamy się.

Ruszyli w stronę samochodów pozostawionych na poboczu. Syndyk z niedowierzaniem pokręcił głową: jakie proste są interesy! Pomyślał też o krajobrazie, który właśnie powoli zaczynał być historią. Za dwa, trzy lata stanie tu nowoczesne osiedle dla nowobogackich i wielki supermarket z galerią handlową. Pojawią się stacje benzynowe, inne sklepy, potem szkoły, przychodnie, wreszcie pewnie szpital i nowoczesny kościół z dzwonnica sterowaną przez komputer. Dzieci będą udawać Messiego na Orliku. Młodzież ucieknie z lekcji na pola przy torowisku, gdzie będzie popalać słaby hasz, brać dopalacze i uprawiać pierwszy seks. Ktoś złapie kleszcza, ktoś się pobije, zostawią pijanego przyjaciela śpiącego w trawie, a ten wyda potem całą paczkę, bo w genach odziedziczył skłonność do donosów. Lśniące czystością

domy, przyszyte trawniki, ogrodowe grille i stojące na podjazdach terenowe bmw będą skrywać tyle samo tajemnic i brudów co praskie kamienice, ale zawsze to inaczej taplać się w szambie jawnym niż tajnym.

Postęp. Nikt nie będzie żałował, i to dzięki tej jednej, niepozornej rozmowie.

– Jak to załatwicie? – zapytał mężczyzna, choć nie powinien. Technikalnia miały go nie obchodzić.

– Na proces upadłościowy potrzebne są pieniądze. Nie będzie kłopotu, by przekonać sędziego o konieczności pozyskania środków i sprzedaży niewielkiej części majątku na szybko, bez przetargu. Te dziesięć hektarów to mała część...

– Mówiliśmy o dwudziestu.

Syndyk, zdziwiony, cofnął głowę, unosząc jednocześnie barki.

– Tak? Cenę podawałem za pięć.

– Przemnoży ją pan przez dwa?

– Skoro tak... – Policzył szybko w myślach. – Zatem wartość będzie oscylować wokół sześćdziesięciu, a dogadamy się oficjalnie na dziesięć. Stoi?

– A co z pozostałą kwotą?

– Dostanie pan instrukcje.

Kobieta nie chciała się z nimi spotkać. Przez telefon powiedziała, że nie powinna o tym rozmawiać. Prokurator pouczył ją, że istnieje coś takiego jak tajemnica śledztwa i jej złamanie może spowodować przykre konsekwencje.

– Z prasą wolno pani rozmawiać. Nie wolno ujawniać tego, czego by się pani dowiedziała od prokuratora i z akt sprawy – wyjaśniła Jarosz.

Zimny pokiwał głową i pokazał jej wyciągnięty do góry kciuk. Gut! Świetnie sobie radzisz.

– Na pewno? – Dziewczyna miała bardzo słaby głos.

– Przecież to prokuratura dała nam namiar do pani – skłamała Jarosz. – Po co by to robiła, gdyby nie chciała, żebyśmy rozmawiali?

To spodobało się Zimmemu znacznie mniej, ale zdusił w ustach komentarz.

Milena w końcu oznajmiła:

– No dobrze, w takim razie...

– Możemy zaprosić panią na obiad?

– Hm, wolałabym spotkać się u mnie w domu. Rzadko wychodzę z domu.

– Oczywiście, przyjedziemy.

– Dobrze.

– Proszę podać adres.

Kuba uważał, że Kasia powinna iść do niej sama, ale ona nie dała się przekonać.

– A jeśli będzie z tego jakiś proces?

– Nie będzie.

– Robimy to razem i koniec. Zawsze mamy siebie jako świadków. Pamiętaj, że podczas procesów liczą się dowody, a nie sprawiedliwość.

– Tego uczą teraz na studiach?

– Gdyby cię nie wywalili z uczelni, pewnie byś wiedział.

– Będzie jej niezręcznie rozmawiać z facetem. Tłumaczyłem ci przecież...

– Nie będzie rozmawiać z facetem. Ja poprowadzę wywiad, ty możesz się schować w kuchni albo siedzieć z boku. Bylebyś się nie wtrącał.

Dziewczyna mieszkała w nowo wybudowanym apartamentowcu przy Wyścigach. Zjechali z Puławskiej w boczną uliczkę i zaparkowali na poboczu. Zimny wahał się, czy może zostawić swoją hondę w tym miejscu, ale w końcu machnął ręką. Była już wystarczająco stara

i zdezelowana, by się tym nie przejmować. Jeśli ukradną albo odholują, kupię inny samochód. Spojrzał na hondę i już nie był tego taki pewien. Samochód dla mężczyzny to nie jest tylko przedmiot. Dla mężczyzny czy dla dziecka? – przypomniał sobie pytanie jednej bardzo kiedyś dla niego ważnej osoby. Jestem wiecznym dzieckiem. Może i tak.

Przeszli przez dwie bramki i elektronicznie zamykane drzwi, wspięli się po schodach na drugie piętro i zanim zapukali, Milena otworzyła im drzwi. Była młodziutka i bardzo ładna, a przy tym wyjątkowo roztrzęsiona.

Ten Bonar to chyba jednak drań – pomyślał Kuba. Ta dziewczyna nie kłamie. Dupek rzeczywiście ją zgwałcił.

Spojrzał na Jarosz. Nie wyczuł, co myśli partnerka.

– Cześć – powiedziała Kasia, podając gospodyni dłoń. – Możemy mówić sobie po imieniu?

– Pewnie. – Milena podała dłoń Zimnemu i bąknęła: – Cześć.

– Jego to nie dotyczy – powiedziała Kasia. – Jest tylko praktykantem. Nie wolno mu rozmawiać z informatorami. Jest jak powietrze. W zasadzie go nie ma. Siedzi z boku i się uczy.

– Aha, nie ma go.

– No.

Milena zapytała, czy chcą czegoś do picia. Zimny nie odpowiedział, za to Kasia chwyciła gospodynię za ramię i rzuciła:

– Chodźmy do kuchni, zrobimy sobie kawę.

Zimny podszedł do regału z książkami i popatrzył zdumiony na kolekcję romansów i erotyków, wyeksponowaną ponad encyklopedią, słownikami i lekturami szkolnymi. Wydawało mu się, że wszyscy są podobni do niego i wstydliwe książki trzymają gdzieś w zamknięciu. Chyba że nie uznają ich za wstydliwe.

Milena miała ekspres ciśnieniowy, wcisnęła jeden z guzików. Kasia rozglądała się po mieszkaniu. Samo w sobie było dużo warte, dodatkowo urządzone ze smakiem i przy użyciu najlepszych materiałów. Nie było tu jakichś fanaberii, ale każdy mebel i szczegół na poziomie. Ile mogła zarabiać jako asystentka u Bonara? Pięć tysięcy, nawet dziesięć? To mieszkanie było warte co najmniej milion. Byłoby ją stać za pensję?

– Długo tu mieszkasz?

– Trzy lata. To nowy budynek.

– Widzę. Kupiłaś w przedsprzedaży, w zapisach?

– Nie. Po prostu był wolny lokal.

– Dużo kosztowało? – pierwsze pytanie sprawdzające. Kasia była ciekawa, jak tamta zareaguje.

– Prawdę mówiąc, nie wiem, Adam zapłacił.

– I kupił mieszkanie na ciebie?

– Na mnie? – Nagle pojęła, o co chodzi dziennikarce. – Nie, mieszkanie należy do jego spółki. Nie jest moje. Przynajmniej formalnie.

– Ale ty w nim mieszkasz?

– No właśnie mówię, że formalnie nie jest moje, ale tak jakby było. Adam powiedział, że mam je zatrzymać. Że mogę robić z nim, co chcę, tylko nie sprzedawać.

– Spotykaliście się tu?

– Oczywiście. Miał klucze. Przyjeżdżał, kiedy chciał.

– Uprawialiście seks?

– Po co innego miałyby przyjeżdżać?

– Godziłaś się na to? Chciałaś tego?

– Czego? Seksu?

– No.

Dziewczyna poczerwieniała, wzrok wbiła w podłogę.

– Tak, wiedziałam, na co się piszę. Adam kupił mieszkanie, dał mi podwyżkę, jasno dawał do zrozumienia, o co mu chodzi.

– Hm. Dlaczego więc zgłosiłaś doniesienie o przestępstwie?

Milena zawahała się, chyba wyczuwając, że weszła na bardzo śliski grunt.

– Mam odpowiedzieć szczerze?

– Powiedz prawdę.

– Wiesz, to było tak, że ja od początku nie chciałam, żeby to się stało. Przyszłam do pracy, a nie po to, żeby dawać... żeby sypiać z szefem. Te kwiaty od Adama, inne awanse, różne drobne przyjemności... to wszystko mi nie pasowało. Ale bałam się, że jeśli się postawię, to mnie wyleje. W pewnym momencie zaczęłam myśleć: co mi szkodzi? Przecież nic się nie dzieje. Flirtuję z szefem i tyle. A potem doszłam do wniosku, że nawet jeśli przekroczymy granicę, to wcale nie musi to być nieprzyjemne. Dlatego zgodziłam się pójść na całość. Nie miałam chłopaka, mój ostatni robił mnie w konia z laskami, które udało mu się zaciągnąć do

łóżka. Przeleciał nawet moją siostrę. No więc pomyślałam, że nie stanie się nic złego, jeśli przekroczę granice. Na jednym z wyjazdów wypłam za dużo, no i stało się. Potem jeszcze dwukrotnie spotykaliśmy się w hotelu, aż w końcu zapytał, czy nie chciałabym się wprowadzić do jednego z jego mieszkań.

– Dużo ich ma?

– Nie wiem, pewnie kilka, jest bardzo bogaty. Dużo zarobił na swojej firmie. Stać go.

– Co było dalej?

– Sypialiśmy ze sobą kilka miesięcy, aż w końcu... przestaliśmy.

– Tak po prostu?

– No tak...

– I kiedy wpadłaś na pomysł, żeby go oskarżyć?

– Hm, oczekiwałam, że on w końcu odejdzie od żony, że coś się zmieni. Ale się nie zmieniało. I kiedy w końcu odszedł ode mnie zamiast od żony, kiedy w końcu zerwaliśmy... to sobie pomyślałam, że to nie w porządku. A potem ktoś mi wytłumaczył, że w ogóle nie powinien być ze mną sypiać, że nie miał prawa... hm, wykorzystywać zależności służbowych.

– Kto ci wytłumaczył?

– Sama powiedziałaś, że tego, czego się dowiedziałam od prokuratora, nie mogę powtarzać. Pani prokurator też mi chyba tak mówiła.

– To pani prokurator ci powiedziała, że to jest przestępstwo?

– No... nie mogę zdradzić.

– A jak trafiłaś do prokuratury?

– Było śledztwo, wezwano mnie na przesłuchanie.

– Ten sam prokurator?

– Nie, inny, ten gość był taki trochę niemiły. Zadawał mi pytania, a kiedy powiedziałam, że sypiałam z Adamem, on zaczął dopytywać się o szczegóły, potem wyszedł, a kiedy wrócił, przyprowadził panią, która mi to powiedziała.

– Że to przestępstwo?

– Właśnie. Że nie można wykorzystywać... i tak dalej.

– I to ta prokurator napisała za ciebie doniesienie?

– Przecież sama bym nie napisała.

– Wiesz co, nawet przyjmując, że to bzdurny zarzut, to i tak Bonarowi należy się wpierdol. Wykorzystał upośledzoną.



- Ona nie jest upośledzona.
- Jest głupia jak but.
- Jest wystraszona. Nie wie, co robić. Ktoś ją wzywa na przesłuchanie, zadaje trudne pytania, ona pęka, a potem jest prowadzona za rączkę. Tu nie chodzi o prawdę, tylko o haki. Swoją drogą bardzo mnie ciekawi, co to za śledztwo, które spowodowało, że na nią trafili.
- Pewnie przy okazji całej tej upadłości ktoś powiedział, że Bonar jest niezły ruchacz. Spojrzała na niego z naganą.
- Nie mów tak.
- Skrzywił się.
- To ty zaczęłaś przy mnie kłąć.
- Ty za to robisz to jakoś tak wyjątkowo nieprzyjemnie.
- Tak czy inaczej, Bonar miał i w firmie, i w środowisku opinię casanovy. Gdy szykowałem materiał, opowiadano mi, że zatrudniał tylko ładne laski, z dwóch powodów: przyciągały klientów i lepiej sprzedawały, a ponadto mógł się do nich dobierać. Poza tym...
- Co poza tym? – dopytała, bo urwał nagle.
- Nie dałem ci dokumentów od informatora – przyznał się Zimny. – Oprócz nazwiska Mileny były w nich zeznania, które Bonar składał na policji w związku z dwiema innymi sprawami o zabarwieniu seksualnym.
- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?
- Nie chciałem, żebyś miała wypaczony obraz Bonara i była do niego uprzedzona. Rozmowa z Mileną mogłaby wtedy wyglądać zupełnie inaczej.
- Wyglądała inaczej, miałam spaczony obraz.
- Nie do końca. – Zimny zagryzł wargę. – Ja po prostu nie wierzę w te haki. Szedłem na łatwiznę, a teraz trzeba założyć, że jest zupełnie inaczej, niż nam to przekazują. Zatem i te sprawy wyglądają inaczej. Więc... miałybyś wypaczony obraz.
- Bonar ma nam sporo do wyjaśnienia – zakończyła Kasia.
- Musimy z nim pogadać – przyznał. – Tym razem we dwoje.
- Czemu nie? Na pewno mu się spodoba, że cię przyprowadziłam.
- To co? Dzwonisz?

Pracował prawie całą noc. Najpierw utworzył na pulpicie komputera teczkę FOGEL, w niej umieścił dokument tekstowy, w którym zapisał informacje, a potem luzem wrzucał teksty, zdjęcia, kopie dokumentów i skany z pism procesowych. Tych ostatnich było niewiele, ale na

jednym z „chomików” znalazł zeskanowaną kopię akt z całego procesu upadłościowego spółki Wigry. Ciekawe, zawsze myślał, że „chomiki” to tylko złodzieje, a tu się okazuje, że można znaleźć przykłady pożyteczne. Wykupił esemesem dostęp do możliwości pobierania dużych plików i uruchomił transfer.

Wrócił do pozostałych wyników wyszukiwania i zaczął kopiować kolejne dokumenty. Przy niektórych zatrzymywał się na dłużej, czytając część pism i opinii.

Najwięcej czasu spędził przy opisie sprawy zakładów Broniewskiego, dawniej dużej fabryki odkurzaczy i sprzętu elektronicznego, która bankrutowała kilkakrotnie, by potem odradzać się dzięki politycznym decyzjom kolejnych rządów uginających się pod presją protestów związków zawodowych. Aż do chwili, gdy przedsiębiorstwo trafiło na sędziego Fogla i zakłady ostatecznie zlikwidowano.

Na forach internetowych znalazł masę dyskusji o sprawie. Kipiały od emocji. Uczestnicy oskarżali rząd, sędziego, prawników, wierzycieli, że niszczą tysiące miejsc pracy, rodziny robotników, zakłady z wieloletnią tradycją w imię jednego, nowego boga: pieniądza.

<<Fogel, ty zbrodniarzu. Będziesz się smażył w piekle>> – obiecywał Trashmail.

<<Jebani złodzieje z Wiejskiej. Co teraz zrobicie z Broniewskim? Mordercy pierdoleni>> – dopisał Samuel.

<<Balcerowicz musi odejść>> – zażartował Stachu.

Setki podobnych, mniej lub bardziej zabawnych wpisów i hejtów. Ale pomiędzy nimi trafił na dialog dwóch osób wyraźnie różniący się od reszty i znacznie bardziej merytoryczny.

<<Nie można winić sądu, że sprawiedliwie ocenił zdolność przedsiębiorstwa do działania w warunkach gospodarki rynkowej>> – napisał Filantrop.

<<Pieprzysz, Filantrop. Tu nie chodzi o żadną ocenę, tylko o kasę>> – odparł Barry.

<<Tak? To napisz, jaką ty byś miał radę dla Broniewskiego? Co roku powiększają straty i żądają kolejnych datków od rządu. Dwa razy już bankrutowali i za każdym razem rząd się ugiął, dając im naszą kasę, z NASZYCH podatków. To ma trwać wiecznie? Nierentowny zakład zawsze pozostanie nierentowny, jeśli nie będzie pomysłu, by to zmienić. A tu nie było.>>

<<Pewnie że tak, zgoda. Broniewski musiał upaść. Ale dlaczego w takim stylu?>>

<<O co ci chodzi?>>

<<Przyjrzyj się sprawom sędziego Fogla, chłopcze.>>

<<No i? Każdy może pojechać po sędzim, bo ten pokazał, że ma jaja.>>

<<Nie chodzi o jaja, tylko o kasę. Zobacz, kto kupił ziemię po Broniewskim, gościu.>>

<<.....>> – komentarz usunięty z powodu złamania regulaminu.

Reszta dyskusji została skasowana przez admina. Raczej jednak nie z powodu przekroczenia norm językowych, gdyż w wielu miejscach doszło do wulgarnej wymiany zdań. Więc dlaczego? Jeden z dyskutantów wymienił nazwę instytucji lub firmy, która poczuła się urażona i zgłosiła prośbę o usunięcie postów naruszających jej dobre imię?

Bonar wpisał w Google hasło: BRONIEWSKI + POLSKI BANK GOSPODARCZY.

– Bingo!

„Polski Bank Gospodarczy zapewnia finansowanie przejęcia zakładów Broniewskiego, obiecuje restrukturyzację, wznowienie produkcji i poszukiwanie inwestora strategicznego. Wśród zainteresowanych zakładami tego wielkiego przedsiębiorstwa z tradycjami wymienia się Siemens i Philipsa. To byłby piękny scenariusz, gdyby nad Wisłą powstała fabryka tej rangi” – napisała jedna z gazet.

Bonar zmarszczył brwi, klikając w kolejne linki.

„Reaktywacja Broniewskiego zakończona porażką. Zadłużenie zakładu i zacofanie technologiczne okazało się barierą nie do pokonania. Część terenów po Broniewskim przejmuje Bank Towarowy” – krzyczały nagłówki tekstów.

Bonar zostawił Broniewskiego i przeszedł do kolejnych linków. Tuż przed tą wielką firmą upadły zakłady Sara S.A., prowadzące dwa domy mody w Warszawie, oraz stowarzyszone z nimi zakłady odzieżowe Star. Zadłużenie przekraczało dwukrotnie wartość majątku spółki. Sędzia Fogel był bezradny. „Tych zakładów nie da się uratować” – powiedział na rozprawie, uzasadniając postanowienie o upadłości likwidacyjnej.

Dwa linki dalej Bonar napiął mięśnie, gdy zaczął czytać tekst o nowym właścicielu budynków po Sara S.A.

„Najkorzystniejsze warunki przejęcia nieruchomości po domach mody Sara S.A. przedstawiły Europejska Szkoła Prawa i Bankowości oraz Zawodowe Stowarzyszenie Prawników Polskich. Syndyk Mochacki ręczy, że poza zaspokojeniem wierzycieli udało się uzyskać zapewnienie nowych inwestorów o zachowaniu zabytkowego charakteru budynków” – napisał „Głos”.

„Sędzia Fogel ponownie nie dopuścił do bezdusznego rozkradzenia majątku po Sara S.A. Według naszych informacji jeden z potencjalnych nabywców zamierzał stworzyć w centrum Warszawy sklep mięsny. Na szczęście na ratunek pospieszyli prawnicy, naukowcy i pedagodzy

zrzeszeni w związku prawniczym”.

POBIERANIE ZAKOŃCZONE – pojawił się komunikat z Chomika.

Bonar rozpakował 7-Zipem teczkę z dokumentami upadłościowymi przedsiębiorstwa rolnego Wigry, przeczytał spis dokumentów z objaśnieniami i oniemiał. Nagle wszystko stało się proste i jasne.

Profesor Stanowski podziękował partnerowi oraz przeciwnikom, wstał i dopijając wodę ze szklanki, odszedł od zielonego stolika. W brydżu, niestety, nie szło mu lepiej niż w squashu. Nie przejmował się tym, gdyż najważniejsza była gra i towarzystwo. A to było nie byle jakie. Profesor Danecki, poseł Brzeski i minister Romański. Z takimi rywalami przegrana nie boli, choć jego partner, profesor Danecki, wydawał się nieco zawiedziony punktacją, a nawet w pewnym momencie zgłosił protest, podważając wysokość wygranej.

– Nie będziemy się przecież kłócić o drobiazgi – odparł na to poseł Brzeski, czym ujął obu profesorów. – Trochę osłodzimy panom klęskę – dodał, uśmiechając się z satysfakcją.

Danecki zdusił przekleństwo, jak czynił to wiele razy, gdy Stanowski źle odpowiadał na jego zapytania lub popełniał błędy, wistując czy prowadząc rozgrywkę.

Stanowski złapał taksówkę i dwadzieścia minut później wszedł do Subarashi, swojej ulubionej restauracji na Solcu. Kępiński już czekał w tej salce co zwykle, popijając sok ze świeżych pomarańczy. Subarashi była bardzo cenionym lokalem nie tylko ze względu na wspaniałe i dobrze przyrządzone potrawy, ale też z powodu dyskrecji i komfortu, o jakie dbali właściciele. Oprócz normalnych stolików w głównej sali goście mogli zarezerwować salkę oddzieloną od pozostałych części lokalu specjalnymi ściankami. Nikt nie mógł się im przyglądać.

– Ktoś jeszcze będzie? – zapytał Stanowski, patrząc na dostawione do dwuosobowego stolika krzeselko.

– Dostaliśmy pewną propozycję – powiedział Kępiński.

– My? – zdziwił się Stanowski.

– Zawsze razem, pamiętasz? – Kępiński uśmiechnął się i objął przyjaciela. Długo się przyjaźnili. Nawet pieniądze nie zdołały tego zepsuć.

W tej samej chwili drzwi stanęły otworem i wszedł Fogel. Przywitali się z sędzią i usiedli, rozmawiając luźno o niczym. Kiedy już się uraczyli zestawami mistrza kuchni, Fogel wytarł usta chustą i powiedział:

– Nie wiem, czy profesor Kępiński przekazywał, ale rozmawialiśmy o uruchomieniu w naszej szkole cyklu wykładów panów profesorów na temat kodeksu spółek. Szczególnie zależy nam na sprawach upadłościowych i odpowiedzialności zarządów oraz rad nadzorczych za nieprawidłowości.

Stanowski napiął mięśnie i zastygł w wyczekującej pozie. Był w wielu radach nadzorczych. O niektórych przypominał sobie tylko przy okazji wypłaty. Pobierał pieniądze i dawał nazwisko, żeby spółka mogła się chwalić, jaką to sławę ma we „władzach”. I Fogel z pewnością o tym wiedział.

– Rady nadzorcze powinny dbać o prawidłowe poczynania zarządów, prawda, profesorze?  
– dodał Fogel, uśmiechając się znacząco. – Sądzi pan, że obarczenie ich odpowiedzialnością byłoby rozsądne?

Stanowski chrząknął.

– Rada to jednak nie zarząd.

– Oczywiście. Niemniej jednak... ale nie przynudzam. To jak, zgodziłby się pan, panie profesorze, przyjąć część wykładów? Może właśnie należałoby wyjaśnić studentom, że rada nie ma ani narzędzi, ani uprawnień, by odpowiadać za zarząd. Choć oczywiście może mieć pozytywny wpływ na działania spółki. Dodam, że pozyskaliśmy na ten cykl fundusze unijne, więc możemy zaproponować specjalną stawkę.

– Tak? – Stanowski powoli się uspokajał.

Fogel podał sumę i patrzył zadowolony na zarumienionych z podekscytowania profesorów.

– A zatem postanowione – zakończył. – Porozmawiajmy teraz o tych uprawnieniach rad nadzorczych.

„Moje nazwisko nic panu nie powie” – oznajmił adwokat, więc Bonar nazwał go w myślach Bezimiennym. Pojawił się na skwerku pół godziny później i zażartował:

– Myślałem, że będziemy wyprowadzać psy. Nawet wzięłem swojego.

Pokazał mu maskotkę psa husky.

– Jak się wabi?

– Dżerzi.

– Lubi pan Kosińskiego?

– Tylko te amerykańskie powieści.

– Przejdziemy do rzeczy?

Adwokat zaproponował, że za pół miliona pozytywnie załatwi sprawę bankructwa. Nie mówił wprost, komu chce dać w łapę, ale zapewniał, że będzie skuteczny. Pół miliona za skuteczność. To chyba niewiele, zważywszy na wartość spółki, nawet mimo giełdowego załamania. Wciąż jakieś dwieście milionów z samych akcji, a podobno na kontach jest drugie tyle. No i samochody kupione dla klientów. To też przecież majątek, i to nie byle jaki.

Miliard? Niewykluczone, tak słyszał.

A zatem warto walczyć. Warto przeznaczyć te pół miliona za szansę na odwrócenie sytuacji. Sąd okręgowy jest trudniejszy do kupienia niż rejonowy, ale czego się nie robi dla specjalnych klientów. Zwłaszcza jeśli takiego klienta reprezentuje sam profesor Stanowski. Wspaniale jest mieć taki autorytet w radzie nadzorczej, prawda? Mało kto chce z nim zadzierać. Wszyscy mamy dzieci, które kiedyś też będą chciały być prawnikami. Pójdą na studia i z pewnością spotkają na nich profesora Stanowskiego albo Kępińskiego, albo ich przyjaciół. Po co się narażać? Szczególnie że przy okazji można dobrze zarobić, a jednocześnie nie wchodzi się w spór z klientem. Szczęśliwie sędziowie nie ryzykują sporu z klientem. Oni tylko rozsądają. Adwokaci w tej sytuacji są zdecydowanie w gorszym położeniu, ale profesorowie, dzięki Bogu, też potrafią być wyrozumiali. W końcu czym bylibyśmy bez naszych klientów?

– Zresztą w obecnej sytuacji to chyba jest dopuszczalne ryzyko. W sądzie apelacyjnym sędziowie dobrze rozumieją, że biznes nie jest łatwy i czasem zdarzają się konflikty, które nie powinny skutkować bankructwem.

Bonar coś odpowiedział, na tyle ogólnie, żeby nie dać się wrobić, i na tyle jednoznacznie, by prawnik mógł uznać, że misja została zakończona sukcesem.

Godzinę później zadzwonił jednak zdecydowanie zadowolony obrotem spraw.

– Przykro mi, nic z tego.

– Dlaczego?

– Po prostu się nie da.

– Nawet za pół miliona?

– Nawet za dziesięć. Obawiam się, że nie ma takiej sumy, która by mogła pomóc w tym przypadku.

– I nie chce pan podać powodu?

– Myślę, że pan dobrze wie, jaki jest powód.

Wieczorem wszedł na Onet i chyba zrozumiał. Główną wiadomością w serwisie biznesowym było nowe doniesienie o sytuacji w Selacu.

„Rada nadzorcza spółki pod przewodnictwem profesora Stanowskiego podjęła dziś uchwałę nakazującą zarządowi wycofanie skargi na postanowienie sądu rejonowego o upadłości spółki.

– Możemy osiągnąć porozumienie w ramach toczącego się postępowania – wyjaśnił

profesor Stanowski. – Nie potrzebujemy dodatkowych sporów sądowych wydłużających proces naprawczy spółki. Selac wciąż jest silną marką i z pewnością sobie poradzi”.

A więc role się odwróciły. Stanowski jednoznacznie stanął po stronie przeciwnika.

Nie jesteśmy już przyjaciółmi, panie profesorze? A może nigdy nie byliśmy? Ciekawe, jak pan sobie to tłumaczy w tej części mózgu, która jest odpowiedzialna za moralność i etykę? Pewnie tak, że nigdy nie byłem pańskim klientem. To Selac nim był, a nie Adam Bonar. Czyż nie? Jakie łatwe, proste wyjaśnienie. Ja umiem się wznieść ponad konflikt interesów. Jestem na tyle silny moralnie, że potrafię się nawet wybronić przed wyrzutami sumienia.

– Do diabła, rada nadzorcza działa na szkodę spółki – warknął pod nosem, ale nie miał nic do powiedzenia dzwoniącym dziennikarzom. Nie mógł przyznać się do kolejnego otwartego konfliktu, tym razem z radą nadzorczą. Popatrzył na fotkę profesora i w tej samej chwili zrozumiał, jak bardzo dał się wpuścić w maliny. Jedna klika.

Prawie podskoczył, gdy zabrzmiał dzwonek telefonu. Pewnie znów prośba o komentarz? – pomyślał, rozpoznając numer.

– Pani Kasiu, nie mam nic do dodania – powiedział niepytany.

– O czym pan mówi?

– Nie komentuję decyzji rady dotyczącej procesu upadłościowego – uzupełnił.

– Ale... ja nie z tym.

– A z czym?

– Chcę porozmawiać. O Milenie.

A więc i to do niej trafiło – pomyślał, nie odpowiadając. Spotkać się czy lepiej poczekać, aż trup przepłynie?

– I chciałabym, żeby pan kogoś poznał – zakończyła dziennikarka.

Ostatnim petentem był jubiler Szmit. Biedak zainwestował pieniądze w spółkę budowlaną, licząc na szybki wzrost z powodu dużych inwestycji infrastrukturalnych. Niestety, spółka wypadła z dwóch konsorcjów realizujących znaczące zamówienia i ponownie stanęła na krawędzi bankructwa. Szmit nie zaakceptował straty i chciał ją restrukturyzować. Zamiast przyjąć wyrok losu i przenieść to, co jeszcze mu zostało, na jakieś bezpieczniejsze pole, postanowił coś zwojować.

Księżny pomyślał, że to straszne, jak ludzie przywiązują się do pieniędzy i nie mogą zrozumieć, że coś, co stracili, nie odradza się ot tak, na pstryknięcie palcami. Nawet ciężką pracą nie można tego naprawić. Trzeba rozpoznać realia i wykazać się odpowiednim



podejściem. A tego Szmit nie rozumiał.

– Przykro mi, interes banku nie jest zbieżny z pańskim – powiedział bez ogródek Księżny.

– Mam plan. – Jubiler puścił mimo uszu niemiłe powitanie, usiadł nieproszony przy biurku i wyłożył na stół dokumenty. – Tutaj jest cała strategia i założenia. Jeśli nie stanie się nic nieprzewidzianego, za rok spółka wróci do gry i podwoi wartość. Będziemy zdolni...

Księżny zerknął niechętnie na wypisane na froncie propozycje układowe. Znowu to samo. Kiedy ci naiwniacy zrozumieją, że on tu nie jest, by pomagać, negocjować, robić dobre miny. Jego zadanie było zupełnie odmienne od oczekiwania tych... nieudaczników.

– Niestety, sędzia Fogel orzekł upadłość likwidacyjną, panie Szmit.

– Wiem, jednak zgromadzenie wierzycieli może to zmienić, prawda? Jeśli się zgodzicie na układ, będziemy w stanie zaspokoić roszczenia.

– Jeśli...

– Bez redukcji – dopowiedział szybko jubiler.

– Tu pisze pan co innego. Mamy zgodzić się na zmniejszenie zadłużenia w zamian za objęcie nowej emisji.

– Akcje otrzymacie po najniższej cenie. Za rok odzyskacie trzy razy więcej, niż jesteśmy winni.

– Akcje bankruta są bezwartościowe – syknął Księżny. – Chyba że brać pod uwagę wartość spekulacyjną. A bank nie jest spekulantem.

Szmit zdjął okulary, jakby chciał lepiej przyjrzeć się bankierowi.

– Dlaczego pan to robi?

– Co takiego?

– Dlaczego nie chce pan dać nam szansy?

– Cóż, gdyby była realna...

– Jest realna – przerwał Szmit.

– Nie sądzę. Panie Szmit, pan jest mądrym człowiekiem, po co panu ta cała giełda? Robił pan przez całe życie piękne świecidełka i nagle, w wieku sześćdziesięciu lat, zapragnął zbratać się z rynkiem kapitałowym. To nie dla pana, panie Szmit. To jest dla ludzi młodych, dwudziestolatków, a może jeszcze młodszych. Dla ludzi z dużą skłonnością do ryzyka, akceptujących je, rozumiejących, że pieniądze nie dają szczęścia. Oni niepowodzenia przyjmują, jak to mówią... na klątę, bo mają czas, żeby się otrząsnąć, nauczyć, zrozumieć i powstać z popiołów. My, ludzie bardziej doświadczeni, powinniśmy...

– Rozumiem rynek kapitałowy – zaprotestował Szmit.

– Zapewne, ale nie rozumie pan innych mechanizmów. Tak czy inaczej, nic nie możemy poradzić. Pańska spółka upadnie, a pan straci swoje pieniądze. Jeśli dalej będzie pan próbował „restrukturyzować”, straci pan jeszcze więcej. Proszę to przemyśleć.

– Nie sędzę. – Szmit podniósł się powoli z krzeselka. – Szkoda, że pan nie chce zwyczajnie pomóc. Bank powinien pomagać swoim klientom, a nie tylko na nich żerować.

Odszedł, nie podając dłoni Księżnemu, który odczekał, aż gość położy dłoń na kłamce, i wtedy zawołał:

– Dobrze, przekonał mnie pan – powiedział głośno.

Szmit odwrócił się na pięcie. Na jego twarzy zagościł wyraz niedowierzania. Księżny naprawdę go zaskoczył. Przez chwilę pomyślał, że ludzie nie stracili do końca honoru i zwykłej przyzwoitości. Że można liczyć na to, że okażą zrozumienie i współczucie, a nie tylko pazerną skłonność do wygryzania ochłapów z padliny. Pomyślał, że bankier też może być dobrym człowiekiem...

– Pomogę pańskiej spółce. – Księżny uśmiechnął się nieszczerze. – Odkupię od pana akcje i pomogę.

– Moje akcje nie są na sprzedaż. – Szmit wyszedł, trzaskając drzwiami.

– Mogę przyjąć u ciebie dwoje dziennikarzy? – zapytał Ewę.

– Rób, co chcesz. W ciągu dnia i tak mnie nie ma.

Pokiwał głową i udał, że skupia się na wywoływanych na ekranie dokumentach. Ściągnął już z sieci prawie trzydzieści gigabajtów danych na temat Fogła, Księżnego i syndyków. Powoli całość układała się w jakiś schemat. Zapewne wciąż było wiele do odkrycia, lecz on już wiedział, że znalazł broń, która może pomóc w przewycięzeniu kłopotów.

Powiedział Natalii przez telefon, że kilka dni spędzi poza domem. Odłożyła słuchawkę, nie odpowiadając. Potem w ogóle przestała odbierać. Dobrze znał te reakcje, klął je w duchu, ale nic nie mógł poradzić. Wysłał esemesa, w którym zapewnił, że ją kocha, i prosił, by na siebie uważali. Strasznie sztucznie to zabrzmiało.

Ewa przez cały ten czas zachowywała chłodny dystans.

– Jesteś z kimś? – zapytał mimochodem.

– Czy uprawiam seks?

– Bardziej chodzi mi o kogoś stałego.

– Mam z kim to robić.

– Nie wątpię. Mam na myśli... Nieważne.

– No powiedz, skoro zacząłeś.

Bonar zagryzł wargę.

– Chodzi mi o to, czy kogoś kochasz. Tak naprawdę.

– A co to miłość?

– Wiesz co.

– To, co nas łączyło, nie było miłością.

– Myślę inaczej.

– Gdyby było, nie zrobiłbyś tego, co zrobiłeś. Prawdziwi kochankowie się nie ranią.

– Nie chciałem cię zranić.

– Ale zrobiłeś to. Baaardzo skutecznie. Zraniłeś mnie jak cholera.

– Przykro mi.

– Niektórzy już tak mają. Zawsze muszą przyciągać złe elektryki.

– Na pewno kiedyś spotkasz kogoś... wartościowego.

– Wątpię. Oddałam się szatanowi i tylko demony są mną zainteresowane. Nikt z drugiej strony cienia nie przyjdzie mi z pomocą.

– Więc zakochaj się w demonie.

– Demony nie kochają. Naturą demonów jest niszczenie, nawet jeśli pozorują miłość.

Pierwsza weszła Kasia Jarosz. Zimny skrył się za jej plecami, jakby był mocno zestresowany. Spokojnie, nie dostaniesz po pysku, choć zasłużyłeś.

– To jest Kuba. Znacie się... z gazety. – Jarosz mrugnęła do Adama.

Zimny podał mu dłoń i wytrzymał najmocniejszy uścisk, nawet nie spuszczać wzroku. Niesamowite, tyle nakłamałeś w gazecie i nawet nie masz poczucia winy.

– Szkoda, że spotykamy się w takich okolicznościach.

– Ja żałuję, że nie chciał pan ze mną porozmawiać – odparł Zimny z wyrzutem. – Chciałem napisać o panu uczciwy materiał, a przez pana poniosłem porażkę i zostaliśmy wrogami. Mam o to do pana tyle samo pretensji co pan do mnie.

– Wątpię. Zabrano panu całe życie? Dorobek, pieniądze, pracę i... – powstrzymał słowotok w ostatniej chwili – ...i wiele więcej.

– Może byłoby inaczej – mruknął dziennikarz.

– Skąd miałem wiedzieć, że nie wykorzysta pan tego przeciwko mnie? – zaproponował Bonar. – Miałem ostry konflikt z bankiem, który sponsorował pana gazetę.

– Nic nie wiem o żadnym sponsoringu.

– Poszła cała kampania reklamowa – stwierdził z uporem Bonar.

– „Tylko Prawda” nie zamieszcza w ogóle reklam.

– Bo sprzedaje artykuły.

– Co pan mówi?! Nigdy nie sprzedawałem artykułu.

– Pan może nie, ale pański pracodawca na pewno. Czytał pan... u pani Kasi o tym mailu od „Tylko Prawdy”. Ja też mogłem kupić u was przyszłość. Gazeta, która pana zatrudnia, wymyśliła znacznie lepszy sposób na pozyskiwanie przychodów niż sprzedaż reklam. To już nikomu się w prasie nie opłaca. Ale sprzedawanie artykułów, reklama podprogowa, lokowanie produktu, inne pomysły na wplecenie w treść płatnych sugestii... to zupełnie nowa... jakość.

– Gównno, nie jakość. Powtarzam: nie sprzedaję artykułów i nie widzę tego w mojej gazecie.

– Bo pan jej nie czyta. – Bonar podniósł głos jak każdy człowiek, który wie, że ma rację, i musi to natychmiast udowodnić. Podszedł do regału i poszukał egzemplarza „Tylko Prawdy”.

– Proszę, na chybił trafił, gazeta z szóstego grudnia. Jest pan pewien, że w tych artykułach nie

ma ukrytej reklamy?

– Jestem.

– Sprawdźmy – Bonar otworzył gazetę na czwartej stronie, chwilę szukał właściwego zdania, w końcu powiedział: – O, proszę. Cytuję: „Józef Wasiuk znany jest z twardego charakteru i nietuzinkowych pomysłów. Z pewnością byłby dobrym kandydatem na stanowisko prezesa zarządu Polskich Stalowni. Doświadczenie, wiedza, nieposzlakowana opinia”. Czytać dalej?

– To nic nie znaczy. Normalny tekst...

– ...reklamowy – uzupełnił Bonar.

– Nieprawda, sam pisałem dobrze o różnych ludziach i nikt mi za to nie płacił. Wystarczy, że mnie przekonali...

– Zna pan Wasiuka?

– Nie.

– A ja znam. To finansista, nie zna się na stali, nigdy nie miał w tym doświadczenia. Za to umie inwestować i jest specem od przekonywania gazet. – Bonar sięgnął po laptopa, wpisał coś do wyszukiwarki i pokazał im ekran. – Proszę. Tu macie jego dossier. Najnowszy news: „Wasiuk nie został prezesem Polskich Stalowni, gdyż według resortu skarbu prowadzi negocjacje z Hindusami na temat przejmowania polskich spółek z tego sektora, więc powołanie go na to stanowisko mogłoby prowadzić do konfliktu interesów”. To z „Gazety” i to jest akurat rzetelny tekst.

– Też pan sobie znalazł rzetelne źródło.

– Lepsze niż „Tylko Prawda”.

Zimny poczerwieniał. Pomyślał, że gdyby był lojalnym pracownikiem, toby wyszedł. Ale lojalności nie należały do jego cnót. Prawdę mówiąc, argumenty Bonara do niego przemawiały. I, cholera, zdał sobie sprawę, że rzeczywiście niezbyt dokładnie czyta własną gazetę. Może więc nie dostrzegał oczywistości. Może nie umiał ich szukać. To się zmieni.

– Schowajcie, panowie, miecze – zaproponowała Kasia z mało przekonującym uśmiechem, choć sytuacja szczerze ją ubawiła. – Czuję się trochę zażenowana.

Kuba spojrział na dziennikarkę. Kłamała, mała diablica. Bardzo jej się spodobało sprowadzenie Zimnego na ziemię. Dobra, jeden zero dla was. Zobaczymy, co będzie dalej.

– O czym chcecie rozmawiać? – Adam usadowił się wygodniej na krześle, czekając na pytania.

– Powiedziała panu przez telefon.

– Jakie mam gwarancje, że tego nie zmanipulujecie?

– Żadnych. Może pan nam zaufać lub nie.

– No, nie wiem.

– Rozmawialiśmy już z Mileną.

Bonar uniósł brwi.

– No i co sądzicie?

– Nie wierzymy w te oskarżenia – oznajmiła Jarosz. – Są wyssane z palca, ale powinien pan nam jednak o tym opowiedzieć. O tym i o innych sprawach.

Bonar opadł na oparcie krzeselka i założył ręce za plecy.

– O jakich?

Kasia spojrzała na Zimnego, który wyjął akurat z kieszeni zapalniczkę i zaczął się nią bawić. Po chwili wycedził przez zęby:

– Oboje z Kasią uważamy, że ktoś bardzo pana nie lubi i próbuje zdyskredytować wszelkimi metodami, jednocześnie odpowiednio dozując informacje, tak jakby chciał ciągle podnosić napięcie i przykrywać luki poprzednich przecieków kolejnymi sensacjami. To nie wygląda dobrze. – Zimny przerwał na chwilę, a potem opowiedział Bonarowi o swoich odczuciach, początku całej sprawy, tajemniczym informatorze, który nie chce się ujawnić, wrażeniach dotyczących sterowania zarzutami prokuratorskimi, wreszcie donosami na temat rzekomych przestępstw seksualnych i molestowania sekretarek.

– Problem w tym, że niby wszystko ma jakiś związek z prawdą – zakończył.

Bonar patrzył cały czas na Zimnego, zastanawiając się, czy może mu zaufać, czy też jest to jakaś kolejna prowokacja. W zasadzie dziennikarz wzbudzał zaufanie, chyba był szczery. Kasia Jarosz też go nie oszukała. Tyle że w jego sytuacji nie wolno było ufać nikomu. Stanowski też niby stał po jego stronie. Też miał wybawić firmę. Wymyślił pozornie wspaniały wybieg prawny. O mało co nie rzuciłem mu się na szyję, gdy znalazł tego haka na Księżnego. A jak to się skończyło?

– Co chcecie wiedzieć?

– Kto za tym stoi – powiedział Zimny. – O co dokładnie chodzi?

– Tego nie wiem – zaczął ostrożnie Bonar. – Przynajmniej nie do końca.

– Zacznijmy od tego, co pan wie – zaproponował Kuba.

Jarosz wtrąciła:

– Skończmy jeden wątek, żeby nie skakać. Sprawa z Mileną jest szyta, sama nam to przyznała.

– Tak?

– Przyznała, że prokuratura namówiła ją do złożenia doniesienia na coś, czego w rzeczywistości nie było.

– Co nie znaczy, że popieramy to, co pan zrobił z tą dziewczyną – dodał szybko Zimny.

– Nic nie zrobiłem – oburzył się Bonar. – Po prostu...

– Wykorzystywanie zależności służbowych to też molestowanie. Szczególnie w stosunku do osób tak... – Zimny poszukał właściwego słowa, żeby nie powiedzieć „ograniczonych” – prostolinijnych. Takie dziewczyny łatwo uwieść, ale pan nie powinien tego robić.

– Dlaczego? Jestem tylko mężczyzną.

– Pochwalił się pan żonie? – rzuciła ostro Kasia. – Może ją zapytamy, co o tym sądzi?

Bonar umilkł. Oni też się nie spieszyli. Niech łobuz poczuje, że ta rozmowa wcale nie musi być dla niego miła – pomyślał Zimny.

– Dobrze, przyznaję, popełniłem błąd. Nie powinienem był tego robić.

– A te dwa poprzednie przypadki? – Zimny zerknął do notatek. – Ewa i...

– ...dziewczyna z Nissana – dopowiedział Adam.

– Właśnie.

– Jak pan to wyjaśni? – Kasia wyraźnie naprężyła mięśnie, jakby chciała zdzielić rozmówcę sierpowym.

Bonar spuścił wzrok. Patrzył teraz na swoje palce i chyba rozważał, jak to rozegrać.

– Chcecie znać prawdę?

– Powiedzmy – mruknął Zimny, usiłując zaznaczyć, że i tak nie do końca uwierzą w wyjaśnienia biznesmena.

– Mieliśmy z Natalią, moją żoną, różne momenty, lepsze i gorsze. Podczas tych lepszych nie zdradzałem żony, starałem się dochować wierności i dbać o nasz związek. Kocham żonę. Jednak bywało i tak, że jej potrzeby i temperament znacząco odbiegały od moich, i w takich okresach miałem poczucie, że ona akceptuje moje zdrady, choć nie chce o nich wiedzieć. Być może było to prostackie wytłumaczenie, ale innego nie mam. Możecie mnie krytykować, może wam się wydawać, że moje podejście jest hedonistyczne, cyniczne i wyrachowane, ale ja po prostu nie byłem w stanie zapanować nad tą sferą swojego życia, co nie oznaczało, że przestałem kochać żonę.

– Chyba jednak byłoby fair z nią o tym pogadać, prawda? – Kasia nie odrywała oczu od ust Bonara, jakby chciała widzieć, jak ze źródła sączy się rzeka kłamstw.

– Pewnie tak.

Zimny pomyślał, że może powinien trochę przystopować i spróbować zrozumieć Bonara. Trzy czwarte facetów myśli o zdradzie i w ogóle o seksie z każdą napotkaną kobietą, której wygląd nie skłania do ucieczki na drzewo. A większość, jeśli tylko jest w stanie, realizuje swoje zachcianki. Bonar był jednym z tych typowych samców, dla których zdobywanie stało na równi z konsumpcją. Czy to naprawdę coś złego? Co miał biedak zrobić, jeśli żona nie nadążała z... jak on to powiedział... temperamentem?

– To prawda, że zrobił pan kalendarz ze swoimi pracownicami? Takie były seksowne? Chciał je pan przelecieć?

– Jest pan wulgarny. Nie myślę o tym w ten sposób.

– A w jaki?

– Szanuję kobiety. Może pan myśleć, co chce, ale nigdy nie stosowałem przemocy fizycznej czy psychicznej.

– A nachodzenie kogoś, wysyłanie mu kwiatów, osaczenie... sądzi pan, że to nie jest przemoc? To dla pana takie naturalne?

Bonar tylko skinął głową. Chyba jednak był skruszony.

– Dobrze, punkt dla pana. Nie jestem święty. Jednak...

– Nie brał ich pan siłą – rzucił z sarkazmem Kuba. – To już słyszeliśmy...

– Zamknijmy ten temat – powiedziała Kasia, choć jakoś bez przekonania. – Podsumowując: nie przyznaje się pan do tego molestowania i gwałtu?

– Zarzuty zostały wycofane – przypomniał Bonar.

– O co innego pytałam – warknęła Jarosz. – Zeznania można wycofać z różnych powodów. Więc? Przyznaje się pan czy nie?

– Nic złego nie zrobiłem. Ewa była moją kochanką przez kilka lat, a kiedy chciałem odejść, zrobiła awanturę, upiła się i złożyła fałszywe zeznania, które cofnęła, jak tylko wytrzeźwiała. Rozmawiamy w jej mieszkaniu, sami możecie ją zapytać.

Dziennikarze spojrzeli po sobie zaskoczeni. To rzeczywiście był argument.

– Co do drugiej sprawy, to wynikła przez męża, który zmusił żonę do takich zeznań, a ona przy nim nie potrafiła się postawić. Też to rozumiem. Kochała po prostu męża bardziej niż mnie, nie chciała od niego odchodzić.



– Ja to kupuję – oznajmił Zimny. Kasia nic nie odpowiedziała. – Możemy przejść do najważniejszej rzeczy.

– Jakiej?

– Kto pana wrabia, panie Bonar?

Co za cholerny tydzień! – pomyślał Księżny. Ciągłe jacyś petenci, ani chwili spokoju.

Wczoraj udało mu się uniknąć spotkania z tym facetem, ale dziś od rana znów na niego czekał. Asystentka ostrzegła, że siedzi na korytarzu przed gabinetem i zapowiedział, że nie wyjdzie, dopóki nie porozmawia z nim sam prezes. Jest gotów zrobić protest lub głodówkę.

– Mówił, o co mu chodzi?

– Coś z Selakiem i tirami.

– To klient Selacu?

– Chyba tak.

– Jak się zachowuje?

– Jest dość mocno podenerwowany.

– Hm, dobrze, rozmawiam z nim, ale wezwij Czemrysa.

Dawno już nie przyjmował petentów czy klientów w obecności ochroniarza, który udawał doradcę zarządu do spraw strategicznych. W rzeczywistości umiał tylko dwie rzeczy: bić i strzelać. No i walczyć na miecze – dopowiadał zawsze, gdy ktoś sobie z niego w ten sposób żartował. Czemrys nie wyglądał nawet specjalnie groźnie, był tylko odrobinę wyższy i cięższy od Księżnego, a jego mięśnie wcale nie rysowały się pod koszulą jak u herosa. Wojciech wiedział jednak, że opowieści o jego kompetencjach nie są przesadzone. Rzeczywiście umiał bić i strzelać. Dlatego nie został poddany weryfikacji.

– Mam mu dać nauczkę? – zapytał na wstępie.

– Nie. To nasz klient. Klienta trzeba szanować.

– On zacznie nas szanować, jak dostanie wpierdol.

Księżny poklepał Czemrysa po ramieniu. Dobry chłopak, choć – jak na doradcę zarządu – powinien wykazywać się nieco większą wyobraźnią i wstrzemięźliwością w okazywaniu uczuć. Do bicia po pysku i grożenia klientom nada się byle osiłek. Ty jesteś kimś więcej, mój drogi, masz stanowić znacznie poważniejszą groźbę i przestrozę dla innych.

– Jeśli zasłuży, dostanie, ale jeśli będzie grzeczny, trzymaj się na uboczu.

– Rozumiem.

Księżny poprawił krawat, włączył interkom i poprosił asystentkę o wprowadzenie gościa.

Mężczyzna miał czterdzieści pięć, może pięćdziesiąt lat, duży brzuch świadczący o hektolitrach wypitego piwa, kraciastą koszulę, którą pewnie uznawał za strój wieczorowy, szare spodnie w kant, okrągłą głowę o jasnych włosach i wielkie mięśnie ramion, jakby przez całe życie nosił ciężary.

Wojciech pomyślał, że jego konfrontacja z Czemrysem mogłaby być ciekawa. Doświadczenie i umiejętności kontra waga i determinacja. Może warto go rozsierdzić?

– Dzień dobry, zapraszam. – Podszedł do mężczyzny, podał mu dłoń i poprowadził do kanapy przy stoliku dla gości. Przybysz rozejrzał się po gabinecie i kopara mu opadła. – Ładnie, prawda?

– Jak na filmie – przyznał tamten. – U kardynała w ekranizacji Dumasa...

– Dokładnie na tym był wzorowany, panie...

– Biegun. Sylwester Biegun.

– Wojciech Księżny – odparł prezes. Ponownie uścisnęli sobie dłonie. – W czym mogę panu pomóc, Sylwestrze?

Biegun uniósł w przedziwnym geście barki i jeszcze szybciej je opuścił.

– Cóż, panie prezesie, bardzo dziękuję, że zechciał mnie pan przyjąć – powiedział.

Księżny skrzywił się. Prostemu człowiekowi należy tłumaczyć w prosty sposób.

– Cała przyjemność po mojej stronie. O co chodzi, Sylwestrze? – błyskawicznie skrócił dystans.

– Hm, jak by to powiedzieć... od czego zacząć... no więc, może pan wie, kupiłem przez firmę Selac trzy tiry do przewozów międzynarodowych. Bo ja jestem przewoźnikiem, taki biznes prowadzę. To znaczy na swoją firmę, w leasing wzięłem. Spłacam od pięciu lat i już prawie jesteśmy na zero.

– To miłe. Miło, że dobrze ci się z nami współpracowało.

– No właśnie, bardzo miło. No i kilka dni temu dostałem to. – Przewoźnik pokazał pismo podpisane przez Księżnego z automatu.

Wojciech zanotował sobie w myślach, żeby następne pismo dać do podpisu dyrektorowi departamentu. Albo wrobię pierdolonego Francuzika. Niech zobaczy, co to znaczy zarządzać firmą i brać odpowiedzialność. On nie ma takiego Czemrysa, więc może naprawdę się przekonać, jakie ryzyko bierze na barki.

– Uhm. – Księżny udał, że uważnie przeczytał pismo. – No tak, rzeczywiście przykra sprawa.

– Ja już prawie spłaciłem te samochody – z rozbrajającą szczerością wyznał Biegun.

– Tak, wiem – przyznał Księżny.

– A pan mi pisze, że będę musiał za nie zapłacić jeszcze raz.

– Nie do końca – zaproponował bankier. – Piszę, że bank przejął przedmioty stanowiące zabezpieczenie, ponieważ twój partner, Sylwestrze, firma Selac, nie wywiązywał się z umów z nami. W związku z tym, niestety, musiałem zająć twoje samochody. No, ale tak jak napisałem, sprzedam ci je po atrakcyjnej cenie.

– Tylko że...

– Tak?

Sylwester podrapał się po głowie. Jak by powiedzieć grzecznie to, co miał do powiedzenia?

– Ja je już spłaciłem – zaczął. – Zostało naprawdę niewiele. A pan... cóż, proponuje spłatę jeszcze raz.

– Z upustem – uzupełnił Księżny. – Prawie czterdzieści procent upustu.

– Samochody nie są nowe, tyle straciły na wartości.

– Dlatego dajemy upust. Musisz zrozumieć, Sylwestrze, że ja jestem tu tylko pracownikiem najemnym, a nie właścicielem. Mam dbać o interes banku. Wiesz, skąd w banku są pieniądze? Od innych ludzi. Takich jak ty. Wkładają je nam na lokatę, licząc na to, że będziemy nimi dobrze zarządzali, czyli inwestowali. A my je pożyczamy na wyższy procent lub wkładamy w biznesy przynoszące zyski. W ten sposób zapewniamy zysk naszym klientom. Gdybym dał ci wyższy upust, działałbym na ich szkodę. Rozumiesz?

– No tak, ale... ja już spłaciłem te samochody – powtórzył Biegun. – Proszę zrozumieć...

– Oczywiście, że rozumiem. Bardzo mi przykro, że trafiłeś na oszustów, Sylwestrze. Gdyby spłacali zobowiązania, jakie mają w stosunku do nas, dziś ty nie miałbyś problemów. Myślę, że powinna to być dla ciebie nauczka na przyszłość. Nie wchodź w interesy z podejrzanymi firmami, zawsze wybieraj wiarygodnych partnerów.

– Pan Bonar nigdy mnie nie oszukał.

– Oszuści znakomicie potrafią udawać. Najpierw wciągają ofiarę w sieć, nawiązują relacje, a potem bach, okazuje się, że trzeba płacić drugi raz. Powiem ci szczerze, Sylwestrze, wyjątkowo źle się czuję, musząc ściągać swoje pieniądze od Bogu ducha winnych ludzi, no bo przecież to nie oni nie spłacali pożyczek, tylko Bonar.

– Właśnie. Wszystko spłacałem, nie miałem żadnego spóźnienia. Odsetki, zabezpieczenia,

ubezpieczenia, serwisy, każdy świstek na czas. – Sylwester był prawdopodobnie na skraju wybuchu.

Czemrys zrobił krok do przodu. Księżny powstrzymał go gestem. Och, mój drogi Czemrysie, nie znasz się na psychologii. Ten człowiek jest bliższy płaczu niż skoczenia mi do gardła. Żeby go sprowokować, trzeba znacznie więcej pracy i zdolności manipulacyjnych.

– Jesteś doskonałym klientem, Sylwestrze. Będziemy dumni, jeśli zostaniesz z nami i zechcesz korzystać z naszych usług.

– Pewnie, proszę tylko o załatwienie tej sprawy.

– To znaczy? – Księżny uznał, że już wystarczająco się naprodukował. Pora przejść do sedna.

– No, tutaj mam odcinki spłat, żeby udowodnić, że spłaciłem. – Wyjął dokumenty z teczki. – Co do grosza. Oczywiście resztę też spłacę, nawet dziś.

– Nie kwestionuję tego, Sylwestrze. Do czego zmierzasz?

– No, chciałbym, żeby pan, panie prezesie, uznał te spłaty. Konieczność płacenia za samochód drugi raz może doprowadzić mnie do bankructwa.

– Och, od razu bankructwa. Na pewno dasz radę. Nieraz udowodniłeś – Księżny wskazał na dokumenty – że dajesz radę.

– Problem w tym, że teraz rynek jest rzeczywiście w dołku. Marże spadły, ubezpieczenia wzrosły, przewozy do Rosji stają się coraz niebezpieczniejsze. Nie mogę sobie pozwolić na spłacenie tych samochodów. Nie mam takich pieniędzy.

Bankier odczekał odpowiednio długo, by to, co zamierzał powiedzieć, zabrzmiało dobitniej i wgryzło się głęboko w mózgu tego prostego człowieka.

– W twoim przypadku – przygryzł wargę – jestem gotów się zgodzić.

Biegun oniemiał. Nie był pewien, czy dobrze usłyszał. Rozmowa w końcu nie przebiegała najlepiej i musiał się mocno powstrzymywać, żeby nie wybuchnąć, nie rozplakać się, a tu taka niespodzianka! Prezes naprawdę to powiedział. Serce w szczerzej piersi Sylwestra niemal się zatrzymało, po czym zaczęło bić ze zdwojoną siłą i jego właściciel poczuł przypływ wzruszenia. A mówią, że bankierzy są tacy źli.

– Dziękuję – bąknął.

– Nie ma sprawy. Masz taką historię kredytową, że grzechem byłoby odmówić.

– Dziękuję – powtórzył Biegun.

Wstał, z ukłonem podał dłoń Księżnemu i miał już wyjść, gdy bankier dopowiedział:

– Skredytujemy twoje zobowiązanie na naprawdę dobrych warunkach.

Upłynęło pięć sekund, zanim Biegun zrozumiał.

– Jak to? Przecież mówił pan... Mnie naprawdę nie stać na... Poza tym... Kurwa, przecież już to spłaciłem! Nie rozumiesz, kurwa, że to spłaciłem?! Nie będę, kurwa, dwa razy płacił za to samo! Taki chuj, rozumiesz! Taki, kurwa, chuj! Pierdolony zbroju! – Rzucił się w kierunku Księżnego.

Czemrys skwapliwie skorzystał z okazji, szczęśliwy, że może się wykazać specyficznymi kompetencjami doradcy zarządu.

– Więc myśli pan, że to nie Księżny? – powtórzył Zimny.

Bonar skinął głową.

– Mam przesłanki, by sądzić, że ta sprawa wykracza daleko poza konflikt dwóch przedsiębiorców. Księżny jest tylko jednym z elementów... hm... układanki czy może sieci, którą na mnie zarzucono.

– Układ zamknięty? To chce pan nam powiedzieć?

– Nie wiem, jak nazwać fakty – wyraźnie podkreślił ostatnie słowo, by dać im do zrozumienia, że analizuje tylko twarde dane, a nie swoje widzimisię. – Parę wydarzeń chyba ma niewiele wspólnego z przypadkiem.

– Co na przykład?

– Do głowy mi nie przyszło, że bankier będzie miał po swojej stronie sędziego.

– Oskarża pan Fogla o stronnictwo?

– A jak to nazwać? Skazuje zdrową firmę na bankructwo. Jednego dnia, bez żadnej analizy, powołania biegłych, sprawdzenia sprawozdań. Przychyla się do wniosków Księżnego, wykorzystuje banalny pretekst i obcina mi głowę. Co mam o nim myśleć?

– Wziął łapówkę?

– Wydał orzeczenie zupełnie od czapy. Dalej się dzieją coraz ciekawsze rzeczy. Prokuratura stawia mi zarzut jeszcze bardziej absurdalny niż to bankructwo firmy, a teraz ktoś próbuje ze mnie zrobić... jak to nazwać? Zboczeńca? A może za chwilę okaże się gwałcicielem albo pospolitym bandytą? – Bonar przerwał, odetchnął i pomijając swoje podejrzenia, dokończył: – Ktoś mnie wrabia. Zniszczył mi doszczętnie życie. I nie sądzę, że za wszystko odpowiada tylko Księżny.

Kasia Jarosz patrzyła na Bonara, wciąż zastanawiając się nad kilkoma kwestiami.

– To dlatego pan jest u Ewy, a nie w domu, z żoną? Problemy w firmie rzutują na rodzinę? Nie potrafił odpowiedzieć na te pytania tak, by skutecznie ukryć prawdę. Serce ścisnęło mu się jak w imadle.

– Przepraszam, ale to... nie wasza sprawa. – Odetchnął głośno i odwrócił głowę, żeby nie widzieli napływających do oczu łez.

Zimny chyba uznał, że posunęli się za daleko, i skręcił w poprzednią ścieżkę.

– Czyli kto stoi na górze? Księżny czy Fogel?

– A czy na górze musi być jeden facet?

– W filmach gangsterskich zawsze jest jeden. – Zimny się uśmiechnął. – To jak, na kogo pan stawia? Księżny czy Fogel? A może ktoś inny?

– Nie wiem. – Bonar poczuł się lepiej i bezpieczniej na tym torze. – Wiecie co, rozpatrywałem różne możliwości. Zastanawiałem się, co było wcześniej, na zasadzie „kura czy jajko”. Sądziłem, że Księżnemu zależało na upadłości, żeby uchronić się przed konsekwencjami błędu biznesowego, a Fogel mu w tym pomógł. Ale im dłużej nad tym myślę, tym bardziej skłaniam się do innej teorii.

– Jakiej?

– To nie był element wojny biznesowej. Księżny od początku chciał wziąć moją firmę. Jej udziały w rynku, pieniądze, klientów. Zabrać, przejąć majątek. Propozycja, którą mi złożył na początku, wcale nie była szczerą. Ona miała mnie tylko wyprowadzić z równowagi, dać impuls do działania i tak się stało. Księżny, sam lub na polecenie kogoś innego, zawistował, a potem z partnerami rozłożyli mnie na łopatki. Myślałem, że wygrywam, że podejmuję słuszne decyzje, cieszyłem się, że wrabiam przeciwnika, a tak naprawdę on miał to pod kontrolą, nawet jeśli chwilami udawało się osiągnąć jakieś drobne sukcesy, jak tekst pani Kasi czy w ogóle koncepcja walki z bankiem. Uspił moją czujność i bezlitośnie wykorzystał naiwność. Cały czas pewnie się ze mnie nabijał, nawet jeśli chwilami to moje było na wierzchu. On nie chciał, żebym przyjął jego ofertę. Nie chciał zapłacić za Selac ani złotówki. Chciał dostać moją firmę za darmo, rozumiecie?

– No tak. – Zimny był nieco zniecierpliwiony, nie wiedząc, do czego dokładnie zmierza biznesmen.

Bonar przecesał włosy dłonią i spojrział w sufit, jakby miało mu to pomóc ułożyć sobie myśli w jakąś logiczną układankę.

– Wiecie, że codziennie wchodzę na forum giełdowe i czytam każdą opinię o sobie i Selacu?

– Pewnie teraz to nie jest przyjemne.

– Dołujące. Większość hejtów to zwykłe oszczerstwa i takie typowe narzekanie. Wyzywają mnie od oszustów, bandziorów, złodziei i tak dalej. Inni udają wsparcie, jakby licząc, że coś im sprzedam, podzielę się, udają fałszywych przyjaciół. Zdarzają się też dość chłodne analizy tego, co się stało. Jedna z nich była bardzo ciekawa.

– Prześle nam pan link?

– Tak, ale pozwolicie, że ją streszczę. Otóżów rzekomy „analityk” napisał, że działanie wobec Selacu jest dość klasycznym przykładem wrogiego przejęcia na koszt poprzedniego właściciela, co wcale nie jest jakimś precedensem. „Analityk” pokusił się też o ocenę przejmowanego majątku i stwierdził, że tak naprawdę Selac ma jedną atrakcyjną rzecz do przejęcia.

– Nieruchomości?

– To najczęstszy u nas powód „wrogich przejęć” zakładów państwowych, jednak my właściwie wszystko wynajmujemy, nie mamy własnych działek czy budynków.

– Miejsce na giełdzie? Wydmuszki bywają atrakcyjne.

– Nie, to już bez wartości. Jest sto innych tańszych i mniej ryzykownych spółek czy sposobów.

– Więc? Udziały w rynku?

– Dokładniej: klienci i umowy. Mamy dziesięć tysięcy umów leasingowych, w części spłaconych. Na forum już pojawiają się informacje, że bank nie uznaje płatności, które pobrał Selac, i żąda ponownego wykupu samochodów.

– Jak to?

– Powiedzmy, że wziął pan w leasing samochód za sto tysięcy i spłacił już osiemdziesiąt. Bank nie uznaje tego i każe panu spłacić całe sto. Jeśli nie, zabierze samochód, w najlepszym razie skredytuje pojazd od nowa, co na jedno wychodzi. Klient będzie musiał zapłacić podwójnie.

– To niemożliwe i... złodziejskie. Przecież ci ludzie spłacali kredyty.

– Spłacali je Selacowi. Bank oczywiście powinien uznać te wpłaty, ale prawnie nikt go do tego nie zmusi. Mniejszy kłopot, jeśli chodzi tylko o samochód czy komputer, ale mamy klientów, którzy mają u nas w leasingu cały park maszynowy, biurowce czy tiry. Oni ciężko pracowali, by spłacić te należności. Gdy teraz Księżny zażąda ich wykupu albo syndycy włożą do masy upadłości i pozbawią klientów praw własności, to... ci staną na skraju bankructwa. Kto wie, czy ich spraw nie będzie rozpatrywał Fogel, a Księżny nie wykupi innych składników majątku.

– To bandyckie prawo.

– Takie jest. Tak czy inaczej, tu tkwi sedno sprawy. Dziesięć tysięcy umów na średnio sto tysięcy złotych, a w wielu przypadkach znacznie więcej. Daje to okrągłą sumę. Miliard do wzięcia.



– I Księżny z tego skorzysta?

– A dlaczego nie?

– Klienci urządzają protesty, zainteresują media. Naprawdę się wkurwią.

Bonar spojrział na niego z wyrzutem, jakby chciał powiedzieć: mimo że mi źle, nie przeklinam, a pan musi?

– Przepraszam – bąknął Zimny i dodał: – Przez protesty bank straci wizerunkowo, a może nawet finansowo. Nikt nie będzie chciał mieć do czynienia z... oszustem.

– Jeśli media się zainteresują, ale mam obawy, że zamiast o złym banku napiszą o złym Bonarze i Selacu, którzy tak oszukali klientów, że ci muszą drugi raz płacić za samochody. To ja będę tym oszustem, o którym pan wspomniał, a nie bank.

– Do diabła, nieźle – mruknął Zimny.

– Na dodatek taka sytuacja jak teraz z Selakiem miała już miejsce. Podobnych spraw w ostatnim czasie jest wiele, jeśli przejrzeć archiwa.

– I wszędzie pojawia się Księżny?

– Nie tylko.

– Fogel?

– Znalazłem różne dziwne sprawy i powiązania.

– Jakie na przykład?

– Upadłość zakładów Broniewskiego.

Zimny przypomniał sobie demonstracje i protesty przed Ministerstwem Skarbu i zamieszanie wokół tego przedsiębiorstwa trwające kilka lat. Dziwne, nagle sprawa ucichła. Uświadomił sobie, że tak naprawdę nie zna jej finału. Słyszał o bankructwie, jakichś przejęciach, ale co, kto i komu, tego już nie wiedział.

– Księżny maczał w tym palce?

– Był wierzycielem, wnioskuje o upadłość, a orzeczenie wydał Fogel.

– To dziwne?

– Syndykiem zakładów został Konrad Mochnacki.

Zimny spieszył się. Nie znał tego nazwiska.

– Mochnacki jest też syndykiem Selacu – wyjaśnił Bonar.

– Aha.

– A słyszał pan o zakładach odzieżowych Star powiązanych z domami mody Sara?

– Nie.

– Upadły dwa lata temu. Wniósł Księżny, orzekł Fogel, a syndykiem został Stefan Rekosz.

– Proszę wybaczyć, też nie znam.

– Jest zastępcą Mochnackiego w Selacu. Był także zastępcą przy „restrukturyzacji” zakładów Broniewskiego. Kolejna sprawa to przedsiębiorstwo rolne Wigry.

– O, o tym coś słyszałem.

Zanim Zimny odszukał w pamięci jakieś szczegóły, Bonar wtrącił:

– Dużo ziemi pod Warszawą. Prawie sto hektarów.

– Atrakcyjne grunty?

– Bardzo. Blisko centrum, można na nich wybudować wiele osiedli mieszkaniowych i supermarketów. Cena za taki grunt jest niebotyczna.

– Niech zgadnę? O bankructwo wnosił Księżny?

Bonar uśmiechnął się.

– Orzekł Fogel? – dodał Zimny. – A syndykiem został Rekosz?

– Mochnacki. Identycznie jak w przypadku Selacu i Broniewskiego, Rekosz jest zastępcą.

– Jest tego więcej?

– Blogbud, Sempra, Amero Martini, Global... – strzelał Bonar. – Wystarczy posiedzieć w internecie i poszukać w wyrokach oraz ogłoszeniach.

– Wszędzie to samo?

Biznesmen skinął głową i zakończył:

– A mówi coś panu hasło: zagłowiec „Józef Piłsudski”?

– Ten zamówiony przez Ryszarda Cesarza?

– Ten sam. Zbankrutował na początku tego wieku.

– O bankructwo wnosił Księżny, orzekł Fogel, a syndykiem został... syndykami zostali Mochnacki i Rekosz? – dopowiedział Zimny.

– Nie sprawdziłem. Ale niech pan zgadnie, kto uratował „Piłsudskiego” przed pocięciem na żyletki?

Zimny mocniej oparł się o stół.

– Sam sędzia Fogel, a dokładniej kierowana przez niego szkoła wyższa.

– O w mordę! – rzucił Zimny.

Zdumieni patrzyli z Kasią na Bonara. Żadne z nich nie oczekiwało takiego obrotu sprawy. Jeśli ich rozmówca nie kłamał, a przecież kłamstwo byłoby bez sensu, to mogli mieć do

czynienia z czymś znacznie poważniejszym, niż przypuszczali. Temat nabrał zupełnie innej wagi. To już nie był materiał o jednym przedsiębiorcy skłóconym z bankierami i być może skrzywdzonym przez sędziego ani nawet o walce o jakąś część rynku czy groźbach dla branży leasingowej. Chodziło o coś znacznie większego, kto wie, czy nie systemowego. Coś, przez co kraj ma za granicą złą sławę republiki bananowej. Za takie tematy dostaje się Pulitzera. Albo gryzie ziemię.

Kasia pokręciła głową, a potem, jakby chciała odsunąć od siebie myśl o powadze sytuacji, zapytała:

– Nie odpowiedział pan, dlaczego wyprowadził się od żony. W tej sytuacji to chyba jednak także nasza sprawa.

Bonar znów odwrócił głowę.

– Chyba nie wasza. Po prostu mieszkam u Ewy.

Tawerna ukryta w budynku tuż przy zakładach Kasprzaka drżała w posadach, gdy coraz bardziej pijani żeglarze zaczęli wybijać rytm kuflami, donośnie przekrzykując jeden drugiego: „Żadna panna, żadna dziwka nie zastąpi kufla piwka...”.

Konrad Mochnacki precyzyjnie się z dwoma piwami do stolika, przy którym siedział Stefan Rekosz. Przyjaciele i wspólnicy stuknęli się kuflami. Raz na jakiś czas odwiedzali tawernę, żeby poczuć żeglarski klimat, którego tak im brakowało poza sezonem. Uważali, że jeszcze nie stać ich na wyjazdy zimą na Karaiby czy gdzieś na Ocean Indyjski, poza tym lubili specyficzną atmosferę Mazur. No, ale w grudniu na Mazury nie było po co jeździć. Ich wspólna łódź, luksusowo wyposażony dziesięciometrowy maxus 33, zimowała spokojnie w hali w porcie Sztynort, gdzie pozostanie aż do kwietnia, kiedy skończą najgorszą część roboty z tym cholernym Selakiem i dwiema innymi spółkami, które w tym momencie „likwidowali” na polecenie i pod kontrolą sędziego Fogla.

Rekosz wypił duszkiem prawie pół kufla, nachylił się jak najbliżej ucha Mochnackiego i szepnął:

– Niepokoi mnie ten Bonar.

– Dlaczego? Zachowuje się jak inni.

– Wiesz, o co mi chodzi. Wydaje się bardziej zdeterminowany. Jak ten...

– ...góral, o którym ciągle mówi Fogel? Nie przejmuj się.

– Nie chcę... żeby znów ktoś się podpalił.

– Żal ci go?

– Nawet nie o to chodzi. Po prostu uważam, że to niepotrzebne.

– Każdy z nich pręży mięśnie, a potem... i tak kończy jak inni.

– Góral...

– Góral to góral. Bonar to mieszaniec. Nie ma góralskiego charakteru. Jak każdy kundel podkuli ogon, gdy dostanie kilka batów.

Głos Mochnackiego był mocny i pewny siebie, ale prawdę mówiąc, syndyk też czasem rozważał, czy nie posunęli się za daleko. Kilka tygodni wcześniej po pijaku rozwalił A8, wbijając należąca do bankrutującej firmy luksusową limuzynę w przystanek. Szczęście w nieszczęściu, nie było żadnych ofiar w ludziach. Gliny jednak pojawiły się nadzwyczaj szybko. Na domiar złego próbował uciekać i spędził noc w areszcie, a jakby tego było mało, o wszystkim dowiedział się jeden z jego biznesowych przeciwników i złożył doniesienie do prokuratury. Dureń nie wiedział, że prokurator chodzi na pasku... przyjaciół Mochnackiego, ludzi, którzy zawsze byli skłonni do pomocy, i oczekuje, że ten odwdzięczy mu się w przyszłości, tak jak zawsze to czynił. Najważniejsze to nie tracić głowy. Wtedy układ działa i tak naprawdę nie ma kłopotów.

– Bonar to zwierzyna łowna. Bez kłów czy choćby rogów. Łatwy cel.

Rekosz pokiwał głową, odsunął się. Przez chwilę słuchali melancholijnego zawodzenia *Pożegnania Liverpoolu*. Przy stoliku obok sześciu mężczyzn wstało i śpiewało z uniesionymi kufkami. Jakaś kobieta rechotała z żartu wielkiego mięśniaka. Mochnacki wyobraził sobie, jak dyszy pod nim i jęczy. W myślach zdobywał każdą kobietę, a potem swoje fantazje realizował w burdelu. Rekosz miał łatwiej. Kobiety lgnęły do tych jego wyrzeźbionych mięśni, nie zdając sobie sprawy, że to tylko pozory, a silne ciało kryje słabego człowieka.

– No i ta sprawa z jego żoną – dodał Rekosz, gdy mężczyźni obok zaczęli ścisnąć jeden drugiego.

– Co z jego żoną?

– Podobno ktoś ją straszył. Czemrys mi opowiadał, że Bonar wparował do Wojtka i zaczął mu wygrażać, że jeśli nie odczepi się od jego żony i dzieci, to pożałuje. Myślisz, że Wojtek byłby do tego zdolny?

– To jakaś bzdura.

– Pewnie tak.

Znów milczeli.

– Ale jak myślisz, byłby... zdolny coś komuś zrobić? W sensie... krzywdę? Mógłby kogoś

skrzywdzić fizycznie?

Mochnacki oparł wygodnie łokcie o drewnianą poręcz ławy i skończył piwo. Nie odpowiedział. Walnął ręką w stół i poderwał się gwałtownie.

– Jeszcze po jednym – zdecydował. – Przyniosę.

– Moja kolej...

– Siedź, przyniosę – powtórzył.

Ruszył szybkim krokiem. Choć tak długo przyjaźnił się ze Stefanem, dziś miał go zdecydowanie dosyć. Zawsze to Rekosz zgrywał twardziela, bo z lepszą prezencją, wspaniałymi mięśniami i wydatną szczęką wyglądał na gościa, któremu nie należy podskakiwać. W rzeczywistości Konrad był znacznie mocniejszy psychicznie i kiedy zostawali sam na sam, omawiając sprawy, to on decydował.

Przecisnął się przez tłum, zamówił piwo i zapatrzony w duży obraz wiszący nad barem próbował wyrzucić z głowy tego cholernego Bonara. Nie chciał teraz myśleć o interesach. Obraz przedstawiał dwa duże jachty pełnomorskie podczas regat. Maleńkie sylwetki uwijały się na pokładzie, próbując wygrać z przeciwnikiem i żywiołem, podczas gdy szyper jednego ze statków pozdrawiał załogę drugiego. Właśnie tak to wygląda na morzu czy śródlądziu. Załogi rywalizują, wylewają siódme poty, gotowe są oddać życie, a dowódcy pozdrawiają się nawzajem, nie okazując sobie nawet cienia wrogości, po zawodach zaś idą razem na piwo, śpiewają, kochają te same dziewczyny. Rodzi się prawdziwa męska przyjaźń. W biznesie też tak powinno być. Dobrze, żebyśmy znali granice rywalizacji, a potem mogli pójść ze sobą na piwo.

Spojrzał ukradkiem na sąsiada, bo miał wrażenie, że ten go obserwuje. Mężczyzna nie odwrócił wzroku. Patrzył na niego z mieszanką zdziwienia i czegoś, czego Mochnacki nie był pewien. Raczej nie była to nienawiść, chociaż...

– Znamy się?

– Nie poznaje mnie pan, panie syndyku? – zapytał tamten. – Biotech Technologies. Moja firma. Tak się nazywała... kiedyś...

– Ach, tak. – Przypomniał sobie tego wyszczekanego młodzieńca, którego dumny start-up rok lub dwa lata temu musieli odprowadzić na cmentarzysko. Narobiłeś strasznych długów, chłopcze, ale i tak coś się udało zgarnąć. – Mam nadzieję, że nie chowa pan urazy?!

– To tylko biznes. – Były właściciel Biotechu skinął głową. – Choć wie pan co, gdybyście się wtedy zgodzili na układ, dziś może wszyscy bylibyśmy milionerami.

– Tak? Dlaczego?

– Pan pewnie nie pamięta... Biotech próbował opatentować kod dla okularów do wirtualizacji.

– Tak, pamiętam. Oczywiście – skłamał syndyk.

Jakie okulary? On pamiętał tylko rzędy cyferek poprzedzonych minusami i te parę komputerów, samochodów oraz mniej wartościowych rzeczy, które z trudem opchnął, by zapłacić koszty postępowania upadłościowego.

– Badania dużo kosztowały, ale przynosiły nadspodziewanie dobre efekty i gdybyście dali nam jeszcze rok, może dwa lata, sprzedalibyśmy patent Microsoftowi albo Sony, a tak musieli kupić od konkurencji z Czech.

O czym ten szczeniak gada? Marzy im się jakaś innowacyjność, wynalazki, cudenka. Biznes to kasa. Trzeba zarabiać pieniądze, a nie marzyć.

– Dużo zapłacili? – zapytał z udanym zainteresowaniem.

– Całkiem sporo. – Młodzik uśmiechnął się nieznacznie. – Jakies dziesięć miliardów dolarów.

– Miliardów? Musieli mieć jakieś duże fabryki i pewnie zdrowe finanse...

– Nie, tyle było warte te parę cyferek. Tyle, a może znacznie więcej, bo po uruchomieniu produkcji wartość samego patentu wzrośnie dziesięciokrotnie. Nasz kod był lepszy i rozślawiłby Polskę w świecie, ale co tam, przecież to pana nie interesuje...

– Zawsze tak się mówi.

– Jak?

– Że wystarczyłby rok lub dwa. Nic nie poradzę, że biznes to twarda gra.

– Tak, twarda. – Chłopak z Biotechu chciał już chyba odejść.

Syndyk pomyślał, że to nie za fajnie się tak rozstać, więc zagaił:

– Żeglujecie pan?

– Tak.

– Hm, to szkoda, że pan nas nie znalazł na Mazurach. Poszlibyśmy na piwo, pogadali. Byłoby inaczej.

Młodzieniec, dotąd raczej obojętny, spojrzał nagle na niego z wyraźnym obrzydzeniem.

– Na piwo? – powtórzył. – Tak się to załatwia? Wystarczy iść na piwo?

Przy trzeciej butelce usiłował się do niej dobrać. Nie potrafił powiedzieć dlaczego. Po prostu musiał spróbować. Ewa aż odskoczyła, a on poczuł się wyjątkowo podle i źle. Jak mógł choć

pomyśleć o tym w takiej chwili.

– Co z ciebie za człowiek? Naprawdę myślisz tylko o seksie? Tylko to ci w głowie?

Ukrył twarz w dłoniach. Do diabła, jak nisko musiał upaść, skoro kobieta, którą dotąd umieszczał na szczycie wyuzdania, zarzuca mu coś takiego? Ale miała rację. Powinien myśleć o wszystkim, tylko nie o seksie. Jak by się czuł, gdyby do czegoś doszło? Co by miał sobie rano do powiedzenia? Przecież nie chciałby dla Ewy odejść od Natalii. Nie było o tym mowy.

– Przepraszam – załamał się i skulił. – Nie wiem, co się ze mną dzieje. Nic nie wiem.

– Śpisz tu, ja tam, dobrze?

– Dobrze.

Nie mógł jednak zasnąć. Przez pół nocy próbował się uwolnić od obrazu Natalii, drugą połowę zajęli mu Księżny i Fogel. Takie to proste. Bankier i sędzia. Układ doskonały. Jeden zapewnia finansowanie, drugi wyroki. Jak mógł być takim kretyńcem, by dać się zwieść Stanowskiemu i nie wyczuć podstępów? Do diabła, przecież nie mógł przypuszczać, że sędzia jest przekupiony. To tak jak z lekarzem. Cokolwiek by mówił, masz mu wierzyć. Jeśli chcesz wyzdrowieć, żyć, powinieneś zaufać lekarzowi, bo przecież nie masz jego wiedzy. Zaufanie. Przynajmniej do pierwszego błędu.

Wstał z łóżka, zapalił nocną lampkę i starając się zachowywać możliwie jak najciszej, ułożył na biurku zebrane dokumenty.

Księżny odcinał finansowanie, składał wnioski, sędzia je zatwierdzał, a potem syndycy pod jego kontrolą przekazywali majątek do matecznika. Obieg zamknięty. Układ doskonały.

Jakie miał szanse, by z nim wygrać?

Świtało, gdy Ewa weszła zaspana do pokoju i poprosiła, by się położył. Przyłgnęła do niego na kanapie, wtuliła w jego ciało, jakby chciała go pocieszyć, a może zachęcała do seksu. Ale nie myślał już o tym. Wciąż i na nowo zadawał sobie pytanie, co powinien zrobić, i chyba znalazł odpowiedź.

Już pierwszy strzał trafił w dziesiątkę. Ustalili z Kasią, że nie będą dokonywać sztucznego podziału obowiązków ani nie poinformują redakcji, nad czym pracują. Lepiej, żeby nikt nie wiedział, mniej czasu zostanie na ewentualne zablokowanie tekstu.

– A jeśli mimo to nie puszczą?

– Pozostanie nam internet.

Zamówili w warszawskim sądzie akta Broniewskiego, zakładów odzieżowych Star, domów mody Sara i przedsiębiorstwa rolnego Wigry, bo te były dostępne na miejscu. Pozostałe bankructwa z listy przekazanej przez Bonara musieli zostawić na później. Tak naprawdę jednak Broniewski był tu najważniejszy. Ogromne zakłady, jeszcze większe długi, dwadzieścia tysięcy ludzi przekonanych, że pracują dla potęgi, która okazała się kolosem na glinianych nogach.

Ktoś się przeliczył, ktoś przesadził, ktoś inny poszedł o krok za daleko. Z dokumentów rejestrowych wynikało, że upadłość została ogłoszona ekspresowo, a syndycy – Mochnacki i Rekosz – błyskawicznie sobie poradzili z głównymi składnikami majątku.

Grunty, na których stały zaniedbane zakłady, przejął Polski Bank Gospodarczy, obiecując finansowanie restrukturyzacji i pozyskanie inwestora strategicznego. Następnie przekazał je spółce Top Development, a część sprzedał Bankowi Towarowemu. Sześćdziesiąt milionów – tyle zapłacili za ziemię.

– Co to za cena? – mruknął pod nosem Zimny.

– Za niska?

– To kawał terenu w centrum Warszawy, zrozumiałbym, gdyby sprzedali za dziesięć razy więcej.

– Jednak... to zawsze sześćdziesiąt milionów. Trudno będzie uzasadnić przekręt. Wiesz, jeśliby to była symboliczna kwota, sto tysięcy, dwieście, pięćset, ale sześćdziesiąt milionów może być trudno opisać jako coś rażącego. Ktoś powie, że hipoteki były obciążone, ktoś doda, że wyburzenie ruin kosztuje więcej niż sama ziemia, i tak dalej. Skąd wiesz, czy nie ma tu kruczków rzeczywiście uzasadniających taki obrót spraw? Nie obronimy tezy bez argumentów.

– Ja bym to wycenił na pół miliarda, ale niech będzie, że coś się kryje w tle. Popatrz, jak się to pięknie rozwinęło dalej. Sprzedali ziemię, przenieśli zakłady pod Warszawę, tam miała powstać nowa fabryka, którą chciał rzekomo wybudować jakiś ukraiński oligarcha, jednak nie



wybudował, więc zakłady i tak padły, ale nie były już w centrum uwagi, były prywatne, nie państwowe, łatwo było to wyciszyć, a ludzi rozgonić. Nikt się za nimi nie ujął.

– Sugerujesz, że to było celowe.

– Dziwne – pomyślał Zimny. – Pogadałbym z ostatnim dyrektorem tego bajzlu. Pewnie jeździ teraz merolem i mieszka w willi z basenem.

– To na co czekamy?

Szymon Górecki rzeczywiście mieszkał w modnej podwarszawskiej miejscowości, ale wcale nie miał willi, a na podjeździe stała skoda.

– Te luksusowe posiadłości są po drugiej stronie. – Pokazał na zachód. – Tutaj jest staro, bardziej buro, a sąsiedzi palą śmieciami i koksem. Zimą czasem ciężko wytrzymać i nie ma co myśleć o spacerach po czystym śniegu. Co was do mnie sprowadza?

– Broniewski.

– Dobry poeta, choć wolę Baczyńskiego.

– Niech pan nie kpi, chcemy porozmawiać o bankructwie zakładów.

– Tyle już tekstów o tym napisano. Przeczytajcie, to się dowiedzie.

– Teksty jakoś nie wspominają o sędzim Foglu, Wojciechu Księżnym, Top Development, Banku Towarowym i ukraińskim oligarsze, który nagle zapomniał o zobowiązaniach – zablefował Zimny.

Górecki spoważniał i długo patrzył im prosto w oczy.

– Chodźmy do domu.

– Jeśli będą chcieli cię aresztować, dam znać na tym forum – Grubber wręczył mu wizytówkę z adresem internetowym. – Zapisałem ci hasło i kody szyfrujące oraz komendy, których użyję.

– Nie przesadzasz?

– Mogę za to stracić licencję. Potraktuj to poważnie.

Jechali w miejsce, które Grubber nazywał sejfhauzem i o którym nie bardzo chciał mówić. Kupione na kogoś, od kogoś, przez kogoś i nie wiadomo do kogo należące obecnie... Ciesz się, że mam coś takiego – skwitował. – Skoro nie możesz zostać u Ewy...

Nie chciał już o tym myśleć. Ewa... to był zamknięty etap jego życia. Dla nich obojga. Nawet gdyby ostatecznie odszedł od żony i dzieci, nie powinien wracać do Ewy. W tej sytuacji każdy dzień spędzony w domu dawnej kochanki mógł okazać się krytyczny i destrukcyjny. Nie chciał więcej jej ranić. Nie mógł u niej zostać.

Grubber zareagował na prośbę bez żadnych zbędnych pytań. Chyba doskonale go rozumiał

i popierał. Zachował się jak prawdziwy przyjaciel. Odradził hotel i zaproponował „coś” swojego, zapewniając, że wyjdzie taniej niż w Hyacie.

– Odrobinę – mrugnął okiem.

Za Warszawą detektyw skręcił w boczną uliczkę i jechał około kilometra pomiędzy podobnymi do siebie segmentami. Za kolejnym zakrętem droga biegła już tylko przez pola i zagajniki. Dopiero pod ścianą lasu ujrzeli budynek osłonięty wysokim murem. Mały, prosty domek bez żadnych zdobień, raczej tani i urządzony w niskim standardzie.

Grubber pokazał mu pokoje. Poprosił, by korzystał z dołu i nie zaglądał na piętro.

– Będzie mniej sprzątanina – zażartował.

– Jak na filmie o terrorystach – mruknął Adam.

– Bardziej ofiarach przemocy domowej. Ostatni lokator był bity przez żonę.

– Bił żonę? – Bonar sądził, że detektyw się przejęzyczył.

Ten jednak pokręcił głową.

– Myślisz, że przemoc działa tylko w jednym kierunku? Znam kobiety, które byłyby w stanie cię znokautować. Znam też takie, które godzinami planowały zemstę na kochankach, potrafiły ich bez skrpułów torturować, truły lub mordowały za pomocą najbardziej okrutnych metod. To bzdura, że kobiety, mordując, unikają drastycznych, krwawych środków. Z moich doświadczeń wynika, że jest wręcz przeciwnie.

– Nie wątpię.

– Tak czy inaczej, dom służy nam w podobnych sytuacjach. Gdy trzeba kogoś ukryć lub przetrzymać. – Klepnął go w ramię i zaznaczył: – Przez kilka dni.

– Rozumiem. Wyniosę się, kiedy tylko powiesz.

– W salonie stoi laptop. Nie jest najnowszy, ale daje radę. Ma internet radiowy. Obserwuj to forum, o którym ci mówiłem. Jeśli będą chcieli cię aresztować lub zrobić jakąś inną akcję, dam cynk. Wchodź tam częściej niż na Facebooka.

– Nie jestem na Facebooku.

– Całe szczęście.

Grubber podszedł do okna i wskazał na pola. Kilka kilometrów na zachód niemal cały horyzont zasłaniały dźwigi, maszyny budowlane i wywrotki.

– Budują autostradę. Już trzeci wykonawca na tym odcinku się zmienił. Powiedz mi, jak to jest: dostawcy się zmieniają, wykonawcy też, przyjaciele stają się wrogami, a prawnicy i bankierzy pozostają ci sami... I zawsze zarabiają.

Górecki zaproponował im herbatę, zaparzył ją w dzbanku, postawił obok suchych ciastek i usiadł naprzeciwko. Dom miał za mało okien i był straszliwie ciemny, mroczny, nieprzyjemny. Zimno przenikało przez ściany, a narożniki tonęły w mroku, potęgując uczucie pustki. Straszne miejsce – pomyślał Kuba. Nie dostrzegł śladu obecności dzieci, co go ucieszyło. Dorastanie w takim miejscu może stworzyć mordercę.

– Przepraszam za warunki, ale na razie nie stać mnie na zrobienie tutaj jakiejś rewolucji.

– Dawni dyrektorzy państwowych zakładów zwykle radzą sobie lepiej niż pan – skarcił go Zimny. – Stać ich na wiele.

– Może nie jestem typowym dyrektorem, a może zwyczajnie okazałem się nieudacznikiem. W sumie... tak chyba jest. Żona odeszła ode mnie – spojrzał na zegarek, jakby mógł to wyliczyć dokładnie – prawie trzy lata temu, do muzyka. Nie mamy dzieci. W ogóle nasze życie okazało się bez sensu.

– A epizod w Broniewskim? – Zimny nie chciał pozwolić, by Górecki całkowicie się rozkleił.

– To było wyzwanie. Chciałem uratować ten zakład. Wydawało mi się, że nawet są na to szanse. Dostaliśmy pozornie solidnego inwestora, wsparcie autorytetów, rządu, sądów, urzędów. Powinno było się udać.

– A jednak się nie udało?

– Bo to była jedna wielka ściema – roześmiał się gorzko Górecki.

– To znaczy?

– Nikt nie chciał naprawdę restrukturyzować zakładów. Chodziło tylko o ziemię pod Broniewskim. Nie można było jej przejąć tak po prostu, więc stworzono legendę, jak to ratujemy wielki przemysł z tradycjami. No i uratowali, psia ich mać.

– Kiedy pan się zorientował?

– Jak już sprzedali grunty, a Ukraińcy okazali się całkiem miłymi żartownisiami. Powiedzieli nam, że okoliczności uległy zmianie i jednak nie uruchomią produkcji. Powiem wam coś, tylko mnie nie cytujcie. Jak zapytałem znajomego z Kijowa, co to za oligarcha ten nasz inwestor, tamten nie mógł opanować śmiechu. „Oligarcha – powiedział. – U nas oligarchowie nawet dywany mają z dolarów, a ten tutaj to zwykły cieć, szmaciarz, PR-owiec do wynajęcia. Owszem, mieszka w pałacu, ale takim tandetnym, zrobionym z plastiku, żeby tylko na fotografii prezentował się jako tako. Można wynająć go do każdej roli, więc oligarchy pewnie też. Tyle że jedynie jakiś głupek w to uwierzy”.

– Sugeruje pan, że to od początku był przekręt?

– Naprawdę nie wiecie, o co w tym chodzi?

– Nie – odparł szybko Zimny. Podstawowa zasada w tym zawodzie to nie mówić informatorowi, co się myśli, żeby nie naprowadzić go na tezę, którą chcielibyśmy udowodnić. Choć mało kto o tej zasadzie pamięta.

– To ja wam nie powiem.

– Ale...

– Macie to na tacy. Poszukacie, znajdziecie.

Zapadło niezręczne milczenie. Zimny chciał już wstać i wyjść. W tym momencie Kasia nieoczekiwanie położyła dłoń na zaciśniętej pięści Góreckiego.

– Panie Szymonie, nie mamy czasu na błędzenie po omacku. Proszę nam pomóc – poprosiła.

Górecki chciał chyba odpowiedzieć coś niezbyt sympatycznego, coś w stylu „jesteście za głupi?“, ale ostatecznie skinął głową, wstał chyba tylko po to, żeby zrzucić dłoń Kasi ze swojej, i powiedział:

– W sumie co za różnica! I tak nic mi już nie zostało. Pojeździecie trochę, pogadacie, wcześniej czy później się dowiecie. – Odchrząknął i wciągnął policzek tak, że utworzył w nim przedziwny krater, po czym oznajmił: – Oto efekt bratania się z bandytami. Powinienem odejść z zakładów, gdy mnie syndyk odwołał za pierwszym razem.

– Jak to za pierwszym? – przerwała Kasia, żeby nie pominął wątku, o którym nic nie wiedzieli.

– Kiedy Fogel orzekł upadłość, syndyk Mochnacki zakazał ochronie wpuszczać mnie na teren zakładu, żebym nie utrudniał tego, co zamierzał. Potem zwolnił radcę prawnego, więc nikt nie mógł już im się postawić i zaskarżyć decyzji o upadłości. Poszedłem do ministra, a ten obiecał, że odkręci sprawę. Wynajął jakichś dwóch profesorów, ci poszli do Fogla i załatwili u niego zamianę likwidacji na upadłość układową, dzięki czemu mnie przywrócono. Ja głupi uwierzyłem, że coś można zrobić, że uratujemy ludzi i produkcję. Przystąpiłem na te propozycje, podpisałem każdy podsunięty mi dokument, a potem wyszło na jaw, że im chodzi tylko o jedno.

– O tę ziemię? – przypomniał Zimny.

– Ziemię, fabrykę, biurowiec. Rozkraść, co zostało, śmieci wyrzucić. Nieruchomości stanowiły wartość, pracownicy i zobowiązania – to były śmieci. Mówiąc ich językiem: niepotrzebne pasywa. W naszych księgach budynki i ziemia miały niską wartość ze względów

podatkowych i z niedopatrzenia, ale tak naprawdę były wyceniane znacznie wyżej, co umożliwiało przekręt niemal w świetle reflektorów. Więcej majątku nie było, bo gdyby był, oni i to by wzięli.

– Kim są „oni”?

– Przecież pan wie. – Dyrektor znacząco przewrócił oczami. – Syndyk Mochnacki niemal od razu sprzedał największą działkę. Kupił ją Księżny, płacąc sześćdziesiąt milionów. Sędzia Fogel wydał zgodę na sprzedaż z wolnej ręki. Dalsze losy tej ziemi są jeszcze ciekawsze. Polski Bank Gospodarczy podzielił ziemię na cztery działki i wniósł ją do nowo powołanej spółki, która nazwała się Top Development. Ta spółka sprzedała jedną z tych czterech części Bankowi Towarowemu. Niech pan zgadnie, ile Towarowy zapłacił za tę część.

– Jak sześćdziesiąt podzielimy na cztery, wyjdzie piętnaście – policzył Zimny. – Piętnaście?

– Sześćdziesiąt. Dokładnie tyle, ile PBG wydał na całość, co oznacza, że ta wartość pierwotna była mocno zaniżona, a jednocześnie Bank Towarowy wcale nie przepłacił, bo ziemia była warta jeszcze więcej. Wszyscy zadowoleni, co nie? Każdy zarobił. Pomysłodawca przekrętu wyszedł na tym najlepiej, ci, co się przyłączyli później, nieco gorzej, ale i tak świetnie. Ludzie, którzy pracowali tam przez dwadzieścia, trzydzieści lat, tworzyli historię, walczyli w strajkach z komuną, zostali z niczym. Wyrolowano ich jak zawsze. Jak każde mięso armatnie.

– Pan był w pierwszej czy drugiej grupie?

Górecki tylko głośno się roześmiał.

– Ja jestem pomiędzy, jak każdy idiota, który nie może się zdecydować, czy stanąć po jednej, czy po drugiej stronie. Nie dostałem działki, a pracownicy myślą, że stanąłem po stronie złodziei i mam coś zakopane w ogródku. Dla jednych i dla drugich jestem zerem.

– Przykre.

Górecki machnął ręką.

– Tak już jest. A niech państwo zgadną, kto jest członkiem zarządu spółki Top Development?

– Skąd mamy wiedzieć... – Kasia przeczesła włosy dłonią.

– Moglibyście choć strzelić. – Dyrektor się uśmiechnął. – Niejaki Rekosz, kojarzycie? Stefan Rekosz, zastępca syndyka Mochnackiego w Broniewskim. A sam Mochnacki robił spółce sprawozdania finansowe, dodatkowo zarabiając. Rozumiecie już?

– Nie bardzo – szybko powiedział Zimny, żeby nie dopuścić Kasi do głosu. Chcemy to usłyszeć od pana, panie dyrektorze...

– Syndyk sprzedaje z wolnej ręki ziemię bankowi, ten tworzy spółkę zależną, w której władzach pojawia się zastępca syndyka i dalej dzieli ten majątek, ale już na własny rachunek, jednocześnie zlecając dodatkowe usługi samemu syndykowi, jakby jeszcze za mało nakradli. To klika, moi drodzy. Księżny, Fogel, Mochnacki, Rekosz. Założę się, że jak poszukacie, to znajdziecie więcej takich przykładów. Stworzyli model biznesowy idealnie wpisujący się w okres transformacji ustrojowej. Tworzą świetnie zorganizowany organizm... hm, pasożytniczy. Bardzo żarłoczny i wciąż nienasycony.

Już znaleźliśmy te przykłady – pomyślał Zimny, ale nie powiedział tego głośno.

Górecki rzucił pod nos:

– Mafie syndyków to już dość znany proceder.

– Mafie? – dopytała Kasia.

– Słyszeliście kiedyś o tym, że wprowadzono dla syndyków obowiązkowy, bardzo trudny egzamin?

Zimny poruszył się niespokojnie, chyba był już zniecierpliwiony. Kasia spojrzała na niego zdziwiona, bo ją ten temat bardzo interesował.

– Nie? No więc wprowadzono te egzaminy, ale ustalono długi okres przejściowy, żeby dotychczasowi syndycy mieli czas na dostosowanie. Zgadnijcie, co się stało. Nie zgadujecie? Otóż okres przejściowy był raz po raz przedłużany. Argumentowano, że zabraknie syndyków... bo ci nie będą w stanie zdać egzaminów. A zgadnijcie, kto lobbował za tym przesuwaniem terminu?

– Pan nam powie – uśmiechnął się Zimny.

– Nie, sami sprawdźcie. – Górecki chyba trochę się zdenerwował lekceważącym tonem Zimnego, ale ostatecznie wrócił do tematu. – Mamy w Polsce wielu syndyków, jednak dziwnym trafem większość pozostaje zupełnie bez pracy, podczas gdy nielicznym powierza się obsługę kilku albo kilkunastu upadłości jednocześnie. Często mimo braku efektów przy restrukturyzacjach i pretensji właścicieli co do zarządzania majątkiem. Jakby byli nietykalni i nagradzani za błędy. Jak to wytłumaczyć? Dlaczego działają w ten sposób na szkodę całego systemu? Jest tylko jedna odpowiedź: pieniądze.

– I nikt tego nie kontroluje?

– Nie wiem jak teraz, może coś się zmieniło, ale za czasów Broniewskiego sędzia miał

władzę absolutną. Nie musiał z niczego się tłumaczyć. Wyznaczał syndyka i koniec, nie było od tego odwołania, chyba że dało się udowodnić jakieś zarzuty. Teoretycznie brał pierwszego syndyka z listy, według kolejki, ale nikt nie mógł mu wytknąć, że „kolejkuje” po swojemu. Zrozumcie, ja nie chcę powiedzieć, że wszyscy syndycy to bandyci. Wręcz przeciwnie. Większość to normalni, być może uczciwi goście, ale tacy właśnie mają problem, bo nie są ułożeni z systemem. Ci dogadani znają kruczki i wiedzą, jak postępować z sędziami, by wygrywać zawsze, bez względu na to, po której stoją stronie. Są elementem systemu i dzięki temu wiedzą, jak go oszukiwać.

– To znaczy?

Górecki wyraźnie się rozkręcił.

– Na przykład złożyłem pozew przeciw syndykowi w mojej sprawie, a on po prostu nie stawiał się na rozprawy, przesyłając zwolnienia lekarskie. Co z tego, że robił to nagminnie, na przeczekanie? Sędzia nie miał możliwości go ukarać, zresztą pewnie wcale nie chciał. Zagrałem więc inaczej, wnosząc pozew o odwołanie syndyka z powodu złego stanu zdrowia, ale tu już sędzia nie wziął pod uwagę zwolnień, bo na te rozprawy syndyk się stawiał. W innej sprawie, gdy próbowałem odzyskać sądownie pieniądze, które ktoś był winny zakładom, okazało się, że mecenas wynajęty przez syndyka napisał w pozwie blankietowym, że składa osiemnaście załączników, a w rzeczywistości złożył siedemnaście. Prosty, pozornie czeski błąd. Sąd nie rozpatrzył sprawy i oddalił pozew. Nie wiem, czy pomyłka była celowa, czy przypadkowa, ale zobaczcie, jak działa system: nie ma znaczenia prawda, tylko procedury. Inna sprawa: zeznaję przed sądem i mówię coś do protokołu, a sędzia to interpretuje po swojemu i zmienia moje słowa, dyktując protokolantce coś, czego nie powiedziałem. Ja upieram się, że moje słowa były inne, a sędzia na to, że powiedziałem właśnie tak, jak zapisano. Gdy wciąż się upieram, sędzia nakłada na mnie karę porządkową. Ja na to wnoszę o wyłączenie sędziego jako stronniczego, a on wtedy mówi, że oddala wniosek, bo opisana sytuacja nie miała miejsca. I wiecie państwo, jakie jaja? Akurat mój współpracownik nagrywał to posiedzenie, więc mogłem udowodnić każde słowo i ruch sędziego. Składam zatem do wyższej instancji skargę, że sędzia jest stronnicy, poświadczając nieprawdę i w ogóle ma gdzieś sprawiedliwość. Zgadniecie, co na to apelacja?

– Nie uznaje dowodu? – odparł Zimny.

– Otóż to. Stwierdza, że skoro nie było zgody sędziego na nagrywanie rozprawy, to dowodu nie ma. Nie istnieje. Zatem nie można uwzględnić moich roszczeń, a dodatkowo należy mnie

ukarać za nagrywanie rozprawy bez pozwolenia.

– Kafka.

– Jest na to dobre powiedzenie.

– Kruk krukowi oka nie wykole?

– W środowiskach prawniczych mówi się inaczej, przepraszam, pani Kasiu, ale brzmi to dość wulgarnie: kurwa kurwie łba nie urwie.

– Nie szkodzi. – Kasia uśmiechnęła się pod nosem. Gdybyś słyszał, jak ja mówię, dopiero by ci poczerwieniały uszy.

Górecki pokiwał głową, jakby sam utwierdzał się w przekonaniu o wadze i prawdziwości słów, które padły i zaraz miały paść.

– Chcę, żebyście zrozumieli jedno. To nie jest kwestia jednego przypadku, przekrętu, jednej grupy ludzi czy nawet wycinka gospodarki. Mówimy tu o problemie całego systemu, dlatego tak ważne jest, by z tym walczyć. Problem w tym, że w naszym systemie naprawdę nie chodzi o sprawiedliwość. Ludzie, którzy to rozumieją, potrafią wykorzystać ten cholerny bezwład procedur, a wszyscy inni dają się wpuścić w maliny, bo nie wiedzą, jak to działa. Idą do sądu, myśląc: przecież racja jest po mojej stronie, sędzia nie może wydać innego wyroku niż właściwy, sprawiedliwy. Nie przypuszczają, że po drugiej stronie siedzi zgorzkniały, zawalony banalnymi sprawami, zmęczony i źle opłacany urzędnik, który nie myśli o sprawiedliwości, tylko o procedurach. I marzy, by nic się nie zmieniło, bo, nie daj Boże, nowoczesność odbierze mu władzę. Dlatego torpeduje wszelkie próby wykorzystania zdobyczy techniki. Nagrywanie rozpraw, elektronika, internet... to im przeszkadza. Według filozofii sędziów zgadzać się musi tylko liczba dowodów.

– Jeśli im się chce je policzyć – zażartował Kuba.

Górecki ponownie poczerwieniał. Chyba rzeczywiście już nie lubił Zimnego.

– Myśli pan, że to zabawne? Dla pana to może tylko temat, tak jak dla tych urzędników kolejna teczka z aktami. A przecież decydują o losach człowieka. Często wielu ludzi. Słyszał pan o facecie z Gdańska, który przesiedział dwanaście lat w więzieniu za zabójstwo, którego nie popełnił?

– Rzeczywiście, głośna sprawa – przyznał Zimny. Pewien człowiek został wskazany przez naocznego świadka, który potem jednak wycofał zeznania. Mimo to prokuratura nie zbadała właściwie sprawy i ciągle dążyła do skazania delikwenta. Posadzono go na ławie oskarżonych wraz z innymi płatnymi zabójcami i skazano. Dopiero po dwunastu latach zleceniodawca się



przyznał, że powierzył to zabójstwo komuś innemu, i więzień wyszedł na wolność. – Miał pecha.

– Że niby pomyłki się zdarzają? Nie, panie Zimny. Tu nie chodzi o pomyłkę. Facet był skazany dziewięć lat. Tyle przesiedział w areszcie, dopiero potem dostał dożywocie. Prokuratora nie obchodziła sprawiedliwość, tylko zaliczenie sprawy. On nie przejmował się ofiarą, konsekwencjami własnych decyzji, nie próbował zgłębić zgromadzonych materiałów. Odfajkował. Zmarnował człowiekowi dwanaście lat, zniszczył życie związanych z nim ludzi, bo żona od niego odeszła, a syn nie bardzo wie, co ma czuć do tego „obcego człowieka”. A wystarczyło, żeby prokurator się przyłożył.

– Teraz pan skazuje go bez procesu.

– Bo zasłużył. Dobrze przeanalizowałem tę sprawę. Wie pan, że tego człowieka skazał sędzia, który potem jechał po pijaku samochodem? Myśli pan, że poniósł konsekwencje? Ten niesłusznie skazany być może nigdy nie zrobił nic złego, a sądził go człowiek, którego moralnie i etycznie należałoby sklasyfikować o parę piętér niżej. A prokurator? Jak już w końcu niewinnego uwolniono, to postawił mu nowy zarzut. Tym razem o nielegalne posiadanie broni. No bo wyszedł z założenia, że skoro tamten był oskarżony o zabójstwo z użyciem pistoletu, to nawet jeśli w końcu się okazało, że to nie on zabił, to pewnie chociaż miał broń, bo przecież inaczej by go nie sądzono. I tu też został początkowo skazany.

– Cóż, z systemami nie jest łatwo – mruknął Zimny, uznając, że dalsza dyskusja może zejść na niebezpieczne tory prowadzące do kolejnych spisków. Dla niego była to droga donikąd. Narzekanie dla narzekania. Nie można zwiesić głowy i tylko marudzić. Trzeba brać po kolei do rąk poszczególne sprawy i... robić swoje. To jedyna droga.

– Uważa pan, że mi odbiło, prawda? – Górecki uśmiechnął się smutno. – Proszę poszperać i może wtedy zobaczy pan cały obraz. Radzę też poszukać czegoś głębiej. Nie tylko prostego czworokąta dwóch syndyków, bankiera i sędziego.

– Co znajdę?

– Przecież już pan przestał mi wierzyć. Po co miałbym dalej mówić?

Górecki wstał, podszedł do okna i czekał, aż sobie pójdą. Nawet nie podał im ręki na pożegnanie.

– Musiałeś go obrazić? – warknęła Kasia, gdy byli już na zewnątrz.

– Czym? Nie wiem, co zrobiłem.

– Nie udawaj. Facet się otworzył i mówił całkiem rozsądnie, ale ty w swojej

dziennikarskiej wstrzeźliwości uznałeś, że skoro odchodzi od faktów w kierunku interpretacji i szerszego spojrzenia, to zaczyna konfabulować i zwodzić. Oceniłeś, że to mało interesujące. Nawet ja wyczułam, z jakim dystansem traktujesz jego słowa.

– Po prostu słyszałem już takich wizjonerów. Mogę ci sam powiedzieć, jaki byłby dalszy ciąg.

– Tak, jaki?

– Że Okrągły Stół to spisek, Magdalena stworzyła układ, wojska rosyjskie wcale nie wyjechały, WSI jest wszędzie, szpiedzy kryją się za każdym rogiem i tylko czyhają na nasze majątki, głowy, żony i kochanki. Że cały świat to Matrix, a ty naprawdę chcesz się ze mną pieprzyć.

– Głupi jesteś.

– Jestem – przyznał.

– Nic nie wiesz i nie umiesz słuchać ludzi. Wcale nie jesteś dobrym dziennikarzem.

– Nie jestem – przyznał Zimny i spoważniał. – Tak czy inaczej, masz rację, dałem dupy.

Przepraszam.

– Gnojek.

Maklerzy dyskutowali właśnie o kłopotach jednego z domów inwestycyjnych, który nakupował obligacji upadających firm, a na domiar złego namówił do takich samych ruchów fundusz z rzekomo bezpieczną strategią zarządzania.

– Jeśli KNF nie przymknie oka, to będziemy mieli megaskandal... – zakończył młody chłopak z twarzą tak gładką i błyszczącą, jakby należała do lalki.

Cały był delikatny i wyjątkowo nienaturalny, przez co Adam pomyślał, że w sumie dobrze wpisuje się w to miejsce, gdzie ludzie żyją w zupełnie innym, wirtualnym świecie pieniądza i liczb, nie rozumiejąc rzeczywistości firm, przedsiębiorstw, zakładów, fabryk i sieci sprzedaży. Dla nich były tylko cyferkami w trzech kolorach. Zielony oznaczał wzrost, czerwony spadek, niebieski brak zmian. Najrzadszy i najmniej dla nich atrakcyjny. Przy dwóch poprzednich zawsze zarabiali. Bez względu na to, czy klient tracił, czy zyskiwał, ich prowizja wpływała na konta, w wielu przypadkach pozwalając na wystawne życie.

– Witam, panie Adamie – zawołał inny makler, rozpoznając biznesmena.

Był gruby i brzydki. Bonar wybrał go właśnie z tego powodu. Wzbudzał jego zaufanie bardziej niż ci wszyscy piękni, wygadani, atrakcyjni i radośni przedstawiciele nowej generacji rekinów finansjery.

Uścisnęli sobie dłonie, po czym makler wyciągnął serię kwitów do podpisania. Większość dotyczyła formalności związanych z wcześniejszymi zleceniami, zmianami na rachunkach i w regulaminach. Adam podpisywał je niemal mechanicznie.

Wydał dyspozycje co do trzech rachunków, a na koniec powiedział:

– Mam prośbę o otwarcie oddzielnego rachunku i wykonanie tej dyspozycji – wręczył grubasowi wypisany kwit.

Makler przeczytał formularz i wydał wargi zdumiony.

– Po co panu jedna akcja Polskiego Banku Gospodarczego?

\*\*\*

**PŁAĆ PODWÓJNIE!**

**WYJĄTKOWA BEZCZELNOŚĆ FIRMY SELAC**

**BANKRUT ŻĄDA, BY KLIENCI DWA RAZY PŁACILI ZA KUPIONY TOWAR**

Tygodnik „W Cieniu”, który opublikował artykuł o próbie odebrania klientom samochodów

wyleasingowanych za pośrednictwem Selacu, był jednym z najbardziej kontrowersyjnych czasopism w Polsce. Założony i prowadzony przez byłego komunistycznego aparaczyka, nie przebierał w słowach, często bardzo dosadnie określając swoich bohaterów, a przy tym nie stronił od goliźny, wulgaryzmów, kontrowersji i prowokacji.

Większość mediów ignorowała gazetę, wszyscy udawali, że jej nie ma, co zupełnie nie przeszkadzało rosnącym rzeszom czytelników. Mimo prób przemilczenia niektóre teksty szybko przedzierały się do innych mediów i tak też było w tym przypadku.

Z samego rana depesze PAP zaatakowały portale i serwisy informacyjne skrótem materiału z „W Cieniu”.

„Niebywały skandal. Leasingowa spółka Selac nie dość, że nie spłaciła własnych długów i okazała się nietrafioną inwestycją dla inwestorów giełdowych, to jeszcze próbuje oszukać leasingobiorców i żąda od nich podwójnej zapłaty za ruchomości czy towary. Część klientów narzeka, że przez to i im grozi bankructwo” – donosiła agencja, powołując się na kontrowersyjny tygodnik, cytując za nim kilku przedsiębiorców i opisując aspekty prawne całej sprawy.

„Dostałem pismo żądające zwrotu pojazdów z mojej floty lub spłacenia ich bez uwzględnienia wcześniejszych wpłat” – potwierdza pan Artur, właściciel firmy przewozowej.

„Mam dwa razy płacić, tak tu jest napisane” – wtóruje mu Sławomir z Gliwic, prowadzący firmę budowlaną, zagrożony odebraniem dźwigów i koparki.

„Jeśli to zrobią, zbankrutuję. Nie rozumiem, co się dzieje. Pracę może stracić prawie sto osób. Dlaczego mi to robią?” – pyta przedsiębiorca z Mławy.

PAP dodała, że jedna z firm samochodowych wywiesiła na budynku wielki transparent: „Bonar, ty złodzieju! Nie dostaniesz naszych aut!”.

Adam nie był zaskoczony takim obrotem sprawy. Nie wiedząc, jak zareagować, i nie mając żadnego wsparcia prawnego, postanowił nie komentować i nie odbierał telefonów. Smutno mu było, że Natalia nie zadzwoniła. To milczenie było akurat bardzo wymowne.

Odebrał dopiero telefon od Grubbera i w kilku zdaniach wyjaśnił, o co chodzi.

– Skurwysyny – skwitował detektyw. – Nie daj się.

– Spróbuję.

Telefon Zimnego zignorował, za to gdy na ekraniku ujrzał numer Kasi Jarosz, po krótkiej chwili wahania nacisnął zielony guzik.

– Jak pani widzi, groźba, o której państwu opowiadałem, właśnie się ziściła.

– Jest dokładnie tak, jak pan mówił – przyznała Kasia, nawiązując do rozmowy przeprowadzonej w domu jego kochanki. – Ale sądzę, że powinien pan udzielić komentarza. Nie można wywieszać białej flagi.

– To nic nie da. Nie w tej chwili. Ludzie po prostu uznają, że winny się tłumaczy.

– Może pan przecież powiedzieć: to robota bankiera Księżnego i działających na jego zlecenie syndyków.

– I co zyskam? Osiemdziesiąt procent tekstów opisze zarzuty, MOJE przekręty, oszustwa na szkodę tych biedaków, których skargi będą bardzo atrakcyjnie brzmieć, a na koniec państwo dopiszecie jedno zdanie: Bonar twierdzi, że nie on jest winny, tylko zły bank. Nie, to nie jest dobra strategia.

– Co więc mamy napisać?

– Proszę wybrać: albo jestem nieuchwytny, albo nie komentuję.

– Nie, to zabrzmiał fatalnie. Proponuję, żeby pan krótko uciął: zarzuty pod moim adresem są nieprawdziwe.

– Niech będzie: zarzuty pod moim adresem są nieprawdziwe.

Naczelnny dzwonił dwadzieścia razy, zanim Zimny w końcu odebrał. Natychmiast został zarzucony wyrzutami i pretensjami.

– Nie byłeś w redakcji od trzech dni. Co jest?

– Pracuję nad czymś.

– Nad czym? Nie wiesz, co się dzieje? Nic nie wiesz o Bonarze?

Zimny szybko uruchomił komputer i kliknął dwukrotnie w ikonę przeglądarki internetowej.

– Czytam akta – wytłumaczył.

– Akta? Chłopie, zajrzyj do depesz z PAP i przeczytaj reportaż z okładki „W Cieniu”.

Bonar chce ukraść ludziom samochody.

– Co takiego? – Zimny zastanawiał się chwilę, czy udawać zaskoczenie, czy też uchylić naczelnemu rąbka prawdy. Uznał, że jeszcze na to nie pora.

– A ja myślałem, że to ty jesteś dziennikarzem śledczym – rzucił naczelnny.

– Poczekaj, powiedz, co dokładnie napi... – ale zanim dokończył, uruchomiła się strona startowa z kanałami RSS różnych portali i agencji prasowych. Informowały o niezwykle bezczelnej zagrywce biznesmena, który próbuje okraść swoich klientów.

– Już widzisz? Bonar to zwykły złodziej.

– Tak, widzę.

– Ja pierdolę, taki fart.

– Poczekaj...

– Jak to poczekaj? Do diabła, to nasz temat – warknął naczelny. – Ty pierwszy pisałeś o Bonarze. Ty stawiałeś mu zarzuty. Jak się trochę postaramy, możemy znaleźć jakieś niedopowiedzenie w tekście, dzięki któremu napiszemy, że już dawno wiedzieliśmy, że tak się to skończy, że oszust zmierza do załatwienia tysięcy klientów. Afera lepsza niż Amber Gold.

– Zwolnij!

– Kuba, kurwa, trafiłeś w dziesiątkę. Masz zajebistą szansę wypłynąć. Znowu. Jak dobrze to rozegramy, będziesz w każdej telewizji. Oto gość, który zaczął walkę z potężnym biznesmenem, udowodnił mu oszustwa i doprowadził do ujawnienia jego machlojek.

– Do diabła, przestań!

Naczelny w końcu zamilkł.

– Co z tobą nie tak? Nie chcesz być sławny?

– „Tylko Prawda” ma być pismem społecznie zaangażowanym, pisać prawdę, zapomniałeś?

– Kuba zagrał na nucie, która zabrzmiała wyjątkowo fałszywie. Mimo to kontynuował: – Tak zapewniałeś. Tego chce szwedzki inwestor, prawda? Nie chce tandety, hucpy, tabloidu. Nie chce kłamstw.

– Pojechało cię? Co ty pierdolisz? Trafiłeś do jakiejś sekty?

– Ja w to wierzę. – Kuba zacisnął mocno zęby, zastanawiając się, czy rzeczywiście może w to jeszcze wierzyć. – Nie chcę pracować dla tabloidu.

– Dziś gazety to tabloidy.

– Ale my rzekomo mamy misję, tak mi obiecywałeś.

Naczelny zamilkł na kilka sekund, przyhamował i już znacznie spokojniej powiedział:

– No dobra, może przesadziłem. Ale to z radości, Kuba. To przecież... twój temat. Przyjedź i napisz tekst. Poważny, nie tabloidowy, he, he – zarechotał, jakby chciał dodać: a my go przekształcimy tak, żeby się ludziom spodobał.

– Już ci mówiłem, że pracuję nad czymś.

– Co jest ważniejszego w tej chwili?

– Coś jest. Być może będę miał naprawdę poważny materiał. Taki, z którego... wszyscy będziemy dumni.

– A co mam zrobić teraz z Bonarem?

– Daj to do napisania działowi newsów.

– I tak przypomniemy, że to my pierwsi zwróciliśmy uwagę na sprawę Bonara.

Zimny zawahał się, czy jednak nie powinien ujawnić czegoś naczelnemu, żeby ten nie skompromitował gazety. Szybko jednak uznał, że to nie byłoby dobre dla późniejszego tekstu. Wstawienie teraz w gazecie jakiegoś fragmentu tłumaczeń Bonara mogłoby całkowicie zepsuć efekt zaskoczenia w późniejszym tekście o przekrętach Księżnego, syndyków i tego cholernego Fogla, który prawdopodobnie nieźle się ustawił.

– Posłuchaj... ten temat to naprawdę duża sprawa. Nie przesądźaj niczego.

– Jak to?

– Bonar może być niewinny.

– Eee, nie wierzę. Są mocne dowody. No i wskazują na to, że...

– Pisz, co chcesz, ale niczego nie przesądźaj. Może jest winny, a może nie jest.

– Okej. A ty nie możesz przyjechać i tego napisać?

– Nie.

– Ale niedługo się pojawisz i dasz nam tę cholerną rewelację?

– Dam, dam.

Rozłączył się i uważnie przeczytał kilka doniesień na portalach internetowych. Powielały główne zarzuty, które znalazły się w tekście „W Cieniu”. A więc Księżny i spółka zrobili dokładnie to, o czym mówił im Bonar. Chcieli rąbnąć kasę niewinnym klientom, zrzucając winę na założyciela Selacu.

Cytowano dwóch przedsiębiorców skarżących się na Bonara, a jeden z portali dodał do tego sondę, w której dziewięćdziesiąt pięć procent ankietowanych uznało szefa Selacu za oszusta.

Po południu przyszedł czas na komentarze.

Jeden z tygodników zacytował samego ministra sprawiedliwości:

„To niedopuszczalne nadużycia. Firma leasingowa nie powinna doprowadzić do sytuacji, w której za jej kłopoty odpowiadają bogu ducha winni klienci. Oni spłacali swoje zobowiązania, to pośrednik nie zapłacił, a nie drobni przedsiębiorcy. Prokuratura z pewnością zajmie się tą sprawą”.

Dziennik prawny powołał się na rzecznika prokuratury, choć Zimnemu tekst wydał się zbyt publicystyczny jak na urzędnika, który zawsze trzymał się sztywno paragrafów, starając się mówić tak, by nikt go nie zrozumiał.

„Przyglądamy się sprawie – zapewniał rzecznik. – Wprawdzie nie wpłynęło żadne

oficjalne doniesienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa, ale w tak społecznie ważnych sprawach prokuratura po analizie sama może zdecydować o rozpoczęciu dochodzenia”.

„To zwykle ordynarne oszustwo. Nie wyobrażam sobie, żeby pozostało bezkarne. Premier i jego rząd dopuszczają do rażących nadużyć. Nie pierwszy raz musimy się wstydzić” – skomentował polityk opozycji, który zapewne kompletnie nie znał sprawy.

No jasne, wina premiera – pomyślał z uśmiechem Zimny. Tak najlepiej. Zamiast zmieniać kraj, walczyć z nadużyciami, poprawiać biurokrację, politycy skupiali się na jednym zasadniczym celu: jak tu najlepiej dokopać przeciwnikom.

Tak to się właśnie dzieje, tak miały młyny medialnej i politycznej niesprawiedliwości. Szczętkowe dane, przecieki i cytaty z wypowiedzi kretynów tworzą wirtualną rzeczywistość, nie mając nic wspólnego z faktami. Biurokracja produkuje kwity, rząd pozoruje działania, media ekscytują się pozorami i rzucają na dawkowane im celowo przez informatorów szczętkowe dane, opozycja wini rząd, a oskarżeni i ich rzekome ofiary tracą kontrolę nad całym tym bajzłem i same nie wiedzą, co jest prawdą, a co wymysłem manipulatorów. Smutna codzienność parapaństwa.

Zadzwonił do Kasi. Odebrała po trzecim sygnale.

– Masz jakieś wieści od Bonara? Moich telefonów nie odbiera...

– Dzwoniłam – przyznała. – Nie miał specjalnie czasu rozmawiać. Namówiłam go na krótki komentarz. Chcesz go zacytować?

– Nie, lepiej nie.

– Dlaczego?

– Nie piszę tekstu, niech inni się męczą.

– Nie chcesz podać tego, co już ustaliliśmy? Żadnego tłumaczenia Bonara?

– Nie rozbrajamy bomby, Kasiu. Najpierw skończmy dokumentowanie sprawy, a potem walnijmy z grubej rury. Opublikowanie części tego, co wiemy teraz, byłoby szkodliwe dla...

– Nie byłoby takiej sensacji, co? Więc lepiej, żeby przez chwilę Bonar był bandziorem?

– Założę się, że on też tak woli.

– To racja, ale my nie jesteśmy od tego, żeby realizować jego wolę. Mamy pisać prawdę.

– Piszemy.

– Chcesz, żebyśmy jej część schowali na później.

Zimny przez chwilę nie odpowiadał.

– Tak – przyznał. – Tak chcę.



Niemal widział, jak Kasia się denerwuje, nie mogąc podjąć decyzji.

– To co mam robić?

– Przepisz to, co podają agencje, dodaj komentarz Bonara, jeśli chcesz, byle był na końcu i się nie wyróżniał.

Kasia roześmiała się.

– No co? – zapytał Zimny.

– Przewidział to. Bonar. Właśnie to powiedział: gazety mieszają go z błotem, po czym na końcu napiszą jedno zdanie tłumaczenia.

– Widzisz... – Zimny też się uśmiechnął i wtedy coś mu przyszło do głowy. – Poczekaj, mam jeszcze jeden pomysł.

– Jaki?

– Zadzwoń za chwilę.

– Zimny, kurwa...

Przerwał połączenie, odszukał numer do informatora, od którego sprawa się zaczęła, i wystukał ciąg cyfr.

– Miło pana słyszeć, panie redaktorze – usłyszał zabarwiony ironią głos, wciąż zniekształcony emulatorem.

– To pańska robota?

– Może tak, może nie...

– Dlaczego nie dał mi pan tego tematu?

– A jak pan myśli?

– Za wolno pisałem?

– Rzeczywiście, wydaje się pan coraz mniej zainteresowany PRAWDZIWYMI informacjami, a szuka jakichś dziwadeł z przeszłości. Zwycięzcy nie spoglądają za siebie, panie Kubo. Zwycięzcy jak najszybciej biegną do przodu. Przyszłość nie lubi malkontentów i marud. Tacy zostają na zakrętach historii, a potem wiecznie narzekają.

– Gównu pan wie o historii.

– Tak oto kończy się nasza piękna przyjaźń. Chce pan powiedzieć mi coś dosadniej?

– Pierdol się.

– Z przyjemnością, panie Kubo. Do widzenia. Proszę tylko uważać, żeby nikt nie wyzwał pana na pojedynek w ringu. Wstyd byłoby dostać publicznie po buzi. Znałem kiedyś pewnego reżysera filmowego, który tak właśnie reagował na krytykę. Każdego wyzywał na pojedynek

i nokautował. Wie pan, co się stało po kilku latach?

– Nie interesuje mnie to.

– Krytycy zaczęli omijać jego filmy. Złe recenzje przestały się ukazywać. Niech pan to przemyśli, panie Kubo.

Odłożył telefon. Zimny nie wiedział, czy ostatnie zdanie powinien potraktować jak groźbę. Był za to prawie pewien, że za przecieki odpowiada ten sam człowiek. Tylko że teraz nie są już po jednej stronie.

Nigdy więcej anonimów – pomyślał – choćby nie wiem jak ciekawe mieli infa, nigdy więcej. Każdy informator ma swój interes, jednak gdy wiemy, kim jest, możemy spróbować go ocenić, odgadnąć prawdziwe motywy, zweryfikować. Postawić na szali i zważyć, co ważniejsze i prawdziwsze. A mając do czynienia z anonimowym źródłem, stajemy się tylko narzędziami.

Jeśli więc anonim będzie mówił prawdę o jakiejś zbrodni, to co, nie weźmiesz tego, bo będziesz się bał ośmieszenia? – zapytała ta bardziej wyważona, nie poddająca się emocjom część jego umysłu.

Kuba, przestań pieprzyć i weź się do roboty. Głos informatora wciąż dźwięczał mu w uszach. Niemal bezwiednie otworzył przeglądarkę w komputerze i wpisał hasło: REŻYSER + RECENZJE + POJEDYNEK. Otrzymał co najmniej kilkadziesiąt trafnych wyników.

„Najgorszy reżyser świata Uwe Boll wyzywa krytyka na pojedynek” – głosił pierwszy na liście. „Uwe Boll usilnie pracuje na miano najgorszego reżysera w historii” – podawał autor następnej odsłony. „Boll nokautuje krytyka za krytykiem. Recenzenci wymiękają”.

Zimny patrzył w zadumie na ekran, rozważając, co chciał mu przez to przekazać anonim. Wpisał do wyszukiwarki kolejne polecenie i – o dziwo – także otrzymał całą stronę trafnych wyników. UWE BOLL + SELAC wydawały się pojęciami całkiem odległymi, a jednak miały wiele wspólnego. Wszystkie linki prowadziły do forów dyskusyjnych, na których ktoś o nicku „uweboll” temperował wpisy negatywne dla Selacu. Jeden z klientów narzekał na realizację umowy i został wypunktowany przez „uwebolla” w bezpośrednim starciu. Drugi twierdził, że dostaje zbyt często monity, gdy zapomina zapłacić ratę, na co „uweboll” agresywnie zachęcał do zerwania umowy i spłacenia całej należności. W trzecim wypadku „alter ego” niemieckiego reżysera wyzywało od ostatnich szmat jakąś laskę, która twierdziła, że oczekiwano od niej erotycznych gier z klientami. Gdy w jej obronie stanął inny forumowicz, „uweboll” błyskawicznie zaproponował:

„Może spotkamy się na ringu. Tylko ty i ja. Jedna runda wystarczy”.

Uwe Boll. Może to sam Bonar jest Uwe Bollem? Tylko po co anonim naprowadzał mnie na niego? Jeśli oczywiście nie doszło w tym przypadku do jakiejś nadinterpretacji, bo przecież anonim mógł sobie tak bąknąć pod nosem mało znaczącego straszaka, a Zimny dorobił do niego całą teorię.

Ech, Kuba.

Telefon podskoczył poruszony wibracjami. Prawdziwie gorąca linia – pomyślał dziennikarz, widząc informację, kto dzwoni. Odetchnął, postanowił na jakiś czas zapomnieć o Uwe Bollu i nacisnął przycisk połączenia.

– Jeśli teraz odłożysz słuchawkę, nakopię ci w dupę.

– Nie odłożę. Przepraszam, musiałem coś sprawdzić.

– No i co, sprawdziłeś?

– Właśnie zyskałem nową zagadkę, ale przedtem straciłem jedno ze źródeł informacji.

– Jeśli to samo, które cię wpuściło na początku, to może i dobrze. A zagadek nigdy dość.

– Tak, to prawda. Lubimy zagadki.

– Co robimy? – szepnęła Kasia. – „Express” chce dać zdjęcie Bonara na czołówce i podpisać: ZŁODZIEJ.

– Mam ten sam problem u siebie w redakcji. Nie przekonasz ich, że to może być nieprawda i żeby nieco łagodniej go potraktowali?

– Próbowałam. Naczelnny powiedział, że już wystarczająco ich wkopałam, pisząc tak dobrze o Bonarze, co teraz ty możesz wyciągnąć. Media napadają na Bonara. Nierozsądnie jest w takiej sytuacji kroczyć pod prąd. Szczególnie że nie bardzo mamy kontrargumenty. Przynajmniej na razie.

– Może powiedz im, że pracujemy razem?

– Jeszcze bardziej ich to rozsierdzi.

– Znajdź sposób, żeby dać im znać, że jesteśmy po tej samej stronie.

– Spróbuję. – Kasia zamilkła na sekundę, po czym powiedziała słabo: – Zimny... Chcemy wyjaśnić tę sprawę do końca, prawda?

– Właśnie.

– Tylko teraz chyba powinniśmy się bardziej pospieszyć.

– Dlaczego?

– Skąd wiesz, że jutro Bonara nie oskarżą o zamach terrorystyczny? – Ściszyła głos

i sarkastycznie naśladowując ton prezenterki telewizyjnej, dodała: – Dajmy na to, napiszą: Brunon K. miał współnika, to znany przedsiębiorca Adam Bonar... Nieźle, co nie?

Drwina Kasi nie zrobiła na Zimnym wrażenia. Kończąc dyskusję, zapytał:

– A skąd pewność, że on jest niewinny?

Tak jak podejrzewał, Księżny zadał kolejny cios i był coraz bliżej zwycięstwa. Wybronienie się z zarzutów okradania klientów będzie naprawdę trudne, jeśli nie niemożliwe. Nawet Jarosz czy Zimmemu będzie ciężko mu pomóc.

Dziś od rana nienawidzi go co najmniej dziesięć tysięcy osób, klientów, którym kierowana przez niego do niedawna spółka próbuje zabrać spłacane ciężko zarobionymi pieniędzmi samochody, komputery, maszyny, urządzenia, a nawet budynki i fabryki.

Oszust, bankrut, oskarżony – tym zostałeś. Człowiekiem pozbawionym godności, bezpieczeństwa, majątku, a na końcu rodziny.

Natalia mogła choć zadzwonić. Powiedzieć: przykro mi. Wspieram cię. Jestem z tobą bez względu na okoliczności. Zamiast tego wysłała esemesa: „Wyjeżdżam z dziećmi na święta. Możesz wrócić do mieszkania. Chyba że wolisz zostać u Ewy”.

Do takiego finału prowadzą dobre chęci. Powiedział jej o pomocy Ewy, żeby uniknąć nieporozumień i wyprzedzić ewentualne akcje dywersyjne przeciwnika, lecz przyniosło to odwrotny skutek. Czy jednak nie zasługiwał na takie potraktowanie? Tej jednej nocy o mało co nie stracił znów kontroli nad sobą.

Zadzwonił. Odebrała tuż przed włączeniem się poczty głosowej, jakby do końca liczyła, że on zrezygnuje.

– Nie mieszkam u Ewy – powiedział bez wstępów.

– Nic mnie to nie obchodzi – odparła. – Możesz mieszkać, gdzie chcesz.

– Nie mów tak.

– Musimy to przemyśleć. Dobrze zrobi nam... przerwa.

– Jak długa?

– Wyprostuj swoje sprawy. Wiem, że masz kłopoty. Po prostu skoncentruj się na tym, potem porozmawiamy.

– Chcesz odejść?

Nie zadawaj pytań, na które nie chcesz poznać odpowiedzi.

Na szczęście nie odpowiedziała.

– To gdzie mieszkasz, skoro nie u Ewy? – skierowała rozmowę na tor biegnący odrobinę

dalej od przepaści.

– U detektywa. W domu dla ofiar przemocy domowej.

Chyba się uśmiechnęła. Tak bardzo chciał zobaczyć jej uśmiech. Nie wiedział, czy mogą do siebie wrócić, ale w tej chwili bardzo tego pragnął. Oddałby życie za Natalię i dzieci. Nie chciał, by cierpieli. Nic jednak nie mógł na to poradzić, że w relacjach z nimi jego serce wydawało się zimne jak gład.

To, że ich kocha, nie oznaczało, że gotów jest dla tej miłości się zmienić, zrezygnować z części wolności, którą sobie zachował, stać się mazgajem czy przykładną głową rodziny. Jego związek z Natalią przypominał kontrakt, któremu zagroziły nieoczekiwane zmiany rynkowe.

– Jesteś ofiarą przemocy?

– Tylko taką odgrywam. To gdzie wyjeżdżacie?

– W Bieszczady. Znajomy ma tam dom.

– Ten twój wspólnik z galerii?

– Muszę kończyć. Cześć.

– Zadzwoń, jak dojdziecie?

– Cześć – powtórzyła.

Posłaniec miał na imię Jean i oficjalnie był audytorem. Wypełniał jednak zupełnie inną misję i szybko uspokoił Księżnego, że nie chodzi o starannie skrywane tajemnice, które dotąd nie przyciągały uwagi francuskiego inwestora.

– Mam przyjemność przekazać gratulacje od prezesa Deumerica. Doskonale rozumie, że nieco niższe zyski są przejściowe i wynikają ze zdarzeń jednorazowych, a akcjonariusze doceniają zmiany i prognozy, jakie nam dostarczyliście.

Księżny uśmiechnął się z dumą.

– Jestem pewien – powiedział – że inne oddziały po restrukturyzacji także zaczną poprawiać wyniki. Prezes Deumeric obrał właściwy kurs. Bankowość korporacyjna w tej sytuacji rynkowej jest oczywiście bardziej ryzykowna, ale przy odpowiednich zabezpieczeniach...

Jean pokiwał głową, nieco dłużej przegryzając kawałek łososia, jakby wyczuł ość. Musiałby mieć pecha, żeby w tak dobrej restauracji trafić na ość.

– Prezes Deumeric docenia, że sygnał do zmian przyszedł z Polski.

Księżny odłożył sztucce, nie kończąc posiłku. Przesłanie było jasne: dopóki nie widzimy

problemów, robisz, co chcesz. Jeśli to przynosi efekt. Ale jest coś jeszcze, co chcemy ci przekazać. Po to przysłałiśmy Jeana. Co to jest...?

Jean musiał zerknąć do notatek, by przejść do następnego punktu programu.

– Kojarzy pan firmę MM – Makarony Mazurskie?

– Oczywiście. – Księżny zmarszczył brwi. Makarony Mazurskie ostro reklamowały się w telewizji, wypierając konkurencyjne marki niższą ceną i jakością porównywalną do najlepszych włoskich produktów. – W ciągu dwóch lat podwoili udziały w rynku. Planują debiut giełdowy, przy którym animatorem ma być chyba Unicredit. Być może nasze fundusze akcyjne mają jakiś niewielki pakiet akcji lub obligacji wyemitowanych przed IPO.

– Tak, to świetna firma – przyznał Jean. – Mamy dla niej propozycję.

– Jaką?

Jean chrząknął, sięgnął po chusteczkę i przyłożył ją do twarzy, ledwie dostrzegalnie wyjmując z ust ość. A więc jednak! Kelner nie dostanie napiwku.

– Prezes Deumeric upoważnił mnie, żebym ci przekazał, Wojciechu – Jean skrócił dystans – szerokie uprawnienia w negocjacjach z Makaronami.

– Chcemy przejąć pakiet kontrolny?

– Nie. Chcemy po prostu obsługiwać ich rachunki i finanse korporacyjne.

– Wątpię, żeby zrezygnowali z Unicredit, skoro współpraca przebiega bez problemów...

– Nasza oferta będzie wyjątkowo dobra, a mamy sygnały o drobnych konfliktach z bankiem, który obecnie ich obsługuje. Zatem...

– Spróbować nie zaszkodzi. Jakie to warunki?

Jean podał mu jedną kartkę papieru. Księżny, zaskoczony, uniósł brwi.

– To rzeczywiście daleko idące udogodnienia.

– Bardzo nam zależy na obsłudze Makaronów.

Księżny pokiwał głową. Pewnie powinien przyjąć polecenie i je wykonać. Był jednak zbyt szczwanym starym lisem, by nie wyczuć podstępny.

– Dobrze, Jean, zrobię to pod warunkiem, że powiesz mi, o co tak naprawdę chodzi.

Jean chwilę zwlekał z wyjaśnieniem. Odsunął nieco krzesło od krawędzi stołu.

– Jesteś pewien, Wojciechu, że nic z tej rozmowy nie wycieknie na zewnątrz?

– Czemrys... ochrona sprawdza codziennie mój pokój na wypadek podsłuchów. Ta restauracja też jest przez niego... kontrolowana. Nie używamy tu kamer ani naszych urządzeń rejestrujących.

Jean pytał prawdopodobnie o te kwestie tylko dla formalności. Oficjalnie pełnił tak niską funkcję, że nikt nie mógłby użyć nagrania jako argumentu czy dowodu, nie narażając się na śmieszność. Ludzie tacy jak Jean mogli opowiadać o morderstwach, mafiach, terrorystach i ekscesach seksualnych, mogli mówić, co chcieli, bo nikt nie miał prawa brać ich na poważnie. Poza osobami, do których kierowali swoje słowa.

– Jak być może wiesz, Wojciechu, nasz bank we Francji pozyskał ostatnio znaczący kontrakt od grupy Mount Blanc.

– Tak, słyszałem – skłamał Księżny. Nie miał pojęcia o kontrakcie z Mount Blanc. Nie wiedział nawet, co to jest Mount Blanc.

– To nasz narodowy fundusz, który skupia uwagę głównie na produktach żywnościowych. Ma fabryki mięsne, udziały w cukierniach i plantacjach, a ostatnio... cóż, kupił pakiet kontrolny Pasto Liguria, lidera rynku makaronów w Europie.

– Makarony Mazurskie spodobały się Pasto Ligurii? – zapytał Księżny.

– Cóż, spodobały... to może nieodpowiednie słowo. W ocenie Pasto polska spółka działa wbrew zasadom uczciwej konkurencji. Przejęcie jej dla zdobycia jakiejś części rynku może byłoby celowe, ale, prawdę mówiąc, bardzo nieetyczne.

– Nieetyczne?

– Może użyłem złego słowa. Miałem na myśli: mało wychowawcze. Makarony Mazurskie działają nieetycznie, a inwestycja w nie została odczytana jako pochwała ich strategii, tego zaś nie chcemy.

– Do czego zmierzasz?

– Makarony szybko zdobywają rynek. Potrzebują finansowania.

– To prawda.

– Chcemy, żebyś po przejęciu obsługi rachunków zaproponował im na równie atrakcyjnych warunkach finansowanie obligacjami lub innymi papierami, może z zabezpieczeniem walutowym czy podobnymi opcjami. Wiesz... taki kredyt konsolidacyjny.

– Rozumiem. – Księżny zbladł. Wiedział już, o co chodzi, i choć nie miał większych skrupułów przed podejmowaniem takich akcji, poczuł się trochę niezręcznie. Wykańczanie firm dla zysków prywatnych nie budziło w nim wewnętrznych rozterek. Jednak tutaj miał zadziałać bardziej globalnie. W imieniu francusko-włoskiej firmy przeciwko krajowemu producentowi. Jeśli kiedyś dojdzie do wojny, to mogą mnie skazać zaocznie, bez prawa do obrony, za uczestnictwo w finansowej piątej kolumnie. – Kiedy mam wypowiedzieć umowę?

– Poinformujemy cię w odpowiednim momencie.

– To może zakończyć się skandalem...

– Żartujesz? Nikt przecież nie odważy się zaryzykować jakiejś karkołomnej teorii, że niby włoski konkurent przy pomocy francuskiego banku próbuje wykończyć rywala w Polsce. Cóż to za poroniony pomysł? Nawet wasze przyzwyczajone do absurdów media tego nie kupią. Przypomnij sobie tylko, co było, gdy pojawiły się anonimy w sprawie stoczni, że to niby Niemcy nie pozwolili ich reaktywować. Nas też próbowano zamieszać w spisek. Albo te idiotyczne zarzuty w sprawie wyprowadzania pieniędzy z polskich spółek przez ich inwestorów za pomocą umów na używanie logo czy dostępu do know-how. Nikt takich rzeczy nie bierze na poważnie. A jeśli nawet, szybko się o nich zapomina.

– To jak z wtrącaniem się banków do obsady stanowisk rządowych, naciskami na złagodzenie ustaw aborcyjnych, jeśli przyrost naturalny państwa nie odpowiada najbardziej korzystnemu modelowi prognoz bankowych, czy też uzależnianiem finansowania działań charytatywnych, wojennych lub pomocowych od konkretnych zapewnień politycznych?

Jean uśmiechnął się na tę zabarwioną nutą ironii złośliwość.

– Dokładnie tak samo.

Zimny uniósł dłoń, powstrzymując potok słów płynący z ust Kasi.

– To mafia, Kasiu. Mafia. Taka prawdziwa.

Patrzyła na niego jakby lekko zamroczone, zbity z tropu.

– Oni nie mówią po włosku – dodał. – Nie spotykają się w nocnym klubie, nie palą cygar i nie afiszują się jak panowie świata, ale są jeszcze gorsi. To mafia.

– A jaką rolę ma Bonar?

– Tego nie wiem. Albo rzeczywiście się postawił, albo nas wrabia.

– Mafiosi zabijają ludzi, tu nikt nie zginął.

– Jesteś pewna? Mafia nie strzela z automatów. Jeśli kogoś się pozbywa, robi to cicho, najczęściej tak, by nikt się nie zorientował. Mafia zarabia pieniądze. Głównym celem mafiosów nie jest zabijanie, gwałcenie, terroryzowanie czy szantaż. Takie środki stosują w ostateczności. Dążą do władzy i pieniędzy. Na tym się skupiają. Dopiero gdy ktoś zaczyna im przeszkadzać, sięgają po środki... jak to się mówi... przymusu bezpośredniego.

– A jeśli zaczniemy im przeszkadzać?

Nie odpowiedział.

– Dostaniemy jakieś ostrzeżenie czy od razu dadzą nam w łeb?



- Nie wiem.
- Miałeś już z takimi do czynienia, prawda? Czytałam o tobie, czytałam twoją książkę.
- Dzięki.
- Nie dziękuj, nie oceniłam jej, powiedziałam tylko, że czytałam.
- I za to dziękuję. Nie musiała ci się podobać. Nie wszystkim musi się podobać.
- Więc jak to wtedy było? Dostałeś ostrzeżenie?
- Dostałem.
- Ale nie posłuchałeś.
- No nie.
- A teraz? Teraz byś posłuchał?
- Nie wiem, może. Tego nie mogę powiedzieć tak z góry, nie wiedząc, hm, jakie byłoby to ostrzeżenie. Po prostu nie wiem.
- Obiecuj mi coś.
- Słucham.
- Obiecuj, że się nie wystraszysz. Te wały myślą, że każdy będzie się ich bał, że mogą nas kupić lub wystraszyć. Obiecuj, że im nie ulegniesz.

# Część II: Styczeń

Sylwestra świętowali skromnie, przy świeczkach, bez muzyki. Nie było krzyków, noworocznych fajerwerków, tańców i zabaw.

Dom w Bieszczadach, który na okres świąt i Nowego Roku udostępnił im przyjaciel artysta, był piękną, choć skromnie urządzonej leśniczówką.

Szampana wypili z plastikowych kubków. Romek poszedł spać zaraz po północy. Natalia z Magdą siedziały przy stole, patrząc na siebie w milczeniu. Romek niewiele rozumiał. Po pewnym czasie nawet przestał pytać, dlaczego tata z nimi już nie mieszka. Ze spokojem przyjął wyjaśnienia. Interesowało go tylko, czy jeszcze kiedyś będą mogli popłynąć razem łódką. I tak ojca więcej nie było, niż był. Ciągłe pracował, wyjeżdżał, zniknął na całe tygodnie. Potem im to rekompensował, udawał, że nic się nie działo.

Wracał i odchodził. Odchodził i wracał.

Z Magdą nie było tak łatwo. Dobrze rozumiała, co się dzieje. Przez pierwsze dni jeszcze się buntowała. Nie wierzyła do końca mamie, nie chciała zbyt jednoznacznie opowiedzieć się po jej stronie. Natalia usiłowała być bardzo delikatna i nie nastawiać córki przeciw ojcu, ale widziała w oczach Magdy nieme pytanie: dlaczego nie powiesz mi prawdy, mamó? Tak prosto z mostu, bez kręcenia. Wtedy bym ci ufała, wtedy mogłabyś liczyć na szczerść i z mojej strony.

A tak obie gramy w gładkie kłamstwa.

Co mogę zrobić, by doprowadzić do końca tej wojny? Przecież byliście szczęśliwi. Przecież było tak dobrze.

– Co z tatą? – zapytała, gdy Romek już poszedł spać. Na niebie, gdzieś bardzo daleko, wciąż rozbłyskały wybuchające rakiety i flary. Odległe detonacje zlewały się w jeden niepokojący, rozedrgany huk.

– Poradzi sobie.

– Ile to potrwa?

– Co ile potrwa?

– To już tak na zawsze? Rozwodzicie się?

– Nie wiem.

– Musisz mi powiedzieć.

– Po prostu nie wiem. Potraktuj to jak... takie dłuższe wakacje. Ferie. Tyle że bez nart.

– Dawno nie wyjeżdżaliśmy na ferie. W ogóle dawno nigdzie nie byliśmy razem.

To prawda. Natalia próbowała sobie przypomnieć ostatni wspólny wyjazd zimowy. Chyba pięć lat, tyle minęło. Latem jeszcze Adam znajdował czas. Zabierał ich na łódź do Monako, dwa razy w daleki rejs po Oceanie Indyjskim. Zwiedzili Stany i Meksyk.

Ale to było dawno. Wakacje ubiegłego roku spędzili we troje na Costa del Sol. W ostatniej chwili Adam musiał zrezygnować i wysłał ich samych. Dacie radę – powiedział. Dwa lata temu poleciał z nimi, przespał jedną noc, a potem odebrał „niezwykle ważny telefon”.

Zimą nawet nie ukrywał niechęci do wyjazdów, nie zwodził. Nigdy nie miał czasu. Tłumaczył, że to najgorętszy okres. Raporty, strategie, szacowanie budżetów, wyprzedaże poprzednich roczników. Zbyt dużo pracy, by poświęcić rodzinie choćby te dwa tygodnie.

Ale dla kochanek już starczało czasu, co?

Tak, wiedziała, że je miał. Wiedziała o Ewie, którą przecież poznała jeszcze w Niemczech. Mimo że szedł w zaparte, dając słowo, że to przypadek, że to Sławek ją sprowadził do Selacu, była pewna, że coś pomiędzy nimi jest. A potem ta sprawa z dilerką z Nissana. Naprawdę myślałeś, że o tym nie słyszałam? Pół branży śmiało się z ciebie, kibicowało lub drwiło, miało o czym opowiadać na swoich żalonych przyjęciach, a ty myślałeś, że ja nie wiem?

Zawsze znajdzie się jakiś życzliwy...

A potem? Ile ich było potem? Dziesięć, dwadzieścia, sto?

Czy to ważne?

Zastanawiała się, czy szczegółowa wiedza o zdradach Adama jest dla niej istotna. Skoro je zaakceptowała i postanowiła o nich nie myśleć, to może skala i rozpiętość się już nie liczyły? Akceptacja poprzez niedostrzeganie. Rezygnacja połączona z zapomnieniem. Szczęście okupione niepamięcią.

Czy teraz, jeśli z tego wyjdą, jeśli wrócą do siebie, to się zmieni?

Czy będą potrafili o tym mówić i dojść do jakiejś konkluzji?

A może to Adam nie zaakceptuje tego, co się stało? Może w końcu będą musieli powiedzieć sobie otwarcie, że ich wspólne życie to fikcja?

A co z dziećmi?

Pomyślała o świętach. Mimo okoliczności spędzili je tu całkiem przyjemnie. Spadł śnieg. Podobno tylko u nich, na tym zapomnianym przez Boga zadupiu.

– Mamy tu mikroklimat – powiedział przyjaciel artysta.

Przyjechał tylko na jedną noc, w Wigilię. Od dawna próbował Natalię uwieść, ale przy dzieciach zachowywał się jak trzeba. Żadnych sygnałów, że stara się wkupić w ich łaski, zastąpić tatusia. Nie dał najmniejszego sygnału, że jest rywalem ojca.

A jednak Magda dobrze to wiedziała. Dlatego zaraz po kolacji strzeliła focha i uciekła do swojego pokoju.

Na szczęście rankiem przyjaciela już nie było.

Zostali sami. Natalia czuła się z tym dobrze. Święta i tak nie były dla nich specjalnie ważne. Ona nie chciała spędzać ich w poszerzonym rodzinnym gronie, Adam chyba też nie, ale ulegał z poczucia obowiązku. Rodzice wiele dla niego znaczyli. Dzieci – wciąż nie rozumiejąc, dlaczego mają kontakt tylko z rodziną ze strony ojca – cieszyły się z tych spotkań. Jeden dzień z dziadkami to nie tragedia.

Ale i tak wszyscy troje woleli spędzić ten czas w spokoju, w domu, albo – jak dawniej, bardzo dawno temu – na wyjeździe. Na przykład w Rio czy w Paryżu. Kiedy ostatni raz bawili się w sylwestra prawdziwie karnawałowo? Na ulicznym czy salonowym balu, z zasłoniętymi twarzami?

W nocy usiedli razem przy kominku. Natalia snuła jakieś wymuszone opowieści o górach, legendy z tych stron i wymyślone naprędce historyjki. Miała do tego talent. Romek pytał, czy tu naprawdę są wilki i niedźwiedzie i czy w nocy można rzeczywiście zamarznąć. Albo trafić na strzygę lub innego potwora.

Wspaniała dzicz, bezkresne przestrzenie i lasy. Poza tym cisza i pustka. Tylko oni. Jedno mrugające światełko w głuszy ciemnej puszczy.

Adam też był w dziczy, biznesowej, miejskiej, nie mniej groźnej i plugawej.

Może jemu było to potrzebne.

Może tam było jego miejsce.

Poseł Jerzy Świątek czekał na nich w szczerym polu, oparty o swoje nowe volvo v70. Zimny dziwnie się czuł, wciąż szukając rozwiązania zagadki biznesowych problemów Bonara, podczas gdy media już ostatecznie się z nim rozprawiły, skazując go za oszustwo na szkodę dziesięciu tysięcy wkurzonych klientów. Nikt nie zapytał o rolę banków i sędziego, nikt nawet słowem nie wspomniał, że w momencie ogłoszenia upadłości ciężar i wina zostały przesunięte w innym kierunku. Bonar był twarzą afery, to wystarczyło. Oszust. Z oszustem nikt nie będzie się liczył, nikt też nie zamierza się z nim patyczkować. Oszusta należy mieszać z błotem, skopać i zostawić, by się wykrwawił. A potem wrócić i rąbnąć jeszcze raz w głowę.

Kasię doprowadzało to do wściekłości, chciała reagować, lecz w końcu przyznała rację Kubie. W tej chwili próba tłumaczenia prezesa Selacu mogłaby osłabić wymowę przyszłego tekstu o układzie sędowo-bankowym.

Szczęśliwie telewizja i radio po dwóch dniach epatowania historiami oszukanych przez Bonara przedsiębiorców straciły zainteresowanie sprawą, skupiając uwagę na zwłokach noworodka, prawdopodobnie zakopanego w ziemi żywcem przez matkę. A potem na mężczyźnie, który rzekomo spalił swoją rodzinę, bo chciał wyłudzić odszkodowanie.

Współcześni celebryci. Jesteś gotowy na taki status, Bonar? Nawet jeśli, to dużo musisz popracować na tytuły w stylu: SYN PODPALACZA KOCHA CÓRKĘ JEGO KOCHANKI!

– Jakiś pan zagubiony, panie Jakubie. – Świątek ujął dłoń dziennikarza i potrząsnął nią mocno, przyjacielsko, jakby znali się od lat... – Nie pamięta mnie pan?

Zimny zawahał się, oczywiście kojarzył posła z różnych akcji w sejmie, ale myślał, że nie mieli ze sobą nigdy do czynienia.

– Lipiec, Łeba, knajpa w porcie... Nic? Ech, ależ to był wieczór! Głowa bolała mnie przez dwa kolejne dni. Ale, ech, miło było. Tylko szkoda, że pan tak uciekł po angielsku, ech.

– Widocznie uznałem, że pana nie pokonam. – Zimny uśmiechnął się, choć wciąż nie mógł sobie tego przypomnieć.

– Jeszcze się taki nie narodził – odparł Świątek wesoło. – Nawet Józio Oleksy nie dał mi rady, a przecież wszyscy wiedzą, jaki to twardziel przy stole, ech.

– Prawdziwi z was przy-wódce – zauważył z przekąsem Zimny.

– Właśnie. – Świątek z zadumą pokiwał głową. – Stara gwardia, ech. A wie pan, gdzie tkwi tajemnica? Jak morduję białe robaczki?

Kasia skrzywiła się i chrząknęła. Nie przyjechali tu rozmawiać o wódzie.

– Ja jestem prosty chłop, wychowany na zdrowym żarciu bez dodatków i czystym powietrzu – zakończył Świątek. – Takim, jakie mogłoby tu być, gdyby nie ten cholerny Księżny.

– No właśnie – szybko podjęła Kasia. – Napisał pan interpelację w tej sprawie do ministra sprawiedliwości...

– Interpelację? Napisałem dziesięć interpelacji! – uniósł się poseł.

– No, ale wszystkie takie same – dodała Jarosz.

– Takie same, ech, takie same. Kurwa, takie same. Co miałem robić, jak mnie lekceważyli. Że niby pieniacz i warchoł, ech. Świątek jestem, a nie żaden warchoł. I miałem rację. Dziś się

okazuje, że miałem rację. Z Leppera też się śmieli, że talibów w Klewkach widział, a proszę co się okazało. Afera na cały świat, kurwa ich mać. Dulary wożone w walizkach za tortury i więzienia, ech. Taki wstyd dla Polski. Taka wtopa totalna bananowa. Tak się to skończyło.

– Lepper mówił o czymś innym.

– Wiele mówił, za wiele i w końcu czapę dostał.

– Popełnił samobójstwo.

– Już ja, kurwa, swoje wiem. Myśli pani, że mnie nie grozili, ech? Wysyłali mi do domu puste liściki, a potem pisali maile, że wąglika nie widać. Codziennie mi pod dom podjeżdżał jakiś burak limuzyną czarną. A ten, ech, chuj premier odmówił mi ochrony borowików, że niby nie zasłużyłem, ech. Jakby mnie zajebali, toby się obudził.

– Nic panu jednak nie zrobili – zauważył Kuba.

– Bo się w końcu zamknąłem. Co miałem zrobić, jak nikt nie chciał słuchać?

– Skandal.

– Proszę pana... to nie skandal... To megaskandal. No, ale widzę, że się ruszyło, skoro przyjechaliście. I dobrze. Lepiej by było, gdyby się wcześniej ruszyło, ale dobre i to, ech. To popatrzcie sobie. Co widzicie?

– Ziemię.

– A ja, kurwa, widzę śnieg. – Roześmiał się i klepnął Kubę mocno w plecy. – No niech pan nie będzie taki sztywniak. Pewnie, że ziemię. Śnieg stopnieje, ziemia zostanie, ech. Dużo, kurwa, ziemi. Baaardzo dużo. Wartej setki milionów, może i miliard, a wie pan, za ile chcieli to wziąć?

– Za ile?

– No... nie pamiętam już, ale prawie za darmo, ech. Tylko dzięki mnie tak do końca się nie udało i większość terenu ma trafić z powrotem pod zarząd gminy, ale swoje i tak ukradli, o tam. – Wskazał na nowe osiedle i wielki supermarket. – A jak sobie te kutasy to wymyśliły! Łobuz bankier jakieś małe długi miał, ale złożył wniosek o upadłość, chuj sędzia mu to klepnął, wyznaczył jakichś znajomych syndyków, kurwa ich mać, i na koniec te skurwybyki za zgodą chuja sprzedały z wolnej ręki ziemię bankowi, a on opchnął tym wałom, co to wybudowali pewnie za dwa razy drożej.

– Zna pan nazwiska tych syndyków?

– Pewnie, do diabła. Dwa chuje. Mochnacki i Rekosz. Jak o nich mówiłem w sejmie, to potem mi grozili, że mnie pozwą o obrazę, że niby ich dobra osobiste naruszyłem. Ja? Ich

dobra, ech? A to? Ta ziemia to pies, ech, którego można tak kopać za darmo? Sprzedali łajzy prawie za bezcen, rozpieprzyli kółka rolnicze i zakłady i betony swoje rakotwórcze, z azbestem pomieszane, postawili. To ma być postęp?

– Mochnacki i Rekosz pracowali w tym czasie jednocześnie dla PBG, dla Księżnego – wtrącił Zimny.

Świątek aż prychnął, choć nieco nazbyt demonstracyjnie. Należał do ludzi, którzy najpierw działają, potem myślą.

– A to chuje! No, tego nie wiedziałem, ech. A to podłe łajzy! Ach, gdybym ja ich wtedy złapał! Syndycy, psia ich... Sąd, cholerny sąd. Kto to kontroluje? No i co wy z tym chcecie zrobić?

– Opisać.

– I dobrze. Będę czytać, będę. I powiem co trzeba w telewizji, jak mnie zapytają, ech. A jak to opisujecie, to weźcie pod lupę to osiedle, co się tam, na Ursynowie, buduje. – Świątek wskazał na wschód. – Skurwysyny, ech, z gminy dali ziemię pod budowę szkoły za darmo, a potem, jak się okazało, że szkoły nie będzie, to zgodzili się za milion sprzedać grunt wart dwadzieścia albo i trzydzieści melonów. Jedna klika, panie, jedna klika...

W drodze powrotnej Kasia się nie odzywała.

– Co tak milczysz?

– Coś dało mi do myślenia.

Zimny skinął głową i zachęcił ruchem ręki, żeby to rozwinęła.

– Nic takiego.

– No powiedz.

– Obiecałam sobie, że nie będę już kłąć.

– Tak po prostu, jak posłuchałaś Świątka?

– Nie myślałam, że to może tak okropnie brzmieć.

– Twoje przekleństwa brzmią zupełnie inaczej.

– Akurat.

– Co robimy dalej?

Kasia zerknęła do notatek.

– Może obejrzymy sobie ten statek?

– „Józef Piłsudski”? Nie pływa na Karaibach?

– Przechodzi remont w Gdyni.



Kolejna krótka, nieudana rozmowa z Natalią i dziećmi utwierdziła go w przekonaniu, że wszystkie siły powinien skierować na ratowanie firmy i swojej reputacji. Magda zapytała, czy to prawda, że oszukał tych ludzi. Chyba nie do końca wierzyła w jego tłumaczenia. Romek chciał wiedzieć, kiedy w końcu do nich wpadnie i wybiorą się razem na sanki. „Bo tu jest dużo śniegu, wiesz, tato?”. Adam zapewnił, że myślami wciąż jest z nimi, z całą trójką.

Natalia odpowiadała oschle, zapytała o postępy w sprawie i poprosiła, by jej dłużej nie męczył.

– Porozmawiamy, jak się to skończy.

– Chcesz ode mnie odejść? – powtórzył pytanie, na które wcale nie chciał znać odpowiedzi, ale jednocześnie musiał je zadać. W biznesie zawsze lepiej dokładnie zidentyfikować zagrożenie, żeby wybrać właściwą drogę postępowania. Tu nie był pewien, co robić.

– To nie jest rozmowa na telefon.

– Kiedy wrócicie do Warszawy?

– Zadzwoń w przyszłym tygodniu.

Kasia Jarosz także potraktowała go dość obcesowo. Wyjaśniła, że wciąż badają sprawę i za wiele nie może powiedzieć poza tym, że ich podejrzenia się potwierdzają.

– Miał pan rację, to mafia – zakończyła.

– Kiedy będę mógł o tym przeczytać?

– Nie wiem, jak skończymy...

– Ale w przybliżeniu?

– Trudno powiedzieć. Przepraszam, muszę kończyć.

Wszedł do internetu, sprawdził kurs akcji banku PBG, ominął wzrokiem rażąco czerwonym kolorem symbol Selacu. Od dawna unikał obserwowania strat spółki, której wartość w ciągu dwóch miesięcy stopniała prawie do zera i przyciągała już tylko spekulantów, zarzucających internet kłamstwami i próbujących zarobić w ten sposób na naiwnych. Byłem milionerem, zostałem z niczym. W ciągu kilku tygodni giełdowy rekin, poważany człowiek sukcesu zmienił się w oszusta i bankruta. Budowana przez lata firma upadła, zanim zdążył wystraszyć się gróźb Księżnego.

Szybko go załatwili.

W telewizji transmitowano konferencję premiera, który zapewniał, że Polska jest krajem prawa, rozwoju, reform, sukcesu. Zielona wyspa. Po przemówieniu wstępnym szefa rządu głos

zabrał minister spraw wewnętrznych, a następnie szef resortu sprawiedliwości.

– Afery nie mogą pozostawać nierozliczone. Plan działań naprawczych rządu zakłada objęcie szczególnie ważnych postępowań tarczą zorganizowanych działań zaradczych... – dotarło do Adama.

Tarczą działań zaradczych? Tak jak w moim przypadku? Tak mnie załatwiliście i chcecie jeszcze próbować to jakoś usankcjonować, wpisać w swój urzędniczy, wypełniony procedurami, mafijny schemat?

– Niedoczekanie.

Spojrzał w twarz ministra sprawiedliwości, który obiecywał przyspieszenie postępowań, zwiększenie kompetencji sędziów, większą przejrzystość, nagrywanie rozpraw zamiast protokołowania... Dziesiątki obietnic. Od lat tych samych. Od lat niespełnionych. Nikt was z tego nie rozlicza. A chcecie wykańczać takich jak ja.

Otworzył w komputerze nowy dokument i zaczął pisać:

„Szanowny Panie Ministrze!

Jestem przedsiębiorcą, który na własnej skórze doświadczył niekompetencji podległego panu aparatu tzw. sprawiedliwości...”

Patrzył na nią i próbował odpowiedzieć na pytanie, co w całym tym profilu jest nie tak. Niby atrakcyjna i ładna, ale jednak odpychająca. Ze skazą. Wyraźnym zadziorem. Jakby taka z gruntu niemila, niepozwalająca się zaszufladkować, okiełznać. Dzika. Ale nie tą piękną dzikością, naturalną i świeżą, tylko raczej zranioną, nieufną, skażoną i zepsutą. To było jej cechą szczególną.

– O czym myślisz?

– Dobrze sobie radzisz – pochwalił. Godzinę temu zmienili się za kierownicą, mimo że Kasia nie bardzo chciała.

– Nie za wolno?

– Spiesz się nam?

– Dobrze, gdybyśmy dojechali przed nocą – powtórzyła jego słowa sprzed kilkunastu minut.

– Lepiej dojechać niż skończyć na drzewie. Nie ma co ukrywać, kierowcą wyścigowym i tak nie zostaniesz, więc wolę bezpieczeństwo. Poza tym...

– Tak? – ponagliła.

– Nic.

– Nie lubię, gdy ktoś zaczyna, a potem nie kończy.

– Dobrze, więc ci powiem.

– No?

– Gapię się na ciebie – oznajmił, kiwając głową, jakby samemu sobie okazywał wyrozumiałość.

– Widzę.

– Przecież patrzysz na drogę. Nie odrywasz od niej wzroku, oczy masz przyspawane do szyby.

– No to czuję.

– Wyluzuj trochę. Nic się nie stanie, jeśli rozejrzysz się za sarenkami. O, zobacz... tam są.

– Gdzie?

– Musisz spojrzeć, żeby zobaczyć.

– Prowadzę. Nie będę się rozglądać.

– Więc nie zobaczysz.

– Ale dojedziemy cało.

– Dobra, zmienię cię już.

W Gdyni byli po zmroku. Poszukiwanie hotelu jak najbliżej morza zajęło im kilkanaście minut. Zimny nie spieszył się, przemierzając ulice miasta, które kiedyś pokochał, mimo że w słynnej knajpie U Maxima zebrał porządny łomot od lokalnego gangstera. Wcześniej, pracując w gazecie filmowej, bywał tu co roku na festiwalu, najpiękniejsze wspomnienia zaliczając w hotelowym klubie zwanym Piekiełkiem.

Wybrali niewielki pensjonat z widokiem na mroczne, niespokojne tej nocy wody Zatoki Gdańskiej. Musieli dzwonić po recepcjonistę, bo najwyraźniej już się położył.

– Przepraszam, o tej porze roku prawie nie mamy gości.

– Będziemy sami?

– No tak... to znaczy ze mną.

– Jasne.

Cena promocyjna, sto pięćdziesiąt. Żeby było taniej wzięli jeden pokój.

– Tylko sobie nie myśl i nie wąż się próbować.

– Nie lubisz facetów?

– Nie lubię takich jak ty.

– Zrozumiem, jeśli powiesz, że jesteś homo. Jakoś przeżyję. Nawet jak zapuścisz brodę.

Nic nie mam do lesbijek.

– Przestań się wkręcać.

– Z brodą byłabyś nawet ciekawsza...

Rozpakował rzeczy, wziął prysznic, a potem położył się na łóżku i wyciągnął flaszkę wódki.

– Chcesz?

– Nie piję. I wolałabym, żebyś też nie pił.

– No co ty?

– Zresztą, rób, co chcesz – odwróciła się od niego i zasnęła.

Pił, leżąc sam w łóżku, i myślał, że z nim jest chyba więcej nie tak niż z nią. Potem sięgnął po książkę i zasnął po przeczytaniu dwóch stron.

Ryszard Cesarz nie chciał się z nimi umawiać przy żaglowcu, uzasadniając, że to dla niego bolesna sprawa, ale gdy wytłumaczyli, co dokładnie zamierzają opisać, ostatecznie wyraził zgodę.

– Może i dobrze, żebyście to poczuli i zobaczyli. Oddałem temu statkowi serce, a ci dranie... zrobili z niego centrum przekrętów.

– Co takiego? – zaciekawiał się Zimny.

– Centrum przekrętów. Co weekend Fogel przyjeżdża tu i przyjmuje interesantów, jakby chciał się popisać, jakie to ma wpływy i jak mu zwisa, czy ktoś się dowie. W sezonie oczywiście, bo zimą statek pływa po Karaibach, chyba że, jak teraz, czeka na remont. Ale w pozostałe dni „Józek” służy Fogłowi za biuro.

– Ładne biuro...

– Profesorowie, petenci, podsądni, syndycy. Wszyscy tu przyjeżdżają z torbami pełnymi single maltów, cygar i innych upominków, bo kopert sędzia Fogel już nie przyjmuje. Nie te czasy. Do wpłat ma specjalne konta. Nie chce łapówek, które można by łatwo namierzyć i udowodnić. Nawet nietykalni miewają wrogów i ta nietykalność kiedyś się kończy.

– Pomoże nam pan to udowodnić?

Cesarz roześmiał się nieco zbyt gwałtownie, wyraźnie poirytowany.

Zimny przytknął dłoń do twarzy, jakby dostał policzek. Niech będzie, może nie jestem najmądrzejszy, ale przecież nie muszę się na wszystkim znać.

– Dowody są na wyciągnięcie ręki. Powiem wam, gdzie szukać.

– O to nam chodzi.

– No to zaczynajmy.

Gdyńska stocznia remontowa Nauta, wykonująca prace na „Józefie Piłsudskim”, mieściła się przy basenie II imienia inżyniera Wendy. Statek wyglądał obłędnie w zimowej szarudze, oświetlony białozłotymi smugami reflektorów punktowych. Nic się jednak na nim nie działo.

– Możemy wejść na pokład?

– Nie bardzo, jeszcze nas zastrzelą. Ale mogę wam opowiedzieć. Jak go projektowaliśmy, dopracowywaliśmy z architektami, jak potem nam wiernie służył aż do czasu... gdy ci padlinożercy się do nas dobrali, wykorzystując drobne potknięcie.

– Pamięta pan początek kłopotów? – zapytała Kasia.

– Nie jestem biznesmenem ani armatorem, tylko żeglarzem. Nie przypilnowałem ksiąg i ktoś coś zaniedbał, ale gdyby Księżny był normalnym człowiekiem, po prostu by się ze mną dogadał, spłaciłbym długi co do grosza. Ale on tu przyjechał, rozejrzał się, stwierdził, że pewnie będzie miał fajny jacht, a na koniec sprezentował go swojemu przyjacielowi Fogłowi.

– Przyjacielowi?

– To kumple. Na rauty, imprezy sportowe i bale przychodzą razem. Pozorują, że niby się nie znają albo tylko powierzchownie, mówią do siebie per pan, zachowują grzecznościowe pozory, ale gdy innym puszcza hamulce, oni też przestają uważać. Na imprezie u Krauzego po Prokom Open tak się schlali, że Księżny chciał pobić kierowcę, który obraził Fogła. A potem całowali się na pożegnanie jak Breżniew z Honeckerem.

– W gazetach pisali, że Fogel „ratuje” statek przed pocięciem na żyletki.

– Ładny ratunek. Kampanię oszczerstw zaczęli tuż przed rozpoczęciem operacji, żeby potem nikt się nie czepiał tego, co zrobili. Przejęli statek, wstawili dwóch syndyków, a ci sprzedali go z wolnej ręki jakiejś szkole prawniczej, która, jak się potem okazało, została założona przez Fogła. Właścicielem szkoły jest związek prawników, którym też kieruje Fogel. Sprawdźcie sobie. Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu. Nie ma żadnych wątpliwości, jak działa ten układ.

– Pamięta pan cenę?

– Była symboliczna, co tłumaczono kompensatą zadłużenia. Ale nawet gdyby tak to liczyć, to zapłacili dziesięć razy mniej, niż wynosi wartość rynkowa.

– Ostatnią ich ofiarą jest niejaki Bonar. Słyszał pan o nim? – zapytał Zimny.

– Coś tam słyszałem. Ofiar jest wiele, ja już się przestałem temu przyglądać, żeby mnie zwyczajnie szlag nie trafił. Oni w ogóle nie dbają choćby o namiastkę przyzwoitości, odrobinę pozorów. Chrzanieni ekshibicjoniści. Łażą na golasa, z wywieszonym... przepraszam – rzucił do Kasi – interesem, i niemal krzyczą: zobaczcie, jak nam to zwisa i powiewa.

– Niesamowite – mruknęła Jarosz.

– To się w cywilizowanym kraju w pale nie mieści, żeby sędzia zasądzał wyroki, a potem dzielił majątek „ofiar”. Żeby jednocześnie prowadził jakieś stowarzyszenie, które załatwia sprawy biznesowe, i zarządzał prywatną szkołą. A wiecie, co ja myślę?

Zimny i Jarosz, zaciekawieni, tylko unieśli głowy i zawiesili wzrok na zamkniętych, pięknych, prawdziwie dostojnych ustach Cesarza.

– Tam jest jeszcze drugie albo i trzecie dno.

– To znaczy?

– To nie jest przypadek, że Fogel jest rektorem szkoły i kieruje zrzeszeniem prawników, które jednocześnie zarządza szkołą. Ten zamknięty krąg ma jakiś większy sens.

– Jaki?

– Tego nie wiem. Dorabianie teorii do faktów to już wasza robota.

– Skoro szkoła i zrzeszenie przejmują majątek upadłych, których sądzi, a potem nadzoruje jako sędzia komisarz, Fogel, to chyba jasne, o co chodzi – zasugerował Zimny.

– I tak, i nie. Odpowiedzią wcale nie jest forsa, tylko władza i wpływy. Stowarzyszenie zrzesza prawników, przez co jasno widać, kto jest w grupie interesów „u Fogla”, a szkoła służy mu do rozliczania różnych przysług. Dzięki temu tworzy się sieć zależności, która oplata cały system. Ciężko z takim sędzią wygrać sprawę, ciężko mu się postawić, a jeśli to dalej będzie trwać, to rozerwanie pajęczyny może być w ogóle niemożliwe. Ona się wzmocni i będzie wchłaniać coraz to nowych ludzi, którzy widząc bezsens stawiania oporu, popłyną z nurtem. Przykład pójdzie dalej i powstaną kolejne grupy interesów, a z nich zaczną kiełkować podgrupy i tak dalej. Na koniec otrzymacie układankę, w której na pewno nie chodzi o sprawiedliwość.

– Niefajnie – szepnęła Kasia.

– Można powiedzieć, że ja mam to w nosie. Zaraz płynę w kolejny rejs, nie będzie mnie. Jak się wkurzę, to ostatecznie zamieszkać gdzieś dalej, w Londku albo na Seszelach.

– Myśli pan, że tam jest inaczej? – zapytał Zimny, przypominając sobie, jak to samo pytanie zadał mu kiedyś inny dziennikarz, który wyemigrował do Anglii. W jego głosie brzmiało rozgoryczenie i drwina. Nie, chłopcze, wszędzie na wierzchu pływają śmieci i są ludzie, którzy muszą je zbierać, którzy udają, że ich nie widzą, i tacy, którym zwyczajnie nie przeszkadzają. Tyle że tutaj, w Anglii, śmieci są nieco lepszej jakości i posegregowane. Polska dopiero do tego dojrzeła.

– Układy są w każdym miejscu na świecie, ale nie aż tak bezczelne. U nas rządowy ekspert do spraw korupcji lub, jak w naszym przypadku, sędzia biorą bez żenady, zachowują się jak gangsterzy i pracują na wizerunek kraju skąpanego w korupcji. W Stanach czy Europie Zachodniej rynek przekrętów dostosowuje się do reguł gospodarki wolnorynkowej, dzięki czemu panuje ostra konkurencja, która sprawia, że grupy interesów same się zwalczają, nie mogą liczyć na bezkarność, a dla ludzi uczciwych jest rzeczywiście jakaś alternatywa postępowania. U nas, jak widać, taki Fogel, Księżny, syndycy, działający na granicy prawa szpiedrzy czy agenci nikogo nie dziwią.

– Dziwią.

– Wątpię, żeby się przejęli, nawet gdybyście wywalili im całą prawdę wprost. Zresztą... zobaczymy, co napiszecie. O mnie napisano już tyle kłamstw, że wam nie wierzę.

– Mimo to spotyka się pan z nami.

– A co mam zrobić? Zawsze mogę się pomylić. Trzeba wierzyć, że jednak się uda, że nie okażecie się wysłannikami zła. Poza tym... w kraju przeżartym korupcją i układami media to jedyna siła, która jeszcze ma szansę na wyjaśnienie i naświetlenie jakiejś sprawy. Dopóki was nie złączą mordować, można mieć nadzieję, bo zawsze znajdują się wariaci, którzy postawią się szefom, nawet jeśli ci dla reklam zaprzędzą uczciwość. Media to nadzieja. Mogą być głupie, tabloidowe, nastawione na sensację, ale czasem trafiają na poważną sprawę i pomagają ją wyjaśnić.

– To taka poważna sprawa?

– Jeśli uznajemy, że potrzeba sprawiedliwości, niezależności władzy sądowej i jej rzetelności nie została wpisana do konstytucji przypadkiem, to chyba tak. Moim zdaniem są w każdym kraju dwie dziedziny, którymi możemy zmierzyć jakość demokracji, sprawności działania państwa, życia publicznego i takiego zwyczajnego, prostych ludzi. To funkcjonowanie władzy sądowej, a w zasadzie całego aparatu odpowiedzialnego za sprawiedliwość, oraz służby zdrowia. Dwie kluczowe kwestie. Sami sobie odpowiedzcie, jak wyglądają u nas.

Zimny słyszał to już nieraz, ale w pełni się z tym zgadzał. Najpierw należy zadbać o filary, a potem dyskutować o zdobieniach.

– Nie najlepiej.

– Tragicznie. I zastanówcie się, dlaczego tak wolno idzie ich reformowanie i czemu zawsze możecie napisać, że to syf, bez względu na to, czy piszecie w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym, dwutysięcznym czy teraz. Cokolwiek napiszecie, będzie to prawda.

– No, trochę lepiej niż w latach dziewięćdziesiątych chyba jest? – bąknęła Kasia.

– Tak? A czekała pani w kolejce do specjalisty albo na operację? Albo prowadziła pani sprawę w sądzie? Słyszała pani o podziałach wpływów w regionach, o układach w sądach i prokuraturach, o ogólnym kumoterstwie, środowiskowej degrengoladzie, nepotyzmie i hipokryzji, o celowym zostawianiu luk w prawie, żeby je potem wykorzystywać do zarabiania pieniędzy, o kumplowaniu się całej tej prawniczej śmietanki stojącej niby po różnych stronach barykady, o pisaniu opinii na zamówienie nawet przez znanych profesorów, którzy udają, że to nic złego? O pijanych mędrkach nieznających języków, za to pchających się do europejskiego koryta? No jak, zna to pani z autopsji?

Kasia tylko skrzywiła się w odpowiedzi.

– Więc niech pani nie ocenia systemu. System prawny w Polsce niszczy ludzi, nie daje



poczucia sprawiedliwości, nie daje nadziei, a najgorsze, że często niszczy tych uczciwych, bo cwaniaki i bandyci potrafią go wykorzystywać w sporach.

– Tak źle nie jest – zaproponował Zimny.

– Pewnie, że nie. Postęp widać, widać, że to już zupełnie inny kraj, niż był. Ale trzeba rozmawiać jak najwięcej o rzeczach złych, nie po to, żeby narzekać, tylko żeby starać się je wyplenić, zawstydić tych oligarchów i skorumpowanych skurwysynów. Pokazać im, że nie są lepsi od ludzi, których pozbawiają nadziei. Postęp jest ogromny, ale bez zmian systemowych i reform nie będziemy mieli nowoczesnego państwa, nie będziemy mieli polskiej Nokii, wynalazków, bezpieczeństwa energetycznego i militarnego, nie będziemy mieli narodu, który zechce oddać życie za ten kraj, który będzie z dumą mówić „Polska” i kłaść dłoń na sercu, ilekroć usłyszy nasz hymn. Republika koleśiów i łapówkarzy to nie jest mój kraj.

– Nasz też nie.

– Jak chcecie oceniać, to odpowiedzcie na pytanie, dlaczego mimo wejścia do Unii i tylu lat wolności przeciętne wynagrodzenie jest u nas wciąż na tak niskim poziomie. Nie dlatego, że mamy biedny kraj, tylko dlatego, że nie potrafimy nim zarządzać. Fogel i spółka oraz dziesiątki im podobnych tak dobrze funkcjonują, bo nauczyli się nurkować w tym śmietniku, który każdy normalny i porządny omija z daleka, a jeśli zostanie wciągnięty do środka, będzie raczej skazany na pożarcie.

– Raczej.

– Bywają wyjątki. Ludzie pod presją są zdolni do zadziwiających poświęceń.

Zimny pomyślał o Bonarze. Czy ten biznesmen okaże się jedną z kolejnych ofiar, czy też taką zdeteminowaną jednostką, która zdoła poruszyć system? Czy będzie potrafił przeciwstawić się maszynie? I zaraz sobie odpowiedział. Wątpliwe. Oszust i bankrut, nawet jeśli jest niewinny, nie ma specjalnych szans na zaprezentowanie swoich racji w sporze biznesowym.

– Pan nie chciał walczyć?

Cesarz roześmiał się.

– Gdybym wierzył w zwycięstwo, pewnie bym walczył. Ale ja mam inne cele. – Spojrzał na zegarek i zmarszczył czoło. – Zaraz muszę lecieć... Przemyślcie to. Chyba media są od takich spraw. Bardziej niż od morderstw, gwałtów i prezentowania sondaży. Mają pilnować, by demokracja nie skręcała w kierunku republiki bananowej czy cesarstwa kacyków. Wierzę, że myślicie podobnie i... nie dacie dupy.

Zimny pokiwał głową. Nic dodać, nic ująć.

- Ci syndycy wyznaczeni do sprawy „Piłsudskiego” to Mochnacki i Rekosz?
- Dwaj krasnale, tak ich nazywałem. Wyglądali jak krasnoludki. Tylko takie złe.
- Chochliki.
- Fauny. O wyjątkowo podłych charakterach.

Zimny spojrział na Kasię.

- Chyba czas pogadać z syndykami, a potem całą resztą bandy.
- Przyciśnijcie Rekosza. Facet ma mięśnie jak Arnold, ale małe orzeszki w spodniach.

Pozuje na twardziela, a w środku zero męskości. To tchórz, łatwo go przestraszyć.

Seans zaczął się z opóźnieniem. Na tyle dużym, że nieliczni widzowie okazywali coraz głośniejszą dezaprobatę i zniecierpliwienie. W końcu ekran zamigotał, głośniki zatrzeszczały i na ekranie pojawiły się pierwsze kadry filmu z Johnem Wayne'em. Stefan Rekosz napiął mięśnie z podniecenia i głodnym wzrokiem chłonał sceny, w których pozornie niezdarny i powolny rewolwerowiec po kolei wykańczał silniejszych i na oko sprawniejszych przeciwników.

– Tak, właśnie tak – szeptał pod nosem, a na koniec miał ochotę bić brawo jak na filmach festiwalowych, które również uwielbiał.

Rekosz był miłośnikiem starego kina, szczególnie westernów. Przypominały mu czasy dzieciństwa, kiedy w telewizji były tylko dwa kanały nadające bez przerwy nudne programy, z wyjątkiem sobót i świąt, kiedy właśnie leciały westerny. Mama piekła biszkopt przekładany masą czekoladową, ojciec odkładał krzyżówkę, przypalał extra mocnego i całą rodziną oglądali wyczyny Wayne'a, Steve'a McQueena, Gary'ego Coopera, Burta Lancastera i innych herosów starego kina.

Kiedyś to były filmy. Nie to co teraz.

Tylko efekty specjalne, zero psychologii, aktorskiego kunsztu, intrygi, zmysłowości, oddziaływania na wyobraźnię. Wszystko musi być pokazane i dosłowne, żeby widz na pewno zrozumiał pomiędzy włożeniem do ust popcornu, zapiciem colą i zagryzieniem nachosem z sosem chili lub serowym. Za jego czasów nie do pomyślenia było, żeby ludzie jedli w kinie. Nawet pieprzyć się czy palić papierosy szli do ostatniego rzędu, a reszta oglądała film, co najwyżej robiąc palcówkę dziewczynie. Przez całą długą młodość Rekosz nigdy nie trafił w kinie na sytuację, by dziewczyna robiła dobrze chłopcu ustami. Ręką, owszem, zdarzało się, ale żeby pluć spermą...

Omal nie poskarżył się w kinowej recepcji. Powinni państwo wywiesić stosowny zakaz przed salą. Zabrania się seksu oralnego podczas seansu.

Na szczęście w kinie wyświetlającym stare filmy do takich scen nie dochodziło.

Nikt nie jadł nachosów, nie pieprzył się i nie palił.

Rekosz poczekał, aż wszyscy wyjdą z kina po seansie, po czym sam wstał i ruszył do drzwi ewakuacyjnych prowadzących na zewnątrz. Zapalił papierosa, ominął budynek i spojrzał na listę projekcji. Następna była *Bitwa o Midway* z Mitchumem, Fondą, Fordem, Hestonem, Mifune, Robertsonem, Wagnerem i innymi gwiazdami starego kina. Widział ten film tylko

szesnaście razy, więc nie wahał się, kupił bilet i wrócił na swoje miejsce. Fotele w starym kinie były nienumerowane. Nigdy się nie zdarzyło, by widzowie musieli się o nie spierać. Zawsze jakieś sto miejsc było wolnych.

Usiadł na tym samym fotelu co zawsze, zdjął płaszcz, położył go na oparciu przed sobą i starał się rozluźnić. Na próżno. Dopiero początek filmu sprawiał, że zagłębiał się w fabułę i uspokajał. Lekarz przestrzegał go nawet, że takie ciągłe życie w napięciu może być dla niego niezdrowe. Nic jednak nie potrafił na to poradzić. Taki już był.

Tym razem obyło się bez opóźnień i punktualnie o dwudziestej na ekranie zobaczył pierwszą, jakże znajomą twarz. Przyjacielska gęba słynnego aktora uśmiechnęła się specjalnie do niego, a potem mrugnęła okiem. Na ciebie zawsze można liczyć. Mięśnie, które zaczęły już powoli się rozluźniać, błyskawicznie stwardniały. Co jest, do diaska? Nie powinniście tak reagować.

Ale w głębi duszy wiedział, o co chodzi.

Ten dzisiejszy telefon upierdliwych dziennikarzy. Zadali mu jedno pytanie, potem drugie, dziesięć następnych, a on nie odkładał słuchawki, potem powiedzieli, że przyślą pytania mailem, a na koniec – że przyjadą do niego, by porozmawiać osobiście.

Nie odpowiedział, bo nie był w stanie.

Tak bardzo go zaskoczyli.

Nie miał im nic do powiedzenia, nie zamierzał się wdawać w jakiegokolwiek dyskusję, a jednak ułomne ciało nie pozwoliło na protest i reakcję.

Dlatego uciekł z biura do kina.

Tu go nie znajdą.

Ani oni, ani cholerny Księżny i Mochnacki, przez których to się zaczęło.

Wciągnęli go, omamili, a przecież on wcale tego nie potrzebował.

Wcale nie chciał być w ich ferajnie.

Ale nie umiał zaprotestować.

A potem poszło z górki, coraz dalej.

I już był w środku. Już nie potrafił się wycofać.

A teraz przyszli dziennikarze.

Wybuch pierwszej torpedy uderzającej w burtę japońskiego lotniskowca wyrwał go z zadumy. Mięśnie wciąż były napięte.

W tym momencie drzwi zaskrzypiały i do sali wślizgnęła się niewysoka ciemnowłosa

dziewczyna w czarnym kostiumie. Roztrzęsiona i niezdecydowana. Rozejrzała się po sali, zawiesiła wzrok na Rekoszu, po czym, pochylona, przeszła między rzędami i usiadła tuż przy nim.

Cholerne mięśnie znów stwardniały. Nie był nawet w stanie zerknąć w bok, by ją sobie dokładniej obejrzeć. Dlaczego obca kobieta siada koło niego w niemal pustym kinie? Na sali było tylko sześć osób. Siedziały z przodu. Tylko on zajął miejsce w przedostatnim rzędzie, swoje ulubione.

Nieznajoma usiadła wygodnie i zaczęła go prowokować. Wzdychała, poruszała biodrami, zakładała nogę na nogę.

Cholerna neurotyczka.

Mimo że Rekosz nie lubił kobiet, poczuł wzwód.

Dawno już nie uprawiał seksu, nawet się nie onanizował. Nie żałował tego, co innego sprawiało mu radość w życiu. Dawne próby znalezienia żony kończyły się upokarzająco i nie dawały niczego ponad rozładowanie seksualne, mało satysfakcjonujące dla obu stron.

Rekosz wstydził się siebie, swojego ciała, swojej seksualności, zbyt małego członka, a nawet rekompensujących to wspaniałych mięśni.

Jednak poczuł podniecenie, które jeszcze wzrosło, gdy odziana w czerń kobieta o równie czarnych myślach nachyliła się mu do ucha i powiedziała coś w jakimś obcym języku. Nic nie rozumiał. Nie rozumiał też, dlaczego nagle poczuł się dziwnie słabo, a mięśnie gwałtownie napięły się i zwiotczały.

Rekosz nie oddzwaniał, uciekł też z biura i nie było żadnego sposobu, by go złapać. Ani jednego słowa. Nawet nie powiedział: nie komentuję. Cesarz miał rację, że to będzie najślabszy punkt układu. Tyle że powinni go dorwać bezpośrednio, a nie dzwonić.

– Mówiłam, że trzeba pójść do jego biura – oznajmiła z wyrzutem Kasia.

– Dobra, moja wina. – Zimny nie bardzo się przejmował. – Tak naprawdę wcale nie musimy nikogo z tej ekipy łamać. To, co mamy, starczy, by ich wykończyć.

– A jeśli się mylisz?

– Mamy nawet za dużo mięsa. Po pierwszym tekście dostaniemy pewnie jeszcze masę materiału. To będzie największa afera w tym roku.

– Wątpię. – Kasia nie była do końca przekonana. – Nie ma żadnego morderstwa, nie ma dzieci, księdza pedofila, żadnego seksu, emocji, biedy zwykłych ludzi.

– Przekupiony sędzia i wredny bankier też nie są źli. W sytuacji, gdy połowa Polaków jest

wkurwiona na swoje kredyty, czytelnicy powinni się zainteresować postępowaniem tych, którzy im kredytów udzielają, a potem załatwiają ciemne interesy z sędziami, syndykami i komornikami.

– Myślałam, że chcesz ten temat potraktować poważnie, systemowo.

– Bo chcę.

– Więc lepiej nie mów tego naczelnemu, bo każe ci opowiedzieć całą sprawę z punktu widzenia zwykłego Kowalskiego, najlepiej takiego, któremu właśnie zabrano dom, przez co się rozpił, zdiadział i stracił chęć do życia...

– ...jego córka została prostytutką, a syn poszedł po poradę do księdza, który go zgwałcił – dopowiedział.

– Wszystko można wymyślić. Nawet prawdę.

– Kłamstwo jest zatem ciekawsze i mniej podstępne.

– To co, dzwoniemy do Księżnego i Fogla?

– Dziś już za późno.

Poszli na skromną kolację do chińskiej knajpki, a potem wrócili do Kuby. Dom przy Czeskiej, którego parter i piwnice wynajmował, miał ciekawy układ: jeden wielki pokój był podzielony na poziomy, tak że salon, centralna część pomieszczenia, stanowił jakby dolinę. Z czterech stron wychodziły z niego schody prowadzące w górę: do łazienki i pralni, do kuchni, do garderoby, a od południa wyrastał ogród, który zasłaniał słońce. Mroczna, ponura dziupla, w sam raz odpowiednia dla Zimnego. Z okna łazienki można było za to popatrzeć na Czeską, jedną z wielu „światowych” uliczek barwnej dzielnicy Warszawy – Saskiej Kępy.

– Niesamowite miejsce. Jak je dorwałeś?

– Wisiało na studenckiej tablicy, do wynajęcia za grosze, bo właściciel był lekko stuknięty. Po pierwszej rozmowie wszyscy rezygnowali. Czesław wyglądał jak wyjęty z powieści Hłaski, a mieszkał na górze. – Wskazał sufit.

– Aha, nie bałeś się?

– Czasami lubię zaryzykować.

– Wciąż tam jest? – Spojrzała w górę.

– Znacznie wyżej. – Zimny posmutniał. – Umarł kilka lat temu.

– Jak to się stało.

– Zamordowano go.

Przypomniała sobie scenę z jego książki.

– Zaraz, to, co napisałeś... to było prawdziwe?

– Trudno czasem wymyślić coś lepszego od prawdy.

Pokój był praktycznie pusty. Na środku stało wielkie łóżko, obok na kartonach radio i niewielki telewizor z wystającymi z pudła drutami, które robiły za antenę. Typowe kawalersko-studenckie mieszkanko. Ot co. Z tą różnicą, że miało naprawdę klimatyczny ogródek, jak z najlepszych gotyckich powieści, choć mniejszy.

– Do diabła, już tu się dobrze czuję, choć jest mroczne jak cholera. Pasuje do ciebie. I do mnie. – Kasia wyraźnie ociągała się z wyjściem.

– Jak chcesz, możesz tu spać – zaproponował.

– Cały czas nie odpuszczasz, co?

– Przestań, mówię jak do kumpla.

– Masz jedno łóżko.

– Oddam ci je, a sam położę się na materacu w kuchni. Powaga, nic ci nie grozi.

Leżeli w ciemności. Kuba pił piwo, ona paliła papierosa.

– Nie mam zbyt dobrych doświadczeń z mężczyznami – oznajmiła.

Milczał. Jeśli chcesz, to mów. Co ja mam powiedzieć na takie wyznanie?

– Przepraszam. Już nie przynudzam.

– Nie szkodzi. Jak chcesz, to mów.

– Nie będę. A ty? To prawda z tą prokuratorką? Sypiałeś z nią?

– Może.

– Nie chcesz o tym gadać?

– Było, minęło, po co to rozpamiętywać?

Długo panowało milczenie. W końcu ona przeniosła się do niego na podłogę.

– Mogę?

– Pewnie. Chcesz piwa?

– Nie. Ale chcę ci coś powiedzieć.

– Dobra.

Znów długo się zbierała.

– Mam dziecko. Chłopca.

Zrozumiał, dlaczego nigdy nie zaprosiła go do siebie i unikała rozmów o swojej rodzinie.

– Ty sama?

– Tak wyszło.

– A kim jest ojciec?

– Nie ma.

– Sama zaczęłaś. Nie chcesz, to nie mów.

– Nie przeszkadza ci to?

– Co?

– Dziecko.

– Dlaczego miałoby przeszkadzać?

– Mężczyźni nie chcą wychowywać nie swoich dzieci. Wiem, wiem, nikt tu nie mówi nic o wychowywaniu, ale to... przeszkadza.

– Nie mam z tym problemu. Nie mam nic przeciwko cudzym dzieciom.

Znacznie później wciąż nie spali. Świtało już, gdy ona powiedziała:

– Naprawdę nie wiem, kim jest. Nawet nie wiem, kiedy się to zdarzyło. Świadomie z nikim nie uprawiałam wtedy seksu. Rozstałam się ze swoim chłopakiem. Nie miałam partnera. Aż tu nagle idę do lekarza i dowiaduję się, że jestem w ciąży. Niezła akcja, co?

– Pigułka gwałtu?

– Może tak, a może coś innego. Może mam po prostu zryty mózg. Coś mnie trzasnęło samo z siebie. Nic nie wiem. Ale mam Kubę.

– Kubę?

– Tak ma na imię. Jakub.

– Jak ja.

– No właśnie. To mnie zastanowiło.

Milczeli.

– I co?

– Jak to co?

– Nie uciekasz?

– Przed czym?

– Przede mną. Nadal jesteś zainteresowany?

Nie odpowiedział. Jej głowa znalazła się nagle bardzo blisko. Patrzył przez chwilę w oczy dziewczyny, po czym skupił wzrok na jej ustach. Jakby oczekiwał, że coś jeszcze powie. Ona jednak nie chciała już nic mówić.

Księżny zasłonił słuchawkę dłonią i przeklął kilkakrotnie. Rekosz i to jego słabe serce.

– Nie mógł wybrać lepszego momentu na śmierć? Za chwilę ci cholerni dziennikarze



zaczną zadawać pytania, czy i z tym mam coś wspólnego...

– A nie masz? – padło pytanie w słuchawce.

– To był zawał.

– Zawał – powtórzył znacząco rozmówca.

Księżny wiedział dobrze, co tamten ma na myśli. Kilka lat temu jeden z pracowników banku miał wystąpić w niemieckim filmie dokumentalnym, który opowiadał niezwykłą historię pewnego polskiego szpiega. Agent skradł tożsamość rzeczonoego pracownika i pod jego nazwiskiem uzyskał niemieckie obywatelstwo, po czym przez lata działał na rzecz Polski. Sprawa wyszła na jaw, agenta aresztowano, a później wymieniono na innego. Pewnie poszłoby to w niepamięć, gdyby nie uparta niemiecka dziennikarka, która zaczęła drążyć temat, zadając niewygodne pytania, czy seria śmierci na zawał, jakie miały miejsce wokół agenta, jest przypadkowa. Tuż przed nagraniem wywiadu pracownik, któremu skradziono tożsamość, sam zmarł na zawał, a Księżnemu zaczęto przypisywać jeśli nie sprawstwo, to sponsoringowy udział w tym zdarzeniu.

Zupełnie niesłusznie.

– Nie mam z tym nic wspólnego.

– Tak jak nie miałeś z tym chłopcem?

– Dokładnie.

Cholerne teorie spisku. Wszyscy myślą, że to działa tak prosto. Jest jeden szef, paru zastępców, sieć zależności, układ, kasa, służby, mordercy i cała reszta, z dziwkami i adwokatami włącznie. Że te pionki mają swoje role w scenariuszu. Że można to jakoś ułożyć i opanować, a potem sterować, dzielić i rządzić.

Pewnie, chciałby, żeby tak było. Ale nie jest. Nie ma jednego szefa i zorganizowanej struktury. Całość działa na zasadzie przypadku i zależności. Owszem, próbujemy zbudować sieć, ale ona jest zwykle zbyt słaba, by wytrzymać jakiegokolwiek porównanie. W środku panują układy i układziki, większy pajak zjada mniejszego, a potem pada ofiarą innego drapieżnika, bardziej podstępnego, silniejszego, zdeterminowanego.

On lubił mówić, że są zbiorem niezależnych interesów, które przez przypadek, zupełnie nieoczekiwanie, okazują się zbieżne i już muszą podążać w jednym kierunku, co nie przeszkadza w mniejszych i większych wojnach, prowadzonych do czasu, gdy na horyzoncie pojawi się obcy przeciwnik. Wtedy zwracają swoje ostrza w jego stronę i na chwilę zapominają o waśniach.

– Do diabła z teoriami, nie mam czasu na wojny.

Właśnie wczoraj była asystentka Bonara dała Księżnemu kosza. Zdecydowanie zaoponowała, gdy próbował zmusić ją do klęknienia w zaciszu gabinetu. Przez chwilę pomyślał, że dostanie od niej w gębę. Zamiast tego dziewczyna wyszarpała się z jego objęć i w panice uciekła. Oczekiwał, że może sama zrezygnuje z pracy. O dziwo, dziś przyszła do biura, jedynie unikała go, jak mogła.

Potraktował to bardzo osobiście, jednak nie polecił jej zwolnić. Uznał, że być może skłoni ją do zmiany zdania i dzięki temu osiągnie jeszcze wyższy poziom zadowolenia. Oczywiście było spore ryzyko, że nic nie wskóra, ale przynajmniej pogra na emocjach. Kobieta nie poskarży się nikomu. Jest zbyt grzeczny, by wywołać taką reakcję.

Skorzystał za to z usług klasycznej prostytutki, która zwykle przychodziła mu z pomocą, gdy nie potrafił sam zdobyć upatrzonej ofiary. Była wysokiej klasy profesjonalistką i choć wcale nie lubiła bólu, to akceptowała fanaberie Księżnego.

Słono za nie płacił.

Prawdopodobnie był jej najlepszym klientem. Mogła za to ścierpieć ten kwadrans upokorzeń, ściskania szczęki palcami, przykładania pięści do oczu, krzyki, wrzaski, a czasem nawet mocniejszy cios. No i wreszcie krótki, ostry, porażający swoją gwałtownością i siłą stosunek. Księżny sam nie wiedział, skąd bierze się w nim tyle agresji. Może uwalniałby więcej energii podczas codziennych czynności, gdyby był na przykład wojskowym albo sportowcem. Ciągłe siedzenie za biurkiem skutkowało takim właśnie finałem.

Potrzebował ujścia energii, a żony nie chciał krzywdzić.

Żonie nie robił nic złego ani dobrego od prawie piętnastu lat, a ona zdawała się to całkowicie akceptować.

Cóż, czasem wystarcza, że żona jest i pachnie.

Żona Księżnego pachniała bardzo ładnie.

Sydyk Mochnacki zareagował aż nazbyt gwałtownie. Staął naprzeciw Zimnego i mimo niskiego wzrostu wyglądał w tej chwili na gotowego do bójki.

Czy byłbym w stanie go pokonać? – pomyślał Zimny. Jeśli nie, byłby wstyd. Dostać łomot od takiego zaniedbanego grubaska, i to jeszcze w obecności Kasi... Choć przegrać po walce to żaden wstyd. Ważne, żeby nie uciekać jak ostatni tchórz. Miał jednak wielką ochotę zwyczajnie nakopać temu obmierzłemu tłuściochowi. Wziąć za wsiaż i wlać trochę poczucia odpowiedzialności za własne postępowanie.

– Chcemy tylko porozmawiać o tych upadłościach – powiedział, próbując zachować spokój.

– Przykro mi. – Mochnacki także opanował emocje, wrócił na swoje miejsce i usiadł za biurkiem. – Nie mam nic do dodania. Wiąże mnie tajemnica zawodowa.

Kuba nie zamierzał ustąpić. Zaczął prowokująco:

– Pana przyjaciel, Rekosz...

– ...miał zawał serca – przerwał mu sydyk. – To się zdarza, ludzie chorują.

– A pan nie boi się zawału?

– To zabrzmiało jak groźba.

– Z mojej strony nic panu nie grozi, ale gdybym miał takich przyjaciół jak prezes Księżny czy sędzia Fogel...

– Proszę uważać, co pan mówi.

– Bo?

– Za obrazę sędziego można wylądować w pierdłu.

– Nie jesteśmy na sali rozpraw.

– Zaraz możemy być. Prezes Księżny to człowiek o nieposzlakowanej opinii, a pan właśnie narusza jego dobra. Nie mówiąc już o obrazie urzędu sędziego...

– Gównu mnie to obchodzi. Pana przyjaciele za chwilę przeczytają o sobie w gazecie.

– Tak? – Mochnacki chyba nie uwierzył w tę groźbę. – Nie są moimi przyjaciółmi. Rekosz też nie był.

– A kim był? Kim są pańscy przyjaciele?

– To nie pana sprawa. Z panem Księżnym, sędzią Foglem i panem Rekoszem tylko pracowaliśmy. Łączyły nas wyłącznie sprawy zawodowe.

– I zamiłowania? Czyż nie?

Mochnacki na sekundę stracił rezon i przestał emitować sygnały o własnej wyższości, uwarunkowanej nieosiągalnym dla innych poziomem wiedzy, umiejętności i stanu majątkowego. On był władzą, oni plebsem. Śmieciami, które ogląda zza pancерnej szyby w drodze do swojego wypełnionego złotem królestwa. Nie trzeba się nimi przejmować.

– Wszyscy jesteście żeglarzami – Kuba raczej stwierdził, niż dopytał.

– Co to ma do rzeczy? – Mochnacki nie sprostował, że Księżny nie lubi wody i nigdy z nimi nie żegłował.

– Żeglarze się wspierają, szczególnie z jednej załogi.

– Nie stanowiliśmy jednej załogi.

– Mnie mówiono coś innego.

– Ktoś pana okłamał.

– Więc nie chce pan skomentować?

– Nie.

– Woli pan przeczytać w gazecie także o sobie? – zaszantażował Kuba.

– Wątpię. Niech pan przygotuje dużo pieniędzy na odszkodowania.

– Nie mam nic do stracenia. Za to pan ma.

– Panie Zimny, proszę posłuchać. Nie było żadnego układu, nie było zmów, sędzia Fogel wydawał prawidłowe wyroki, wyznaczał mnie na syndyka, jak Pan Bóg przykazał, a bankier Księżny w zgodzie z prawem odzyskiwał swoje długi, a czasem kupował majątek upadłych firm. Jak to bankier i inwestor. Nie było w tym niczego naganego.

– Widzi pan, jaki ładny cytat. A mówił pan, że nie będzie komentował.

– Żaden cytat!

– Brzmi naprawdę nieźle. Szkoda że tak mało wiarygodnie.

– Nie pozwalam panu mnie cytować.

– Tu akurat gównem pan może pozwalać.

Mochnacki poderwał się, ponownie sprowokowany. Zimny pomyślał, że może jednak się uda. To było warte podbitego oka. Nawet poświęciłby ząb. Dobry prawy sierpowy mógłby zakończyć bolesne dolegliwości, jakich mu przysparzała lewa górna piątka. Syndyk Mochnacki bije dziennikarza – sam by wrzucił newsa do Pudelka. Wybija mu ząb i podbija oko. Jesteś celebrytą, Mochnacki? Nie? To zaraz możesz być. Hejterzy niemal w równym stopniu nienawidzą celebrytów jak urzędników.

– Jest pan urzędnikiem państwowym – dodał, gdy zobaczył, że jednak z prowokacji nici.

Mochnacki usiadł i wlepił nos w wydruki.

– Skończyłem z państwem rozmawiać. Proszę wyjść.

– Broniewski, zakłady odzieżowe Star, przedsiębiorstwo rolne Wigry, Blogbud, Sempra, Amero Martini, Global. „Józef Piłsudski” – recytował niewzruszenie Zimny. – Jak to się dzieje, że spółka po spółce to pan dostaje je do obsługi? Jest tylko jeden dobry syndyk w tym sądzie?

– Część z tych spółek obsługiwał Rekosz.

– Pan był wtedy zastępcą. No dobra, to mamy dwóch syndyków. Niezastąpionych, niezatapialnych. Dlaczego? Dlaczego nie było innych?

– Byli.

– Ale w mniejszych, mało ważnych sprawach. Te największe bankructwa zawsze trafiały się wam. Przypadek?

– To kwestia doświadczenia. Sędzia Fogel wolał nie ryzykować, powierzając upadłości dużych zakładów nowicjusom czy ludziom zaraz po egzaminie. My z Rekoszem mieliśmy największe doświadczenie i osiągnięcia.

– Sprzedając z wolnej ręki majątek?

– Czasem tak jest po prostu szybciej. Wynegocjowane ceny nie były złe.

– Tylko kilka razy niższe od rynkowych. Wkładanie pieniędzy spółek na nieoprocentowane konta w banku Księżnego też pewnie pan uważa za działanie na rzecz wierzycieli?

– Były tam bezpieczne. Księżny jako jedyny gwarantował, że sobie ich nie weźmie na poczet długów. Innym nie ufaliśmy.

– Akurat.

– Skoro nie zamierza pan mnie wysłuchać, to po co panu cały ten wywiad?

– Przecież słucham.

– Ale pan nie wierzy.

– To inna sprawa. Może uwierzę, jeśli pan mi wyjaśni, dlaczego cynicznie pozwoliliście na zagrabienie samochodów klientów Selac przez bank Księżnego.

Mochnacki nabrał głęboko powietrza. Musiał być już nieźle spocony.

– Gazety pisały co innego...

– Obaj wiemy, że pisały nieprawdę. Bonar nie miał żadnej możliwości zakwestionowania pańskiej decyzji i współpracy z Księżnym.

– Twarde prawo, ale prawo – warknął syndyk.

– Prawo? Prawo to też sprawiedliwość, czyż nie? Podstawowa zasada prawa. Słyszał pan o takim pojęciu jak sprawiedliwość? Jeśli nie, mogę panu zacytować z encyklopedii: „Jedno z podstawowych pojęć etycznych i prawnych...”

– Dość.

– Czy sprawiedliwe było to, co zrobiliście? Tysiącom uczciwie spłacającym swoje zobowiązania klientom zabraliście przedmioty, za które w większości już zapłacili.

– Weszły do masy upadłości – mruknął Mochnacki. – Nic nie poradzę na przepisy.

– Ci ludzie za nie zapłacili.

– Mogli finansować się w porządnym instytucjach finansowych, a nie w takich... parabankach.

– Selac nie oszukał żadnego klienta. Dopiero gdy wy położyliście na tym łapy, wszystko się zaczęło.

– Tak? O ile się nie mylę, sam pan pisał o oszustwach Selacu. Niewygodny fakt, prawda?

– A teraz napiszę o panu.

– Dobra, dość. Wynocha.

– Jeszcze tylko jedno, ostatnie pytanie. – Zimny uśmiechnął się triumfalnie. – Dlaczego jako syndyk negocjuje pan z Księżnym i jednocześnie u niego pracuje? Czy to nie jest najbardziej jaskrawy przejaw konfliktu interesów?

– Nie pracuję dla Księżnego.

– A to? – Zimny pokazał mu kopie raportów podpisanych przez Mochnackiego.

– Skąd pan to ma, do diabła?

– To dokumenty z rejestrów, powszechnie dostępne. – Zimny spoważniał i mówił dalej tonem kata wykonującego wyrok: – Pan nie był aż tak głupi jak Rekosz i nie przyjął etatu u Księżnego w spółce zależnej. Ale już pieniążków z umów zleceń nie mógł pan sobie odmówić. Wydawało się to takie niegroźne, nie do udowodnienia, co nie?

– Wynocha!

– Będzie pan gwiazdą naszego tekstu – skłamał Zimny. Cokolwiek zrobiłby Mochnacki, miejsca na najwyższym podium zostały już zarezerwowane dla Księżnego i Fogła. I może ktoś jeszcze, jeśli był ktoś wyżej.

– Won!

Mochnacki nacisnął guzik interkomu i nakazał asystentce wezwać ochronę.

Zimny spojrzał na Kasię. Wzruszyła ramionami, jakby dając znać, że ona też już nie ma nic do powiedzenia. Najważniejsze pytania zostały zadane. Mochnacki mógł się bronić, gdyby tylko chciał. A że nie chciał...

– Won!

Na dworze obficie padał śnieg. Płatki wielkości pięści, lekkie jak puch, wirowały w przyjemnym, niezbyt zimnym tego dnia powietrzu. Dopiero w nocy miał przyjść porządny mróz. Pod budynkiem banku siedział bezdomny i patrzył na nich szklistymi oczyma. Nie było w nich życia. Człowiek pozbawiony jakiegokolwiek chęci na zmianę swojego losu. Może miał powody, może tylko był słaby, a może dziesięć lat temu wziął kredyt, którego nie dał rady spłacić, a bank, zamiast mu pomóc, jeszcze go dobił, wyprzedając majątek i narzucając kolejne obciążenia, z których nie był już w stanie się wyplątać.

Zimny przypomniał sobie, jak jeszcze w czasach komuny tłumaczono mu, że Zachód jest zły, bo są tam bezdomni, a u nas ich nie ma. Tak jak nie było przestępczości, narkotyków, seksu, niczego nie było. Nie ma to jak dobra propaganda, bo w zasadzie uwierzył, choć coś w duszy się buntowało i kazało mu profanować rosyjskie symbole podczas lekcji, na których pomiędzy miłością do Breżniewa i Puszkina uczono ich zachowania na wypadek wybuchu atomowego. Maskę gazową włoż, na ziemię i pod ścianę! Czy dziś kogoś tego jeszcze uczą? A czy ten bezdomny i jego historia nie są ważniejszym tematem dla prasy niż jakiś skorumpowany sędzia i cyniczny bankier?

– O czym myślisz? – zapytała Kasia.

– Mochnacki się nie przestraszył. Jakby był pewien, że da się sprawę załatwić.

– Nie da. Jesteśmy za daleko.

– A jeśli ani twoja, ani moja gazeta tego nie puszczą.

– Przestraszą się?

– Raczej dadzą przekupić.

– Wątpię. Po aferze Amber Gold i twojej sprawie tak się nie da. Jest internet, a gazety i stacje telewizyjne będą się bały kolejnej wpadki. Puszczą ten materiał. Mochnackiego czeka zdziwko.

– Skoro już poruszyliśmy ten temat, to jak to technicznie załatwimy?

– To znaczy?

– Tekst musimy podpisać razem. Problem w tym, w której gazecie go opublikujemy.

– Mam pewien pomysł.

– Jaki?

Powiedziała mu.

– Zwariowałaś – odparł. – Ani mój, ani twój naczelny się na to nie zgodzą.

– Dlaczego nie? Zakończmy temat i ruszajmy.

Mruknął coś pod nosem.

– Co nam zostało do zrobienia?

Stanęli przed siedzibą jednego z banków. Zimny otrzepał spodnie ze śniegu, a potem wymownie spojrzął na pobliski budynek Sądu Najwyższego.

– To zostawiamy na sam koniec.

Minister sprawiedliwości Cezary Bernard Szymczyk popatrzył z góry na dwóch młodych oficerów ABW. Czego wy ode mnie oczekujecie? Nie wiecie, że funkcja prokuratora generalnego i ministra została rozdzielona? To ten niekompetentny, pokręcony kurdupel powinien być waszym rozmówcą. Myślicie, że o aresztowaniu jakiegoś większego czy mniejszego prezia nadal rozstrzygają nasiadówki premiera z ministrem i lobbystami? Wydaje wam się, że wciąż jesteśmy republiką bananową, przyjmującą dolary w walizkach za strategiczne decyzje państwowe?

Do diabła z wami.

– Nie sądzą panowie, że to zbyt... hm, drobna sprawa, by omawiać ją na takim poziomie?

– Proszę uważnie przeczytać dokumentację – powiedział jeden z agentów, ten z jaśniejszymi włosami.

Jasny i Ciemny – tak ich sobie w myślach nazwał, nie próbując zapamiętać nazwisk i funkcji. Zwykle na spotkaniach zapisywał sobie dane, robił krótkie wpisy w notesie, żeby w razie potrzeby móc je odgrzebać. Bywały jednak spotkania, których wolał nie zapamiętywać. Takie jak to.

Niejeden minister się przekonał, że czasem lepiej czegoś nie pamiętać niż pamiętać. W sądzie najlepszą strategią jest odpowiadać: nie pamiętam.

Kłamstwo, którego nie da się udowodnić.

Zdradzam żonę? Nie pamiętam. Znam tego czy tamtego? Nie pamiętam. Wziąłem od niego teczkę z pieniędzmi? Nie pamiętam... Po czym szybko trzeba dodać: ale żadnych pieniędzy nie otrzymałem, więc z pewnością nie. A jeśli otrzymałem? Cóż, pamięć mnie zawiodła, pewnie chodzi o jakiś kontrakt doradczy niezwiązany z pełnieniem funkcji. Czy ja muszę o tym pamiętać? A czy sędzia przyjmujący ofertę objęcia teki ministra tuż przed rozstrzygnięciem



niezwykle ważnego śledztwa powinien się przejmować tym, że jego decyzja może spowodować przedawnienie w owej sprawie? Czy inny sędzia, który orzekał w czasach komunistycznych, skazując obecnych polityków za walkę o wolność państwa, powinien przyjmować nominacje ministerialne od przeciwników politycznych tamtych skazańców? Czy sędzia zostający ministrem powinien wracać do zawodu sędziego? Czy sędziowie mają prawo do sympatii politycznych? Czy powinni je ujawniać i kierować się nimi, podejmując decyzje? Czy wreszcie mają prawo do picia szampana i imprezowych szaleństw po śmierci prezydenta, który naraził się im swoimi decyzjami, przez nich uznanymi za ingerencję w ich niezależność?

– Czytałem. Sprawa rzeczywiście wygląda dość poważnie, nie sądzę jednak, by znacząco różniła się od innych... afer. Poza tym, jeśli dobrze zrozumiałem, nie ma tu żadnych polityków...

– Jest sędzia, prezes banku, syndycy...

– I uważają panowie, że w związku z tym powinien zajmować się nią minister?

– Po aferze Amber Gold wdrożyliśmy procedury...

...które umożliwiają stworzenie kolejnych dupokrytek, nie zapobiegają robieniu przekrętów, a już na pewno nie usprawniają ich ścigania – dodał w myślach minister.

– ...mające na celu objęcie tarczą ochronną systemu prawnego w razie wystąpienia nadużyć o szczególnej wadze – powiedział Jasny.

– Sądzimy, że w tym wypadku mamy z nimi do czynienia, panie ministrze – dorzucił Ciemny. – Skala zjawisk, o których zaraz napiszą media, jest dość... dramatyczna.

– Napiszą media? Czy aby na pewno?

– Sądzimy, że nie da się tego powstrzymać. Brak publikacji w prasie mógłby być jeszcze gorszy, bo doprowadziłby do niekontrolowanego rozwoju tematu w internecie.

– A w prasie będziecie w stanie bardziej ten rozwój kontrolować?

– Źle nas pan zrozumiał. Nie jesteśmy od kontrolowania. Przekazujemy tylko informacje, naszym zdaniem istotne informacje o wyjątkowo istotnej sprawie, żeby... – Jasny nie dokończył.

– ...żebym ich nie zlekceważył. – Szymczyk pokiwał głową, dodając w myślach: i nie oddał głowy pod topór, dołączając do kilku innych ministrów sprawiedliwości, którzy zlekceważyli wagę pewnych niezależnych od nich zjawisk. Szef resortu ponosi odpowiedzialność polityczną bez względu na to, czy afera jest skutkiem jego bezpośrednich działań, czy też winny jest system.

Tak jest w krajach cywilizowanych. Tak być powinno. W krajach cywilizowanych jednak nie ma aresztów wydobywczych, trwających po dziesięć lat procesów, śmiesznych wyroków dla bandziorów i prawdziwych przestępców, a zadziwiająco wysokich w drobnych sprawach. W krajach cywilizowanych sędziowie zwykle czytają akta spraw uważnie, starają się wydawać sprawiedliwe wyroki, przyznają odszkodowania za pomyłki, ponoszą odpowiedzialność za swoje decyzje, a etykę, moralność i sprawiedliwość przedkładają nad procedury.

Minister dobrze wiedział, że są kraje, w których normalną rzeczą jest elementarna przyzwoitość, potrzeba i stanowienie sprawiedliwości. W takich państwach ministrowie bywają ludźmi honoru. W Polsce zaś na pierwszym miejscu jest pilnowanie własnego tyłka. Dlatego zapewne jego szanowny kolega, minister spraw wewnętrznych, który nadzorował ABW, wysłał do niego tych agentów. Żeby w razie jakichś problemów móc powiedzieć premierowi: zaraz, zaraz, podległa mi ABW kontrolowała sprawę i przekazała Cezarowi, żeby ten interweniował. A że nie interweniował? Cóż, to już nie moja wina. ABW sprawiła się dobrze.

– Dział analiz obawia się też – Ciemny chrząknął – o procedury odszkodowawcze. Jeśli sprawa przybierze niekontrolowany obrót, możemy mieć setki pozwów i roszczenia warte miliardy.

Naprawdę martwicie się o odszkodowania? Polscy sędziowie dobrze dbają o Skarb Państwa. W końcu to on im płaci.

Kiedyś, przed wojną, było inaczej. Sądownictwo miało swój budżet, zasilany przez wnoszone przez petentów opłaty, które z powodzeniem wystarczały do utrzymania systemu, a nadwyżkę wpłacano do Skarbu Państwa. Dziś, mimo że sądownictwo pozostaje rentowną, dochodową gałęzią gospodarki państwowej, jest odwrotnie. Opłaty zasilają budżet, a on wydziela kwoty, które służą utrzymaniu aparatu sprawiedliwości.

W efekcie sędziowie nie czują owej niezwykle istotnej kwestii niezależności. Podświadomie sami traktują się jak reprezentantów Skarbu Państwa, urzędników. To sprawia, że żądający odszkodowania powód, nawet jeśli ma sto procent racji, już na starcie jest przegrany. Może bulwersować opinię publiczną, może nawet wygrać sprawę, ale odszkodowanie otrzymuje śmiesznie małe. Sędziego, który temu niepisaniem prawa ochrony budżetu spróbuje się przeciwstawić, szybko ustawią przełożeni, zawsze otwarci na telefony od polityków, a jeśli wciąż pozostanie „inny”, znajdą się sposoby, by zmusić go do odejścia.

– Chodzi bardziej o procesy w Strasburgu – wspomniał Jasny.

A tak, Europejski Trybunał Praw Człowieka. On rzeczywiście stanowił problem. Liczba przegranych spraw w tej instancji dramatycznie rosła.

– Czego oczekujecie? – zapytał wprost.

– Sądzymy, że warto wydać instrukcje postępowania w tych sprawach, tak by uniemożliwić szybką ścieżkę odwoławczą.

– Jak panowie to sobie wyobrażają? – Minister uśmiechnął się drwiąco. – Mam napisać rozporządzenie nakazujące przewlekłość rozpatrywania spraw, a może uchwałę o konieczności cofania ich do pierwszej instancji, żeby spowolnić cały proces?

– Wystarczy, że zrobi pan telekonferencję z prezesami sądów – powiedział poważnie Ciemny.

Minister Szymczyk aż zakaszał. Sędziowie byli niezawisli, niezależni, ale przecież mówienie o tym agentom zabrzmiałoby śmiesznie. Dobrze wiedzieli, że cały system nie służy niezależności, że pewne dobrze przemyślane rozwiązania strukturalne, system ocen sędziów, przydzielania im spraw, wreszcie procedowania, nagradzania, szkolenia – wszystko to sprawiało, że wśród prawników krążyło wiele opowieści i żartów o sędziowskiej niezawisłości.

– Po akcji z sędzią Milewskim nie odbierają telefonów – powiedział bardziej żartem niż poważnie.

– Komórki odbierają. – Jasny uśmiechnął się znacząco, jakby chciał dodać: a my je podsłuchujemy.

– W tej sprawie sugerujemy potrzebę nadzwyczajnych działań – zakończył jego towarzysz i wstał.

Agenci pożegnali się i wyszli.

Minister poczekał, aż dotrze do niego sygnał zamykanych drzwi po drugiej stronie korytarza, a następnie sięgnął do notatek i dokumentów omawianej sprawy.

Na razie nie było tego wiele. Załedwie jedna teczka, która w sądach rozrośnie się zapewne do setek, może nawet tysięcy tomów akt, jeśli wziąć pod uwagę prowadzone przez Fogla sprawy. Na początku teczki umieścił najnowszy dokument: skierowany do niego list Adama Bonara, jednocześnie adresowany do wiadomości prokuratora generalnego, premiera, prezydenta, rzecznika praw obywatelskich i dwóch fundacji ochrony obywateli i przeciwdziałania korupcji.

Początkowo potraktował ten list jak setki innych pism przysyłanych od skrzywdzonych przez wymiar sprawiedliwości obywateli, teraz jednak, po informacjach od ABW, wiedział, że należy wszcząć wobec niego trochę inną procedurę.

Przeczytał ponownie pismo i mruknął pod nosem:

– Cholera, w normalnym kraju puściłbyś nas z torbami. No, ale w normalnym kraju to, co ci zrobiono, nie byłoby możliwe. Niestety, szczęśliwie dla mnie, a niedobrze dla ciebie, nie żyjemy w normalnym kraju.

Oparł się wygodnie na fotelu i zamknął oczy. Wyobraził sobie niebo, czyste i błękitne, poprzecinane jedynie pojedynczymi białymi smugami po samolotach przekraczających barierę dźwięku. Zawsze, ilekroć coś go mocno przytłaczało, lądował myślami w niebie, co natychmiast działało uspokajająco. Lewitując powoli w przestrzeni, potrafił naprawdę dobrze radzić sobie z ponurą rzeczywistością.

Tak, nie żyjemy w normalnym kraju.

Tej ostatniej myśli nie wypowiedział głośno, a jednak zdawała się dźwięczeć mu w uszach dłużej niż poprzednie.

W normalnym kraju po takich informacjach minister sprawiedliwości natychmiast подаłby się do dymisji.

Profesor Stanowski musiał opowiedzieć prokuratorowi Napierskiemu jakiś dobry żart, bo obaj byli w świetnych humorach. Podejrzany poszarzał na twarzy na widok tej gnidy, która robiła za autorytet, choć tak naprawdę chodziło jej tylko o pieniądze. Nic więcej nie miało znaczenia. Kto ci zapłacił, żebyś tu przyszedł? Bo przecież nie ja.

– Nie mówił pan, że reprezentuje pana profesor Stanowski – westchnął prokurator, gdy wprowadzono go do pokoju. – Gdyby pan nas uprzedził, przesłuchania zapewne potoczyłyby się inaczej.

– Profesor mnie nie reprezentuje – odparł krótko podejrzany.

Po kolejnym całonocnym przesłuchaniu przez policjantów, bez udziału prokuratora, adwokata, kamer i magnetofonów, za to z całym inwentarzem środków nacisku psychologicznego, i nie tylko, nie sprawiał dobrego wrażenia. Mimo że na wieść o tym, kto zażyczył sobie widzenia, klawisze robili co w ich mocy, by doprowadzić aresztanta do jakiego takiego stanu, otarcia na twarzy, siniak na szyi i poraniona warga nie dały się naprawić ot tak.

Stanowski jednak nie zwrócił uwagi na te widoczne oznaki użycia siły, jakby ich nie widział albo nie chciał dostrzec.

– Czasu nie cofniemy – kontynuował prokurator, udając, że nie usłyszał stanowczego oświadczenia biznesmena. – Obiecuję, że osobiście dopilnuję, by od tej chwili wszystko przebiegało zgodnie z procedurami i poszanowaniem pańskich praw.

– Nie obchodzi mnie to, nic nie zrobiłem.

– Jeśli tak, nie ma pan powodów do obaw. Oczywiście obaj panowie rozumieją, że musimy sprawę wyjaśnić.

Stanowski uśmiechnął się swoim najlepszym grymasem, wyrażającym bezbrzeżną pewność siebie i uwielbienie własnego geniuszu.

– Mój klient złożył już wyjaśnienia, usłyszał zarzuty, pora porozmawiać o kaucji, panie prokuratorze.

Kaucja? Przy zarzucie o morderstwo? Po dwóch latach siedzenia w areszcie? Podejrzany nagle uzmysłowił sobie, że coś jest nie tak. Przed nim toczyła się uświęcona gra pozorów, ale tak naprawdę nie miała żadnego znaczenia. Jak to wyjaśnią? Że dowody za słabe? Że tak naprawdę nie mogą mu niczego zarzucić wprost? Że nie ma wystarczających poszlak wskazujących na jego związek z tą przerażającą zbrodnią, o którą został oskarżony?

– Cóż, myślę, że nie będzie problemu... – chrząknął prokurator.

– Piętnaście tysięcy powinno wystarczyć – rzucił szybko Stanowski.

Prokurator omal się nie zachłysnął.

– Panie profesorze, to sprawa o zabójstwo.

– Nie macie żadnych dowodów, tylko poszlaki – zamruczał śpiewnie profesor. – Dwa lata śledztwa i wciąż stoicie w miejscu. Sędzia z pewnością tym razem przyjrzy się uważniej materiałowi dowodowemu.

– Mimo to piętnaście tysięcy to stanowczo zbyt mało.

– Dobra, niech będzie dwadzieścia.

Prokurator chrząknął.

– Myślałem o dwustu... może nawet trzystu tysiącach. Przy tych zarzutach...

Stanowski uśmiechnął się znacząco. Nie mam czasu na załatwianie procedur z dużą kaucją – mówiły jego oczy i ruchy.

– Dwadzieścia pięć i niech mnie szlag. Dobry z pana negocjator, panie prokuratorze.

Podejrzany przysłuchiwał się dyskusji, nie wierząc własnym uszom.

– Zaraz, już powiedziałem, że profesor Stanowski nie jest moim adwokatem.

Znał drania i wiedział, że niczego dobrego nie należy po nim oczekiwać. W zasadzie pogodził się już ze swoją sytuacją i szykował się tylko na apelację, potem skargę do najwyższej instancji, a w końcu pewnie do Strasburga. Niepotrzebny mu był do tego ten przekłety, oślizgły, niebudzący zaufania gad.

Stanowski i prokurator spojrzeli po sobie.

– Pozwoli pan, panie prokuratorze, że porozmawiam z klientem na osobności...

– Oczywiście. Zawołajcie mnie, gdy skończycie.

Prokurator z wyraźną ulgą podszedł do drzwi, przy których mrugnął jeszcze do profesora. Podejrzany w jednej sekundzie zobaczył w spojrzeniu śledczego cały jego przekłety życiorys, ciężką pracę podczas studiów, walkę z układami prawniczymi, wreszcie okupiony wiadrami potu i krwi względny sukces, jakim było zrobienie uprawnień prokuratorskich, zdanie kilku innych egzaminów i mozolna wspinaczka po skostniałych szczebelkach struktury, gdzie wciąż pachniało głęboką komuną i niesprawiedliwością. Donosy, intrygi, biurka zawalone wydumanymi zawiadomieniami, podkładający świnię koledzy, przecieki do prasy na każdym szczeblu i szefowie chodzący na pasku innych szefów, dyspozycyjni, mierni, wierni...

Ten człowiek miał pewnie córkę lub syna, może już dorosłych, którzy za chwilę też będą

chcieli zdawać na wydział prawa i wówczas przychylność kogoś takiego jak Stanowski bardzo im się przyda. Ojciec wymarzył sobie dla nich inną, przynoszącą więcej korzyści drogę. Ojciec zawsze chce, by dzieci miały łatwiej niż rodzice. Synu, za moich czasów to dopiero było ciężko! Ty to masz...

Prokurator wyszedł.

Na profesorskiej twarzy nie drgnął żaden mięsień. Stanowski patrzył badawczo na podejrzanego. Jeszcze chwilę pozwolił mu się zastanowić nad motywami, jakie kierują jego niespodziewanym obrońcą, po czym, wolno cedząc słowa, rzekł:

– Proszę nie robić kłopotów, działałam w imieniu pańskiej rodziny.

– Jestem niewinny.

– To oczywiste.

– Nie pozwoliłem rodzinie pana zatrudnić. Bronię się sam.

– Cóż, pozwoli pan, że zwrócę uwagę na dość... znikome osiągnięcia, jakie pan dotąd uzyskał w tej materii. Dwa i pół roku w areszcie, z widokiem na kolejne przedłużenie, jeśli się nie dogadamy. Chce pan prześcignąć Chodorkowskiego w...

– ...głupocie? To chciał pan powiedzieć?

– ...w niezłomności. – Stanowski uśmiechnął się nieznacznie. – Pan sobie tu walczy z systemem, a pańska rodzina cierpi. Wyciągnę pana stąd, a potem się pokłócimy, dobrze?

– Oskarżono mnie niesłusznie.

– Dlatego powinien pan przyjąć moją pomoc.

Podejrzany zacisnął pięści.

– Za co? Czego ode mnie chcecie?

– Och, nic takiego.

– Proszę powiedzieć wprost albo się wynosić.

Stanowski skrzywił się. Nie lubił mówić wprost. Sam nie do końca wiedział, po co wysłał go tu człowiek od Księżnego. Miał zrobić co należy i poprosić w zamian o pomoc w pewnej delikatnej sprawie, ale dopiero po wyjściu podejrzanego z aresztu. Pał to lichy – pomyślał, jeśli ma się zgodzić, to się zgodzi, jeśli nie, to nie. On swoją rolę odegrał. Nie brał w końcu pieniędzy za skuteczność działań, tylko za czas. Nie musiał rozliczać się z wyników. Był zbyt wielkim autorytetem. Jeśli on czegoś nie załatwił, to pewnie nikt nie był w stanie.

– Mamy do pana prośbę.

– My?

– Ja i klient, którego interesy wydają się zbieżne z pańskimi.

– Kim jest ten klient?

– Tego nie mogę ujawnić.

– Czego chce?

Stanowski zerknął do notatek, starając się niczego nie pomylić.

– Jest pan przyjacielem prezesa Makaronów Mazurskich, prawda?

– Znamy się jeszcze ze studiów, nie zrobię nic przeciwko Jankowi.

– Ale my nie chcemy, żeby pan zrobił coś „przeciwko”. Wręcz przeciwnie.

– To znaczy?

– Mój klient reprezentuje pewien bank, któremu bardzo zależy na poszerzeniu bazy klientów i pozyskaniu Makaronów Mazurskich. Jest gotów z tego powodu zaoferować wyjątkowo dobre warunki.

– Jeśli Janek uzna ofertę za dobrą, z pewnością się dogadają.

– No właśnie problem w tym, że pan Janek nie chce nawet rozważyć naszej propozycji. Mimo że obsługujący go bank wielokrotnie nadużył zaufania, on pozostaje lojalnym klientem.

– Taki jest. Skoro uznał, że nie ma interesu w zmianie banku, to tego nie robi, a ja nie zamierzam na niego wpływać.

– Nie chcemy niczego wielkiego. Oczekujemy tylko możliwości przedstawienia oferty. Jest znacznie atrakcyjniejsza od ofert innych banków, wszyscy na tym zyskamy. W szczególności pana przyjaciel.

Podejrzany patrzył badawczo w oczy profesora. Nie wyczuwał żadnego podstępu. Może to prawda, może nikt tu nikogo nie chce wrabiać...

– Tylko przedstawienie oferty?

– Tylko.

Dyskusja trwała jeszcze kilka minut. Ustalili szczegóły i zastrzegli granice, w których mogą się poruszać. Podejrzany zgodził się wypełniać polecenia Stanowskiego. Profesor opuszczał więc prokuraturę w doskonałym humorze. Kiedy jednak ruszył w kierunku parkingu, uśmiech zniknął z jego oblicza.

– Musimy szczerze porozmawiać, panie profesorze – powiedział Adam Bonar, który czekał nań oparty o jego mercedesa klasy S.

– Wspólny tekst?

– Opublikowany jednocześnie w dwóch gazetach.



– „Tylko Prawda” i „Express Finansowy” razem? Zwariowaliście?

Kuba uśmiechnął się. Nie myślał, że kiedykolwiek będzie miał jeszcze okazję siedzieć przed naczelnym „Expressu Finansowego”. Po tym, jak ich drogi się rozeszły, „Express” okazał się zdrajcą, a Kuba nie pozostał mu dłużny, opisując w książce niechlubne praktyki gazety – w zasadzie nigdy nie powinni zasiąść przy jednym stole. Co więc tu robi? Czemu w ogóle chce rozmawiać o publikacji? Może naprawdę zwariował...

– Dlaczego? – zapytała Kasia, która była w zupełnie innej sytuacji. Przekonywała Kubę, że „Express” się zmienił. Że naczelnemu naprawdę zależy na robieniu porządnej gazety, że nie ma mowy o dawaniu dupy za reklamy.

No dobrze – pomyślał więc – zobaczymy, co z tego wyniknie.

Naczelny jednak wciąż był skonsternowany i nastawiony negatywnie.

– Tak... się nie robi – tłumaczył. – Jedna gazeta coś publikuje, inne albo podejmują temat, albo próbują udowodnić, że tamta nie ma racji.

– Przecież robimy czasem materiały wspólnie z telewizją czy radiem – upierała się Jarosz.  
– Więc dlaczego nie z gazetą?

– Bo jesteśmy konkurencją. Walczymy ze sobą o czytelnika.

– W wyjątkowych wypadkach powinniśmy współpracować. Takich jak ten.

Naczelny zacisnął usta, a po chwili zaczerpnął głęboko powietrza. Odetchnął. Kuba zauważył, że stara się omijać go wzrokiem, nie zauważać. Choć używał formy „wy”, zwracał się wyłącznie do Kasi. Jego traktował jak zadżumionego.

– Założmy... tylko założmy, że się zgodzę. Co z tego będę miał?

– Sensacyjny materiał... Takiej afery dawno nie było na jedyńce. Na dodatek rzadko się zdarzają tak udokumentowane zarzuty. Sędzia ogłaszający upadłości wyznacza syndyków, a ci wyprzedają za bezcen wartościowe nieruchomości i rzeczy jednemu z wierzycieli, wielkiemu i znanemu bankierowi, u którego dodatkowo zarabiają, on zaś odsprzedaje rzeczonemu sędziemu za równie niską kwotę wielki i wartościowy statek. Czyż to nie wspaniała afera? Sędzia korzystający z majątku spółek, których upadłość sam ogłosił.

Naczelny spojrział w okno.

Chyba się waha – pomyślała Kasia – chyba rzeczywiście Kuba mu aż tak bardzo nie przeszkadza, choć na pewno chodzi tu głównie o niego. Gdyby to był inny dziennikarz, problemu by nie było.

– Co to za sensacja, jak nie ma zabójstwa dziecka ani księdza pedofila? – zażartował szef.

Dobrze, skoro żartuje, to jest już prawie przekonany.

– Mało śmieszne – wtrącił Kuba. – Spadku wpływów i siły opiniotwórczej nie powstrzymamy, ale zawsze możemy próbować. Nasz materiał naprawdę poruszy niebo i ziemię.

– Sam nie wiem... bronić oszusta...

– Nie jest oszustem. Poza tym... To ma być tekst o Foglu i Księżnym, nie o Bonarze. Skandal korupcyjny w sferze bankowo-sądowej jest ciekawszy niż jakiś biznesmen od leasingu zamieszany w oszustwo, które... wygląda cienko. Chyba nikt nie będzie miał tu wątpliwości, kto jest prawdziwym winnym. Przestań szukać pretekstu. Dostaniesz supermateriał.

– Nie wątpię. Dlaczego jednak... miałbym dzielić się nim z „Tylko Prawdą”?

Choć było to oczywiste, Kasia mówiła z takim przejęciem, jakby rzeczywiście chciała przekonać naczelnego argumentami:

– Bo Kuba dla nich pracuje. Nie może dać tekstu tylko u nas.

Tu nie chodzi o logikę, dziewczyno, tu grają emocje.

– A dlaczego nie możecie napisać dwóch tekstów? Każde oddzielnie?

Kasia nie powiedziała tego, co cisnęło jej się na usta. Pracowaliśmy nad tą sprawą razem nie po to, żeby teraz dokonywać jakichś sztucznych podziałów, bucu. To nasz temat. Wspólny. Mój i Kuby. My nie jesteśmy wyrobnikami w fabryce. Pracujemy dla społeczeństwa, nie dla twojej pieprzonej duńskiej korporacji, która udaje etyczną, a ma w dupie prawdę i sprawiedliwość, podobnie jak sędzia i bankier, których chcemy opisać. Dla was liczy się tylko kasa. Dla nas – interes społeczny, możliwość zmiany rzeczywistości, walki ze złem i naprawienia jego skutków. Gazeta jest tylko nośnikiem naszych informacji. Umożliwia ich przekazanie. Nic więcej. Dlatego nie obchodzi nas, czy masz uraz do Kuby, czy reklamodawcy się nie obrażą i czy dostaniesz nowe volvo do testowania.

Zbyt górnolotne to moje myślenie? Pewnie tak. Dlatego zachowam je dla siebie i dodam tylko: pierdolę twoje wątpliwości.

Piszę ten tekst z Kubą albo wcale!

– Posłuchaj, to duża szansa, żeby gazeta odwróciła trend. Pokazała, że nie chodzi na pasku reklamodawców, że ma swoje zdanie i dba o czytelnika. Po tej aferze z Kubą dużo straciliśmy, mało kto nam wierzy.

– Sama nie wiesz, co mówisz. „Express” jest najbardziej opiniotwórczym...

– Poczytaj fora dyskusyjne. Te ważne, a nie hejterskie. Tam pamiętają, jak postąpiliśmy z Kubą i jak pisaliśmy teksty po stronie KDI, przeciwko niemu. Pamiętają do dziś i będą nam to wypominać do końca naszych dni. Ciężko będzie to całkowicie wymazać, jednak możemy teraz coś naprawić.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

– Tak, a co? Lepiej nie rozmawiać o własnych problemach, prawda? Wtedy się o nich zapomina. Udajemy, że tematu nie ma. To skuteczna taktyka, lecz dla mediów zabójcza. Teraz każdy może nam zarzucić, że skoro sami nie potrafimy komentować grzechów, to dlaczego innych z nich rozliczamy.

– Potrafimy...

– Naprawdę nie jest ci głupio, że to Kuba miał rację, a ci maklerzy z KDI są bandziorami? Że stanęliście po stronie zła, przeciwko czytelnikom? Nie jest ci zwyczajnie wstyd? Ludzie stracili przez tych oszustów masę pieniędzy, a „Express” niemal do końca ich bronił. Dopiero... później zmieniliście front.

– Ale zmieniliśmy.

– Pokaż, że masz jaja. Tylko. Albo aż tyle.

Sędzia Fogel odłożył słuchawkę i ukrył twarz w dłoniach. Sytuacja zaczęła go przerastać. Artykułu w gazecie nie można już zablokować, mimo nacisków bankierów i przyjaciół ze służb. Nieprawdopodobny początkowo scenariusz zaczął się ziszczać. Dawniej wszystko mogli. Żaden pismak nie miał odwagi ich zaatakować. Naprawdę tak wiele się zmieniło? A może po prostu nastąpiła jakaś systemowa zmiana, którą zlekceważył i przegapił? Przyjaciele przestali go potrzebować, zdradzili? Może został wyznaczony na kozła ofiarnego i wiedzą to wszyscy prócz niego? To działa tak prosto?

Jednak najbardziej go dołowało coś zupełnie innego. Coś, co sprawiało, że w tych dniach prawie w ogóle nie myślał o problemach zawodowych i medialnych. One stały gdzieś z boku, nieprzyjemne, groźne, być może nawet kluczowe dla jego kariery. Jednak wobec tego, co stało się wczoraj, były bez znaczenia.

Jego piękna, jedyna, wspaniała żona powiedziała mu z samego rana, tuż przed wyjściem do pracy, że chce rozwodu.

– Jak to? – nie rozumiał.

Przez te dwie, trzy sekundy, gdy czekał na odpowiedź, przed oczami przebiegło mu całe życie. Szkoła podstawowa w prowincjonalnym miasteczku, za oknami pełzający ostatkiem sił komunizm, szara rzeczywistość i strach przed zmianami. Ojciec sekretarz, partyjny dygnitarz średniego szczebla, jego przyjaciele milicjanci, nauczyciele przysposobienia obronnego, rusycystka z nieopanowanym, klekoczącym śmiechem, wujek ormowiec, wiszący nad nimi złowieszczy cień zmian, które ostatecznie udało się przeczekać, przemilczeć i rozpocząć nowy etap życia, w wolnej Polsce.

Zmieniło się tak wiele, a jednak prawie nic.

Wujek i przyjaciele przestali chodzić w mundurach, założyli kantory, biura ochrony, wsiedli do prywatnych taksówek, uruchomili kasy pożyczkowe, by w końcu w większości wrócić do administracji, samorządów, nowych partii politycznych, banków.

Ojciec otworzył biuro doradcze, zaplanował mu studia, pomógł, kiedy było trzeba, a gdy nie potrafił, pomagali inni.

Młody Fogel chciał być adwokatem, jednak ojciec przekonał go w końcu do aplikacji sędziowskiej. To nic, że u nas sędzia jest na końcu łańcucha. Że zarabia mało. To nic, że bardziej się ceni adwokatów, prokuratorów, a nawet zwykłych radców. To się zmieni.

A w życiu najbardziej liczy się władza. Nikt nie ma większej władzy od sędziego. Poczekaj cierpliwie, poczekaj na zmiany. Poczekaj na swoją szansę.

Nadeszły, powolnie, pełzając w smrodzie i zaduchu biednych sal wypełnionych starymi meblami, o ścianach pokrytych obdrapaną emalią. Za późno, wcale nie były wyczekiwane. Przez ten czas zdążył sam zadbać o siebie, przeskoczyć ojca, przebić jego intrygi i znajomości.

Stał się sędzią Foglem. Ważnym, niezwykle ważnym sędzią. Szanowanym, wpływowym, majątnym.

A wszystko to dla niej, dla tej najcudowniejszej stokrotki, pierwszej i jedynej kobiety, jaką miał. Która spędziła z nim lata trudów, upokorzeń, zmian, powolnej wspinaczki po szczebelkach kariery, zdobywania bogactwa. Dla niej! Nawet nie dla tej dwójki odchowanych już, dorosłych, wkraczających w świat samodzielnych doświadczeń dzieci. Dla niej! A ona teraz, po tylu wspólnych latach, mówi, że chce rozwodu.

I na dodatek grozi:

– Jeśli mi go nie dasz, ujawnię twój prawdziwy majątek i twoje machinacje.

– Ale dlaczego? Dlaczego mi to robisz?

Skrzywiła się, nie mogąc ukryć obrzydzenia. I Fogel w końcu zrozumiał, że zupełnie inaczej widział swój świat niż ona. Pytanie, które z nich kłamało...

– Nie wiesz? Nic nie widzisz? Nie widzisz, jakim stałeś się człowiekiem?

Podjął ostatnią próbę.

– Zmienię się. Co tylko powiesz... Zrobię...

– Chcę tylko jednego. Rozwodu.

**SĘDZIA, BANKIER, MAFIA...**

„Znany sędzia i nie mniej wpływowy bankier stworzyli układ przestępczy do wyprowadzania majątków z bankrutujących firm. Proceder szedł zgodnie z szatańskim planem, dopóki ograbiali państwowe przedsiębiorstwa. Ostatnia ofiara, firma leasingowa Selac, postanowiła walczyć. Jak to się skończyło? Przeczytacie już jutro w «Expressie Finansowym» i «Tylko Prawdzie»”.

Zimny skończył pisać zajawkę do netu i spojrzał na Kasię, która skrzywiła się nieznacznie.

– Za dużo ozdobników. Kiepsko się czyta. No i chyba jednak za bardzo wprost. Przegramy proces, jeśli tak napiszemy.

– Musimy zachęcić czytelników.

– Ale nie tak prostacko...

– Napisz lepiej.

Kasia przeredagowała materiał i przyjrzała mu się nie mniej krytycznie.

– Może i lepsza była poprzednia wersja...

– Nie, twoja jest okej. Zresztą... tutaj wystarczy dać sam tytuł.

– *Sędzia, bankier, mafia*. Trudno nie przeczytać.

Zimny napisał wstęp i zakończenie, a potem zaczął dopracowywać tekst stworzony przez Kasię.

– Nie masz nic przeciwko?

– Czemu?

– Że go poprawiam.

– Będzie lepszy.

– Wcale nie czuję się lepszy.

– Ty nie, ale tekst będzie. Zawsze jest lepszy, jak go przeczyta parę osób i zasugeruje coś lub poprawi. Na tym polega każda redakcja.

– Wiem, mimo to jestem przywiązany do tego, co sam zrobiłem. Oczywiście normalna redakcja może być, ale ja ci tu jednak dużo zmieniam i opisuję.

– Zmieniam sobie.

Artykuł w pierwszej wersji miał prawie trzydzieści tysięcy znaków, był trzy razy za długi, by zmieścić się w „Expressie”, nawet przy złamaniu zasad gazety, które zabraniały publikować jeden materiał na więcej niż dwóch kolumnach. W „Tylko Prawdzie” nie było takich ograniczeń, ale Zimny nie chciał tworzyć dwóch wersji.

– Zresztą krótszy tekst będzie lepszy. W tym przypadku nie powinno nam chodzić o styl, tylko o przekaz. Mamy w zwięzłej formie pokazać, na czym polega działalność tej szajki. Dowody i pełną dokumentację możemy wrzucić na FTP.

– *Szajka*. Dobry tytuł.

– Na książkę tak, do gazety nie bardzo, chyba że na jedynekę. Może zostawimy ten z internetu?

– Niedobrze powtarzać. To może być podtytuł.

– *Szajka*, podoba mi się.

– Lepiej brzmi: *Szajka sędziego Fogla*.

– Jeśli wytoczy nam sprawę, będziemy mieli małe szanse na wygraną.

– Nie byłabym pewna.

– Atakowanie sędziego z nazwiska będzie przyjęte jak rękawica rzucona całemu środowisku.

– Myślisz? A ja sędzę, że oni rozumieją nasz przekaz.

– To znaczy?

– Że solidarność zawodowa to pojęcie z gruntu fałszywe. Podanie nazwiska zostanie przyjęte jak atak na konkretnego człowieka, a nie grupę zawodową.

– Mimo to zaczną się bać, że będą następni.

– Jeśli mają się czego bać...

– Fogel na pewno nie jest jedyny, ale czy to margines, czy większość, trudno powiedzieć. Jak lekarze, dziennikarze, policjanci, tak i prawnicy mają swoje mroczne strony i powinni z nimi walczyć.

– Idę o zakład, że to się skończy pokazowym procesem i wyciszonym wyrokiem.

– Obyś się myliła.

Tekst był mocny i dobrze udokumentowany. Choć nigdzie nie napisali wprost o mafijno-korupcyjnym układzie, dla każdego czytelnika było jasne, co zarzucają sędziemu, syndykowi i bankierowi.

– Może nawet bardziej dałoby do myślenia, gdybyśmy przedstawili to na wykresie lub schemacie – zaproponowała w pewnej chwili Kasia. – Przedsiębiorstwo państwowe ma kłopoty, bankier składa wniosek o upadłość, sędzia go klepie, wyznacza syndyków dogadanych już wcześniej z bankierem, bo tak naprawdę pracujących dla niego, a ci sprzedają po zaniżonej cenie najwartościowsze składniki majątku swojemu mocodawcy. Lepszego tematu na grafikę nie znajdziesz.

– Dobry pomysł.

– Co robimy z Foglem?

– Jak to co robimy?

– Puszczamy tekst bez jego komentarza?

– Księżny odmówił spotkania, Fogel też – zaznaczył Zimny.

– Nie do końca odmówił – przypomniała Jarosz. – Napisał, że chętnie wyjaśni wątpliwości, jeśli obowiązki pozwolą, a sprawy nie będą na etapie rozstrzygnięć. Sądowi nie wolno komentować spraw, które są w toku.

– Zgrabny wybieg, nie chce gadać, to nie.

– Dajmy mu chociaż ostateczny termin.

– Wtedy będzie wiedział, kiedy ukaze się artykuł.

– Co z tego? I tak już go nie zablokują.

„Tragiczny wypadek na warszawskim Mokotowie. Kierowca ukraińskiego tira stracił panowanie nad pojazdem i staranował dziesięć aut osobowych. Co najmniej trzy osoby nie żyją, kilkanaście jest rannych”.

Księżny ściszył radio i spojrzął na Mochnackiego, jakby chciał powiedzieć: „Same wypadki w tym mieście, może też powinieneś uważać”.

Mochnacki aż się wzdrygnął. Miał złe przeczucia. Śmierć Rekosza była zaskakująca i gwałtowna, przyjaciel nigdy nie wspominał, że ma problemy z sercem. Może po prostu nie wytrzymał. Ćwiczenia, wieczne próby zabicia strachu pokazówką, masa stresów i wewnętrznych demonów...

Zabawne... Silny facet umiera, oglądając stary film w kinie.

– Szkoda, że na trasie tego tira nie było Zimnego i tej psiuty.

– Kto wie, może byli. – Księżny uśmiechnął się zagadkowo, jakby chciał przekazać, że to jego robota.

W rzeczywistości jednak był mocno zdenerwowany i zupełnie nie myślał o jakichś ukraińskich tirach, a już na pewno nie wiązał ich ze śmiercią Rekosza.

Miał inne, znacznie poważniejsze zmartwienia.

Z centrali banku we Francji otrzymał dziś maila, że jacyś dziennikarze proszą o komentarz dotyczący różnych transakcji i operacji, w jakich uczestniczył bank. Odpisał, że to nieprawdziwe insynuacje, i doradził, żeby nie udzielać żadnego komentarza, bo to będzie lepiej wyglądać w sądzie. Jeśli dziennikarz umieści w tekście informację, że rozmawiał ze stronami konfliktu, i zacytuje jakieś opinie lub uzasadni ich brak, w świetle prawa ciężko będzie mu coś zarzucić. Brak komentarza jest procesowo znacznie wygodniejszy. Zawsze można kłamać, że dziennikarz nie próbował się skontaktować. Nie dał stronie szansy obrony.

Mimo wypowiedzianych w duchu deklaracji: „Nic się nie stało, nic nam nie grozi”, czuł, że z tą sprawą będą mieli jeszcze masę problemów.

– Nic nam nie zrobią – podkreślił. – Nie mają żadnych dowodów.

– Pytali mnie o komentarz – słabo zaznaczył Mochnacki.

– Mam nadzieję, że odmówiłeś?

– Odmówiłem, ale...

– Do mnie też dzwoniли. Pewnie i do Fogla. Żadna rozsądna gazeta nie zadrze z nami na



poważnie. Nie zaryzykuje tak karkołomnej tezy. Układ sądowo-bankowy? Tylko wariat mógłby coś takiego wymyślić. Tekst będzie, nie można go zablokować, ale nie wierzę, żeby był szczególnie mocny. Redakcja i prawnicy z pewnością przyhamują zapędy tych dziennikarzy do rzucania bezpodstawnych oskarżeń. Jak będziemy się dobrze bronić, sprawa ucichnie, a my w ramach zabezpieczenia procesowego załatwimy zablokowanie dalszych tekstów.

– Sąd w tej sytuacji może odmówić...

– Dlaczego wszyscy nagle martwią się sądami? Znam prawników, którzy potrafią tak zabezpieczyć sprawę, że filmy i materiały dziennikarskie leżą na półkach przez dziesięć lat. Ten Zimny będzie musiał się dostosować.

– A nie da się... nie da się.... tak po prostu... no bo wiesz...

– Powiedz, o co ci chodzi. Bez kluczenia.

– Nie da się tak, żebyśmy nie brali w tym udziału? Żeby nie było żadnego artykułu?

Księżny milczał. Zwiesił głowę i pomyślał o filmie, na którego premierę dostał ostatnio zaproszenie od jakiejś galerii sponsorowanej przez bank. *Drogówka*. Pokręcony, brzydki, przygnębiający obraz, a przy tym jaki zabawny. Rechotał na głos przy większości scen, ale wychodząc z kina, miał niebywałego kaca, jakby wypił razem z tymi gliniarzami morze wody. Potem rozmawiał na przyjęciu z przyjaciółmi, z których każdy mógłby być bohaterem tego filmu. „To kiedy robimy przekręt w saunie i z dziewczkami?! – zawołał prezes pewnej korporacji. – Pamiętacie *Wall Street*? W zamierzeniu miała to być krytyka takich gości jak Gordon Gekko. Zamiast tego Gekko został idolem młodych finansowych wilczków, którzy potem cytowali jego teksty jako kultowe. «Chciwość jest dobra»”. Nikt nie uznał *Drogówki* za film bijący w środowisko. Wiedzieli, że w prawdziwym życiu nie ma możliwości, by taśmy prawdy o układzie pojawiły się w mediach. Chyba że jednej grupie zależałoby na udupieniu drugiej. Wtedy to co innego. Komu więc zależy na udupieniu ich?

– Robię, co mogę.

„Kierowca zbiegł z miejsca wypadku” – zaskrzeczało cicho radio.

Księżny spojrział na odbiornik, a potem na Mochnackiego. Oczy syndyka patrzyły wyczekująco, z niemą pretensją. Obiecywałeś, że nie będzie problemów, że masz ich w kieszeni. Obiecywałeś, że żadne media, sądy i służby nigdy się do nas nie przyczepią. Kłamałeś. Nie chcę być bohaterem artykułu w gazecie. Nigdy nie byłem medialny. Nie jestem tobą.

– Twoja rola i Rekosza z pewnością nie będzie w tym artykule kluczowa. To mnie chcą

pacnąć i Fogla.

– Pewnie tak... ale... hm, jesteśmy jedną załogą. Jak na regatach.

– Właśnie. Jak na regatach. Oglądałeś *Drogówkę*?

Mochnacki nie od razu skojarzył.

– Dopiero zamierzam.

– Obejrzyj, koniecznie. Pada tam jedno bardzo mądre zdanie...

– Tak? Jakie?

– „Jak się będziemy trzymać razem, to nam chuja zrobią”.

Tekst zaskakującego duetu Zimny/Jarosz z hukiem trafił w giełdę i zaczynał się plenić jak wirus na rynku finansowym. O dziesiątej nie było innego tematu. Każdy z finansistów słyszał coś o Księżnym, nieliczni też o Foglu. Przykłady takie jak Broniewski, Star czy Wigry znali wszyscy. Nikt nie próbował ich jednak dotąd powiązać ani wskazać zależności. Wkrótce szansę wyczuli politycy. Jeszcze tego samego dnia dwie partie opozycyjne zorganizowały konferencje prasowe, zapowiadając wnioski o powołanie komisji śledczej.

– Nasze ugrupowanie nie pozwoli na zamiecenie sprawy pod dywan. Sprawiedliwość nie może być w rękach takich ludzi jak Fogel i Księżny – zapewniał prezes największej partii opozycyjnej.

– Wybuch afery nikogo nie dziwi. Rząd od dawna krył podobne sprawki. Tym razem już się nie uda – dopowiadał inny polityk.

Socjaldemokraci wygrzebali spod ziemi byłego parlamentarzystę Jerzego Świątką i oświadczyli, że ich poseł od dawna słał interpelacje w tych sprawach, o czym świadczą cytaty w tekście.

– Nie możemy pozwolić, by bankierom i sędziom uchodziło coś takiego na sucho.

Kasia przyjechała do niego dopiero wieczorem. Zdecydowali, że od teraz nie mogą już działać razem i kolejne komentarze będą pisać oddzielnie, każde dla swojej gazety.

– Ale żadnego ukrywania faktów – oświadczyła.

– Pełna wymiana – przytaknął.

Patrzyła długo na Kubę, a potem nagle rzuciła mu się na szyję.

– Hurra, udało się! Pokonaliśmy ich!

– Spokojnie. – Uwolnił się z jej ramion i cofnął o kilka kroków.

– Wygraliśmy, Kuba, oni przegrali. Afera jest za duża, by dało się ją zatuszować. Nic nam już nie zrobią. Komentarze są jednoznaczne i ostre. Posłowie żądają śledztwa, komisji śledczych. Do diabła... jesteśmy wielcy!

– Poczekajmy, co będzie dalej.

Kasia sięgnęła po butelkę i pociągnęła z niej parę łyków. Nie miała ochoty zastanawiać się, co będzie dalej, chciała się cieszyć, świętować. Pragnęła... Kuby. Chciała poczuć go blisko siebie. Chciała, by w pełni był z nią w tej chwili.

Podeszła i wtuliła się w niego.

– Co robisz? Poczekaj!

Krok po kroczku zbliżali się do łóżka. Nie zważała na jego opór.

– Kasiu, poczekaj!

Nic nie słyszała.

Leżeli w ciemności, paląc papierosy.

– Czego się boisz?

– Oni tak tego nie zostawią. Dziwnie się zachowali.

– Dlaczego?

– Zwykle znani biznesmeni oskarżeni o coś przez media zachowują się zupełnie inaczej.

Próbują za wszelką cenę przyblokować publikację, wynajmują najdroższych prawników i agencje PR-owskie. Straszą, proszą, błagają, wykorzystują znajomości i relacje, proponują reklamy, wreszcie, jeśli nic nie wskórają, przekazują temat konkurencyjnej gazecie, która albo całkowicie ich broni, albo, w najgorszym razie, opisuje sprawę znacznie łagodniej. W ten sposób w jednej gazecie czytasz o przestępcy, w drugiej o zaszczytnym przez media wizjonerze.

Historia dzieli się na dwie wersje. Która jest prawdziwa, nie wiadomo.

– W naszym przypadku tak nie zareagowali.

– Właśnie.

– To nie biznesmeni, tylko sędzia i bankier. Może dlatego...

– Srają kasą, mogliby zrobić to samo, a jednak milczą.

– Nie daliśmy im czasu na reakcję.

– A jeśli się okaże, że broniliśmy oszusta? Jeśli Bonar wcale nie jest taki święty?

– Masz wątpliwości?

– Nie, jednak zbyt często się zdarza, że dranie są po obu stronach sporu. Może czegoś nie dostrzegliśmy.

– To napiszemy o tym. Nie jesteśmy nieomylni. Nie musimy zawsze stawiać na właściwą kartę.

– Więc co sądzisz? Dlaczego nie reagują?

– Po prostu mają inny plan.

– Jaki?

– Skąd mam wiedzieć? Nie potrafię przewidzieć każdego ruchu wroga.

– Wroga? Kuba Zimny zawsze powtarzał, że nawet o najgorszym bohaterze, jakiego opisuje, nigdy nie myśli jak o wrogu.

- Tak? Nie przypominam sobie.
- Mam znaleźć cytat? Poczekaj...
- Wiesz co... Kuba Zimny często kłamie. Szczególnie gdy mówi o sobie.

Kasia spojrzała w jego stronę.

- Też jestem kłamczuchą. Lubię oszukiwać.
- Zauważyłem.
- Sprawdźmy, kto kogo okantuje?

Profesor Stanowski wciąż był nieufny. Nie wierzył Bonarowi, że ten zrezygnuje z zemsty i ujawnienia jego roli w sprawie w zamian za zmianę frontu. Na razie jednak media rzeczywiście go oszczędzały, a Fogel z Księżnym zdawali się przegrywać.

Cóż, jestem tylko skromnym profesorem prawa, człowiekiem do wynajęcia. Moim klientem jest spółka Selac, a nie Fogel, Księżny czy syndycy. Działam w imieniu i interesie akcjonariuszy. Zawsze mogę sobie tak wytłumaczyć miękki kręgosłup moralny. Powtarzając te wyświechtane slogany wystarczająco często, jestem w stanie w nie uwierzyć. Bonar mnie wynajął, ale w pewnej chwili interes spółki stał się istotniejszy od osobistego interesu prezesa. Nie mogłem zrobić nic innego, jak tylko stanąć po stronie Księżnego. Rozumie pan to, panie Bonar, prawda?

Bonar jednak nie oczekiwał wyjaśnień. Przedstawił mu ofertę i dał minutę na odpowiedź. Zgadza się pan albo nie, panie profesorze. Jeśli nie, gazety opublikują oświadczenie na temat pańskiej roli w upadłości Selacu i procederze uprawianym przez Fogla.

- Nie mam z nimi nic wspólnego – zapewnił profesor. – Nie należę do tej grupy.

Tak, wykonuję polecenia swoich klientów, działam w ich najlepszym interesie. Nawet jeśli kłóci się to z etyką. Interes klienta stoi ponad etyką. No, chyba że jest to sprzeczne z moim osobistym interesem.

- Minuta, profesorze – powtórzył Bonar.

Prawnik nie wiedział, czy ten przypadkiem nie blefuje. Skinął tylko głową. Zgoda. Zrobię, co pan sobie życzy.

- Mam nadzieję, że tym razem mogę naprawdę na pana liczyć.

Znów skiniecie. Po krótkim, ledwie dostrzegalnym zawahaniu.

Od tej rozmowy Stanowski dwukrotnie spotkał się z Bonarem. Za pierwszym razem przyniósł do poprawki napisane przez siebie pismo procesowe, gdyż Bonar nie chciał, by cokolwiek było przesyłane mailem. Drugie spotkanie miało miejsce dwa dni później

i profesor przybył na nie już z pełną dokumentacją. Bonar przeczytał główne pismo i przejrzał uważnie załączniki.

– Dziękuję. Proszę o podpis. – Podsunął mu ostatnią stronę.

Stanowski chrząknął.

– Cóż, czy to na pewno jest konieczne?

– W końcu pan reprezentuje spółkę, czyż nie? Syndycy nie wypowiedzieli panu umowy.

– No tak. – Stanowski z ociąganiem wziął pióro marki Parker i złożył podpis. – To wszystko?

– Na razie tak. Jest pan wolny, profesorze.

– Cóż. – Prawnik czuł się niezręcznie, patrząc w oczy człowiekowi, którego wcześniej oszukał. – Przykro mi, że tak wyszło.

– Wyszło – powtórzył Bonar i uśmiechnął się z triumfem.

Stanowski pewnie długo będzie się potem zastanawiał nad przyczynami jego dobrego humoru.

Gdy profesor wyszedł, drzwi prowadzące do sąsiedniego pomieszczenia otworzyły się i do pokoju wszedł Grubber w towarzystwie mecenasa Konstantego Białkowskiego.

Białkowski był powszechnie zaliczany do grona najlepszych prawników w kraju, a co ważniejsze – należał do elitarnego kręgu mecenasów z twardym kręgosłupem moralnym. Nie dawał i nie przyjmował łapówek, dobro klienta było dla niego święte i w sądzie walczył o nie jak lew przeciw wszelkim układom.

Specjalizował się w odszkodowaniach, ale reprezentował też znanych polityków i domagał się surowego rozliczenia z przeszłością w sądownictwie. Nie krył złości z powodu niskich odszkodowań przyznawanych ofiarom stanu wojennego, patriotom walczącym o wolność. Był nieprzejednanym krytykiem nierównego traktowania w sądach i wszechobecnym układów. Gdy przeczytał o sprawie Bonara, a następnie posłuchał opowieści Grubbera, od razu przystał na propozycję reprezentowania biznesmena.

– Ta świnia Stanowski nie przeczuwa podstępów. Zdradzi cię, Adamie – powiedział.

Białkowski nie wierzył w sprawiedliwość w polskich sądach, uważał, że jedyną drogą jest postępowanie zgodnie ze sztuką, kompletowanie dokumentacji, a po wykorzystaniu środków odwoławczych – kierowanie spraw do Strasburga.

Coraz lepiej rozumiał to Sąd Najwyższy, dzięki czemu Białkowski i jego klienci nie stali już na tak przegranej pozycji jak jeszcze dziesięć lat wcześniej.

Mecenas nie miał żadnych skrupułów, proponując Bonarowi, by w ich planie wykorzystać Stanowskiego.

- Bardziej się martwię, że nie zdradzi – odparł biznesmen.
- Nie martw się, Adamie. Takie łajzy zawsze zdradzają. Jeszcze dziś poleci do Fogla.
- Albo do kogoś wyżej.
- Właśnie.

Ranek przyniósł kolejne zaskoczenie. Francuski właściciel Polskiego Banku Gospodarczego poinformował, że odwołuje z Polski nadzorcę Wojciecha Księżnego i deleguje do rady nową osobę, która docelowo przejmie kierowanie spółką.

„Z uwagą obserwujemy też doniesienia polskich mediów na temat rzekomych nieprawidłowości w postępowaniu banku. Zapewniamy, że kwestie te zostaną dogłębnie zbadane i wyjaśnione. W razie potwierdzenia się zarzutów wyciągniemy konsekwencje” – brzmiało krótkie oświadczenie francuskiej spółki matki.

– Wciąż nie wierzysz, że wygraliśmy? – zapytała przez telefon Kasia. – Księżny jest na wylocie. Na popołudnie zapowiedziano konferencję Ministra Sprawiedliwości. Podobno ma ogłosić, że sprawą Fogla zajmie się sąd dyscyplinarny. To nie sen, Kuba, to się dzieje naprawdę.

Tak, naprawdę. Przypomniał sobie oświadczenia po sprawie KDI, z których nic ostatecznie nie wynikło. Owszem, politycy obiecywali naprawę, powołanie specjalnych zespołów, zmianę w procedurach i przepisach... Dużo obiecywali. Robili przy okazji prawdziwe trzęsienie ziemi. Ale skończyło się jak zwykle: wymianą niewygodnych kadr i powrotem do starych zwyczajów. Po pół roku afera nikogo już nie obchodziła.

Jeśli media jej nie pilnowały, umierała, a w tym przypadku tak było. Mediom zbyt było wstyd za zaniedbania i nierzetelne opisywanie sprawy, by śledzić dalsze jej konsekwencje.

W efekcie KDI szybko zyskał naśladowców. Inni maklerzy przejęli schedę i robili swoje wałki, jeszcze gorsze, drukując miliony akcji, tworząc spółdzielnie, rozsiewając nieprawdziwe informacje tylko po to, by przyciągnąć naiwnych, nieświadomych inwestorów szukających okazji, a potem z rozgoryczeniem odnotowujących ogromne straty. Nikt nie rozliczał tych maklerów za nieprawdziwe raporty, kreatywną księgowość, podkręcanie wyników przed audytem, wyprowadzanie zasobów do rajów podatkowych, oszustwa z lokowaniem pieniędzy klientów w bardziej ryzykowne instrumenty, niż zakładała strategia funduszy, ściemy z rzekomymi inwestorami zainteresowanymi przejęciem akcji.

Podobnie było z korporacjami, które, owszem, przyznawały się do korumpowania urzędników, zapowiadały wielkie oczyszczenie, płaciły kolosalne czasem kary amerykańskim instytucjom nadzorczym, wyrzucały winnych, reorganizowały struktury. A potem wszystko wracało do normy. Znowu zaczynały się prezenty świąteczne, wyjazdy na szkolenia i pokazy referencyjne w dalekich, ciepłych, turystycznie atrakcyjnych krajach, drobne podarunki zmieniały się w większe, aż w końcu ktoś zagrywał *va banque* i wyciągał walizkę z milionem dolarów. Dla kontraktu wartego miliardy standardowe pięć procent wziętki stanowiło atrakcyjny argument.

– Poczekamy, zobaczymy.

– Skąd w tobie ten pesymizm? Dlaczego wszędzie musisz szukać spisków, drugiego dna, podejrzeń?

– Taki już jestem. Za łatwo poszło. A może... nie, nic.

– No powiedz!

– Może wcale nie opisaliśmy prawdy.

– Przecież mamy to udokumentowane. Na każde słowo dowód. Księżny i Fogel kierowali mafią wyłudzącą majątek z państwowych firm. – Pomyślała o Bonarze i Cesarzu. – I nie tylko państwowych – dodała.

– A jeśli dotarliśmy tylko do płotek i ktoś je w tej chwili poświęca, a my się cieszymy z pozornego sukcesu?

– Kto miałby być wyżej? Jakiś generał, premier, prezydent? Przestań, Kuba. To ty mi mówiłeś, by nie wchodzić w dyskusję o teorii spisku. Interesują nas fakty, dowody, to, co namacalne, a nie wyimaginowane, pamiętasz? Wyobraźnia jest dobra w powieści i kinie, w dziennikarstwie kończy się wpadką. Więc nie marudź. Właśnie załatwiliśmy prezesa banku i jednego z najbardziej znanych prawników w kraju, wszechwładnego sędziego. Zostali znokautowani. Nie podniosą się. Kto miałby być wyżej?

– Nie wiem.

– Więc ciesz się razem ze mną i nie biadol.

– Cieszę się – skłamał.

– Mogę do ciebie przyjechać? – zapytała, zupełnie go zaskakując.

– Nie dziś – odparł nieco zbyt szybko. Dopiero po fakcie zdał sobie sprawę, że mógł ją tym urazić. – Przepraszam, potrzebuję trochę pobyć sam.

Zabrzmiało to jednak wyjątkowo słabo, szczególnie po ostatnich kilku dniach. Byli ze sobą,



sypiali, kochali się. W niedzielę zaproponowała mu wspólny spacer z Kubą Juniorem, jak go dla zabawy nazwał. Malec miał sześć lat i był wyjątkowo bystry. Oczy miał po Kasi, resztę prawdopodobnie po ojcu, kimkolwiek on był. Zimny co chwilę łapał się na dziwacznych myślach, jak ta, czy byłby w stanie być dla niego ojcem i czy zostałby zaakceptowany. Kupił malcowi w prezencie jakiś zabawkowy drobiazg. Chłopiec podziękował, ale był raczej mało zainteresowany. Za to zabawa śnieżkami i ganiecie po zimowym parku wychodziło im całkiem nieźle.

Chyba mnie lubi – pomyślał Kuba i sam się tego przeraził.

Z jednej strony chciał być blisko Kasi i chłopaka. Z drugiej – cały czas ktoś zapalał i gasił w jego głowie neon, który krzykliwie oznajmiał: NIE NADAJESZ SIĘ DO TEGO, CHŁOPIE. Nie chodzi o dziecko ani o cokolwiek z tobą – mówił Kuba w myślach do Kasi. Chodzi o mnie, o to, że nie jestem przygotowany na rodzinę, bycie z kimś, na odpowiedzialność. Jestem na to zbyt niesolidny, dziecinny, a może po prostu zbyt kocham samotność i lekkie, przyjemne życie bez obowiązków.

Skoro zaś się nie nadaję, to może powinniśmy to jak najszybciej przerwać, żeby nikogo nie zranić.

Czy po tym, co się stało, czy po tym wspólnym spacerze jest to jeszcze możliwe? Jeśli teraz uciekniesz, to rzeczywiście nikogo nie zranisz?

– Nic nie musisz – szepnęła.

– To nie tak, po prostu chcę nad czymś posiedzieć w spokoju.

– Siedź sobie.

Trzask!

Zimny popatrzył na głuchy już telefon. Czuł się podle, miał ochotę walnąć pięścią we własną gębę i zwyzywać się od najgorszych padalców. Ale jednocześnie ogarnęła go jakaś perwersyjna, bezwolna błogość. Ulga, że coś się skończy i już będzie poza nim, do zapomnienia. Nie był gotowy na stały związek. Nie był gotowy na kobietę z dzieckiem i to, co się z tym wiązało. Był samolubnym, egoistycznym sukinsynem.

– Masz prawo powiedzieć mi to w oczy i napluć w twarz. – Sięgnął po butelkę i usiadł nad notatkami ze sprawy, jakby pracą chciał odgonić myśli o uczuciach czy też ich braku.

Cała podłoga była zavalona stenogramami z nagrań, odręcznie robionymi zapiskami, kopiami akt, wydrukami ze stron internetowych, rejestrów sądowych, baz wiarytelności, wyciągów z portali dla syndyków i komorników.

Nie były posegregowane i uporządkowane, ale właśnie dzięki temu Zimny zawsze znajdował to, czego szukał. Nie wiedział, dlaczego tak się dzieje, ale ilekroć jakieś dokumenty poukładał i uporządkował, to potem nie mógł czegoś znaleźć.

– Co tu jest nie tak? – zapytał sam siebie.

Przez chwilę przeglądał zestawienia i tabele, po czym odłożył je na bok i ponownie zaczął czytać zapiski z rozmów z ludźmi poszkodowanymi przez bank, syndyków i sędziego. Nie znalazł nic, co mogłoby rzucić nowe światło na sprawę.

Wyszedł na taras zapalić i wpatrując się w śnieg, miał fragmenty zdań rozmówców. I wtedy coś nagle go ruszyło. Zrozumiał, że jednej rzeczy nie sprawdzili zbyt dokładnie.

Wyrzucił niedopałek i pospiesznie wybudził laptopa. Gdy ekran wyświetlił stronę wyszukiwarki, wpisał w okienko interesujące go imię i nazwisko. Otrzymał sto siedemdziesiąt pięć tysięcy wyników, jednak najbardziej interesujące były na pierwszej stronie.

Księżny z pokorą przyjmował kolejne ciosy. Mimo całej złości rozumiał, że jego rola musi być taka, a nie inna. Czasy, gdy mógł zablokować tekst czy w inny sposób pozbyć się dziennikarzy, minęły.

– Niech się wyszumia – przekonywał człowiek, który przyjechał do niego w nocy i przekazał decyzję PRZYJACIÓŁ. Komunikat był jasny, choć nie wypowiedziany wprost: „Będiesz twarzą tej afery i zabierzesz ze sobą Fogla. Tak naprawdę nic wam się nie stanie, nie zbiedniejecie, żadna krzywda nie spotka ani ciebie, ani sędziego, nie zostawimy was. Ale wojna musi się skończyć, musimy przełknąć tę pigułkę i wyciszyć sprawę. Ciebie nie da się już uratować. Francuzi zabiorą cię do Paryża, a może odeślą do kierowania jakimś centrum usług czy inną mało znaczącą instytucją. Fogel może nawet się uratuje. Nie będzie już tak potężny, zacznie działać z tylnego fotela, ostatecznie zakończy przygodę urzędniczą i rozpocznie naukową, by tam oddawać nam dalsze usługi. Ty... będziesz miał wakacje, choć kto wie, do czego jeszcze się nam przydasz”. – Interesy nie lubią wybuchów.

– Rozumiem – odparł, zaciskając pięści. Pozwolił na to, by go załatwili, i nie może się zemścić. Ale przecież nic nie straci, a ci głupi dziennikarze będą myśleć, że coś zmienili. Nie, kochani, nie zmieniliście systemu. Nic tak naprawdę nie osiągnęliście. – Mam zupełnie nic nie robić?

– Żadnych komentarzy i niepotrzebnego szarżowania. Żadnych prawników. Czekaj na ruch Francuzów. Zrobią audyt i przeniosą cię na stanowisko do centrali. Awans ci się przyda. Będziesz mógł spokojnie doradzać naszym francuskim przyjaciołom.

– Dobrze wiesz, że to kara. Wszyscy się dowiedzą.

– Taka jest nasza decyzja.

– Rozumiem.

– Poddaj się jej, nie walcz. Nikt nie potrzebuje przedłużenia tej afery. Ona przycichnie sama. Dziennikarze będą mieli wielki sukces, a my... spokój.

Do diabła z wami – pomyślał Księżny, ale nic nie odpowiedział.

Zostało mu już tylko czekać.

Na co?

Kto wie, co się może jeszcze wydarzyć...

Stanowski mocno uściśnął wypielęgowaną dłoń czarnowłosego mężczyzny, z którym kiedyś poznał go Kępiński. Nosił rzekomo nazwisko Rycki, ale Stanowski dobrze wiedział, że to tylko pseudonim, być może wymyślony na potrzeby spotkań z profesorami.

Rycki miał arystokratyczne rysy, wysokie czoło, około metra dziewięćdziesięciu wzrostu, wyprostowaną jak struna sylwetkę. Poruszał się sprężystym, równym krokiem, jak na defiladzie, nawet jeśli przemierzał tylko niedługi odcinek w gabinecie lub hotelowym pokoju, tak jak teraz.

Wypiął pierś, nabrał powietrza i złączył dłonie za plecami, prezentując wojskową, władczą postawę. Podziękował za poświęcony czas i przekazane „niezwykle cenne” informacje. Stanowski poczuł się nagle znacznie lżejszy i jakby oczyszczony. Przerzucił problemy na rozmówcę, a ten będzie już wiedział, co z nimi zrobić. W końcu przez cały ten czas od pierwszej rozmowy z Foglem zbliżył się nie tylko z sędzią, ale i z osobami, które wolały kryć się w tle.

– Jak bardzo jest to pewne, panie profesorze? – zapytał Rycki.

– Sam podpisywałem dokumenty.

– Nie mógł pan tego uniknąć?

– Bonar postawił mnie pod ścianą. Proszę pamiętać, że go reprezentowałem. Gdybym odmówił, wynająłby kogoś innego, a ja... cóż, nie mógłbym przekazać informacji panu.

Na twarzy Ryckiego nie drgnął żaden mięsień. Oblicze nie wyrażało strachu, zadowolenia, żadnych emocji. Doskonała twarz pokerzysty. Stanowski w żaden sposób nie mógł wyczuć, czy informacja go zdenerwowała.

Rozmawiali prawie dwie godziny. Mężczyzna zadawał konkretne, krótkie pytania, czasem zapisywał odpowiedzi.

Stanowski wyszedł pierwszy, Kępiński zaraz po nim. Rycki siedział jeszcze przez jakiś czas, usiłując poukładać fakty i myśli w głowie, ażeby jak najwierniej przekazać pozyskane informacje dalej.

Złożenie sprawy do prokuratury przez Bonara można było przewidzieć, nie sądził jednak, że to nastąpi tak szybko i że pismo będzie tak dobrej jakości, a dowody dość przekonujące. Na dodatek, co najgorsze, sprawa trafiła do mediów. Wprawdzie spenetrowali je równie dobrze jak banki i sądy, jednak dość istotne drobiazgi czyniły zasadniczą różnicę.

Urzędy i instytucje były przewidywalne, określone w procedurach. Gdy przegrywali w pierwszej instancji, gdy ktoś im nabruździł w urzędzie lub pomylił się w biznesowej decyzji – zawsze była droga odwoławcza, druga instancja, znacznie bardziej przewidywalna lub do kupienia.

Za to w przypadku mediów mógł się trafić jakiś wariat, którego nie można do końca kontrolować i który czasem umknie manipulacjom, jak ten Zimny. Od artykułu prasowego czy reportażu telewizyjnego nie było odwołań. Sprostowania i wygrane w sądach nie rekompensowały strat spowodowanych przez nieprzewidziane akcje dziennikarskie.

Ostatecznie uznał, że doniesienie do prokuratury jest dopełnieniem całości i nie ma się czym przejmować. Gazety opisały układ, nie podejrzewając nawet, jak dalekie są od sedna sprawy, Bonar ze Stanowskim donieśli na przeciwników, prokuratura sprawę zbada, a sądy może kiedyś osądzą. Nikt nie będzie szukał dalej.

Księżny i Fogel muszą to zaakceptować. Jak przystało na doświadczonych współpracowników, nie spanikują i nawet będą gotowi pójść do więzienia, do końca utrzymując, że działali sami, są niewinni i nie widzą własnych zaniedbań.

Jeśli wytrwają w takiej postawie, mało prawdopodobne, że w ogóle zostaną skazani. Księżny spędzi resztę życia na francuskiej Riwierze, Fogel poświęci cenny czas karierze akademickiej w swojej szkole, pożegluje „Piłsudskim” na Karaiby, przeczeka, aż media i ludzie zapomną.

Rycki i reprezentowani przez niego ludzie na zawsze pozostaną w cieniu, będą kontynuować działalność, którą tak skutecznie realizują i rozwijają od dwudziestu lat.

Pozostał tylko jeden słaby punkt w całej tej układance.

Jedna osoba miała zbyt dużą i cenną wiedzę. Mogła niezbyt chętnie przyjąć rolę ofiary.

\*\*\*

Fenix Business Club był jednym z nielicznych tego typu obiektów w Polsce i prawdopodobnie

jedynym tej klasy. Oprócz stadniny, pola golfowego, kortów tenisowych i ogromnego parku oferował najwyższej klasy sprzęt sportowy w kilku pomieszczeniach do fitness, w sekcji sportów walki, salach do szermierki, squasha i sportów zespołowych. Po wysiłku sportowym bywalcy spotykali się na basenie połączonym z sauną, a następnie wypijali drinka w barze lub klubie nocnym, gdzie przy cygarze mogli dodatkowo rozegrać partię brydża czy bilardu.

Sławek Janik pracował tu od roku dzięki wstawiennictwu stryja, który do wczesnej policyjnej emerytury dorabiał sobie na recepcji. Stryj nie lubił rozmawiać o przeszłości, cała rodzina jednak wiedziała, że ma coś na sumieniu i dlatego nie może dalej być policjantem. Za to byli koledzy o nim nie zapomnieli, a on nie zapominał o swojej rodzinie.

Wprawdzie Sławek skorzystał z protekcji, ale nie uważał, że było to coś niewłaściwego. Studiował na Akademii Wychowania Fizycznego i miał potrzebne do tej pracy kompetencje.

Zaczął jako stajenny, pomagał przy koniach, potem sprzątał i podawał piłki tenisowe, przeszedł przez obsługę pola golfowego, by w końcu po zrobieniu uprawnień zostać ratownikiem.

Lepszej fuchy nie mógł sobie wymarzyć. Basen w klubie był niewielki i płytki, większość „interwencji” dotyczyła więc pomocy przy nauce pływania lub doksztalcaniu samouków. Wieczorem był sam, w bardziej obłożone dni pracowali we dwóch lub trzech.

Czasem spotykali się już po pracy z dziewczynami z gabinetu kosmetycznego i spa. Po jednej namiętnej nocy, w czasie której nie popisał się zbytnio sprawnością seksualną, postanowił unikać kobiet z pracy. Było mu wstyd, na szczęście dziewczyna odpuściła sobie robienie mu „reklamy”. Choć i tak, ilekroć mijał jakąś kobietę z obsługi, odnosił wrażenie, że ta patrzy na niego z ironicznym uśmieszkiem i szepcze pod nosem: każdemu może się zdarzyć.

Tego mroźnego styczniowego dnia Sławek miał kaca i częściej patrzył na zegarek niż na taflę wody czy wejście do sauny.

Cztery osoby, tyle miał pod opieką, gdy ostatni raz przymykał oczy. Powieki stawały się coraz cięższe, aż w końcu zasnął na dobre. Na parę sekund znalazł się w świecie pełnym pięknych kobiet, pieniędzy, szybkich samochodów. Pozbawionym układów, niezdrowych relacji służbowych, niesprawiedliwości w szkolnych zmaganiach, których tak często doświadczał. Nie było w nim szefów, stryjków, a nawet niebieskich pasków zakładanych na przeguby, oznaczających członkostwo w klubie i zawierających czip elektroniczny, który umożliwiał dostęp do usług czy płatności w barze.

I kiedy już całkowicie się pogрузzył w tym miłym śnie, nagle poczuł niepokój i wiedział już,

że stanie się coś złego, choć nie był pewien czemu.

Pierwszy krzyk był nieśmiały, ledwie słyszalny i wydał go prawdopodobnie mężczyzna.

– Pomocy! Pomocy!

Drugi dobył się z gardzieli przerażonej kobiety. Ten obudziłby niedźwiedzia.

– Ratuuuunku!

Sławek poderwał się na nogi i wskoczył do basenu. Działał mechanicznie, chwytając za barki otyłego mężczyznę i wyciągając go z wody przy pomocy jednego z klientów, prawdopodobnie tego, którego pierwsze, słabe wołanie stanowiło preludium do gwałtownego przebudzenia.

Próbując bezskutecznie reanimować topielca, pozbył się resztek senności. Bezwładne ciało nie reagowało ani na uciski klatki piersiowej, ani na włączane siłą do ust powietrze. Dłoń na dłoni, tuż nad mostkiem. Trzydzieści ucisków, szybkich, stosunkowo płytkich, energicznych. Dwa oddechy i następne trzydzieści ucisków. Kolejny raz i jeszcze jeden. Aż do przybycia pomocy i dyżurnej pielęgniarki.

Ręce mdlejące ze zmęczenia i bólu. Całe ciało spocone, także ze strachu, że się wyda.

Bo ktoś udowodni, że nie dopilnował gościa, zaniedbał swoje obowiązki, jest winny.

Kto wie, może oskarżą go o zaniedbanie, a może nawet o nieumyślne spowodowanie śmierci...

Pół godziny później było już po sprawie. Ciało leżało przykryte dużym białym ręcznikiem, a oni czekali na lekarza i policję. Nikt nie miał wątpliwości, że doszło do wypadku, ale w takiej sytuacji protokół był niezbędny.

Sławek nie czuł się winny, lecz z każdą chwilą mocniej drżał na myśl o możliwych ustaleniach kontroli. Nie wiedział jeszcze, że monitoring nie ujawni jego drzemki, bo dziwnym trafem nagrywarka akurat się restartowała po zawieszeniu. Nie wiedział, że nikt nie będzie dopytywał go o okoliczności, podobnie zresztą jak tego człowieka, który pomógł mu ratować ofiarę, po czym, nie życząc sobie kłopotów, szybko zniknął i miał pozostać anonimowy, niezamieszany w sprawę.

Wiedział za to już, że denat nazywał się Mochnacki i był dość znanym prawnikiem oraz syndykiem sądowym.

Wiedział także, co sprawiło, że podczas snu poczuł nagle niepokój. Uświadomił sobie bowiem, że jedna z osób korzystających z basenu nie miała na przegubie niebieskiej bransoletki z czipem, co oczywiście zdarzało się wcale nierzadko i na co zwykle, wbrew

zaleceniom szefostwa i regulaminowi, ochrona przymykała oko.

Niewysoka kobieta, chuda i nierzucająca się w oczy.

Może dlatego nie zareagował, a nawet ów fakt przeoczył, dopiero podświadomość musiała mu o nim przypomnieć.

Czy brak bransoletki u jednej z klientek miał jakiegokolwiek znaczenie? Nie widział powodów, by coś takiego zakładać, i postanowił nikomu o tym nie wspominać, przynajmniej dopóki ktoś nie zapyta, o czym śnił tego dnia, zamiast pilnować klientów.

Do Kasi oddzwonił dopiero z Gdańska.

- Dlaczego nie odbierałeś?
- Przepraszam, byłem w podróży.
- W podróży? – powtórzyła.
- Tak, muszę coś załatwić.
- Coś z naszą sprawą?
- ...
- No mów!
- Być może.
- Dlaczego mi nie powiedziałeś?
- Bo nie jestem pewien, czy nie błędę. Nie chcę cię w to wciągać.
- Kurwa, Zimny! Już mnie wciągnąłeś.
- Ale...
- Co, kurwa, ale? Zrobiliśmy ten materiał razem, to nasz temat. Wspólny.
- Wiem.
- Jeśli chodzi o to... co się wydarzyło pomiędzy nami, to już ci mówiłam: nic nie musisz.

Było, minęło.

- Nie, Kasiu...
- Przespałeś się ze mną, zaliczyłeś i uważasz, że lepiej się trzymać z daleka, czy tak?
- Kasiu...
- No tak, po co ci dziewczyna z dzieckiem! Chuj ci w dupę, Zimny. Chuj ci w dupę.

Chyba rzuciła telefonem o biurko, bo usłyszał głośny huk i połączenie zostało przerwane.

Patrzył przez chwilę na wyświetlacz swojego starego aparatu. Nie o to chodzi, Kasiu – próbował przekonać sam siebie. To nie tak, jak myślisz. Mnie też nie jest z tym łatwo. I nie chodzi o dziecko czy o ciebie w ogóle, tylko o mnie. O to, że ja po prostu nie potrafię kochać. Nie wiem, co to miłość, choć bardzo bym chciał, żeby było inaczej. Jestem skażony, przetracony i zwyczajnie nie chcę cię zranić. Nie chcę okazać się tym kutasem.

Ale też nie uciekłem z tego powodu. To coś innego.

Sprawdził, czy dyktafon działa właściwie. Nigdy nie stosował prowokacji, był jej przeciwnikiem, choć nie umniejszał zasług tych, którzy dzięki niej osiągnęli sukces.



Tym razem wolał nagrać rozmówcę. Na wszelki wypadek.

Żeglarz Ryszard Cesarz, pierwszy właściciel i pomysłodawca budowy „Józefa Piłsudskiego”, zaprosił go do swojego domu w Gdyni. Luksusowa willa sąsiadowała z innymi podobnymi posiadłościami. Były ogrodzone wysokimi murami, pełne pozornie przyjacielskiej zieleni, nawet teraz, w zimowej szarudze, przyjemnie pachnącej i przyciągającej wzrok. Kamienna Góra była jedną z najlepszych dzielnic Trójmiasta. Położona wysoko, nad pozostałą częścią miasta, ze wspaniałymi widokami na linię brzegową. Z cenami z kosmosu.

Mimo bankructwa Cesarz chyba radził sobie dobrze.

Zimny przyjął drinka i podszedł do drzwi prowadzących na taras. Morze o tej porze roku było bure, ale widok i tak sprawiał niesamowitą frajdę.

– Kocham wodę – rzekł Cesarz. – Uwielbiam, kiedy mnie otacza. Tu mam tego tylko namiastkę, ale zawsze.

– Marzę o takim domu – odparł szczerze Zimny. Woda była i jego żywiołem.

– Proszę napisać dobrą książkę, to będzie pana stać. – Cesarz uśmiechnął z lekką ironią.

– Nie podobala się panu moja poprzednia?

– Na takich pan nie zarobi.

– Zobaczymy.

– Pewnie, zobaczymy... – Zerknął znacząco na zegarek. – O co chodzi?

– Tak jak powiedziałem przez telefon, chciałbym coś uzupełnić.

– Słucham.

– Mówił pan, że w środowisku w zasadzie wszyscy wiedzą, o co chodzi, znali Fogła, Księżnego, innych. Po co pan wchodził z nimi w interesy? Pan, żeglarz z pasją, znany, lubiany i... takie typy?

– Kiedy wchodziłem, nic o nich nie wiedziałem. Dopiero jak mnie zrobili, to postanowiłem się im bliżej przyjrzeć. Proszę pamiętać, że jestem sportowcem, dopiero na drugim miejscu biznesmenem. Interesuje mnie żeglowanie, a nie liczby.

– I nie potrafił pan się wybronić?

– No nie, byli za silni.

– Dla pana?

Cesarz spowaźniał.

– Chyba chce mi pan zasugerować coś niemiłego.

– Przeciwnie, chcę połechtać pańską próżność. Jest pan jedną z najbardziej wpływowych

postaci w polskim sporcie. Do tego znakomitym biznesmenem. Kogoś takiego nie robi się w balona.

– A jednak – odparł spokojnie Cesarz. – Jak widać, nie ma świętych krów. Zrobili mnie, co poradzić...

– Nie sędzę.

Cesarz nie odpowiedział. Uśmiechnął się zagadkowo, uniósł brwi, jakby chciał powiedzieć: „No to słucham. Jaką sensacyjną teorię masz dla mnie, chłopcze?”.

– Podczas naszego poprzedniego spotkania rzucił pan zdanie, które początkowo uszło mojej uwagi, a które postanowiłem sprawdzić.

– Tak, jakie?

– „Tyle już o mnie głupot napisano”.

– Bo napisano. Ciągłe pojawiają się plotki. A to, że sypiam z tą albo tamtą, a to, że inwestuję w coś, a to, że gram w tenisa z prezydentem...

– Nie mówię o serwisach plotkarskich.

– Tak? A o czym?

– Przeczytałem dokładnie historię pana zaangażowania w „Józefa Piłsudskiego”.

– Jest jawna. Nie mam nic do ukrycia.

– Zastanowiły mnie powody zadłużenia.

– Mówiłem, że kwestie finansowe mnie nie interesowały. Ja jestem od żeglowania, reklamy, sprawiania frajdy tym, którzy trafią na pokład. Nie obchodzą mnie kalkulacje, słupki i tabele w Excelu. Księgowy oszukiwał.

Zimnego uderzył fakt, że Cesarz zachowywał się i mówił nieco inaczej niż podczas ich pierwszego spotkania. W każdym słowie i geście żeglarza dostrzegał coś na kształt ironii. Jakby... śmiał się w duchu z niego, z jego naiwności. Jakby całe to wcześniejsze zatroskanie, piętnowanie patologii było wystudiowanym komunikatem, a Cesarz został przez kogoś przygotowany, miał cel, coś konkretnego do przekazania. Teraz zaś był po prostu sobą. Zupełnie innym człowiekiem, który kompletnie nie przejmuje się otaczającą go rzeczywistością. Byłeś takim wspaniałym okazem obywatelskiego niepokoju, a okazałeś się cynicznym, egocentrycznym dupkiem?

– Możliwe – szepnął Zimny. – Jednak fakty są takie, że zalegaliście z opłatami w portach i nie rozliczaliście różnych zaliczek od zleceniodawców. O ile polscy kontrahenci przymykali na to oko, o tyle zagraniczni byli zdecydowanie bardziej nieprzejednani. Pan podobno

traktował to jak normę. Na zasadzie „jestem wielką sławą, po co miałbym płacić”...

– Każdy mówi, co chce. – Cesarz prychnął nerwowo. – Może pan wierzyć... tym szmatławcom, ja nie zamierzam z nimi dyskutować.

– Jeden z pana wspólników twierdził, że oprócz żeglarstwa ma pan też inną wielką pasję.

– Wspólnicy bywają kapryśni i obrażalscy.

– Być może, jednak kiedy ich oświadczenia znajdują potwierdzenie w innych źródłach, tak łatwo nie można tego zbyć.

– Cóż. Może to i racja. – Cesarz uśmiechnął się szelmowsko. – Kocham kobiety bardziej niż mężczyzn. To źle?

– Chodzi mi o zamiłowanie do ryzyka. Jest pan hazardzistą...

– Już mówiłem, plotki...

– Nie jest prawdą, że w każdym porcie pierwsze kroki kieruje pan do kasyna?

– W gazetach piszą, że do burdelu – odbił prowokacyjnie piłeczkę.

– Jeśli jest w kasynie. – Zimny nie ustępował.

– A taki miły był z pana dziennikarz...

– Niech pan odpowie. Lubi pan ryzyko i niespecjalnie przejmuje się przegranymi? Jak James Bond. Przegrywa pan kasę, domy, kochanki...

– Panie Zimny...

– ...i w końcu przegrał pan „Józefa Piłsudskiego” w karty do biznesmena z Monako. Czyż nie? Miał na to oficjalne dokumenty.

Cesarz poczerwieniał. Milczał dłuższą chwilę, jakby się zastanawiał, czy wdać się z Zimnym w pyskówkę, czy może spuścić mu zwykły łomot.

– Co pan sugeruje? Jaką chorą teorię pan wymyślił?

Zimny wyciągnął z teczki zdjęcie wydrukowane z internetu. Przedstawiało Cesarza obejmującego Księżnego na korcie.

– Wyglądacie z panem Księżnym na przyjaciół.

Cesarz skinął głową.

– Niezły z pana czarodziej od wyciągania wniosków z głupich zdjęć...

– Wcześniej pan mówił, że nie wiedział nic o układzie Księżnego i Fogla.

– Jedno drugiemu nie przeczy. Z Księżnym graliśmy sobie w tenisa. Nie znałem wówczas jego poczynąń biznesowych.

Zimny skinął głową, niby przyjmując wyjaśnienia. Z twarzy Cesarza ustąpił rumieniec, po

początkowym zdenerwowaniu nie było już śladu.

– Chce pan wiedzieć coś jeszcze?

Kuba spokojnie podsumował:

– Sądzę, że dogadał się pan z Księżnym, żeby doprowadzić do bankructwa „Józefa Piłsudskiego” w celu uniknięcia windykacji przez wierzyciela z Monako. Udało się. Tamten nie zdążył zgłosić swojego prawa do statku, nie znał polskich procedur, sądów, nie chciało mu się. Pan po bankructwie mógł z powrotem odzyskać jednostkę, tyle że nieoficjalnie.

– Pańskie rozumowanie ma poważne luki – odparł spokojnie Cesarz. – Jeśli dogadałem się z Księżnym, to dlaczego nie odzyskałem statku?

– Być może pana oszukali. Pan czekał na zwrot, a oni załatwili to między sobą.

– Sugeruje pan, że oszust oszukał oszusta?

– Cwaniak cwaniaka – wycedził Zimny.

– Słowo „cwaniak” przynosi więcej ujmy niż „oszust”?

– Mniej więcej tyle samo.

Cesarz wydał swoje piękne usta, popił drinka i powiedział:

– Zakładając, że pańskie rozumowanie jest MNIEJ WIĘCEJ właściwe, choć nie jest, co to zmienia w całej sytuacji?

Mierzyli się przez chwilę wzrokiem, jakby przeciągali niewidzialną linę.

– Sam nie wiem. Może tyle, że warto opisać szczegóły, pokazać różne strony w tym konflikcie, a nie tylko podział na dobrych i złych.

– Rozumiem, że w pańskich oczach powoli zasiadam po stronie złych? A gdzie w takim razie znajdzie pan miejsce dla swoich przyjaciół, Bonara i Mierzejewskiego? W ostatnim artykule aureole nad ich głowami świeciły jak u prawdziwych aniołów. Mój przyjaciel, znany poeta i awanturnik, zwykł mawiać „jak psu jajca”.

– A zatem widzi pan jakieś rysy na tym nieskazitelnym wizerunku?

Cesarz roześmiał się głośno.

– Czytałem, że Bonara oskarżono o okradanie klientów.

– To kaczka dziennikarska albo celowa prowokacja.

– Jednak siedzi w pudle...

– Już go wypuszczono.

Cesarz zmarszczył brwi.

– Ciekawe te wpadki mediów. Pan też źle o nim pisał.

– Pomyliłem się.

– I jak pan się czuje z taką pomyłką?

– Mogło być gorzej.

– Wie pan co, panie Kubo? Dziwnie pan pojmuje biznes. To nie zabawa czy gra dla dżentelmenów. W prawdziwym świecie nie wygląda tak jak na filmach, że są dobrzy, źli, ładni i brzydki. Tutaj stosuje się różne strategie i podstępny, żeby uzyskać wygraną, osiągnąć lepszą pozycję w rankingu, zwiększyć zysk, udziały w rynku, zdobyć coś dla udziałowców czy akcjonariuszy, zwyciężyć.

– Wszelkimi metodami? Przekupując sędziego i syndyków? Albo unikając spłacenia długów? O ile wiem, Bonar tego nie robił, dlaczego więc miałbym pana stawiać ponad nim czy choćby na równi?

– A skąd pan wie, że ten wierzyciel, który uzyskał jakiś kwit na MÓJ statek, nie przystawił mi wcześniej pistoletu do głowy?

– A przystawił?

Cesarz lekceważąco machnął ręką.

– Skąd pan wie, czy nie zastosował szantażu i innych nieuczciwych, w pana pojęciu, podstępów, by ze mną wygrać, a ja odpowiedziałem mu tym samym, tylko byłem skuteczniejszy? Czy jest coś złego w obronie wątpliwymi etycznie metodami, jeśli atakujący stosuje takie same?

– Dlatego się z panem spotykam, żeby to wyjaśnić. Proszę podać swoją wersję.

Cesarz nie ustępował.

– A Bonar? Przecież też mógł jakoś oszukać Księżnego i ponieść za to potem konsekwencje?

Zimny nabrał głęboko powietrza. Miał już tego dość. Podobne argumenty można wytaczać w każdej sytuacji. Nigdy nie będę pewien prawdy, nie potrzebuję dodatkowych wzmacniaczy takich rozterek.

– Bonar ostatecznie opowiedział nam swoją wersję, potwierdzoną przez innych, w tym pana. Księżny i Fogel odmówili komentarza. A teraz zmienia pan front? Przecież pan też najeżdżał na bankiera i sędziego.

– Pokazuję tylko panu, że może tu być wiele odcieni, że niekoniecznie każdy szczegół tak prosto da się wytłumaczyć. Nie wpływa to w żaden sposób na moją ocenę Księżnego i Fogla. Fotografie naprawdę nie są żadnym dowodem, robiłem sobie zdjęcia z gangsterami,

gwiazdami rocka, politykami i... sędziami. Zawsze się na nich uśmiecham, więc wniosek o przyjaźni z Księżnym proszę sobie łaskawie wsadzić... gdzie pan chce. Księżny i Fogel to ostatnie łajzy. Dla mnie są bandytami i dobrze, że pan ich tak opisał. Oszukali mnie i się im dostało, a że przy okazji miałem jakiś inny cel...

– No właśnie... To była tylko zemsta, czy na coś pan liczy?

– A może cel miał ktoś inny, a ja tylko przypadkiem się zawieruszyłem i stworzyłem okazję... A teraz... – Zerknął na zegarek. – Proszę mi wybaczyć, ale muszę pouczyć tenisa... prezydenta.

Mrugnął do niego, jakby chciał podkreślić, że „prezydent” to żart.

– Jeśli nie panu, to komu Księżny z Foglem nadepnęli na odcisk?

– Proszę się domyślić. Niestety, muszę pana pożegnać...

– A Bonar? Za nim też ktoś stoi?

– Raczej pytałbym o Mierzejewskiego...

– No więc? O co chodzi z tym Mierzejewskim?

Cesarz, już stojąc, uśmiechnął się z wyrozumiałą pobłażliwością.

– Naprawdę nic pan nie wie?

– O czym?

Żeglarz-tenisista znów zerknął na zegarek.

– No dobra, opowiem panu bajeczkę, ale w samochodzie, bo muszę już jechać. – Kolejne mrugnięcie. – Prezydent nie lubi czekać, choć ma do mnie słabość.

Miesiąc gaszenia pożarów. Adwokat Piotr Witalski dopiero co pożegnał szwajcarskiego bankiera Pierre’a Richarda, którego władze próbowały zamknąć i aresztem wydobywczym zmusić do ujawnienia danych na temat rzekomo przezeń prowadzonych kont polityków, a już odbierał telefon z kolejną niezwykle pilną sprawą.

Wystraszony parlamentarzysta Sykucki skarżył się, że właśnie zadzwonił do niego pewien facet, który domaga się zwrotu zaliczki pobranej od spółki wplątanej w aferę łapówkarską. Sykucki zapierał się, że nie wziął tych pieniędzy, a nawet jeśli wziął, to przekazał do partyjnej kasy. To nie była żadna prywata.

– Panie pośle – upomniał adwokat – proszę, nie przez telefon...

– Oczywiście... – odparł poseł. – Już milczę.

– Dał pan temu człowiekowi mój numer telefonu?

– Zgodnie z instrukcjami.

– Proszę się o nic nie martwić, będzie załatwione.

– Dziękuję.

Witalski przerwał połączenie i położył telefon przed sobą, wiedząc, że niedługo ponownie zadzwoni. Był już mocno zmęczony tymi dwiema ciągnącymi się od miesięcy sprawami, w których największe problemy skumulowały się zaraz po sylwestrze.

Nie zdążył dobrze wrócić do świata żywych po pijaństwie na Malediwach, gdy nieoczekiwanie doszło do zatrzymania, a zaraz potem aresztowania Pierre'a Richarda. Bankier zażądał, by reprezentował go Witalski, a zaraz potem zadzwonił do niego człowiek, którego prawdziwego nazwiska nie znał i który zwykle przedstawiał się jako Rycki.

Szybko wyjaśnił, że aresztowanie Richarda jest tak naprawdę kontrolowane, szwajcarskiemu bankierowi o polskich korzeniach chodzi wyłącznie o wynegocjowanie odpowiedniej sumy za milczenie na temat kont służących politykom do wpłacania łapówek.

Witalskiego intrygowało, czy informacje o kontach są prawdziwe, ale tego Rycki ani Richard mu nie powiedzieli. Jego rolą było tylko wynegocjowanie haraczu za milczenie i ukrycie ewentualnych dowodów.

Za to chętnie mówili o tym, że Richard uciekł z Polski i zmienił nazwisko z powodu oskarżeń o morderstwo na staruszce, które rzeczywiście popełnił, ale po latach został ułaskawiony przez prezydenta. Gdy Witalski zapytał, czy ułaskawienie było formą nagrody za zasługi dotyczące tajnych kont, Rycki tylko się roześmiał.

Jeszcze ciekawiej działo się w sprawie Sykuckiego, a raczej dziesiątków posłów wpłatanych w aferę firmy Arena handlującej długami po zakładach energetycznych, spółkach państwowych i komunalnych. Jakiś szaleniec z tej afery nie wystraszył się licznych ostrzeżeń i aresztów i zaraz po wyjściu z więzienia zaczął dzwonić do polityków i domagać się zwrotu łapówek, które wzięli od Areny. Część polityków musiała pozostawać pod opieką Ryckiego, bo ten poprosił Witalskiego o reprezentowanie osób szantażowanych przez szaleńca.

Prawnik zastanawiał się, czy Sykucki był człowiekiem Ryckiego, czy jednym z „przypadkowych” klientów, których trzeba bronić, by innym nic się nie stało. Ilu z tych zamieszanych w aferę Areny polityków było pod ochroną służby reprezentowanej przez tego tajemniczego człowieka? Dziesięciu, dwudziestu, może wszyscy? A może tylko jeden?

Jakkolwiek było, Rycki musiał teraz chronić wszystkich.

Wydał im zatem zakaz komentowania sprawy i polecił kierować petentów i samego wariata do niego. Najważniejsze było ignorowanie publicznych oskarżeń. W tym punkcie zawsze

zgadzali się z Ryckim. Jeśli czegoś nie komentujesz, to tego nie ma, nie napędzasz, nie pozwalasz na popełnienie błędu klientom.

Wariat stawia zarzuty, wariata należy lekceważyć. I tak w kółko.

Spojrzał na zegarek. Minał kwadrans, szantażysta nie dzwonił. Dziwne, zwykle dzwonią od razu. Przymknął oczy i od razu zobaczył twarz Ryckiego. Niepokojącą i wieloznaczną. Jaka jest moja pozycja w kontaktach z tym człowiekiem? Czy jestem zwykłym radcą świadczącym usługi dla agenta, czy może jego współpracownikiem, a może także chronionym ważnym obiektem?

Dziesięć lat, tyle się znali, a Witalski nie wiedział nawet, jak tamten ma na imię. Rycki. Człowiek do specjalnych poruczeń. Wnikliwy, bystry, odważny, a kiedy trzeba – groźny. Wciągnął Witalskiego do współpracy ze służbami, trochę szantażując go groźbą ujawnienia wstydliwych materiałów dotyczących prywatnych sekretów, trochę przemawiając do jego poczucia patriotyzmu, wreszcie proponując warunki finansowe i kontaktowe umożliwiające stworzenie prestiżowej kancelarii prawniczej, jednej z najbardziej znanych nie tylko w Warszawie, ale i w całej Polsce.

Mimo że liczni koledzy po fachu wiedzieli lub podejrzewali, że współpracuje ze służbami, nie czynili mu z tego powodu wyrzutów. Może i było to nieetyczne, może nawet niezgodne z prawem, ale przecież wystarczająco często okazywał się porządnym kolegą i człowiekiem. A że po kątach i za plecami szeptano swoje... zbywał to lekceważącym uśmiechem. Każde spojrzenie na rosnącą liczbę zer na koncie budowało i usypiało coraz głębiej schowane w betach sumienie.

Są prawnicy wyspecjalizowani w dawaniu łapówek, fałszowaniu delegacji sędziowskich czy nawet kupowaniu awansów i nominacji, inni kompletnie nie przejmują się prawdą i sprawiedliwością. Czy on ze swoim małym, prawie publicznym sekretem jest gorszy?

„Będziesz pracował dla kraju, obsługując najważniejsze postępowania, najgłośniejsze sprawy – mówił mu Rycki we śnie po jednym z pierwszych spotkań. – Pozna cię cała palestra. Będziesz należał do grona najbardziej wpływowych prawników w kraju. Ważniejszych od sędziów Sądu Najwyższego. Czyż to nie kuszące?”.

Senna wizja, a jakże prawdziwa!

Tak, możesz sobie wybrać powód, motywację, uzasadnienie. Możesz być patriotą, zastraszoną słabeuszem lub pazernym materialistą. Możesz być każdym po trochu.

I chyba tak się czuł Witalski, gdy z rozmyślań wyrwał go dzwonek telefonu.



Człowiek po drugiej stronie miał niski głos, mówił dość składnie, choć bez przesadnej erudycji, czasem odrobinę seplenił i nie potrafił dobrze kontrolować oddechu, co świadczyło o zdenerwowaniu, niepewności i raczej kiepskiej kondycji psychicznej, a może też fizycznej.

– Poseł Sykucki dał mi telefon do pana...

– Tak, wiem – przerwał Witalski. – Jestem upoważniony do załatwienia formalności.

– Formalności? – powtórzył zaskoczony rozmówca.

– Moi klienci spłacą zobowiązania. Proszę tylko o dyskrecję.

Chwila ciszy, w końcu krótkie:

– Dobrze.

Witalski w kilku prostych zdaniach podał szczegóły techniczne operacji i zakończył rozmowę. Zgodnie z tym, co polecił mu Rycki, szaleniec szantażysta miał udać się do firmy Tilapia, która odkupi weksle i papiery dłużne. Tilapia co prawda specjalizowała się w handlu rybami, ale kto wie, co robiła naprawdę i dlaczego miała tak dużą, otwartą linię kredytową w PBG. Tak czy inaczej, bez żadnych dyskusji zgodziła się przejąć zadłużenie wybrańców narodu. W sejfach zaufanego banku, który sam ma wiele na sumieniu, na pewno będą bezpieczne. Polsce wkraczającej w okres prosperity po przemianach nie są potrzebne żadne afery.

Wychodząc na kawę, mecenas rozważał, czy szaleniec przeżyje ten numer, czy też nagle zachoruje na serce lub popadnie w depresję zakończoną samobójstwem. Odpowiedź może nadejść już w wieczornych wiadomościach – pomyślał bez cienia empatii. Nie będzie pierwszy ani ostatni.

Być może los ukarał mecenasa za takie pozbawione współczucia i głębszej refleksji myślenie, bo zanim zdążył zamknąć drzwi biura, wybuchł nowy pożar: zadzwonił Rycki i poprosił o kolejną przysługę. Tym razem Witalski miał wykorzystać znajomości, które przez lata nawiązywał w polskich gazetach ekonomicznych.

Zleceniodawcy chodziło szczególnie o dwa tytuły.

Włoska knajpka przy Odolańskiej była ulubionym lokalem mecenasa Białkowskiego. Jadał tam przynajmniej dwa razy w tygodniu, a wracając z pracy, często zachodził kupić butelkę czerwonego wina, którego nie dostałby w żadnym sklepie. Wino było rzeczywiście przednie i Adam ledwie oparł się pokusie wypicia drugiego kieliszka.

– Moje wiewiórki donoszą, że się na to złapali.

– Jaki mają plan?

– Będą powoli wyciszać sprawę w mediach. Pozwolą jeszcze Zimmemu napisać o rozpoczęciu śledztwa w prokuraturze, może nawet o zarzutach, jeśli zostaną postawione.

– A Jarosz?

– Z tego, co mi mówiono, „Express” dostanie duży kontrakt na współpracę przy konferencjach dla sektora bankowego i jej teksty, nawet jeśli się pojawią, będą spychane na ostatnią stronę lub zamieszczane gdzieś na boku gazety. Bez dostępności w internecie i możliwości komentowania. Wytlumaczą jej, że to nie jest ich temat, tylko Zimnego.

– Rozumiem.

– Zapewnią obsługę Księżnemu i Fogłowi – kontynuował Białkowski. – Jeśli dobrze to rozwiążą, mogą być skuteczni. Sąd Najwyższy, widząc, że temat wygasa, pewnie da się przekonać i sprawa ucichnie ostatecznie. Tak sobie myślą.

Adam uśmiechnął się szeroko.

– Wkurzą się, gdy ich zaskoczymy. Kiedy się przekonają, że to była ściema.

– Bardzo się wkurzą – przyznał mecenas, nie mniej rozbawiony. – Na to liczę. Chciałbym zobaczyć minę Księżnego i całej tej bandy w chwili, gdy przeczytają o naszym wniosku. Będą bardzo, bardzo, bardzo wkurzeni.

Adam otarł usta chustą, odsunął się na fotelu i z pewnym zażenowaniem zapytał:

– Mogą coś nam zrobić? Martwię się o rodzinę.

Białkowski zachował kamienną twarz. Także przerwał jedzenie i przez chwilę się zastanawiał, jak ma odpowiedzieć.

– Wiesz, mam teraz sprawę chłopaka – rzekł w końcu – który w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim sprofanował wraz z grupą studentów pomnik bohaterów wyzwoleniczej Armii Czerwonej. Pomazali go farbami. Właściwie był to szczeniacki wygląd, nie żadna tam opozycja. Wsadzono go na dwa lata do pudła, torturowano, bito pałkami po

całym ciele, miażdżono dłonie w imadle, przesłuchiowano noc w noc. Zrobili z dzieciaka wrak człowieka, a kiedy wypuścili, zmaltretowanego i pozornie pokonanego, on pierwsze kroki od razu skierował do chłopaków ze zrzeczenia studentów organizujących kolejny strajk. Ze szczeniaka od wygłupów zrobili prawdziwego bojownika. Nie pytaj mnie, czy ci coś grozi. Pewnie, że grozi.

– Przepraszam. – Adamowi zrobiło się głupio.

– To nasz kraj. Chcemy, by był lepszy. By to gówno spłynęło tam, gdzie jego miejsce, do rynsztoku. Oni wciąż tu są, myślą, że zostaną na zawsze. Ich dzieci przejmą schedę i będą dalej tworzyć fikcję, próbować niszczyć ludzi i zakłamywać rzeczywistość. Jedynym sposobem na nich jest robić swoje, dążyć do prawdy. Nie bać się. Nie możesz się bać.

– Nie będę.

– Ten chłopak, o którym mówiłem, do dziś sika krwią, a jego dłonie przypominają ręce kościotrupa. Na imprezach dzieci proszą go, żeby pokazywał sztuczki tymi wyłamanyymi palcami, i nazywają go Tata Monster High. A wiesz, jakie odszkodowanie przyznał mu polski sąd za dwa lata więzienia i poświęceń dla kraju? Zgadnij.

– Nie wiem. Dwadzieścia tysięcy?

– Piętnaście. To i tak sukces, bo wcześniej przyznawali poniżej dziesięciu. Pewien minister, niesłusznie rzekomo wsadzony niedawno na kilka dni do aresztu, dostał dwa razy więcej. Dziś ten torturowany chłopak chce tylko, by tacy ludzie jak ty korzystali z wolności, zamiast bać się mafiosów i gangsterów. O to przecież walczył. Strach w tamtym czasie i teraz to zupełnie inne pojęcia.

Adam przytaknął, czuł, jak zaschło mu w gardle. Nie znajdował odpowiednich słów. Przypomniał sobie historie mecenasa o sędziach rozpatrujących własne sprawy, kole gach wydających wyroki korzystne dla przyjaciół, braku wnikliwości i obiektywizmu, a także o błędach wynikających ze zwykłego przemęczenia, natłoku, przewlekłości spraw.

Bywały nawet takie kwiatki jak sędzia rozpatrujący pozew o odszkodowanie w sprawie niesłusznego wyroku, który sam przed laty wydał. Margines? Wcale nie.

Bonar, niestety, sam się przekonał, że sądy nie są dla ludzi, tylko dla sędziów. Dobrze zostało to podsumowane przez pewnego byłego dziennikarza, którego wpis przeczytał na jakimś blogu: w Polsce władza jest dla władzy, szpitale dla lekarzy, szkoły dla nauczycieli, policja dla policjantów. Dla obywateli są tylko podatki.

Białkowski patrzył mu uważnie w oczy.

– Sądy należą do NICH, co nie znaczy, że jesteśmy bezbronni. Musimy stosować odpowiednią strategię i podstępny, by doprowadzić do merytorycznego rozstrzygnięcia, a nie ograbienia nas z marzeń o sprawiedliwości, bo jesteśmy po złej stronie. Musisz pamiętać o paru zasadach. Pierwsza jest taka, że znaczenie ma druga instancja. Trzeba wziąć pod rozwagę, jakie szanse sprawa ma w apelacji. Banki, duże firmy i bogaci są uprzywilejowani, bo w drugiej instancji często kasa idzie pod stołem, natomiast sędziowie rejonowi są oceniani na podstawie wyników. Wiedzą dobrze, że jeśli skażą jakiś bank, to w apelacji on wygra, a oni dostaną minusową ocenę. Oczywiście to działa w sprawach w miarę spornych, niejednoznacznych, bo jednak są sędziowie uczciwi, którzy nie wydadzą wyroku całkowicie niesprawiedliwego. Ale większość z nich zastanawia się, co będzie w apelacji, a przecież nie powinni tego robić.

– Pewnie tak – przyznał Adam.

– Tylko dlaczego mamy im się dziwić, skoro pilnują przestrzegania prawa uchwalanego przez kretynów? Zobacz, jeśli jakąś ustawę uda się przegłosować w całości, to jest okej, ale znacznie częściej nasi posłowie lobbyści muszą coś od siebie dodać i nie patrzą, że zmieniając jeden przepis bez oceny powiązań z innymi, tworzą buble. Pamiętasz, jak przegłosowali prawo podatkowe, w którym były określone progi, ale zapomnieli podać stawek?

Adam pokręcił głową.

– Albo te terminy instrukcyjne. Słyszałeś o takim pojęciu?

Ponowne zaprzeczenie.

– W sądzie notorycznie będziesz się spotykał z przekroczeniem ustawowych terminów. Dotyczy to wszystkiego. Wezwań, uzasadnień, wyroków. Podobnie jak w innych dziedzinach prawa. Prokuratury też są przecież zobowiązane do prowadzenia spraw w określonych terminach, a nigdy ich nie dotrzymują, za to przynajmniej pamiętają, że trzeba złożyć odpowiedni świsstek o przedłużeniu. Sędziowie i to mają w nosie. Jak złożysz skargę na ich postępowanie albo, co gorsza, wniosek o ściganie przez rzecznika dyscyplinarnego, to się dowiesz, że w prawie nie ma sankcji za przekroczenie terminu, a zatem nie trzeba go dotrzymywać. To jest właśnie termin instrukcyjny.

– Paranoja.

Adam wyglądał na zmęczonego, więc Białkowski się zreflektował.

– Przejdźmy teraz do naszych spraw – zaproponował, wyjmując teczkę z dokumentami. –

Przeczytaj dokładnie, czy się zgadza.

– Czytałem dwa razy.

– Jeszcze raz nie zaszkodzi, żeby nas nie złapali na jakimś kruczku proceduralnym. Bądź pewien, że wyjątkowo pieczołowicie je przejrzą, szukając źle postawionych kropek. Za przecinek nie mogą nam tego cofnąć, ale już zły numer strony czy niewłaściwe opisanie dowodu wywoła natychmiastową reakcję obrońców procedur.

– Dobrze, przeczytam.

– Akcja PBG jest już na pewno na twoim koncie?

– Od dawna. Jestem mniejszościowym właścicielem banku. – Adam wyszczerzył zęby w uśmiechu. – I zamierzam aktywnie korzystać z przysługujących mi praw.

– Właśnie o to mi chodziło. Cóż, w takim razie wkrótce zaskoczmy naszych... starych przyjaciół.

– Kiedy zamierzasz to złożyć?

– Jak najszybciej.

Ferrari Ryszarda Cesarza powoli toczyło się ulicami Gdyni w kierunku alei Zwycięstwa, którą mieli dojechać na korty w Sopocie. Kierowca prowadził spokojnie, bez zacięcia, nerwowych skrętów i gwałtownych przyspieszeń, do jakich stworzono ten pojazd. Nim zaprosił Zimnego do środka, uspokoił go, że nie będzie wykazywał wyścigowych skłonności. Kupił ten samochód, żeby wzbudzać podziw, a przy nadmiernych prędkościach efekt, owszem, może być porażający, ale trwa znacznie krócej, niż tego oczekiwał.

– Zarówno w przypadku samochodów, jak i kobiet. – Mrugnął do dziennikarza. – Słyszałem, że z pana też niezły kobieciarz.

– Źle pan słyszał.

– A ta pani prokurator? To nieprawda?

– Fikcja literacka.

– No i z panią Kasią też pewnie pan nie sypiał, co?

– Panie Ryszardzie...

– Wiem, wiem, nie moja sprawa.

– Właśnie. Co z tą bajeczką?

Cesarz nieznacznie przyspieszył, obejrzał się za trzema dziewczynami stojącymi na przystanku autobusowym. Mimo że były szczelnie okryte płaszczami, wełnianymi szalami i czapami, wzrok pięćdziesięcioletniego żeglarza-tenisisty-biznesmena zapłonął, jakby

zobaczył je całkiem nago. A może tak właśnie widział? Ma pan soczewki pozbawiające ciało odzienia, panie Ryszardzie? Naprawdę panu nie wstyd podrywać laski, które mogłyby być pańskimi córkami? Ciekawe, czy ja w pana wieku też będę takim przykrym playboyem...

– Uwe Boll – powiedział Cesarz. – Mówi coś panu to nazwisko?

– Reżyser, podobno najgorszy na świecie – odparł powoli Kuba. Nagle przypomniał sobie o porzuconym wątku śledztwa, gdy anonim dostarczający przecieków o Selacu naprowadził go na tę postać. A więc nie był to przypadek...

– Znany też z tego, że wyzywa na walki bokserskie swoich krytyków – dodał Cesarz. – Ale mi chodzi o innego Uwe Bolla. A dokładniej o człowieka, który używa tego pseudonimu w internecie. Nazywa się Mierzejewski i jest partnerem biznesowym pana ulubieńca Bonara.

– O, cholera...

Zimny oniemiał i nagle pomyślał, że to strasznie proste. Anonimowy informator w zawołany sposób dał mu znać, kim jest. To on był Uwe Bollem. Tylko, jeśli Kuba właściwie wnioskował, po co Mierzejewski miał wrabiać własną firmę? Chyba że... był zdrajcą i za plecami Bonara dogadał się z Księżnym, Foglem czy innym draniem.

A może cały czas źle interpretowałem fakty?

Cesarz uniósł dłoń, jakby chciał powstrzymać domysły i pytania.

– Zacznijmy od początku. Zdaje się, że lepiej poznał pan Bonara, prawda?

– Mierzejewskiego nie miałem okazji. Wyjechał podobno do RPA zaraz po tym, jak Księżny postawił Bonarowi ultimatum.

– I nikt panu o nim nie opowiedział?

– Prezesem i głównym akcjonariuszem był Bonar, więc to jego zdanie najbardziej się liczyło.

– Jeśli zakłada pan, że Mierzejewski był pionkiem, to błąd. Wystarczy spojrzeć mu raz w oczy, by wiedzieć, że to nie jest gracz drugiej ligi. Sławek był naprawdę niebezpiecznym zawodnikiem. – Zawiesił głos, jakby oczekiwał pytania, dziennikarz jednak milczał. – Taki wyciszony, wycofany, niepozorny, ale gdy ścisnął ci dłoń, to potem całe ramię bolało. Jest kilku biznesmenów w tym kraju, którzy wykazują te same cechy...

Tym razem Zimny się odezwał.

– Wymieni ich pan?

Cesarz tylko z rozbawieniem pokręcił głową.

– Niech się pan domyśli. Szukać należy w teleinformatyce, dobrach szybko zbywalnych,

gazie, broni, ochronie i funduszach inwestycyjnych, a także wszędzie tam, gdzie robi się interesy z mundurowymi.

– Byli agenci?

– Agent nie kojarzy się zbyt dobrze. Oni wolą określenie „szpiedzy” lub „oficerowie”. To ludzie szarej strefy, przy czym niekoniecznie należy to rozumieć pejoratywnie. Działają w cichym porozumieniu, bez nich nie da się dogadać niczego w mundurówce, resortach siłowych czy służbach specjalnych, bo tylko oni potrafią rozmawiać z tymi po drugiej stronie, a ci zdają sobie sprawę, że kiedyś też skończą służbę i poszukają swojego miejsca w biznesie. Łączy ich wzajemne zrozumienie.

– Mówi pan, jakby to nie było nic złego.

– Bo nie jest. Przynajmniej dla mnie. Ja jestem człowiekiem biznesu, mnie etyka tak naprawdę nie powinna obchodzić, tylko efekt. A ci ludzie są efektywni i efektowni. W każdym kraju byli oficerowie to poszukiwani i doceniani pracownicy. Mają kompetencje, doświadczenia...

– Układy.

– Powiedziałbym: relacje.

– Pozwalające im siedzieć za biurkiem i nic nie robić, dopóki nie trzeba czegoś dogadać w Szwejku czy innej knajpie przyciągającej mundurowych prostym, dobrym żarciem i chętnymi dziewczynami? Przy karpniu w galarecie, dobrze zmrożonej czystej wódce i rumianej kelnerce, którą możemy bezkarnie klepnąć w tyłek, by tradycji stało się zadość? Tak to wygląda?

– Widać, że rzadko bywa pan w takich lokalach, więc nie wie, jak to wygląda naprawdę. Niech pan nie wkłada tych ludzi do jednego worka. Jak w każdym środowisku są wśród nich dranie, lenie, pozbawione skrupułów, tępe pasożyty oraz porządni osobnicy – skwitował Cesarz.

– Do których zaliczy pan Mierzejewskiego?

– No i tu zaczynają się schody...

– A mnie właśnie one najbardziej interesują.

– Bonar z Mierzejewskim poznali się w Niemczech. Jeden tam studiował, drugi załatwiał interesy związane z ochroną polskiego konsulatu. Potem w wolnej Polsce Mierzejewski już nieźle sobie radził w biznesie, pośrednicząc w korump... to znaczy w dostarczaniu nowoczesnej technologii policji i wojsku, a Bonar miał pomysł na biznes i łeb do finansów.

Potrzebował kapitału, Mierzejewski zapewnił go na start. Zapewnił też ochronę przed gangsterami, łobuzami, urzędnikami. To była najpotężniejsza i najgroźniejsza mafia w tamtym czasie.

Zimny z powątpiewaniem pokręcił głową.

– Ten wątek nigdzie się nie pojawiał. Na forach wręcz grzmiało, że kłopoty Selacu wynikają stąd, że nie podzielili się ze służbami, że nie mieli ich ochrony. Gdyby Mierzejewski rzeczywiście był dawnym agentem, szpiegiem czy oficerem, jak pan woli, to z pewnością nie pozwoliliby Księżnemu i Fogłowi na taką akcję. Zareagowałyby znacznie szybciej i ostrzej, a nie uciekł do jakiejś RPA.

– Chyba że stracił owo poparcie.

– Mówią, że jak ktoś wchodzi do służb, to już z nich nie wychodzi. Mówią też, że zemstę za zdradę robi się po cichu, a nie w blasku reflektorów.

– Powoli dochodzimy do najgłębiej skrywanych tajemnic Mierzejewskiego lub, jak kto woli, Uwe Bolla. – Cesarz zahamował przed pasami dla pieszych, choć kobieta, która się do nich zbliżała, miała jeszcze dobre pięć metrów do przejścia. Ukłonił się jej, ale nawet nie zerknęła na luksusowe auto i kierowcę. Zdarzają się jeszcze takie kobiety. – Jak pan wie, w służbach też są różne frakcje, a wychodzący z nich oficerowie potrafią się wspierać lub wzajemnie zwalczać. To doprowadza do wojen, jak w przypadku pewnej znanej firmy ubezpieczeniowej, nie mniej znanego banku, komputerowego giganta, spółek paliwowych, węglowych czy innych. Na pewno pan wie o niejednym takim sporze... biznesowym. Jedni atakują, drudzy się bronią, a potem kontratakują. W efekcie możemy poczytać w mediach różne zmanipulowane bzdury.

– Sugeruje pan, że w tym przypadku ktoś nami też sterował?

– A tak bardzo by to panu przeszkadzało? Jak już powiedziałem, ja i moi przyjaciele skorzystaliśmy z możliwości odegrania się na Księżnym, Foglu i ich kumplach za to, co nam zrobili, ale poza tym nikt wami nie manipulował.

Zimny milczał znacząco, więc Cesarz podjął:

– Można powiedzieć, że skorzystaliśmy z okazji, by dopowiedzieć wam trochę prawdy. Ale to nie była manipulacja. Sami przecież wyciągnęliście wnioski.

– W porządku – mruknął niepewnie Zimny. – Więc twierdzi pan, że Mierzejewski stracił swoje wpływy w służbach i nikt go już nie chronił? Dlaczego?

– Nie, panie dziennikarzu, nie stracił, bo nigdy ich nie miał.



– Nic już nie rozumiem.

– Koledzy w służbach też nie rozumieli, a sprawa była piekielnie prosta. Uwe Boll czy, jak wolimy, Mierzejewski sprytnie stworzył sobie legendę szpiega, tajnego agenta, byłego oficera, majora czy nawet podpułkownika, a tak naprawdę nigdy w służbach nie był. Nie mogąc odnaleźć go w aktach, panowie oficerowie dopytywali się wzajemnie, ale zamiast dojść do prawdy, potęgowali jeszcze legendę. Bo przecież inaczej nie mógłby tak zręcznie lawirować pomiędzy służbami, robić błyskawicznej kariery i nawiązywać coraz to nowych kontaktów.

– Nikodem Dyzma.

Cesarz skinął głową.

– Uwe Boll – poprawił. – Ale Nikoś był zabawnym, pełnym humoru człowiekiem, który potrafił wykorzystać przypadek i szansę, a Mierzejewski jest postacią mroczną, może nawet straszną, dlatego tyle czasu udawało mu się unikać zdemaskowania. Stworzył postać Uwe Bolla, byłego szpiega, z kontaktami w ruchach neofaszystowskich, bojówkach kibolskich, kto wie, może byłego podwójnego szpicla działającego na rzecz Stasi, kogoś trudnego do przejrzania. Fakt, że nie miał jawnych przyjaciół w służbach, tłumaczono, że pewnie kiedyś był specem od brudnej roboty, może zabójcą albo nielegalnym z bardzo mocno chronioną legendą. Wiele możliwości... A tak naprawdę Mierzejewski był nikim. Choć dobry z niego... hm, gracz.

– Okej, a skąd pewność, że pan mówi prawdę?

Cesarz roześmiał się szczerze i głośno.

– Pewności nigdy nie ma, więc pozostaje wiara. Może pan wierzyć lub nie, pańska sprawa.

Zimny wracał z Trójmiasta pełen złych przeczuć. To nie zakończy się dobrze. Znów wpierdzielił się w rozgrywkę, która go przerastała, której nie rozumiał i w której nie mógł być pewien, po czyjej stronie należy stanąć. Bonar, niepozorny, grzeczny biznesmen. Jego mroczny cień w postaci Mierzejewskiego, który zniknął natychmiast, jak tylko pojawiły się problemy, i jest teraz gdzieś w RPA. Niedostępny dla nikogo. Do diabła, co jest tu grane? A jeśli to jakaś piętrowa mistyfikacja, wrzutka na podobieństwo intryg służb? Może Cesarz ma rację, a może wcale nie? Czyżby Mierzejewski był tu rzeczywiście kluczem do zagadki?

Pytania się mnożyły, domagały reakcji. Nie dawały się odłożyć na bok.

Jeszcze w trasie podłączył komórkę pod zestaw głośnomówiący i wybrał numer, którego dawno nie używał.

– Słyszałeś o sprawie Bonara? – zapytał bez wstępu.

– Nawet się dziwię, że dopiero teraz dzwonisz – odparł głęboki, soczysty głos. – Czytałem twój tekst.

– I co sądzisz?

Chwila milczenia. Strasznie długa chwila.

– Szczerze? Ominęliście sedno sprawy.

Serce Zimnego stanęło na chwilę. Do diabła, więc jednak. Dał się wpuścić.

– Tak? Dlaczego?

Znów dłuższa chwila milczenia.

– Dużo by opowiadać.

– Mam czas.

– To nie jest rozmowa na telefon.

Rozmówca po drugiej stronie głośno przełknął ślinę. Miał na imię Piotr. Poznali się z Zimnym kilka lat temu przy okazji sprawy Maciarza, a potem rozmawiali jeszcze kilkakrotnie. Piotr był niegdyś znanym prokuratorem, stracił jednak dystans do spraw. Uległ demonom spiskowym i stał się niewygodny. Co najmniej politycznie, a pewnie też praktycznie. Na przedwczesnej prokuratorskiej emeryturze wciąż podsyczał w sobie ogień nienawiści do układów.

Choć większość jego opinii była radykalna, zdecydowanie przesadzona, to w kilku przypadkach okazywały się bardzo pomocne w sprawach prowadzonych przez Zimnego.

Dziennikarz pomyślał teraz, że jest skurwysynem. Wykorzystywał Piotra, przesiewał przez sito jego opinie i włączał do tekstów tylko to, co mu odpowiadało.

To nie było fair. Ani wobec bohaterów materiałów, ani wobec czytelnika. Stosował świadome przekłamanie, żeby nie dyskredytować swojego źródła informacji i eksperta jednocześnie. Mimo to nie potrafił inaczej.

Rozmowa z Piotrem mogła mu dać odpowiedź na część wątpliwości, a gdyby te odpowiedzi mu nie pasowały, zawsze mógł je pominąć. Takie to proste.

– Dopiero co wyjechałem z Gdańska. Podjadę, gdzie wskażesz.

Piotr zaśmiał się głośno.

– A jesteś pewien, że chcesz usłyszeć prawdę?

– Jestem.

– No to będziesz musiał postawić wódkę.

– To się rozumie.

– Czekam zatem...

Zimny zawrócił na najbliższych światłach.

Księżny niechętnie ujął dłoń Francuzika. Właśnie podpisał dokumenty. Wstał, uklonił się, zapiął marynarkę i poprawił krawat. Zgodnie z porozumieniem miał w ciągu dwóch miesięcy sprzedać akcje Polskiego Banku Gospodarczego, które jeszcze posiadał, i przenieść się na rok do oddziału w Zurychu. Nie chcą mnie nawet we Francji – pomyślał. Zesłanie do Szwajcarii to potwarz. Powinien narzekać? Dostanie przecież stanowisko doradcy zarządu, samochód z kierowcą, solidną pensję. Po roku może odejść. Zakaz konkurencji będzie obowiązywał jeszcze sześć miesięcy. Odprawa nie powinna go smucić. Dożywotnio ma zakaz wypowiedzania się na temat banku, francuskiego udziałowca, kontrahentów i klientów.

– Podpisać trzeba tutaj – wskazał Francuzik.

Księżny złożył podpis i szybko wyszedł z biura. Jego gabinet właśnie przygotowywano pod kątem wskazówek nowego prezesa.

Zarobiłem mnóstwo pieniędzy i na transakcjach, i na operacjach pokątnych, jestem w stanie utrzymać kilka pokoleń, kupić sobie wyspę, a nawet podróżować prywatnym samolotem. Stać mnie na luksusowe prostytutki, dobre wakacje, korzystanie z dobrodziejstw tego świata. Osiągnąłem sukces. A jednak czuję się, jakbym poniósł porażkę. Dlaczego?

W gazecie zobaczył krótką notkę o pierwszym przesłuchaniu sędziego Fogla. Nie widzieli się już od kilku tygodni, zdawkowe uprzejmości wymieniali mailami czy esemesami, jeśli

zachodziła taka potrzeba.

Przestali się uważać za przyjaciół i obaj nie wiedzieli, czy powoli nie stają się wrogami. Lokal miał kształt starego kutra. Nie był duży. Przy długim barze, ciągnącym się od wejścia aż do sceny zbudowanej na skrzynkach rybackich, stało kilkanaście stolików i wysokich krzesełek. Na antresoli udostępniano gościom cztery pomieszczenia. Piotr musiał mieć tu nieliczne chody, bo ledwie Zimny wszedł, ochroniarz zawiesił szarfę rezerwacji.

– Lepiej, żeby nikt nas nie słyszał. – Piotr ujął jego dłoń i potrząsnął mocno. Chyba chciał go nawet objąć, ale ostatecznie sobie darował. – Miło cię widzieć.

– Ja również się cieszę.

– Jednak dzwonisz tylko w interesach. – Prokurator się uśmiechnął.

– Nie mamy innych wspólnych tematów – przyznał Zimny.

– Te są całkiem przyjemne.

Zamówili zmrożoną wódkę i zestaw przekąsek rybnych. Piotr pił więcej niż ostatnio. Zimny pomyślał, że były śledczy mocno przesadza. Nie zwrócił mu jednak uwagi. Każdy niech pije, jak chce i ile chce, to nie moja sprawa. Sam też nie lubię, gdy inni się wtrącają. Wspominali chwilę stare czasy, Maciarza, Ewelinę i pewną brytyjską inwestorkę, Rose Friedman. To właśnie ona – była agentka, genialna hakerka i pani zemsta – zadała mu kiedyś pytanie, po którym zrozumiał, że w zasadzie nie ma żadnych przyjaciół. I to ona stała się potem jego przyjaciółką. A dziś nawet nie wiedział, czy żyje. Postanowił, że jak wróci do Warszawy, napisze do niej maila.

– Co u Rose? – zapytał Piotr.

– Nie wiem.

– Z Maciarzem też się nie widzisz, co? A Ewel... ech, lepiej nie mówić.

– To nie mówmy.

– Tak, lepiej się napijmy. – Piotr wychylił kieliszek, poczekał na Zimnego, który nie wypił do dna, i dolał mu do pełna. – Oszukujesz.

Zimny przytaknął i udał, że ma wyrzuty sumienia. Były prokurator pokiwał głową ze zdradzającym lekką urazę zrozumieniem.

– Ostatnio koledzy nie chcą już ze mną ani pić, ani rozmawiać. Myślą, że zwariowałem.

– Może za dużo tego. – Kuba wskazał na kieliszek.

– Nie, to mają w nosie, piją jeszcze więcej. Za to przeszkadza im, że zacząłem chodzić do kościoła.

– Ooo...

– No właśnie, ty też pewnie się ode mnie odwrócisz.

– Nie mam nic do kościoła.

– Żartują, że kumam się z pedofilami.

– Ode mnie chcą reportaży o księżach pedofilach – zazartował Kuba. – Jeśli ich nie znajdę, mogę przecież wymyślić...

– Nadmuchane to strasznie, ech, szkoda gadać. Napijmy się.

– Mnie już wystarczy – szepnął Kuba.

Piotr udał, że jest urażony, ale w końcu rzekł:

– Twoja sprawa, będzie więcej dla mnie. Choć to podejrzane. Ty, człowiek, który nigdy nie odmawiał wypicia kieliszka, nagle mówisz, że masz już dość. Może nie jesteś Kubą Zimnym, tylko jakimś...

– Ludzie się zmieniają.

Piotr odsunął się z krzeselkiem od stołu i z powątpiewaniem popatrzył na dziennikarza.

Zimny chrząknął i postanowił przejść do rzeczy.

– No więc, co z tym sednem sprawy?

– Hm, jeśli dobrze zrozumiałem, napisałeś, że bankier wystawiał sędziemu firmy z pokaznym majątkiem, ten ogłaszał ich bankructwo i oddawał pod opiekę przekupnym syndykom, opłacanym dodatkowo przez bankiera, a potem razem dzielili się zrabowanym majątkiem. Prawda?

– Prawda. Co pominąłem?

Piotr kiwnął głową, ale Zimny nie był pewien, co miał oznaczać ten gest. Były prokurator, mimo że już poza obiegami, miał ogromną wiedzę. Chodząca encyklopedia, z ułożonym alfabetycznie spisem przestępców małych i dużych, świadków koronnych, zabójców, złodziei, gangsterów, nieuczciwych polityków i miliarderów kantujących akcjonariuszy. Dlatego nie mógł już być prokuratorem. Inna sprawa, czy rzeczywiście nie przesadzał, tworząc teorie spisku.

– Skupiłeś się na drobiazgach.

– Ładne drobiazgi. Jakies kilka miliardów...

– Napisaliście o Księżym i Foglu, a tak naprawdę to tylko element całego układu.

Kuba się obruszył.

– Przecież napisaliśmy o...

– A gdzie nitki prowadzące do ludzi sterujących Księżnym z jednej strony i pajęczyna tkana przez Fogla z drugiej? – przerwał mu Piotr. – Naprawdę tego nie wiesz?

Zimny poczerwieniał ze złości, ale milczał.

– Za Księżnym i Foglem stoi potężne lobby bankierów i przyszywanych finansistów, którzy tak naprawdę mają niewielkie pojęcie o ekonomii, za to ogromne o manipulacji, dezinformacji i różnych prowokacjach. To ludzie służb, tych dawnych i nowych... Bez różnicy. To lobby stworzyło niezwykle niebezpieczny mechanizm, który opanował gospodarkę, finanse i sądownictwo. System, dający im władzę ponad polityką i biurokracją.

Zimny chrząknął znacząco. No tak, znów to samo...

– Posłuchaj... Pisząc, opieram się na faktach i twardych dowodach. Insynuacje mogą zepsuć tekst. Ty powinieneś wiedzieć o tym najlepiej.

Piotr nalał wódki do kieliszka i od razu wypił, nie patrząc na Kubę.

– Źle postawiłeś akcenty. Przejęcia spółek, inne bzdury to są akcje na drobne wydatki. Tak naprawdę wszystko kręci się w zarządzie stowarzyszenia prawników i w prowadzonej przez nie szkole. To jest system korupcji. Poważny, psujący cały kraj, spychający nas do worka z innymi republikami bananowymi.

– Myślisz, że tak nie jest na Zachodzie?

– Oby nie, bo jeśli tak, to nie ma nadziei. Przez takie standardy pozostajemy krajem Trzeciego Świata, w którym cywilizowana Europa nie dostrzega zła, bo przyjmuje z wyrozumiałością jego na pozór niezbyt groźne przejawy. Taki niby lokalny, bananowy koloryt, ale w konsekwencji oznaczający, że nigdy nie będzie się nas traktować poważnie, że pozostaniemy jedynie ciekawym, dużym rynkiem zbytu i pozornych inwestycji, krajem nieprzejrzystych standardów, przerośniętej biurokracji, pozbawionej perspektyw gospodarki, niskich zarobków i wiecznego malkontentstwa. A wy tego nie ruszyliście.

– Europa wcale nie jest święta. Niemcy też mają swoje mroczne tajemnice, politycy kumają się z oligarchami i „doradzają” w zarządach różnych spółek. Francuzi nie lepsi, nie mówiąc już o Włochach. Korupcja jest wszędzie, wszędzie to plaga.

– A czy ja mówię, że w Europie jest czysto? Nie, ale jednak jest to inny poziom korupcji i przenikania struktur państwowych i biznesowych.

– Wątpię.

– Naprawdę, nie porównujemy tego...

Zimny skrzywił się. Nie miał ochoty na dłuższy wykład o esbekach, mitycznych układach,

braku rozliczeń z peerelem, szpiegach i agentach WSI wciskających wszędzie swoje trzy grosze. Piotr ścigał układ tyle lat, że pomieszały mu się „za” i „przeciw”.

– Istotą demokracji – kontynuował Piotr – jest zaufanie do władz, instytucji, urzędników, służb, wreszcie sądów. A tu? Jakie masz zaufanie, jeśli po zmianie ustroju ciągle u władzy są takie gnidy jak ten Księżny czy Fogel, a za największych biznesmenów uchodzą agenci i szpiedzy, którzy przez lata uczyli się działania wbrew prawu, kłamstw, podstępów, pułapek?

– Problem w tym, że wszędzie widzisz agentów, a nie zawsze masz rację – zaproponował Zimny. Sam znał jeden przypadek bardzo znanego bankiera, któremu Piotr od dawna przypisywał agenturalność, a on z dobrego źródła wiedział, że to nieprawda, że ten człowiek nigdy nie był szpiegiem czy TW. Inna rzecz, że w takich sprawach nie ma dobrych źródeł i mogło to być kolejne kłamstwo.

Piotr ze złością machnął ręką.

– Wyjątki potwierdzają regułę. Nawet nie chodzi o to, czy oni są źli, bo raczej już nie widzą różnic pomiędzy dobrem i złem. Wsiąkli w swoje role i nie dostrzegają etycznego dysonansu własnych działań. Oni rozpieprzają ten system, bo dają przykład z góry. Mówią: nic się nie zmieniło. Wciąż to my rządzymy. Wciąż lepszy jest ten, kto więcej ukradnie. Ściągają do siebie następnych, podobnie pozbawionych skrupułów, oddanych złu, tworzą klikę, z którą nikt sobie nie może poradzić.

– Nowy biznes, ten bez układów, wcale nie jest lepszy. Władza deprawuje.

– Czy to znaczy, że mamy zaakceptować zło?

Pytanie, na które nigdy nie ma dobrej odpowiedzi – pomyślał Zimny. Westchnął głośno. Chciał już uciec w inny wątek, który w tej chwili interesował go najbardziej. Tak naprawdę przyjechał do Piotra na zupełnie inną rozmowę.

– A Bonar i Mierzejewski?

– To znaczy?

Zimny w kilku słowach opowiedział prokuratorowi o tym, czego dowiedział się od Cesarza, i o własnych wątpliwościach.

– Są niewinni? Czyści? – zakończył. – Czy... może sami intrygują? Jaka jest ich rola w całej sprawie?

Piotr wziął do ręki pokryty szronem od zmrożonego alkoholu kieliszek. Patrzył przez szkło na Zimnego, jakby rozważał: czysty czy brudny?

– „Demokracja jest wtedy, gdy dwa wilki i owca głosują, co zjedzą na obiad. A wolność,

gdy dobrze uzbrojona owca kwestionuje wynik głosowania”. Słyszałeś takie powiedzenie?

– Nie – zaprzeczył Zimny.

– Benjamin Franklin. Dobrze powiedziane i chyba adekwatne do tej sytuacji. Księżny ze zgromadzonym wokół siebie kapitałem agentów i skradzionych innym pieniędzy wystąpił w majestacie prawa i zagłosował wspólnie z sędzią Foglem nad tym, kogo zjedzą na obiad. Co musi mieć Bonar, żeby zyskać jakąkolwiek szansę zakwestionowania wyniku głosowania?

– Musi być dobrze uzbrojony?

– Albo wymyślić dobry podstęp – skwitował Piotr, kiwając znacząco głową i unosząc brwi, jakby pytał Zimnego: już rozumiesz?

– Sugerujesz... że mnie wykorzystali?

– Bonar może krzyczeć głośno, jak to go okradziono, odebrano miliony, pozbawiono szans, ale to nikogo nie wzruszy. Okradani na co dzień przez system górnicy, pielęgniarzy, lekarzy i nauczyciele nie przejmą się bogaczem, któremu po prostu coś zabrano. Może nawet będą się z tego cieszyć, bo przecież każdy, komu się w takim złodziejskim systemie udało, musi także być złodziejem.

– Prości ludzie, widząc krzywdę na każdym kroku, nie dopuszczają myśli, że wśród nas mogą być ludzie porządni? To masz na myśli?

– Właśnie. W świecie wolności wystarczyłoby, żeby po głosowaniu wilków owca chwyciła za broń w postaci sprawnego sądu wyższej instancji, przy udziale uczciwych mediów. Jednak w naszym świecie owca była całkowicie bezbronna. Musiała poszukać uzbrojenia.

– I znalazła mnie?

– Dziennikarza, który najpierw ją niesłusznie zaatakuje, a potem w poczuciu winy będzie lepiej, z większym zaangażowaniem jej bronił.



Sąd dyscyplinarny? Zwariowali? Już kompletnie im się pomieszało?

Sędzia Fogel patrzył na dwóch nieoficjalnych wysłanników Krajowej Rady Sądownictwa i zastanawiał się, czy ma wybuchnąć i powiedzieć im coś dosadnie, czy najpierw to przemyśleć. Czy naprawdę nie wiecie, kim jestem? Jak daleko sięgają moje macki? Ile mogę? Nigdy nie słyszeliście, kto tu ma władzę? Naprawdę myślicie, że zgodzę się być jednym z tych dwudziestu nieszczęśników, których wykluczycie ze swojego grona, odbierając im prawo do orzekania.

Zdecydował, że nie będzie reagował pochopnie. W tej sytuacji...

– Powiedzmy, że się zgodzę. Co proponujecie?

– Sprawa będzie rozpatrywana na tyle długo, żeby ci umożliwić odejście bez tych wstydlivych uszczypliwości – powiedział mecenas Radecki.

Znali się dość dobrze. Fogel zacisnął pięść i wbił sobie pazury głęboko w skórę. Cóż to, panie Radecki, nie pamięta pan już tych dwóch beznadziejnych ekspertyz, które opłaciliśmy, bo zabrakło panu na wykończenie tarasu? A roczny cykl szkoleń dla młodzieży? Na co pan wtedy potrzebował? Chyba na uporządkowanie działki nad jeziorem. A faktury za instalację pompy ciepła? Znów panu się ta inwestycja nie domknęła, więc pospieszyliśmy z pomocą. Teraz to się nie liczy? Czy naprawdę zapomniał pan o moich zasługach?

– Odejść?

– Chyba sobie nie wyobrażasz, że to przejdzie bez żadnych konsekwencji.

– Co takiego? Nic złego nie zrobiłem.

– Gdyby nie „Józef Piłsudski”, moglibyśmy jeszcze mieć nadzieję... Ta sytuacja jest dość oczywista. Jeśli nie wydamy wyroku skazującego, media nas zjedzą.

– Macie na nie wpływ.

– Nie możemy inaczej. Musisz odejść. Wiesz przecież, że w radzie nie jestem sam. Są inni, których nie uda mi się przekonać.

– Jacy inni?

– Nieważne. Po prostu musisz nas zrozumieć. Musimy się dogadać.

– A jeśli nie?

Radecki długo zwlekał z odpowiedzią. Napiął mięśnie, rozluźnił. Był już spokojniejszy. Znacznie spokojniejszy.

- Sąd odbierze ci prawo wykonywania zawodu.
- Są możliwe inne sankcje. Przyjmę nagane.
- Nie w tym przypadku.
- A jeśli się zgodzę?
- Już mówiłem. Przeciagniemy sprawę, a potem wyciszymy. Zostaniesz w stowarzyszeniu i w szkole.
- Do orzekania nie będzie powrotu?
- W tej chwili trudno to ocenić. Możesz zostać politykiem albo ekspertem. Kariera naukowa też ma swoje zalety. Z czasem wszyscy zapomną. Nikt nie będzie się już dopominał twojej głowy.
- A teraz się dopominają? Kto taki?
- Stoją w długiej kolejce. Chcesz kogoś z frontu czy z dołu listy?

Rycki kluczył swoim niepozornym fiatem po uliczkach starego Żoliborza, by w końcu zaparkować przed jedną z kamienic w pobliżu placu Wilsona. Człapał powoli do wejścia, ukradkiem spoglądając na wszystkie strony. Nie zauważył niczego niepokojącego, dlatego wbił kod umożliwiający otwarcie drzwi, wszedł do ciemnego przedsionka, a potem schodami na ostatnie, drugie piętro. Mieszkania poniżej pozostały pustostanami, w całym budynku tylko drugie piętro było zajęte przez biura Polskiego Towarzystwa Biegłych Sądowych i Ekspertów Finansowych.

Recepcjonista, stary pan Franciszek, był niegdyś znanym fachowcem od bicia bez pozostawiania śladów i pomniejszych tortur. Siedzący dalej, po drugiej stronie drzwi, pan Stachu specjalizował się natomiast w zastraszaniu i szantażach, ze szczególnym uwzględnieniem wykorzystania zdrad małżeńskich i stwierdzonych odmienności seksualnych. Obaj nie mieli zbyt dużej wiedzy na temat finansów, dlatego – podobnie jak napotkanemu w przedpokoju panu Mirosławowi – powierzono im w biurze towarzystwa sprzątanie i ochronę.

Pozdrowili przybyłego, a pan Mirosław dodatkowo poinformował, że w gabinecie archiwum czeka już profesor Kowalski.

Rycki podziękował, pewnym krokiem podszedł do ciężkich, wysokich drzwi dwuskrzydłowych i otworzył je bez pukania. Kowalski powstał na powitanie, a potem serdecznie potrząsnął dłonią przybysza. Rycki poklepał go równie serdecznie po ramieniu i zasiadł za biurkiem, dając znać, że spotkanie będzie bardziej formalne niż koleżeńskie.

Kowalski usiadł naprzeciwko i wyciągnął z teczki jakieś papiery.

– Poczekaj, zacznijmy od Fogła.

Kowalski chrząknął.

– Sprawa załatwiona.

Rycki uniósł dłoń, prosząc, by profesor wysłuchał go uważnie. Kowalski poruszył się niespokojnie, jakby coś go ugryzło w tyłek.

– Zmieniliśmy zdanie – wyjaśnił Rycki. – Chcemy, żeby Sąd Najwyższy podtrzymał orzeczenie pierwszej instancji.

Kowalski poczerwieniał. Na jego czole pojawiła się pierwsza kropelka potu. Rycki dobrze wiedział, że profesor lubi Fogła, a może nawet się z nim przyjaźni, choć w środowisku mówiono, że Fogel nie ma przyjaciół. No ale Kowalskiemu dawał sporo zarobić w swojej szkole.

– Miało być inaczej – zaproponował nieśmiało profesor. – Pierwsza instancja miała uznać winę, ale tylko w ograniczonym zakresie, a prawdziwe zarzuty przenieść na syndyków.

– Syndyków osądzi już tylko sąd boży.

– Właśnie. Kłopot. Tak czy owak, Fogel miałby się zrzec urzędu i całkowicie przenieść swoją działalność na grunt akademicki, a po dwóch latach Sąd Najwyższy by go zrehabilitował. Taka była umowa.

– Zmieniliśmy zdanie. Zarzuty wobec Fogła są zbyt poważne, nie możemy go ochronić. Nie ma mowy o jakiegokolwiek rehabilitacji.

– Rozumiem. A szkoła?

– Tu nic nie zmieniamy.

Kowalski pokiwał smutno głową.

– Nie będzie zadowolony.

– Pewnie, że nie, ale tak będzie dla niego i dla nas najlepiej. Jeszcze jedno... nie mów mu o naszych ustaleniach.

– Przecież...

– Po wyroku Sądu Najwyższego po prostu powiemy, że ktoś się wyłamał.

– Rozumiem.

Kowalski wyszedł, a Rycki oparł się wygodnie na fotelu i omiół wzrokiem ściany, od podłogi do sufitu wypełnione szafami ze „sprywatyzowanymi” aktami Służby Bezpieczeństwa. Objętością archiwum znacznie ustępowało tym dziewięćdziesięciu kilometrom zgromadzonym

w IPN, ale historycy i śledczy instytutu z pewnością wiele by dali za dostęp do zbiorów towarzystwa. Oryginały i kopie z oryginałów ukrytych w innych miejscach służyły „biegłym sądowym i ekspertom finansowym” od dwudziestu lat. Przydawały się, gdy trzeba było przekonać do współpracy jakiegoś sędziego, prokuratora, radcę prawnego, dziennikarza czy naukowca. Towarzystwo trzymało teczki biznesmenów, finansistów, nauczycieli i prawników. Tych, którzy coś znaczyli w Trzeciej RP, w tym wielu, którzy bardzo chcieliby zapomnieć o przeszłości.

Dzięki tym dokumentom i stworzonym nowym układom Rycki miał do dyspozycji całkiem pokaźny zbiór nowych akt. Były w nich informacje na temat braków w wykształceniu, niezłożenia papierów wymaganych w przypadku awansów, delegacji, nominacji, świadectw. Wykroczenia drogowe, ekscesy seksualne, sprawy wstydlive i drażliwe. Niektóre dane dotyczyły nawet sędziów Sądu Najwyższego, dzięki czemu przedstawiciele towarzystwa mogli liczyć na specjalne wpływy także i tam.

Cóż, czasy się zmieniły, a oni wciąż pozostawali u sterów.

Wniosek o upadłość Polskiego Banku Gospodarczego wpłynął do Komisji Nadzoru Finansowego w poniedziałek rano. Jednocześnie dokumentacja została przekazana do Sądu Rejonowego dla Miasta Stołecznego Warszawy i początkowo nie wzbudziła większego zainteresowania. Dopiero gdy w sekretariacie odnotowano pismo z żądaniem wyłączenia z postępowania sędziego Fogla, sprawa eksplodowała i nie było pokoju, w którym by o niej nie rozmawiano.

Wszyscy wiedzieli, że to kolejna odsłona sporu pomiędzy PBG a spółką Selac i jej prezesem Adamem Bonarem. Nie było także tajemnicą, jaką rolę odegrał w nim sędzia Fogel. Nawet pracownicy najniższego szczebla czytali artykuły w „Expressie” i „Tylko Prawdzie”. Słyszeli również, że sędzia ma sprawę dyscyplinarną, a jego kłopoty finansowe i rodzinne, między innymi z żoną, są być może pokłosiem tego sporu.

Do dziś jednak myślano, że jak zwykle sprawa ucichnie, a wszelkie kontrowersje przejdą bokiem, miną po chwilowej burzy, trafiając na wieki, tak jak inne trupy, do jednej z wielu przepastnych szaf, jakie wypełniały tajemnicze gabinety w prokuraturach, sądach, komisariatach policji i agendach służb specjalnych.

Do południa media w kraju otrzymały cynk od wiewiórek sądowych, z nadzoru lub z samej kancelarii Białkowskiego, która przygotowała i rozesłała do redakcji informację prasową w formie listu otwartego.

## SELAC ŻĄDA OGŁOSZENIA UPADŁOŚCI POLSKIEGO BANKU GOSPODARCZEGO

Podpisany pod listem mecenas Białkowski krótkimi zdaniami uzasadniał złożenie wniosku i przekonywał, że racja jest po stronie Selacu.

„Bank uporczywie unika spłacenia należności wobec spółki. Mimo wezwań i kolejnych terminów nie odpowiada na pisma procesowe. Notorycznie łamie prawo, podważając własną wiarygodność i wypełniając wszelkie – wskazane w przepisach prawa – przesłanki o konieczności rozpoczęcia postępowania naprawczego. Jesteśmy przekonani, że stwierdzenie upadłości doprowadzi do naprawy banku i zaspokojenia jego wierzycieli” – konkludował mecenas.

W liście wielokrotnie podkreślano wielkość banku, jego wagę dla systemu finansowego nie tylko w kraju, ale i na świecie, giełdowe reperkusje, jakie mogą czekać inwestorów. Białkowski i Bonar chcieli w ten sposób uprzedzić ataki i posądzenia o śmieszność takich zarzutów.

„Ktoś mógłby powiedzieć: liliput nie może żądać likwidacji olbrzyma za pozornie drobny w skali jego interesów dług – kończył bardziej publicystycznie Białkowski. – W historii jednak mieliśmy wiele przykładów, gdy sprawy drobne kończyły się wielkimi tragediami, a Dawid wygrywał z Goliatem. Wielkość, siła i potęga są w aktywach banku. Prawda jednak i sprawiedliwość znalazły oparcie po drugiej stronie barykady. Jesteśmy przekonani, że merytoryczne rozpatrzenie sprawy doprowadzi do głębokich zmian w polskim systemie bankowym, a może też w aparacie ścigania i sprawiedliwości. Dlatego liczymy na to, że Komisja Nadzoru Finansowego poprze nasz wniosek”.

Mimo starań ani list, ani sygnały od informatorów nie przełożyły się na zainteresowanie mediów głównego nurtu. Do południa żaden ze znaczących serwisów i portali nie odnotował informacji o wniosku i liście mecenasa Białkowskiego.

– To ściema – powiedział Kasi Jarosz naczelny, gdy ta wbiegła do jego gabinetu, próbując przekonać go do publikacji w internecie i przekazania jej połowy kolumny na tekst w wydaniu papierowym.

Z fotela akurat podnosił się jakiś niepozorny, za to świetnie ubrany mężczyzna w okularach.

– Znasz, Kasiu, mecenas Witalskiego?

– Nie. – Pokręciła głową.

– I całe szczęście! – Witalski uśmiechnął się szeroko.

– Mecenias obsługuje nasze najtrudniejsze procesy, nikt nie chce go znać, bo to oznacza kłopoty – wyjaśnił żartobliwym tonem naczelny.

– Jednak większość procesów wygrywam, więc może nie jestem taki straszny – dodał Witalski. – Cóż, pójdę już. Dziękuję za spotkanie, panie redaktorze. Pani redaktor... miło było panią poznać.

Naczelny odprowadził Witalskiego, a kiedy wrócił do gabinetu, powtórzył:

– Ten wniosek o upadłość PBG to ściema, nic ważnego. Złożyła go kancelaria Konstantego Białkowskiego.

– No i?

– Działa na zlecenie Bonara, on jest prawdziwym wnioskodawcą.

– No to co? Przecież tego nikt nie kryje?

– Nie rozumiesz? Bonar ma konflikt z Księżnym i PBG, to wymyślił sobie złożenie wniosku o upadłość banku. Powtórka z rozrywki. Nic ciekawego. Nikt przecież nie weźmie tego na poważnie. KNF nie poprze wniosku, więc sąd nawet się nim nie zajmie. Wyobrażasz sobie, że za jakieś parę milionów można zlikwidować bank? Nawet jeśli Bonar ma rację, to wniosek o upadłość jest od czapy. PBG ma kilka miliardów kapitałów.

– I nie reguluje długów – dodała z naciskiem.

– Parę milionów...

– Parędziesiąt – poprawiła. – A może i kilkaset. Z wyliczeń wynikało, że spór toczy się o miliard.

– To cała kwota obrotów Selacu, a nie wartość sporu – powiedział naczelny, choć wcale nie był tego pewien. Ale przecież Witalski wyjaśnił mu to dość przekonująco. – Nawet gdyby tak było, to jeszcze nie powód do składania takich wniosków. Selac powinien najpierw wygrać sprawę w sądzie cywilnym, a dopiero potem się rzucać. To zwykłe pieniactwo, Kasiu. Nie będziemy w tym uczestniczyć.

– Zrobili to samo, co bank zrobił im. I bank wygrał, choć nie miał racji.

– Bankowi wolno.

– Przecież dla nas to dobrze – argumentowała dalej Kasia. – Mamy spór.

– Już powiedziałem.

– Bank ma pewnie wiele takich sporów. A skąd wiesz, że inne skonfliktowane z nim firmy nie przyłączą się do Bonara?

– Poczekają na wynik, a wynik jest jasny do przewidzenia. Nie będziemy stawać po stronie

przegranego. To byłoby niekorzystne.

– Dla interesów gazety?

– Także dla nich.

Kasia prychnęła ze złością, jednak szybko się opanowała i spokojnym głosem, niemal prosząco, jakby liczyła, że naczelny się zreflektuje, zapytała:

– Nie puścisz nawet krótkiej notki? Po tym, co napisaliśmy?

– Szczególnie po tym.

– Nie rozumiem. Przecież nam powinno zależeć na podsycaniu sprawy, nawet jeśli wiemy, jakie jest drugie dno.

– I kto to mówi? Niedawno przekonywałaś mnie razem z Zimnym o wadze prawdy, sprawiedliwości i innych duperelach. No więc tu sytuacja wygląda następująco: Bonar, doskonale wiedząc, że nie ma racji i nie jest w stanie wywrócić PBG, wymyślił sobie absurdalny wniosek o upadłość banku. Liczy na rozgłos, ale my go zwyczajnie olejemy, rozumiesz? Nie podejmujemy tej gry.

– To nie fair. Jak wniosek zgłasza bank czy inna duża instytucja, to zawsze o tym informujemy, nawet jeśli nie mają racji. Możemy przecież napisać, że naszym zdaniem ten wniosek jest bez sensu, ale poinformować powinniśmy. Chyba.

– To kwestia wiarygodności źródła informacji. Poza tym Selac był spółką giełdową. Trzeba było dać newsa.

– PBG też jest notowany.

– Pewnie, mało tego, jest ważnym elementem systemu bankowego. Nie może upaść. Wniosek o upadłość jest pozbawiony jakichkolwiek podstaw.

Nie było sensu dalej dyskutować. Naczelny podjął decyzję i nie zamierzał jej zmienić. Kasia mogła jedynie oberwać, gdyby dalej się upierała. Poszła coś zjeść, odczekała parę godzin i w końcu zadzwoniła do Zimnego.

– Jednak z ciebie kutas – powiedziała bez wstępów.

– Przepraszam, wyjaśnię ci, kiedy się spotkamy. Pomiędzy nami...

– Nie chodzi mi o „nas”

Niemal widziała, jak przeciera zaspane oczy. Pieprzony alkoholik, śpioch, nierób. Co ja w nim widziałam?!

– Co się stało? – zapytał.

– Nic nie wiesz?

– No nie, byłem wczoraj w Gdańsku i trochę wypiliśmy z informatorem, więc wyjechałem do Warszawy dopiero w nocy. Nie miałem dostępu do sieci, a teraz...

– Spałeś?

– Musiałem odespać.

Kasia powiedziała mu o wniosku, liście mecenasa Białkowskiego, braku reakcji mediów i swojej rozmowie z naczelnym. Zimny trawił przez chwilę jej słowa, konfrontując je z tym, co sugerował mu Piotr. Może rzeczywiście Bonar nimi manipulował. Prowadził jakąś własną grę. Bo niby dlaczego nie powiedział o tym wniosku, tylko próbował ich zaskoczyć? Czy nie po to, żeby bezkrytycznie go przytoczyli, choć nie ma żadnych szans na jego realizację. Cholera, może zamiast tak bardzo wierzyć temu biznesmenowi, powinien przez cały czas patrzeć na sprawę nieco z dystansu...

– Mówisz, że „Express” się wypiął?

– Nie damy nawet boczkę. Po prostu zignorujemy informację. Piłka jest teraz po twojej stronie.

– Chciałabyś, żebym zrobił tekst w „Tylko Prawdzie”?

– To chyba oczywiste. Nie zostawisz teraz tematu, prawda?

– Problem w tym, że mam pewne obawy.

– Jakie?

– Że ktoś nas od początku wkręca. Ściśle mówiąc, Bonar ze swoim współnikiem Mierzejewskim.

– Halo, Zimny, ktoś ci pomieszał w mózgowicy?

– Tylko poświecił w ciemności. Od początku nami manipulują.

– Bzdura. Po co mieliby to robić?

– Właśnie po to, żeby załatwić ten bank. Założyli sobie, że najpierw sami się zaatakują, zrobią z siebie tych złych, po czym wykonają przewrotek i wykorzystają media w wojnie, której sami nigdy by nie wygrali.

– Co im dadzą media?

– Gdybyśmy dalej grali w tej grze, kto wie, co by się stało. Przesadzone teksty o możliwości upadku PBG wcale nie musiałyby pozostać bez echa. Może nawet doprowadziłyby do jakiejś paniki. Bywało już tak, że panika doprowadzała do upadku nawet dużych instytucji. Pamiętasz ten brytyjski bank, który poległ z powodu pozornego drobiazgu?

Kasia nie odpowiedziała od razu. Ale chyba nie przyjęła argumentacji Kuby.



– Jeśli twoja teoria jest prawdziwa, Bonar powinien starać się nas przekonać, a tak nie robi. Jego adwokat wysłał po prostu informację prasową.

– Bonar jest cwany. Wie, że mamy szefów, że oni tak łatwo mogą tego nie kupić. Poza tym...

– Tak?

– Może to napierdzielanka dwóch grup z powiązaniem w służbach. Jeśli to prawda, będą walczyć twardo, bez kompromisów, na ostrą amunicję. Ludzie stojący za Księżnym pewno już zaangażowali różnych lobbystów i prawników, by wychodzili sobie w mediach odpowiednie podejście do sprawy.

Kasi coś zaświtało w głowie. Wspomnienie uśmiechu mecenasa, którego oszukańcza dłoń przekazywała tyle kłamstw w dotyku.

– Kojarzysz mecenasa Witalskiego?

– Tak.

– Był dziś u mojego naczelnego, tuż przed tym, jak mi powiedziano, że nie będzie tekstu.

– No widzisz. Pewności nie ma, ale może właśnie wynajęła go jedna z tych grup.

– Przyjmijmy, że masz rację. Ale wciąż nie trzyma się to kupy z planem Bonara. W czym niby miałyby mu pomóc to, że na nas nie naciska?

– Chce, żebyśmy sami walczyli. Żołnierz najemny to nie to samo co rozżłoszczony fanatyk.

– I my jesteśmy fanatykami?

– Prawie. Zobacz, już niemal dałaś się złapać. A ja... chyba jestem jeszcze gorszy. Gdyby ktoś nie otworzył mi oczu, to pewnie bym się ostro wstawił za Bonarem. Ale nie udało się, panie Bonar, przejrzeliśmy pańską grę.

– Albo daliśmy się wpuścić twojemu informatorowi – podsumowała Kasia.

Zimny dojechał do redakcji dopiero pod wieczór, przeklinając swoją słabość do późnych pobudek. Gdyby wstał trochę wcześniej, miałby szansę obrobić sprawę porządnie i wstawić zgodny z prawdą tekst do porannego numeru. A teraz był bez szans. Mógł napisać tekst dopiero do następnego wydania, a to już nie będzie news. Chyba że rzeczywiście nikt tej informacji nie poda, wtedy wciąż będzie świeża, szczególnie z jego interpretacją. Ale Bonar pewnie nie będzie zachwycony tytułem i treścią – pomyślał.

– Dlaczego nie zaplanowaliście nawet małego akapitu? – zapytał po przejrzeniu szpiгла i wywieszonych na tablicy gotowych stron gazety.

– Nie było cię.

– Kiedy Bonara oskarżono o okradanie klientów, to ci nie przeszkodziło. – Udał, że wciąż jest po stronie biznesmena.

– Inny kaliber, Kuba. Przestań. Podejdź do tego profesjonalnie. Facet próbuje wywołać szum absurdalnym wnioskiem o upadłość banku. Każdy może sobie taki wniosek złożyć. Na pewno zostanie rozpatrzony. Nie znaczy to jeszcze, że ma podstawy i że trzeba o nim pisać w gazecie.

– Był u ciebie Witalski? – zaatakował Zimny, choć wcale nie chciał bronić Bonara. Naczelny zmieszał się.

– Skąd wiesz?

– Słyszałem. Chodzi po gazetach i blokuje teksty o Bonarze.

– Od razu blokuje. Po prostu otworzył nam oczy, że ten temat to ściema. Przykro mi, Kuba, ale się z nim zgadzam. Nie ma możliwości bankructwa PBG i dobrze o tym wiesz. Podsyłanie tego absurdalnego wniosku w prasie może się skończyć słusznymi zarzutami, i to nawet wysuniętymi przez prokuratora. Napady na banki są surowo karane. Myślę, że Bonar zrobił błąd i teraz pójdzie siedzieć.

Kuba skinął głową. Naczelny nawet nie podejrzewał, jak bardzo się z nim zgadza.

– Napiszmy to właśnie w taki sposób. Nie dziś, jutro.

– Po co tę sprawę rozgrzebywać?

– Bo jesteśmy to winni.

– Komu winni? Bonarowi? Księżnemu?

– Czytelnikowi. Zróbmy duży, porządny reportaż. Podsumowując wątki, możemy również podważyć wniosek o upadłość PBG i napisać, że to nie ma sensu.

– Robienie medialnego szumu nikomu nie przyniesie korzyści, zostaw to lepiej, jak jest. Jeśli Bonar oszukuje, to i tak spowodowaliśmy już dość szkód.

– Dlaczego? – Zimny nie sądził, by rzeczywiście tak było. Cokolwiek myślał o Bonarze, to jednak ustalenia o działaniach Księżnego i Fogła były prawdziwe. – Chyba mylisz pojęcia. Tak naprawdę tekst o szajce bankiera i sędziego nie mówił o Bonarze. Dotyczył szerszego kontekstu i ewidentnie się potwierdził.

– Pewnie tak. Zostawmy to już.

– Zaraz, czy ty chcesz mi powiedzieć, że mam w ogóle nie pisać o tej sprawie?

Naczelny spuścił wzrok.

– Rób, co chcesz. Jak będziesz miał ciekawe ustalenia, to przyjdź z nimi do mnie.

– A ty ocenisz, czy można je opublikować?

– Taka moja rola. Odpowiadam za teksty tak samo jak ty.

– I materiału o wniosku o upadłość PBG nie puścisz, nawet jeśli będzie napisany z tezą, że nie ma szans na jego zatwierdzenie i że to Bonar jest tu manipulatorem?

– Już mówiłem. Nie będziemy robić czytelnikowi wody z mózgu.

– Jesteśmy dziennikarzami. Nie mamy oceniać, tylko informować.

Naczelnny odwrócił się na pięcie i skierował do wyjścia.

– Muszę już iść.

– Poczekaj. Zagrajmy w końcu w otwarte karty. Nie zamierzam się narobić, a potem dowiedzieć, co twoim zdaniem jest nieważne albo ważne. Nie chcesz już tekstów o PBG i Bonarze? Mów!

Naczelnny przystanął i popatrzył gdzieś w bok. Zimny zrozumiał, że nie doczeka się prawdy. Ten człowiek będzie do końca lawirował. Nie będzie zdolny spojrzeć mu w oczy i powiedzieć, jak jest.

– Jeśli będą fakty, takie z podstawami, to opublikujemy tekst. O Foglu i jego procesie dyscyplinarnym napiszemy jutro. Także o zawale Mochnackiego.

– Czym? – Zimny z początku nie skojarzył nazwiska.

– Jak to czym? Syndyka Mochnackiego. Pisałeś o nim, a może też... go wykończyłeś. Syndyk, któremu zarzuciliście korupcję, utopił się w basenie. Podobno miał zawał.

Zimny przypomniał sobie niemłą twarz Mochnackiego i ich jedyne spotkanie. Zaraz potem wróciła informacja o śmierci Rekosza, o której dowiedział się również przypadkowo i która nie wzbudziła najmniejszych podejrzeń. Nie było żadnego śledztwa, żadnych sugestii, że to mogła być zbrodnia. Ale jeśli w krótkim odstępie czasu ginie dwóch syndyków zajmujących się jedną sprawą, a w zasadzie wieloma powiązanymi ze sobą sprawami wielkich przekrętów...? Żaden tropiciel spisków nie może uznać tego za przypadek. A już na pewno nie dziennikarz śledczy.

– I ty mówisz to tak spokojnie?

– A jak mam mówić? Wykitował w ekskluzywnym klubie, na oczach świadków i ratownika. Nie ma mowy o morderstwie. To był wypadek.

– A jeśli nie?

– Chcesz, to szukaj.

– Ale dla innej gazety, prawda? Miej choć odwagę to przyznać.

Naczelnny zaczerpnął głęboko powietrza i w końcu rzekł:

– Temat Bonar kontra PBG naszym zdaniem się wyczerpał, nie ma tu ciekawych możliwości rozwoju sprawy. Ujawniłeś ją, wyjaśniłeś, doprowadziłeś do zmian. Nie ma potrzeby tego kontynuować. My swoją rolę już odegraliśmy.

Ani jednego tekstu w mainstreamie. Owszem, mniejsze serwisy i portale zamieściły krótkie notki, ale wciśnięte między reklamy czy polityczne spory wersy nie wywołały żadnych komentarzy.

Totalna porażka.

Białkowski nie tracił humoru. Uspokajał Adama, że ma sprawę pod kontrolą i wszystko toczy się zgodnie z przewidywaniami.

– Kropla drąży skałę, Adamie. Osiągnęliśmy cel.

Bonar nie był przekonany, jednak nic nie powiedział.

– Zasięgnąłem trochę języka. – Białkowski mrugnął okiem. – Jedna ze znajomych pracuje w wydziale u Fogla.

– No i?

– Ktoś zrobił notatkę, że przy rozpatrywaniu twojego odwołania zmieniło się aż pięciu sędziów, aż w końcu przyszedł właściwy. Dlatego ten adwokat ci powiedział, że nawet danie w łapę nic nie zmieni.

– Kim był właściwy sędzia?

– Podwładnym Fogla.

– Jak to podwładnym? I rozpatrywał odwołanie od wydanego przez niego wyroku? W apelacji? To w ogóle możliwe?

– A widzisz, tu się przydaje znajomość pewnych kwestii proceduralnych. Ten sędzia formalnie wciąż był sędzią sądu rejonowego, a do okręgówki został tylko delegowany. Rozumiesz? W każdej chwili mógł wrócić pod skrzydła Fogla. No i dodatkowo ma etat w jego szkole prawniczej. To nic szczególnego. Znajdziesz tam i ministrów, i profesorów, i prokuratorów, i adwokatów. Czasem się przydają, choć pewnie część nawet nie zdaje sobie sprawy, że może zostać wplątana w konflikt interesów, dopóki ktoś... Fogel, a może jakaś inna gruba ryba... nie poprosi o przysługę. Według notatki jednego z pracowników sądu Fogel przyszedł do sędziego rozpatrującego twoje odwołanie i podyktował mu uzasadnienie wyroku. Nie miałeś szans tego wygrać, choćbyś nie wiem ile dał.

Bonar poczuł się oszołomiony. Trudno było w to uwierzyć. Jak mógł pokonać tę klikę? Czy w ogóle miał jakiegokolwiek szanse? Białkowski namawiał, przekonywał, chciał, żeby walczył, ale czy to miało sens? Ile można poświęcić na walkę z wiatrakami? Kropla drąży skałę, dobre

sobie. Spędzi całe życie w sądach, a na koniec i tak ktoś powie, że to się nie liczy, bo na przykład zmieni się prawo i wyroki okażą się nieważne. Niby niemożliwe, a przecież ciągle się powtarzało. Że prawo nie działa wstecz? Na pewno?

– Wiesz, kto napisał tę notatkę?

– Nie. A po co ci ta informacja?

– Pewnie któraś z sekretarek, ktoś to musiał słyszeć. Może warto porozmawiać z pracownikami...

– Nie, to nie takie proste.

– Dlaczego?

Białkowski zwlekał z odpowiedzią. W końcu wyznał:

– Ta notka to prawdopodobnie fałszywka.

– Jak to?

– Ktoś chce szybko usunąć Fogla, żeby wyciszyć sprawę. Z tobą też przyjdą się dogadać.

– Co ty mówisz?

Białkowski znacząco skinął głową.

– Przyjdą, przyjdą. Wiem, że przyjdą.

– Nie chcę się dogadywać.

– Teraz tak mówisz. Ale jak zaproponują ci ugodę? Co wtedy zrobisz? Będziesz chciał walczyć, wiedząc, że stoisz na straconej pozycji? Że sam nie zawrócisz kijem Wisły?

– Oczekujesz potwierdzenia?

– Nie, prawdy.

Milczeli przez dłuższą chwilę. W końcu mecenas szepnął:

– Sądzę, że rozsądnie będzie zawrzeć ugodę.

– Ale nie chciałbyś, żebym ją zawarł?

– To nie moja decyzja. I całe szczęście.

Adam wyszedł na spacer. Mróz ściał rzekę i oszronił gałęzie drzew. Komputer w samochodzie wskazywał minus szesnaście. Niebo skrzyło się gwiazdami. Jak to zacytował Zimny w tej swojej książce: „Niebo gwiazdziste nade mną, prawo moralne we mnie”. Bonar nie pamiętał, skąd to cytat, ale w jego sytuacji był niezwykle trafny.

Kuba Zimny stał przy jego samochodzie. Zmarznięty, zniechęcony i chyba mocno rozdrażniony.

– Co pan tu robi?

– Czekam.

– Długo?

– Właśnie miałem panu napisać wiadomość, że proszę o telefon.

Bonar spojrział na wyciszony aparat. Miał tylko trzy nieodebrane połączenia. Od Zimnego. Jeśli miarą upadku jest zapomnienie, to chyba właśnie osiągnął dno. Dawniej, gdy wyciszał aparat na dłużej, miał kilkanaście, kilkadziesiąt telefonów do oddzwonienia. Dziś został mu tylko jeden chętny rozmówca.

– Przepraszam, nie mogłem rozmawiać.

– Dlaczego nie zadzwonił pan do nas z informacją o tym wniosku o upadłość?

Bonar powoli otworzył drzwi lincolna i ze zniechęceniem rzucił teczkę na tylną kanapę. Chyba był przybity, choć może Zimny niewłaściwie interpretował jego zachowanie.

– To ściema – wyznał biznesmen ku zaskoczeniu Kuby. – Taka nasza mała manipulacja. Nieudana, niestety. Nikt o tym nie napisał, nawet PAP nie chciała podać tej wiadomości w serwisie płatnym. Wniosek nie przejdzie przez KNF, nie mówiąc o sądzie.

– Ale złożyliście go?

– Tak. Nawet uważamy, że mamy do tego prawo, ale przecież pana nie będę oszukiwał. Nikt się na ten zabieg nie nabrał i nie nabierze. Trudno. – Zawahał się na chwilę. – Jeśli chce pan pogadać, proponuję kolację. Ma pan czas? Mogę pana zaprosić do siebie?

– Do domu? – Kuba skrzywił się z niechęcią.

– Czemu nie? Ta sprawa załatwiła mi całe życie. Firmę, rodzinę. Żona mnie zostawiła... na jakiś czas. Mieszkam sam w ogromnym domu, a każdy pusty kąt przypomina mi o porażce. To jak, jedzie pan?

Kuba obszedł samochód i wsiadł na miejsce pasażera. Przestronne wnętrze zostało wykończony z dbałością o każdy detal. Świecące, chromowane wstawki w drewniane i skórzane elementy pachniały świeżością i luksusem.

– Ładne auto. Pewnie drogie.

– Nie droższe niż bentley, o którym pan pisał w poprzedniej książce.

– Tamten został sprzedany. Właściciele zbankrutowali.

– Tak jak moja firma, ale auto należy do mnie. Nie zamierzam się go pozbywać.

– Pewnie żłopie jak smok.

– To jedna z jego nielicznych wad.

– Pan się nią nie przejmuje?

– Nie.

Na szosie wylotowej z Warszawy Adam przyspieszył, a potem zwolnił, skręciwszy z dwupasmówki w wąską drogę przecinającą gęsty mieszany las. Z niej wjechali w wewnętrzną brukowaną aleję, którą dotarli do ukrytej między drzewami willi.

Że też nigdy nie marzyłem o takim luksusowym domu! – pomyślał Zimny. Wystarczyłaby mi buda na klifie, znacznie skromniejsza niż ta ogromna chawira czy nie tak wielka, ale równie wypasiona nadmorska dacza Cesarza.

Adam zaparkował na podjeździe i przy drzwiach poczekał na Zimnego.

– Nie ma pan psów?

– Żona ma uczulenie, a na dworze nie chcę ich trzymać.

Weszli do środka. W takim domu Kuba spodziewał się jakiejś gosposi, ale musiała być pomocą dochodzącą, bo w środku nikogo nie było.

Bonar zapalił światło i nie zdejmując butów, wszedł do obszernego salonu połączonego z kuchnią i biblioteką. Wielka przestrzeń, dużo szkła, wysokie okna i wyjście na taras, przez które można by przejechać czołgiem. Pięknie, choć na Kubie nie robiło wrażenia. Już wolał mieszkanie Cesarza.

W drodze, po początkowym milczeniu, wymienili parę zdań o sporcie i sprawach bez znaczenia, chyba tylko po to, by Adam mógł mimochodem wtrącić, że ma duży dom i po wyjeździe Natalii z dziećmi może w nim gościć nawet całą drużynę piłkarską, więc to żaden problem, by spędzili połowę nocy przy stole, wypili coś dobrego i szczerze porozmawiali.

Otworzył lodówkę i wyłożył na stół przekąski: różne sery, wędliny i dodatki. Na koniec otworzył dużą paczkę łososia, anchois, pokroił pomidora, mozzarellę, dołożył do nich zestaw oliw smakowych, przyprawy i w końcu podszedł do barku.

– Wino czy coś mocniejszego?

– Może być wino. – Kuba zaskoczył sam siebie, choć od jakiegoś czasu coraz częściej zmieniał mocny alkohol na słabsze trunki, pewnie pod wpływem pewnego krakowskiego blogera pasjonata, który tak wspaniale potrafił pisać o winach, że zaraz po przeczytaniu nabierało się chęci na opisywaną markę.

Bonar wrócił z butelką czerwonego wina z regionu Douro. Opowiadając stosowną anegdotę, rozlał je do wielkich kieliszków i opadł na krzeselko.

– Co chce pan wiedzieć? Co mam wyjaśnić?

– Może po kolei, od początku.

Adam wypił jednym haustem połowę kieliszka.



– Przecież już opowiadałem. Myśli pan, że coś zmyśliłem? Że nie było tak, jak ustaliliście? Zimny powiedział mu bez ogródek o podejrzeniach Piotra, którego określił mianem „informatora ze służb”, i rozterkach wynikających z rozmowy z Cesarzem oraz wcześniejszych kontaktów z anonimem.

– Podejrzewam, że to pana partner. Co pan na to?

– Nie było żadnej manipulacji. Bank nas zaatakował, my się broniliśmy, resztę pan obserwował i zna. Nie mam nic wspólnego ze służbami, nie walczę z nikim, nie reprezentuję żadnego układu.

– A pański partner Mierzejewski? Uwe Boll? To nieprawda, co mówił o nim „mój informator”? Nie mógł wrabiać firmy, żeby zrealizować własne cele? Może nawet pan nie wie, że to on za tym stoi. A może jednak działaliście wspólnie, tylko nie chce pan tego przyznać...

Bonar przymknął na chwilę oczy. Wcale nie był pewien, co chce powiedzieć temu dziennikarzowi. Czy ta spiskowa teoria nie była prawdopodobna wobec tego, co się wydarzyło? Czy Mierzejewski mógł go zdradzić, poświęcić dla jakiegoś celu, wykonać pracę na zlecenie? A może od początku był w firmie wtyką, wstawionym przez układ szpiegiem, który nagle obrał inny kurs. Mógł też po prostu wybrać mniejsze zło, stanąć po stronie przeciwników, żeby uratować inne swoje biznesy. Takie sytuacje zdarzały się dość często. Każde wytłumaczenie było możliwe. Adam nie znał odpowiedzi.

– Nie widziałem Mierzejewskiego od trzech miesięcy – oznajmił ku własnemu zaskoczeniu dość obojętnie.

– To prawda, że wyjechał do RPA?

– Tak powiedział. Od tego czasu nie mamy żadnego kontaktu. Nawet jeśli realizuje jakiś plan, ja nic o nim nie wiem. Wiem za to, że wszystko, co wam opowiedziałem, i wszystko, co robiłem, to prawda. Naruszyliśmy potężny układ, który pewnie teraz zdwoi wysiłki, żeby afery nie zatoczyła szerszych kręgów.

– I układ przyblokował sprawę wniosku o upadłość PBG?

Bonar machnął nerwowo ręką.

– Już mówiłem, że to manipulacja, więc nie chciałem was w to wkręcać. Wniosek od początku był skazany na porażkę, niepotrzebnie go składaliśmy.

– Ale gdybyśmy się sami wkręcili, nie miałby pan nic przeciwko?

– Może inaczej: to nie jest tak, że wymyśliliśmy sobie ten wniosek od czapy. Jeśli ktoś nie

chce zwrócić panu dług, to ma pan prawo wnieść wniosek o upadłość. W przypadku banku procedura jest bardziej skomplikowana, bo trzeba to zrobić za pośrednictwem nadzoru bankowego, który chroni w ten sposób system. Dlatego nie mamy szans. W innym wypadku wcale nie byłoby powiedziane, że byśmy przegrali. A gdybyśmy zapłacili Fogłowi, to... sam pan wie...

Rozmawiali jeszcze chwilę o wniosku i Zimny nagle zrozumiał coś bardzo istotnego. Mimo krążących wokół intryg, powietrza aż gęstego od spisków i złośliwości, mimo całej kasy zaangażowanej w proceder, tajemniczych śmierci syndyków, podejrzeń wobec samego Bonara... on wierzył temu człowiekowi. Wydawało się, że jest jedynym rzeczywiście szczerym gościem w całym tym gronie manipulatorów. Prowadził biznes, normalny, uczciwy, zgodny z prawem. Księżny mu ten biznes gwizdnął i zrobił to przy pomocy sędziego Fogła. Tych dwóch drani załatwiło tak samo co najmniej kilkanaście firm i przedsiębiorstw państwowych.

To było bezsporne.

Dlaczego więc w ogóle się waham? Po co szukam dziury w całym?

Nieważne, czy ktoś stał za nimi i jakich argumentów używał teraz Bonar, by się bronić. Liczyło się tylko to, że miał rację. Prawda była po jego stronie. To on został skrzywdzony przez system i zasługiwał, by media wzięły jego stronę, dopominały się sprawiedliwości w jego imieniu. Miał prawo używać podstępów w walce z przeciwnikiem. „Dobrze uzbrojona owca”. Owca, nie wilk. Ofiara, a nie agresor.

– Cholera, przepraszam.

– Za co? I tak mi pan pomógł.

– Przestałem panu wierzyć, mimo że argumenty były po pana stronie.

– Nic się nie stało.

Zimny podrapał się po głowie.

– Mówił pan, że gdyby gazety nabrały się na ten wasz podstęp z żądaniem bankructwa PBG, to zrobilibyście duży krok do przodu w swojej walce.

– Milowy, ale się nie udało.

– Niekoniecznie.

– Sam pan powiedział, że „Tylko Prawda” tego nie puści. „Express” też odmówi.

– Żadna polska gazeta – przyznał Zimny. – Ale mam pewien pomysł.

Kasia była tak zdenerwowana i roztrzęsiona, że zanim zadał pierwsze pytanie, objął ją,

wprowadził do środka i posadził na łóżku. Zziębnięta i wymęczona, przypominała zbłąkanego psa, którego kiedyś przygarnął z ulicy i który następnego dnia, mimo zjedzenia dwóch pęt kiełbasy, zniknął bez podziękowania, dając mu swego rodzaju symboliczne przesłanie na temat wolności. Bez względu na to, co dostaniesz i jak ci jest dobrze, włóczęgom nie jest pisane szczęście w klatce. Co ona o tym myślała? Pewnie wiele, skoro spędziła kilka godzin, siedząc w samochodzie przed jego domem w zimną styczniową noc.

– Spokojnie, zrobię ci herbaty.

– Co, już znalazłeś sobie kochankę?

– Skąd... ten pomysł?

– Siedzę pod twoim domem całą noc – jęknęła.

– Czemu nie włączyłaś silnika?

– Czasem przepalałam, ale w końcu zaczęłam się bać, że akumulator się rozładuje albo coś... Szwankuje mi ogrzewanie, poza tym... bałam się, że ktoś na mnie doniesie albo... sama nie wiem.

– Zostawiłaś Juniora z dziadkami?

– Ma opiekę – ucięła oschle, dając mu znać, by nie pytał więcej o chłopca.

Podał jej herbatę.

– Byłem u Bonara. W domu. Zagadaliśmy się, chciał mnie przenocować, ale zdecydowałem się wrócić taksówką. I całe szczęście.

Skinęła głową, nic nie mówiąc. Nie wiedział, czy mu uwierzyła. Nie wiedział też, co jeszcze mógłby powiedzieć.

– Nie interesuje cię wynik rozmowy?

– To już nie mój temat.

– Sądzę, że Bonar nie kłamie.

– A kiedykolwiek myślałeś inaczej?

– Miałem wątpliwości. Poważne. Po tym wniosku o upadłość PBG jeszcze większe.

– A teraz nie masz?

– Nie.

– To dobrze.

Znów milczenie. Kasia jeszcze bardziej się skuliła i Kuba miał ochotę podejść i ją objąć. Czy to byłoby coś złego? Dać jej znowu nadzieję? Jeśli jej potrzebowała? A może tylko on tak to interpretował...

– Nie przyszedłam tu się mazgać – oznajmiła w końcu. – Mam powód.

Ponieważ zamilkła, pomyślał, że potrzebuje jeszcze chwili, by dojść do siebie. Poszedł zaparzyć kolejną herbatę. Usiadł obok Kasi i zacisnął dłoń na jej ramieniu.

– Już dobrze, tu nic ci nie grozi. Co się stało?

– Straszą mnie. Z początku myślałam, że tylko mi się wydaje, że mam jakieś omamy, ale to nie była żadna paranoja. Chodzili za mną, i to tak, że bym ich zobaczyła. W domu Kuba powiedział, że gdy z wychowawczynią z przedszkola byli na spacerze w parku, podszedł do niego jakiś obcy mężczyzna.

– Coś zrobił?

– Nie, tylko mu się przypatrywał. A w skrzynce na listy było to. – Wyjęła z koperty zdjęcie synka. Mały Kuba uśmiechał się szczerze i niewinnie. – Włożyli to do skrzynki, bo nie ma żadnego stempla.

– Chcą cię wystraszyć – przyznał.

– No i się im, kurwa, udało. Pierdolę to. Kuba jest dla mnie najważniejszy.

– Rozumiem, odpuść. Dadzą ci spokój.

– A jak nie?

– Możemy poprosić policję o ochronę.

– Ufasz policji? Bo ja nie. Nie chcę, by coś się stało Kubie.

– Nic wam nie będzie, spokojnie.

– Do dupy z Bonarem, jego firmą i całą tą paranoją! To jest bez żadnej wartości wobec... – zaczęła, ale nie wiedziała, jak skończyć, żeby nie zabrzmiało to zbyt łzawo. W końcu napięła mięśnie i poprosiła: – Odpuść tę sprawę.

Zimny skinął głową.

– Dobrze, odpuszczę. Nic ci nie grozi.

Starał się być na tyle przekonujący, że chyba mu uwierzyła. Na jej twarzy wykwitł wesoły, trochę nieszczerzy uśmiech, jakby nagle troski odfrunęły niczym cienie czarnych kruków w filmie rysunkowym.

– Naprawdę dasz sobie spokój?

– Pewnie. – Kuba przybliżył się, ścisnął jej ramię i wstał, zanim zdążyła go objąć. Podszedł do lodówki i wyjął zimne piwo. – Chcesz?

– Nie, dzięki.

Otworzył puszkę i upił trochę piany.

– Kłamiesz, prawda? – zapytała nagle. – Nie zostawisz Bonara.

– Nic więcej nie mogę pomóc.

– Ale go nie zostawisz. Znam cię.

– Mam pewien pomysł.

– Kuba, kurwa, oni grożą mojemu dziecku!

– Nic nie robią. Nie będą mieli szansy, zaufaj mi.

– Jeśli... coś się stanie, nie daruję im tego.

– Myślę, że to wiedzą. Dlatego tak naprawdę nic ci nie grozi. Ani tobie, ani Kubie.

W Polsce nie giną dziennikarze ani ich dzieci. Nie ma porwań, przypadkowych wypadków, tortur, obcinania palców czy głów...

– A ci dwaj syndycy?

– ...przynajmniej jeśli chodzi o nasze środowisko – dokończył. – Nie martw się. Wyobraź sobie, jaki raban podniosłyby media, gdyby zrobili coś dziecku. Nie zaryzykują. Tylko straszą. Gównu mogą zrobić. – Wcale nie był tego taki pewien. W końcu dziennikarze też padali ofiarą wypadków. Ginęli w samochodowych kraksach, wybuchach gazu, od przypadkowych ciosów łobuzów. Zazwyczaj nie było żadnych wątpliwości i podejrzeń, ale czy mógł być pewien, że kiedyś taki wypadek nie zostanie wywołany celowo? Nie było wyjścia. Musiał przekonać Kasię.

– Nie mamy żadnych dowodów, że ktoś przyczynił się do śmierci tych syndyków. Moje źródła twierdzą, że śledztwa nie wykazały udziału osób trzecich. – Tak czy inaczej, trochę skłamał. Sam wcale nie był pewien, czy wierzyć „swoim źródłom”. Te zgony były podejrzane i... nie do wyjaśnienia. Jak powiedział ten cholerny Cesarz? To kwestia wiary. Spiski są kwestią wiary. Nie da się ich udokumentować.

– Samo to, że obaj dostali zawału w krótkim odstępie czasu, jest podejrzane – kontynuowała.

– Sądzisz, że ktoś by tak ryzykował? – powiedział ponownie wbrew własnym odczuciom. Jeśli syndycy odgrywali rolę „najemników”, to w oczach swoich mocodawców byli najślabszym ogniwem całego układu. Potencjalnymi świadkami koronnymi. Kimś, kto z powodu wyrzutów sumienia lub dla potencjalnych korzyści mógł się wyłamać i powiedzieć, jak było naprawdę. Być może dlatego musieli zginąć, choć jednak nie mógł wykluczyć przypadku. Nie było jednak sensu jeszcze bardziej straszyć Kasi.

– Obyś miał rację.

– Zobaczysz, wkrótce to się skończy.

Kuba poznał Jana Grabskiego przy okazji badania podejrzanych szkoleń organizowanych przez urzędników KNF dla petentów. Grabski opisał je w małym piśmie tylko po to, by wziąć łapówkę. Jak to ujął: chciał tylko, żeby ktoś mu zapłacił za pracę, a ponieważ polskie gazety nie były zainteresowane, zaszantażował bohaterów tekstu.

Za zarobione pieniądze wyjechał do Anglii i złapał fuchę w „Financial Timesie”. Od tego czasu pisał felietony o Polsce i innych krajach regionu. Rozmawiali tylko telefonicznie, ale Kuba czuł, że Grabski darzy go sympatią. Kiedy ukazała się powieść Zimnego, Jan do niego zadzwonił i szczerze mu gratulował.

– Dawno nie czytałem tak wciągającej historii. I to prawda?

– Wymyślona prawda – zażartował Zimny.

– Dobra robota, chłopcze.

– Także dzięki panu.

– Och, mówmy sobie po imieniu.

Od tego czasu rozmawiali kilkakrotnie przy okazji kolejnych działań Kuby lub publikacji w FT zachowawczych artykułów Grabskiego. Jan nie ukrywał, że jest „konformistycznym skurwysynem”. Nie zależało mu ani na prawdzie, ani na rewolucji. Sprawdzał najpierw, która opcja jest bezpieczniejsza, a potem pod tym kątem pisał artykuł. Chciał tylko doczłapać jakoś do brytyjskiej emerytury, a trochę mu jeszcze do niej zostało.

– Wszelki duch! – wykrzyknął na powitanie. – Myślałem, że już mnie całkowicie skreśliłeś.

– Bo skreśliłem. Nie mogłem znieść tego cynizmu, który się z ciebie wylewa.

– Pamiętaj, że najlepszymi wolontariuszami są egoiści.

– W twoim świecie bez zasad.

– Także w twoim z zasadami, których nikt nie przestrzega. No mów, dlaczego sobie o mnie przypominałeś?

– Mam interes.

– To wiem. Nie wiem tylko jaki. Wielki i twardy czy „mientki” i śmierdzący?

– Trochę taki, trochę taki.

Kuba przez prawie pół godziny opowiadał Grabskiemu o sprawie Bonara, Fogła, syndyków, Księżnego, tajemnicach żaglowca, szkoły prawniczej, kryjących się wszędzie byłych szpiegów, agentów WSI i esbeków.

Jan czasem o coś dopytywał, a na koniec wydawał się chyba poruszony.

– Niech mnie, naprawdę niezła afera! Przy tym twoja wcześniejsza sprawa to pikuś. Jaką rolę masz dla mnie?

Zimny odpowiedział trzema krótkimi zdaniami. Kiedy Jan wciąż milczał, podał kilka dodatkowych argumentów.

– Jak się uda, będziesz sławny – zakończył.

– Nie chcę być sławny. Wyjechałem po to, żeby spokojnie dożyć starości. Stać mnie na brytyjskie śniadanie, najlepszą herbatę i piwo w pubie, a raz do roku jeżdżę na wakacje do Meksyku, na Borneo czy inną wyspę w cholernej Indonezji. Jestem szczęśliwym człowiekiem bez twoich afer i pokus. Nie interesuje mnie nieśmiertelność, tylko dobre życie.

– A teraz pora na sławę.

– To chyba jednak nie jest najlepszy pomysł.

– Dlaczego? PBG należy do FB Banku. To jedna z największych instytucji na świecie. Twoi czytelnicy muszą być zainteresowani, w jaki sposób robi interesy w Polsce.

– Naprawdę myślisz, że moi czytelnicy są czymkolwiek zainteresowani poza swoimi akcjami i zyskami? Myślisz, że obchodzą ich jakieś republiki bananowe i praktyki warszawskich gangsterów w krawatach? Nie, kochany, dla nich liczy się imperium brytyjskie i to, co może na nie wpłynąć. Znasz ten cytat z Churchilla? „Anglia nie ma przyjaciół, ma interesy”. Tak to u nas wygląda. A pierdolony bank w Polsce, choćby należał do nich, ma gównem do powiedzenia przy podziale globalnego tortu.

– Sądzę, że o tym chętnie przeczytają. W końcu wnioski o upadłość banku nie zdarza się co dzień.

– Mówiłeś, że to ściema – przypomniał Jan.

– Tylko dla twojej wiadomości. – Zimny postanowił zagrać na innej nucie. – Janie, taki tekst bardzo by mi pomógł.

Grabski roześmiał się wesoło i odparł:

– Trzeba było tak od razu.

Artykuł ukazał się na pierwszej stronie „Financial Timesa” i niemal natychmiast wywołał żywą reakcję na kilku giełdach i w większości telewizji informacyjnych. FB Bank nie miał ostatnio zbyt dobrej prasy. Instytucji i jej zarządowi zarzucano stosowanie nieuczciwych praktyk przy zabezpieczeniach walutowych, udzielanie zbyt ryzykownych kredytów, obsługę nierentownych obligacji, nieprzejrzystą politykę inwestycyjną oraz zbyt bliskie związki z podejrzanymi klientami.

Ryzyko upadku – nawet niewielkie – jednej z jego najważniejszych spółek zależnych, którą jeszcze kilka dni temu wychwalano na konferencji poświęconej inwestycjom w byłych demoludach, nie mogło przejść bez echa, szczególnie gdy zostało poparte soczystymi argumentami przemawiającymi także do czytelników tabloidów.

Jan Grabski dobrze się sprawił. Tekst był konkretny, wyrazisty, pełen szczegółów. Atakował finansową korporację nie tylko za brak nadzoru i przymykanie oka na poważne nieprawidłowości, ale też za świadome czerpanie zysków z nielegalnych źródeł i celowe tworzenie polityczno-biznesowych układów ze służbami specjalnymi w tle.

„Groźba likwidacji wcale nie wydaje się taka abstrakcyjna, gdy zajrzemy za kulisy sprawy. Bank szczycący się na stronach internetowych przejrzystością, transparentnością i godnością akceptował specjalne programy inwestycyjne dla agentów byłych komunistycznych służb specjalnych, wpędzał w kłopoty klientów, doprowadzając do ich upadłości, a zaprzyjaźnionemu sędziemu, który na to pozwalał, sprezentował pełnomorski sześciorejowy żaglowiec o wartości kilku milionów dolarów. Czy na pewno taka instytucja ma prawo istnieć? Może jej miejsce jest gdzieś na głębokim oceanie, na zapomnianym cmentarzysku pilnowanym przez wygłodniałe rekiny” – ironizował Grabski.

Zdjęcie „Józefa Piłsudskiego” prezentowało się na stronach FT imponująco, a podpis przemawiał do wyobraźni.

TRZEBA MIEĆ WYJĄTKOWY TUPET, ŻEBY SĘDZIEGO PRZEKUPYWAĆ TAKIMI DARAMI LOSU. BRYG „JÓZEF PIŁSUDSKI” DO NIEDAWNA SŁUŻYŁ MŁODZIEŻY. DZIŚ JEST PRYWATNYM „JACHEM” BYŁEGO KOMUNISTYCZNEGO APARATCZYKA. PUTIN ZE SWOJĄ „NATALY” MOŻE SIĘ SCHOWAĆ.

Zimny aż odetchnął głęboko i chwycił za telefon.

– Nie mówiłem ci, że „Piłsudski” był łapówką – powiedział.



– Jak to nie? Czy sędzia dostał ten jacht?

– Na szkołę i jednak go kupił, a nie dostał.

– Zapłacił dziesięć razy mniej, niż statek był wart, prawda? Dodatkowo mówiłeś, że ma odroczone termin płatności, i to porządnie odroczone, a sędzia, żeby się popisać, zrobił sobie na pokładzie biuro i przyjmuje tam petentów.

– Prawda, ale za napisanie wprost, że to łapówka, możesz beknąć w sądzie.

– Myślisz, że Fogel wytoczy mi proces?

– Kto wie...

– Proszę bardzo. To nie Polska. Tutaj szanuje się wolność słowa, może nie tak jak w Ameryce, ale przy kontraktach publicznych jeszcze bardziej. Sędzia kupujący statek od strony, w której imieniu orzeka, po zaniżonej cenie, na dodatek korzystający z odroczonej płatności... taki sędzia w „The Sun” mógłby liczyć na okładkę ze swoją głową i wielki napis: OSZUST. I nikt nie miałby wątpliwości, że to uprawnione oskarżenie.

– W Polsce...

– Na szczęście w Polsce nie mogą mnie oskarżyć.

Zimny uśmiechnął się szeroko.

– Jednak się w tobie zakochałem, brachu.

– Powiem ci coś, Kuba. Zanim przeczytałem twoją książkę, nie zrobiłem niczego dobrego, jeśli nie widziałem w tym własnego interesu. Stawiałem się, owszem, nawet przejmowałem losem bohaterów, ale to mój interes był najważniejszy. Teraz myślę inaczej. Zmieniłeś mnie. Dzięki temu ten tekst jest taki, jaki jest. Dzięki.

Być może artykuł nie miałby takiego oddźwięku, gdyby nie generalnie zły czas dla banków. Spadek notowań FB Banku pociągnął w dół cały indeks paryskiej giełdy, co znalazło odbicie w notowaniach instytucji finansowych na Euronext oraz londyńskiej LSE. Pechowo zbiegło się to w czasie z publikacją kolejnych złych danych dotyczących sprzedaży nieruchomości, co spowodowało kiepskie otwarcie NYSE i lekką panikę w Szanghaju, Tokio oraz Hongkongu.

Bankierzy zdecydowanie woleli przypisać winę jakiejś mało istotnej kwestii polskiej niż własnym przekrętom, dzięki czemu światowe media zaczęły komentować poczynania Fogla i Księżnego, a zdjęcia i filmy z „Józefa Piłsudskiego” robiły furorę w internetowych memach.

Zimny najbardziej upodobał sobie fotkę statku z dostawioną za pomocą Photoshopa nagą laską, która mówiła: WASZE LOKATY SĄ U NAS BEZPIECZNE.

Spędził pracowity ranek i przedpołudnie, rozsyłając kopie tekstu z FT oraz wstawki

z różnych portali do mediów, kancelarii prawnych, urzędów i agencji. Gdy zapraszano go do studia telewizyjnego lub radiowego, podawał numer komórki Bonara.

Cóż, reszta w twoich rękach.

Tuż przed dwunastą dostał esemesa z informacją:

POJEDYNEK W TV NEWS. OGLĄDAJ!

\*\*\*

– Zgodzi się pan porozmawiać na wizji z prawnikiem PBG? – zapytał reporter popularnej stacji telewizyjnej.

Bonar odetchnął głęboko. Zamieszanie wywołane artykułem w FT było wielkim zaskoczeniem i szybko przybrało efekt kuli śnieżnej. O jedenastej przed południem telewizje i stacje radiowe emitowały krótkie reportaże o zarzutach FT, przywołując historię GŁOŚNEGO sporu pomiędzy bankierami a spółką giełdową Selac. Nagle przypomnieli sobie o Bonarze przyjaciele, bliscy i dalsi znajomi. Większość gratulowała mu walki, uporu i pytała o dalszy przebieg konfliktu, deklarując pomoc.

Teraz możecie się wypchać – pomyślał.

– Starcie jeden na jednego. Pan i bankowiec. Co pan na to? – zachęcał reporter.

– Bez cenzury?

– Absolutnie, żadnej cenzury. Będziecie na żywo. Starcie jak na ringu. Im mocniejsze ciosy, tym lepiej.

– Kto ma być moim przeciwnikiem? Wojciech Księżny?

Reporter chrząknął.

– Prezes Księżny jest na wylocie. Nie wypowiada się już w mediach. Podobno dostał AWANS do centrali.

– AWANS?

– Właśnie.

– Więc kto?

– Nazywa się Paweł Raczek. To główny radca prawny PBG.

Bonar kojarzył nazwisko, gdzieś w świadomości zachował też niemiłą, mocno podejrzaną postać prawnika. Nie mógł przypomnieć sobie twarzy, ale to nie było potrzebne. Czuł niechęć do tego człowieka, a jednocześnie chciał się z nim zmierzyć. Pewnie, że lepiej byłoby walczyć z Księżnym, a już cudownie – bezpośrednio z Foglem. Ale skoro to niemożliwe...

– Dobrze, przyjdę. O której?

– W samo południe!

Włożył jasny garnitur, koszulę i krawat. W siedzibie telewizji był kwadrans przed rozpoczęciem programu. Charakteryzacja zajęła pięć minut, po czym zaprowadzono go do studia. Była to sporej wielkości hala, bardzo surowa w wystroju, wypełniona zielonymi płytami, wykładzinami, sprzętem. Unosił się w niej nieprzyjemny zapach sztucznych tworzyw. Na ekranie wygląda to tak pięknie, kulisy są znacznie mniej zachęcające i brudne.

– Rurek, kurwa, czy naprawdę nikt nie może zetrzeć tego blatu? – dosłyszał nawoływanie jakiegoś prezentera z sąsiedniej sali. – Ogląda nas pięć milionów ludzi. Zasługują na coś więcej niż ujebany stół.

Rurek przeszedł koło Bonara ze szmatą w ręku.

Opiekun biznesmena pociągnął go za ramię do następnych drzwi.

– My tutaj.

Paweł Raczek już czekał. Wysoki, postawny gość po pięćdziesiątce, może nawet bliżej sześćdziesiątki, i chyba... wystraszony.

Adam poczuł, że ta rozmowa może być dla niego kluczowa. Jeśli dobrze to rozegra, jeśli dobrze wypadnie...

– Podacie sobie, panowie, dłonie? – zapytał opiekun.

– Czemu nie? – Bonar podszedł do Raczka i pierwszy wyciągnął rękę.

Bankowiec ujął ją z wystudiowanym, grzecznym ukłonem.

– Miło mi pana poznać.

– Mnie również, choć wolałbym rozmawiać z prezesem Księżnym. To prawda, że dostał awans?

Paweł Raczek chrząknął znacząco.

– Porozmawiają panowie na wizji. – Opiekun wszedł pomiędzy nich, jakby się bał, że skoczą sobie do gardeł.

Chwilę później siedzieli już przy stole w studiu naprzeciwko ładnej, uśmiechniętej i kompletnie nieznającej sprawy prezenterki.

– Pan jest z banku, a pan ze... – zerknęła do notatek – z firmy Seltac?

– Selac – poprawił.

– Właśnie. Pan żąda upadłości banku, czy tak?

– Dokładnie.

– Pan wyjaśni to od strony prawnej, dobrze? Tylko proszę prosto, bez terminologii i... tego

całego prawniczego bełko... no wie pan, o co mi chodzi.

– Dobrze.

– Uwaga, zaczynamy.

Usłyszeli dzingiel i zobaczyli na ekranie telewizora zajawkę programu *W samo południe*.

Kontrowersyjne tematy, ostre dyskusje, nietuzinkowi goście

W samo południe

### **Zaprasza Patrycja Mrugała**

– Dzień dobry państwu – zaczęła Patrycja. – Witam w samo południe. Dziś jak zwykle kontrowersyjne tematy, nietuzinkowi goście. Gościmy w studiu Adama Bonara, prezesa spółki... Selac, która żąda upadłości Polskiego Banku Gospodarczego. Po drugiej stronie przedstawiciel banku, radca prawny Paweł Raczek. Witamy. Zanim jednak poproszę panów o komentarz, krótki reportaż o sprawie.

Obraz ze studia zastąpiono archiwalnymi zdjęciami, które przedstawiały historię upadku Selacu i rzekomych oszustw spółki. Głos z offu donosił:

„Do czasu ogłoszenia upadłości Selac była jedną z największych spółek leasingowych z obrotami sięgającymi miliarda złotych. Bankructwo zaskoczyło zarząd, giełdę, klientów”.

Zdjęcia pokazały kolejno smutnego Bonara na sali rozpraw, panikę na giełdzie i domagających się uczciwości leasingobiorców stłoczonych przed siedzibą Selacu z transparentami: OSZUST – NIE BĘDĘ PŁACIŁ DWA RAZY – ODDAJ MÓJ SAMOCHÓD, BONAR!

„Tak szybki i gwałtowny upadek musiał trafić pod lupę prokuratury. Zarzut oszustwa był tylko kwestią czasu. Prezes Selacu wciąż jednak walczy i postawił na atak, wykonując odważny ruch: twierdzi, że to bank wierzyciel jest oszustem, i żąda jego upadłości”.

Obraz powrócił do studia. Realizator zrobił zbliżenie na prezenterkę.

– Czuje się pan oszustem, panie Bonar?

Adam powstrzymał wybuch. Materiał był prymitywny, szcątkowy i źle zmontowany. Istotę sporu przekazywał powierzchownie i w gruncie rzeczy nieprawdziwie. Czego jednak można było oczekiwać? Przypomniał sobie rady speców od wizerunku. Pamiętaj: nigdy nie wybuchaj na wizji, nie awanturuj się, nie krzycz i nie upieraj, bo przegrasz. Musisz być przekonujący, a nie histeryczny. Musisz pokazać, że to ty jesteś górą, a inni nie dorastają ci do pięt i dlatego się wściekają. Punktuj ze spokojem, pewnością siebie, wyższością. Wyprowadź ich z równowagi. Tylko tak wygrasz.

– Jak widać, jestem na wolności – odparł ze szczerym uśmiechem. – Nie oszukałem nikogo i z pewnością w sądzie obronię swoją rację. Ale przyszliśmy tu rozmawiać nie o mnie, tylko o banku, prawda? PBG nie zasługuje na miano instytucji zaufania publicznego i dlatego jako akcjonariusz banku jestem przekonany, że KNF poprze wniosek o upadłość.

– Jest pan akcjonariuszem? – zapytała zdziwiona Mrugała.

– Oczywiście, mniejszościowym. – Bonar uśmiechnął się na myśl o swojej jednej akcji, która posłużyła do złożenia wniosku do prokuratury i teraz miała też podziałać na KNF. Mniejszościowy akcjonariusz z jedną akcją walczy o sprawiedliwość. Ta jedna akcja przy długotrwałym sporze mogła okazać się niezwykle istotna. Jako akcjonariusz miał wiele praw, mógł uczestniczyć w walnych zgromadzeniach, wnioskować i blokować wnioski, mógł wreszcie, udając dbałość o interes akcjonariuszy, wnosić sprawy do sądów czy prokuratur.

Paweł Raczek chrząknął i nagle Adam dostrzegł jeszcze większą szansę. Facet był cholernie zestresowany, nie wiedział, co powiedzieć i jak reagować.

– Oczywiście... uhm... to oczywista... bzdura...

– Widzi pani, nawet przedstawiciel banku się ze mną zgadza – dopowiedział Adam, przejmując prowadzenie. – Jak część widzów zapewne wie, wniosek o upadłość spotkał się z żywiołową reakcją na światowych giełdach. Sektor bankowy już podlicza straty, a spodziewam się także fatalnego otwarcia na giełdzie w Nowym Jorku.

– To bzdury – wykrztusił bankowiec. – Proszę nie robić ludziom wody...

– Oczywiście pan musi zaprzeczać i ja to rozumiem, jednak odeślijmy widzów do lektury dzisiejszego „Financial Timesa”. Polskie media lekceważą zagrożenie, podczas gdy najbardziej prestiżowa gazeta na świecie jest nieco innego zdania. – Bonar pochylił się w kierunku kamery numer jeden i wycedził wprost do widzów: – Polecam państwu tekst w FT i wyciągnięcie wniosków.

– Absurdalne pismo bez znaczenia... – próbował ratować sytuację bankowiec, wracając do wniosku.

Mimo że dla Adama było jasne, że chodzi o bezwartościowe w istocie pismo sądowe, które złożył, nie omieszkał ponownie zaatakować:

– Sami państwo możecie się przekonać. Mój szanowny interlokutor nazywa najbardziej wpływowy dziennik na świecie absurdalnym pismem bez znaczenia.

– Chodziło mi o pańsk...

– Rzeczywiście dzisiejszy FT analizuje sytuację banku i powtarza część zarzutów –

przerwała mu Patrycja. – Pan twierdzi jednak, że klienci nie mają się czego obawiać?!

– Oczywiście, nasi klienci są bezpieczni. Nic nie grozi ich środkom.

Adam uśmiechnął się.

– Amber Gold też tak przekonywało na dzień przed zamknięciem biur.

– Wypraszam sobie, proszę nie porównywać szanowanego banku z para...

– O ryzyku niewypłacalności też możecie państwo przeczytać w FT. No, chyba że wolicie wierzyć panu Pawłowi, który z pewnością będzie przekonywał, że jest na dobrej drodze do... no właśnie, do czego, panie Pawle? Gdzie zmierza PBG, jeśli nie na krawędź przepaści? A może już lecicie w dół? Jeśli tak, to niestety nie ma ratunku, bo w Polsce nikt nie da wam miliardów dla podreperowania kasy.

– Pański wniosek i tok myślenia jest całkowicie nieodpowiedzialny. Skierujemy sprawę do...

– Już skierowaliście przeciwko mnie wiele spraw i je przegraliście. Czemu pan nie chce rozmawiać o wynikach banku i przesłankach do upadłości?

– Bo ich nie ma. – Przeciwnik nie zdążył nawet odpowiedzieć na nieprawdziwe twierdzenia Adama o przegranych sprawach.

– Więc nieprawdą jest zaksięgowana strata w pierwszym kwartale? Strata nie byle jaka, bo trzysta milionów piechotą nie chodzi...

– To kwestie jednorazowych rezerw. Po ich rozwiązaniu...

– Jeśli będzie co rozwiązywać.

– Pan jest wyjątkowo nieodpowiedzialny.

– Raczej wystarczająco odpowiedzialny, by nie trzymać pieniędzy w instytucji stosującej takie praktyki, jakie dotknęły mnie osobiście i jakie opisuje FT.

Zapadło znaczące milczenie, które przerwała prezenterka, podsumowując:

– Cóż, jak zwykle spór był gorący. Ja zachęcam państwa oczywiście do spojrzenia na problem z szerszej perspektywy i zachowania zdrowego rozsądku. – Uśmiechnęła się swoim wybielonym rzędem przepięknych, równych zębów i zgodnie z formułą programu, którą wymagała na końcu nieco lżejszej, zabawnej puenty, z wyraźnym mrugnięciem dodała: – Zdradzę państwu, że ja po tej dyskusji nie trzymałabym pieniędzy w PBG. Gdybym tylko je miała.

Po krótkim wahaniu Kasia wybrała opcję wypłaty stu złotych. Bankomat bez protestu wydał pieniądze, które zamierzała przeznaczyć na prezent dla Kuby i bilety do kina. Syn bardzo

chciał obejrzeć najnowszego *Spidermana* w 3D, a ona tylko pragnęła nie myśleć o ewentualnych konsekwencjach działań Zimnego. Wciąż się bała i nie mogła tego opanować. Człowiek zastraszony, szantażowany, osaczony nigdy nie pozbywa się traumy. Ona zawsze będzie mieszkać gdzieś w nim. Kasia nie bała się o siebie. Gdyby to o nią chodziło, nie darowałyby draniom.

Wyszła z niewielkiego pomieszczenia z bankomatem i lekko zszokowana spojrzała na długą kolejkę przed pobliskim oddziałem Polskiego Banku Gospodarczego. Takie sceny ostatnio widziała, gdy bankrutowały jakieś kasy oszczędnościowe. Nawet przy punktach Amber Gold nie było podobnego ruchu. Podeszła do kolejki i zapytała starszą kobietę:

– Co się stało?

– Kolejni oszuści – odparła. – Jak pani ma pieniądze tutaj, radzę szybko wybrać, bo upadają.

– Upadają?

– W telewizji dziś było. Piszą o nich i gadają na całym świecie. Za chwilę już nie będzie można wybrać kasy.

Kasia odeszła na bok, zrobiła zdjęcie komórką, a potem zadzwoniła do Zimnego.

– To twoja robota?

– Co takiego?

– Stoję obok kolejki przed oddziałem PBG. Klienci masowo wybierają pieniądze.

– Prawnik z PBG tak się popisał w telewizji podczas rozmowy z Bonarem, że ludzie pewnie uwierzyli w możliwość bankructwa. TV News donosi, że podobnie jest w całej Polsce.

– Cholera, trzeba to przerwać.

– Dlaczego? Jak zasłużyli, to niech upadają.

– Kuba, kupa ludzi może stracić kasę. Przecież wiesz, że jeśli klienci jakiegokolwiek, choćby największego banku masowo rzucą się do wypłacania pieniędzy, to ten upadnie, nie ma siły. A to skończy się tragedią.

– Dla mnie to zabawne. To tylko pieniądze, Kasiu.

– Nie mów tak, ci ludzie ciężko pracowali, by coś mieć. Nie każdy kładzie łaskę na przewidywalne, bezpieczne życie w najważniejszej komórce społecznej.

– Niepotrzebna złośliwość.

– Tylko prawda. Ci ludzie nie zasłużyli na straty. Nie są cwaniakami czy chciwymi

głupcami. Wierzą w bezpieczeństwo, jakie rzekomo daje im instytucja zaufania publicznego. Jeśli Bonar doprowadzi do upadku PBG, oni wszyscy poniosą straty.

- Tylko ci, którzy mają dużo. Drobniacy kasę zwróci fundusz gwarancyjny.
- A pozostali?
- Dostaną nauczkę, że nie wszystko obraca się wokół mamony.
- Powinni pójść do ciebie i wbić ci pałkami trochę oleju do głowy.
- Spokojnie. PBG pewnie zaraz zareaguje.

Bank zareagował dopiero następnego dnia. Powołano zespół kryzysowy, zakazano Pawłowi Raczkowi publicznych wypowiedzi i skierowano go do innych obowiązków, a następnie w trybie przyspieszonym przejrzano dokumenty sprawy Bonara. Wniosek był jednoznaczny. Nowy prezes zebrał opinie, a następnie zwrócił się do centrali po instrukcje. Tymczasem bank wykupił pospieszną kampanię reklamową, która miała pokazać potencjał całej grupy i solidne podstawy działalności.

„Jesteśmy międzynarodową instytucją o kilkusetletniej tradycji i naszym najważniejszym celem zawsze było BEZPIECZEŃSTWO”.

Choć masowe wypłaty udało się opanować, to odpływ klientów wciąż narastał. Zapewne dlatego centrala zaakceptowała pomysł na rozwiązanie problemu i już po tygodniu nowy prezes PBG zaproponował Adamowi Bonarowi spotkanie w celu ugodowego załatwienia sporu.

Adam nie spał całą noc przed negocjacjami, wspominając słowa, które już dawno temu wypowiedział adwokat Białkowski.

Co zrobisz, jeśli zaproponują ugodę?

Jak się zachowasz?

Uгода to zwycięstwo; odrzucenie może zakończyć się porażką.

Rozmowa podczas kolacji trwała trzy godziny. Prezes banku był grzeczny i wyjątkowo kompetentny. Zupełnie nie przypominał Księżnego i chyba było mu za poprzednika wstyd. Całym sobą przekazywał jeden komunikat: to nie ja jestem pańskim wrogiem, Bonar; jego już tu nie ma; wojna zakończona; proszę nie brać rewanzu na najemnym profesjonalistcie; to pana zwycięstwo, ale potrzebujemy jeszcze ugody bez emocji, z biznesowym podejściem.

Następnego ranka doszło do konkretnych negocjacji w obecności prawników. Białkowski był jedynym radcą ze strony Bonara. Bank wystawił dwie amerykańskie kancelarie, zdzierające po trzysta dolarów za godzinę. Reprezentowali je czterej polscy adwokaci i trzej



aplikanci do podawania dokumentów.

Białkowski się nie spieszył. Czytał po kilka razy każdy punkt proponowanej ugody, żądał drobnych zmian, jeśli tylko cokolwiek mogło być niejasne. Podczas przerwy Adam zapytał, czy naprawdę aż tak boi się podstępu, na co odparł z uśmiechem:

- Nie, ale dranie z FB Banku więcej zabulą za obsługę prawną, a to kolejny twój sukces.
- Wygląda na to, że wygraliśmy – nieśmiało powiedział Bonar, uważnie patrząc na Białkowskiego.
- Na to wygląda – przyznał mecenas.
- Mam podpisać? Co radzisz?

Białkowski długo zwlekał z odpowiedzią. W końcu odłożył dokumenty na stół i zakończył:

- Moja rola skończona. Dokumentacja jest okej.
- Więc?
- Reszta należy do ciebie. Zrób, jak uważasz.

W siedzibie Polskiego Towarzystwa Biegłych Sądowych i Ekspertów Finansowych zgasyły główne światła. Ochroniarz w recepcji wewnętrznej przysypiał, nie bacząc na obecność ostatniego z „dyrektorów”, jak nazywano ekspertów, o których nikt nie rozmawiał. Człowiek znany także tutaj pod nazwiskiem Rycki był jednym z najczęstszych gości w siedzibie towarzystwa, choć nie sprawował żadnej funkcji i nie był etatowym pracownikiem organizacji ani firmy zarządzającej budynkiem, ani żadnej ze spółek działających na rzecz stowarzyszenia. Często też zostawał w biurze na noc lub wychodził nad ranem. Pilnujący ochroniarze czy sprzątacze przywykli już do tego. Wiedzieli, że praca takich ludzi jak Rycki wymaga częstego zarywania nocek. Oni w młodości też przecież zarywali, choć raczej w bardziej przyjemnych i przyjaznych misjach.

Rycki siedział na fotelu w archiwum z zamkniętymi oczami i czuł, jak ciemność powoli go oplata swoimi mackami, wnika w każdy wolny zakamarek przestrzeni. Była jego najlepszą i jedyną przyjaciółką. Czuł się w niej jak nurek w wodzie. Czasem, mimo zamkniętych oczu, widział kształty, wzrokiem potrafił niemal przenikać ściany, zaglądać do ludzkich i zwierzęcych myśli. Był jak demon, który uczestniczy w grze na zupełnie innej płaszczyźnie.

Dziś wieczorem obejrzał na kanale biznesowym program, w którym padła informacja o kolejnych negocjacjach w sporze pomiędzy Bonarem a bankiem. Nie podano jeszcze ich wyniku, choć Rycki był przekonany, że w telewizji już go znają, tak jak on znał.

Nikt za to, oprócz niego i prezesów PBG, nie wiedział, że bankierzy wypowiedzieli dziś

umowy, które wiązały ich z Ryckim, towarzystwem i reprezentowanymi przez nich spółkami.

Poproszono ich także grzecznie o przeniesienie kont do innej instytucji finansowej. Bankier był wyraźnie zdenerwowany, informując go o tym i prosząc, by nie przyjął tego gestu jako aktu wrogości czy jakiejś osobistej abominacji.

Po prostu czasy się zmieniły.

Twarz Ryckiego wykrzywił sztuczny, wystudiowany, pełen dystansu uśmiech. Tak, czasy zmieniały się od dwudziestu lat i jakoś wciąż nie mogły się zmienić.

Nie był zły. Rozumiał doskonale bankiera i konieczność tych ostatnich posunięć. Rozstali się w nieudawanej zgodzie, a teraz, po długiej naradzie z przyjaciółmi, siedząc z zamkniętymi oczami w ciemności, Rycki próbował przewidzieć, co przyniesie przyszłość. Jakiego kolejnego przyjaciela lub jaką ofiarę da mu wkrótce mrok.

# Epilog: Trzy lata później

Budynek w kształcie piramidy raził opustoszałym parkingiem i zimnymi, pozbawionymi życia szklanymi pokojami, których nie ocieplała nawet obfita zieleń roślin wypełniających każdą możliwą lukę. Puste biurka, korytarze, sale konferencyjne, zapomniana czytelnia i stołówka były pogrążone w brudnym półmroku. Kiedyś pracowało w tym miejscu kilkadziesiąt osób. Dziś pozostały po nich tylko kwiaty, które, o dziwo, ktoś musiał podlewać.

Zimny spojrzał znacząco na Kasię Jarosz. Dawno się nie widzieli. On poszedł swoją drogą, ona swoją. Było mu przykro, ale nic nie mógł poradzić, że nie nadaje się na chłopaka, narzeczonego, a już z pewnością na męża. Nie chciał jej wykorzystać, ale też nie chciał pogodzić się z myślą o ustatkowaniu.

Jestem pieprzonym samolubem, nic na to nie poradzę.

– Co u Junio... Kuby?

– Pyta o ciebie.

– Mam dla niego prezent. – Wręczył jej pudełeczko klocków lego.

– Lepiej nie. I tak jego oczy ciągle pytają: co znów, mam, zrobiłaś nie tak, że kolejny uciekł? Teraz zapyta od kogo, ja mu powiem, a on zrobi sobie nadzieję. Lubił cię.

Więc wciąż jest sama – pomyślał Kuba. Cholera, niedobrze. Życzył tej dziewczynie i jej dziecku wszystkiego co najlepsze. Zasługiwali na to. Zasługiwali na normalne życie.

– Przepraszam.

– Nie twoja wina. – Chyba rzeczywiście mówiła szczerze. – Już taki chujowy ten mój los.

– Miałaś nie przeklinać.

– Pierdol się.

Bonar zbiegł do nich uśmiechnięty, w wyraźnie dobrej formie i świetnym humorze. Miał opaloną twarz, minę zwycięzcy, dobrą marynarkę, cały był zadbany. Spojrzał na zegarek, wyjaśniając, że jeszcze ktoś do nich dołączy.

Kuba usiadł naprzeciwko wielkiego okna, z którego widział parking i swój samochód postawiony zaraz przy bramie. Pomyślał, że jeśli ktoś nieostroźnie i zbyt szybko skręci z ulicy, to może go potrącić. Cholera, teraz mi to będzie chodzić po głowie.

– Na kogo czekamy?

– Chciałbym wam kogoś przedstawić.

– Żonę? – wypalił Zimny, zanim pomyślał.

Adam nie dał po sobie poznać, że pytanie go odrobinę zirytowało. Z Natalią nie widział się od prawie pół roku, z dziećmi również. Wyjechali do Nowego Jorku, wrócić do Polski mieli dopiero na wakacje. To nie był temat, który chciałby dziś poruszać. Tym bardziej z dziennikarzami, nawet jeśli mu pomogli w walce z PBG, Księżnym i Foglem. Czuł, rzecz jasna, wdzięczność i gotów był ją okazywać, ale jednocześnie przyjął, że nie zrobili niczego wyjątkowego. Rzetelnie, przynajmniej częściowo, wykonali swoją robotę. Pytania o jego sprawy rodzinne zdecydowanie wykraczały poza obszar, którym powinni się interesować. Mimo to wyznał:

– Rozwiodłem się z żoną.

Zapadła chwila niezręcznego milczenia. Kasia rzuciła od niechcenia, że jej przykro, choć wcale tak nie było. Wciąż pamiętała tę nieszczęsną dziewczynę, która ostatecznie musiała wycofać zarzuty przeciwko Bonarowi, przez co sama trafiła pod ostrzał prokuratury za fałszywe zeznania. Na szczęście sprawę umorzono, być może dzięki interwencji mecenasa Białkowskiego.

Bonar zasłużył na karę za swoje zachowanie. A może za prosto to pojmowała? Sama też przecież nie była święta. A Zimny? Ten chyba był jeszcze większym draniem niż Bonar, przynajmniej w sprawach sercowych.

Kuba skupił wzrok na szybie, jakby w ogóle go to nie interesowało. Jakiś samochód zwolnił i skręcił z ulicy w bramę. Zmieścił się obok jego starej hondy, bez problemów parkując dwa miejsca dalej. Zimny nie znał tej marki. Na masce pojazdu był dziwny znaczek, którego nigdy wcześniej nie widział. Duża, przestronna bryka. Jakiś maybach czy bentley? Tyle że z mocnej przeceny, bo miał jakieś dwadzieścia lat. A może takie są jeszcze droższe. Zabytkowe auta bywają kosztowne. Za duszę niektórzy skłonni są zapłacić znacznie więcej niż za komputery, czujniki, kamery i roboty do automatycznego parkowania.

Z pojazdu wyszło dwóch facetów. Jeden ważył co najmniej sto dwadzieścia kilo, był wielkim, przerażającym grubasem o twarzy przypominającej dużą rybę. Zimny niedawno obejrzał w internecie film, w którym podobny do tego człowieka *Epinephelus itajara*, zwany strzępielem, goliatem lub grouperem, pożera rekina, i pomyślał, że taki pozornie rozlazły, powolny stwór może pokazać zęby i ujawnić krwiożerczy instynkt.

Drugi był w typie Bonara, choć nieco mniej zadbany. W garniturze, osiemdziesiąt kilo, metr siedemdziesiąt pięć, krótko przystrzyżone włosy, niebieskie oczy, biała koszula, zniszczone buty. Tyle zauważył Kuba.

Grubas był obojętny, wyluzowany. Ten drugi wyraźnie zdenerwowany. Jak kiedyś Bonar.

– Przepraszam na chwilę. – Adam wstał, wyszedł z pokoju, nie zamykając drzwi. Przeszedł wzdłuż rzędu kwiatów i otworzył nowo przybyłym. Przywitali się jak starzy przyjaciele, po czym wszyscy trzej weszli do pokoju, gdzie czekali dziennikarze.

– Poznajcie detektywa Grubbera – przedstawił Adam tego potężnego.

Grubas skinął głową, podał dłoń najpierw Kasi, potem Zimnemu. Kuba aż rozdziawił gębę, zaskoczony. Nie dość, że gość był podobny do strzępiela, to jeszcze podobnie się nazywał.

– A to jest Jan Mazurek.

Zdenerwowany tylko skinął głową i usiadł obok detektywa.

Bonar zaproponował kawę, herbatę lub wodę, a potem usiadł i zaczął mówić:

– Jak wiecie, Sąd Najwyższy uznał, że upadłość Selacu została ogłoszona niezgodnie z prawem. Dzięki temu możemy spotkać się tutaj, choć firma nie działa i nie ma szans na jej reaktywację.

– Przecież pan wygrał i podpisał ugodę z PBG – wtrącił Zimny.

– To prawda – przyznał Bonar.

– Podobno pana mecenas był z tego powodu wkurzony, chciał walczyć, a nie godzić się na łaskę wielkiego banku...

– To nieprawda – odparł Adam i nie kłamał. Mecenas Białkowski jemu pozostawił decyzję, ale ostatecznie ją poparł. Była rozsądna i w zasadzie jako jedyna dawała nadzieję na odbudowę spółki. – Ugoda pozwoliła skupić wysiłki na walce z aparatem państwowym i sądowym. Liczyliśmy, że po rozliczeniu z PBG będziemy mogli reaktywować działalność.

– Dlaczego się nie udało?

– Inne banki nie chciały iść w ślady PBG. Kto wie, może była to od początku uzgodniona przez bankierów pułapka i w ten sposób nas zaszachowano.

– Nic nie można zrobić? – zapytał Zimny, choć wiedział z wcześniejszych relacji, że bankierzy doszczętnie załatwili spółkę.

Syndycy, zanim wykitowali, przelali część pieniędzy na nieoprocentowane konto w PBG, resztę wydali na spłatę zobowiązań i nowe kontrakty. Spółka pod wodzą okupantów szastała kasą, byle jak najszybciej doprowadzić się do ruiny. Zatrudniano prawników, żeby po kilka razy opiniowali ten sam dokument, podpisywano niekorzystne umowy z nowymi pracownikami, których większość dziwnym trafem miała jakieś konszachty z PBG. Zimny nigdy by w takie myki nie uwierzył, gdyby nie zobaczył ich na własne oczy. Ugoda z bankiem

to usankcjonowała, bo Bonar rzekomo zobowiązał się na piśmie do dwóch rzeczy: zakończenia rozliczeń i niewypowiadania się więcej w mediach na temat banku.

– „Gospodarność” syndyków sprawiła, że jedynym majątkiem pozostały nasze długi – podsumował teraz Bonar.

– Długi majątkiem?

– Wbrew pozorom tak, bo wracamy do sprawy tych nieszczęsnych zabezpieczeń przejętych przez pozostałe banki. Sprawa PBG jest niby zamknięta, pozostają jednak inni, wobec których zastosowaliśmy podobną strategię. Jeśli rozliczymy nasze zobowiązania w relacji do wartości zabezpieczeń, to oni są nam winni więcej niż my im. Nie są to jakieś kosmiczne pieniądze, ale zawsze.

– Tyle że trzeba je jeszcze wygrać w sądzie – dodał Grubber. – A to nie jest łatwe, choć nie niemożliwe.

– To prawda. Mamy trochę korzystnych dla nas precedensów. Słyszał pan o sprawie pewnego znanego malarza, który oddał obraz w zastaw za pożyczkę. Bank dał mu sto tysięcy, a jako zabezpieczenie wziął obraz wart trzysta. Gdy doszło do sporu, malarz poszedł do sądu i udowodnił, że zabrany obraz mógł opylić za znacznie wyższą kwotę, gdyż z czasem nabierał on wartości, mógł „zarabiać” w galeriach czy na wystawach, a bank pozbawił jego twórcę tych potencjalnych korzyści.

– Wygrał? – zdziwił się Zimny. Osobiście nie znał nikogo, kto by wygrał z bankiem.

Bonar skinął głową.

– Miał dobrego adwokata i sam był... akceptowany przez system.

– Jak to?

– Ktoś uzmysłowił sędziemu, że malarz pochodzi z rodziny pewnego zyskującego wpływy biznesmena, który szczyli się koneksjami w jednym z ugrupowań politycznych. Nagle sprawa nabrała tempa, a sędzia uznał, że bank postąpił niewłaściwie i powinien ponieść konsekwencje swoich błędów.

– Pan nie może na to liczyć?

Bonar roześmiał się.

– Wygraną w Sądzie Najwyższym okupiłem zarzutami o układy. Jeden ze znajomych adwokatów powiedział, że nie będzie ze mną rozmawiał, bo sędziego wydającego wyrok łączą więzy rodzinne z moim pełnomocnikiem. Że niby specjalnie go wynająłem, żeby załatwił wyrok.

– Zrobił pan to?

– Skąd! To podobno przypadkowa zbieżność nazwisk i moim zdaniem rzeczywiście tak jest. Proszę zrozumieć, ja nie traktuję takich dyskusji poważnie. Bardziej mnie przeraża, a ostatnio może również odrobinę bawi, fakt, że tak to działa w naszym systemie. Ludzie nie wierzą w wyroki, tylko w układy lub ich brak. Nie ma dla nich znaczenia sam wyrok i jego uzasadnienie, lecz to, co siedzi w tle. Nie wierzymy państwu, nie wierzymy sądom. Takie mamy społeczeństwo. A epilog sprawy w Sądzie Najwyższym też jest ciekawy. Jesteśmy ostatnią spółką, która miała możliwość odwołania się do tej instancji w sprawie upadłości.

– Jak to? – zdziwiła się Jarosz.

– Od teraz weszła poprawka do przepisów, która kończy drogę odwoławczą na sądzie apelacyjnym.

– Z powodu waszej sprawy?

– Nawet tak to uzasadniają. Zrobiliśmy wyłom, który poruszył całe środowisko. Więc zamiast posypać głowę popiołem i przyznać, że coś było nie tak, oni potraktowali to jak ostrzeżenie i sygnał, żeby zlikwidować furtkę, która może prowadzić do prawdy. Lepiej jest poświęcić jednostki niż system.

– Państwo nie lubi płacić odszkodowań – dodał Grubber. – A nawet jeśli chciałoby wychodzić z takich pomyłek z twarzą, to zawsze pozostaje kwestia czasu.

– Problem w tym, że ciągnie się to niemiłosiernie. – Bonar poprawił się na krześle. – Prawie codziennie jestem w sądzie i nawet przestało mnie to męczyć. Za to przeraża coraz bardziej.

– Dlaczego?

– Delikatnie mówiąc, miałem inne wyobrażenia o sprawiedliwości. Sędzia Fogel, jego zasady i sposób działania to naprawdę nie wyjątek.

– Już nie orzeka!

– Sąd dyscyplinarny go skazał, ale Fogel się odwołał i podobno ma nawet szansę. Sędziowie trzymają się razem, nawet jeśli jeden ewidentnie przegiął.

– Nie wierzę, że mu się uda.

– Do orzekania pewnie rzeczywiście nie wróci. Zostanie w swojej szkole i stamtąd będzie doglądał interesu.

– Myśli pan, że wciąż ma wpływy w sądzie?

– Myślę? Jestem pewien. Mam dużo rozpraw i jakby pan na nie pochodził, toby pan mnie



zrozumiał. Ostatnio w sądzie podczas zeznań świadków wszedł na salę facet z drabiną i dostawszy pozwolenie od sędziego, zaczął wiercić dziury w ścianach. Wyobraża pan sobie coś takiego?

– Nie.

– A jednak to fakt. Więc proszę mi nie opowiadać o powadze sądu.

– Wiecie coś o Księżnym?

– Schował się w norze w Szwajcarii. Potem zniknął na dobre. Pewnie jest we Francji.

A nowe władze... – Bonar przerwał w pół zdania.

– To prawda, że Francuzi zakazali się panu wypowiadać?

– W mediach.

– Po tej rozgrywce w TV wcale się nie dziwię. Wypadł pan świetnie.

– Dziękuję.

Chwilę rozmawiali o niczym, aż w końcu Zimny zerknął ukradkiem na zegarek.

– Po co pan poprosił o spotkanie?

Bonar położył ręce na stole, jakby chciał ich przekonać, że nie ma nic do ukrycia i mówi szczerze.

– Sądziłem, że winny wam jestem chociaż to spotkanie i pewne wyjaśnienia, a także informację o sprawach.

– Nikt o tym już nie chce pisać.

– Wiem. Ale warto, żebyście wiedzieli. Sąd Najwyższy wydał orzeczenie, sprawa wróciła do pierwszej instancji i ponownie ogłoszono upadłość, którą cofnął sąd apelacyjny. Niby odzyskaliśmy swoją spółkę, tyle że wartą już nie setki milionów, lecz... zero. No, może odrobinę więcej. Jednocześnie wnieśliśmy pozwy o odszkodowanie od Skarbu Państwa, zarówno jako spółka, jak i przedstawiciele akcjonariuszy.

– I nie bardzo wierzycie, że wygracie – podsumował Zimny.

– Zobaczymy. Ale jeśli nie w Polsce, to powinniśmy wygrać w Strasburgu.

– Cóż, ja również mam taką nadzieję. Odszkodowanie na pewno się panu należy.

– Ale nikt nie lubi płacić, nawet jeśli wina jest ewidentnie po jego stronie.

Grubber chrząknął, jakby chciał przypomnieć Bonarowi, że mają też inną sprawę. Adam spojrzał ze współczuciem na milczącego przez cały ten czas Mazurka. Biedak wciąż nie wiedział do końca, w co się wpakował. Co prawda nie będzie już musiał walczyć z Foglem, ale sędzia tak naprawdę był pionkiem. Układ pozostawał nierozliczony. Mimo zwycięstwa nie

udało się dotrzeć do ludzi stojących za Księżnym, sędzią, syndykami. Pozostawali bezkarni i nadal mogli robić swoje, gnębiąc takich jak on i Mazurek.

– Jest jeszcze jedna kwestia, którą chciałem państwu przedstawić. Pan Jan Mazurek – skinął głową w kierunku zdenerwowanego mężczyzny – jest prezesem i właścicielem Makaronów Mazurskich. To spółka do niedawna odnosząca spore sukcesy. Tuż przed publikacją waszego tekstu o Foglu i Księżnym Jan dostał świetną ofertę od PBG. Bank chciał przejąć pełną obsługę jego firmy i zaproponował bardzo dogodne warunki finansowania, znacznie korzystniejsze od tych, które oferował poprzedni partner finansowy.

– Zamierzałem wejść na giełdę, żeby pozyskać kapitał na rozwój, ale tyle ostatnio jest artykułów o przekrętach na tym rynku i nieuczciwych zagraniach... Uznałem, że się do tego nie nadaję, i postanowiłem, że w tej sytuacji finansowanie długiem nie będzie złe – dodał Jan.

– Ofertę przedstawił mu przyjaciel z dzieciństwa, wcześniej niesłusznie oskarżony o udział w mafijnym zabójstwie – dopowiedział Grubber. – Jak później się okazało, szantażowali go w więzieniu, żeby to zrobił, a on myślał, że to nic groźnego, że chcą po prostu przejąć dobrego klienta z dobrą ofertą. Nie wiedział, że posłużono się nim, by wciągnąć Makarony na pole minowe.

– Co ciekawe, w tym przekręcie też uczestniczył Stanowski – dodał Bonar.

– Ale Fogla i Księżnego nie było?

– Spóźnili się na ten deal. Plan był pewnie taki, że bank przejmuje finansowanie, wypowiada je, a Fogel ogłasza upadłość spółki. Szczęśliwie my się wtrąciliśmy, a Fogla już nie ma, więc z upadłością nie poszło tak łatwo, niemniej jednak zagrożenie dla Makaronów jest wciąż wysokie.

– Dranie dali nam linię kredytową, żebyśmy podwoili produkcję. – Mazurek był doświadczonym biznesmenem, a jednak opowieść przychodziła mu z trudem, mówił łamiącym się głosem. – Przekonywali, że z naszymi produktami możemy zawojować Europę, deklarowali pomoc w nieograniczonym finansowaniu i kontakty w różnych krajach. Podpisałem umowę i nie przejąłem się nawet tekstami w gazetach na temat PBG. Ile się już nieprawdziwych artykułów ukazało! Zresztą kłopoty banku wcale nie powinny mnie obchodzić, tak mi się wydawało.

– W końcu byłeś tylko klientem – wtrącił Adam.

– Właśnie. Tak więc zwiększyliśmy inwestycje, daliśmy czadu z produkcją, aż tu nagle bank pod byle pretekstem odmówił nam ostatniej raty, zaczął tworzyć sztuczne problemy,

by w końcu całkowicie wypowiedzieć umowę i zażądać spłaty zobowiązań z dnia na dzień.

– Z Foglem temat byłby dawno pozamiatany. – Grubber nachylił się nad stołem. Jego potężna, rybia twarz poruszała się jak galareta. – Teraz potrwa to dłużej, ale Makarony i tak nie mają większych szans na wybronienie. Bankructwo jest kwestią czasu. Załatwili ich.

– ONI?

– Ci, którzy stali wyżej, których nie dorwaliście. – Grubber zerknął na Bonara, jakby się upewniał, że może mówić także w jego imieniu.

– Księżny był tylko pionkiem – podjął Mazurek. – Wykonywał polecenia.

Zimny przygryzł policzek, rozważając, czy chce się pakować w kolejną tego typu sprawę. Dobrze już rozumiał, do czego zmierza Bonar, i wcale mu się to nie podobało. Minęły trzy lata, świat się zmienił, miał wiele nowych pomysłów na życie, ostatecznie rzucił dziennikarstwo, a tu pojawiały się kolejne demony z... Jak to Amerykanie reklamują rewanżowe walki bokserskie? „Niedokończony biznes”. Nie, nie i jeszcze raz nie. Spojrzał na Kasię z wyrazem twarzy mówiącym jasno: chcesz, to bierz, ja spadam.

– Dlaczego wybrali pana? – Kasia Jarosz zadała w tej chwili jedno z tych pytań, które niemal w każdym potrafią zagotować krew. – Dlaczego tak bardzo im zależało, że aż robili jakieś intrygi, stosowali podstępny i tak dalej?

– To akurat proste. Makarony co roku niemal podwajają udziały w rynku. Mamy dobry i tani produkt, na tyle prosty, że nie ma jak z nim walczyć na certyfikaty. Dobre opakowanie, znak jakości, smak – to wystarczy, by posłać w diabły konkurencję. Zaczęli się nas bać wszyscy producenci, jednak najbardziej pewien włoski koncern, któremu zabraliśmy największą część rynku. Analitycy wskazywali nawet, że ci Włosi mogą mieć z nami problem natury globalnej.

– I sądzicie...

– Jesteśmy przekonani – poprawił Mazurek – że bank zrobił nas na zlecenie konkurencji. Ta włoska firma nazywa się Pasto Liguria. Została ostatnio przejęta przez spółkę Mount Blanc, która jest jednym z największych klientów FB Banku, właściciela PBG. Teoria spiskowa? Być może, ale dziwnie dobrze pasuje, nie sądzicie?

Zimny spojrzał w twarze Bonara, Grubbera i na końcu Mazurka. Ci ludzie naprawdę w to wierzyli. Co gorsza, wierzyli, że są po tej samej stronie barykady co dziennikarze i że oni im pomogą. Mimo własnych doświadczeń wciąż wierzyli w media. Niesamowite. Jakby zupełnie nie odrabiali lekcji, nie uczyli się na błędach.

A może źle ich oceniał? Może po prostu wierzyli w Jarosza i Zimnego? W ludzi, którzy nie pozwolą ich skrzywdzić na łamach pism czy szklanym ekranie. Którzy zrobią dokładnie to, do czego zostali powołani w swoim zawodzie.

– Obawiam się, że dziś nikt nie puści tej sprawy w mediach – powiedział, nie owijając w bawełnę.

– Też tak sądzimy – przyznał Bonar.

– Więc? Po co to?

– Chcemy ich dorwać – rzekł z naciskiem Grubber. – Chcemy pokazać, jak działa ten system, i ujawnić tych, którzy za nim stoją.

– Ale sam pan stwierdził, że to niemożliwe.

– Próbować jednak trzeba.

– Już mówiłem, że media nie będą zainteresowane. Zostaje internet. Ale to nic nie da. Bez seksu lub jakiegoś celebryty czy szaleńca nie zainteresujemy nikogo. Artykuł o przekrętach zawsze przegra na Wykopie z gołą dupą, pijanym Ruskiem wjeżdżającym kamazem do jeziora czy gościem, który wyzywa od psów funkcjonariuszy policji. To są nowoczesne metody, do których my się nie nadajemy.

– Może to tylko kwestia czasu, bo jednak poważne materiały też przebijają się w mediach społecznościowych.

– Ale nie dość, by osiągnąć sukces w takiej sprawie jak ta.

– Wiemy – przyznał Bonar. – Dlatego mamy inny pomysł.

– Słucham?

– Może napisze pan książkę...

– Jedną już napisałem i nic nie zmieniła.

– Nieprawda, zmieniła bardzo wiele.

– Niewystarczająco.

– Bo może za bardzo odbiegła od głównego tematu. Można było ją uznać za fikcję, choć nią nie była.

– Dokument?

– Fabularyzowany. Pana druga książka. Taka, której już się nie da zlekceważyć. Proszę o tym pomyśleć. Proszę napisać powieść, która opowie trochę prawdy o tym kraju i spróbuje go rzeczywiście zmienić.

Zimny wyszedł z siedziby Selacu i zaproponował Kasi, że ją podwiezie. Jechali

w milczeniu do centrum, aż w końcu dziewczyna nie wytrzymała i przystąpiła do ataku. Dlaczego nie chcesz tego napisać? Dlaczego ciągle próbujesz iść na łatwiznę, miotasz się z jakimiś pokrętnymi tematami, wysłuchujesz dziwaków budujących iluzje, misjonarzy technologicznych utopii, a nie interesują cię prawdziwe problemy? Piszesz tylko dla kasy? Naprawdę cię nie obchodzi, kto za tym stoi, co się stanie z tym biednym Mazurkiem? Zawsze chciałeś przecież działać w interesie społecznym. Chciałeś, prawda?

Nie odpowiedział.

Gdzieś w głębi umysłu zaczęło jednak kiełkować przekonanie, że nie powinien tak tego zostawić.

Bonar i Kasia mieli rację.

Musi napisać tę książkę.

Powieść opartą na faktach.

Mocną i odważną.

Prawdziwą i niepozostawiającą wątpliwości.

Taką, która tak po amerykańsku przyłoży w łeb winnym.

Której nie da się zamieść pod dywan.

# Spis treści

## Prolog: Wrzesień

1

2

## Część I: Listopad

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

## Część II: Grudzień

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

## Część III: Styczeń

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

Epilog: Trzy lata później

40